

Alice
BORCHARDT

Noc
wilka

Z angielskiego przełożył
Paweł Korombel

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Mojej ukochanej siostrze,
znanej światu jako Anna Rice

*Z ciemności uśmiechają się do mnie twarze;
może nie ujrzę ich nigdy.
Ze snu wyciągają się do mnie ramiona;
może nigdy nie znajdę się w ich uścisku.*

Byłaś z pomocą na każdym rozdrożu mojego życia.

Ad memoriam:

W toni smutku czas jest topielcem.

1

Wilk się obudził, uniósł łeb. Księżyc w pełni, błądzący wędrowiec, wyszukiwał drogę wśród sosen i cedrów na górskim zboczu.

Reszta watahy spała. Tylko on czuł... nie wiadomo co. Wilki nie wiedzą, co to smutek, chociaż ich nachodzi.

Wstał i przeszedł rytuał prostowania kości i straszenia sierści. Cicho przebiegł w dół krętym szlakiem do strumienia spływającego z jeziora. Było na tyle szerokie, że niebo mogło się w nim przejrzeć.

Od kiedy umarła... nie, od kiedy ją zabito, budził się każdej nocy o tej porze, w której wszystko inne śpi... Wspominał.

Noc ma własne rytmy. Odzywają się w ciele, krwi, kościach wszystkich stworzeń ziemi. Tylko człowiek o nich zapomniał, zapomniał, jak są ważne.

Lecz w jaźni wilka jawiły się pod postacią wspomnień, obcych wspomnień, fragmentów snu. Dotykał świadomości nieśmiertelnej, starej jak życie, doznań stworzenia pozbawionego jeszcze samoświadomości, toteż nieśmiertelnego; pierwszej istoty pływającej w wodnych kolumnach morza kambryjskiego. O tej nocnej porze zaprzestawała prężyć swoje muskularne ciało i rozpoczynała drzemkę w rozmigotanym blasku księżycowego światła.

Wilk pojmował rozmiary katastrofy, która go spotkała. Rozłam świadomości wyzuł go z przyrodzonego prawa, dziedziczonego po tamtej pierwszej marzycielce z morza wielkiego jak ocean.

Roztrzaskał pyskiem wizerunek księżycyca w wodzie, tak jak smutek roztrzaskał jego sen.

Wysokie chmury pochłonęły księżyc.

Wilki spały nieopodal swych terenów polowań, milcząc i nie śniąc.

Powietrze było zimne. Jesień wchodziła w ostatnią fazę, zbliżała się kolejna zima, ale wilk czuł w sobie ogień - ogień, którego nie mógł ugasić wiatr z lodowców na górskich przełęczach, ogień, który rozgrzewał mu ciało pod ciężkim zimowym futrem.

Ogień! Symbol tamtych stworzeń, idący za nimi wszędzie. Woń ognisk na zawsze skaziła powietrze wokół ich siedlisk. Oto ziemia, powietrze, woda i ogień.

Wszystkie żywe stworzenia korzystały z dobrodziejstw pierwszych trzech żywiołów, ale jedynie człowiek był panem ognia.

Dlaczego? Jakim sposobem posiadał taką władzę? Wilcze wspomnienia nie tłumaczyły tego stanu rzeczy.

Kiedy pierwsze osobniki jego gatunku napotkały tamtych w zimowym mroku, na bitewnym polu walki o przetrwanie, oni byli władcami płomieni, gasili je i rozniecali wedle swojej woli. Poza tym nie dysponowali żadnym orężem w bezlitosnej batalii z wszechpotężnymi wrogami życia - nocą i zimnem. Żałosne, nagie istoty.

Żałosne, nagie stworzenia jak on sam w tej chwili, albowiem gdy wędrujące chmury zahaczyły o ostatnie promienie księżyca, stał się człowiekiem.

Pamiętał, co mu rzekła - nie raz. Ogień to dar bogów.

Śmiał się z tego słowa... „Dar”. Poznał już na tyle ludzi, że nieobce mu były ich grabieże i zniszczenia dokonywane nieświadomie i nieoględnie; a gdy zapragnęli czegoś ponad ludzką miarę, odczytywali to w myślach bogów. Cześć i posłuszeństwo nieudolnym, arbitralnym rozkazom tych, którzy chytrymi manewrami osiągnęli pozycję rządców świata.

- Dar... a może owoc kradzieży? - zapytał.

- Może - odparła, wzruszając ramionami. - Złodzieje, kradnąc, wystrychnęli na dudka samych siebie, bo władza jest obosiecznym orężem.

Lecz władza, bez względu na swą cenę, daje życie - pomyślał człowiek przy strumieniu. Bez tej kradzieży tamte istoty - i cały ich gatunek nigdy nie przetrwałyby pradawnej, nie kończącej się zimy i zmarniały jak wiele innych stworzeń.

Księżyc posrebrzył brzegi sunącej chmury, a człowiek wyciągnął w górę ramiona, jakby chciał go przytulić.

Białe światło oblało całą jego twarz. Zastanawiał się, czego naprawdę chcą bogowie.

Ona, której dotknięcie dało mu moc przemiany z wilka w człowieka i na odwrót, nie domagała się czci i nie musiał jej dziękować.

Po prawdzie nie wiedział nawet, czy powinien dziękować, gdyż ten dar, jak ogień, niósł ze sobą cierpienie i smutek. Dar przesączony okrutną wiedzą i poczuciem całkowitej utraty.

Znów stał się wilkiem; z zadowoleniem przygasił świadomość życia, której w tej chwili nie pragnął.

Wspominał ogień, tylko ogień - owego wieczyście dwuznacznego ducha, który potrafił chronić, tworzyć i niszczyć.

Wilk ruszył przed siebie; jedyna trzeźwa istota w uśpionym świecie.

Być trzeźwym i świadomym to ciężka klątwa... do której zdjęcia trzeba krwi, ognia i zemsty.

Skąd wiedział, który człowiek to zrobił? Ponieważ był wtedy obecny. A skąd pewność jego winy? Śmieszne w uszach wilka. Czuł ten odór bez cienia wątpliwości - odór winy przytłaczający przekonanie o słuszności postępowania, gniew czy strach.

Nawet jego najstarszy przodek, pływający w pierwszym morzu, widział, poznawał. I jego świadomość, chociaż jeszcze elementarna, przechowała informacje zdobyte dzięki czujnym zmysłom.

Ludzie byli tak zaślepieni, że uznawali tylko jedną inteligencję - ludzką! Lecz jego mózg, starszy i mądrzejszy, chociaż nie tak wyostrzony - zdawał sobie sprawę, że wiedza ma wiele fasetek i dopływów.

Żadne z nas, stworzeń, nie jest bynajmniej jednorodne. Podobnie jak krzew, drzewo lub nawet pogardzany chwast. Wszystkie jesteśmy połączeniem wielu czynników, kształtów, rozmiarów, odorów, ruchów, przyzwyczajęń. Wszystkie karmimy się świadomością innych - innych, których wcale nie zauważamy.

Tak więc wilk wiedział, który to człowiek. Wypatrzył go, a także innych ludzi, w porze pomiędzy dniem a nocą, w miejscu nie będącym wodą ani stałym lądem. Nie odgadł jego podłego zamiaru, aż było za późno; za późno na to, aby powstrzymać jego i innych od realizacji ich zamiaru. Zamiaru, którego on sam jako wilk czy jako człowiek nie potrafił zrozumieć, objąć umysłem lub przebaczyć - chociaż od tamtej chwili minął już rok.

Teraz ów człowiek dojrzał ślady wilka przy strumieniu spływającym obok jego zagrody, zatem miał się na baczności.

Nie pierwszy to człowiek, którego winę wilk poczuł, dostrzegł lub wywąchał. Ale tamten nie podejrzwał, iż jest celem polowania i szybko wpadł w wilczy potrzask. Ten przysparzał wilkowi więcej zadowolenia. Cierpiał bardziej niż tamten.

Tak więc wilk celowo przedłużał podchody. Trwały kilka miesięcy. Teraz nadszedł czas wyłonienia zwycięzcy w tych zapasach woli.

Wilk bezszelestnie wkroczył na sarnią ścieżkę opadającą przez gęsty młodnik ku ludzkim domom i uprawom. Noc dobiegała końca. Ziemia oddawała swój

żar, powietrze znieruchomiało, rosa osiadała na trawie i krzewach. Myśliwi pomocy i brzasku spali, nasyceni lub wygłodniali, podobnie jak ich ofiary.

Wszystko zastygło. Wilk ogarnął spojrzeniem zagrodę. Kurna chata ze stożkowym dachem. Wyłożony zniszczonymi belkami podwórzec prowadził do okrągłej stodoły przypominającej ludzką sadybę, tyle że mniejszej i z rozwartymi wrotami. W pobliżu obory znajdował się cel wilka - wiklinowa owczarnia.

Chata i stodoła stały na skraju pola jęczmienia, za którym płynął strumień o żwirowym dnie, jeden z dopływów rzeki formującej się u ujścia doliny. Od pewnego czasu wieśniak sprowadzał owce na noc do zagrody.

Wilk zbiegł z wysokiej skarpy między jęczmień, lecz ten go nie skrywał. Łodygi sięgały zaledwie brzucha i barków zwierzęcia. Krople przygruntowej rosy, wiszące na ciężkich kłosach zboża, moczyły wilczą sierść. Ziemia między kępami chłodziła poduszki łap.

Zbliżywszy się do zabudowań, przywarował i poczołgał się, tak że można by go wziąć za strzęp mgły goniony wiatrem przez zagony. Jednakże bystry obserwator zauważyłby, iż w tej najciemniejszej godzinie przedświt wiatr ustał.

Mastyf rozmiarów cielaka spał na powrozie przywiązany do słupa przed owczarnią.

Co za pewność siebie tak spać - pomyślał wilk. Ja nie spałbym, gdyby wilk krążył w pobliżu. No cóż... będziesz spać wiecznie.

I pies pogrążył się w wiecznym śnie.

Wilk wpadł do owczarni.

Owce, przebudzone rykiem drapieżnika, próbowały uciec we wszystkie strony. Dwie, zamiast przeskoczyć płot, wpadły na niego. Owczarnia rozleciała się. Ogarnięte grozą stworzenia wybiegły na podwórze lub tratowały jęczmień. Stary baran próbował stawić czoło wilkowi. Ten ominął opuszczone rogi, uderzył barkiem w bok tryka. Obrońca potoczył się i stchórzywszy, pierchnął z resztą.

Wilk przystanął. Dyszał. Jedna z owiec, nabita na palik zrujnowanego ogrodzenia, beczała straszliwie, zamieniając noc w żywy koszmar. Druga wisiała martwa obok.

W okrągłej chacie zapłonęło światło. Rozległy się kobiece wrzaski i przekleństwa. Wilk przysiadł na zadzie, wywiesił ozór. Minie trochę czasu, zanim nabiorą odwagi.

Wreszcie z domu wybiegł pędem mężczyzna z włócznią w jednej ręce i pochodnią w drugiej. Dwaj inni, uzbrojeni tylko w motyki, byli ostrożniejsi. Pierwszy ogarnął przerażonym wzrokiem rozszarpanego mastyfa, zniszczoną owczarnię i dwoje jagniąt - to, które przed chwilą beczało, również zdechło. A wilk siedział zadowolony jakby nigdy nic.

Człowiek rzucił się na niego z wysoko uniesioną włócznią.

Wilk odwrócił się i znikł w ciemnościach jak obłok kurzu pędzony wichrem.

Oszalały wieśniak gonił go pośród jęczmienia - dwaj pozostali przezornie trzymali się z dala.

Wilk usłyszał szept jednego z nich:

- Wracajmy do chałupy. On uciekł, nie wróci. Wytropimy go rano.

Wilk umiejętnie przypadł do ziemi wśród gęstych łodyg jęczmienia i zaczął sunąć przed siebie.

Wieśniak zadygotał. Uniósł wyżej pochodnię i zmienił chwyt na drzewcu włóczni ślizgającym się w spoconej dłoni. Pot kapał mu z czoła, sączył się strumyczkami spod pach. Dwaj ociągający się wieśniacy znikli; poza kręgiem światła pochodni rozciągała się czerń.

Brodził w morzu dojrzałego czerwonego jęczmienia, które falowało i szeleściło cicho na wietrze. Bogowie! Bogowie! Nie było żadnego wiatru.

Wilk uderzył go między łopatki. Kiedy człowiek padał, niewiarygodnie potężne szczęki skruszyły bark i ramię trzymające pochodnię.

Pochodnia wypadła ze sparaliżowanej dłoni, frunęła w powietrze i potoczyła się po ziemi. Człowiek jeszcze zdążył pomyśleć, że dojrzały jęczmień jest suchy jak hubka...

Wilk przystanął na górskim zboczu i obejrzał się za siebie. Ujrzał straszliwy obraz. Człowiek, którego powalił na ziemię, przestał się miotać. Usmażył się w ogniu. Jego pierwszy tchórzliwy towarzysz płonął, biegał jak szalony i roznosił pożar na inne poletka. Drugi uciekł. Razem z kobietami z chaty powstrzymywał zrozpaczoną żonę wieśniaka, gotową skoczyć bezsensownie ku śmierci.

Za skrajem lasu wilk obejrzał się raz jeszcze. Pole jęczmienia zmieniło się w morze płomieni. Teraz palił się również dom - drewno i słoma ciskały w niebo kolumnę ognia. Płonął nawet sad, gdyż jęczmień zasadzono między jabłonkami i

pigwami. Ludzie, którzy przeżyli, biegli w dół strumienia ku rzece, tam poczują się bezpiecznie.

Mężczyzna, który wyszedł na powitanie Blaze'a, był słaby, siwy i prawie ślepy. O, bogowie - westchnął w myślach Blaze. - Ile to lat minęło? Pamiętał zdrowego, energicznego sześćdziesięciolatka. Ten staruch miał co najmniej osiemdziesiąt lat.

Wlókł się pierwszy do jednoizbowej chaty, a raczej szopy krytej strzechą. Pola niegdyś żywiące starego druida były zaniedbane, zarosłe zielskiem, puste. Brakowało jakichkolwiek zwierząt. Ktoś opiekował się małym warzywnikiem przy drzwiach i stawem rybnym. Cebula, pory i rzepa zarastały próg.

Blaze westchnął po raz wtóry i wszedł za starcem do chaty. Mir lata temu powinien dostać zastępcę i dożywać starości w spokoju. Powinno się go wysłać do Irlandii, gdzie wiódłby życie pod opieką rodziny. Ale w tych niespokojnych czasach żaden pobratymca starca nawet o nim nie pomyślał. Były większe zmartwienia.

W środku zalegał półmrok, niewielkie palenisko rzucało marne światło. Jakaś kobieta pochylała się nad glinianym garnkiem, wsuniętym w węgle.

Mir wskazał na nią.

- Moja żona - rzekł. - Nie pamiętam jej imienia.

Dziewczyna uniosła głowę i Blaze zobaczył, że jest bardzo młoda, ledwie szesnastoletnia. Przyjrzał się jej uważniej i dostrzegł, że jest straszliwie zeszpecona. Twarz pokrywały przecinające się napuchłe pręgi. Można by pomyśleć, że pocięto ją ostrym nożem.

Na widok Blaze'a chciała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej tylko okropny grymas.

- Idź sobie - rozkazał Mir. - My, mężczyźni, musimy porozmawiać.

Skinęła głowę i wyjęła garnek z żaru.

- Potrawka gotowa? - spytał Mir.

Znów skinęła głowę i wymknęła się chyłkiem.

Blaze i Mir usiedli za stołem. Gość spojrzął na zielonożółte groty słońca za drzwiami. Wzdrygnął się. W tej chacie czuł się tak, jakby zamknięto go w piwnicy z widokiem na jasny świat, który znajduje się na wyciągnięcie ręki. Dziewczyna przecięła zarośniętą łąkę i znikła między sosnami.

W chacie panował osobliwy smród, który dobywał się z bulgoczącego gara.

- Cóż to za potrawka? - spytał Blaze.
- Nie wiem - odparł Mir. - Nigdy nie tykam tego, co ona uwarzy.

Wystarczy skibka chleba i kawałek sera. Ludzie przynoszą mi resztki ze swoich stołów, a i w ogródku czasem coś wyrośnie.

- Tak źle gotuje? - spytał Blaze.
- Nie wiem. Nie obchodzi mnie, co gotuje. Kiedyś wrzuciła do kociołka

węża, garść świerszczy i gołąbka. Wąż był żywy. Świerszcze też. Niektóre uciekły. Gołąb był zdechły, miał ukręcony łeb, ale go nie wypatroszyła ani nie oskubała. Potem dorzuciła trzy żywe myszy. Udało mi się uratować kota, zanim cisnęła go do wrzątka. Ale i tak uciekł.

Blaze potrząsnął głową, jakby chciał w niej sobie coś poukładać.

- Kot... uciekł?
- Tak - powiedział Mir. - Złapała go za ogon. Nie był tym zachwycony.
- Czemu robi takie rzeczy? Pytałeś ją może?
- Ona nie mówi - wyjaśnił Mir.
- Och!

Mir wzruszył ramionami.

- Jest miejscowa. Potrzebuje kogoś, kto by ją chronił. Nie jest niebezpieczna i dobrze grzeje w nocy. Mogłem gorzej trafić. Wyznaczę kogoś, kto ją przygarnie, kiedy mnie nie stanie. Ale nie wezwałem cię na rozmówki o półgłówku, lecz o wilku.

- A tak. O tym wilku. O wilku, który zachowuje się jak człowiek.

Następnej nocy siwy basior wypuścił się daleko przed swoją watahę. Uczynił to z obowiązku. Atakował ludzi, ryzykując życie swoich towarzyszy. Dwunogi nie rozróżniały wilków. W ich oczach wszystkie były oszalałymi ludojadami, toteż zabijały każdego, którego udało się im złapać, czasem po torturach.

Cofający się lodowiec wyźłobił to jeziorko przed eonami. Było częścią strumyka, latem karmionego topniejącym śniegiem, a zimą źródłami artezyjskimi. Jego wody nigdy nie zamarzały. Wilka to zdumiało i był zaskoczony własnym zdumieniem. Jego gatunek rzadko zwracał uwagę na takie zjawiska.

Pierwsi ludzie, którzy przybyli do doliny, nazwali jeziorko Zwierciadłem Pani. Owa Pani liczyła już sobie wiele stuleci, przyćmiły ją zastępy innych bóstw, lecz nadal o niej pamiętano, zwłaszcza podczas jej pór - świtu i zmierzchu. W tamtych czasach mieszkańcy doliny omijali to miejsce. Obawiali się, iż mogą napotkać ją podczas spaceru i że przywiedzie ich do czegoś, co może się rozmaicie skończyć. Panią darzono czcią, szacunkiem, miłością i lękiem. Spotkanie z nią mogło okazać się bardzo nieszczęśliwe, a poza tym, kto wie, co sobie myśli? Być może omijano to miejsce również dlatego, że był to teren wilków; o zmierzchu zwierzęta schodziły tamtędy z gór, ku dolinom. O świcie zbierały się i wracały do legowisk na skraju lasu.

Słońce słało długie promienie zza zachodnich wzgórz, gdy wilki przybywały do wodopoju. Las wzdychał pod dotknięciem wiatru.

Zbiornik wody, zgodnie ze swą nazwą, odbijał świerkowo-jodłowy las, skąpany w wieczornym słońcu. Jeziorko kończyło się siklawą, lśniąca gładzią nad czarnymi bazaltowymi stopniami prowadzącymi do kolejnego jeziorka. Woda wypadała z niego rączką kaskadą i głośno pluszcząc, mknęła przez dolinę.

Zbliżał się ostrożnie do górnego jeziorka, przeszukując wzrokiem wszystkie pobliskie kryjówki, w których mogli się zaszyć łucznicy. Lękał się zasadzki. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Och, ktoś był tam z pewnością. Ktoś wiekowy, lekkiego chodu. Wyczuł to i nie znalazł powodów do niepokoju.

Kiedy dotarł nad jeziorko, przekonał się, że opustoszało, nie licząc jaskółek polujących na owady nad szklistą powierzchnią. Odeszły kobiety kąpiące się poniżej wodospadu.

Przypominały mu falujące ciała zwierzyny łownej i przyprawiały go o poczucie winy tak wielkie, jak to tylko możliwe u wilka. Niemniej nie potrafił się im oprzeć. Partner wilczycy, widząc ją u progu zimy bezustannie jeżącą kły, z brzuchem pękatym od miotu i ślepiami pożółkłymi ze strachu o nie narodzone młode, głośował wszystkimi łapami za celibatem.

Ale te ludzkie samice były wcieleniem uwodzicielskości. Zakrywały swoje różowości i brązowości sukniem miękkim jak futro. Ich gładka skóra przypominała płatki kwiatów, aksamitne, jedwabiste i pachnące. Ich rozgrzane krocza rozsnuwały w powietrzu rozmaitość zapachów, zachęcających, odurzających i wreszcie kiedy dochodziły do orgazmu... doprowadzających do szaleństwa. Lecz najbardziej niesłychane było ich poddanie. U szczytu pożądania topiły się miękko, rozptyływały na

jego ciele, zażywając nie kończącej się rozkoszy w jego ramionach, jakby zstępowały w śmierć. Tylko głośne, uparte dudnienie serc przekonywało go, że ich nie skruszył, pchany niezaspokojeniem.

Początkowo myślał, że są niewolnicami, którym kształty nadała burza żądz ich samców, tak jak nie kończący się prąd rzeczny nadaje gładkość i formę otoczakom. Myślał, że sam Eros wydobył je z łona ziemi i ukształtował jedynie ku rozkoszy otaczających ich dzikich zabójców opętanych nieugaszonym pragnieniem. Całe, od czubków głowy do koniuszków palców u nóg, doprowadzały do szaleństwa. Każdy zakątek ich ciał budził rozkosz.

Drobne stopy o wysokim podbiciu, wąskie kostki, jedwabiście krągłe nogi, gładkie uda, aksamitne pośladki, lizane i całowane kręgosłupy, gdy piszczały z rozkoszy, wiły się i mruczały w ekstazie jak kocice. I ich piersi. Och, Boże, cóż to za wspaniałości. Wilki rodzą się ślepe, walczą między sobą w ciemności o sutki matki. Kobięce piersi, kiedy zakrywał je dłońmi i potem ssał, wracały mu pamięć pierwszego triumfalnego bryzgu mleka wpadającego do gardła. Te miękkie półkule kształtu kielicha były obrazem ofiarowującego świata, dającego napój życia, i spełnienie wypełniało mu lędźwie, rozgrzewało całe ciało, podobnie jak tamten pierwszy ciepły smak oznajmił mu, że nie zginie. Kiedyś dręczył go pierwszy lęk niezależności: że nie osiągnie ciepła, pokarmu i miłości, kiedyś przenikała go ohydna groza, że nie przeżyje. Tamten pierwszy smak oznajmił mu, że te obawy są bezzasadne - bo łyk mleka znalazł drogę do jego żołądka i ciepło wypełniło całe ciało.

Polujące wilczyce o ciemnych futrach ukrywały swoje skarby poza chwilami karmienia młodych. Kobiety nie. Wystawiały miękkie śliczności przed męskie oczy, przypominając im o kobiecej władzy, tak że ci zebrali niczym pieski. Tak, początkowo myślał, że kobiety są niewolnicami, igraszką dzikich samców. Czemu nie? Czy nie wiedział, że człowiek budzi grozę nawet w najbardziej zawziętym zwierzęciu? Oczywiście, były niewolnicami nie kończącej się, niepowstrzymanej męskiej lubieżności. A może wpięrow ją pobudzały, następnie rozogniały, aż ogarnięty obsesją i kuszony samiec stawał się poddanym swoich żądz, a nie ich władcą? Poddanym kobiety, która go wynagradzała.

Napotkał ją w ciemnym gaju, tę, która zmieniła jego zdanie o mężczyznach. Aromatyczne sygnały, wydzielane przez ich ciała i docierające do jego nosa, kazały mu zapomnieć o jedzeniu.

Mężczyźni zbili się w gromadkę na skraju lasu, spowici aurą nagiej żądz i przemocy jak gęstą mgłą. Po drugiej stronie leśnych ostępów zebrały się ofiary obrzędu. Tuzin dziewcząt czekał z odzianymi na czarno kapłankami obok stosu dymiących kłód. Nagie ciała błyszcząły od olejków. Ciśnięto w ogień zioła i dziewczęta ruszyły w powolny, chaotyczny taniec, ukryte w parze i gęstym dymie. Trzeszczały płomienie.

Wilk znał ten ryt. Widział go wcześniej. Orientował się też, że mężczyźni walczyli między sobą o przywilej udziału w pościgu.

Procedura była prosta. Kiedy róg wznoszącego się miesiąca dotykał szczytu pionowego głazu, wpędzano dziewczyny do gaju. Za nimi udawali się mężczyźni. Dziewczyny, same dziewice, liczyły sobie najwyżej szesnaście lat. Kiedy wynurzały się rano spomiędzy drzew, nie były już dziewicami. Niektóre płakały. Wszystkie krwawiły, bo jeśli krew nie puściła się po penetracji, czekała je bezlitosna chłosta z rąk mężczyzn. Ale niemała część dziewcząt dostawała kwietne korony i miała dziwne uśmiechy na twarzach.

Szary wilk poczuł, że przybiera ludzki kształt. To działały potężne czary wiszące nad gajem. Każdy włos na ciele zjeżył mu się jak kotu. Potem odniósł wrażenie, że spływa po nim lodowaty strumień; to powietrze wiosennej nocy chłodziło mu skórę, kiedy stał się człowiekiem. Zatknęło go, drżenie przebiegło całe ciało, gdy wilczym obyczajem próbował otrząsnąć się z wodospadu lodowych sopli. Dygotał, nie odrywając spojrzenia od kobiet.

Kapłanka obserwująca wschód księżyca krzyknęła coś do strażniczek dziewcząt.

Świsnęły brzozowe witki. Dziewczęta tłoczyły się w pobliżu ogniska jak wystraszone sarny; jedna krzyknęła. Rzuciły głowami, drugie włosy unosiły się w powietrzu. Kręciły się w miejscu, wirowały, krzyczały, szukając ucieczki przed razami. Ale nadal wzbraniały się wejść do lasu, mniej lękając się chłosty niż tego, co czekało w ciemności między drzewami. Dopiero kiedy zobaczyły mężczyzn nadbiegających pędem przez łąkę - milczących, z zaciśniętymi pięściami, oszalałym wzrokiem - rzuciły się do biegu.

Wybrana przez niego wiotka czarnulka mknęła po zeszłorocznym listowiu jak ranna łania. Mimo że była niezwykle szybka, dopadłby ją w mgnieniu oka, ale instynkt drapieżnika powstrzymał go, aż znaleźli się w głębi gaju, otuleni gęstym

aksamitem czarnej nocy. Jedyne światło dawały gwiazdy, gęsty rozjarzony pył przezierający przez gałęzie.

Złapał ją.

Krzyknęła.

Wilcze zmysły wskazały mu posłanie z paproci. Cisnął ją tam i na chwilę straciła oddech.

Nie dla wilka był prymitywny gwałt. Dziewczyna już darła się i kopała, paznokciami jak szpony szukając w ciemności jego twarzy. Chciał powąchać, dotknąć, posmakować i wreszcie napić się tego, co było istotą jej kobiecości. Wsunął usta w najbardziej podniecające miejsce, jakie wskazał mu wilczy mózg, w miejsce, którego wonności przerastały wszystkie inne, w jej krocze. Chłęptał energicznie. Krzyki i opór dziewczyny ustały. Znieruchomiała. Znalazł kształty inne niż u wilczyc. Wgłębił się... To miejsce obfitowało w bogate smaki.

Wymachiwała gwałtownie nogami, ale nie z intencją kopnięcia go. Znalazł coś innego do ssania. Zatknęło ją, zajęczała, roześmiała się dziko, a potem zawyła i wreszcie wydała takie dźwięki, że zawstydzilyby sukę w rui. Wygięła ciało w łuk, tłukła pośladkami o ziemię. Chciał oderwać głowę. Dziewczyna złapała go za włosy i wcisnęła ją sobie między uda. Zapragnął osuszyć ją do dna. I spróbował.

Była nabrzmiata, rzecz normalna; wilczyce reagują identycznie. Inne rzeczy nie były tak normalne. Rozgrzała się jak gałąź w ogniu, aż wydawała się płonąć gorączką. Serce waliło jej jak bęben. Trwało to i trwało, aż wsparła się na łokciach, uniosła tors i krzyknęła:

- Nasyć mnie! Już!

- Będzie boleć - zawarczał. Jego gardło nie nawykło do wypowiedzania słów.

- Na wszystkich bogów! - Zadygotała, wbiła mu paznokcie w plecy i rozorała skórę. - Myślisz, że poczuję jakiś ból?

Ale poczuła. Przekonał się o tym, kiedy wdarł się siłą na jej intymne terytorium.

Opadła na plecy, gryząc krawędź dłoni, aby nie krzyczeć. Nagle złała się rzęsim potem.

- Zaczekaj - szepnęła, odpychając jego tors. Oddychała szybko, głęboko, lecz nie dyszała. - Ofiara jest dobra. Czuję krew. On, męski duch, byk lasów, bierze

daninę. Kobięcy ból i strach, kobieca krew należą do niego. Dałam mu je, jak zdecydowała gromada, wybierając mnie na tę noc.

Chciał się wycofać. Był teraz człowiekiem jak nigdy. Gonił jej słowa po ślepych ścieżkach swego mózgu i nie mógł ich dopaść. Chciał rzec: „Koniec, jesteś ranna, krwawisz. Twój bóg winien być rad”. Lecz nie potrafił zamienić myśli w mowę.

- Nie. - Tyle tylko zdołał powiedzieć. Starał się wysunąć członka z jej ciała.

Objęła go, przycisnęła usta do jego ust. Zagryzła zęby na jego wardze.

Czerwona płachta wściekłości przestoniła wilczość i człowieczeństwo. Przez chwilę był prymitywną istotą wyzbytą świadomości. Zgodnie z jej pragnieniem posiadał ją brutalnie, mściwie, do końca.

Żar z niej uszedł, serce wypadło z rytmu. Przez moment myślał, że ją zabił, ale drgnęła niespokojnie. Łkała, ale z każdą chwilą była coraz gorętsza. Niemal wbrew jej woli powróciło głębokie pulsowanie.

- O nie - mamrotała przez łzy. - Będzie bolało. Nie wytrzymam drugi raz.

- Teraz tak! - rzekł.

Przez chwilę balansowała idealnie między rozkoszą i bólem, po czym rozkosz przeważała szalę i ogarnęła ich burza ogniowa wspólnego pożądania, spopielając ostrożność i wahanie.

Każde z nich poznawało ciało drugiego namiętnie, nieustannie, z nieprzerwaną energią, gdy noc dobiegała kresu. Znikł księżyc, potem Plejady. Pozostał tylko chłód i samotne gwiazdy. Powiał wiatr brzasku.

Rozpływała się z wyczerpania, kiedy poddała mu się po raz ostatni, końcowe pulsowanie jej ciała wciągnęło go w płomienie. Leżała bezwładnie na paprociach, smakując wielkie kęsy snu.

Znalazł kogoś innego, mężczyznę. Również spał, zaciskając dłoń na bukłaku wina w połowie opróżnionym. Okrywał się wełnianą opończą. Kiedy Maeniel zabierał jedno i drugie, ocknął się. Uderzenie pięści odesłało go z powrotem w objęcia morfeusza.

Przełknęła wino przez sen i skuliła się w kłębek pod opończą. Nieopodal znalazł wawrzyn i ukoronował ją wieńcem zwyciężczyni. Kiedy wyruszał na poszukiwanie słońca, świetlista mgła srebrzyła się między drzewami.

Wspomnienie wyblakło. Nad górami słońce zanurzało się w chmury. Wilk okrążył jeziorko, pokonał truchtem mały wodospad, zanurzył się po pierś w dolnym zbiorniku. Bezbronny, gdy jego łeb odbijał się wyraźnie na tle idealnie nieruchomej wody, dopraszał się strzały łucznika skrytego między drzewami. Ale nic nie nastąpiło.

Dotarł do brzegu, nie wiedząc, co myśleć. Ludzie to mściwe stworzenia. Nie byłby zaskoczony, gdyby czekali na niego przy wodopoju. Lecz nie czekali. Przeszedł po miękkim beżowym piasku, wyskoczył z wody i otrząsnął się do sucha.

Przewyższali go sprytem, a przez to - okrucieństwem. Cóż takiego planowali? Jakieś niepojęte szaleństwo, jak to, które j ą ogarnęło?

Poczucie winy jest wspólne psom, wilkom i ludziom. Żaden gatunek go nie lubi. Szary wilk również. Nie lubił wspomnień o tamtej. Obrazy jej końca skaziły pamięć wspólnych cielesnych namiętności.

Przez chwilę czuł grozę z tego powodu, że czasem chodził na dwóch nogach. Ich okrucieństwo było pełne pomysłowości i uciechy. Niepojęte. Niemniej jednak poznawał ich naturę. Prawdę powiedziawszy, coraz częściej korciło go, by porzucić dzikość i niewinność. To budziło w nim lęk, ale ona i inne samice jej gatunku nie dawały mu spokoju.

Potrzebowałby stu lat, by pojąć, że naprawdę nie była piękna. Nie była też młoda. Urodziła troje dzieci; jedno zmarło w kołysce. Wychowała dwoje pozostałych; byli już dorośli, kiedy spotkał ich matkę. Po tym, jak się tego dowiedział, był wdzięczny losowi. Wdzięczny, że nie poznał jej wcześniej i że miała dobre życie, zanim przypadkowo wpadli na siebie.

Słońce zaszło za górą. Wieczorny powiew zmierzwił lustrzaną powierzchnię jeziora i wilcze futro.

Zobaczył człowieka.

Proszę, to ci sprytna sztuka - pomyślał wilk. Zastygł. Tamten stał w lesie, pod szczytem. Starannie wybrał punkt obserwacyjny. Wiatr odsuwał od wilka zapach człowieka, który czekał w długich cieniach sosny. Zdradzał go tylko ciemny zarys barku i nie dająca się pomylić z żadną inną linią ludzkiej szyi i twarzy. Kiedy wilk natężył wzrok w gasnącym blasku dnia, dostrzegł błysk białka ludzkiego oka.

Z rozmysłem odwrócił powoli łeb i spoglądał na obserwatora, sygnalizując, że go dostrzegł. Człowiek nic nie uczynił, toteż wilk zanurzył się w wodzie, przepłynął jeziorko i znikł.

Co to było? - zastanawiał się Blaze, wracając do domu Mira. Widział tylko wilka. To prawda, zwierzę było bardzo wielkie, większe niż wielu ludzi. Gęste szare futro sugerowało, że to górski łowca zamieszkujący wysokie przełęcze, wędrujący z towarzyszami przez lodowce. Blaze widział go wyraźnie w cieniach nad jeziorem. Ale na śniegu gęste szarosiwe futro stało się niewidoczne.

Blaze'a przeszedł dreszcz, wywołany nie tylko rosnącym chłodem poranka. Tak, ktoś pokonujący z mozołem zasy patrolowały prosto na to szare stworzenie i nie widziały go, dopóki nie zdały sobie sprawy, że spogląda w parę wielkich żółtopiwnych ślepi, które są zaledwie tuż... przed nim. Miały tylko czas na kilka słów modlitwy.

Słyszał o ludziach, którzy podróżowali z dużą, zbrojną świtą, a mimo to padali łupem tych arystokratycznych dzikich morderców. Irytowała go głupota tamtych osłów i ich eskorty, którą czasem sprowadzano mu przed oblicze i która błagała o litość. Bełkotali o utracie towarzysza lub swojego podopiecznego i zaklinali się, że to nie ich wina, że do ostatniej chwili nie słyszeli ani nie widzieli niczego. Dopiero cofając się szybko po własnych śladach, znaleźli parę kropli krwi wsiąkających w śnieg. Ujrawszy tamtego basiora, nabrał nieco zrozumienia dla ich bezradności.

Przepychał się przez gęste zarośla, kiedy usłyszał za sobą szmer cichszy niż westchnienie wiatru. Nagle poczuł suchość w ustach i starczą słabość w kolanach. Mir twierdził, że ów wilk był czasami człowiekiem i myślał z ludzkim sprytem.

Wielki drapieżnik dostrzegł go i z dziecinną łatwością wywiódł w pole. Udał się w jednym kierunku, a kiedy tylko ofiara znikła mu z oczu, zawrócił i podążył za nią przez ciemny las.

Blaze przejechał ręką po opończy, szukając latarni Mira, którą zawiesił na rzemieniu. Szybko skrzesał ogień, tłukąc kamieniem o żelazny pierścień, który nosił na palcu. Kiedy knot zapłonął, Blaze dostrzegł, że ręce mu się trzęsą. Uniósł wysoko latarnię. Znajdował się na polance. Konary wielkiego dębu rozkładały się nad jego głową. Ziemię pokrywała mozaika zbrązowiałych liści.

Już miał się obejrzeć, ale w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie chce widzieć tego, co może czaić się za jego plecami.

- Ojciec bogów, strzeż mnie - szepnął, mijając wielki dąb. W tej samej chwili ujrzał ognisko, które Mir rozpałił przed chatą.

Odetchnął z ulgą i raźnie poszedł przed siebie. Na skraju lasu przystanął, aby zdmuchnąć latarnię.

Coś szarpnęło go za opończę. Myśląc, że zaczepił za niską gałązkę, odwrócił się i pochylił, aby się od niej uwolnić.

Przed nim w odległości dłoni gorzała para ślepi.

Rozległ się wrzask godny starej baby, ale Blaze wiedział, że to wrzeszczy on sam. Gdyby ktoś kiedyś mu rzekł, że będzie tak przeraźliwie krzyczeć, wyśmiałby go, ale wydzierał się jak opętany.

Zrzucił opończę - wilk nie zamierzał mu jej oddać - i cisnął latarnią, celując w grzbiet wilka. Zwierzę prawie się nie poruszyło, zrobiło tylko unik i płonący pocisk je ominął.

Blaze pognął z szybkością, o jaką się już nie podejrzewał... przebierał nogami jak dwudziestolatek.

Mir czekał na niego przy drzwiach.

Łapiąc z trudem powietrze w obolałe płuca, Blaze obejrzał się na polanę. Obok trzeszczało ognisko, płomienie ogromniały, pnąc się ku niebiosom. Na krawędzi pustej polany widniała opończa, ciemna plama obok migocącej latarni gasnącej pod naporem wilgotnej ściółki.

- Powiedz mi - wyrzęził Blaze. - Powiedz mi, że to nie był sen.

- Tak, to nie sen - rzekł ze znużeniem Mir. - Nie przejmuj się tym zbytnio.

Wejdz. Tutejsi w dowód szacunku przynieśli ci najlepszy miód i jedzenie. Są pieczone mięsa i ryby. Pójdę po latarnię i płaszcz.

- Nie - zachrypiął Blaze, łapiąc Mira za ramię. - On może nadal czaić się w pobliżu.

Starzec spojrzał na niego ze smutkiem.

- Oczywiście. Tylko się z tobą bawił. Gdyby miał na ciebie ochotę, upolowałby cię, zanim dotarłbyś do mojego domu. Od dawna wiem, że mógłby upolować mnie w każdej chwili.

Noc po tym, jak... jak wyzionęła ducha... ocknąłem się. Był pewnie środek nocy, najciemniejsza pora. Las milczał; spały nawet ryby, ci widmowi mieszkańcy głębokich rowów na dnie rzeki. A on siedział na zadzie przy moim palenisku. Owinął się ogonem. Ślepie błyszcząły mu zielonkawo w blasku ognia. Tak na mnie spojrzał, że wiedziałem, iż bez względu na to, co zamierzałem... co ona zamierzała... on nie...

- Starzec umilkł, po czym rzekł: - No cóż, nieważne. Pójdę po płaszcz i latarnię. Wejdz do chaty i posil się.

Blaze wszedł do chaty. Ogień buzował na palenisku. Zgodnie z zapowiedzią stół uginał się odjadła. Unosiły się aromatyczne wonie. Dziewczyna spała na legowisku, ssała kciuk.

Nalał sobie wina. Dzban zagrzechotał o czaszę kielicha. Blaze szybko przełknął ciemny płyn.

Wrócił Mir, niosąc porzucone przedmioty.

- Wiem, że nie uwierzyłeś mi wcześniej. Wiem, co myślałeś. Zdziecinniały staruch. Żyje w szopie na skraju głuszy. Ma za towarzyszy ptaki, jelenie, samotność w borze i tę swoją szaloną żonę. Za długo to trwa, żeby mu się we łbie nie pomieszało. Tak myślałeś, prawda? He?

- Pewnie tak. - Blaze westchnął. - No cóż, nie wiem. Po prostu nie wiem.

Mir skinął głową.

- On jest naszym przekleństwem. Ktoś musi je z nas zdjąć. Na obszarze całej Galii ty jesteś najpotężniejszy w naszym bractwie. Pomóż nam.

Blaze siadł za stołem. Machinalnie dolał sobie wina. Zmrużył oczy. Strach opadał i Blaze zaczął myśleć.

Basior spotkał się ze swoją gromadą pośród drzew, tam gdzie królował drewniany wizerunek bogini. Czasami, podczas pewnych świąt, przychodziły tam kobiety, które dotknęła klątwa bezpłodności, i tańczyły w blasku księżyca. Prosiły Panią - nie miała innego imienia - o dziecko. Mężczyzn, którzy się tam zjawiali, powinna spotkać śmierć, ale wielu ośmiało się złamać zakaz i kryło się pomiędzy drzewami otaczającymi wizerunek. Czynili tak, gdyż kobiety tańczyły nago, doprowadzając się do wrzącego pożądania i zatraciwszy się, często łączyły się w pary z tymi, których głosy wabiły je w mrok i których gorące nasienie mogło ożywić martwe łono. Przecież pszczoły upojone wiosną plądrowały uśpione sady zarówno w blasku słońca, jak i księżyca. To, czego nie dało się zarobić w małżeńskim łóżu, można było ukraść w blasku miesiąca. Lecz wszystkie te wydarzenia następowały wiosną.

Teraz przyszła jesień, a górską zimą deptała jej po piętach. Obecnie jedynie wilki tańczyły i bawiły się w lodowatym świetle księżyca pośród drzew. Turlały się po

krótkiej zrudziałej trawie, tarły łby i pyski o słup z wizerunkiem Pani, a na końcu wyły do księżyca przed polowaniem.

Nie, nie była piękna, ale z drugiej strony wilk nigdy nie pojmował kanonów ludzkiej urody. Ludzie byli nadto skorzy, by zakuć ten kipiący życiem, zmienny element w ciasną formę. Złap wiatr w sieci, zamroź grę promieni słonecznych na płynącej wodzie, a poznasz, czym jest piękno, ale nadal nie uchwycisz pożądania, ognia w lędźwiach wieszczącego triumf, pognębienie lub rozpacz.

Postanowił, że ludzka samica z gaju będzie jego ostatnią. Jej ból przestraszył go. Żadna wilczyca nie zaznała podobnego bólu i być może żadna nie przekonała się, że to brama do nieogarnionej rozkoszy, którą tamta objawiła bez żadnych zahamowań. Tak więc obchodził jeziorko szerokim łukiem i zajmował się obowiązkami - prowadził watahę, znajdował żer, dbał o ochronę słabszych osobników, utrzymywał właściwy porządek. Być może gdyby nie stracił wadery, pierwszej samicy w gromadzie, trzymającej watahę żelazną łapą, uniknęłyby pułapki. Lecz wielka wilczyca zginęła od szponów niedźwiedzicy i przez jeden okres godowy nie miał godnej siebie samicy.

Zima była ostra. Poza nim żaden osobnik nie pamiętał ostrzejszej. Rzymianie polowali w dolinie - tyle że on nie nazywał ich Rzymianami, byli dla niego tylko ciężko uzbrojonymi, dosiadającymi koni ludźmi, noszącymi potężne, podwójnie wygięte łuki, potrzebującymi wilczych skór dla sobie wiadomych celów. Przetrzebili stado zamieszkujące dolinę.

On poprowadził swoje na wyżyny. Ludzie obozujący w dolinie wybijali zwierzynę. A im dłużej trwała zima i wyżej rósł kożuch śniegu, tym trudniej było znaleźć pożywienie. Więc gdy wataha zagoniła łosia na śnieżne urwisko i zmusiła go do samobójczego skoku, nie zamierzała oddać pokarmu szczerzącej kły niedźwiedzicy, która zjawiała się i próbowała go przywłaszczyć.

Basior i wadera byli przywódcami wilczej gromady. Znali swoje zadania. On jako silniejszy poprowadził atak, okrążał niedźwiedzicę, rzucał się ku niej, kłapiąc szczękami, odwracał jej uwagę, podczas gdy wilki karmiły się dymiącym mięsem i krwią łosia. Na nic się zdały ich zabiegi. Wygłodniała niedźwiedzica nie dała się zastraszyć ani odciągnąć. Długa zima i wiecznie nienasycone niedźwiadki

wyczerpały jej zapasy tłuszczu. Skierowała się ku żrącym wilkom, gotowa rozszarpać na strzępy roczniaki. Porzuciły ścierwo, szczerząc kły.

Szary wilk wiedział, że muszą się najeść. Kilka starych osobników już opadło z sił. A nos podpowiadał mu, że zza przełęczy zbliża się zamieć. Jeśli nie nakarmią się teraz, wiatr i mróz przetrzebią stado tej nocy.

Rozdziawił paszczę, zawył z furią i rzucił się na niedźwiedzicę, zmuszając ją do porzucenia pokarmu. Stanęła i zamachnęła się przednią łapą. Nie zdążył odskoczyć i rozorała mu cały bok. Krążył, starając się zająć ją od tyłu, ale się nie dała. Wilczyca rzuciła się do zadu niedźwiedzicy. Ta okręciła się w miejscu, opadła na cztery łapy i zadała cios szybszy niż błyskawica. Wilczyca potoczyła się po śniegu, skomląc i tryskając krwią. Ale matka stada stworzyła basiorowi szansę ataku. Runął do uda przeciwniczki. Potężna kość trzasnęła w jego paszczy. Odskoczył w sam czas, unikając ostatniego strasznego ciosu niedźwiedzich pazurów. Złamana kość wyskoczyła przez skórę jak oszczep. Ranne zwierzę zawył z przeraźliwego bólu. Krążyła w miejscu, ubijając śnieg łapami, podczas gdy kolejne uderzenia serca wypompowywały krew. Czerwona fontanna zmoczyła śnieg. Niedźwiedzica kręciła się jak oszalała, liżąc rozpaczliwie śmiertelną ranę, aż w końcu poddała się, opadła w szkarłatną kałużę i zdechła.

Ignorując sztywniejące ścierwo niedźwiedzicy, wilki powróciły do upolowanej zwierzyny. Wilczyca dźwignęła się, otrząsnęła śnieg z grzbietu, kulejąc, podeszła do padłego łosia i zjadła swoją część. Nadciągnęły pierwsze chmury kurzawy. Zanim z łosia został szkielet, śnieżne płatki pobielily futra zwierząt. Gdy skończyły, śnieżny kopczyk okrywał już niedźwiedzicę. Wilczyca, kulejąc, odłączyła się od stada.

Wiedział, dokąd zmierza - do gniazda, w którym przez wiele lat rodziła szczenięta. Zwiesiła łeb, położyła po sobie uszy. Kulą coraz bardziej, cierpiąc wielki ból. Reszta dysponowała innym schronieniem i miała się tam udać.

Wilk poszedł za samicą.

Gniazdo mieściło się za skrajem lasu. Wadera kontynuowała wspinaczkę. Śnieżne płatki były z każdą chwilą coraz większe, grubsze i gęstsze. Głęboka szarość zasnęła całe niebo, ciemniejąc niepostrzeżenie; świat oddawał jej swoje barwy, kiedy bez pośpiechu dusiła światło. Basior podążał za wilczycą po smaganim wiatrem pustkowiu.

Kiedy dotarli do gniazda, światło było sine. Wejście zasypał śnieg. Wijąc się, przebiła zmarzniętą warstwę i znalazła kąć zasłany suchym mchem. Tam spoczęła.

Wilk udzielił jej jedyne go wsparcia, na jakie było go stać. Wyciągnął obok niej swoje wielkie gorące cielsko. Westchnęła. Tak samo wzdychała po kopulacji. Zbliżenie ostatniej wiosny nie przyniosło owocu. Miała bezpłodny rok.

Zamknęła oczy i złożyła pysk na jego grzbiecie, tuż za karkiem. Owinął się wokół niej, jak mógł najlepiej. Sina barwa dnia przeszła w czerń. Wiatr wył coraz głośniejszy, gdy śnieżna zawieja wrzynała się w góry, darła mroźnymi palcami nagie wierchy i okryte lodem granie. Owijała kokonem lodowatej śmierci każde żywe stworzenie, które nie znalazło schronienia. Wyła, łkała, jęczała i w końcu obwieściła krzykiem triumf zimna i mroku nad światłem i ciepłem, wiecznej lodowej śmierci nad krótkotrwałymi miłośkami ulotnej wiosny.

Nie miał pojęcia, kiedy zdechła. Wiedział tyle, że obudził się w najczarniejszej, najdzikszej, najokrutniejszej porze przedświt i przekonał się, że nie czuje już bicia jej serca i że mimo jego gorąca jej ciało stygnie. Gdy się poruszył, łeb wadery zsunął się z jego grzbietu i opadł na mech z głuchym stuknięciem. Leżała na boku z lekko rozchylonym pyskiem i jęzorem wysuniętym nieco między zębami, wpatrzona niewidzącymi ślepiami w jądro ciemności. Złożył łeb na łapach i oczekiwał świtu.

Kiedy przyszedł dzień, wysliznął się z legowiska. Śnieżna burza minęła. Słońce świeciło na śniegu. Niebo było niebieskie.

Wrócił do gniazda. Wilczyca leżała tam, gdzie poprzednio. Trącił ją nosem i przekonał się, że już sztywnieje.

Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Stał się człowiekiem. Bogowie, było strasznie zimno, ale nie potrzebował wiele czasu. Śniegiem zasypał wejście do gniazda. Poszła mini lawina, pieczętując dodatkowo gardziel dużymi i małymi kamieniami, które zebrały się na skalnej płycie tworzącej dach wilczego schronienia.

Skończył, znów stał się wilkiem i zaznaczył gniazdo. Zaznaczył je w sposób nieuchwytny dla ludzi, tak jak wilki zaznaczają paści.

„To jest miejsce śmierci. Nie wchodzić!”.

Wilki nie oplakują zmarłych. Jego czyn był wyrazem szacunku dla tego, co uczyniła i co osiągnęła. Niczym więcej.

Następnie się oddalił. Szedł do reszty, pod skalny nawis, gdzie znalazła schronienie przed śnieżną burzą.

Jest młoda - pomyślał z dezaprobatą Blaze, kiedy podjechała na koniu do chatki Mira. - Za młoda, żeby dokonać tego, co powinna.

- Jesteś...? - spytał.

- Dryas - odparła. Dosiadała przepysznej gniadej klaczy czystej krwi. Nosila skórzany kaftan i ciemną rozcinaną spódnicę, sięgającą niemal do kostek, której rąbek był gęsto wyszywany złotem. Długi brązowy płaszcz spinała na piersiach brosza ze złotych łączyzek i kwiatów maku.

- Przejechałaś linie Rzymian? - spytał Blaze. - Patrolują całą Galię.

- Nie byłam daleko - rzekła. - Wygląda na to, że większość rządzących mężów padła, ale kilka ich kobiet przeżyło. Niektóre zachowały władzę. Chciały mojej rady, jak możemy przetrwać teraz, kiedy Rzymianie dokończyli podboju. - Zeskoczyła z siodła, trzymając wodze w rękach.

- Odpowiedź brzmi: nie możemy - warknął Blaze. - Naszą jedyną nadzieją jest dalsza...

- O, pewnie, tak - rzekła z irytacją - i dalsze kuszenie tych demonów do mordowania i okaleczania garstki mężczyzn, którzy przeżyli, i sprzedawania następnych kobiet w niewolę będącą tylko powolną odmianą śmierci. Nie bądźcie głupie, powiedziałam im. Magazynujcie każdy okruch żywności, idźcie na wszelkie ustępstwa, na jakie musicie, ale nie dajcie się wybić. Przekazujcie naszą tradycję waszym synom i córkom. Stary świat przestał istnieć. Zaczął się nowy świat i kto wie, co przyniesie jutro.

Blaze zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

- Takiej rady spodziewałem się po kobiecie. Niczego więcej. Niczego mniej. Ale nie zapraszałem cię tutaj, żeby słuchać wykładu z polityki.

Zerwała z głowy skórzaną czapkę. Wypadły zwinięte czarne włosy i z lekkim trzaskiem rozłożyły się wachlarzem na plecach.

- Nie spodziewałam się po tobie, że będziesz pytał. Wy, mężczyźni, spisaliście się na medal. Lepiej nie można było. Połowa ludności tego przeklętego królestwa nie żyje albo została uprowadzona w niewolę. Życie reszty legło w gruzach i pełzają między szczątkami tego, co niegdyś było dla nich drogim. A ty, arcykapłanie

druidów, ślesz do mnie listy, każąc wyznaczyć jedną z moich kobiet - i śmiesz jeszcze zaznaczyć, że ma być pociągającą - żeby była kurwą dla uciechy... wilka. Cóż za bzdury planujesz?

Furia zabarwiła szkarłatem twarz Blaze'a. Ruszył ku rozmówczyni. Był gotów uczynić coś niesłychanego; nigdy w życiu nie uderzył kobiety. Lecz jej słowa dotknęły najgłębszej części jego „ja”, zakątka duszy trawionego tą samą męką, jaką cierpiało całe jego plemię.

Cisnęła w bok czapkę, rzuciła wodze, jednym ruchem ramion strząsnęła płaszcz. U boku miała miecz. Ostrze w mgnieniu oka odbiło promienie słońca.

- Cofnij się - syknęła przez zęby. - Następny krok będzie cię kosztował rękę, a jeszcze następny - głowę.

Stojący obok bez słowa Mir wsunął się między nich.

- Hańba. Hańba - powtórzył, spoglądając na Dryas. - On nie ma broni, a jam jest tak stary, że dziecko by mnie pokonało. To okrutne, łajać odważnego męża za rzeczy, wobec których wszyscy jesteśmy bezsilni. Moja droga, być może jesteś niezwykłą osobą w swoim zakonie, ale są prawdy, których uczy się tylko z wiekiem. Wszyscy robimy, co możemy, ale czasem los łapie nas za gardło i jesteśmy bezradni.

Dryas cofnęła się i wsunęła miecz do pochwy.

- Wybacz mi, ojciec - powiedziała z szacunkiem. - Przebyłam długą drogę. To, czego się tu natrzyłam, zatręło mi serce żółcią.

W tym momencie dziewczyna, którą Mir nazywał swoją żoną, wyszła na próg i spojrzała na Dryas.

- Och - szepnęła Dryas na widok pustego spojrzenia i koszmarnie pobliźnionej twarzy. - W imię wszystkich dobrych duchów, nie powiedziałaś mi, że masz takie nieszczęście.

Mir usunął się w bok.

- Rób, co możesz - powiedział. - Wiem, że członkinie twojego zakonu często potrafią ulżyć rozpaczycy tych, których troski pozbawiły rozumu, że czasem nawet potraficie odzyskać tych, którzy wydają się straceni dla świata. Pomóż jej, jeśli potrafisz.

Dziewczyna podeszła bezwolnie ku Dryas. Ta wzięła ją za rękę i poprowadziła w las.

Blaze siedział przy stole i pił wino, kiedy wszedł Mir.

- Jak znajdujesz Dryas? - zapytał starca.
- Bardzo podobnie jak mężczyzn - odparł tamten, siadając naprzeciwko. -

Czuję zawód. Nie wiedzieć czemu od kobiet oczekuje się więcej. Ale zwracamy się do nich, kiedy wyczerpaliśmy nasze siły i pomysłowość, jakby nie miały tych samych wad i słabości co my. I jakby mogły spojrzeć świeżym okiem i wreszcie rozwiązać nasz węzeł gordyjski, nie dobywając miecza. Ale wierzę głęboko, że pomoże mojej żonie. Po raz pierwszy widzę, że to dziecko okazuje komuś zaufanie.

W tej chwili weszła Dryas. Niosła swój płaszcz i była świeżo po kąpieli. Zajęła miejsce za stołem.

- Zapewne winnam czuć się pochlebiona porównaniem z mężczyznami, ale jakoś nie robi to na mnie wrażenia i nie widzę rozwiązania waszych kłopotów. A co do twojej żony, Mirze, to mogę uczynić dla niej bardzo niewiele, bez względu na to, czy mi ufa, czy nie. Krzywdy, które jej wyrządzono, są nieodwracalne. Zostawiłam jej kilka leków, które złagodzą ból. Jeden z nich może nawet skończyć jej męki, jeśli się zdecyduje. Wysłuchałam również jej historii.

Zaskoczony Mir poderwał głowę.

- Ona mówi...?!
- Tak, odezwała się do mnie. Okazało się, że znamy się ze słyszenia.

Kiedyś poznałam jej rodzinę; to szlachetny ród. Być może ona jest jego ostatnią żyjącą przedstawicielką. Rzymianie zabili lub sprzedali w niewolę resztę.

- Więc nie jest szalona? - spytał Mir.

- Ależ tak, jest - odparła Dryas. - Lecz czasem ma świadomość pewnych spraw. Może hodować większość ziół, które zasadziłam w jej ogródku. Pracuje w nim, prawda?

- Tak.
- Przy okazji, jak się nazywa? - spytała Dryas.
- Nie pamiętam. - Mir uciekł wzrokiem.

- Dobrze. Dalej nie pamiętaj. Niech tak zostanie. Teraz bądźcie łaskawimi i naleć mi trochę wina i opowiedzcie mi o wilku. W tej kolejności.

Mir i Blaze spojrzeli po sobie. Obaj czuli się niezręcznie. Dryas westchnęła. Sama sięgnęła po dzban i kielich.

- Mniemam, iż jesteś wyższy stopniem - rzekł niewinnie Mir

pod adresem Blaze'a.

- A ja mniemam, iż nikt nie jest tak świetnie obeznany z tym problemem jak ty - gładko odparował Blaze.

Dryas naląła sobie wina.

- Ustalcie między sobą hierarchię, ja się tymczasem napiję.

Po śmierci wadery zima ułożyła się źle. Najstarsza samica, która zawsze wiedziała, gdzie znaleźć zwierzynę, zdechła. Stało się to w porze szarości, kiedy środek zimy kładł się na barkach wszystkich stworzeń ciężarem głazu. Ułożyła się do snu w śniegu razem ze wszystkimi i rano się nie ocknęła. Tak basior stracił kolejne wsparcie.

Suki, które nie znały jeszcze samców, walczyły z coraz większą zaciętością o pozycję matki stada. Dwie najbardziej obiecujące zadały sobie tak ciężkie rany, że zdechły, i trzecia została zwyciężczynią bez walki. Kolejna strata wielce podważyła siłę bojową stada, ponieważ padłe sztuki były najszybszymi i najsrońszymi zabójczyniami. Bez nich spryt i umiejętności szarego wilka były niewiele warte.

Na wiosnę oczywiście był do dyspozycji zwycięskiej suki: wychudłej, nerwowej osobniczki, niezwykle zazdrosnej o przywileje wadery. Nieustannie nękała inne samice. To prowadziło do nie kończących się awantur i wybuchów wściekłości młodszych członków stada.

Mimo chłodu, jaki czuł wobec niej, zaspokoiłby jej żądze. Bądź co bądź zdobyła przywileje matki. Tego wymagało od niego prawo stada - żeby łaskawie uznał ją za swoją samicę i uczestniczył w wychowywaniu potomstwa.

Ale ku jego miłemu zaskoczeniu wcale nie okazała nim zainteresowania i oddaliła się z dwoma samcami, ostatnimi ze stada przetrzebionego przez Rzymian. Takie było jej kolejne prawo, wybierała partnerów wedle swojej woli. Mógł silniej potwierdzić swoją pozycję. Inni przywódcy by tak postąpili, ale on przede wszystkim poczuł ulgę i o nic się nie dopominał.

Wróciła z godów wreszcie usatysfakcjonowana, brzemienna i o wiele spokojniejsza niż przedtem. To, że nie musiał zaspokajać jej potrzeb, sprawiło mu zadowolenie. A poza tym napotkał już nad górskim jeziorkiem jasnowłosą kobietę o truskawkowej cerze.

Przychodziła z boczem z wioski pasterzy i wieśniaków, odświeżała się w chłodnej wodzie, kąpała i czesała gęste blond włosy o rudawym odcieniu. Zauważył jej szerokie biodra i wydatne piersi, które opadały tylko nieznacznie. Sterczące stuki zapraszały. Miała niezwykle jasną cerę i zauważył, że trzyma się cienia. Ta skóra nie była opalona; pewnie łatwo ulegała poparzeniu. Kobietę pokrywały piegi, od stóp do głów.

Przyzwyczał się widywać ją każdego dnia, kiedy drzemał na płaskiej skale nad wodospadem. Była pociągająca, ale inaczej niż pokarm. Zwykle odchodziła, kiedy słońce stało wysoko na niebie. Jezioro popołudniem oziębiało się, nawet w środku lata, kiedy cienie lasu wypierały promienie słońca.

Okazało się, że za dnia przemiana bywa trudna, a czasem wręcz niemożliwa. Zanim długie wieczorne cienie oplotły jego ciało i poczuł most między światem wilczym a ludzkim, kobiety już nie było.

Trudno - westchnął. Kilkakrotnie kusiło go, by pobiec chyłkiem za nią do chaty. Raz czy nawet dwa bawił się myślą, że wchodzi nocą do okrągłego, krytego strzechą domostwa. Widział nawet w najgłębszej ciemności. Znał aromaty tej kobiety. Były dla niego bardziej namacalne niż jej obraz.

Często po kąpieli odpoczywała w jednym z niewielu słonecznych miejsc, wolnych od zarośli lub cieni wiekowych drzew. Wielka granitowa skała kryła się w ziemi, ale wrzynała się też częściowo w jezioro, tworząc wygodną platformę - co prawda pokrytą zbyt płytką warstwą gleby, żeby mogły zakorzenić się w niej większe rośliny, ale pokrytą kobiercem igieł sosen i jodeł. Słońce gościło nad stawem przez część dnia. Migotliwe światło zaglądało głęboko w czyste wody, odbijając się od łuski szczupaka, pstrąga, czasem małego jesiotra. Ryby pojawiały się i znikwały w mroku niczym widma.

Przez cały rok, z wyjątkiem najbardziej mrocznych miesięcy, dzikie kwiaty otaczały iglasty kobierzec. Spod śniegu wyglądał tymianek i oplatał niebieskie kwiatuszki mięty. Z wiosną przybywały fiołki: białe, żółte, ciemnopurpurowe; latem dzikie marchewki, żółte stokrotki, słoneczniki i mlecze rozjaśniały gęstą trawę. Dzwonki zerkały zza wysokich sosen, kryjąc pochylone urodziwe kielichy w cieni łuskowatej kory i grubych, zbitych igieł.

Zupełnie nieświadomie kobieta zostawiła swój znak na zbrązowiałych igłach. On natychmiast wiedział, kiedy rośnie w niej pożądanie, odpowiadające na

magnetyzm księżycowej królowej co najmniej trzy razy w tygodniu. Nie wiedział, gdzie kobieta daje mu upust, gdyż zjawiała się nad jeziorkiem sama. Jej skóra miała kwietny aromat. Dopiero po jakimś czasie pojął, że to nie woń jej atłasowej powłoki, ale olejków różanych, którymi nacierała się po kąpieli. Podczas upałów jej pachy wydawały cebulową woń - słodkich, dzikich cebulek obtaczanych w glinie i opalonych w ognisku. Kiedy się oddalała, schodził powoli na dół i spijał jej bogatą perfumę, a czasem tarzał się w iglastym kobiercu nieopodał drzew.

Oczywiście pewnego dnia, może przypadkowo, może nieuchronnie, zatrzymała się zbyt długo. Zjawiała się późno, popołudniem. Woda była zacieniona, ale złoty blask przesączał się przez drzewa na stoku na małą polankę. Popływała chwilkę. Woda była lodowata, toteż szybko powróciła na brzeg, aby położyć się w swoim zwykłym miejscu i wygrzać w słońcu schłodzone ciało.

Wyciągnęła się na skalnej półce. Wilk czuł jej ukojenie, rozkoszne odprężenie, kiedy żar lata przenikał ją głęboko i ostre światło kładło oranżowy blask na jej powiekach. Był wielce zaskoczony, kiedy palcami prawej dłoni odszukała krocze. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co robi, a wtedy zaczął przyglądać się jej z całym skupieniem.

Wzgórek łonowy kobiety nabrzmiał i rudozłote owłosienie załśniło w słońcu wilgocią. Rozchyliła usta. Wysunęła koniuszek języka spomiędzy zębów. Wreszcie wygięła się w łuk. Wyraz głębokiego skupienia na jej twarzy ustąpił spokojnemu uśmiechowi. Odetchnęła głęboko, kiedy zalała ją pierwsza fala, potem zatkała ją i wydała ciche westchnienie, kiedy przetoczyła się następna, daleko mocniejsza. Zaczęła uderzać biodrami o podłoże, jakby połączyła się z niewidzialnym kochankiem. Mięśnie brzucha przeszedł skurcz, kiedy zacisnęła uda wokół wyobrażanego członka. Potem westchnęła głęboko, co dziwnie przypomniało mu waderę. Rozluźniła się całkowicie, powtórnie westchnęła z rozkoszy i zasnęła zaspokojona.

Wilk podniósł się. Powziął decyzję. Był przeklęty, ale mimo to czuł w żyłach płynny ogień rozkoszy. Przypomniał sobie polankę. Pani, która ją zamieszkiwała, była lepiej znana jemu i innym wilkom niż ludziom, ponieważ zwierzęta czasem widziały cień, jaki rzucała podczas przechadzek. Ujrzeć jej twarz znaczyło umrzeć. Kilku dostrzegło ją w jeziorze, kiedy przystawali, aby się napić. Żaden zwierz ani człowiek się nie odwrócił i nie popatrzył wprost na istotę, która pochyliła się nad ich

ramieniem. Ale on zdawał sobie sprawę, że przed chwilą spod maski ludzkiego oblicza wyrzął jeden z jej wizerunków.

Kobieta ocknęła się i nieco spłoszona późną porą, słońce bowiem dawno oddaliło się za góry i oświetlało jedynie skalne urwiska nad lasem, zerwała się i owinęła płaszczem, gotowa pośpieszyć dobrze znaną udeptaną ścieżką między drzewami. Kiedy uniosła głowę, oddech zamarł jej w piersiach.

Stał ledwo dwa kroki dalej. Nagi, ale piękny taką urodą, że wystarczała mu za przyodziewek. Kobieta miała męża, kochanków i nie każdy mógł liczyć na jej przychylność, lecz dotąd nie spotkała osobnika tak potężnych kształtów. Szczere, otwarte pożądanie płonęło w jego oczach; zawierało pytanie, prośbę, obietnicę, naleganie i w końcu, chociaż nie w najmniejszym stopniu - rozkaz.

- Proszę, proszę, - Dryas zachichotała. - Z pewnością nie marnował czasu. Utał ci nosa raz-dwa.

- Dzięki, że mi o tym przypomniłaś - rzekł kwaśno Blaze.

- Czego się po mnie spodziewacie?

- Że go zabijesz - rzekł Mir.

Dryas wybuchła śmiechem. Zerwała się na równe nogi i kopnęła krzesło, tak przeleciało przez nędzną chatę i uderzyło z łoskotem o ścianę.

- Dobraliście się w korcu maku. - Osuszyła kielich do dna i podeszła do leżącego krzesła. Cisnęła je z powrotem. Wylądowało dokładnie na poprzednim miejscu. Kopnęła piętą w ścianę. Wyschnięty muł opadł z łozinowej plecionki. - Nic niewarta - powiedziała.

Podeszła do paleniska, sięgnęła po rondel i rożen. Obeszła izbę, czyniąc straszliwy hałas. Wyszła z chaty i teraz ją okrążyła, nadal hałasując, po czym wróciła i zamknęła za sobą drzwi.

Mężczyźni przypatrywali się jej osłupiali.

- Słuchajcie! - rzekła władczo. - Powiadacie mi, że to stworzenie umie chodzić na dwóch nogach niczym człowiek. I całkiem możliwe, że rozumie, co mówimy. A wy siedzicie sobie w tej szopie i macie ozorami, aż uszy puchną. A może ono zaległo akurat w chaszczach na skraju polany? I słyszy wasze każde... kaździutkie... słóweczko.

Była zmęczona. Przebyła długą drogę i wszędzie widziała tylko śmierć, ruiny i ból. Ludzie utracili wszelką chęć do stawiania oporu, zmiażdżeni przez Rzymian, a co gorsza, wodzowie, którzy powinni rozesłać wici informujące o kolejnym starciu, przeważnie poszli pod miecz, w niewolę lub na służbę najeźdźców, nie wierząc, że zmienią los swych poddanych.

Po niegdyś dumnym i błyskotliwym plemieniu pozostały tylko enklawy takie jak ta. Pokryta bliznami, załamana, zrozpaczona dziewczyna wiodła nędzny żywot tam, gdzie niegdyś rządziła rodzina - inteligenta, bitna, urodziwa. Nie, nie rządziła, wskazywała drogę społeczności żyjącej pospołu wedle praw ludzkich i boskich.

Podczas podróży przez Galię Dryas widziała, jak umiera coś, coś... z czego istnienia nie zdawała sobie nawet sprawy. Przenikał ją smutek tak ogromny, że wydawał się zasłaniać słońce, nawet w jasny dzień. Coś ginęło na jej oczach. Coś ważniejszego niż poszczególni ludzie, którzy to tworzyli. Coś przerastającego sumę ludzkich części.

Była przerażona nie tylko rozpadem plemiennej społeczności, ale tym, że nie potrafiła zrozumieć tego, co instynktownie wyczuwała. Nie była człowiekiem myśli, ale czynu, wojownikiem. Ogarnięta smutkiem i przygniatającą falą bólu dała się ponieść wściekłości na tych dwóch głupców - niedobitków warstwy myślicieli i nauczycieli, która ukształtowała świat, jaki znała od zawsze.

Wciągnęła głęboki urywany oddech i zakryła oczy. Po chwili poczuła na dłoni suche palce Mira. Poklepał ją delikatnie, jakby pocieszał dziecko.

Rozpląkała się, a kiedy uniosła powieki, zobaczyła na jego twarzy o wiele głębsze zrozumienie, niż się spodziewała.

Furia i smutek rozplynęły się, czuła wewnętrzną pustkę i było jej trochę głupio, bo zdała sobie sprawę, że wypita za dużo wina na pusty żołądek.

- W takim razie odmawiasz nam pomocy? - Blaze był ciężko urażony. Widocznie uznał, że zlekceważono jego autorytet.

Dryas odwróciła się do niego, rumieniec gniewu znów zabarwił jej policzki.

Mir klasnął w dłonie.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie! Błagam was. Zastanów się, Blaze, dysponujesz częścią dawnej władzy. Teraz tym bardziej powinniśmy działać ręką w rękę. A ty, dziewczyno, pomyśl. Kiedy większość najpotężniejszych wojowników

zginęła, muszę jako pasterz niemal bezbronnego stada uchronić je od plagi, grożącej zniszczeniem równie bezwzględny jak rzymska niewola.

To trafiło Dryas do przekonania. Porwała kielich i pociągnęła następny łyk.

- Niech będzie - warknął Blaze. - Udowodniłeś, że masz rację. Powinienem rzec, że oboje udowodniliście swoje racje.

Dryas pochyliła się nad stołem i przemówiła bardzo cicho w języku swego ludu:

- Tak, pomogę ci. - Omiotła wzrokiem drzwi i ściany. - Tylko on nie musi o tym wiedzieć. Rozumiesz?

Mir skinął głową, ale Blaze odparł w tym samym języku:

- Bogowie! Ile lat minęło. Moja umiejętność posługiwania się twoją mową jest... marna i skażona powolnością, ale rozumiem proste zdania.

Skinęła głową.

- Jutro. W słońcu... na otwartej przestrzeni.

Mężczyźni skinęli głowami, a ona osuszyła kielich do dna jednym haustem. Odsunęła gwałtownie krzesło, podeszła do kąta, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj! - krzyknął Blaze. - On...

Dryas odwróciła się do niego i znów odezwała się po kaledońsku:

- Nie pomagaj mi. Bądź cicho! Wiem, co robię.

Odwróciła się i znikła w nocy.

Ta dojrzała kobieta, rozsyłająca kadzidlane wonie, była soczystym zakazany owocem. Otwory jej ciała były gładkie, niemniej jednak szczelne, i miały jedwabiste powierzchnie.

Kiedy ją brał, kiedy się w nią wdierał, doznał niesłychanych i nieznanych wrażeń, a że zanim pchnął ją na iglaste postanie, najpierw padła przed nim na kolana, wiedział, iż jednocześnie przenika ją głęboki lęk i niesłychane pożądanie.

- Nie spraw mi bólu - błagała.

Spełnił tę prośbę.

Zapadł mrok, kiedy ją uwolnił, pozwalając jej przebiec chyłkiem po przyodziewek. Wśliznął się w cienie i zdał sobie sprawę, że kobieta drży, wkładając kilka sztuk prostej odzieży i biegnąc do wioski.

Wilcza strona jego natury była zaskoczona jej reakcjami. Wiedział, że dał jej rozkosz, ekstatyczną rozkosz. I to nie raz. Rozumiał, że strach dziewczyny zaostrzył pożądanie ich obojga. Ale nie pojmował jego przyczyny. Czy myślała, że zaatakuje ją podczas tego radosnego aktu, który przynosił im tak wielką przyjemność?

Gdy miał pewność, że już go nie widzi, przemienił się w wilka i pobiegł za nią między sosnami do prostackich celtyckich zabudowań, w których mieszkała.

Stał na skraju lasu, podczas gdy ona odsunęła skórzaną zasłonę broniącą wejścia do chaty.

- Imona! - krzyknął ktoś. - Już mieliśmy zejść nad jezioro. Patrz, zapaliliśmy pochodnie. Co się stało? Gdzie byłaś?

- Przepraszam. - Mówiła cicho, niemal się jękała. - Po kąpieli zasnęłam. Nie miałam pojęcia, że śpię tak długo. Kiedy się obudziłam, słońce było już za górami... wróciłam tak szybko...

Przerwała jej inna ludzka samica.

- Powinnaś bardziej uważać. Mogłabym przysiąc, że zachowujesz się tak, żeby sprowadzić nieszczęście na twoją nieszczęsną rodzinę.

- Kat, strasznie przepraszam. Nie chciałam cię martwić.

Kat i... Imona - pomyślał wilk. Głos Imony był cichy i cudowny. Kat robiła wrażenie sekutnicy.

Góry zaczęły oddawać swój żar i zerwał się nocny wiatr. Poszum lasu wchłonął dalszą rozmowę za palisadą.

Imona. Mają nazwania. Ona ma nazwanie. Wilki ich nie mają. Tylko ja mam... imię, które dała mi Ona, kiedy uczyniła mnie więcej, a może mniej niż wilkiem. Maeniel.

Wysokie chmurki zasłoniły na chwilę księżyc w pierwszej kwadrze.

Szare wilki są jak te chmury. Każdy jest inny, ale zarazem taki sam. Pojawiamy się, osiągamy szczyt naszej żywotności, przemierzamy góry, jak te chmury przemierzają niebo, potem schodzimy w mrok i zapomnienie. Oni nadają sobie imiona, które mogą pamiętać. Pamiętać przynajmniej na czas miłości. Czy próbują sięgnąć poza śmierć?

Wilk nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Pomyślał o waderze, która teraz była z pewnością jedynie kupką kości w wilgotnej jamie zasłoniętej skalnym nawisem.

I nagle pojął, co różni go od gromady. Dla tamtych, jeśli w ogóle myśleli, była tylko niewyraźnym wspomnieniem. Zaskowyczał cicho i otrząsnął się.

W oddali zawył wilk. Potem, tak gładko i szybko jak fala strumienia podczas ulewy, nadleciały inne wilcze głosy. Nowa matka stada zawyła pierwsza, następnie młode samce, a w końcu cała grupa samic, które jeszcze nie były matkami. Znał każdy głos, każdy łączył się w jego myślach z jakimś wizerunkiem i budził inne emocje. Uniósł łeb, lecz w odruchu daleko przekraczającym wilczą zdolność refleksji zdał sobie sprawę, że znajduje się za blisko chat. Nierozsądnie było prowokować ludzi lub stróżujące potężne mastyfy.

Wiedział, że przed polowaniem wataha zbierze się koło jeziora, więc odwrócił się i pobiegł w las.

2

Dryas wyszła przed chatę Mira i otuliła się szczelnie wełnianym płaszczem. Pierwsze zimowe chłody ścięły łąkę. Dryas zamarła, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności. Kiedy byłam młodsza, nie musiałam czekać - pomyślała ponuro. Wtedy oko reagowało bezzwłocznie. Dryas daleko było do starości, jednakże czas kontynuował swoją powolną pracę, stępując bojowe umiejętności opanowane za młodu.

Jeśli można było wierzyć Mirowi, to wilk inaczej postępował z kobietami niż z mężczyznami. A jeśli miał w sobie chociaż kilka kropli psiej krwi, to mógł okazać się zupełnie nieszkodliwy. Nie zawsze warto było zawierzyć sile oddziaływania kobiecych aromatów, ale widziała, jak ostre mastyfy łąsiły się pokornie, muśnięte rąbkiem spódnicy.

Stopniowo rozróżniała wzrokiem pnie drzew i inne otaczające ją kształty. Powoli wsunęła się w cienie.

Żona Mira opisała wydeptaną ścieżkę prowadzącą do polany i sterczącej skały, z której rozciągał się widok na całą dolinę. Tak więc Dryas szła powoli po zdradzieckim skalnym podłożu, aż odnalazła ścieżkę. Wrzynała się głęboko w ziemię. Jest stara, wiekowa i święta - pomyślała Dryas. Gigantyczne jodły i sosny zasłaniały nawet gwiazdy. Nie było księżyca.

Jednak ścieżkę wydeptano tak głęboko, że brak widoczności nie miał znaczenia.

Początkowo zbocze było łagodne, lecz stromizna rosła, ścieżka pięła się minimalnymi zakosami w kierunku otwartej przestrzeni. Nie wiedziała na pewno, czy las rzednie, lecz gdy szła coraz wyżej, stopniowo utraciła wrażenie, iż otaczają ją ściany jaskini, gdyż powiększały się odległości między pniami, a same drzewa karłały, ustępując wysokim krzewom, a następnie rozrzuconym, wykręconym przez wichry kępom kosówki. Znalazła się blisko skraju lasu i wiatr zaczął niepokojąco kęsać.

Przed świtem trawa pokryje się szronem - pomyślała. Nagle zdała sobie sprawę, że idzie po płaskim. Znalazła się na hali nad głęboką kotliną, w której płynęła rzeka. Trawa była długa, jedwabista, lśniła w blasku gwiazd jak surowy wosk.

Dryas przypomniła sobie słowa dziewczyny. Na tę górską łąkę nie wyganiano bydła i kóz, tu żerowały jedynie jelenie i kozice. Nikt nie pamiętał

dlaczego. Tłumaczono jedynie, że wypas na hali przynosi nieszczęście, że szkoda zachodu, wspinania się po stromej ścieżce dla tej odrobiny trawy. Krowa albo koza mogłaby złamać nogę.

W głębi sterczał z ziemi ciemny granitowy głaz, jak gigantyczna pięść. Woda, bełkocząc, toczyła się z okrytego krzewami rozwarcia pod szczytem, spadała po kamiennym stopniach do naturalnego zbiornika, a potem wąską strugą biegła w dół, mijając drzwi Mira.

Dryas przystanęła, ustalając pozycję i ostrożnie stawiając kroki, poszła wprost przed siebie. Hala kończyła się po jej prawej ręce ostrym stokiem, wpierw skalistym, niżej gęsto zarosłym świerkami i jodłami, a wreszcie dziewiczym lasem sosnowym w pobliżu rzeki przebiegającej kotlinę. Po lewej stronie rozciągało się nagie urwisko. Szło stromo w górę, tak że wspinaczka po nim była niemożliwa, i przechodziło w kamienne półki zwieńczone śnieżnym wierzchołkiem.

„Idź do źródła - poradziła dziewczyna. - Obok źródła znajdziesz schody”.

Zbliżywszy się do granitowej pięści, zobaczyła żłobienia dla rąk i nóg wyrąbane w skale. Gdyby dziewczyna nie nazwała ich schodami, Dryas byłaby gotowa pomyśleć, że małe wgłębienia są owocem pracy wiatru i deszczu, cierpliwych odwiecznych kamieniarzy. Rzuciła torbę na ziemię. Kiedy wsunęła rękę w pierwsze zagłębienie, okazało się dużo wygodniejsze, niż się wydawało. Rozpoczęła wspinaczkę i ze smutkiem zdała sobie sprawę, że dziewczyna nie powiedziała jej jednego. Wyrąbane oparcia biegły na skos zbocza, okrążając gigantyczny głaz i wychodząc nad urwisko.

Kiedy wspięła się nieco wyżej, zawisła nad rzeką. Przycisnęła się do pomarszczonej skały. Mięśnie podbrzusza zadygotały.

Obudziła się w niej duma. Była Dryas z linii monarszej. Strażniczka królowych i sama królowa. To wszystko prawda, Dryas, ale dziewczyna jest szalona i te dziury mogą prowadzić donikąd - powiedział jej zdrowy rozsądek. Lecz kiedy wsunęła stopę tam, gdzie zaledwie moment temu miała rękę, poczuła, że lewa dłoń znalazła krawędź, za którą była pustka. W chwilę później pokonała krawędź i legła na kamiennej platformie otwartej ku wschodowi.

Platforma miała zaledwie dziesięć kroków głębokości i była w zasadzie szeroką półką, ale rosła na niej taka sama gęsta trawa jak na łące poniżej. Na tej wysokości wiatr dął bez wytchnienia. Czasem ryczał z furii, niekiedy szeptał

łagodnie, lecz nie ustawał ani na chwilę i niebawem Dryas poczuła, że drętwieją jej palce i policzki. Ciepło spowodowane wysiłkiem uciekło i zastąpił je chłód. Cóż, dziewczyna powiedziała, że one powinny tu być. Więc gdzie są?

Księżyc wychynał nad odległym szczytem. Wtedy, tak jak tego chcieli dawni budowniczowie, ujrzała na trawie elipsę z białych kamieni, a na środku gładką płytę odbijającą lodowate białe światło.

Skinęła głową. Potrafiła nawet odczytać układ kamieni. To należało do jej nauki. Przemawiał do niej równie wyraziście jak gnomon zegara słonecznego. Teraz są o wiele łatwiejsze sposoby, ale ten pewnie wymyśliły istoty, które posługiwały się księżycowym kalendarzem - pomyślała. - Dobrze, że się o tym dowiedzieliśmy.

W centrum koła nagle wyrósł cień. Pochłaniał księżycową poświatę i zamglone światło padające z gwiazdnych dali. Jeszcze przed chwilą była tam pustka, obecnie coś ją wypełniało.

Dryas zadygotała. Tak, dziewczyna miała rację. Wstała, wycofała się na skraj urwiska i rozpoczęła drogę w dół, tym samym szlakiem, którym się wspinała. Tyle że teraz skupiła się bez reszty na żłobieniach służących za oparcia dla nóg i rąk. Nie patrzyła w górę. Chciała to zrobić, ale nie mogła. Spotkała się ze zjawiskiem, które przeraziło ją bardziej niż pokonywanie pionowej ściany. Bała się, że jeśli spojrzy w górę, zobaczy nie wiadomo co... spoglądające na nią znad krawędzi.

Kwiaty, wszystkie kwiaty, przypominały mu ją. Kiedy się z nią kochał, świat kapał się w letnim upale i wysokie alpejskie doliny oraz łąki pogórza płonęły ogniem płatków.

Poniżej gór płonęły inne ognie. Nie były tak piękne, zostawiały po sobie tylko popioły i czarne smugi na błękitnym niebie. Cezar parł niepowstrzymanie naprzód. Sądzone mu było wspiąć się na kopiec trupów i zawładnąć światem.

Lecz wilk nic o tym nie wiedział, a gdyby było inaczej, nie obeszkoby go to. Jakie znaczenie miały dla niego ludzkie czyny? On i jego gatunek uporządkowali swoje sprawy z wszechświatem przed tysiącami lat. Żyli wedle stałych reguł, ewoluujących wraz z jego praprzodkami, którzy wyłonili się z mroku narodzin ssaków. Wilki trzymały się tych praw i nigdy nie próbowały ich pojąć. Nie myślał o nich wcale, kiedy podążał za Imoną i jej towarzyszkami, gdy zbiegały w porannej mgle, by wykopać się w jeziorze.

Została trochę w tyle, jakby wyczuwała jego obecność i czekała na niego.

Objął ją od tyłu. Uniósł ze ścieżki za drzewo.

Oddech uwiązał jej w gardle i nie krzyknęła.

Mogła krzyknąć do woli, Maeniel nie zakrył jej ust, ale zachowała milczenie.

Natomiast gdy się odwróciła i przekonała, kto jest porywaczem, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go.

Nigdy poprzednio nie był całowany, ale okazał się pojętym uczniem. Spodobała mu się ta ludzka pieśczość i chciał poznać ją lepiej. Czasu miał dość. Porwał ją w ramiona i uniósł w górę, w ustronie znane tylko wilkom.

Poprzedniej zimy gwałtowna lawina wyrwała w lesie przesiekę. Kiedy w końcu przyszło lato, stopiło lód i śnieg, odsłoniła się płatanina wielkich głazów, połamanych drzew i gęstego podłoża schodzącego do sosnowego lasu.

Miejsce to nie było popularne wśród ludzi, natomiast przepadały za nim wilki i dzikie koty. Przestrzeń wokół rozległych stosów ułomków skalnych była pełna żmij i wykrotów. Tam gdzie spodziewałeś się twardego gruntu, pękały zgniłe pnie i konary, stopa wpadała w dziurę, co kończyło się skręceniem lub złamaniem kości. Pobielale drzewa, uśmiercone przez brutalną kamienną lawinę, były gotowe osunąć się, spaść i zmiążyć nieostrożnego badacza. W sumie wiatrołom nie nadawał się do wędrówek.

Niesiona na rękach pocałowała go w szyję.

- Słodka, miłościwa matko - szepnęła. - Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś cię ujrzę.

Roześmiał się.

- Nie boisz się... Mężczyźni z mojego plemienia zabiliby cię, gdyby cię złapali.

- Nie tak łatwo mnie zabić.

Znalazł miejsce, którego szukał, polankę ocienioną ciężkimi konarami połamanej sosny, otoczoną granitowymi głazami i wielkimi odłamami łupkowej skały, wydzwigniętą przez pracujące osuwisko. Postawił Imonę w kręgu połamanych kamiennych mieczy.

Szybko zdjęła sukienkę. Nie miała na sobie nic więcej. Ujęła piersi w dłonie. Najpierw lizał ofiarowane mu półkule, potem zaczął je ssać. Wiła się i jęczała.

- Nie powinnam tego robić - załkała.

Znieruchomiał na krótko, głęboko zdumiony.

- Nie -jęknęła- nie przestawaj.

Wygięła się w łuk. Czuł brzuchem tarcie rozgrzanego, wilgotnego krocza. Perfuma jej pożądania wisiała w powietrzu poranka, gęsta jak delikatna rosa zaścielająca trawę.

- Chcesz mnie? - spytał.

- Pożarłabym cię! - szepnęła gorączkowo. Wbiła mu paznokcie w ramiona, rozrywając skórę.

Kiedy wszedł w nią, poczuł spazmy orgazmów. W chwili krótkiego rozluźnienia między pierwszym i drugim wystękała:

- Mam męża.

Maeniel wstrzymał się od komentarza, dopóki nie przeszła trzeciego szczytowania. Kiedy się uspokoiła, spytał:

- Co to znaczy: mąż?

Jej odpowiedź go nie usatysfakcjonowała. Żaden wilk nie miał podobnych praw do innego osobnika gromady. Wilki nie łączą się w pary na całe życie. Ściśle mówiąc, w ogóle nie łączą się w pary, przeciwnie niż ludzie.

Najsilniejszy samiec w stadzie i najsilniejsza samica zdobywają przywilej płodzenia. Ale niekoniecznie wybierają siebie nawzajem.

Zaspokojenie pożądania zależy całkowicie od gotowości i przychylności samicy. Jeśli nie jest przychylna, lepiej nie próbować. Więcej, próbowanie jest bardzo niebezpieczne.

Imona leżała w jego ramionach. Słońce spalało ostatnie strzępy mgły i nagrzewało skały. Drzemała. Był przyzwyczajony do snu w gromadzie, tak wilki chroniły się przed zimnem. Nic zatem dziwnego, że w swojej ludzkiej postaci tulił ją do siebie. Raz się ocknęła.

- Mam strawę! Naszykowałam obiad. Jest w torbie. Pewnie upuściłam ją koło jeziora.

Maeniel wstał i poszedł na skapaną słońcem polanę. Był nagi, więc żar słońca nie tylko go oślepił, ale i palił skórę niemal do bólu. Chciał się przemienić, ale wyczuwał, że to niemożliwe. Uciekł w chłód i mrok pod drzewami.

Ale las przerzedzony lawiną nie zapewniał dobrej osłony i dopiero w jamie, jaką tworzyło dzikie wino zarastające szczyt głazu, zadrżał i przybrał wilczą postać.

Znalazł skórzaną torbę blisko miejsca, w którym porwał Imonę. Nagle usłyszał głosy. Poznał Kat.

Maeniel porwał torbę, kiedy rozległ się drugi głos:

- Niech mi jeszcze bardziej tyłek urośnie, jak to wilk! Cóżes ty dziewczyno... jakaś durna? Ten jej chłop jest do niczego, odkąd poszedł na wojnę. Rzymianie razem z ręką odjęli mu męskość. Nawet nie udaje, że się z nią pokłada ani że jej pożąda. Wierz mi, znalazła se innego.

- Clarissa! - W piskliwym głosie Kat był gniew podrażnionej osy. - Leon jest moim bratem i twój wiek nie daje ci żadnego prawa...

Szary wilk rozpląnął się w lesie, kiedy kobiety dotarły do miejsca, w którym przed chwilą leżała torba.

- Co...! - krzyknęła Kat. Wpatrywała się w ziemię. - Torba przepadła!

Wilki przycisnęły się, niewidzialny, zasłonięty krzewem czarnego bzu i jeżynowym gąszczem nie do przebycia dla ludzi. Kat, chuda, ciemnowłosa kobieta, zaczęła poszukiwanie.

- Była tu - upierała się gorączkowo. - Wiem, że była! Przed chwilą. Widziałam ją.

Clarissa, gruba kobieta z długą grzywą siwiejących kasztanowych włosów, zarechotała piskliwie.

- No bo skończyli pierwszą obłapkę i przyszła im chęć na jadło. Wrócili się po jedzenie. - Mówiła trochę niewyraźnie, bo zaśmiewała się do rozpuku.

Kat nie było do śmiechu.

- Niech będzie przeklęta! Niech będzie przeklęty dzień, w którym wprowadziliśmy ją do rodziny. Przeklęte niech będą oczy w jej głowie, język w ustach, uszy, którymi słyszy, gardło, którym przełyka...

Szary wilk drgnął całym ciałem, kiedy Clarissa skończyła tę tyradę. Wymierzyła Kat mocny policzek. Płask! Odgłos uderzenia rozszedł się echem między drzewami.

Kat zrobiła dwa kroki w tył, potknęła się i wylądowała na siedzeniu, kilka stóp od gęstego krzewu ukrywającego szarego wilka. Podniosła rękę do policzka. Na twarzy miała wyraz kompletnego osłupienia.

- Ty suko! - powiedziała Clarissa. - Bawisz się w wiedźmę? Zamknij tę paskudną jadaczkę i zachowaj te złorzeczenia dla siebie. Bogowie wiedzą, że Imona nie wymaga wiele od twojej rodziny. Ciężko pracuje, przykłada się do każdej roboty, haruje jak darmowa sługa dla ciebie, twojego mężczyzny i tej twojej leniwej, wygodnickiej starej matki. Czas płodności ma już za sobą. Nie urodzi więcej dzieci, nie zhańbi twojej rodziny. A ta cała wasza banda dość się nawyrzekła na dwie dziewczynki, które urodziła Leonowi. Miejże trochę współczucia, kobieto. Życie nie rozpieszczało Imony.

- Jest córką wodza - zaskrzeczała Kat, gramoląc się.

- Tak, i to zawsze stawało ci ością w gardle, no nie? – odpaliła Clarissa. - Teraz to bez znaczenia. Tylko bogowie wiedzą, co przydarzyło się jej najbliższym, kiedy przyszli Rzymianie.

Oboje zamilkły, mierząc się roziskrzonym wzrokiem. Ale wystarczyło samo słowo „Rzymianie”, a w powietrzu zawisł strach. Poczuł go również szary wilk.

Kat zrobiła znak odpędzający złe uroki.

- Nawet ich nie wspominaj - szepnęła. - Ostatniego lata spalili wioskę w dolinie. Tego lata wszyscy się boją, że znów się pojawią.

Clarissa zadrżała. Chmura zakryła słońce i w gęstym sosnowym lesie zrobiło się ciemno.

- Kat, nie bądź głupia. Przymknij oko na sprawki Imony. Twoje gospodarstwo potrzebuje każdej pary rąk, którą macie. Twoja matka i Leon nie nadają się do niczego. Tylko ty, Imona i Des możecie podołać tej całej harówce. Bez Imony czeka was głód. Mamy zbyt wielu wrogów, żeby rzucać się sobie do gardeł.

Chociaż ton Clarissy był pojednawczy, Kat nie dała się udobruchać.

- Ty wredna stara kwoko. Dotknij mnie jeszcze raz, a wydrapię ci ślepie.

Odwróciła się i skierowała w dół, do jeziora. Clarissa udała się za nią, kręcąc głową.

Chmura przepłynęła dalej. Słońce ogrzało las i skowronki podjęły śpiew. Szary wilk zaniósł torbę do grotu. Wciągnął powietrze w nozdrza. Było wilgotne. Deszcze pewnie zasnuły siodła między górami.

Pozbądź się torby - coś mu mówiło. - Zastaw ją tu... Idź. Znajdź stado. Polowanie na wysokich przełęczach będzie udane. Poprowadź ich daleko stąd. Jak najdalej... na lodowce, gdzie śnieg nigdy nie topnieje. Wysokie wiatrołomy są pełne

zwierzyny, która gromadzi się wokół jeziorok rozmarzających tylko na trzy miesiące w roku. W lasach tak gęstych, że w najjaśniejsze dni słońce nie dociera do podłoża, ukryjesz się na zawsze przed ludźmi. Idź!

Wilk znów poczuł napór pożądania. Wyobraził sobie wdzięczne kobiece ciało rozciągnięte w chłodnym cieniu między delikatnymi liśćmi wiosennych paproci. Wilcza postać, ciężkie futro wydawały mu się grubym niewygodnym ubraniem, w których przegrzewał się, gdy słońce wzniosło się wysoko. Pozbył się ich, jak zrzuca się sztywną wełnianą kapotę w pierwszy ciepły dzień wiosny, i powstał jako... człowiek.

Kiedy wrócił, wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Bałam się, że odszedłeś i mnie zostawiłeś - szepnęła, gładząc go po włosach.

Przyglądał się jej twarzy, gdy leżeli ramię przy ramieniu. Chciał opowiedzieć jej o gorzkiej zazdrości szwagierki i o tym, jak postąpiła Clarissa, ale okazało się, że brak mu słów. Wilk mógł zapamiętać różne sprawy, ale niekoniecznie przekazałby je innemu wilkowi.

Przez kilka chwil zastanawiał się, co i ile jej powiedzieć, ale bliskość Imony pobudziła go kolejny raz i zapomniał o tym, co utrwaliło się w jego pamięci jako złośliwe ujadanie zazdrosnych młodych. Osobniki niższej rangi strzegły niezwykle zaborczo tego skromnego statusu, jaki im przysługiwał, i kiedy tylko mogły, warczały na siebie i szczyrzyły kły. Te młodzieńcze utarczki rzadko kończyły się urazami, gdyż ich uczestnicy prawie nigdy nie wdawali się w bijatyki. Był pewien, że słyszał takie właśnie bezpłodne swary. Silni osobnicy w stadzie ignorowali je, chyba że młodzież stawiała się nieznośna. Wtedy zaprowadzali spokój głośnym warknięciem lub kilkoma uszczypnięciami w zad.

Napływające fale pożądania zmyły wspomnienia. W ramionach miał kobietę - nagą, bezradną, uległą i więcej niż chętną... wygłodniałą. Mógł poznawać to ciało, wiecznie ruchomy strumień szaleńczej rozkoszy, bukiet kwiatów odsłaniający nowe kolory i zapachy, pobudzający dotyk i ostre namiętności w trakcie każdego eksperymentu, który zasugeruje wyobraźnia, niespokojne dłonie, usta i pożądanie.

Zanim słońce osunęło się za zachodnie wzgórza, oboje byli wyczerpani. Po raz pierwszy smakował ludzkiego jedzenia, dzielił się z nią chlebem, serem i odrobiną wina.

Wypiła większość wina i na koniec rozplakała się na jego ramieniu, obejmując go za szyję.

- Co się stało? - zapytał między pocałunkami. - Czy coś ci zrobiłem... coś niewłaściwego?

Czknęła i wstała. Narzuciła sukienkę przez głowę.

- Nie... nie... nie. Jesteś cudowny. Kocham cię. - Otarła łzy z policzków.

Uniósł ją. Była lekka jak piórko. Zaniósł Imonę między cienie wydrążające się coraz bardziej między drzewami. Niebo okrył złoty blask przebijający się zza horyzontu. Światło słońca przelewało się między połamanymi sosnami. Cienie skał, krzewów i drzew były atramentowe. Złote niebo płonęło na tle lasu jak roztopiony metal wylany na zwęglone drewno.

Poczuł woń żmii, zanim ją spostrzegł. Grzała się na wysokim kamieniu, chłonąc ostatnie okrucy ciepła. Cętkowana skóra zlewała się z brązowymi igłami sosen i matowymi liśćmi.

Uniosła łeb, gotowa zaatakować, i potężnym ramieniem osłonił kobietę. Imonie dech uwiązł w gardle. Wydał cichy warkot, który zabrzmiał niczym daleki grom. Znaczył tyle, co: „Nie odważ się, bo pożałujesz”.

Żmija cofnęła łeb, opadła na ziemię, po czym znikła wśród cieni i liści podłoża.

Kobieta odetchnęła z ulgą. Światło w górze gasło, cienie pogłębiały się.

- Nie jesteś człowiekiem, prawda? - spytała.

- Nie. - Postawił ją na ścieżce.

Oboje słyszeli kobiety gwarzące na szlaku prowadzącym do wioski w górze. Imona rzekła mu na pożegnanie:

- Bądź sobie, kim jesteś, tylko nie daj się im złapać. I wróć, wróć... błagam.

Poczuł, jak wilcza natura ciągnie go w ciemniejszy las, ale uniósł jej dłoń do ust, żegnając się krótko i czule, a potem zniknął w nocy.

Dryas, nadal roztrzęsiona po wspinaczkę, przecięła górską łąkę, szukając zacisznego miejsca do snu.

Suche liście z paru skarłatych, wykręconych drzew, które przetrwały na stokach, zaścielały halę, pomalowane na martwą biel nie kończącymi się wiatrami i zimnem.

Znalazła odpowiedni zakątek w pobliżu źródła tryskającego ze skały. Takie miejsca były zawsze święte. Każdego, kto zbrukał czystość wody, spotykała śmierć. Złożyła ofiarę z chleba i wina, kilku okruchów i paru kropel, po czym rozłożyła się, mając skałę za plecami. Nazbierała chrustu na łące i przygotowała ognisko.

Połamane gałęzie spoczywały tak długo pośród cienkich ździebeł trawy, że zawierały nie więcej wilgoci niż drewno wyrzucone na brzeg i wysuszone przez słońce. Zapłonęły do białości; płomienie skoczyły wysoko, ale szybko zostały tylko ciemnoczerwone polana mrugające w ciemności jak ślepie demonów.

Dryas nagromadziła opał. Ogień rozgrzał skałę, która oddając nagromadzone ciepło, miała chronić ją przed chłodem. Kiedy z ogniska zostały tylko migotliwe węgielki, owinęła się niedźwiedzią skórą i zasnęła.

Jak zwykle śniła.

Kiedyś, nie tak dawno, sny sprawiały jej taką mękę, że upijała się na umór, nie mogąc znaleźć odpoczynku w naturalny sposób.

Lecz przyszedł kres tamtych okropnych czasów i chociaż czasem budziła się ze łzami na policzkach, koszmary i nagromadzone poczucie winy już nie łamały jej serca, przypominając o wiecznej stracie, i nie oglądała już swoich umarłych w ich żywych postaciach. Chociaż smutek towarzyszył jej nawet w najgłębszym śnie, nauczyła się żyć z bólem i pustką.

Była Dryas wojowniczką, nauczycielką walki mieczem, tarczą i włócznią. Jak nikt umiała pokonać gołymi rękami nawet dobrze uzbrojonego przeciwnika. Była mistrzynią skoku bohaterskiego łososa i znała wszystkie zabójcze odmiany tej sztuki walki. Potrafiła przewidzieć trajektorię spadającego miecza przeciwnika. Przeskakiwała wroga i ścinała mu głowę. Była mistrzynią bojowych zaklęć i bojowego szału, strażniczką wiedzy zapomnianej nawet przez Galów. Rozumiała, co chcieli przekazać budowniczości kamiennych kręgów i podziemnych grobowców, o których pamięć zginęła w pomroce czasu.

Przystąpiła na zadanie wyznaczone jej przez Blaze'a. Musiała zatrzymać tego człowieka-wilka, który okrutnie napastował plemię Mira, musiała złapać go w pułapkę. Słuchając Mira i Blaze'a, ustaliła swój plan postępowania. Dziś przeszła od

planowania do realizacji, ale nie mogła dopuścić do tego, aby nadprzyrodzony wilk odgadł jej zamierzenia i cele.

Nie mogła, za żadne skarby.

Po tym, jak zasnęła, ocknęła się raz. Zwęglone gałęzie jaśniały i mrugały w cieniach. W górze rozpinął się majestatyczny hak gwiazd. Biały ogień dalekich słońc mówił o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości oczom, które potrafiły go przeniknąć, wypatrzyć w wieczności początki i koniec czasu.

Poczuła skurcz żołądka. Ktoś na pewno ją obserwował. Wilk lub po prostu jedna z mrocznych istot strzegących górskiej świątyni orła.

Nie wiedziała, nie potrafiła zgadnąć, kto się jej przypatruje, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Był kto mógł ją zabić, jeśli się na to zdecydował. Była przynętą w pułapce własnej roboty. Pozostawało jej tylko zaufać sobie i nie rezygnować. Tego wilka nie można było pokonać mieczem i oszczepem, lecz jedynie podstępem. A jeśli nie była pewna swoich umiejętności w tym względzie... pozostawało jej zapanować nad sobą i nie okazać lęku. Wobec tego po prostu ziewnęła, odwróciła się na drugi bok i zasnęła.

Przybyli Rzymianie...

Kobiety obsiały Inem strome zbocza wokół hal. Nie poddając się suszy ani chłodom, rósł bujnie i rozsiewał każdego roku. Jesienią tkaczki miały go pod dostatkiem. Imona była jedną z nich. Wystawiała swój koślawy warsztat na podwórko skromnego domostwa, karmiła kurczaki, gęsi i kaczki tłoczące się w obejściu, po czym zaczynała tkać najnowszą sztukę odzieży czy też ozdobną tkaninę.

Latem pokazało się wiele zwierzyny. Wilk nie znał przyczyny tego stanu rzeczy, a była ona ponura. Rzymscy legioniści z warownego obozu, służącego im za garnizon, pościnali drzewa na baraki i palisadę, wypalili wiele lasów, co miało zapobiec powstaniom i zasadzkom.

Łoś, jeleń, a nawet zając i dziki ptak przekonali się, że na tych nowo powstałych polanach jest obfitość pożywienia.

Tak więc wilkom powodziło się wyśmienicie, łatwo i szybko znajdowały ofiary wśród starych i młodych w stadach zmierzających ku górskim pastwiskom. Nawet przypadkowe polowania kończyły się zdobyciem takiej ilości pożywienia, że wataha

biesiadowała do syta, a potem drzemała i bawiła się podczas pięknych nocy wczesnego lata.

Rankami basior opuszczał stado i szukał schronienia między skalnymi nawisami nad jej gospodarstwem. Trawił we śnie nocny posiłek i zanim różowy blask zapłonął po wschodniej stronie nieba, widział, jak kobieta rozpala ogień za wiklinowymi ścianami, piecze podpłomyki i gotuje owsiankę, podstawę rannego posiłku.

Później, po wschodzie słońca, przyglądał się jej, jak stoi przed swoim krosnem pod wiekowym drzewem, czólenko lata tam i z powrotem, a lmona tka taki czy inny pas jasnego kolorowego płótna.

W południe wiatr zamierał. Słońce paliło bezlitośnie. Reszta rodziny udawała się do okrągłej chaty lub innego zacienionego miejsca, chroniąc się przed upałem popołudnia.

To była jego godzina. Ona udawała się w górę, „pielić len”, jak usprawiedliwiała się wobec Kat, i spotykali się. Nie wiedziała, jakim sposobem zawsze potrafił ją odnaleźć. Wiedziała tylko, że niechybnie się zjawi, i to jej wystarczało.

Tymczasem udało mu się zdobyć skromne okrycie - znoszoną tunikę, skradzioną legioniście, który kapał się popołudniem w rzece. Wątpliwe, aby długo lub głęboko żałował tej straty. Była to ohydna stara szmata, spłowiała i niewiarygodnie potargana, ale Wilk wcale tego nie dostrzegał. W jego oczach każde ubranie wyglądało identycznie. To było na tyle długie i grube, że osłaniało mu skórę. Po nieszczęśliwej próbie przedarcia się przez jeżynowe chaszczki przekonał się, że ludzkie ciało jest bardzo wrażliwe.

Zresztą nosił ją tylko do chwili, w której dopadał kobietę. Potem pozbywał się tuniki i rzucali się sobie w objęcia. To było całe ich zajęcie - kochanie się, jedzenie i przesypianie długich popołudni. Czasem rozmawiali. Dokładnie mówiąc, dużo rozmawiali. Czy też raczej ona mówiła, a on słuchał. Po pierwszym i jedynym pytaniu o jego ludzką naturę nigdy nie wróciła do tego tematu. Nie oczekiwał tego od niej, instynktownie zdając sobie sprawę, że obawia się naruszenia delikatnej równowagi, która zapewniała im szczęście, prawie niebiańskie szczęście.

Kiedy skończyli się kochać, rozpakowywała jedzenie, które zawsze przynosiła. Była doskonałą kucharką. Początkowo nie pojmował tego rytuału. Wilcza

natura skłaniała go do pożerania w mgnieniu oka wszystkiego. Ale ludzkie zęby i szczęki, wykształcone podczas tysięcy lat smakowania pokarmu i rozkoszowania się nim, niezbyt nadawały się do rozszarpywania mięsa i łkania gigantycznych kęsów, jak to robią wilki.

Po tym, jak trzeci raz mało się nie udusił, nauczył się smakować swoją porcję w ludzki sposób. Docenił umiejętności Imony. Piekła podplomyki, ożywiając ich smak miodem, migdałami, a nawet twardym serem. Wilk w ludzkiej postaci rozsmakował się w szynce i w boczku, które wędziła w długie zimy. Nieprzeliczone kiełbasy z wieprzowiny, dziczyzny i wołowiny były nie kończącą się rozkoszą podniebienia. A do tego dochodziło jeszcze wino i czasem miód. Mniam...

Pod skalnym grzbietem nad jej domem znalazł jaskinię. Była mała, wysypana piaskiem i dość głęboka, by chłód panował w niej również w najgorętsze dni.

Udawali się tam, kiedy upały topiły nawet skalne nawisy. W ciemnym cichym schronieniu uczyła go, jaką przyjemnością jest podchmielić się silnym napitkiem i przeżywać omdlałe rozluźnienie, które przynosi letnia sješta połączona z kochaniem się przed nią i po niej.

Kiedy cienie drzew rosły, Kat zaczynała przyzywać szwagierkę. Imona szybko klękała i wciągała sukienkę.

- Dziwne - rzekł pewnego dnia. - Ona nigdy cię nie szuka.
- Nie chce mnie znaleźć.
- Nie?
- Nie - odparła, wstając i wyglądając przez krzaki agrestu, zarastające wejście. - Wie, co się dzieje, ale jestem jej potrzebna. Sery, które warzę, i moje płótna przynoszą jej te parę miedziaków, które mamy.

Wilk przypomniał sobie słowa Clarissy.

- Poza tym chyba trochę boi się niewiadomego - powiedziała, całując go na pożegnanie. - Wiesz, tego, kim możesz być. Już się pewnie domyśliła, że nie należysz do żadnej rodziny z tego siola. Tak, ten stan niewiedzy z pewnością ją zadowala i za nic nie chciałaby cię poznać.

- Nie wydaje mi się, żeby jej na tym zależało.

Imona pokiwała głową.

- Bo nie zależy. - Wyszła z jaskini i udała się krętą dróżką w dół.

Czasem naprawdę zajmowała się Inem. Plamy niebieskiej barwy rozkładały się między ciemnozielonymi sosnami niby barwnik rozlany niedbałą dłonią, zarastały strome zbocza górskiego wzniesienia, tworząc nieregularny wzór aż pod sam szczyt.

Mimo że len dobrze znosi suszę, to w najgorętsze dni lata wymagał nawodnienia. Imona nosiła wodę z górskiego strumyka. Nie było to łatwe zadanie, nawet z pomocą wilka.

Uprawiała nie tylko len. Na najbardziej wysuszonych, nasłonecznionych stokach hodowała zioła używane później do farbowania; aromatyczny rumianek, krwawnik, oman i wiele innych, których nie potrafił nazwać. Niektóre rosły dziko. Tymi wystarczyło się zaopiekować i zadbać, żeby nie zdusiły ich chwasty. Inne, jak czarny bez, nie potrzebowały opieki, rosły bujnie i wymagały tylko zbierania w odpowiedniej porze roku.

Wiedzę o tkaniu i farbowaniu odziedziczyła po kobietach ze swojej rodziny - szlacheckich niewiastach, które nie wykonywały same większości prac, ale nadzorowały robotnice przy domowych krosnach produkujących bele płótna. Te były sprzedawane lub wymieniane od Grecji do Brytanii.

W gospodarstwie była zdana na własne siły. Niemniej jednak nie było takiego targu, urządzanego podczas świąt kończących kolejne pory roku, aby jej kram nie był oblegany.

Z czasem poznał całą jej rodzinę - nie było to trudne, gdyż liczyła obecnie tylko garstkę ludzi. Wszyscy bracia Kat, poza jednym, zginęli podczas wojen, które rozdarły Galię po inwazji Cezara. Jak powiedziała Clarissa, cała praca spoczęła na barkach Imony, Kat i jej męża, Desa.

Był to wielki, cichy mężczyzna, który lękał się ostrego języka i humorów żony. Wilk był pełen podziwu dla jego pracowitości, wytężonego trudu, tak obcego wilczej naturze jak umiejętności tkackie Imony, dopóki ta nie wyjaśniła mu, że Des uciekał do pracy w polu przed nieustannymi połajankami żony.

Maeniel znał wonie każdego z nich. Imona była zbiorem uwodzicielskich zapachów. Kat miała kwaśny odór, jakby chciała oznajmić wszem wobec swoje rozczarowanie życiem. Des pachniał pracą, blaskiem słońca, mającym posmak mosiądzu, i potem.

Najdziwniejszy był Leon, mąż Imony. Wilk łączył jego zapach z zapachem śmierci. Nie z ostrą wonią świeżego ścierwa, czy nawet ciężkim odorem padliny

gnijącej w słońcu, ale z suchym gnilnym zapaszkiem kupki kości leżącej w cieniu, pokrytej ciemnymi plamami grzyba i szarymi płatami mchu.

Kiedy nadchodziła ciemność, wilk przekradał się na dół. Zerkał przez szczeliny w ścianach chaty. Jedli, zgromadzeni wokół paleniska. Migotliwy blask oświetlał okrągłą izbę. Leon jadł tak, jakby nie był świadomy otoczenia. Des cieszył się jadłem i towarzystwem szwagierki.

Stara matka Kat, bezzębna i przegoniona od stołu z powodu niechlujstwa, siedziała w kącie, chłepcąc owsiankę.

- Podoba mi się to, co teraz tkasz - powiedział Des Imonie.

Roześmiała się i odparła cicho:

- Ciężko o czerwony barwnik. To męka znaleźć taki, żeby związał się z tkaniną i nie spłowieł.

Wilk uznał, że rozmawiają o najnowszej tkaninie Imony. Przyglądał się kobiecie, kiedy snuła osnowę. To było żmudne zajęcie. Strawiła na nie ostatnie trzy przedpołudnia. I nawet kiedy przebywali razem, myślami była przy pracy. Lecz kiedy ujrzał, jak jej dzieło nabiera kształtu, doznał takiego zachwyty, jaki ona przeżywała podczas godzin miłości.

Użyła najdelikatniejszego lnu i zabarwiła go taką ilością błękitu, że lśnił niczym perła. Dodała zielonych nici, a w końcu odrobiny czerwieni - jasnej czerwieni na cześć ludzi i ciemnej, krwistej czerwieni na cześć wilka.

- Powinniśmy zatrzymać tę sztukę płótna - dodał Des. – Może powiesimy ją obok innych.

Jasne kolorowe tkaniny zdobiły ściany niewielkiego domostwa. Gorzały w świetle paleniska.

Kat z furią zaatakowała męża i bratową.

- Co wy pleciecie, do wszystkich diabłów, zachciało się wam wieszania ozdóbek na ścianach?! Potrzeba nam każdej sestercji. Wiecie, że Rzymianie znów przyjadą po haracz, a ten stary dureń, Mir, wypłaci im go bez słowa. Co się z wami dzieje? Imona bawi się przy swoim durnym krośnie, jakby wszystko musiało być doskonale proste i równe. Komu dziś zależy na tych faramuszkach, których nauczyła cię matka? Tkaj zwykłe mocne płótno. To się sprzedaje!

Imona i Des skurczyli się smagnięci gniewnym głosem. Nawet starucha zadygotała i usiłowała się skulić, aby uciec przed furią córki. Tylko Leon wydawał się

obojętny na ujadanie siostry. Nie przestawał jeść, wpatrzony w przestrzeń, nieobecny duchem.

Des odchrząknął i spróbował uśmiechnąć się do Kat.

- Kochanie, nawet jak musimy ją sprzedać, kunsztowna tkanina przyniesie lepszą cenę niż...

- Lepszą cenę, lepszą cenę - przedrzeźniała go gniewnie Kat. - Pytam was, kto teraz ma pieniądze na takie zbytki?

- Może i masz rację - lękliwie broniła się Imona - ale przecież moje umiejętności nie są bezwartościowe. Kat, na następnym targu może uda mi się zdobyć kilka uczennic... Może zapłacą...

- Zapłacą... zapłacą... Łatwo ci gadać o płaceniu. A zapłaciłaś kiedy za to, że przyjęliśmy cię pod nasz dach i że kosztowałaś nas niemało? Ile to była dostał za ciebie twój ojciec... i nie dałaś Leonowi jednego męskiego potomka. Dwie skamlące dziewczki... a jedyne, co Leon zyskał na tym małżeństwie, kiedy poszedł z pomocą temu twojemu braciszкови przeciwko Rzymianom, to...

Kat wrzasnęła. Leon, który zdawał się w ogóle jej nie słuchać, wymierzył siostrze lewą dłońią - jedyną, jaka mu pozostała - siarczysty policzek.

Przez chwilę stał nad nią, a potem z lodowatą złością splunął na rozciągnięte, wstrząsane łkaniem ciało. Odwrócił się, wyszedł za drzwi i znikł w pomroce.

Ciężko przerażona Imona pobiegła po dzban z wodą i czystą ścierkę. Kat usiadła, płacząc. Odepchnęła Imonę, kiedy ta chciała przyłożyć zimny kompres do jej krwawiącego nosa.

- To wszystko twoja wina - wyjąkała. - Gdyby nie wziął cię za żonę i nie poszedł z tym twoim bratem ladaco na wojnę, nie stracił by ręki. Żaden z ciebie mężczyzna! - wygarnęła mężowi. - Nie potrafisz obronić nawet własnej żony.

- Cicho - uspokajała ją Imona, przykładając ścierkę do nosa szwagierki.

- Kat, na wszystkie świętości! - wykrzyknął Des. - To przecież niczyja wina! Imona nie odrąbała Leonowi ręki, tylko Cezar, i nikt pod groźbą włóczni nie zmusił Leona, żeby przyłączał się do powstania. Poszedł na ochotnika, licząc na sławę i łupy. No cóż, nie udało mu się. A jeśli chodzi o dzieci, to nikt nie przewidzi, co los przyniesie. Na mój rozum, to wszyscy staramy się ile wlezie, a twoje wrzaski i ciskanie się tylko utrudniają nam życie.

Imona odchyliła w tył głowę Kat, powstrzymując krwawienie.

Wilk odsunął się od domu. No cóż, wilki też się kłócą, ale nie z taką zjadliwością i nie tak długo - pomyślał.

Obserwował Leona, który szedł bez celu przez pola i znikł między drzewami. Mroczny las nie był bezpieczny. Nie ze względu na plemię Maeniela - wilki - ale dlatego że polował tam również niedźwiedź, ryś i najgroźniejsze ze wszystkich zwierząt - odyniec. Powinien bardziej uważać, ale przecież nikt mu nie zagrozi. Nosi ze sobą woń grobu. Skoro ja nie mam zamiaru go skrzywdzić, to czemu miałyby uczynić to inne zwierzę?

W oddali wataha podniosła się i rozpoczęła wieczorną pieśń. Srebrny blask wschodzącego księżyca ukoronował śnieżne wierzchołki. Wilcze gardła przypomniały basiorowi o obowiązkach. Poczł coś dziwnego, tak niezwykłego, że dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to litość. Litował się nad nią, uwięzioną nocą w cuchnącej chacie, podczas gdy on mógł swobodnie i radośnie wędrować w księżycowym blasku pod nieprzeliczonymi rojami gwiazd.

Dryas ocknęła się przed świtem, nadal mając wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Spojrzała w gwiazdy. Jej lud badał niebiosa przez cztery tysiąclecia. Wiedziała, że za kilka chwil słońce rozświetli horyzont na wschodzie. Odrzuciła niedźwiedzią szubę, wstała i zaczęła się przechadzać wzdłuż strugi przecinającej górską łąkę. Kończyła się urwiskiem i potok pikował w dół miniaturową siklawą do kolejnego granitowego zbiornika.

Widząc obfitość jeżyn i malin rosnących wokół stawu, można by pomyśleć, że ktoś celowo obsadził brzegi tymi kolczastymi wartownikami. Długie poskręcane pnącza nie miały liści, ale uginały się od owoców - granatowych, czerwonych i purpurowych jak płaszcz imperatora.

Przypomniała sobie słowa dziewczyny: „Nikt ich nie je. Nikt nie zdołał przecisnąć się przez pnącza”.

Dryas rozebrała się; zdjęła koszulę, spódnicę, opaskę na piersi i przepaskę biodrową z białego lnu.

Zsunęła się po dnie strumienia. Wstrząs podczas kontaktu z wodą sprawił, że mięśnie jej zesztyniały, a włosy rozwiązały się i rozłożyły wachlarzem na plecach.

Wstrząs spowodował nie zimno, lecz gorąco. Woda była ciepła. Nieopodal potoku przez okrągły rok biło ciepłe źródło. To tłumaczyło obfitość roślin na brzegach jeziora.

Podczas schodzenia wbijała palce w głęboki mech. Po chwili stała po pas w wodzie i spożywała śniadanie z jeżyn błyszczących jak klejnoty na grubych czarnych laskach. Ich słodycz była nieodparta.

Światła przybywało, z każdą chwilą coraz więcej, aż pnącza stały się tylko cienkim, chociaż odstrasającym kręgiem wokół jeziora. Pigwy i jarzębiny tworzyły szerszy krąg. Grube żółte owoce pigwy ciążyły ku ziemi na wciąż zielonych gałęziach, a ciemnoczerwone jagody jarzębiny płonęły jak rozrzucone węgle na tle błękitnego porannego nieba. Dno stawu, gęsto zarosłe wodorostami, było miękkie, niczym wysłane aksamitem.

Nagle Dryas miała wizję. Na kamienistym brzegu wodnego zbiornika leży kobieta. Rozbita czaszka, zmiażdżona twarz, włosy wciśnięte w śmiertelną ranę. Krew, szkarłatna wstęga, plami czystą wodę, aż kolejne fale zniosą ją dalej, a ona leży blada, krwawiąca, osuwa się coraz niżej w szmaragdowe jądro małego rezerwuaru, a potem znika, przemienia się w kupkę białych kości.

Ogarnięta paniką Dryas uchwyciła się grubego jeżynowego pnącza. Kolce wbiły się w dłoń, ale nie rozwarła jej, nie rozluźniła chwytu, dopóki nie odzyskała panowania nad sobą. Zdała sobie sprawę, że ciężko oddycha - nie, charczę. Przyłgnęła całym ciałem do skalistego brzegu. Puściła gałąź i umyła ręce. Jak w wizji, krew położyła się szkarłatną wstęgą, potem krystaliczna woda rozpuściła ją i plama znikła, odsłaniając rozognione ranki po kolcach i białe rozdarcia naskórka.

Ostre światło padało znad strażujących jeżyn, pigw i jarzębin. Rozjaśniło rozległy las, długie aleje bladych buków na kobiercu ulotnych złotych liści.

Dryas była piękna. Od kilku lat nie myślała o swojej urodzie. Ale jeśli miała posłużyć się nią do złapania wilka w pułapkę, to ten dar natury przynajmniej do czegoś się przyda.

W tej chwili znów poczuła na sobie czyjś wzrok. Wyprostowała się, wykręciła drugie czarne włosy. Kiedy uniosła ramiona, odsłoniła drobne piersi, idealne stożki zakończone truskawkowymi sutkami. Po kryjomu poszukała obserwatora.

Nie dojrzała nikogo i niczego, żadnego znaku. Było jasno, woda spadała bladoniebieską kurtyną, piana rozkładała się koronką na stawie.

Przez chwilę, wręcz ulotną, powierzchnia wodospadu ułożyła w zarys kobiecego ciała, jakby jakaś niewidzialna postać stała pod lecącą strugą.

Dryas oddech zamarł w krtani, a potem to złudzenie, jeśli było złudzeniem, znikło. Dostrzegła uszy za skalną półką, tuż u szczytu siklawy. Były spiczaste, postawione, jakby ten, do kogo należały, skupił się na obserwacji.

Tak, zjawiał się. Ale Dryas przypomniała sobie widmowy zarys kobiecego ciała. Coś, ktoś nie chce, żeby mi się udało - pomyślała.

Przybyli Rzymianie...

Stała wysoko na wzgórzu, żęła len żelaznym sierpem. On wylegiwał się na brzuchu w cieniu powalonej sosny. Było późne lato i szorstka tunika dzieliła jego ludzką skórę od ostrych kamyków, gęsto rozsianych wśród wyschniętej trawy.

Uniosła pokos, cisnęła go na skałę wystawioną do słońca. Łodygi musiały wpierw przeschnąć, a potem czekało je moczenie w stawie u podnóża skalnego urwiska.

Stała z sierpem w dłoni, patrząc w dół, na chatę. Otarła pot, otrząsnęła włosy przyklejone do karku, skroni i czoła.

Wilk ujrzał, że mieni się na twarzy.

- Nie - szepnęła i wypuściła sierp z bezwładnej dłoni.

Zareagował instynktownie. W ułamku chwili poderwał się na nogi, potężnym ramieniem objął Imonę w pasie, dłonią zakrył jej usta, aby nie mogła krzyczeć.

Do chaty podążali czterej kawalerzyści Cezara. Trójka zwykłych żołnierzy i oficer. W owej chwili wilk tego nie wiedział, ale oficer był niedbały i nieostrożny. Żołnierze mieli przy sobie broń, ale nie nosili napierśników ani tarcz. Za nimi toczył się wózek zaprzężony w konia, powożony przez kobietę, pewnie markietankę.

Kat i jej matka pracowały na podwórzu. Żołnierze odgonili kobiety na bok i zaczęli pustoszyć spichlerz na tyłach domu; brali wszystkie płótna i ubrania, jakie im wpadły w ręce, pakowali do worów żywność.

Imona ugryzła Maeniela w ramię. Zniósł to spokojnie, ale znów zatkał jej usta dłonią. Kopała i wrywała się.

Z domu wychynął Leon. Powłócząc nogami, podszedł do krosna Imony i zatrzymał się przy nim bez słowa. Przypędził Des, ale kiedy dotarł do żony, zatrzymał się i pozwolił pustoszyć dobytek przybyłym.

Po załadowaniu ziarna żołnierze rozbiegli się za inwentarzem, pętali nogi kurom i gęsiom i ciskali ptactwo na wózek.

Imona przestała się miotać. Maeniel zdjął rękę z jej ust.

- Bądź cicho albo cię ogłuszę - rzekł. - Nie możesz im pomóc. Wystarczy, że pobiegiesz na dół, a wpadniesz w tarapaty.

Jeden z żołnierzy poszedł do chlewu. Dał susa przez płotek i porwał dwa prosiaki ssące maciorę. Matka poderwała się w obronie młodych, ale żołnierz jednym skokiem wrócił na podwórze.

Jego towarzysze, widząc, jak przesadza zagrodę z prosiakami pod pachą, gdy rozwścieczona świnia depcze mu po piętach, ryknęli zgodnym śmiechem.

Śmiech urwał się, kiedy maciora rozwalila przeszkodę w drzazgi. Żołnierz umykał, ile miał sił w nogach. Świnia była naprawdę groźna.

Dwaj jego towarzysze rozsunęli się na boki, szykując oszczepy.

Pierwszy cisnął swoim, ale chybił. Drugi okazał się sprawniejszy, ale świnia i tak była dla niego za szybka; oszczep tylko ześliznął się po żebrach zwierzęcia, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Siedzący na koniu oficer zaklął siarczyście i zeskoczył na ziemię. W tej chwili żołnierz z prosiętami obejrzał się i upadł. Zwierzęta wyrwały mu się, wydając przy tym niemal ludzkie odgłosy przerażenia.

Maciora sunęła jak potężny niszczycielski pocisk. Ślina bryzgała jej z ryja, a obnażone kły mogły w każdej chwili zadać śmiertelną ranę.

Oficer wszedł między świnie a żołnierza. Dzierżył pilum, lekką broń drzewcową rzymskiej kawalerii. Grot przechodził w trzystopową tuleję, nasadzaną na jesionowe drzewce.

Żeleźce wbiło się w pierś maciory. Oficer padł na kolana pod wpływem wstrząsu, ale utrzymał pilum, kiedy zwierzę parło przed siebie, aż weszło po zadziór. Zatrzymało się. Oficer był silnym mężczyzną, ale ciężar świni sprawił, że cofnął się o krok. Maciora zadygotała, rzygnęła posoką i padła.

Tylko Maeniel dojrzał ruch Leona, ale i tak nie przeczuł zamiaru jednorękiego.

Leon stał za oficerem, obok krosna. Zrobił krok, wyrwał oficerowi krótki rzymski miecz, wiszący w pochwie u pasa, i w mgnieniu oka wbił mu go w plecy.

Na moment świat zastygł w kompletnym bezruchu. Zamienił się w żywy obraz. Wszyscy wpatrywali się w Leona, nie wierząc własnym oczom, zdrętwiali ze zgrozy. Następnie na podwórku wybuchł chaos.

Oficer wrzasnął głosem tak przepelnionym bólem, że Maenielowi przeszły ciarki na plecach. Wypuścił oszczep i złapał za rękojeść miecza sterczącą mu z pleców.

Być może Imona też wrzeszczała, ale jeśli tak było, Maeniel nie zdał sobie z tego sprawy. Odgłosy dobiegające z gospodarstwa zagłuszyły resztę dźwięków.

Ten żołnierz, który nadal trzymał oszczep, przeszył nim Leona. Des dzielnie próbował ratować żonę i matkę. Odwrócił się, pchnął je i krzyknął: - Uciekajcie!

Żołnierz, który stracił oszczep, miał jeszcze miecz. Dobył go w mgnieniu oka. Des był wieśniakiem, nie wojownikiem. Za całą broń miał oskard, którym wykopywał chwasty. Żołnierz wytrącił mieczem uniesione narzędzie, przebił chłopu ramię i tors. Zmiażdżył żebra i rozplątał płuco. Des padł, przyciskając ręce do ogromnej rany, podczas gdy serce tłukące się w piersiach opróżniało ciało z krwi.

Starucha próbowała uciec, ale potknęła się i upadła po kilku krokach. Kat mogła biec i pobiegła, ale w złym kierunku. Zamiast skierować się w górę stoku, gdzie mogłaby ukryć się między drzewami, uciekła na płaskie poletko, goniona przez rozwścieczonych żołnierzy.

Powoząca wózkami markietanka wpadła na pole walki. Starucha próbowała się podnieść. Markietanka rozbiła jej czaszkę kamieniem. Potem z pomocą trzeciego żołnierza ukrzyżowała Leona na drzewie rosnącym na podwórku, pod którym zwykle tkąta Imona. Nadal żył i wierzgał, gdy żołnierz przytrzymał go nad ziemią, a markietanka wbiła mu w dłonie dwa noże znalezione w chacie. Oszczep zwisał mu z piersi. Krew przesiąkała przez tunikę.

Wrócili żołnierze, ciągnąc Kat za ramię.

Maeniel nie był pewien, czy oficer jest nieprzytomny, czy martwy. Nie drgnął, kiedy markietanka wyciągnęła mu miecz z pleców. Odcięła nożem kawałek lnianej tuniki i wzięła się do bandażowania rany. Wilk uznał, że Rzymianin nie może być martwy.

Kiedy z chaty rozległy się krzyki, kobieta oderwała się od swojego zajęcia i spojrzała w kierunku, z którego dochodziły. Na twarzy miała wyraz obrzydzenia.

Imona znów zaczęła się wyrywać.

- Kat! Bogowie, Kat! Gwałcą ją.
- Co zrobisz? - szepnął Maeniel. - Zamierzasz zająć ich sobą?

Markietanka podeszła do małego ogniska płonącego na podwórku. Podniosła płonąca gałąź i przytknęła w kilku miejscach do nisko wiszącej strzechy. Ogień pobiegł do dymnika.

Rozpaczliwe wrzaski Kat ustały i żołnierze wybiegli pędem z chaty, kaszląc i zalewając się łzami.

- Ty kawałku gówna! - wrzasnął jeden z nich. - Jeszcześmy z nią nie skończyli.

- Wy świńskie ryje! Tak, dobrzeście usłyszeli, psie syny! Mój pan jest tylko ranny. Jeśli Lucjusz tu umrze, to z waszej winy. Klnę się na wszystko! Przysięgam! Będziecie żywcem darci ze skóry, jak nie przeżyje, bo wam zależało na tym, żeby rznąć tamtą niewartą zachodu sukę, aż zdechnie. Ładujcie go na wóz. Już! W obozie są medycy!

Trzej żołnierze stali w drzwiach chaty, nie mogąc się zdecydować, co czynić.

Maeniel zerwał się na równe nogi. Pobiegł w dół wzgórza. Słońce południa paliło mu twarz i ramiona. Osłaniała go jedynie marna, porwana tunika. Chociaż czuł kolczaste zarośla i ostre kamieniste podłoże raniące stopy, nie zwracał na nic uwagi.

Wbiegł na podwórze, kiedy żołnierze ładowali na wózek dowódcę, który wykrwawiał się na worki ze zbożem.

Rzymianie prowadzili płochliwe konie za uzdy. Z obawą obejrzeli się na Maeniela, kiedy wrzeszcząc, wyskoczył z krzaków. Kobieta stojąca na wózku zacięła batem kuce. Jeden z żołnierzy miał ochotę wrócić i stawić czoło Maanielowi, ale markietanka skłęła go tak ostro, że zawrócił i poszedł za wózkiem podskakującym w głębokich koleinach. Ogień ogarnął chatę. Płonął dach, języki ognia wynurzały się z wiklinowych mat tworzących ściany.

Kat leżała naga na środku izby, wysmarowana krwią. Wokół niej spadały rozżarzone kawały strzechy. Wysokie słupy podtrzymujące dach płonęły.

Maeniel zdążył jedynie porwać kobietę i wynieść ją na dwór, bo dach już się powoli kładł. W chwili gdy wybiegał, jedna ściana złożyła się i strzecha osunęła się do izby jak płonący stóg siana. Imona również zbiegła na dół i padła na kolana obok szwagierki. Maeniel rozejrzał się wkoło. Kat krwawiła, była nieprzytomna i pobita, ale nadal oddychała. Innym nie dało się pomóc.

Des leżał skulony na boku, zakrywając ranne ramię i tors. Był dziwnie spokojny. Gdyby nie śmiertelna biel lic, można by pomyśleć, że śpi.

Głowa starej kobiety była mieszaniną krwi i szarej masy niegdyś wypełniającej czaszkę. Muchy zlatywały się w upale południa, bzyząc gniewnie.

Co dziwne, martwy Leon miał na twarzy ten sam wyraz obojętności co za życia. Głowa opadła mu bezwładnie na ramię, oczy trzymał otwarte. Wydawał się nieporuszony tym, co przyniosła mu zemsta i śmierć.

Imona tuliła na podołku głowę Kat. Maeniel nasłuchiwał odgłosów oddziału Rzymian oddalających się do fortu w dolinie.

Imona spojrzała z wściekłością na trupa Leona i obrzuciła go przekleństwami, których nie sposób było zrozumieć.

Powiał wiatr, chłodząc skórę Maeniela. Lipa, na której ukrzyżowano Leona, była obsypana kwieciami. Ciężka woń niemal całkowicie przydusiła smród krwi i pożogi. Krosno, przewrócone podczas walki, leżało pod drzewem i krew Leona z wolna kapała na... najpiękniejszą sztukę płótna Imony.

Kobieta zerwała się z wrzaskiem. Kat nadal leżała nieprzytomna na trawie podwórza.

- Uciekają! - krzyknęła.

Wstrząśnięty Maeniel drgnął, wręcz podskoczył.

Imona podbiegła, złapała go za ramiona i zaczęła nim potrząsać.

- Musisz ich złapać, złapać i zabić. Jak dotrą do obozu i opowiedzą, co się stało, wrócą i zniszczą nas wszystkich. - Rozorała sobie policzki paznokciami i zaczęła zawodzić straszliwym głosem: - Nieważne, kim jesteś, człowiekiem czy zwierzęciem, zabij ich!

Maeniel cofnął się, przerażony jej histerią i zaciekłością.

Złapała kamień z ogniska. Cisnęła nim w twarz Maeniela. Kamień rozciął mu policzek.

Nadal w szoku dotknął rany palcami i zobaczył, że krwawi. Kolejny kamień uderzył go w czoło; następny w żebra.

Odwrócił się i pobiegł śladem Rzymian. Nie musiał biec daleko. Jeden z żołnierzy został nieco z tyłu, zabezpieczając odwrót. Jako wilk Maeniel był niebezpieczny; jako człowiek był łatwym celem. Droga biegła wzdłuż skalnej ściany, nad głębokim urwiskiem. Wózek ledwo się na niej mieścił.

Rzymskie pilum trafiło Maeniela w mostek i prześliznęło się po żebrach, nie czyniąc zbytnej szkody. Maeniel zatoczył się w tył, upadł i sturlał się w dół przepaści. Spoczął nieruchomo na twarzy.

Żołnierz nie zamierzał schodzić po niepewnym gruncie i sprawdzić, czy zabił przeciwnika. Jeszcze mój koń złamie sobie nogę, a drogo kosztował – pomyślał. – Poza tym, żaden człowiek nie przeżyje takiego upadku. Spiał konia ostrogami i podążył za resztą.

3

Dryas usłyszała głosy, jeszcze zanim dotarła do chaty Mira.

- On wie, że ona żyje, i chce ją mieć z powrotem!
- Wielkie nieba! - To był Mir. - Czy zdaje sobie sprawę z jej stanu? Czy nie dość...

Zakołysały się gałęzie pobliskich krzaków. Dryas sięgnęła po miecz, ale dostrzegła przykucniętą młodą żonę Mira. Słońce wiszące nad koronami drzew oświetlało twarz i ramiona szalonej. Wytrzeszczając szeroko oczy, roniła w milczeniu łzy.

- Powiedz mu, że nie żyje! - krzyknął Mir.
- Nie uwierz! Wie, że to nieprawda. Gdzie ona jest? Wezwij ją!

Ciebie posłucha. Przestań mi się stawiać, staruchu!

Rozległy się odgłosy szarpaniny i w chwilę później z chaty wyłonił się Mir. Popychał go jakiś rostry mężczyzna. Trzymał starca za kołnierz i dźgał go w plecy rzymskim mieczem, gladiusem.

- Ostrzegam cię...

Mir odwrócił się i splunął mu w twarz.

Tamten przerzucił miecz w dłoń i ciężką żelazną głowicą uderzył Mira w policzek.

Starzec padł na kolana. Krew pociekła mu z twarzy. Wyglądał na oszołomionego.

Dryas dech zaparło ze zgrozy. Nie słyszała, aby ktoś pohańbił męża tak wiekowego i czcigodnego jak Mir. Nawet ogarnięta gniewem na Blaze'a nie pomyślała, żeby tknąć Mira. Przecież starcy z zakonu Mira mieli nawet władzę przerwać bitwę, wkraczając między walczące strony, tak wielkim szacunkiem ich otaczano.

Dryas nigdy nie widziała, by któryś z nich stał się ofiarą szarpaniny, co dopiero by był bity jak zuchwały sługa. Nawet szalona wyglądała na głęboko wstrząśniętą.

Dryas strzeliła palcami, chcąc zwrócić uwagę dziewczyny. Zlana łzami twarz odwróciła się ku Dryas.

Dostrzegła znak nakazujący ucieczkę.

Posłuchała polecenia i rzuciła się w górę wzgórze na czworakach, jak wystraszone zwierzę, aż udało się jej poderwać na nogi. Szybko pomknęła między drzewa.

Nieznajomy nadal wrzeszczał na starca.

Dryas dobyła miecza i popędziła na ratunek Mirowi. Mężczyzna tak znęcał się nad starcem, że nie dostrzegł zagrożenia. Kiedy jednak Dryas znalazła się na odległość wyciągniętego ostrza, ujrzał ją i zareagował w zdumiewający sposób.

Wydał pisk jak rozzłoszczona baba, nie jak mężczyzna. Cisnął miecz w jedną stronę, a sam rzucił się na łeb, na szyję w drugą.

Mimo że z całych sił przebierał nogami, Dryas była szybsza, tym bardziej że chociaż dał się ile sił w płucach, to najbardziej wydawał się przejęty tym, aby nie zabrudzić togi i tuniki, podkasał je bowiem wysoko.

Kiedy dobiegł do pola fasoli na skraju polany, obejrzał się. Dryas była o krok, z mieczem w jednej dłoni i płaszczem przerzuconym przez drugą rękę.

Miał przed sobą drzewo. Żadna wiewiórka nie wdrapałaby się na nie tak szybko jak on. Dryas była przekonana, że wykorzystał paznokcie u nóg i rąk, śmigając po pniu, a kiedy już dosięgnął pierwszych gałęzi, popędził dalej jak po drabinie.

Na nieszczęście wierzchołek niskiego dębu złamał się kiedyś podczas burzy i najwyższe gałęzie wyrastały zaledwie na wysokości dwudziestu stóp nad ziemią. Przysiadł na ostatniej i zaczął wydawać dźwięki, których pozazdrościłby mu każdy pies wyjący do księżyca.

Dryas wsunęła miecz do pochwy i przesywała uciekiniera wzrokiem. W chwilę później u jej boku zjawiał się Mir. Ocierał twarz. Od prawej brwi biegła mu wielka purpurowa opuchlizna, ale patrzył trzeźwo i ręce mu się nie trzęsły. Indywiduum na drzewie nie przestawało się wydzierać.

- Firminiuszu! - krzyknął Mir. - Przestań!
- Firminiuszu? - powtórzyła Dryas. - To Rzymianin?
- Ktoś w tym rodzaju - odparł Mir. - Częściowo. Troszeczkę. Chwilami.

Nie zawsze. - Sięgnął po kamyk i precyzyjnie trafił Firminiusza w bok głowy.

Wycie przeszło w skrzek.

- Powiedziałem, przestań! - powtórzył Mir.

Firminiusz zamilkł. Spojrzał z wściekłością na Dryas, raz, drugi i mało nie spadł z drzewa.

- Och, bogowie moi! To kobieta! Och, na wszystkie świętości. To jedna z tych kobiet! Och, na Zeusa, na Apolla, na Minerwę, na trzy Gracje i dziewięć muz... to jedna z tych KOBIEET!!! Mir, musisz mi ją zaraz sprzedać. Zaraz, zaraz. Już. Teraz! Rzym dostanie kręcka na jej punkcie. Będą ją nosić na rękach. Czy one naprawdę walczą nago? Powiedz mi, że walczą nago. Będzie walczyć nago? Och, o jejku. Och, na wszystkie świętości, Amazonka. Prawdziwa, żywa Amazonka!

Mir zajęczał głośno i oparł się czołem o drzewo.

Firminiusz wspiął się na palce, balansując na gałęzi. Zaczął wyć:

- Ratunku! Ratunku!

Dryas w jednej chwili wspięła za nim na drzewo. Nie wiedziała, kogo wzywa i czy w ogóle ktoś jeszcze poza nimi jest w zasięgu głosu, ale nie mogła ryzykować.

Firminiusz dostrzegł, że kobieta jest blisko. Przesunął się na koniec gałęzi i wybił na oślep w powietrze, niczym skoczek, który daje susa z wysokiej skały do jeziora. Z trzaskiem przebił się przez gałęzie małej sosny, potem przez gruszę, rozplaszczył ozdobny krzew głogu i z szaleńczym gdakaniem wylądował na grubym stosie wyschłych liści, pozostałych z ostatniej jesieni. Uniosły się wraz z kurzem, po czym opadły, okrywając ciało Firminiusza. Spoczywał bez ruchu.

Firminiusza trzeba było zanieść do chaty Mira. Oboje poczuli ulgę, kiedy zaczęli jęczeć.

- Łatwo ulega podnieceniu - wyjaśnił Mir. - Ale nie chciał zrobić mi krzywdy.

Dryas wydała nieartykułowane mruknięcie, wyrażając w ten sposób pewne niezadowolenie z roli tragarza Firminiusza i sceptycyzm co do dobroci jego serca.

Podczas gdy Firminiusz pił napar z ziół, Mir wyjaśnił mu dobitnie kilka spraw. Nie może sprzedać Dryas, gdyż nie jest jej właścicielem. Jego żona nie może zostać wysłana do Rzymu. Kalectwo i choroba za bardzo dają się jej we znaki.

- Mówię wam, ten człowiek mnie przeraża, absolutnie przeraża - jęczał Firminiusz. - Przeraża mnie nawet, kiedy jest o tysiące mil dalej, zabawiając się z tą suką czarownicą z rodu Ptolemeuszów, Kleopatram. Właśnie nią się teraz zajmuje. Przynajmniej tak mi się wydaje. A wiercie mi, moi drodzy, ona już nie wypuści ze

swoich złoconych paluszków takiego kochanka jak Cezar. Wierzcie mi. Założę się, że pracuje nad nim w noc i w dzień, na podłodze, na łóżkach, na sofach. W łaźni!!!
Wszędzie! Po prostu wszędzie!

Dryas pomyślała, że przez Firminiusza przemawia lekka zazdrość.

Oddał Mirowi gliniany kubek z prośbą o jeszcze jedną porcję.

- Co to? Nie, nie mów mi. I tak bym nie pojął. Pewnie włosy by mi stanęły dęba i nie chciałbym wypić. Cudowne, rozluźniające. Głowa prawie przestała mnie boleć. Nie wiem, jak ci dziękować.

Mir sięgnął po dzban i napełniał kubek.

- Teraz powiedz mi, Firminiuszu, o kim mówisz? - spytał.

- Rzecz jasna o Cezarze. - Firminiusz zamrugał kilkakrotnie.

Wzrok miał nieco zamglony.

- Po co mu moja żona?

- Och, nie powiedziałem?

- Nie, nie powiedziałaś.

- Jest krewną tego okropnie włochoatego człeka. Tego w Brytanii.

Kunobe... albo inaczej. On uważa...

- Kto? - spytał Mir.

- Cezar, oczywiście. Uważa, że po powrocie ze wschodu będzie musiał zająć się Brytanią... wiecie, podbić ją.

- Nie - powiedziała Dryas, chodząc tam i z powrotem po chacie Mira. - Nie, nie mogę do tego dopuścić. Cezar już był w Brytanii. Nie masz pojęcia, jakie spustoszenie zostawił po sobie.

- Czyżby? - spytał z goryczą Mir.

- On musi zginąć! - krzyknęła Dryas.

Byli sami, Firminiusza nieco wcześniej odniesiono w hamaku pełniącym funkcję lektyki. Napar Mira zrobił swoje.

- Moja droga, moja droga - szepnął cicho Mir - gdybyś znalazła na niego jakiś sposób, byłbym ci bardzo wdzięczny. Ale jak do tej pory nie wymyśliłem niczego, co doprowadziłoby go do upadku. Jak mówi Firminiusz, on jest bardzo potężny i przebywa niezwykle daleko od nas. Gdzie nam do niego. Zabij dla mnie

nocnego myśliwego, a potem wracaj do ojczyzny i ostrzeż swój lud. Nie możemy nic więcej zrobić.

Dryas wpatrywała się w rozjaśniony słońcem świat za progiem. Może był sposób. Spytała machinalnie:

- Co stanie się z Firminiuszem?

- Nic - rzekł Mir. - Będzie spał przez kilka godzin, potem się ocknie i pewnie zje znakomity obiad przygotowany przez jego niewolników. Mojej żonie nie zrobi nic złego. Będąc między młotem i kowadłem, wymyśli coś, żeby to pierwsze go nie zmiażdżyło. Ale okazał niezwykle zainteresowanie twoją osobą. Widocznie uznał cię za niezwykle cenny towar. Strzeż się. Nie życzę ci, byś wylądowała na targu niewolników w Rzymie. Sprzedaliby cię jako kobietę gladiatora. Są ludzie gotowi zapłacić wysoką cenę za taką nowinkę. Rzymianie uwielbiają nowinki. Ale pożyłabyś niedługo. Bardzo niedługo.

Człowiek-wilk leżał w przepaści przez długą część dnia. Budził się z omdlenia i znów tracił świadomość. Słońce wiszące wysoko na niebie nie pozwalało na przemianę. Walczył ze słabością opanowany lękiem, że żołnierz powróci i go zabije.

We śnie nawiedziła go wizja. Leży na plaży. Nad nim wyrasta gigantyczny grzywacz. Fala zastyga, po czym upada, pieniać się wokół jego bezradnego ciała i wciąga je w morze. Jest człowiekiem, unoszącym się bez tchu w jadeitowej głębi, potem wilkiem, którego futro nasiąka wodą... Tonie z otwartymi ślepiami, bezradnie kłapie szczękami, spragniony powietrza i światła.

Druga fala dźwiga go na powierzchnię. Wilk łapie oddech. Trzecia wyrzuca na brzeg futrzany łachman.

Zapadł w jeszcze głębszy sen i widzi siebie, jak wędruje przez góry. Dwie burzowe chmury, jedna z północy, druga z zachodu, spotykają się w zielonej dolinie. Z wysokiej skały, na której stoi, spogląda na długie strugi deszczu, procesje mrocznych kapłanek odzianych w szare welony, kroczące nad zielonymi kotlinami, widzi turnie ukoronowane powykręcanyimi drzewami. Najwyższe wierzchołki są oznaczone strugami i pocętkowane śniegiem.

Chmur tworzą znak V zbiegający się w dół. Ukoronowane bielą wydają się górami powietrza i światła; wysokie, przesączone alabastrową czystością, nieznaną

żadnemu ziemskiemu wzniesieniu. Nad burzowymi chmurami kołują ptaki widoczne na tle bladego błękitu nieba.

Nagle Maeniel czuje, że samoświadomość, myśl i wiedza skupiają się w coś tak ostrego, tak drobnego, iż mogłoby prześliznąć się przez ucho igielne lub zmieścić w wiecznie zmiennym kryształ, którego fasetki migocą w słońcu.

Ma skrzydła, jest orłem. Krąży z rozpostartymi skrzydłami, unosi się na ciepłych prądach powietrznych, opada w kaniony burzowego nieba.

„Ja” znika. Myśl znika. Nie kończąca się radość napełnia jego umysł, gdy wkracza w piękno odwieczne jak świat. Oto całkowita prostota. Wystarczy być, teraz, zawsze. Granice świata zniknęły. Na wieczność.

Wspomnienia wilka są stare, ale pamięć orła jest bezczasowa. Unosi się pewnie nad światem, w którym rządzą drzewa o pniach dziesięć razy grubszych i trzy razy wyższych, niż widział jakikolwiek żyjący ptak. Korzenie drzew rozsadzają skałę jak kliny, jak gigantyczne szpony. Kolumny pni są dziwnie nagie, o drobnych kosmatych szyszkach i niewielkich puszystych liściach. Trwają nad pozbawionymi kwiatów, wilgotnymi parowami i dolinami zasnutymi mgłami. Panuje tam zielony mrok, w którym walczą między sobą potwory, rycząc pod parasolami paproci i sagowców.

Maeniel znów poczuł dziwny lęk przed samozatrąą i opuściła go prosta, ale chyba nieśmiertelna świadomość, po wielekroć starsza niż świat.

Obudził się, kiedy cienie ogarniały przepaść. Nadal był człowiekiem, ale kiedy się budził, wilcze kształty pokryły go niczym gruba opończa.

Wstał na drżących nogach. Człowiek zostawił na skałach gęstą skorupę zaschłej krwi. Jednak wilk był zdrow i cały.

Łatwo wspiął się na drogę. Za dnia lato rządziło górami, ale z nadejściem nocy ciepło uciekało i w powietrzu wisiał ostry chłód.

Mimo odejścia słońca niebo pozostało jasne. Wilk czuł niezwykle pomieszanie. Wyczuwał... nie, wiedział... że wbrew swojej woli wciągnięto go głęboko w szalone ludzkie sprawy.

Pośpieszył do gospodarstwa. Z nadejściem mroku księżyc stawał się coraz wyraźniejszy i jaśniejszy. Kiedy dotarł do spalonych ruin, srebrny wędrowiec panował niepodzielnie na niebie.

Cienki warkocz dymu snuł się z pogorzelska. Zboże szumiało i szeptało w rosnącym powiewie nocnego wiatru. Nie spłonęło, gdyż jeszcze nie zbrązowiało; wciąż zielone czekało na żniwa.

Ci, którzy przeżyli, odeszli - Imona i Kat. Nos powiedział mu, że ranna Kat przeżyła. Zbitka pozostałych woni świadczyła, że inni zjawili się z pomocą, kiedy on sam pobiegł za Rzymianami. Ruiny przeszukano i ratownicy zabrali wszystko, co mogło się przydać. Nikt nie miał tu powrócić.

Pozostała tylko jedna ofiara grabieży - Leon, przybity nożami do drzewa. W świetle księżyca otwarte oczy lśniły ohydłą imitacją życia, a kiedy wilk przyjrzał się dokładniej, zauważył, że źrenice trupa okryła nieprzejrzysta mgła śmierci. Płótno Imony i krosno nadal leżały u stóp ukrzyżowanego.

Basior usłyszał z oddali nawoływanie gromady. Była głodna. Kilka nocy temu zabiła łosia i chociaż ucztowano długo i do syta, pozostała tylko ogryziona czaszka, kilka kości długich i szczątki zadu. Wilki odespały już biesiadę i kiszki grały im marsza.

Stał, milcząc, podczas gdy zew osiągnął crescendo. Każdy wilk dodawał własny głos, upiorną identyfikację, do posłania przenikającego lodowate powietrze.

Słuchał i wciąż milczał. Porzucone pole jęczmienia szeptem ogłaszało próżną nowinę o bujnych plonach - plonach, których nikt nie zbierze. Na lesistych wzgórzach nawoływały się sowy. Ostatni węgielek pogorzelska rozjarzył się w nocnym wietrze i zgasł. Drzewo dźwigało martwy owoc. Stopy zwisały tuż nad ziemią. Czemu go marnować?

Uniósł pysk i zawył do posrebrzonego księżycem nieba.

4

Imona uświadomiła sobie swój los, kiedy słuchała przekleństw Kat. Sposób, w jaki ją traktowano, wyjaśnił wszystko. Ratunek, jeśli można było to tak nazwać, pojawił się długo po tym, jak rzymski od-działek znikł na górskiej drodze.

Sąsiedzi, ujrawszy dym, pośpieszyli z pomocą. Ujrawszy, co się wydarzyło, wpadli w gorączkowe przerażenie. Rzymski obóz będzie zachwycony pretekstem do srogiej zemsty. Przeklęli i opluli trupa Leona. Zostawili go tam, gdzie wisiał.

Kiedy pojawił się Mir, dyskutowali zacierzewieni, czy zabić Imonę i Kat. Starzec wprowadził odrobinę spokoju. Zgodnie z jego poleceniami zanieśiono martwych i rannych do najbliższego *oppidum*, warownego miejsca, nie zajętego przez Rzymian, i wysłano ostrzeżenia we wszystkich kierunkach.

Po dwóch dniach Rzymianie dokonali oceny sytuacji. Wyruszyli w górę, paląc wszystkie gospodarstwa i zabijając każdego z plemienia Mira, kto wpadł im w ręce. Na szczęście Mir nie był głupcem i przygotował swoją gromadę na atak. Większość uciekła w lasy. Tam gdzie plony dojrzały, urządzono żniwa. Zapasy żywności ukryto.

Kiedy spadły pierwsze śniegi, rzymskie kohorty musiały się wycofać i przygotować na spotkanie zimy, srogiej pory roku nawet w stosunkowo osłoniętym regionie, w którym trzymali prowizoryczny garnizon.

Burza ich gniewu minęła. Lud Mira przeżył... przynajmniej w większości.

Tymczasem Imona nabrała pewności co do swego dalszego losu. Kat mieszkała z krewnymi męża. Imona dowiedziała się od strażników, że przeważnie leży odwrócona twarzą do ściany i lamentuje. Odwiedziła więźniarkę tylko raz, po to, żeby skłąć ją od najgorszych i rzucić się na nią z pazurami. Imona odetchnęła z ulgą, kiedy wyciągnięto Kat z celi.

Oppidum miało skromne rozmiary. Wszystkie większe i ważniejsze miasta uległy zniszczeniu podczas marszu Cezara. Było takie jak inne - obronny grodek na wzgórzu, otoczony kilkoma zabudowaniami. Zaspokajało potrzeby wiejskiego ludu, zbierającego się od czasu do czasu podczas targów i świąt. Stało na obrzeżu wpływów rzymskiej potęgi - w Alpach. W ciągu roku mieszkało w nim stosunkowo niewielu ludzi. Rzymianom nie zależało zbytnio na ustanowieniu w nim swojej

władzy, co nie przeszkodziło im wdrzeć się przynajmniej raz za ostrokół i spalić domy.

Imonę więziono w szopie służącej niegdyś za tkalnię, a także za pomieszczenie do trzymania niewolnic, kobiet z innych plemion, pracujących w mieście. Funkcję okien spełniały niewielkie szczeliny w ścianach, a ponieważ tkaczki potrzebowały światła, szczelin było wiele. Wąskie belki na pierwszy rzut oka robiły wrażenie prętów z wikliny. W rzeczywistości nie były wiklinowe i miały twardość żelaznych prętów. Temu więzieniu nie dało się nic zarzucić i nikt nie mógł się z niego wyrwać. W kącie umieszczono osłonięte palenisko. Otwór w dachu służył za komin.

Podczas jazdy do *oppidum* dostała luźną bawełnianą tunikę, a w nocy opiekun wręczył jej ciężki wełniany płaszcz. Miała na sobie oba okrycia i kucąca przy palenisku, kiedy do izby wszedł Mir.

Powstała i podeszła ku niemu. Przyodziął się zgodnie z rytuałem: w długą białą szatę i srebrną koronę zdobioną złotymi ptakami. Ptaki poruszały się przy każdym ruchu głowy Mira, jakby chciały zerwać się do lotu. Owinął się szerokim pasem skórzanym, u którego wisiał stary krzywy miecz z brązu. Tępa, zewnętrzna strona głowni była przepięknie spatynowana na zielono, a wzdłuż niej biegł srebrny cyzelunek przedstawiający szereg postaci. Ostrą wewnętrzną krawędź wyszlifowano jak brzytwę.

Mir trzymał w jednej ręce zwój, w drugiej złoty torques, szeroką obręcz wkładaną na szyję, zdobioną wizerunkiem lwiego łba. Bez słowa podał zwój Imonie. Rozwinęła go i zaczęła czytać.

Łzy zakręciły się jej w oczach, kiedy poznała pismo ojca.

„Najdroższa córko, mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Przede wszystkim dlatego, że wieści, które mam Ci do przekazania, nie są najlepsze. Jutro będziemy walczyć z Cezarem. Już przegraliśmy jedną bitwę i, moja droga córeczko, bardzo lękam się, że jutro przegramy następną. Nasze statki handlowe nie dorównują jego triremom, ale musimy walczyć. Dla męża lepiej jest umrzeć szybko w walce, niż patrzeć, jak ulega zniszczeniu wszystko, co kochał. On niewątpliwie napisze swoim przyjaciołom w senacie, że ja, król Wenedów, nie dałem mu wyboru. Oczywiście to będzie kłamstwo. Zaproponowałem mu pełną kapitulację, zakładników, haracz, całe nasze złoto, jeśli tylko oszczędzi mój lud. Zaproponował, że oszczędzi nas tylko

wtedy, jeśli pójdziemy w niewolę i będzie mógł nas sprzedać chciwym handlarzom niewolników, którzy ciągną za nim wszędzie.

Poznawszy takie «warunku kapitulacji», rada plemienia głosowała za walką. Zrobiliśmy, co się dało, dla naszych kobiet i dzieci. Posłaliśmy ich do Albionu, Białej Wyspy za morzem. Twoja siostra i córki udały się do naszych tamtejszych sojuszników. Twoja matka, ku mojemu wielkiemu smutkowi, odmówiła; powiedziała, że beze mnie świat jest dla niej pusty. Lecz przesyła Ci wyrazy miłości i prosi, żebyś pamiętała, iż nie ma nic cenniejszego nad honor.

Powtarzam: myślę, że poniesiemy klęskę. Jak się to mówi, nawet najlepszy żeglarz jest bezradny, kiedy wiatr i morze są mu przeciwne. Jedno i drugie sprzyja Rzymianom. Przegramy. Lecz, moja córeczko, pamiętaj, że wiatry są zmienne, a nie ma nic bardziej niestałego niż przychylność bogów morza. Niestety, nie stoją oni dziś po naszej stronie. Tak więc żegnaj i bądź pozdrowiona".

Imona milczała przez chwilę. Z dworu dobiegały okrzyki dzieci bawiących się w chowanego, w ten sposób dzieci bawią się od tysiący lat i będą bawić się przez następne tysiące.

Imona złożyła list i wsunęła go za przepaskę, między piersi.

Mir podał jej torques, ale go nie przyjęła.

- Jak długo ukrywałeś to przede mną, starcze?

- Przez lata - przyznał ze smutkiem Mir. - Lata minęły od jego śmierci.

Ale mimo to twój widok nadal budził w nas nadzieję na odrodzenie szczęścia. Wierzyłem, że nawet gdyby Leon nie otrząsnął się z otępienia, to jakoś ułożysz sobie życie. I wkrótce udało ci się osiągnąć namiastkę spokoju, a nadzieja, chociaż wątła, też grała pewną rolę. Czyż nie mam racji?

- Zapewne tak - odpowiedziała bezbarwnym tonem.

Ktoś przywołał bawiące się dzieci w języku, który przypominał bardziej psi warkot niż ludzką mowę. Imona przypomniała sobie, gdzie jest, że utraciła nawet ten skromny spłachetek ziemi, jaki miała wśród plemienia Mira.

Kobieta surowo zakazała dzieciom bawić się w pobliżu tkalni i jej ponurej mieszkanek, gdyż inaczej grozi im, że ciemne moce, które się tam zagnieździły, wyssą z nich siły życiowe.

- Jak umarli? - spytała Imona.

- Ona zażyła truciznę. On posłużył się mieczem, jak przystało wojownikowi, złożył siebie w ofierze, aby jego moc przeszła na tych członków plemienia, którzy przeżyją, żeby chroniła ich w niewoli i w innym świecie.

Przyjęła od niego torques.

- Zadbaj o to, żebym dostawała pszenicę i owsiankę i mogła gotować sobie strawę? Żeby dostarczano mi drewno do paleniska, które nie pozwoli mi marznąć w nocy?

- Tak, lecz obawiam się, że prędzej znajdą tu żytne chleb i podpiwek.

- Wystarczy - szepnęła.

- Jesteś naszym ostatnim, największym klejnotem. Wszystkie wielkie rody wyginęły, a bogowie nigdy nie obdarzą królewską władzą zhańbionego ludu.

Włożyła torques.

- Jeśli tego się obawiasz, starcze, postaram się z całych sił.

Odwróciła się i podeszła do wygasłego paleniska. Kiedy wróciła spojrzeniem za siebie, Mira już nie było. Wiedziała, że ujrzy go tylko raz i już nigdy więcej. Być może będzie to ostatni widok, jaki zobaczy za życia.

Dryas znów spała na hali. Przebyła ścieżkę łatwo i szybko. Kiedy wkroczyła na polanę przed domem Mira, przekonała się, że znów ma gości. Westchnęła na widok Firminiusza, ale z ulgą stwierdziła, że jest znacznie spokojniejszy niż poprzednio. Obok niego siedział na krześle i rozkoszował się pięknym porankiem inny mężczyzna, wysoki przystojny blondyn, odziany jak na polowanie. Miał na sobie tunikę i spodnie jeźdźca. Opodal pasły się dwa konie. Szczupła, długonoga klacz mysiej maści z wymyślnym i miękkim siodłem niewątpliwie należała do Firminiusza. Drugi wierzchowiec, potężny kary z lekkim siodłem, musiał należeć do myśliwego.

Połowanie było udane. Pół tuzina zajęcy wisiało rzędem z rybami na gałęzi drzewa, a opodal młody jeleni. Wszystkie zwierzęta wprawnie wypatroszono, wnętrzności i gruczoły zapachowe usunięto.

Mir i jego dwaj goście wiedli cichą rozmowę, gdy Dryas bez szmeru wyszła ze skropionego złotym blaskiem lasu.

Myśliwy dostrzegł ją pierwszy. Dryas poczuła, jak świdrujące spojrzenie namierza ją i prowadzi na długo przed tym, nim patrzący zdradził najmniejszym znakiem, że dostrzegł przybysza.

Jest zabójczo sprawny - pomyślała. Pod szopą złotych włosów krył się bystry umysł. Zauważyła również pęk lekkich oszczepów przytroczony do siodła karego.

Firminiusz wreszcie ją spostrzegł.

- Och, jest, to ona, to ona! - zapiszczał.

Myśliwy skinął głową.

- Wiem. Tak pomyślałam, kiedy spostrzegłam, że wynurza się spomiędzy drzew.

- Fulwio! - Firminiusz dał sójkę w bok swojemu towarzyszowi.

- Masz oczy bystrzejsze niż większość mężczyzn. Ach, ale byłby z ciebie żołnierz.

Fulwia! - pomyślała Dryas. - Kobieta! Wizerunek młodego mężczyzny, jaki stworzył jej umysł, zadrżał i rozbił się na tysiące fragmentów, niczym odbicie na poruszonej tafli jeziora. Tak, to była kobieta. Miękki zarys piersi, nieco zbyt szerokie biodra, delikatna cera, wszystko to sygnalizowało kobiecość. Wszyscy jesteśmy igraszką w dłoniach bogini złudzeń - pomyślała Dryas. Ubrana w strój myśliwski kobieta powstała na przywitanie Dryas.

Była piękna. Szczupła w talii, prosta jak trzcina, o ciężkich piersiach. Nosila ubiór barwy kremowej. Była też największą kobietą, jaką Dryas kiedykolwiek spotkała, i chociaż nie miała na sobie fałdki tłuszczu, z pewnością ważyła sporo. Dryas nie była ułomkiem, ale ta kobieta przerastała ją o pół głowy.

Trójka - Mir, Firminiusz, Fulwia - siedziała wokół metalowego stoliczka niemal ginącego w trawie. Fulwia położyła dłoń na ramieniu Dryas.

- Pogońtaś go na drzewo, co? - Wybuchła śmiechem.

- Nie uważam tego za wielkie zwycięstwo - odparła Dryas. - Zwykle nie reaguję tak gwałtownie, ale on nie powinien zachowywać się tak brutalnie względem Mira.

Mir dotknął palcami śladu opuchlizny na skroni.

- Amazonka! - wykrzyknęła polująca kobieta. - Obiecałeś mi prawdziwą Amazonkę. Ale tak naprawdę nie wiemy, jak jest dobra, prawda? Nie wiemy? - Zwróciła się do Mira: - Założę się, i to o dużo, że każdy gladiator w Rzymie położy ją na tyłku albo nawet na plecach, nim zdążę pstryknąć palcami. - Fulwia zarechotała, demonstrując, jak długo by to trwało.

Dryas uśmiechnęła się. Wiedziała, że Fulwia bierze ją pod włos.

- Może. - Uniosła brew, wydeła wargi. - Ale to zależy, czym będzie dysponował. Poza mieczem, oczywiście. Walka na śmierć i życie to nie jedyny rodzaj współzawodnictwa. Nawet zapasy to jeszcze nie największa zabawa.

Fulwia zaniósła się serdecznym śmiechem. Firminiusz miał kwaśną minę.

- Pięknie, tylko nie oczekuj po mnie, że ją ujarzmię. To prawda, stanowiłaby ciekawostkę, ale jak długo by przeżyła? Nie chcecie chyba mi powiedzieć, że ta kobieta - niezbyt rośla kobieta - jest odpowiednim przeciwnikiem dla tych wspaniałych morderców, których macie w rzymskim *ludus*. Poza tym, kiedy lanista zobaczy kobietę, dostanie szału. Po prostu dostanie szału.

- Zrobi, co mu każę - rzekła Fulwia. - Ni mniej, ni więcej. Naprawdę chciałabym się przekonać, czy w ogóle się nadajesz.

Dryas skłoniła uprzejmie głowę, myśląc: Bogowie, cóż za aroganckie stworzenia. Są przekonani, że cały świat istnieje dla ich rozrywki i powinniśmy być wdzięczni, że zaspokajamy ich zachcianki.

Fulwia podeszła szybkim krokiem do konia i wróciła z dwoma oszczepami.

- Umiem ciskać włócznią dalej niż większość mężczyzn. Zobaczmy, jak ty się spiszesz. - Sprawdziła wyważenie oszczepu. - Widzisz tamtą czarną brzozę? - Wskazała na wysmukłe drzewo rosnące na skraju polany. Światło przedpołudnia wydobywało odcienie szarości i srebra na łuszczącej się korze.

Drzewo było w odległości piętnastu kroków. Oszczep frunął i zadygotał w pniu. Drzewo zatrzęsło się, roniąc zielono-brązowe liście na soczystą trawę.

Dryas sprawdziła wyważenie drugiego oszczepu, jego ciężar. Żeleźce lekko opadało w dół. Dobra broń - pomyślała.

Fulwia przyglądała się jej krytycznie.

Dryas skupiła się na oszczepie wbitym w pień. Zmieniła postawę, stanęła na lekko rozstawionych nogach. Przesunęła dłoń wzdłuż drzewca, szukając punktu idealnej równowagi. Kiedy go znalazła, cisnęła oszczepem.

Zatoczył łuk wyższy niż broń Fulwii, a potem spadł z błyskiem i grot ukształtowany w kształcie liścia zanurzył się głęboko w pniu, nieco wyżej niż jego poprzednik.

- Zdziwiająca! - wykrzyknęła Fulwia. - Strasznie chciałabym z tobą polować. Twoje ostrze wbiło się głębiej niż moje. Gdyby to był jeleni albo łoś, już by nie żył. Muszę się przekonać, jak władasz mieczem.

- Tylko drewnianym - rzekła Dryas. Mówiąc to, odpięła pas z bronią.
- Mir, masz jakieś drewniane miecze? - spytała rozkazującym tonem

Fulwia.

Mir wstał i poszedł do domu.

Ona traktuje ból innych z rubasznym lekceważeniem, z chłodnym egoizmem, tak że jej okrucieństwo jest odruchowe - pomyślała Dryas.

Mir wynurzył się, niosąc kilka ćwiczebnych mieczy. Rzucił je na stolik.

Fulwia wybrała krótki egzemplarz o szerokim ostrzu, bardzo przypominający hiszpański miecz służący legionistom.

Dryas krytycznie oceniła drewniane ostrza i wybrała dłuższe.

Fulwia przerzucała ćwiczebny oręż z ręki do ręki. Z lewej do prawej, z prawej do lewej.

Szykuje się do jakiejś sztuczki, sprytnej w jej mniemaniu - pomyślała Dryas. Nie chciała doprowadzić do jakiegoś przypadkowego nieszczęścia. Odsunęła się od mężczyzn zasiadających przy stoliku i zeszła nieco niżej, jako że wzgórze w tym miejscu opadało ku strudze. Fulwia poszła za nią i Dryas poczuła, jak strach podnosi jej włoski na karku. Była pewna, że ta kobieta zamierza ją zranić. Nie wiedziała dlaczego. Była z natury agresywna? Chciała pomścić upokorzonego Firminiusza? Wychwalał jej męstwo. A może chodziło o najzwyczajniejszą zimną chęć dominacji, którą Dryas spotykała u tak wielu mężczyzn i kobiet?

W rzeczy samej ktoś mógł tu zostać ranny. Miecze, chociaż drewniane, z powodzeniem zastępowały maczugi. Cios zadany przez tak potężną kobietę jak Fulwia mógł spowodować bolesny siniak albo nawet złamanie kości. Dryas wyczuła, że musi szybko skończyć ten pokaz szermierki.

Fulwia wyrzuciła miecz nad głowę. Zawirował wysoko i zaczął spadać. Klasnęła w ręce.

- Do której, mała wojowniczo? - krzyknęła. - Do lewej czy prawej?

Miecz w dłoni Dryas znieruchomiał. Tak, ma ten sam rozmiar i wagę jak lekki miecz, który noszę - pomyślała.

Fulwia złapała miecz w lewicę i prawie w tej samej chwili zadała potężne cięcie w lewe ramię Dryas.

Piękny cios - pomyślała Dryas. - Mniej poważny przeciwnik byłby załatwiony. Ale uznanie dla Fulwii nie przeszkodziło jej w kontrataku. Przyklękła na jedno kolano.

Miecz zaświstał nieszkodliwie nad jej głową. W tej samej chwili zadała pchnięcie w górę. Mocne, ale nie za mocne. Może Fulwia nie przejmowała się obrażeniami, które była gotowa zadać, ale Dryas nie była Fulwia.

Sztych trafił Fulwię w bok brzucha, tuż poniżej linii rozdętych żeber. Wypuściła głośno powietrze. Za bardzo przyłożyła się do cięcia i pochyliła cały korpus, tak że pchnięcie Dryas przyniosło efekt większy od zamierzonego. Padła na ziemię bez tchu, kompletnie obezwładniona.

Mir zachował nieporuszony wyraz twarzy, jedynie usta mu zadrżały.

Firminiusz wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Wyciągnął rękę zwiniętą w pięść, odgiął kciuk ku ziemi i krzyknął:

- Załatwiona. Poderżnij jej gardło, Amazoneczko.

Dryas nie wiedziała, o czym mówi; nie znała zwyczajów rzymskiej tłuszczy skazującej na śmierć pokonanego gladiatora. Opuściła drewniane ostrze i wycofała się, nie spuszczając oczu z Fulwii. Była zbyt dobrze wyszkolona, aby zbliżyć się do powalonego przeciwnika, bez względu na to, jak niepoważny charakter miało starcie, dopóki nie poznała stanu emocjonalnego i fizycznego jego lub jej.

Fulwia długo nie mogła dojść do siebie. Przez jej twarz przebiegało zażenowanie, smutek, gniew, ale nie wściekłość, a wreszcie coś na kształt podziwu.

Dryas zadawała sobie pytanie, czy nie popełniła błędu, pokonując Rzymiankę. Jeśli dałaby jej wygrać, Fulwia machnęłaby na nią ręką, uznając za kogoś bez znaczenia, ale teraz...

Fulwia chwiejnie się podniosła. Spojrzała jadowitym wzrokiem na rechocącego Firminiusza.

- Piękna robota - stwierdziła, kiedy odzyskała oddech.

- Dziękuję. - Dryas skłoniła głowę na znak szacunku i odrzuciła drewniany miecz na stół.

- Jesteś bardzo, bardzo dobra - ciągnęła Fulwia.

Dryas powtórnie skłoniła głowę.

- No cóż, ćwiczyłam przez całe życie. Zaczęłam, mając sześć lat.

- Zdziwiająca, w tak młodym wieku! - Firminiusz przyłączył się do komplementów. - Wydaje mi się, że myliłaś się co do *ludus*, moja droga. Jeśli mam być szczery, to chętnie zobaczyłbym ją w akcji przeciwko twojemu laniście. - Obliznął wargi z wyraźnym lubieżnym zachwytem.

Dryas po cichu szykowała się do ucieczki. Nie miała pojęcia, że *ludus* to szkoła szermiercza, w której szkolono niewolników na gladiatorów, a lanista to przełożony takiej szkoły, instruktor szermierki. Rozumiała tylko ponure ostrzeżenie w oczach Mira.

- Masz coś do pisania? - spytała Dryas. Mir powstał i wrócił z czystą woskowaną tabliczką i rysikiem. Napisała list i wręczyła go Mirowi. Następnie poszła po konia, który był przywiązany do altanki pod drzewami.

- Zaczekaj! - krzyknęła Fulwia. - Nie odchodź. Usiądź, naciesz się z nami pięknym przedpołudniem.

- Wybacz, pani, ale muszę się oddalić. Mam sprawy nie cierpiące zwłoki. Odjechała klusem, połą drogą.

Fulwia rozcierała bok, zagryzając zęby i pod nosem polecała Dryas „opiece” Furii.

- Dryas jest niebezpieczna - rzekł Mir.

Fulwia skinęła głową i Mir dostrzegł w jej oczach błysk pożądania.

Wilk przeciągnął się w jaskini. Słońce sięgało zenitu. Przespał przedpołudnie. Chmury zbierały się nad przełęczą. Uniósł łeb. Przez chwilę był zagubiony. Wiatr niósł ten sam zapach co wtedy, kiedy pierwszy raz posiadał Imonę w pobliżu wiatrołomu. Dźwignął łeb wyżej. Czuł ją. Był pewien, że stoi przed wejściem do jaskini. Ale zdał sobie sprawę, że woń bije od starej opończy, którą cisnęła dawno temu koło jaskini. Wiatr poruszył materiałem i przyniósł woń Imony.

Po wilczemu zakręcił się w miejscu, udeptując posłanie, i znowu zasnął.

Poprzednio szukał jej całą noc, idąc śladem tych, którzy ją zabrali; przeszedł góry i wkroczył na nieznane terytorium. Zatrzymał się tylko po to, żeby zeżreć nieostrożne kaczki śpiące nad brzegiem jeziora w dolinie. Dopadł pierwszej tak szybko, że wcale się nie obudziła, druga zdążyła jedynie otworzyć oczy i rozpostrzeć skrzydła, kiedy złamał jej kark.

Reszta stada uniosła się, łopocząc skrzydłami i głośno wołając na trwogę. Była to jedna z tych sytuacji, w których szybkość, z jaką wilk żarł pokarm, decydowała o przeżyciu. Zapolował na terytorium innej gromady. Wiedział, że przebudzenie ptaków zawiadomi tutejsze wilki o jego obecności. Ale w dwóch łykach przełknął posiłek i ruszył w dalszą drogę tak szybko, że miejscowa wataha odnalazła

tylko kilka śladów łap, gdy przybyła zbadać powód kaczego alarmu w środku nocy. O zachodzie księżyca przeciął dolinę i dotarł do gęstych mrocznych lasów. Nawoływania własnej watahy ściągnęły go z powrotem.

Trzask gromu przebudził basiora. Uniósł łeb. Wiatr wdarł się do jaskini, tworząc na podłodze miniaturowe tornada. Powiało chłodem i wilk zdał sobie sprawę, że zwodniczo piękna jesienna pogoda nie utrzyma się już długo.

Kusiło go, by ogrzać się pod szczątkami opończy lmony, ale mroczny smutek, kielkujący głęboko w sercu, zakazał mu tego. Cofnął się w głąb jaskini, znalazł osłoniętą niszę i znów zwinął się w kłębek, okrył pysk puszystym ogonem i zasnął.

Kiedy wrócił do stada, wiedział, że może jej nigdy nie odnaleźć. Po raz pierwszy w życiu miał rozdarte serce, kiedy walczył z myślami, pomysłami, do których analizowania wilczy mózg bynajmniej nie został stworzony.

Już złamał jedno odwieczne tabu, wzywając watahę do spożycia ludzkich szczątków. Nie znaczyło to, że wilki tak nie postępowały. Zarówno one, jak i drapieżne ptaki od początku czasu zjadały trupy na polach bitew, ale nie tak potężne i niezależne stada jak jego. Zostawiały takie postępowanie tym śmietnikowym łowcom, którzy wąłesali się i żarli w pobliżu ludzkich siedzib, na wpół uzależnieni od ludzkich odpadków - przypadkowo wygrzebanych trupów lub chorych, nierozważnych wyrzutków społeczności ludzkiej, których zabijało się bezkarnie.

Jego gatunek zapoznał się z ludzką agresją, gdyż miał do czynienia z młodymi wojownikami pragnącymi udowodnić swą męskość w pojedynkach z najpotężniejszymi basiorami. Czasami człowiek wygrywał i odchodził z pola walki odziany w wilczą skórę, nasadziwszy na głowę kaptur z łba zwierzęcia i zarzuciwszy przednie łapy na ramiona. Czasami to wilki oddalały się o własnych siłach, czasem liżąc rany, a czasem nie.

Wilki i jego towarzysze przed wiekami nauczyli się, czym są ludzie, polując razem na lodowcowych połaciach; lato było krótką porą roku, burzącym krew w żyłach majakiem, a zima ponurą dziesięciomiesięczną walką o przetrwanie. Plemię ognia zabijało swoje ofiary drewnianymi oszczepami i rozczłonkowały je kamiennymi nożami. Polowało w gromadach, jak wilki, i wszystkie stworzenia, nawet gigantyczny niedźwiedź, lękały się go.

Niezliczone razy jego szarzy bracia oddawali swój łup wędrownym ludzkim gromadom atakującym kamieniami i oszczepami. Ludzie byli bezlitośni wobec wszystkich, nawet wobec siebie.

Ludzki samiec nie dość silny, by polować z resztą wojowników, był zabijany podczas pierwszego egzaminu męskości. Samica nie dość silna, by po urodzeniu małego opiekować się nim i podążać za gromadą, była porzucana na łaskę wszechobecnych poszukiwaczy łatwego łupu, którzy polowali w ponurej mroźnej tundrze. Tak, wilki i jego gromada nauczyli się bać ludzi jak wszyscy inni.

Tamci nie zmienili się wiele od owej pory. Teraz stali się sprytniejsi i bardziej leniwi, ale w ich żyłach nadal płynęła ciemna krew okrutników. Bał się o Imonę.

Prawo gromady głosiło, że nie wolno mu porzucić swoich. Wewnętrzny głos podpowiadał, że Imona jest równie ważna jak stado i zasługuje na jego opiekę tak samo jak ono.

Rozwiązał problem, dotrzymując wierności watasze i kobiecie. Podobnie jak przed rokiem, była jesień. Dzika zwierzyna schodziła niżej, a pasterze również sprowadzali w doliny oswojone gromady.

Roje zwierząt przemieszczały się. Wilk uciał sobie jedynie krótką drzemkę, gdy wrócił o świcie do watahy. W połowie przedpołudnia podniósł się, a poirytowana reszta ruszyła za nim.

Pod wieczór dojrzał swoją szansę, wędrujące kozice górskie, które przemierzały najwyższe i najbardziej strome zbocza, rzadko padając ofiarą wilczych kłów i pazurów. Niedościągłe sprinterki wspinały się na półki, na których tylko jastrzębie zakładały gniazda, i zostawiały w tyle najzwinniejsze drapieżniki. Ale i one, podobnie jak ich więksi kuzyni, dzicy i oswojeni, czuły zbliżającą się zimę i szukały nowych pastwisk na wysokich halach.

Dorośle kozły oddaliły się gromadnie od samic i młodych. Była ich dziesiątka, pasły się na odstraszająco stromym stoku, pokrytym gęstą kosówką, która zdawała się wyrastać z nagiej skały. Poniżej były kamienne półki okryte świeżym śniegiem, a jeszcze niżej niestały płat śniegu, owoc zeszłorocznych lawin. Była to śmiertelna pułapka, lecz jeśli basior miał znaleźć Imonę, musiał zadbać o gromadę.

Same kozice były tak pewne swojego bezpieczeństwa, że zignorowały go, kiedy zszedł kilkanaście kroków w dół stoku. Kilka podniosło głowy, przyjrzało mu się

uważniej, lecz powróciło do poszukiwań wyschniętych kępek trawy i nielicznych zielonych gałązek, które pozostały na nagich krzewach.

Gdy skoczył, wilki uznały to za szaleństwo. Były zdumione, ponieważ wilki rzadko tracą zmysły.

Kozice rozbiegły się, najzwagsze schroniły na najbardziej stromej części zbocza, lecz, co nieuniknione, jakiś tuzin wylądował na śnieżnej pokrywie nad doliną. Wystarczy - pomyślał wilk.

Dolna część zbocza nie była tak stroma jak górna, lecz również schodziła ostro ku urwisku nad doliną. W środku zimy śnieg byłby tam zamrożony i utrzymałby kopyta tych lekkich zwierząt. W środku jesieni kozice dopadłyby piargu na półce. Ale pora roku akurat sprzyjała katastrofie.

Śnieg został nawiany na warstwę przymarzłej brei. Runął w dół, porywając kamienie, kozice i wilka w fontannie bieli. Drapieżnik i jego ofiary przekoziółkowali w powietrzu i spoczęli w dolinie.

Lęk przed upadkiem przyćmiewa wszystkie inne obawy zwierząt, lecz upadek nie trwa długo. Lęk przysłonił wszelkie myśli we łbie wilka, gdy ten gruchnął o ziemię.

5

Fulwia powróciła z Firminiuszem do swojej willi na lekki posiłek, spożywany przez Rzymian w porze wczesnego popołudnia. Jadła, stojąc w cieniu otwartej kolumnady wyznaczającej granicę między luksusowymi prywatnymi komnatami właścicieli i częścią roboczą, służącą również za mieszkanie niewolnikom i służbie.

W kolumnadzie były zasuwane drzwi. Mogły odgrodzić światek przepychu i wygody od obszaru trudu i niewygody, ale w tej chwili stały otworem. Fulwia przyglądała się służbie sprawiającej jelenia.

Firminiusz siedział tyłem do zakurzonego podwórca i patrzył na imponujący ogród tworzący wewnętrzny dziedziniec.

- Nie pojmuję, jak możesz znieść takie widoki, kiedy jesz. Zamknij drzwi, błagam cię.

Fulwia rozkoszowała się ciemnopurpurowymi winogronami. Ich gęsty sok poplamił jej usta.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Tobie może nie przeszkadzać, ale ja całkiem tracę apetyt - zajęczał Firminiusz.

- Świetna zdobycz, siostrzyczko, ale czemu się temu przyglądać, zupełnie nie pojmuję. - Te słowa wypowiedział szczupły młody człowiek, siedzący w oddaleniu od tamtych dwojga, na wyściełanym obficie poduszkami krześle zaopatrzonym w drągi dla tragarzy. Był bladej i dziwnie powykręcany. Jego twarz i ciało spoczywały w głębokim cieniu, światło muskało tylko stopę obutą w sandał.

- Pilnuję, żeby nie zepsuli mięsa - odrzekła Fulwia. - Jeśli zepsują, będą tego żałować. Jeleń był w świetnym stanie, nażarty jesiennymi owocami. Jestem pewna, że napchał się tarniną, dzikimi jabłuszkami i jeżynami. Skróciłam mu żywot bez zbytnich ceregieli; kiedy zależy mi na kawałku dobrego mięsa, nie uznaję długich pogoni. Załatwiłam go jednym rzutem oszczepu, kiedy posilał się gęstwina wodorostów. Muszę być pewna, że zostanie odpowiednio oskórowany i rozebrany, a mięso zawiśnie z dala od ciepła i wilgoci. Póki mam ich na oku, wiem, że pracują jak należy.

- Naturalnie. - Firminiusz sięgnął po szklany dzban i nalał sobie schłodzonego białego wina. - Jeśli coś spaprzą, pewnie mogą pożegnać się z życiem.

- Nie wiem, czy z życiem, ale z całą skórą... na pewno. - Młody człowiek na krześle westchnął.

Słudzy skończyli krwawą robotę; jeleń był spory. Oddali się z połciami mięsa przerzuconymi przez barki w kierunku najbliższych chat krytych strzechą, które otaczały podwórzec wybijany kocimi łbami.

Firminiusz dał znak służącemu. Ten podszedł i ściągnął wielkie żaluzjowe drzwi. W pokoju zrobiło się ciemniej. Sługa zbliżył się do Firminiusza i rzekł mu coś ściszonego głosem, po czym się oddalił.

Fulwia siadła na krześle obok i poczęstowała się winem oraz chlebem z serem.

- Jestem przekonana, że krowi ser z wysokich alpejskich pastwisk jest znacznie lepszy od mięsa - rzekła. - Posiłek z sera jest o wiele bardziej sycający niż pieczona wieprzowina czy...

Do pokoju weszli dwaj ludzie. Jednym z nich był odziany na czarno służący, który poprzednio zamknął drzwi. Prowadził niższego mężczyznę, trzymając go za ramię i krótki żelazny łańcuch biegnący do obroży na szyi. Zatrzymał się przed Firminiuszem i rzekł bez wstępu czy wyjaśnienia:

- Oto i on.

- Nie prezentuje się nadzwyczajnie. - Firminiusz zmrużył oczy, przypatrując się obu mężczyznom. Trójka siedziała w głębokim cieniu, a dwóch przybyłych stało w ostrym świetle, padającym z perystylu.

Fulwia wstała i rozsunęła wąskie deseczki w drzwiach. Białe światło wypełniło pokój.

- Nadal nie prezentuje się nadzwyczajnie.

Mówiła prawdę. Był niski, miał z pięć stóp wzrostu, może mniej. Krótkie kędzierzawe włosy przylegały do czaszki, w której lśniły duże piwne oczy; miał oliwkową cerę, jak ktoś spędzający wiele czasu na słońcu, i szczupłe ciało, nie na tyle jednak muskularne, żeby mogło należeć do atlety lub sługi zdatnego do jakiegokolwiek fizycznej pracy. Minę również miał nietęgą. Był niespokojny, wręcz przerażony i zagubiony.

- Kto to niby jest? - zwróciła się do Firminiusza Fulwia. Mężczyzna na wielkim drewnianym krześle wyglądał tak, jakby zapadł w drzemkę. Głowa opadła mu na piersi, zamknął oczy.

- Nowy medyk twojego brata!
- Co...! Ten? - Wyciągnęła mocarne ramię, gwałtownie wskazując drobnego mężczyznę. Niemal dorównywała mu wzrostem... siedząc.

Mężczyzna na wielkim krześle gwałtownie uniósł powieki. Chociaż mogło wydać się to niemożliwe, ale przedmiot oględzin wystraszył się jeszcze bardziej.

- Powiedziałaś... - Firminiusz przy każdym słowie dźgał palcem w poręcz krzesła, jakby chciał podkreślić swoje poirytowanie - ...żebym nakazał mojemu agentowi na Kos kupić najlepszego greckiego medyka. Nie żałować sestercji, przypomnij sobie, ma być najlepszy z najlepszych - a wszyscy wiedzą, że greccy medycy są najlepsi - i przysłać go tobie, bo jesteś bardzo niezadowolona z Hipposa. Nie leczy twojego brata i domaga się horrendalnego honorarium. Nie wykazywał odpowiedniej troski i narzekał tak, że aż dachówki spadały od jego gadania. Wydałem tyle pieniędzy, że matka bogów ich nie zliczy. Kosztował krocie, przekonasz się, kiedy przestawię ci rachunek!

Podobno w mieście, w którym się uczył i praktykował, cieszy się doskonałą reputacją. A ty zapominasz nawet o tym całym piekle, jakie mi zgotowałaś! Zbiera mi się na płacz. Będę płakał. Nie wystarczy ci, że ściągasz mnie do tego obrzydliwego barbarzyńskiego pałacu, pełnego obrzydliwych barbarzyńców, których bezbrzeżne prostactwo dniem i nocą naraża na nie kończące się cierpienia moją wrażliwość, ale przede wszystkim nie staje ci zdrowego rozsądku, żeby pomnieć, co mi rozkazałaś.

Fulwia wyrzuciła w górę ręce.

- Już dobrze, dobrze. Przysięgam na wszystkich bogów, że jest mi przykro. Najmocniej cię przepraszam. Wybacz mi. A teraz proszę, uspokój się.

- Naprawdę dlatego byłaś niezadowolona z Hipposa, że dawał mi bardzo małą nadzieję na przeżycie - warknął mężczyzna na wielkim krześle.

Firminiusz rozbeczał się. Wyjął z rękawa tuniki chusteczkę obszytą koronką i zaczął ocierać łzy.

Fulwia skoczyła na równe nogi. Dostała nagłych rumieńców, w oczach miała morderczy błysk. Okrążyła mężczyznę na krześle.

- Lucjuszu, zamknij się. Hippos to egoistyczny, chciwy kretyn. Gdybym miała psa, na którym mi zależy, nie oddałabym go w opiekę temu konowałowi. W najlepszym razie jest niekompetentny. W najgorszym - praktykuje czarną magię i robi skrobanki...

- Jasne, i to pierwszym damom Rzymu - dodał Lucjusz. – Byłem ciekaw, kiedy to zauważysz.

- Znakomicie. Zgodzisz się, że potrzebujesz innego medyka? - spytała Fulwia. - Tak trzymałeś się tamtego żalostnego gogusia, że bałam się poszukać kogoś zdolniejszego.

- Trzymał się go - warknął gniewnie Firminiusz - bo tamten drań za łąpówki robił wszystko, czego on chciał.

- Czy to prawda?! - Głos Fulwii mógłby ciąć marmur.

- Mniej więcej - przyznał nieco zawstydzony Lucjusz.

- Dobrze - zasyczała, wskazując na człowieka nadal trzymanego przez służbę - teraz masz nowego medyka i jest wyłącznie do twoich usług. Słyszysz? - Zmierzyła wściekłym wzrokiem niewolnika. - Ty chudzielcu. Lepiej, żebyś był tak dobry, jak cię reklamowano, bo inaczej w dniu, w którym mój brat umrze, zostaniesz ukrzyżowany.

Zbladł jak chusta.

Lucjusz podciągnął się na krześle.

- Nie zrobisz tego! - huknął.

Fulwia cofnęła się, na chwilę wytrącona z równowagi tonem głosu Lucjusza. Dźwięczał w nim autorytet *pater familiae*, ojca rodziny decydującego o życiu i śmierci kobiet, dzieci i niewolników.

- Fulwio, nie sprzeciwiałem ci się, ponieważ brak mi sił i energii, ale nie będę siedział beczynnym i patrzył, jak terroryzujesz kogoś, od kogo pewnego dnia może zależeć moje życie. Słyszysz mnie?

Fulwia spojrzała mu z furią w oczy.

- To znaczy, że godzisz się na innego medyka!

- Tak, godzę się, jeśli tylko się uspokoisz i będziesz się zachowywać jak rozsądna kobieta. Postąpię wedle twojego życzenia.

Fulwia parsknęła i spojrzała zimno na niewolnika. Skulił się cały.

- Znakomicie. Zdejmijcie mu tę obrożę i, mój bracie, zostawiam was razem, żebyście mogli się poznać. Otóż, Firminiuszu, jak mówiłam, jestem przekonana, że te sery są najwyższej jakości, zarówno jeśli chodzi o smak, jak i możliwości ich przechowania. Mam taką nadzieję, gdyż kupiłam ich dziesięć wozów.

- Dziesięć wozów...?! - zaskrzeczał Firminiusz. - Kobieto, czyś ty oszalała? Postradałaś zmysły? Opętał cię jakiś wędrujący demon? Masz kupca w Rzymie?

- Oczywiście, że mam. - Fulwia wzięła garść czarnych oliwek w ostrej zalewie i podeszła leniwym krokiem do drzwi. - Mam już nawet pieniądze złożone w depozycie u bankiera na Forum. A teraz... jaki transport? Lądowy czy morski?

- Morski, morski. Długi transport pochłonie większość zysków z transakcji. Jest raczej końcówka sezonu, ale...

Ich głosy rozplynęły się, kiedy odeszli do perystylu i zaczęli się przechadzać wokół dekoracyjnego basenu.

Łańcuch zabrzączał, spadając z szyi człowieczka.

- Usiądź - rzekł Lucjusz, wskazując krzesło opuszczone przez Firminiusza.

Sługa pociągnął człowieczka do krzesła i usadził go na nim tak energicznie, że tamten zaniepokojony wydał słaby pisk. Lucjusz westchnął i machnięciem dłoni odpędził służącego.

- Zostaw nas.

Ten zawahał się.

- Idź! - rzekł Lucjusz i służący wyszedł. Pacjent skupił uwagę na swoim nowym lekarzu.

Tamten siedział podminowany, wpatrując się czujnie w Lucjusza. Ręce położył na stole. Lekko drżały.

- Proszę, nalej sobie wina. W srebrnym dzbanie jest znośne falernum, w szklanym przyjemne białe z tutejszych winnic. Jedno i drugie cię pokrzepi. Ręce przestaną ci się trząść.

Człowieczek odezwał się po raz pierwszy:

- Nie, panie... To nie ręce mi się trzęsą. Cały się trzęsę.

Lucjusz niespodziewanie uśmiechnął się szeroko. Wyglądał teraz o wiele mniej ponuro.

- Moja siostra tak działa na ludzi, ale nie przejmuj się. Nauczyłem się krzyżować jej szyki. Postaram się, by nigdy nie poniosło jej na tyle, aby ziściła swoje groźby. Teraz powiedz mi. Masz jakieś imię, które chciałbyś mi zdradzić?

- Filon, panie. - Nalał sobie kielich wina.

- Znakomicie, Pilonie. Podczas krótkiej rozmowy o twoim pochodzeniu, którą prowadziliśmy, zanim zaczęły się te całe wrzaski, Firminiusz dał chyba do zrozumienia, że urodziłeś się wolny.

Filon skinął głową, nie wyjmując nosa z kielicha.

- Co w takim razie rzuciło cię na największy światowy targ niewolników? Przekonałem się, że zwykle decydują o tym trzy przyczyny: długi, wojna i polityka.

Filon zastanowił się.

- Polityka - odparł. - Lecz nie ja brałem w niej udział. Mój ojciec.

- Ach... - westchnął Lucjusz.

- Właśnie, panie. Moja rodzina dopiero dorabiała się majątku i pozycji w mieście, w którym przyszedłem na świat. W wieku szesnastu lat zostałem uczniem medyka. A siostra, mając szesnaście, wyszła za tkacza dywanów. Na nieszczęście... Mówię tak, ponieważ oboje odnieśliśmy oszałamiający sukces. Siostra miała dwadzieścia lat, kiedy otworzyła własny sklep, a ja zostałem jednym z najbardziej popularnych medyków w Ynieście. To bogactwo dało ojcu wolną rękę i zaczął bawić się w politykę.

- Wybrał nie to stronnictwo, co trzeba? - spytał Lucjusz.

- O tak, panie. Upadek mojej rodziny był taki, jak każdy inny, oszałamiająco szybki. Jeszcze nie wiedziałem dobrze, co się stało, a już stałem na targu niewolników na Kos i agent Firminiusza oglądał mi zęby. Chociaż nie mam pojęcia po co.

- No cóż, sądzę, że ze wszystkich powodów, które sprowadzają na człowieka upadek, polityka jest chyba najlepszym. Oznacza to, że nie uległeś bardziej irytującym przywarom: pociągowi do kobiet, kości lub wina. Jednakże możesz mieć skłonność do intrygowania.

Filon potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie mam w tym żadnej wprawy. Gdybym żywił chociaż cień przecucia, co się dzieje, trzymałbym ojca na krótszej smyczy i nie znalazłbym się w tej okropnej sytuacji, w której teraz jestem.

- Znakomicie! W takim razie posłuchaj ostrzeżenia: trzymaj się z dala od mojej siostry, Fulwii. Nie dość, że nie robi wrażenia niewinnego amorka, to naprawdę jest potworem. A kiedy zabraknie jej okrutnych, podstępnych i podłych pomysłów, ten

wstrętny, trujący grzyb Firminiusz już zadba o ty, żeby krew innych nie zaschła jej na rękach.

Filon był wstrząśnięty.

- Jest twoją siostrą, panie, i przypisywałem jej zachowanie gniewowi na medyka, który tak beztrąsko skazał cię w młodym wieku na krainę cieni. Przecież ona cię kocha.

Lucjusz zachichotał.

- Nie wiem, czy mnie kocha, czy tylko zależy jej na spadkobiercy, męskim spadkobiercy rodzinnej fortuny. Rzymskie prawo preferuje mężczyzn. Na razie tak onieśmieliła, zastraszyła, zdominowała, przekupiła, sterroryzowała... nie zawahała się przed niczym... wszystkich naszych wujów, że podrywają się na bacność, kiedy tylko pstryknie palcami. Ale kto wie, co się stanie, kiedy powymierają i zastąpią ich mniej ulegli osobnicy. Z jej punktu widzenia ideałem byłby miły chłopiec, pogrobowiec, mający wiele lat do osiągnięcia dojrzałości. Łatwo można by go kontrolować za pośrednictwem pedagogów i wychowawców, aż uznałaby, że osiągnął pełnoletniość... lub nie.

- Brzmi to złowroźnie, panie. - Uwaga Filona była starannie wyważona.

- Wciąż przysyła kobiety do mojego pokoju. Na szczęście lub nieszczęście nie mogę ich zaspokoić.

- Hmm. - Filon rozejrzał się po stole, znalazł spory kawał sera i chleb. Położył ser na chlebie i zaczął się posilać. - Ale, panie, wiesz, że jest to twoim obowiązkiem wobec rodziny i przodków.

- Nie zaczynaj - sarknął Lucjusz. - Co tydzień wysłuchuję kazań o maskach pośmiertnych naszej rodziny.

Filon popił jedzenie winem.

- Czy to unikanie płci niewieściej jest wynikiem skłonności, panie? - spytał delikatnie.

- Ach, moja skłonność jest bardzo silna, ale cierpię nieznośne bóle i jestem bardzo osłabiony. I nie „panuj” mi w każdym zdaniu. Nie będę miał nic przeciwko temu, jak od czasu do czasu dasz sobie z tym spokój.

Filon zaczął szukać po stole. Znalazł kilka czystych woskowych tabliczek i rysik.

- Czy wolno mi z nich skorzystać?

- Jeśli są nie zapisane, to proszę.
- Nie są. - Sięgnął po rysik i położył tabliczkę przed sobą. - A więc, co ci dolega?

Lucjusz westchnął głęboko.

- Mały Greku, wydaje mi się, że możesz okazać się bardzo dobrym lekarzem. Jakiś rok temu byłem oficerem w czwartym legionie Augusta, który niedaleko stąd rozłożył stały obóz warowny. Pewnego dnia dowodziłem niewielkim oddziałem aprowizacyjnym...

Wilk ocknął się między kamieniami u stóp urwiska. Wiedział, że jest ciężko ranny, może nawet umierający.

Wokół zalegał mrok. Teren zarastały gęste kępy jodeł i świerków. Zarówno jako człowiek, jak i wilk, wiedział, że to niemożliwe. Drzewa, które okrążyły go ciasnym wieńcem i rzucały cmentarne cienie, nie rosły na takiej wysokości.

Usiłował się poruszyć i ból zgasił wszystkie myśli, przebił mu głowę rozżarzonymi do czerwoności prętami. Znieruchomiał. Ból ustał. Wilk zdał sobie sprawę, że jeżeli się nie przemieni, umrze.

Otworzył oczy i znów spojrzał na rzucające potężny cień, budzące lęk drzewa. Mrok wciąż gęstniał. Za lasem był ogromny wodospad. Wilk nie dostrzegał progu wodospadu, ale widział białą płachtę wody, tak połyskliwą, że wydawała się oświetlona od wewnątrz, kiedy migotała wyraziście na czarnym tle lasu.

Piana wzlatająca u podnóża wodospadu rosła pokłady mchu i kobierce paproci. Lśniły niczym rzeźby w szmaragdzie.

Powiał wiatr i wiekowe drzewa westchnęły... jak wzdychały od niepamiętnych czasów. Przekazywały wilkowi prawdy, które żyjący w nim człowiek ledwo pojmował: „Należysz do tego świata. Jesteśmy jednym. Byliśmy tu eony czasu przed tym, zanim pojawił się człowiek, i będziemy następne eony po tym, jak zniknie”.

Jednolita czerń spowiła drzewa, wodospad słał się olśniewającą kurtyną blasku. Znów powiał wiatr. Wodny pył przysłonił oczy wilka. Oślepnął na chwilę. Wstał jako człowiek.

Widział sam siebie jakby od tyłu. Jakby był oddzielony od muskularnej sylwetki rysującej się wyraziście na tle srebrnego światła. Jako człowiek również robił wrażenie. Krótkie kasztanowe kędziory. Ciemna karnacja. Twarz tchnąca siłą i

zdecydowaniem. Oto mężczyzna, już nie młodzik, ale jeszcze nie tknięty goryczą doświadczeń.

Trysnął kolejny pióropusz piany. Las ogłosił swoje przedwieczne prawo do posiadania ziemi, a wilk przebudził się, otrząsnął i powstał. Był dzień, wokół rósł niziutki młodniak, przetykany nagimi kamieniami, owocami lawiny. Mroczny bór i wodospad przepadły.

Ofiary, których szukał, leżały między skałami. Przynajmniej tuzin kozic nie zdołał ująć przed spadającymi masami śniegu. Gromada będzie miała pożywienie na tydzień.

Uniósł pysk ku niebu i wezwał ją. Poczłł dziki głód. Jako przywódca watahy miał prawo wyboru. Kiedy pojawiła się reszta, był zajęty jedzeniem.

Spodziewał się, że zostanie otoczony przez gromadę. Spotkaniu ukochanego członka stada towarzyszyło powitanie: lizanie, obwąchiwanie nosów, pocałunki, rozpoznawanie przez przyjaciół i najbliższą rodzinę. Ale szarego wilka spotkało zaskoczenie i zawód. Ryzyko, jakie podjął, zostało uznane za dowód szaleństwa. W ich sercach zagościło głębokie podejrzenie.

Uraza szybko ustąpiła miejsca obojętności. Skierował myśli ku Imonie; zastanawiał się nad jej losem. Kiedy zaczęło się przejaśniać, zostawił gromadę, odsypiającą obżarstwo, i wyruszył przez góry.

Minął terytorium innej watahy, na którym poprzednio zabił kaczkę. Zjedzony pokarm pozwalał mu na długie podróżowanie bez konieczności szukania żeru.

Kiedy znalazł się poza terytorium sąsiedniej watahy, zaczął szukać ludzkich siedzib. Pierwsza okazała się wyludniona, ruiny górskiego gospodarstwa zamieszkiwał jedynie rozgniewany borsuk. Rzymianie dawno temu spalili zabudowania i wilczy nos nadal wyczuwał lekki odór krwi i spalenizny, jaki został po najeździe.

Borsuk podniósł się na tylnych łapach i śmiało stawił czoło basiorowi. Zwierzę było twardym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Nawet wilk nie miał ochoty potykać się z nim bez specjalnego powodu. Szary wilk podkulił ogon i oddalił się.

Na wschodzie się rozjaśniało. Nadciągał świt. Basior znalazł wąską półkę niedaleko skraju lasu. Wcisnął się między skałę i gołą ziemię i zasnął, okrywając ogonem czubek nosa. Ukrył się tak znakomicie, że był prawie niewidoczny. Ocknął

się o świcie. Drzewa wyglądały jak odziani w brązowe opończe wartownicy zaskoczeni przez poranną mgłę.

Podróżował długo. Dzień przeszedł w noc i światło wygasło w kolumnadzie sosen, którą biegł. W górze postrzępione chmury okryły księżyc i gwiazdy. Migotały lodowe czapy górskich szczytów.

Zostawił za sobą skraj lasów, pokonywał hale, stoki okryte szrenią. Po trawach została tylko wygrziona szczecina, migocąca na zimnie. Pastwiska opustoszały i miały czekać do wiosny, aż pasterze znów wypędzą stada.

Dom, który zostawili za sobą, był pustą wygasłą skorupą, porzuconą na los wiatru i lodu wspinającego się już po ścianach. Ale ona kiedyś tam była. W chacie został po niej wąty zapach, lecz w stodole i owczarni, w których nieco ciepła nadal kryło się pod wilgotną słomą, iskrzącą się kryształkami lodu, był silniejszy.

Wilk pobiegł w dół za stadami sprowadzanymi na niższe pastwiska, umykającymi lodowym szponom zimy. Dostrzegł następne gospodarstwo. Było sporych rozmiarów, prawie dorównywało posiadłości w dolinie Mira.

Powietrze nie było tu tak łagodne jak w osłoniętej stokami dolinie. Szpary w kamiennych domach uszczelniono gliną. Strome dachy pokryto gęstą strzechą. Wilk stał, patrząc z góry na zbiorowisko budowli tulących się do siebie w górskiej niszy.

Żywy inwentarz - krowy, owce i kozy - umieszczono na pobliskich pastwiskach lub w przydomowych zagrodach, chroniąc go przed drapieżnikami. Psy czekały na podwórkach. Była to największa ludzka osada, jaką wilk kiedykolwiek widział. Co prawda rzymski fort w dolinie był potężniejszy, ale wilk nie zbliżał się do niego, mając w pamięci los nizinnej gromady.

Zjeżyło mu się futro na grzbiecie. Zawarczał basowo.

Pies znów się odezwał i wspomógł go chór skowytów i poszczekiwań. Wiatr ponownie nastroszył wilczą sierść. Spadał z wysoka ku nizinom, gdyż górskie szczyty oddawały ciepło dnia. Niósł odór wilka psom.

Szary basior miał wybór. Mógł położyć się i czekać, aż wygasną światła migocące słabo przez błony rozpięte w okiennych otworach i ludzie oraz psy zapadną w głęboki, mroczny sen, a wiatr przycichnie, powietrze znieruchomieje i stanie się milczące jak gwiazdy.

Wtedy mógłby bezszelestnie opuścić swoje stanowisko obserwacyjne, tak nieuchwytny jak strzęp dymu lub niska chmura otulająca góry. Mógłby rozeznaczyć się w sytuacji w domach i zabudowaniach gospodarskich, podejść tak blisko, aby sprawdzić, czy ona tam jest.

Ale chociaż wiele nauczył się od ludzi, to nie spotkał dwunogów, którzy nauczyliby go, że zwierzę na pewno przewyższa człowieka jedną cnotą - cierpliwością.

Zignorował wilka w sobie i ustąpił człowieczej naturze. Zapadł się w poszycie i okrążył gospodarstwo, zachodząc je pod wiatr.

Początkowo los mu sprzyjał. Przebiegając po rozległym, pustym podwórzu, minął oborę, nie wzbudzając czujności zwierząt. Przeważnie były to mleczne krowy pozbawione cieląt, które poszły pod nóż. Wychudły w kąśliwym chłodzie jesieni i utrudzone zejściem z wysokich pastwisk były wdzięczne za zimowe porcje siana i owsa.

Owce znacznie bardziej przypominały swych dzikich krewniaków niż niezbyt rozgarnięte krowy. Właśnie zmieniały szatę na zimową. W owczarni przeważały jagnięta.

Na podwórku leżało uwiązane pół tuzina psów, w tym dwa, które przyprawiły wilka o dreszcz niepokoju. Wielkie, ważące ponad dwieście funtów, o potężnych szczękach i kłach. Każdy przerastał go przynajmniej o czterdzieści funtów.

Jedna z owiec dojrzała basiora, ale była zbyt młoda, by wiedzieć, co to za zwierzę, i tylko gapiła się bezmyślnie przez plecionkę owczarni. Ale trąciła pyszczkiem matkę, który zabeczała na alarm; wśród owiec wybuchł niepokój.

Wilk przemknął ku jednej ze stodół. Kiedy tylko wszedł do środka, zdał sobie sprawę, że Imona tu była. Stodołę przenikał jej zapach. Ale skąd bił?

Usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się. Przy warował na słomie i zamarł.

W otwartych drzwiach stała kobieta, osłaniając przed wiatrem ogarek, które przed chwilą mało nie zgasł. Jej uwaga skupiała się tylko na nim. Uratowany przed wiatrem płomyk zapłonął śmieiej i rozjaśnił stodołę.

- Aaach - powiedziała zadowolona i ujrzała ogromny szary kształt na zmierzwionej słomie.

Nie było takiego człowieka ani zwierzęcia, którego nie obudziłby jej wrzask. Konie rżały jak szalone, krowy ryczały, owce dołączyły się do chóralnego zawodzenia wyrażającego lęk i niepokój.

Wilk podkulił ogon, położył uszy i uciekł. Przemknął obok dziewczyny i zagród ze zwierzętami jak kamień wypuszczony z procy i znikł.

Lecz zanim znalazł się poza zasięgiem tego gniazda obudzonych szerszeni, usłyszał okrzyk: - Spuścić psy!!!

Biegł dalej w spokojniejszym tempie, szybko, ale bez szaleństw, pewny, że wyprzedzi nawet najsilniejsze psy. Nie zbudziło się w nim jeszcze okrucieństwo i nie znał swojej siły, ale też nie przeczuwał, kto prowadzi pościg.

To były psy bojowe, ludojady spuszczone podczas bitew i siejące panikę w ustępujących szeregach nieprzyjaciela lub w taborach.

Szary wilk pędził w górę, pewny, że strome zbocza, na których ślizgają się łapy, i rosnąca pochyłość sprzymierzą się przeciwko psom. Przecież były stworzeniami z ludzkiego otoczenia, leniwymi i zależnymi od swoich panów.

On ucieczkę i pogoń miał we krwi, natura go wypróbowywała od dnia narodzin.

Tak więc nieopatrznie sam zapędził się w pułapkę. Wbiegł na ostatnie wzniesienie i spojrzął w dół na księżycowy kamienisty krajobraz nie dający żadnej nadziei ratunku. Oparcie dla łap było zdradzieckie; chmury otulające szczyty zostawiły wilgoć na długim opadającym stoku i potworzyła się szadź, gładka niczym szkło. Wilk zawrócił i pobiegł krawędzią stromej pochyłości.

Dwa psy znacznie wyprzedzające sforę wyczuły, że zwolnił. Żądza krwi dodała im szybkości. Zdał sobie sprawę, że są za nim tylko o kilka kroków i jako doświadczeni zabójcy oskrzydłają go.

Tuż przed sobą dojrzał płaski trawiasty teren obrzeżony stromiznami. Zapędzony tam przez psy, stałby się łatwym łupem. Mógł uciekać na ślepo, lawirować po zlodowaciałej zdradzieckiej skale, ale bojowe psiska dopadłyby go i tak, i rozszarpały na strzępy.

Lecz odezwał się w nim człowiek. Po raz pierwszy usłyszał w głowie wyraźnie artykułowane słowa: Zatrzymaj się, głupcze! Walcz! Przypomnij, kim jesteś! Przypomnij sobie, co wiesz, czego się nauczyłeś dawno temu na mrocznym zamazniętym kontynencie.

Człowiek pochylił się. Jego ręka jakby żyła własnym życiem, macając w poszukiwaniu czegoś, czego dawno temu użył niezdarny małpolud - broni.

Zacisnął palce wokół kamienia.

Dwa brytany były o krok, jeden z prawej strony, drugi z lewej. Opadł na kolana, zasłonił twarz.

Ten z lewej chybił i pośliznął się na kępie zamarznętej trawy. Szczęki drugiego zacisnęły się wokół przedramienia człowieka. Spodziewał się, że kość pęknie, ale, o dziwo, wytrzymała. Zdał sobie sprawę, że bez względu na to, jak silne są te psy, nie mogą równać się z wilczą mocą, wykutą w najsroźszym ogniu, kuźni przetrwania.

Z całej siły uderzył kamieniem w psi łeb. Czaszka rozleciała się w drzazgi jak przegniłe drewno. Szczęki zdychającego psa puściły rękę.

Ale drugi odzyskał równowagę i szarżował, mierząc w podbrzusze i krocze.

Prawa ręka człowieka zdrętwiała po zadaniu śmiertelnego ciosu. Kamień wypadł z nieczułych palców. Zaczekaj, aż skoczy - rozkazał opanowany głos w głowie.

Przednie łapy psa oderwały się od podłoża. Maeniel, człowiek, obrócił się na jednej nodze, zarzucając drugą na potężny grzbiet. Dosiadł psa niczym konia i wyprostował się, unosząc go. Lewą ręką objął zwierzę za szyję, odnalazł delikatne chrząstki tchawicy i... zmiążdżył.

Zwierzę padło nieżywe i Maeniel, na powrót wilk, zszedł z trudem po kamienistym zboczu w kierunku ciemnej lesistej doliny.

Filon przejął kontrolę nad życiem Lucjusza. Stało się to bez wrzasków, rozkazywania, nieprzyjemnej agresji. Okazało się, że nowy niewolnik Lucjusza to mistrz taktu, sugestii, działań okrężnych. Był łagodny, ale zdecydowany; uprzejmy, ale muł mógłby nauczyć się od niego uporcu; nigdy też nie dał się odwieść od celu groźbami, spazmami, prośbami, zwyczajnym przekupstwem lub też najbardziej wyrafinowanymi krętactwami.

Pokojówką Lucjusza była Alia, dawna markietanka, która uratowała mu życie, transportując pospiesznie do obozu. Dobra sługa, pokorna i ciężko pracująca, miała jednak inteligencję dębowego klocka, osobowość lampy oliwnej i urodę

kąsającego żółwia. Ku całkowitemu zdumieniu Lucjusza Filon nawiązał z nią cudowne stosunki.

Po obiedzie tego dnia, w którym pojawił się Filon, tragarze zanieśli Lucjusza do jego *cubiculum*, sypialni. Pokój był luksusowy, meble wykwintne, dekorowane złotem, ale panował tam nieziemski brud i smród.

Pościeli nie zmieniano od tygodni. Nikt nie dbał o opróżnienie nocnika, którego zawartość włączała się w ogólny smród. Jednak najsilniej cuchnęło mięso gnijące na węglu drzewnym w koszach, ustawionych w kątach.

Zakłopotana Alia stała pośrodku sypialni. Dwie pokojówki Fulwii chichotały w drzwiach w głębi. Tragarze postawili lektykę i udali się do swoich pomieszczeń na popołudniową sjęstę.

Lucjusz warknął na Alię:

- Wina!

Pobiegła spełnić polecenie. Dziewczyny nadal gapiły się na Filona i Lucjusza i nie przestawały chichotać.

- Niby mają się mną zajmować, ale jedna jest Egipcjanką, a drugą pojmano w jakimś zakazanym zakątku Arabii. Żadna nie mówi słowa po łacinie, a ja nie za bardzo umiem się wysłowić w innym języku. Znam tylko kilka formułek po grecku, jak przystoi dobrze urodzonemu Rzymianinowi. Alia jest Galijką. Znam na tyle jej mowę, żeby zażądać wody, wina i jej ciała. Poza tym nie rozumiem galijskiego ni w ząb - wyjaśnił Lucjusz.

Każdego wieczoru brudzę jeden z basenów w luksusowych łazienkach mojej siostry, potem wracam tu i upijam się do nieprzytomności. Przeważnie udaje mi się kogoś namówić, żeby zmienił mi opatrunek, zwykle któregoś z tragarzy. Ale czasem bywa mi to obojętne i leżę, wpatrując się w sufit. Najgorsze, że gniję za życia z powodu tej cuchnącej, otwartej rany w plecach. Fulwia wie o tym, ta hiena. Hippos też o tym wiedział i wszyscy moi słudzy.

Filon nie zareagował na to użalanie się nad samym sobą. Natomiast odezwał się do dziewcząt obserwujących go z progu. Obu zaparło dech w piersiach. Przeszła im ochota do śmiechu i wbiegły do sypialni. Jedna wzięła się do zmieniania pościeli, druga złapała nocnik i wybiegła go opróżnić.

Lucjusz zdębiał. To była iście piorunująca zmiana.

- Mówią świetnie po grecku - wyjaśnił półgłosem Filon. - Jedna z nich to aleksandryjska hetera. Poznałem ją natychmiast.

Pomieszczenie zmieniało się w oczach. Otworzono okno, przewietrzono sypialnię. Kosze na węgiel drzewny, potrzebne z racji coraz chłodniejszej nocy, opróżniono i napełniono ponownie. Podłogę wyszorowano, zmieniono materace, pościel, poduszki - wszystko pachniało teraz świeżo suszonym płótnem. Następnie Filon pomógł Lucjuszowi położyć się na łóżku i zmienić opatrunek.

Potem wybuchła ich pierwsza kłótnia. Lucjusz chciał napić się przed snem. Filon skłaniał się ku dobrze rozwodnionemu trunkowi z dodatkiem miodu. Lucjusz - ku czystemu falernum.

Lucjusz przegrał. Poddał się, kiedy zdał sobie sprawę, że bełkoce.

Ta pierwsza porażka zwiastowała następne. Śniadanie przestało składać się z wina doprawionego opium i kilku fig, natomiast pojawiły się jaja na twardo, biały ser, owoce i wino ze sporą domieszką wody. Posiłek południowy wyglądał mniej więcej tak samo.

Podczas kolacji Filon kładł zdecydowany nacisk na jedzenie, a nie trunki i zastąpił kielich wina do poduszki środkiem nasennym własnej kompozycji, bazującym na Walerianie zbieranej w ogrodzie.

Jakimś sposobem udało mu się przekonać Lucjusza do wspólnej rundki po ogrodzie i z czasem rundka przeszła w dwie, trzy, a nawet cztery wokół basenu. W końcu Lucjusz potrafił przebyć bez bólu czy zmęczenia całkiem długi dystans i lektyka trafiła do rupieciarni.

Ale najgorsze były noce. Wtedy gorączka rosła. Lucjusza nawiedzały dreszcze i ból wyrывał go ze snu. Rzucał się, miotał, cierpiąc katusze fizyczne i psychiczne.

Alia wzywała Filona. Przychodził z medykamentami kojącymi ból i zbijającymi temperaturę, świeżymi prześcieradłami na zmianę. Często przesiadywał ze swoim pacjentem do rana, czytając Lucjuszowi zwoje z dobrze zaopatrzonej, chociaż mocno zakurzonej biblioteki.

Chociaż Lucjusz nie zamierzał tego przyznać, reżim Filona przynosił efekty. Te proste, naturalne, bezbolesne praktyki były o niebo lepsze niż egzotyczne tortury Hipposa. Puszczanie krwi, na przykład, powodowało zawroty głowy, mdłości i osłabienie ciągnące się czasem przez kilka dni. Po drastycznych środkach

przeznaczających siedział całe noce na nocniku, aż wydalął jedynie krwisty śluz, a skurcze pustego żołądka długo nie dawały mu spokoju. Hippos stosował również rozpalane od czerwoności żelaza. Nigdy wobec Lucjusza, ale tylko dlatego, że ten uciekł się do przekupstwa, aby medyk zaprzestał swoich zabiegów lub w ogóle trzymał się od niego z daleka, ku wielkiej irytacji Fulwii.

Ale Lucjusz najbardziej lękał się czegoś jeszcze. Czuł mianowicie grozę na myśl, że może poddać się... nadziei. Niespełniona nadzieja jest bowiem najsroższą katuszą potępionych za życia. Osoby w jego sytuacji, skazane na powolną śmierć, żegnały się z nadzieją, i dożywały swoich dni, zachowując hart ducha, nie rozpaczały nad tym, co bezpowrotnie straciły. Z nadzieją dawno rozstał się, ale powróciła na skrzydłach poranka.

Stało się to pewnego dnia, kiedy po obudzeniu zdał sobie sprawę, że przespał całą noc nie nękany bólem ani gorączką. Leżał bez ruchu, wciągając wielkie hausty czystego chłodnego powietrza spływającego z gór, powietrza pachnącego wiosną, słodkiego jak perfuma tysiąca kwiatów i łagodnego niczym pierwsze promienie brzasku nieśmiało muskającego kopułę lasu.

Wtedy zdał sobie sprawę, że będzie żył. Zachowa straszliwą bliznę, będzie nieco kulał do końca życia i na pewno nie stanie się już nigdy tamtym silnym zawadiaką wyruszającym w pole z legionami. Ale przeżyje i z czasem świat otworzy przed nim swój skarbiec. Tak, uległ przemianie, chociaż dopiero miało się okazać, na czym ona polega i jak jest głęboka. Ale stać go było na to, aby się z tym pogodzić, uznać, że przemiana stanowi część jego życia, i nie narzekać. Przede wszystkim miał żyć bez cierpień. Nadchodzące dni miały zamienić nadzieję w pewność.

Zamknął oczy i zasnął snem pozbawionym majaków. Jego dusza odnalazła spokój.

6

Wilk, nadal roztrzęsiony po wymknięciu się ze śmiertelnej pułapki, pokonał skaliste zbocze. Minał wysokie hale wyjedzone przez stada bydła i owiec. Szron okrywał brązowe, sztywne źdźbła trawy.

W końcu dotarł do lasów. Zielonkawe światło przebijało się między drzewami.

Nastał świt. Basior był wyczerpany. Najbardziej brakowało mu pokarmu i snu, ale wysoki las nie stanowił dobrego miejsca na poszukiwanie jednego czy drugiego.

Pokonywał obszary, które można by porównać do prawiecznego dworzyszczca, zabudowanego gęstą kolumnadą. Wysokie, splecione konary skutecznie broniły dostępu słońcu, tworząc chłodny zielony półmrok. Basior biegł brązowym kobiercem gnijących liści, które dostarczały pokarmu wznoszącym się gigantom; niebiosa i ziemia zawarły przymierze, lecz dla wilka była to pustynia.

Podążał dalej i dalej. Żaden ptak nie zaćwierkał. Od czasu do czasu wiatr poruszał wysokimi koronami, szepczącymi basową pieśń życia, którego monumentalna długowieczność i spokój były nie do pojęcia. W porównaniu z nim wszelkie doświadczenia ssaków były tak krótkie jak upadek gwiazdy zakreślającej o zachodzie słońca świetlny łuk na nieboskłonie.

Ty i twój gatunek jesteście świeżymi przybyszami na ziemi - mówiły wilkowi drzewa. - A człowiek to wynaturzenie w długim, powolnym falowaniu czasu, węzełek na nitce plecionej przez Szare Panie.

Niech i tak będzie - pomyślał ze spokojem wilk. - Nie pragnę być niczym więcej, niż jestem. A poza tym są twory, przy których wy wydajecie się dziećmi: skały, morze, gwiazdy.

Lecz mimo iż las obwieszczał swój wieczny i nieunikniony triumf, zaczął się przeredzać. Coraz więcej kamieni wyglądało z poszycia.

Wreszcie basior dotarł do skarpy, z której miał widok na całą dolinę. Las ciągnął się, jak okiem sięgnąć, przecięty potężną rzeką. Niebiesko-złoty pas lśnił w pierwszych promieniach wschodzącego słońca; wił się przez kobierzec zielonych, brązowych i szkarłatnych drzew.

Jak go przebyć? Człowiek może ugiąłby się przed takim zadaniem, ale w wilczej naturze nie leży poddanie się wyzwaniu. Zawrócił i kontynuował wędrówkę.

Dochodziło południe, kiedy stanął nad rzeką. Wkroczył na wąski szlak, wydeptany przez ludzi wzdłuż brzegu, potem truchtem podbiegł na samo wybrzeże. Koryto było głębokie, toń nieprzejrzysta, brązowa. Wilk był potężnym, śmiałym stworzeniem, ale zdrowy rozsądek mówił mu, że próba przepłynięcia takiego nurtu to samobójstwo nawet dla zwierzęcia jego rozmiarów.

No cóż, przynajmniej mam wodę - pomyślał. Wszedł do niej i zaczął pić. W tej samej chwili mnóstwo stworzeń wystrzeliło mu spod pyska i zanurzyło się w głębszej wodzie. Pił, nie przestając im się przyglądać. Miały tłuste ciała, palczaste przednie kończyny i dużo większe tylne: to były żaby. Aaach!

Kiedy zaspokoił pragnienie, ruszył przed siebie, lekko machając ogonem. Hmm, pływacy byli powolni i niezdarni, rosnące zimno odebrało im zręczność. Jeden leżał na dnie. Chaps! Niezłe! - pomyślał. Nie nawykł do takiego pokarmu, ale naprawdę okazał się całkiem smaczny. I żab było wiele, skupiły się wśród roślin na nagim mulistym dnie. Kryły się pod liśćmi lili. Wszędzie. Pycha - stwierdził. Chaps! Szkoda, że nie miał pod łapą zimnego sosu. Imona rozpuściła Maeniela. Liczył na to, że kiedy ją znajdzie, rozpuści go jeszcze bardziej. Chaps! Umm, niezbyt sycące jak dla zwierzęcia moich rozmiarów, ale jest ich cała masa. Zupełnie jak dzikie karczochy, które mi podawała. Chaps! Chaps! Chaps! Świetne. Oblizwał wargi.

Jadł dalej, idąc wolno z nurtem i posilając się zgodnie ze zwyczajem swojego gatunku, aż usłyszał odgłosy potyczki dobiegające z nadrzecznego szlaku. Ktoś przeraźliwie krzyczał.

Szary wilk przez chwilę nie wiedział, jak zareagować: po wilczemu czy po człowieczemu. Krzyki wyrażały błaganie o pomoc, ból i mękę. Wilk był z natury stworzeniem uczynnym, nawet ludzkie cierpienie sprawiło mu przykrość.

Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej na drodze leżał człowiek. Dwóch innych ludzi kopało go bez litości.

Basior zamienił się w człowieka i przez krótką chwilę oceniał sytuację, w jakiej się znalazł - rzeka była dość szeroka, nie da się jej pokonać bez pomocy. Zdecydował, że warto zaryzykować. Ale musiał się pośpieszyć, gdyż człowiek na ziemi był w tarapatach: przestał wrzeszczeć i skulił się w kłębek, widocznie lękając się, że każde następne kopnięcie może skończyć się dla niego tragicznie.

Maeniel rzucił się biegiem ku dwójce oprawców, krzycząc równocześnie. Jeden z dręczycieli przestał pastwić się nad ofiarą, odwrócił się i dobył miecza. On i

jego towarzyszy byli częściowo ubrani w rzymskie zbroje i zapewne zdezerterowali z kawalerii Cezara.

Żołnierz przygotował się do odparcia ataku i Maeniel odczytał w jego oczach pogardę. Biegący przybłąda był nagi i nieuzbrojony.

Maeniel nie miał zamiaru dać się tak łatwo pokonać jak podczas pierwszej bójki z ludźmi. Był blisko żołnierza. On musi się na coś zdecydować - podpowiedział mu instynkt łowcy. - W tej chwili.

I tamten zaatakował, zadał potężny cios znad głowy, który rozłupałby Maenielowi czaszkę po zęby.

Wystarczyło, że półwilk tylko lekko przyspieszył, a wyprzedzając spadające ostrze, znalazł się pod nim. Lewą ręką złapał za przegub uzbrojonej dłoni. Prawą dłoń, zaciśniętą w pięść, wbił w twarz mężczyzny. Poczł niespodziewany - i niesłychany - ból. Niemniej jednak wyrwał przeciwnikowi miecz.

Zaraz potem uświadomił sobie, dlaczego poszło mu tak łatwo. Człowiek, któremu zmiażdżył twarz, nie żył.

Jego kompan przestał kopać leżącego. Wytrzeszczał oczy na krwawą masę, w jaką zamieniła się twarz jego towarzysza, i na nagiego giganta dzierżącego miecz w dłoni.

Rzucił się do ucieczki. Obok zarosłego szlaku pały się trzy konie i ciężko obładowany muł. Rozbójnik wskoczył na konia ze swobodą zdradzającą wieloletnią praktykę, porwał wodze muła i pognął przed siebie.

Ofiara rabunku chwiejnie się dźwignęła i zaczęła wrzeszczeć na uciekiniera i na muła. Następnie, podskakując, pobiegła za nimi, pomstując, łajając ich i przeklinając co najmniej w trzech językach.

Maeniel, zaniepokojony, że stracił tyle czasu i energii, zamykał tyły pogoni, wymachując mieczem.

Niedawny deszcz zupełnie rozmył błotnisty szlak; koń rozbójnika, a tym bardziej ciężko obciążony muł miały ciężką przeprawę. Koń tylko zwolnił, lecz muł zarył się w błocie po pęciny.

Uciekający zbior ściągnął wodze wierzchowca. Linka, na której prowadził muła, napięła się, i zwierzę padło na kolana. Muł miał dość takiego traktowania. Wydał ryk gniewu i rozpacz, poderwał się, zaparł nogami i zarzucił łbem do tyłu, wyrwijąc linkę z ręki rozbójnika.

Ten zebrał wodze, ocenił niespokojnym wzrokiem Maeniela i rozwścieczonego kupca, po czym spiął konia i pognął przed siebie, byle dalej.

Kupiec dopadł muła i zatrzymał się. Zwierzę bryknęło na pewniejszy grunt.

Kupiec splunął mu w pysk i wyzwał go od zdrajców, używając dwóch języków. Nie mule nie zrobiło to żadnego wrażenia, więc człowiek zaczął go okładać po łbie.

Muł poskarżył się, ale zdaniem Maeniela tylko trochę. Kupiec walnął go w nos. Muły są twardymi stworzeniami, ale najczulszy punkt koniowatych to właśnie nos.

Maenieł ledwo zdążył odciągnąć kupca, a już przednie kopyta muła przecięły powietrze w miejscu, w którym zaledwie moment temu znajdowała się ludzka głowa. Kupiec podszedł na trzęsących się nogach do powalonego pnia, usiadł i dostał ataku histerycznego płaczu.

Maenieł dojrzał w jednym z juków na mulim grzbiecie bochen chleba i kawał sera. Muł parsknął groźnie i nie chciał ustać w miejscu - widocznie czuł wilczy zapach - ale Maenieł zdołał poczęstować się jedzeniem.

Ser okazał się stary i twardy, podobnie chleb. Maenieł, który zwykle ceniał ludzkie specjały, uznał, że żaby były o wiele smaczniejsze.

Podbiegł do trupa złodzieja i zatrzymał się nad nim. Żując chleb i ser, zachodził w głowę, co spowodowało śmierć bandyty. Przecież nie mógł go zabić jednym uderzeniem. Westchnął. Nie chciał odbierać życia przeciwnikowi, jedynie go powstrzymać. W końcu odpiął mu pas i wsadził miecz do pochwy.

Kupiec przestał histeryzować.

- Co zamierzasz? Obrabować mnie jak twoi dwaj kolesie? - wyskrzecztał.

Maenieł spojrzał na niego. Było to długie, ciężkie spojrzenie, jakim przywódca wilczej gromady mierzy osobnika stojącego niżej w hierarchii, przyłapanego na niesubordynacji.

Kupiec nagle uświadomił sobie, że w obecnej sytuacji jego oskarżenia mogą być niewłaściwe lub nawet niebezpieczne.

- Oni nie są moimi kolesiami - oświadczył Maenieł. - I nie zamierzam cię obrabować. Zależy mi tylko na tym, żeby bezpiecznie przedostać się na drugi brzeg. Jeśli wiesz, jak tego dokonać, to mnie oświeć. Jeśli nie, powiedz. Nie będę tracił więcej czasu na rozmowę z tobą i odejdę.

- Przedostać się na drugi brzeg? Chcesz przedostać się na drugi brzeg?
- wybełkotał kupiec.

- Właśnie to powiedziałem - odparł cierpliwie Maenieł.

- Jest prom, zaledwie kilka mil dalej.

- Co to jest prom?

Kupcowi opadła szczęka.

Zauważywszy, że koń zabitego pasie się w pobliżu, Maenieł przejrzał sakwy przy siodle. Znalazł czystą tunikę, brudną derkę, ser, chleb i twardą kielbasę, śmierdzącą czosnkiem. Włożył tunikę. Była trochę przykrótka, ledwo zakrywała kolana. Zatrzymał jedzenie i wyrzucił derkę. Nie tknął odzienia. Cuchnęło tak, że jego zwierzęcy węch nie mógł tego znieść.

Kupiec usiłował wytłumaczyć mu zasadę działania promu i odniósł duży sukces. Maenieł widział łodzie.

- Chcesz powiedzieć, że to łódź, która pływa tylko od brzegu do brzegu?
- spytał kupca.

- Tak, ale jest na niej dość miejsca.

Maenieł skinął głową i wyruszyli przed siebie. Maenieł prowadził konia bandyty, kupiec dosiadł własnego wierzchowca i prowadził muła na postronku. Mułowi minął zły humor i traktował sytuację z filozoficznym spokojem.

Kupiec zwał się Decjusz. Strumień słów płynących z jego ust wyprowadziłby z równowagi człowieka, ale wilk doceniał to niewysychające źródło informacji. Kupiec gadał, a Maenieł słuchał, z rzadka wtrącając pytanie, które nadawało pożądaną bieg paplaninie.

Okazało się, że Decjusz nie został napadnięty przez zwykłych złodziei, ale przez własną ochronę, którą wynajął na ostatnim postoju.

- Czasem to dobry sposób - rzekł nieco zawstydzony. - Wynajmujesz parę wilków, żeby odstraszyć resztę watahy.

- Można i tak - odparł wymijająco Maenieł.

- A jak już mowa o wilkach, to podobno tu grasują.

Maeniela kusiło, by powiedzieć: „Tylko jeden”, ale uznał, że taki komentarz lepiej zachować dla siebie.

Decjusz wykręcił głowę i niespokojnie rozejrzał się po drodze.

- Sądzisz, że tu są?

- Nie. - Maeniel wolał więcej nie mówić, bał się, że nie wytrzyma i parsknie śmiechem.

- Nie ma ich? Jesteś pewien? Jakim cudem?

Maeniel uznał, że trzeba podsunąć towarzyszowi wędrówki inny temat do przemyśleń.

- Tu nie ma żadnych wilków, są tylko niedźwiedzie.

Decjusz zatrząsł się tak gwałtownie, że spłoszył konia.

- Niedźwiedzie...! - zaskrzeczał.

- Tak! Potężne.

- Gdzie?

- W lesie.

- No, takie rzeczy to nawet ja wiem - rzekł z wyższością Decjusz. - Gdzie w lesie?

- Tuż za zakrętem.

Decjusz zaczął się śmiać.

- A skąd niby to wiesz? - W tej samej chwili znaleźli się na wspomnianym zakręcie.

Tymczasem przybyło chmur. Wzmógł się wiatr. Przygiął drzewa, cisnął w poprzek drogi kurzawę zeschniętych liści.

Maeniel zastygł, rozdał nozdrza. Wciągnął głęboki oddech. Wilcze zmysły chłonęły cały konglomerat doznań. Powietrze było ostre, wilgotne; przed ranem miał spaść deszcz, a może śnieg. Pachniało starym pogorzeliem i świeżymi śladami niedźwiedzia. Misiek był niedawno w pobliżu. Po co? Wilk nie lękał się wielkiego zwierzęcia i wątpił, by również Decjusz miał się czego obawiać. Jeśli niedźwiedź szedł ich tropem, to z powodu koni - kościstego wałacha prowadzonego przez Maeniela lub tłustej klaczy, której dosiadał Decjusz.

Za zakrętem droga zbliżała się do rzeki.

Decjusz roześmiał się nerwowo.

- No, przyjacielu, gdzie ten twój niedźwiadek, i jak się dowiemy, czy się tu szwenda?

Maeniel wskazał błotnistą kałużę w pobliżu jednej z głębokich kolein.

- Patrz!

Odciski łap były świeże. Błoto, które przeszło między palcami niedźwiedzia, jeszcze nie wyschło.

W pobliżu szlaku rósł wysoki buk. Znaki pazurów na korze były dobre trzy stopy wyżej, niż mógł dosięgnąć roślę mężczyzna.

Decjusz zatrząsł się cały, znów strasząc klacz. Muł zarżał na pół lasu, burząc nagłą ciszę.

- Czy on wie, że my tu jesteśmy? - zachrypiał Decjusz.
- Nie przystawaj. Tak, wie. Cały tym śmierdzisz.
- Czym? - Decjusz był na krawędzi paniki.
- Strachem!

Decjusz kopnął konia piętami. Minęli roślę buk i wierzchowce przeszły w kłus.

Niebo poszarzało. Wiatr się zmienił. Klacz Decjusza zwietrzyła niedźwiedzia. Zaczęła tańczyć bokiem, rzucała łbem - innymi słowy okazywała panikę, tak jak to jest w zwyczaju koni. Wszystkie zmysły Maeniela, ludzkie i wilcze, były napięte do ostateczności. Co niedźwiedź robił tu o tej porze roku? Zwykle miśki z początkiem zimy były obżarte do niemożliwości, leniwe, senne i gotowe zaszyć się w gawrze. Nagle usłyszał szum pszczelego roju.

- Oczywiście. Nie przystawaj - popędził Decjusza, ale wystraszona klacz kupca zapierała się wszystkimi nogami.

Kilka pszczoł zaczęło brzęczeć wokół nich. Jedna wpadła w nozdrza konia Decjusza. Oszołomiony owad poszedł za liczącym milion lat odruchem, jaki nakazywała mu natura w razie bezpośredniego zagrożenia: Wróg. Atakować za cenę życia.

Wbił żądło aż do samego końca.

Giń, chabeto!

Klacz wyskoczyła w górę. Decjusz wzbił się w powietrze. Między jego siedzeniem a siodłem utworzyła się pokaźna przestrzeń, ale zaraz opadł z przeraźliwym wyciem i głośnym plaśnięciem, jeszcze zanim klacz poniosła.

Tym razem impuls każący jej podążyć przed siebie lotem strzały nic napotkał żadnych ograniczeń. Pomknęła. Decjusz cisnął postronek muła. Potrzebował obu rąk, aby trzymać się siodła. Dopóki klacz nie opuściła drogi i nie znikła w nadrzecznym lasku, słychać było:

- Uaaaaaaaaaaa!

Maeniel stał spokojnie, aż tętent kopyt i krzyki Decjusza ucichły. Rozważał możliwości, jakie mu zostały, i uznał, że poczucie przyzwoitości pozwala mu jedynie poprowadzić muła śladem Decjusza; żywił nadzieję, że nie wydarzyło się żadne nieszczęście.

Chwasty, janowiec i osty zarosły głębokie koleiny. Maeniel odniósł wrażenie, że kiedyś droga była bardziej uczęszczana. Nie wiedzieć czemu przestano z niej korzystać.

Kopyta galopującej klaczy wydarły kawałki darni. Gałęzie niemal całkowicie zasłaniały niebo. Szlak, wyboisty od korzeni, wił się, zakręcał, prowadząc Maeniela coraz głębiej w las.

Droga była coraz grosza. Tu wielki kamień blokował przejście, tam kępa grubych dębów otaczała czarne rozlewisko, zmuszając do jego obejścia. Za dębami leżał powalony piorunem buk, całkowicie uniemożliwiając przemarsz.

Muł parsknął, cofnął się, zaparł wszystkimi nogami i odmówił ruszenia w dalszą drogę. Maeniel nie ustąpił. Puścił postronek, złapał uzdę i przeciągnął zwierzę przez gałęzie powalonego drzewa. Koń tymczasem szedł posłusznie, jakby przyzwyczajony do szalonych kaprysów kupca.

Decjusz leżał na wznak po drugiej stronie buka, pod niskim konarem. Był nieprzytomny, sino-purpurowa opuchlizna przecinała mu czoło. Kilka kroków dalej jego klacz skubała karłowate krzewy.

Maeniel ukląkł obok Decjusza, który oddychał, ale był nieprzytomny. Co teraz?

Niebo poczerniało.

Gdyby przemienił się w wilka, mógłby się oddalić. Zostawiłby tu tego durnia. Jednak Decjuszowi porzuconemu na pastwę burzy groziła śmierć. Ludzie w grupie stanowili potęgę, ale pojedynczo byli słabi.

Maeniel był dobry z natury, wiedział co to współczucie. Wiele osobników w jego gromadzie dostrzegało minusy i kłopoty dowodzenia i nie skorzystało ze sposobności objęcia funkcji przywódcy. Tylko on zaakceptował ten ciężar.

Westchnął i wziął Decjusza na rękę. Ku jego zdziwieniu konie i muły poszły za nim, ufając jego ludzkiej naturze.

Mały płatek śniegu wylądował mu na przegubie. Kolejne płatki zawirowały w powietrzu pędzone coraz silniejszym wiatrem. Niskie drzewa przy drodze pokłoniły się nadlatującej kurzawie. Dalej rozciągały się otwarte pola. W Maenielu narodziła się nadzieja, że być może niedaleko są siedziby ludzi. Jeśli tak, zostawiłby Decjusza mieszkańcom, a sam udałby się dalej. Lecz gdy minął ostatni zakręt, zdał sobie sprawę, że droga prowadzi tylko do spalonego majątku ziemskiego.

Nie był równie bogaty jak tamten w jego dolinie. Tu za palisadą stał kiedyś tylko jeden duży dom, otoczony paroma zabudowaniami gospodarskimi.

Z domu została szerniała ruina, z reszty -jeszcze mniej, szczątki zarosłe bujną trawą. Uchowała się wyłącznie jedna marna budowla. Najeźdźcy, odjeżdżając, podłożyli pod nią ogień, ale pożar strawił tylko ścianę. Dach zapadł się, tworząc jakby przybudówkę. Ranny Decjusz i zwierzęta mogli ukryć się tam podczas zimowej nocy. Wilk nie miał kłopotów z przeżyciem. Był zaopatrzony we wszystko, co potrzebne. Po doprowadzeniu swojej gromadki do bezpiecznego miejsca musiał tylko wyjść, zmienić skórę i mógł ich zostawić własnemu losowi.

Zadygotał. Był boso, a lodowaty wiatr przeszywał tunikę. Śnieg gęstniał z każdą chwilą.

Przyspieszył kroku. Na wpół zapadnięty budynek okazał się stajnią. Przegrody stały puste, ale pod jedną ścianą był żłób, a klepisko okrywała słomiana ściółka. Położył Decjusza na słomie, rozsiódł konie i muła.

Decjusz oddychał, ale nie odzyskiwał przytomności. Maeniel wsparł jego głowę na siodle i przykrył go derką, którą wyciągnął z juków. Na polu zboże rozsiało się same. Po chwili zebrał go tyle, że zwierzęta miały suty posiłek. Rozpałił ognisko. Nie było problemów z podtrzymaniem ognia; chrust leżał między drzewami, a ruiny były pełne drewna. Należało jedynie pilnować, aby nie zajął się dach.

Nie wiedział, co ma dalej począć. Zwierzęta jadły, Decjusz spał nieprzytomny. Maeniel wyjrzał przez szpary w ścianie i zadrżał. Padał gęsty śnieg, rozmywał zarysy lasu i pól zarosłych chwastami. Wiatr potrząsał drzewami, zrywał ostatnie zeschnięte liście, a szron obejmował coraz to wyższe gałęzie zimozielonych roślin, utrwalając ich ciemną barwę.

W oddali zawył wilk, odpowiedział mu inny, po chwili dołączył trzeci. Rozległ się cały chór. Maeniel zaśmiał się pod nosem. Wyglądało na to, że w wysokich

górach pogoda jest jeszcze gorsza i niektóre przełęczce zasypał już śnieg. Zdążył w ostatniej chwili.

Kilka wilków żyjących wzdłuż rzeki odpowiadało na chór górskiej watahy. Ludzie polowali na nie częściej niż na mieszkańców gór. Teraz były zaniepokojone tym, co działo się na drugim brzegu.

Ale wilcza mowa jest lakoniczna i Maeniel nie potrafił zrozumieć dużo więcej z ich pieśni. Jedynie tyle, że nie będą polować, póki śnieżna burza nie ucichnie, ale rankiem chyba wyruszą. Śnieg z pewnością złapie w swoje paści jakąś zwierzynę. Zapowiadały się piękne łowy.

Rozciągnął się przy ogniu. W przybudówce zrobiło się wygodnie. Północny wiatr tłukł o pochyły dach. Lód i śnieg nawarstwiały się na murach, utrzymując ciepło. Gęsta warstwa słomy izolowała od podłoża.

Maeniel nie musiał przeszukiwać juków Decjusza. Nos podpowiedział mu, gdzie jest mąka, sól, kiełbasy i oliwa. Nauczył się całkiem sporo od Imony, tak więc niebawem podpłomyk rósł na podgrzewanym gładkim kamieniu. Maeniel przyrządził sobie posiłek z kiełbasy, sera i chleba.

Imona! Wstał, zdjął tunikę, odpasał miecz. W chwilę potem stał się wilkiem i znikł w śnieżnej ciemności.



Imona! Żyła z dnia na dzień. Czasem zaskakiwało ją tempo, w jakim dni biegly od rana do zmierzchu, podczas gdy ona zatracala się we wspomnieniach.

Czasem zaś wlokły się, a wtedy smutne myśli sprowadzały palące łzy, które nie były żadnym lekarstwem na jej ból. Miała po nich jedynie ból głowy i czerwone powieki.

Pojawiały się kobiety, służące, zwykle kierowane przez dostatnio odzianą panią, która nigdy, przenigdy, nie patrzyła Imonie w oczy. Podawały jedzenie, słały łóżko i nawet czasem kąpały ją, kiedy była tak załamana, że nie miała ochoty zadbać o siebie. Ale nikt nigdy nie próbował nawiązać z nią kontaktu.

Wspomnienia szczęścia nie dają nam pociechy, gdy wielki mrok rozdziawia paszczę, czekając na nasze dusze.

Imona po prostu nie chciała wracać do pewnych przeżyć: do chwil z rodzicami, dzieciństwa w Bretanii. Ale pozwalała sobie na wspomnianie morza, szmaragdowej wody tłukącej wściekle o skały i rozpylanej na białą pianę.

Wspominała też, jak na powitanie i pożegnanie dnia światło zmieniało się nad wodą i rosły cudowne delikatne tęcze, dzięki którym każdy wschód czy zachód słońca był inny.

Czasem mogła siedzieć, po prostu siedzieć z zamkniętymi oczami, czuła wówczas słone powietrze. Nawet bawiła się myślami, że słyszy wołanie kołujących mew albo czuje smak bladej mgły nasuwającej się od oceanu, która wstrzymuje wszelką ludzką aktywność na wybrzeżu, otulając cały świat świętą ciszą.

Starala się nie myśleć o swoim mężu, zwłaszcza o pierwszych wspólnych latach, kiedy byli szczęśliwi i urodziła mu dwoje dzieci, zanim usłuchał wezwania jej rodziny i poszedł się bić z Rzymianami. Starala się o tym nie myśleć, wtedy bowiem zaczynała wymyślać niesłychane rzeczy, wydawało się jej, że mogła przewidzieć jego los i zapobiec kalectwu, które kompletnie mu zniszczyło ciało i duszę i do tego stopnia pozbawiło nadziei, że popełnił czyn sprowadzający nieszczęście na nich wszystkich.

Kiedy myślała o nim, przeżywała najgorsze dni, odmawiała jedzenia i kąpeli, zakrywała głowę płaszczem i nieustannie opłakiwała męża, siebie, biedną, na wpół szaloną Kat, tępego, ale dobrego Desa i nawet staruchę. Poza Kat wszyscy spoczęli martwi w popiołach tego, co kiedyś było ich domem.

Ale były dni, podczas których mogła oczyścić umysł z poczucia winy i ze smutku. Wtedy myślała o górach i o tym, jak po raz pierwszy je ujrzała.

Jako pannę młodą ze szlacheckiego domu wysłano ją do męża wozem okrytym skórą i ciągniętym przez cztery białe woły. Miały być poświęcone na uroczystości weselnej, zadowolić bogów męzowskiego domostwa i nakarmić gości.

Początkowo świetnie się bawiła, często zatrzymywali się na uczyty w domach wasali ojca. Lecz kiedy opuścili znajome ziemie, wóz stał się czymś w rodzaju aresztu. Mieszkała w nim, jadła i spała z dziewczkami służebnymi, wypuszczana tylko na krótko o zmierzchu pod silną strażą, aby mogła się załatwić, i czasem, gdy postój wypadał nad jeziorem lub strumieniem, żeby się wykapała. Kiedy narzekała, towarzyszące jej staruchy nakazywały ciszę i cierpliwość.

Tak więc rankiem, kiedy usłyszała ruch i coraz głośniejsze rozmowy eskorty, śmiało przeczołgała się między śpiącymi kobietami, odrzuciła skórzaną płachtę i zeskoczyła z wozu. Podniosła wzrok. Jęknęła z zachwytu i usłyszała chichot siwobrodego męża.

- To ci widok! Góry! - rzekł. - Można by rzec, że nieba sięgają.

To była prawda. Słońce dopiero wstało. Okryte śniegiem wierzchołki kapały się w złotym blasku. Niebieski cień nadal otulał długie, faliste krawędzie stoków. Miękki kobierzec zieleni zasłał hale, a mgła spływała między okrytymi śniegiem gigantami jak rzeka chmur.

- Czy to tam mnie wiezicie? - spytała.

Woźnica skinął głową.

- W takim razie pokocham tę krainę. Wiem o tym.

I pokochała ją. Krótkie, ale piękne okresy lata - długie, leniwe dni wypasu stad bydła i owiec na halach poniżej lasów. Niewiarygodne jesienie, kiedy wszelkiego rodzaju owoce prześcigały się w kuszeniu ludzi. Sady w wysokiej dolinie uginały się od brzoskwiń, śliwek i wiśni. Było niewiarygodne zatrzęsienie jabłek - zielonych, czerwonych, różowych i nawet białych. Zarośla ciemniały od owoców malin, jeżyn i głogu. Płowa zwierzyna, rysie i kozice przemierzały górskie lasy. Z nadejściem śniegu wszyscy polowali na dziki odpoczywające w legowiskach.

Prowadzili życie herosów; polowali, walczyli, grali w szachy, zabawiali gości pieśniami i opowieściami, aż Imona, najedzona do syta wołowiną, dziczyzną, szynką, serem białym i żółtym, chlebem na zakwasie i praśnym, a wszystko to popite

italskim winem, miodem, piwem jęczmiennym, wspierała głowę na ramieniu męża i przymykała powieki, aż goście wyszli lub ostatnie pochodnie zgasły.

Czasem budziła się i prowadził ją do komnat. Czasem brał ją na ręce i niósł jak dziecko. Wokół był świat cudów, zanim... zanim przyszli Rzymianie.

Uciekła myślami od cierpień, które potem nastąpiły. Czemu samej zadawać sobie męki? Tamto życie się skończyło. Po prostu.

Jej jedynym gościem był władca tego plemienia. Wódz, sędzia, jak zwał, tak zwał, zjawił się otoczony wojami, jakby towarzystwo zbrojnych mogło rozpędzić ponury cień, który ją otaczał i wisiał nad głową nocą i dniem.

Kłęcząca przy palenisku w kącie. Z końcem roku, kiedy stodoły napełniono pośpiesznie plonami, noce stawały się coraz chłodniejsze. Rozpałała ogień, broniąc się przed zimnem.

Zapukał.

- Wejść! - krzyknęła i usłyszała szczęk klucza w zamku.

Wszedł otoczony kręgiem zbrojnych. Za nimi wtargnął podmuch lodowatego powietrza.

Imona podniosła się. Chociaż przyodziana w grubą płócienną suknię i gęsto tkany wełniany płaszcz, drżała w przeciągu.

- Zamknijcie te cholerne drzwi! - zaryczał wódz. - Gdzieście się, bękarty, chowali, w stajni? Tam jest lodownia.

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

- Niech was szlag trafi! Nie kazałem wam, żebyście mnie ogłuszyli, tylko kazałem zamknąć te drzwi!

- Wiatr... - ktoś zaczął się usprawiedliwiać.

- Och, stul pysk! Po prostu stul pysk! Nie przerywaj mi więcej!

Zapadła głucha cisza.

Imona otarła ręce. Zajmowała się mieszaniem mąki i zwietrzałego piwa, szykując poranny posiłek. Ta mąka wydawała się jej bardzo podejrzana. Wymieszano ją z otrębami, żołądziami i starym korzeniem leszczyny.

Wódz odchrząknął pompatycznie, raz, drugi.

- Jestem Cynewolf, przywódca tego ludu. Przybyłem spytać cię, pani, czy ci czegoś trzeba. - Zaczął bardzo pewny siebie, ale zakończenie małego przemówienia wypadło wręcz niezdarnie.

Imona czuła gorzkie rozbawienie. Nie okazała wodzowi litości.

- Kiedy żyłam w tych górach jak prosta wieśniaczka, nikt nie pamiętał, że wcześniej byłam córką króla. Teraz, kiedy znoszę swój los, uznaje się moją godność i honoruje się rangę mojej rodziny. Dzięki ci, panie Cynewolfie, za twoje starania i szacunek. Nie różnią się one wcale od tego zimnego wiatru, który wpada przez drzwi. On okazuje mi więcej dobroci. Odejdź, panie. Zostaw mnie w spokoju.

Wyglądało na to, że Cynewolf czuje się niezręcznie. Może on nie jest taki zły - pomyślała Imona. Widocznie nie palił się do tego, co czekało go za kilka dni, ale podejrzewała, że niezręczność tej całej sytuacji nie powstrzyma go od czynu. W najmniejszym stopniu.

Był ponury i zasmucony. Ale jak przystało przywódcy - zdecydowany. Odwrócił się do ludzi, którzy go otaczali, i rzekł:

- Wynocha. Wynoście się. Zostawcie nas.
Uciekli, popychając się i depcząc sobie po piętach.

Wódz przeszedł przez izbę i zatrzymał się przy Imonie. Ukląkł na jednym kolanie i spojrzał na palenisko, mrużąc oczy. Mąka na śniadanie leżała w misce obok.

Cynewolf nabrał jej pełną garść i cisnął w płomienie. Ostry smród przeniknął izbę.

- Jaka mąka, taki nasz los! - Głos miał chrapliwy od gniewu i bezsilności. - Nasze żyzne pola po drugiej stronie rzeki przepadły. Spalił je lata temu... kiedy nie posłałem mu konnych na wyprawę przeciwko moim ziomkom w Galii. W końcu dostał tę kawalerię. Ale nam nigdy nie było dane wrócić. Rzymianie z obozu zepchnęli nas za rzekę. Tego roku kobiety zebrały kosze żołądź i otrąb. Ostatniej zimy zdzieraliśmy korę z drzew, ale i tak wielu umarło. Zeszłego roku straciłem najstarszego syna, rok wcześniej najmłodszą córkę.

Przetarł dłonią twarz, jakby chciał odpędzić złe wizje. Wstał i spojrzał na Imonę.

- Gdybym mógł, okazałbym łaskę, ale nie mogę. On, ten pomarszczony Rzymianin z zapadniętymi policzkami, okazał się nieszczęściem twojego ludu.

- Nikt z niego nie został - rzekła cicho Imona.

- Tak, ale mój przetrwał. Nie wolno dopuścić do tego, żeby Rzymianin przekroczył Ren. Nie wolno!

- Zapytaj Pani! - powiedziała Imona. - Usłucham jej odpowiedzi. - Zdjęła z szyi złoty torques i wręczyła go Cynewolfowi. - Jeśli powie „tak”, zwróć go. Jeśli „nie”, udam się do domu jednej z moich córek. Nie przywitają mnie tam z radością, ale odejdę. Umieć wysmienicie tkać. Gdzieś znajdę sobie miejsce.

Cynewolf stał, milcząc. Obracał torques w dłoniach.

- Jesteś córką króla. Przysługują ci pewne względy. Tak. - Westchnął. - Cóż, winienem je okazać.

Odwrócił się i wyszedł.

Rzymianie. Cynewolf szedł ku rzece. *Oppidum* zbudowano na wzniesieniu. Ludzie rozbili obozowisko na stokach prowadzących do dworzyszczą wodza i warsztatów skupionych wokół siedziby władzy. Kroczył błotnistymi ulicami między zburzonymi, spalonymi sadybami. Niewiele pozostało po ostatnim najeździe Rzymian.

Zatrzymał się i spojrzał w górę. Słońce świeciło jasno, ale wiał porywisty wiatr z pomocy; szarpał płaszcz i kąsał w uszy lodowatymi zębiskami. Niebo przysłaniały wysokie, porwane chmury, miejscami cienkie i mgliste, przepuszczające lazurowy blask, miejscami szare i pobrużdzone jak kry na rzece.

Tak - pomyślał - do rzeki. Ruszył spiesznie. Nocą był mróz i błoto trzeszczało mu pod stopami, kiedy miażdżył kryształowe płaszczyzny.

Pamiętał z dalekiego dzieciństwa, jak wiosną dawna osada tętniła życiem, niczym gwarny rój pszczół. Było tu pracy nie dla jednego, ale dla trzech kowali. Wykuwali zbroje, miecze, narzędzia rolnicze i wiele innych niezbędnych przedmiotów. Trudził się złotnik i jego rodzina, a ich najpiękniejsze wyroby nosili wojownicy i kobiety z rodziny Cynewolfa - rodziny władcy.

Całe gromady niewiast, niewolnych i wolnych, tkwały wspaniałe płótna. Część z tych wyrobów wymieniano na północy, aż w legendarnej krainie Piktów, zagubionej w hyperboreańskich mgłach, a część wędrowała tak daleko na południe, że ogrzewała Rzymian podczas wilgotnych, dokuczliwych śródziemnomorskich zim. Szynki, boczki i kiełbasy zapełniały wędzarnie, mroczne od gęstych zimnych dymów bijących z palenisk, lub też zasolone wisały w piwnicach, gdzie było chłodno nawet w środku lata.

Teraz już nie, kiedyś tak - pomyślał. - Kiedyś miałem synów i córki. Kiedyś. Ci bogowie są pewnie z drewna i kamienia. Nie przypuszczałem, że to może tak boleć.

Dotarł na skraj obozowiska i spojrzął na długi zielony stok, graniczący z migotliwą szarością gładkiej tafli sunącej między brzegami.

Na stoku obozowało wiele rodzin, w namiotach i ciężkich wozach. Skórzane zastony tworzyły tymczasowe przybudówki.

Tak, kiedyś ci ludzie byli szczęśliwi. Pędzili stada koni, bydła, owiec i kóz. Te wozy były pełne płótna, piwa, suszu jabłkowego, gruszek, wiśni, szynek i kozich serów. Nocą płomienie ognisk skakały wysoko, kiedy uzgadniano małżeństwa, doprowadzano do końca umowy, a wspólne interesy łączyły wszystkich. Noce kończyły się ucztami, opowieściami, poematami i pieśniami. Wszystko to na tle ognia i tyłu latających iskier, że rywalizowały z gwiazdami na nocnym niebie.

Teraz mijani mężczyźni nie patrzyli mu w oczy, a kobiety, widząc torques w jego ręce, chowały dzieci za spódnice, dotykały amuletów na szyi i udawały, że nie istnieją.

Nawet w słońcu miały szarą skórę, pomarszczone twarze i strach w oczach. Wozy, kiedyś przelewające się od towarów na sprzedaż czy na wymianę, stały puste.

Szybkim krokiem zmierzał ku drzewom nad brzegiem rzeki. Gdy dotarł nad wodę, szczelniej owinął się płaszczem. Wiał ostry wiatr i powietrze było znacznie chłodniejsze niż zwykle w południe.

Słońce przeświecało zza chmur. Wierzby pochylały nad wodą długie wiotkie gałęzie, gubiąc sztyletowate zielonkawożółte liście w wirującej wodzie. Kiedy wiatr opadał i świeciło słońce, w zastygłej wodzie tworzył się idealny obraz brązowych gałęzi i żółtych liści, jakby brodząca w rzece wierzba napotykała siostrę bliźniaczkę w silnym milczącym nurcie. Gdzieś roześmiało się dziecko.

Bogowie byli z drewna i kamienia. Nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, jak cierpią ci, którzy stworzeni z ciała i krwi przemijają szybciej od nich. Ciśnij torques do wody. Wypuść Imonę. Niech zestarzeje się jak inne kobiety, stojąc przed wysokim krosnem, pracowicie przerzucając czółenko tam i z powrotem w cienistym blasku glinianej lampki. Gdyby zamknął oczy, ujrzałby, jak stoi, z obwisłymi piersiami, rozrośnięta w biodrach, z każdym rokiem coraz bardziej siwa, aż trud rozpuści skórę, potem kości i Imona odpłynie z nurtem rzeki niczym złote liście wierzby.

Dziecko znów się roześmiało. Promienie słońca odbiły się od torques i wiru pod wierzbą.

Zobaczył dziecko, które zaśmiewało się na widok swojego odbicia w rozślonecznionej strudze. Czyje to dziecko? Rozjaśnił się. To jego dziecko. Najmłodsza córka. A potem przypomniał sobie, gdzie jest jego najmłodsza córka.

Kiedy się ocknął, klęczał w połowie zielonego kopca i ścisnął torques w obu rękach.

Przed nim stała jedna z jego żon. Alix, pierwsza i najstarsza. Nie matka jego córki. Nie! Tamta umarła. Umarła niedługo po tym, jak... Drżącymi dłońmi wręczył torques Alix.

- Daj to tej... tej kobiecie.
- I co powiedzieć?
- Nic. Nie trzeba nic mówić. Ona zrozumie.

Klęczał jeszcze długo po tym, jak poszła, usiłując przekonać samego siebie, że nie widział tego, co właśnie dojrzał, a kiedy mu się to nie udało, próbował to sobie wytłumaczyć. Lecz ani nie przekonał samego siebie, ani niczego sobie nie wytłumaczył. Wstał powoli, czując, że z wiekiem kończyny mu sztywnieją; wrócił do siebie i rozkazał, by przyniesiono mu wina. Bardzo dużo wina.

A Imonie dostarczono jej torques. Alix podała go jedną ręką, drugą zakrywając twarz połą płaszczą. I Alix, jak jej polecono, nie powiedziała nic. Alix, wierzba płacząca.

Imona zrobiła to samo co Cynewolf. Wypiła całe wino i piwo, jakie jej przyniesiono. Przyglądała się słońcu, które pojawiała się i zniknęło. Nie wieczorem, ale jutro. W dniu nie z tego świata. Nie dniem, nie nocą, świtem, zmierzchem. Nad morzem, nie w wodzie, nie na stałym lądzie. W dniu nie należącym do żadnej pory, w świętym czasie, nie podlegającym władzy umysłu. Kiedy żyjesz i nie żyjesz. Najświętszej nocy. Świętej nocy. Kiedy uchylają się drzwi wieczności. Imona zadygotała. A że nie miała już nic więcej do roboty, beczynn timer obserwowała pojawianie się i znikanie słońca, kiedy wiatr pchał chmury z północy.

Zimno było niestraszne wilkowi. Potrójnej grubości futro nie przepuszczało wody, a lód nie osiadał na szorstkim, zewnętrznym włosiu nawet podczas najzimniejszych, przesączonych wilgocią dni. Szerokie łapy nie czuły lodowatego

podłoża, a pazury i poduszki zapewniały przyczepność nawet na śliskim lodzie. Same rozmiary dawały mu przewagę nad każdym osobnikiem jego gatunku. Wilki dorównujące wielkością ludziom trafiały się niezwykle rzadko. On jednak był potężny, ważył sto osiemdziesiąt funtów. Gruba warstwa tłuszczu na mięśniach - z niej czerpał energię służącą przemianie z człowieka w wilka i na odwrót - zapewniała ochronę przed lodowatą zimową nocą.

Miał pewne wątpliwości co do tego, czy zostawić Decjusza w tak beznadziejnym stanie. Mogły go znaleźć wilki lub niedźwiedź. Więc kilka razy okrążył spaloną posiadłość i zbadał otoczenie. Przekonał się, że było miejscem okrutnej bitwy. Wielu zginęło. Mimo przenikliwego chłodu wilczy nos wywąchał szczątki zwierząt i ludzi.

Posiadłość nie była jedynym siedliskiem ludzkim. Za polami ciągnęła się kiedyś wieś. Po zabudowaniach, zamieszkanym przez ubogich chłopów, zostało kilka naczyń domowego użytku zniszczonych przez pogodę oraz kwaśny odór węgla drzewnego i mułu. Wieśniacy również mieli swoich umarłych. O większość upomniała się ziemia. Woń zeschniętych kości i zardzewiałego żelaza powiedziała wilkowi, gdzie spoczęli.

Było ciemno. Śnieg padał coraz gęstszy. Szary basior jednak krążył dalej, upewniając się, że nic nie zagraża jego podopiecznemu, i niczego nie znalazł.

Wilki zrezygnowały na tę noc z łowów. Niedźwiedzica? Ją interesowało tylko jedno w tej okolicy, barć. Zmysły ostrzegły ją o nadciągającym zimnie jeszcze szybciej niż jego. Tak więc dawno temu poszukała gawry. Obrosła tłuszczem i nosiła w sobie płody niedźwiadków, które miały przyjść na świat późną zimą. Dziupła z miodem była jej smakołykiem do poduszki.

Ostatni krąg zaprowadził go do drogi. Nawet pszczoły się uspokoiły. W miarę możliwości naprawiły zniszczenia, które wyrządziła buszująca niedźwiedzica. Teraz wisały w głębokiej dziupli, zabezpieczone warstwą kory, pnia i trocin, grubą przynajmniej na stopę. Każdy owad spoczywał przytulony co najmniej do trzech innych. Tworzyły ciemną kurtynę, zakrywającą larwy i pełne miodu plastry. Bardzo cicho bzyczały. Wilk przystanął i słuchał.

Były zadowolone. Królowa żyła, nie poniosła szwanku. Większość larw potrzebnych do rozwoju kolonii również przeżyła, a miodu pozostało aż nadto, by przetrzymać zimę.

Nad pszczelim siedliskiem zaczęły strzelać i klekotać gałęzie. To śnieg, który wpraw się stopił, zastygał w lód pod wpływem północnego wiatru. Pszczoły bzyczały również o potężne drzewa. Co prawda spróchniało i rozdarł je piorun, ale w ich mniemaniu było tak mocarne, że powinno je ochronić jeszcze co najmniej rok. Śpijmy teraz, śpijmy, gdy na świecie króluje biała śmierć - śpiewały. - Śpijmy.

Wilk potruchtał dalej, nie zwracając uwagi na przedziwną kołysankę. Tu, w zimnej nocy, czuł się u siebie.

Gdzie szukać Imony? Był przekonany, że zabrano ją na drugi brzeg rzeki. Chociaż jego wiedza o ludzkich sprawach była niezwykle uboga, zdawał sobie sprawę, że znajduje się na granicy rzymskiego imperium.

Nawet on rozumiał, że plemię Imony postąpiło rozsądnie, zabierając ją poza terytorium, na którym mogła zostać ukarana za czyny męża. Lecz gdzie ją umieszczono, gdy już trafiła za rzekę?

Pośpieszył wzdłuż brzegu. W ciemności, w której śnieg rozmywał wszystkie kształty, widział lepiej niż człowiek. Omijał jeszcze nie zamrożone kałuże. Woda to fraszka, ale nie chciał tracić czasu na wygryzanie grudek lodu, które zagnieździłyby się niechybnie między pazurami. Dokuczało mu lekkie ssanie w żołądku.

Wilcze potrzeby przerastają ludzkie zapotrzebowanie na jedło. Pragnął czegoś więcej niż chleba z serem, choć w razie konieczności potrafiłby wytrzymać kilka dni bez pokarmu.

Jednakże czuł pogłębiające się zniechęcenie. Od kilku dni wędrował przez pustkowie i minął prawie tydzień, odkąd w górskiej kryjówce znalazł ostatni ślad Imony. Nie miał dowodu, że jest w pobliżu.

Temperatura szybko spadała. Teraz nie wpadał już w kałuże, nawet kiedy nie uważał. Woda wszędzie ścinała się w lód, również na leśnej drodze. Basior był coraz bardziej rozeźlony i już miał zawrócić, zapolować na coś, jeśli to możliwe, dotrzeć do przybudówki i zasnąć, gdy poczuł woń palonego drewna.

Przyśpieszył i minąwszy następny zakręt, dojrzał migające światła ludzkiej osady, kilku zabudowań wzniesionych wokół przeprawy promowej. Prom poruszała się na linie rozciągniętej między brzegami. Leżał jednak po przeciwnej stronie, do połowy zanurzony w lodowatym mule i śniegu. Przysadziste chaty pozamykano przed zadymką na trzy spusty.

Wilk zatrzymał się zdezorientowany. Co teraz?

Spojrzał na rzekę. Oleiste czarne fale nikły pod coraz szczelniejszą pokrywą białych płatków.

Przysiadł na zadzie. Całkiem po ludzku zaklął w duchu: Niech to cholera weźmie! A potem podniósł łeb.

Śnieg i deszcz padały z niskich zwałów chmur, których brzuchy na drugim brzegu rozjarzał czerwony blask palenisk chat.

Wilk podniósł się i potruchtał przez warstwę zarośli osłaniającą brzeg. Niektóre krzewy były nadal zielone, potargane liście i połamane gałązki wydawały odurzającą woń. Wawrzyn? Nie. Powonienie w rodzinie psowatych jest dwadzieścia razy silniejsze niż ludzkie. Wilk potrafił rozróżniać zapachy, które każdemu człowiekowi wydałyby się identyczne.

Dotknął nosem niebieskiej jagody. Na tle ciemnozielonych lśniących liści była wręcz ekstraktem niebieskości. Wysunął jęzor. Jagoda smakowała trzema kolorami: niebieskim, zielonym i szarym. To była zgaszona niebieskość, niemal fiolet; zieleń była z ostro pachnących liści, na wpół kadzidlana, na wpół kęsająca zimnem, kojarząca się ze słodkimi liśćmi wawrzynu. A szary smak był niczym zimna mgła pełnąca ze szczytów w górskie doliny, kiedy słońce zachodzi za wierzchołki, malując góry złotymi pędzlami promieni tak pięknie, że serce niemal pęka z zachwytu na ten widok.

Znalazł kolejne jagody. Człowiek zadrżałby ze zgrozy. Maeniel - człowiek może by uciekł. Lecz wilk zajrzał w inny świat i dał mu się pochłonać. Dla zwierzęcia, dla wilka, jutro i wczoraj to iluzja. Istnieje tylko teraz; teraz i smak jagód na języku.

Był w ogrodzie odwiedzanym w magicznych chwilach między brzaskiem i wschodem słońca. A może był to blady zmierzch między zachodem słońca i nocą? Nawet wilk nie potrafił tego zgadnąć. Zwykle potrafił. Wschód i zachód słońca mają inną woń. Ale nie tu, gdzie perfuma jagodowych krzewów przesyciła powietrze.

Zimno przepadło, zastąpił je przyjazny chłód. Rzeka przepadła, zastąpił ją wąski potok, ledwo zakrywający wilkowi łapy. Ale był piękny, odbijał niebiesko-fioletowe niebo promieniujące lekką różowością.

Kiedy wilk się urodził, dostał wiele map. Mapę niebios mówiącą mu, jak mija każdy dzień, miesiąc i rok. Mapę gór i tajemnic pór roku. Mapę ścieżek i wszystkich szlaków - poza niewidzialnymi - otwartych w blasku słońca i gwiazd, w deszczu i w śniegu; dróg prowadzących do wszystkiego, czego potrzebował w życiu, a także po

śmierci. Nie otrzymał jednak mapy tego miejsca, a ponieważ teraz przyjął ten dar, być może w ten sposób wziął na siebie wieczne zobowiązanie.

Przepchnął się przez żywą roślinność, unosząc wysoko łeb z powodu śniegu, lodu, marznącego deszczu i śmierci. Przebiegł w dół wąskiego trawiastego zbocza, przez strugę, w której ostrożne wilcze łapy nawet nie zachlupotały, i wspiął się na przeciwległe zbocze, aż śnieg i wiatr, niesione wiatrem, bryznęły mu w pysk. Patrzył ze stromizny na obozowisko opasujące szczyt wzgórza. Na *oppidum*, do którego można było dostać się przez rzekę tylko promem.

8

Wilkowi nie przeszkadzał śnieg, wiatr ani zimno, jako że wilk jest zwierzęciem ze wszech miar przystosowanym do życia w najgorszych warunkach pogodowych. Nogi mu nie przemarzają, ponieważ jego organizm potrafi obniżyć ich ciepłość do temperatury śniegu bez uszczerbku dla sprawności mięśni czy krążenia krwi. Maeniel o tym nie wiedział, lecz nie doskwierała mu nawet lodowata nawierzchnia.

Podszerstek wilka to rodzaj ocieplającego runa. Zewnętrzne włosie nie dopuszcza wilgoci z deszczu lub śniegu i, jak wiedzą wszystkie polarne ludy, nie utrzymuje szronu. Czuł się wygodnie nawet podczas takiej właśnie zadymki.

Lecz był świadom, że jego drugie ja nie jest równie szczęśliwie obdarzone przez naturę i kiedy wyruszał ku obozowisku, zdawał sobie sprawę z tego ograniczenia. Bardzo chciał odnaleźć Imonę, a następnie, jeśli to możliwe, przemienić się i zabrać ją ze sobą. Jednak człowieczy rozum powiadał mu, że to głupota. Jako istota ludzka musiałby umrzeć do rana bez ubrania i schronienia.

Nie, najlepiej zrobi, zastanowiwszy się wpierw, jak zrealizować swoje cele. Po pierwsze, należało znaleźć Imonę! Mogło jej tam nie być. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby jagody nie otworzyły przed nim szlaku przeprawy. Może poddałby się i zawrócił, a może i nie. Już raczej spróbowałby pokonać rzekę wpraw i spocząłby na jej dnie.

Kiedy wkroczył do obozowiska, okazało się, że nikt nie zwraca na niego specjalnej uwagi. Szare futro było prawie niewidoczne podczas śnieżycy, a ludzie, którzy jednak go dostrzegli, widzieli w nim wielkiego psa.

Początkowo zachowywał się trochę bojaźliwie, przemykał się od cienia do cienia, lecz szybko zdał sobie sprawę, że to tylko potęguje ludzką podejrzliwość. Dopóki biegł ludzkimi ścieżkami, zwiesiwszy łeb i wywaliwszy jęzor, sprawiał niewinne wrażenie i nikt się nim nie przejmował. Kto by uwierzył, że wilk jakby nigdy nic wałęsa się między ludźmi, bez cienia lęku.

Jak na razie wszystko gra - myślał, dopóki nie znalazł się przed bramą *oppidum*.

Otaczała je wysoka palisada z grubymi drewnianymi wrotami najeżonymi żelaznymi grotami. Były zamknięte. Po każdej stronie zatknięto w żelaznych koszach

pochodnie, tak że trzech uzbrojonych i budzących respekt strażników miało dobrą widoczność.

Siadł niewidoczny w ciemności i rozważył sytuację. Gdzie przebywała Imona? Nie wiedział. Liczba i różnorodność zapachów wytwarzanych przez ludzi, żywy inwentarz, skóry namiotów i pichcone jado niemal obezwładniała zwierzęce zmysły.

W tym momencie mocny powiew wiatru podniósł śnieżną kurzawę. Strażnicy odwrócili się, chroniąc twarze przed lodowatym tchnieniem, które niemal przyduśiło pochodnie.

Tak, poczuł ją. Jej perfumę. Woń rozgrzanego ciała. Ciepły, pełen wspomnień zapach należący tylko do niej. Była tam. Nie jakaś pozostałość, odcisk stopy w wilgotnej ziemi, włos albo kawałek futra z odzienia, zaczepiony na złośliwych kolcach ostrokrzewu. To była przesyłka, jaką wiatru przekazała żywa, oddychająca istota, której serce biło, a płuca napępniały się i opróżniały, istota, której myśli i sny wybiegały poza zimną noc, drewniane wrota i palisadę tego więzienia.

Poczuł ulgę, której się nawet nie spodziewał. Nie zdał sobie sprawy, jak bardzo się lękał, że Imona po prostu zniknie z jego życia i nigdy więcej jej nie zobaczy. Po prostu nie dopuszczał do siebie tej myśli, gdyż Imona zajęła wiele miejsca w jego sercu.

Naiwnemu człowiekowi i niewinnemu wilkowi wszystko wydawało się proste. Minie bramę, przywita ją, a ona uda się za nim. Był przekonany, że zdoła jednocześnie kierować watahą i opiekować się Imona. Jeśli to konieczne, zdoła ukryć ją nie tylko przed jej plemieniem, ale i przed Rzymianami. Ale jak przejść przez bramę?

W tej chwili usłyszał syk kół wozu, trzaski i westchnienia świeże go śniegu ubijanego obręczami. Z ciemności wyłonił się mglisty zarys wielkiego wozu ciągniętego przez muły. Zatrzymał się przed wrotami.

Jeden ze strażników zadął głowę i spytał woźnicy:

- Co tam wieziesz?
- Soloną rybę.

Strażnik potrząsnął przecząco głową.

- Soloną rybę? Zostaw ją tu. Idź do furty. - Wskazał mniejsze drzwiczki we wrotach.

- Coś ty, głupi? Musisz być nie lada durniem, jeśli się nie boisz, że pan tego dworu dowie się, że zostawiłeś wóz z jadłem na pastwę głodnych obdartusów. Mam tu sześć beczek solonej ryby, a tamta hołota... - Wskazał światła na stoku. - Jak tylko się zwiedzą, że żarcie stoi tu i prosi się, aby je ukraść, to do rana nie zostanie garsteczki soli na dnie tych beczek.

Wartownik westchnął głośno.

- Pamiętam czasy, w których tak nie było.

- No, ja też - rzekł woźnica - ale czasy się zmieniły, więc otwieraj tę bramę, zanim odmrozę sobie jaja. Tyle czasu jechałem z tymi cuchnącymi rybami, że skóra śmierdzi mi jak woda w zębie i nawet jak sikam, to strasznie cuchnie. Potrzebuję piwa, ciepłego łóżka i, jak się da, baby, której nie wadzi rybi smród.

Wilk dostrzegł swoją szansę, podbiegł chyłkiem do wozu i wśliznął się pod niego, kiedy jeden ze strażników zaczął rozwierać wrota.

Lecz wilk nie spodziewał się kundla, który już kulił się pod wozem. Cofnął się, zaskoczony. Biały krótkowłosy kundelek w różnobarwne placki trząsał się jak galareta. Zaczęło głośno ujadać, gdy wilk wsunął nos pod wóz.

Strażnicy mieli dość tej wrzawy. Wilk warknął. Mądrzejsze stworzenie uciszyłoby się, ale wilk miał do czynienia z potęgą głupoty. Stworzonko szczekało jeszcze szybciej i głośniej.

- Co się dzieje? - spytał wartownik.

- To chyba jakiś przybłąda - rzekł woźnica. - Ten mały jest mój.

Strażnik podniósł grudę zmarzłego błota. Cisnął nią w wilka, trafiając go w żebra. Zabolało. Wilk zapiszczał.

- Wynocha stąd! Won! - krzyknął wartownik.

Rozgniewany wilk skoczył na niego.

Strażnik nosił celtycką tarczę, drewniany kwadrat, wzmocniony skórą. Kiedy wilk się zbliżył, żołnierz przejechał mu po barku i grzbiecie krawędzią ciężkiej tarczy.

Wilk zawył bardziej z bólu niż z wściekłości i podkuliwszy ogon, odbiegł bokiem w ciemność.

Zanim doszedł do siebie, wóz przetoczył się za palisadę. Wrota zamknięto, opuszczono zasuwę.

Rozdzierający ból w karku i grzbiecie zmałał i stał się do zniesienia, ale minęło wiele czasu, zanim wilk odzyskał sprawność w łapie. A jeszcze więcej, zanim przestał kuleć.

W końcu udało mu się opanować gniew, poczucie bezradności i ból, ale wiedział już, że w przypadku tych szalonych ludzkich stworzeń nic nie jest tak łatwe, jak wydaje się na początku. Basior stał w ciemności i nadstawiał uszu, wsłuchując się w rozmowę strażników.

W pobliżu bramy stała prowizoryczna wartownia, w której raczyli się winem, a im bardziej robiło się ciemniej i zimniej, i im bardziej rzedł strumyk podróżnych przekraczających bramę, tym częściej napełniali kielichy.

Śnieg padał coraz gęstszy. Płatki, początkowo delikatne jak puch, były teraz tak grube, że ograniczyły widoczność do dwudziestu kroków. To prawda, że wiatr - wcześniej przenikający do szpiku kości - opadł, ale śnieg padał teraz pionowo. Wilk słyszał, jak płatki dźwięczą leciutko, otulając gęstą białą pierzyną ziemię i każdą budowlę. Podkraść się do wartowni na tyle, że widział trzech skulonych strażników.

Najstarszy, brodaty gigant był już nieprzytomny. Chrapał wsparty o ścianę. Pozostali dwaj siedzieli przy stole. Jeden spał, oparłszy głowę na ramionach, drugi, smukły o rudych włosach, niestety trzymał się nieźle. Był trzeźwy i w zaczepnym nastroju. Wilk zbliżył się do drzwi.

- Wynocha! - warknął rudzielec i zaczął rozglądać się za czymś, czym mógłby cisnąć w przybysza.

Każdy w rodzinie psowatych jest w głębi serca oszustem i pajacem. Wilk opadł na brzuch, zaskamlał i postarał się o najlepszą imitację psiego uśmiechu, na jaką go było stać.

- Draniu! Chciałeś mnie ugryźć. Jak dostałeś po dupie, to chcesz się zaprzyjaźnić.

Wilk cicho zaskamlał i przeczołgał się dalej, zamiatając ziemię ogonem.

- Teraz chcesz być moim kumplem. Do rany przyłoż. - Strażnik nieco bełkotał, ale wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu. Napełnił kielich winem. - No, chodź. - Jedną ręką zaprosił wilka, drugą uniósł kielich.

Wilczy pysk był już wewnątrz wartowni. Wilk zdawał sobie sprawę, jak będzie się czuł, kiedy jego wrażliwe ślepia i czuły nos zostaną olane kwaśnym wińskim. Nie

najlepiej. Ale był trzeźwy w przeciwieństwie do Rudzielca. Wymachiwanie dłońmi mające odwrócić jego uwagę nie zwiodło wilka - człowieka.

Wino poleciało w powietrze, ale zamiast spaść na wilcze oczy, rozlało się na ludzkich nogach. Rudzielec niespodziewanie zajrzał w twarz człowiekowi; silnemu człowiekowi, ale o oczach dokładnie takich jak stworzenie, które mylnie wziął za psa przybłądę.

Więcej strażnik nie zobaczył, gdyż Maeniel przyłożył mu pięścią w szczękę.

Pozostali dwaj się nie obudzili. Tylko siedzący przy stole stęknął i poruszył się niespokojnie. Oparty o ścianę chrapał bez chwili przerwy.

Maeniel zabrał Rudzielcowi tunikę, spodnie i płaszcz, litościwie zostawiając koszulę, buty i pończochy.

Sprawdził, czy Rudzielec nadal oddycha; żałował wcześniej popełnionego zabójstwa. Opuścił wartownię. Palisada nie była dlań żadną przeszkodą. Przesadził ją bez problemu i szybko zaczął rozglądać się za Imoną.

Siedziała w ciemności, otulona grubym płaszczem, kiedy knot lampki zadygotał i zgasł. Nie miała energii ani odwagi, by przejść na drugą stronę lodowatej izby i zapalić go znowu. Leżała tylko w półśnie, czując rozpacz i bezsilność. Temperatura w środku zbliżała się do panującej na dworze i lód zaczął pokrywać ściany.

W palenisku tliła się reszta węgielków. Płonęły raz mocniej, raz słabiej, zależnie od wiatru, który hulał beztrąsko przez szpary.

Początkowo odgłosy na ulicy nie zwróciły jej uwagi. Dopiero kiedy usłyszała jego głos, wołający ją szeptem po imieniu, zerwała się na równe nogi i podeszła do deszczulek zakrywających otwór w ścianie. Dość solidne, z powodzeniem zastępowały kraty więzienne. Miały tylko jeden mały feler, zbutwiały.

Wielką dłońmi oderwał jedną. Potem uderzył w drugą i odpadła. Ujrzał twarz Imony, która spoglądała na niego z ciemnej izby. Wsunął rękę do środka.

Ujęła ją i przycisnęła do policzka. Poczuł ciepłą wilgoć. Przez chwilę był zdezorientowany, gdyż wiatr ustał i to nie mógł być rozpuszczony śnieg. Nagle zrozumiał. Płakała.

- Myślałam, że nikt o mnie nie pomyśli, że nikomu na mnie nie zależy. Ale przyszedłeś, pamiętasz o mnie i zależy ci na mnie. Tak cię kocham. - Pod jego wielkimi twardymi palcami jej policzki i usta miały gładkość aksamitu.

Był człowiekiem. Popatrzył w dół zasypanej śniegiem ulicy. Co prawda miał na sobie strój wartownika, ale był bosy. Palce u nóg już mu przemarzły, a każdy odsłonięty kawałek ciała zlodowaciał.

- Chodź - powiedział, ściskając jej dłonie. - Chodź stąd. Potrzebujesz... miłości. Miłości. Nie za dobrze rozumiem, co to znaczy, ale jeśli chcesz zasypiać z pełnym brzuchem, mieć ciepło w nocy i bezpieczne, chłodne schronienia za dnia, to zaprowadzę cię w miejsce, gdzie to znajdziemy. Będę dla ciebie polował i zabijał. Zabiorę cię daleko od twych pobratymców, którzy chcą cię skrzywdzić, i obronię przed wszystkimi, którzy ci zagrażają. Chodź ze mną, Imono. Chodź... na wolność. Zapomnij o tych dziwnych kłótliwych ludziach. Chodź. W mig rozbiję te ściany. Wiem, gdzie mogę cię zabrać. Tam jest ciepło. Już! Chodź ze mną!

Przeciagnął jej rękę między połamanymi deszczułkami.

- Chodź! Boję się, że nie mamy za wiele czasu. Musiałem uderzyć człowieka przy bramie i zabrać jego rzeczy, żeby tu przyjść. On albo któryś z jego pijanych braci może podnieść alarm.

Puścił rękę Imony i cofnął się. Widział tylko zarys jej twarzy. Oczodoły Imony wydawały się puste i ciemne jak w nagiej czaszce.

Patrzyła na jego profil. Bogowie, ale on młody - pomyślała. - Kimkolwiek, czymkolwiek jest. Co mnie czeka w jego dziwnej krainie? Co rano jest mi ciężiej wstać. Za każdym razem, kiedy rozczesuję przed lustrem włosy, znajduję więcej siwych.

- Nie - szepnęła łagodnie. - Nie.

- Czemu nie?

Odezwał się tak głośno, że się wystraszyła.

- Pst! Podniosą alarm i cię znajdą.

Wsunął ramię przez okno, aby znów ją pogłodzić. Gorączkowo uchwyciła jego palce i przycisnęła sobie do czoła.

- Cicho, błagam cię na wszystko, moja miłości, mój najdroższy. Proszę, uspokój się. Przyjdę, tylko... tylko nie dzisiejszej nocy.

- Nie? - Obniżył głos. - Czemu nie?

- Bo... - Szukała wyjaśnienia, wymówki. - Coś musi zostać zrobione, zanim odejdę. To konieczne. I to mój obowiązek. Jutro.

W pobliżu krzyknął jakiś mężczyzna. Błysnęła pochodnia.

- Wilki! Bandyci!

Zabrał rękę i w miejscu, w którym poprzednio klęczał, Imona zobaczyła zarys wilka.

Szybko zsunęła deszczułki. Odszedł, szansa przepadła. Imona zrozumiała, że dokonała wyboru, i wiedziała, co wybrała. Dorzuciła suchego mchu do paleniska. Rozbłysło. Włożyła ostatnie polano. Rozgrzało izbę, napełniło ją migotliwym, żółtym światłem.

Siedziała wpatrzona w płomienie przez długi czas, czując dziwny spokój. Odnalazła swoje wyrko i wpatrując się w płomienie, zasnęła, nie śniła o życiu ani o śmierci. Widziała tylko góry, wysokie, ostre jak nóż śnieżne granie odbijające się od granatowego nieba.

Na początku wilk musiał się tego zwijać. Oszczep wylądował w mule, tam gdzie stał zaledwie przed momentem. Przez straszliwą chwilą plątał się w tunice i w płaszczu, po czym uwolniony od przyodziewku pędził między domami, depcąc lodowatą kaszę.

Był dezorientowany, zagubił się w kolistej osadzie. Pomylił się, prawie dał się złapać, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że wzięto go w dwa ognie. W przenośni i dosłownie, ścigający mieli bowiem pochodnie.

Wilk nie tracił czasu na wahanie. Wskoczył na dach najbliższej chaty, wczepił się pazurami w przemarznąłą strzechę. Dobiegł do kalenicy, zobaczył w śniegu szczybaty brzeg palisady. Skoczył.

Czerwony blask pochodni zdradził, że pościg również przesadził ostrokół. Wilk biegł po zamarznętej śnieżnej pokrywie. Ludzie uparcie podążyli za nim, ale zapadali się po kolana i zdołał im uciec.

Na próżno szukał brodu. Biegł wzdłuż brzegu, ale okazało się, że przeprawa jest niemożliwa; lód skuł przedziwne zielone krzewy, zamarznęte jagody przypominały czarne rzeczne kamyki.

Biegł długo nieznużony, w tempie, w którym pokonywał duże odległości podczas polowań, ale nie znalazł płycizny. W końcu zatrzymał się przy zwężeniu koryta rzeki.

Wiatr znów przybrał na sile, ale śnieg przestawał padać. Płatki były delikatne, cieniutkie, jak na początku zadymki. Szybko sunące chmury rozstępowały się od czasu do czasu, odsłaniając rozgwieżdżone niebo.

Lód na obu brzegach stał się grubszy. Wilk wszedł do wody i okazało się, że nie grozi mu długi ani ciężki wysiłek. Otrząsnął się na drugim brzegu.

Odezwało się w nim lekkie poczucie winy i po raz pierwszy przypomniał sobie rzymskiego kupca. Basior stał w milczeniu, podczas gdy jego górscy bracia rozpoczęli swój śpiew. Zawieja ucichła i wataha ruszyła na polowanie, a Decjusz był ranny i bezbronny. Może wilki nie były zainteresowane człowiekiem, ale koźmi na pewno, a kiedy zaczną ucztę, przy okazji i on padnie ofiarą.

Basior ruszył szybkim kłusem.

9

Kiedy szary wilk przybył do rozwalonej stajni, znów się rozpadało. Podniósł się jako człowiek i poczuł lodowate zimno. Dygocąc, naciągnął tunikę i otulił się w niezbyt czystą derkę. W tymczasowym schronieniu panowała ciemność. Ogień prawie wygasł. Podsycił go szczapkami, a potem kilkoma szerniałymi, ale jeszcze nie wypalonymi kawałkami drewna, znalezionymi wśród chwastów na dworze. Ogień rozjarzył się, rozjaśnił stajnię. Miejsce spoczynku Decjusza było puste.

Maeniel przykucnął obok, ogrzał się. Nie był jeszcze na tyle człowiekiem, aby kłaść, lecz zaczynał rozumieć, czemu ludzie nałogowo dawali upust temu dziwnemu zwyczajowi.

Wstał, wyrzął na dwór, pochylając głowę, by nie rozbić jej o dach.

Nic, tylko ciemność i białe tumany śniegu. W kącie, w którym umieścił konie i muła, jedno ze zwierząt zaczęło przestępować z nogi na nogę i zarżało cicho. Spojrzał tam. Muł cofał się, z całej siły naprężając postronek i wodził ślepiami.

Maeniel ruszył do drzwi. Są tam - pomyślał. Zrzucił z siebie odzież, pobiegł w ciemność i przemienił się.

Już nie był ślepy. Z otwartych pól dolatywała go silna woń. Pognał tam, skąd dobiegały delikatne odgłosy obwąchiwania. Najpierw zobaczył ślepią. Płonęły w ciemnościach, odbijając nikły blask paleniska. Potem dostrzegł śmiertelnie groźne, smukłe kształty. Badały coś na ziemi. Pewnie Decjusza.

Wilki zastanowił się, czy człowiek jest wart zachodu. Najprawdopodobniej już nie żył. Lecz wiedział również, że kiedy raz wyznaczył sobie rolę opiekuna Decjusza, ma obowiązek grać ją dalej. Tak jestem ukształtowany - pomyślał - i o ile różnię się od tamtego kundla spod wozu?

Stanął mu w pamięci strzęp przeszłości. Przeszłości czy może snu? Tamci byli dzikimi myśliwymi w mrocznej tundrze. Czasem, kiedy zima zdawała się trwać bez końca, a głód drażnił podniebienie, ci okrutni panowie polowań rzucali się sobie do gardeł.

To wtedy wilki napotkały małą, skazaną przez los na śmierć grupkę kobiet i dzieci, uciekającą mroźną nocą. Były w niej tylko trzy samice i trzech młodych, niedorosłych jeszcze do polowania. Zapachy bijące z odległych palenisk utwierdziły go w przekonaniu, że mięso piecze się na posiłek dla innego plemienia.

Tylko ta gromadka przeżyła napad. Wilki rozciągnęły się za nią w sierp, zastawiając pułapkę na swoje ofiary. Chociaż jednak miały przed sobą tylko samice i młode, czuły przed nimi lęk i odwlekały chwilę ataku. Tymczasem tamci schronili się w płytkim zagłębieniu pod powalonym drzewem osłoniętym od śniegu gałęziami. Ludzie nie śmieli rozpalić ognia z obawy przed pogonią. Leżeli przytuleni w ciemnościach, grzejąc się nawzajem.

Wtedy noc przypuściła atak na wszystkich. Najsrozsza zadymka tamtej zimy runęła z lodowca. Nawet najsilniejsze stworzenia poczuły kły zimna. Niektóre, na przykład woły pizmowe, zbijały się w wielkie koła, chroniąc samice i młode. Jelenie, nawet największe, umierały tam, gdzie stały, podobnie jak konie, wielkie łosie i karibu. Najstarsze i najmłodsze osobniki ginęły w lodowatej ciemności.

Wilki, chociaż dobrze zabezpieczone przed zimnem, wiedziały, że zostać na otwartej przestrzeni znaczy umrzeć. Tak więc powoli wczołgały się do schronienia ludzi. Początkowo szczyrzyły kły, ale ludzka samica, która prowadziła uciekającą grupę, nakazała spokój. Wilki nie potrafiły zdobyć się na zaatakowanie stworzeń tak przesiąkniętych wonią samic jak te kobiety. Natomiast wilczyce wyczuwały zapachy jaskini: ciepłego mleka i delikatnej skóry, bijące od ludzkich szczeniąt.

Dziecko zaczęło płakać w ciemności. Matka przystawiła je do piersi. Uczyniła coś zrozumiałego zarówno dla wilków, jak i dla ludzi. Gruba wilcza sierść broniła przed zimnem równie dobrze jak ognisko i ludzie przytuleni do dzikich stworzeń przeżyli w świecie lodowej śmierci. Obce bestie okazały się życzliwsze niż własni bracia.

Kiedy obudzili się o świcie, kobieta - a może samica, jeszcze nie człowiek - wiedziała, że wydarzyło się coś nowego. Coś nowego pojawiło się na świecie. Mężczyźni mogliby to zniszczyć. Mężczyźni często coś niszczyli, próbując dowiedzieć się zbyt wiele lub, co gorsza, nie ufając niezwykłemu wydarzeniu. Lecz akceptacja jest przeznaczeniem kobiety i tamta kobieta zaakceptowała wilki, które ją otaczały, gdy ruszyła przez śnieg, a za nią inni, zwierzęta i ludzie.

Tak jak się spodziewała, niebawem znalazła stadko łosi, uwięzione w głębokich zaspach nad brzegiem rzeki. Tej nocy wszyscy najedli się do syta. Nowa gromada, wilki i kobiety, długo wędrowała razem. Wilki pozostały wilkami, ale zawsze były przyjaźnie witane u ognisk kobiet.

Strzęp wspomnień zatarł się, kiedy wilk zbliżył się do swoich współbraci. Najwyższy i najpotężniejszy osobnik z wolna ruszył ku niemu na sztywnych łapach w wirującym śniegu.

Maeniel podszedł do Decjusza. Tak, nadal był ciepły, wciąż żył, ale paraliżował go strach, kiedy wpatrywał się w okrażające go wilki. Maeniel zajął miejsce koło człowieka i warknął w pysk obcemu basiorowi.

Tamci byli niezdecydowani. Ich przywódca również. Warto zadawać sobie trud dla tego strzępka ludzkiego ciała leżącego w zaśnieżonych brzdach? Warto ryzykować ranę, jeśli wielki nieznajomy zdecydował, że to jego ofiara i postanowił o nią walczyć?

Maeniel jeszcze bardziej zasłonił sobą Decjusza. Tamci cofnęli się, niemal zniknęli w wirującej bieli.

Maeniel przywarował, opuścił łeb i zad. Spodziewał się, że zaraz nastąpi ataku z tyłu, ale okazało się, że nie on jest celem watahy.

Zwierzęta pozostawione w stajni zarżały. Niemal w tej samej chwili gromada rzuciła się gotowa do zwarcia.

Została jedyna szansa. Maeniel przemienił się w człowieka.

Ale to Decjusz wyszedł na bohatera dnia. Wydał najbardziej przerażający wrzask, jaki szary wilk słyszał w życiu.

Wystraszona gromada rozpiezchła się we wszystkich kierunkach.

Maeniel porwał Decjusza, przerzucił go przez ramię i pobiegł ile sił w nogach ku stajni. Już był przy wejściu, gdy klacz rozwalila kawał wątlej ściany i wyskoczyła na dwór, przewracając Maeniela. Wilki już jej dopadły, jeden wczepił się w grzbiet, drugi w szyję. Miotła się rozpaczliwie. Pierwszy wilk pośliznął się i spadł na śnieg. Klacz stawiała dęba, kopła, rzucała łbem, aż uwolniła się od drugiego napastnika. Na końskiej szyi widniał szereg straszliwych ran, z których bluzgała krew.

Załatwiła nas. Teraz będę musiał walczyć z nimi wszystkimi. Jak nic rozszarpią nas przed świtem.

Zostawił Decjusza, który nadal darł się i miotał, pobiegł do stajni, porwał miecz i wybiegł z powrotem.

Wilki osaczyły klacz. Maeniel dopadł jej jednym skokiem i wbił miecz w kark zwierzęcia. Klacz padła natychmiast, fontanna krwi chlusnęła z gardła. Maeniel odwrócił się, porwał Decjusza i rzucił się do szopy.

Kilka chwil zajęło mu zablokowanie drzwi i rozniecenie ogniska. Trząśnięcie się całym, kiedy wkładał poplamioną tunikę i płaszcz.

Decjusz usiadł w głębi, przy mule i wałachu. Grzechotał zębami. Miał sine kończyny. Włosy stały mu dęba. Maeniel nigdy nie widział człowieka w takim stanie. Wiedział, że teoretycznie jest to możliwe, iż ludziom jeżą się włosy jak psom czy kotom, ale nigdy tego nie widział.

Z dworu dobiegło warczenie, szczekanie i mlaskanie. Wataha napoczęła klacz.

- Aaaa! - krzyknął Decjusz. - Co teraz zrobisz? Też mnie zjesz! Aaaa - wył, jak obdzierany żywcem ze skóry.

Maeniel zamrugał, nie pojmując, o co chodzi.

- Zabiłem konia, żeby nas uratować - wyjaśnił.

- Jesteś jednym z nich. - Decjusz grzechotał zębami tak mocno, że Maeniel ledwo go rozumiał.

- Nie. - Maeniel prawie przewracał się z wyczerpania. - Taki ze mnie wilk jak z ciebie. - Ku swojemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że mówi prawdę, i poczuł łzy spływające po policzkach. Przenikał go głęboki smutek, żal za czymś, co utracił i co ledwo potrafił zrozumieć, a czego nigdy nie potrafiłby wytłumaczyć.

Jeśli nie te słowa, to łzy uspokoiły Decjusza. Nie wiedział, kim na dobrą sprawę jest Maeniel, ale żadne stworzenie nie mogło w jednej chwili tak cierpieć, a w następnej dopuścić się okrucieństwa.

Razem spożyli resztki strawy i wina. Żar ognia rozpuścił śnieg i lód po zewnętrznej stronie ścian, ale natychmiast znów zamarzyły, tworząc warstwę izolacyjną. Po jakimś czasie między paleniskiem i nagromadzonym śniegiem zrobiło się prawie przytulnie.

Maeniel nie pytał Decjusza, co się wydarzyło. Rzymianin był nieco rozkojarzony, co bardzo odpowiadało Maenielowi. Zdecydował, iż kupiec będzie mu jutro potrzebny, aby przeprowadzić się przez rzekę i dostać się do *oppidum*, w którym więziono Imonę.

W dalszym ciągu miał zamiar ją uratować. Z pewnością go nie zrozumiała. Musi się do niej dostać i przemówić jej do rozsądku. Wszystkie stworzenia płci męskiej są przekonane, że tylko one są rozsądne. Maeniel nie był pod tym względem

wyjątkiem. Nie miał pojęcia, co mieszkańcy osady zamierzają z nią uczynić, ale o ile znał ludzi, nie było to nic dobrego.

Tymczasem musiał utrzymać przy życiu tego głupiego Rzymianina. Miał nadzieję, że Decjusz nie dostał takiego kręcka, żeby nie potrafił mu pomóc.

Chwała niewidzialnym potęgom za wino, które chyba uspokoiło kupca. Okryty płaszczem skulił się na słomie przy palenisku, kończyny zaróżowiły mu się jak należy, a wracające krążenie przyprawiało go o takie katusze, że nie zwracał uwagi na koszmarnie odgłosy wilczej uczty.

- Rano wciąż tu będą? - spytał Maeniela.
- Nie.
- Na pewno? Jesteś z nimi na tak dobrej stopie, że wiesz, co zrobią?

Maeniel był zbyt zajęty wydłubywaniem dziury w ścianie, żeby śledzić sytuację na bieżąco. Odwrócił się i posłał Decjuszowi jedno ze swoich długich, ciężkich spojrzeń.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie. Są moimi przyjaciółmi tak samo jak tamci bandyci, ale dobrze znam ich zwyczaje.

- Wierzę - zamruczał kupiec.

- Tak, znam. Jestem pod tym względem ekspertem. To stado uciekło z gór przed zadymką. Zapewne nie żarło nic od kilku dni, w innym wypadku nie ryzykowałyby podchodzenia tak blisko do ludzkich siedzib, w pobliże płonącego ognia.

W końcu znalazł ostro zakończony kij i wybił nim otwór w zalodzonej ścianie. Wyrzął na zewnątrz. Niewyraźne szare istoty nadal biesiadowały w pobliżu końskich szczątków, a śnieżycy powoli się uspokajała. Księżyc pojawił się między postrzępionymi chmurami i od czasu do czasu przeświecały gwiazdy.

- Zadymka minęła. Kiedy rano najedzą się do syta, odejdą i pewnie nie wrócą.

Decjusz odetchnął głęboko i zaczął chrapać. Maeniel skulił się po drugiej stronie paleniska. W stajni było teraz przyjemnie ciepło. Koń i muł drzemały w kącie, stojąc nad żłobem. Maeniel patrzył na dym z paleniska, który unosił się wzdłuż pochylonego dachu, szukając rantu, kłębił się i wirował niemal jak rzeczny nurt, zanim uciekł na zewnątrz.

Tak, kiedyś byliśmy mile witani przy ich ogniskach - pomyślał.

Wspomniał twarz kobiety, przy której boku przedwieczny wilk spoczął pod drzewem. Miała oczy szeroko otwarte i spojrzała mu prosto w ślepia. Wilk dostrzegł w jej twarzy heroiczną wizję. To prawda, łuki brwiowe tamtej kobiety nie były tak wysokie, jak współczesnych ludzi, ale jej twarz zapowiadała narodziny świata rządzonego rozumem. Wilk dostrzegł też przekonanie, że są teraz sojusznikami, ciepłymi, żywymi stworzeniami z ciała i krwi, czującymi głód i miłość. Na zewnątrz, w kąśliwej lodowatej nocy, czarny wieczny ziąb wymarłych pustkowi wyciągnął ku nim szpony, aby uwięzić w nie kończącej się ciemności dusze rwące się ku innemu światu. Zawierając sojusz przeciwko niemu, osiągnęli zwycięstwo największe z możliwych. Rozumiał to pradawny wilk i teraz rozumiał to również Maeniel. Spał po wilczemu, lekko, budząc się, kiedy górską wataha okrążyła stajnię przed świtem i wróciła do legowisk na skraju lasu.

Wyruszyli dobrze po świcie. Decjusz rozwiązał juki i znalazł odzież dla Maeniela, czystą tunikę i jakieś spodnie. Decjusz miał wysokie buty, ale Maeniel musiał zadowolić się sandałami. Czuł się w tym wszystkim całkiem znośnie, jako że słońce wzeszło i ocieplało się.

Decjusz przepakował bagaże, osiodłał konia i muła. Nie wspominał słowem o wydarzeniach z poprzedniej nocy. Napomknął tylko raz czy dwa, że był zamroczony i że uderzenie w głowę pewnie przytępiło mu zmysły.

Maeniel nie próbował nic wyjaśniać. Kiedy opuszczali rozwaloną stajnię, żaden nie obejrzał się na zawiane śniegiem końskie kości i czerep.

Decjusz dosiadał wychudłego wałacha bandyty. Maeniel szedł na piechotę, prowadząc muła.

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy zeszli z zarośniętej drogi na ścieżkę wzdłuż rzeki. Niebawem dotarli do promu. Znajdował się po drugiej stronie. Obaj mężczyźni zatrzymali się na pomoście i czekali. Decjusz unikał wzroku Maeniela.

Było bezchmurnie. Lód, który pojawił się nocą, tajał, szeleszcząc jak deszcz w ponurych lasach. Śnieg utrzymywał się tylko w zacienionych miejscach i rzeka lśniła jak brylant, ale wiatr był nadal zimny.

Decjusz zadygotał, czując powiew od rzeki. Cofnął się, kryjąc w osłonie, jaką zapewniały ciała dwóch wysokich zwierząt.

- Nie... nie pamiętam, co wydarzyło się ostatniej nocy, ale pewnie uratowałeś mi życie.

- Nie raz - dorzucił Maeniel.

- Tak mi się wydaje. - Nadal unikał wzroku Maeniela. – Dziwi mnie, że mnie nie zostawiłeś, a przynajmniej nie zabrałeś juków. Są w nich cenne rzeczy.

- Nie dla mnie.

- Pewnie! Oczywiście! Ale po tym, co widziałem ostatniej nocy, to pewnie kilka złotych świecidełek nie zrobiłoby na tobie żadnego wrażenia. Lecz jeśli nie zależy ci na złocie, to na czym?

- Potrzebuję twojej pomocy, żeby przepłynąć przez rzekę i wejść do osady.

- A co potem planujesz?

- Ukraść kobietę.

- Och, nie - zajęczał Decjusz. - Nie pojmujesz, że kiedy obrazisz wodza tych ludzi, to życie nas obu nie będzie nic warte? Och, ojczyźnie wszystkich bogów, pomóż mi. Jeśli nie Cynewolf mnie zabije, to z pewnością Fulwia.

- Kim jest Fulwia? Przestań jęczeć i mów.

- To moja pani. Jestem jednym z jej wyzwolenców. O, siostry Zeusa, byłem szczęśliwszy jako niewolnik i łaziebny, zanim temu wszawemu Firminiuszowi wydało się, że mam zgrabny tyłek. - Wskazał na rzekę. - Myślisz, że przybywam do tego zapomnianego przez bogów, zamarzonego, błotnistego rowu z własnej woli? Czy zdajesz sobie sprawę, ile wina wypijają ci zasrańcy?

- Pewnie nie tyle, ile Rzymianie. - Maeniel miał dość tych lamentów.

- No... może i nie... Och, na słodką lzydę, co to ma za znaczenie? Wystarczy przyjść na świat w rodzinie Bazylów i kieszenie Fulwii pękają od złota, nie wspominając mojego komisowego i mojej nieustannej wolności.

- Ale przecież teraz jesteś wolny! - zgrzytnął przez zęby Maeniel.

Decjusz roześmiał się głucho.

- Och, pewnie tak, wedle prawa i teorii! Nie wyobrażam sobie, żeby Fulwia lub Firminiusz przejmowali się jakimkolwiek prawem. Skądże, możesz mi ufać w tym względzie; jeśli nie zadbam o monopol Fulwii wśród tych koszmarnych Galów i nie przypodobam się temu wielkiemu owłosionemu wodzowi za rzeką, pewnie odbiją sobie straty, sprzedając mnie na aukcji. Widziałem już, jak to wcześniej robiła innym

ludziom, którzy mieli nieszczęście coś zawalić w nieodpowiedniej chwili. Proszę, proszę, błagam cię, nie wciągaj mnie w żadne tarapaty, które skończą się zerwaniem moich stosunków z tym wodzem.

Maeniel warknął tak, że Decjuszowi zatrzęśły się kolana.

- Zaczynam wierzyć, że wszystko, czego nie widziałem zeszłej nocy, zdarzyło się naprawdę. - Ale gdy kupiec się rozejrzył, przekonał się, że jest sam. - Może sobie poszedł - zamruczał.

Zaczął oddychać z ulgą, kiedy wielki szary wilk wybiegł truchtem z lasu i przystanął u jego kolan.

- Nie - szepnął Decjusz. - Nie poszedł.

Prom odbił od przeciwległego brzegu. Na pomoście zjawił się pasterz z dziesiątką owiec. Za nim przybyła dama na świetnym gniadym wałachu w eskorcie dwóch pieszych sług.

Owce wcale nie były zachwycone wilkiem. Zbiły się w gromadki wokół pasterza.

Pani zsiadła z konia i zajęła miejsce obok Decjusza. Pochodziła ze szlacheckiego rodu, wystarczyło spojrzeć na jej klejnoty, a gdy dodało się do nich świetną uprzęż jej konia i dwóch uzbrojonych po zęby wojów, stawało się oczywiste, że jest nie byle jaką personą.

Nosiła ciężką opończę z kapturem na plecach. Była majestatycznej urody, lecz lata młodości miała już za sobą. Jej włosy, ustrojone w złote łańcuszki i zwinięte w warkocze na uszach, przetykała siwizna. Na policzkach miała delikatne zmarszczki i kurze łapki w kącikach oczu.

Zignorowała Decjusza i zamyślona wpatrywała się przed siebie, obserwując niewielki prom pokonujący rzekę. Jedną ręką trzymała opończę pod szyją, drugą zwiesiła swobodnie.

Wilki wsadził nos w jej dłoń.

Aaach, co za słodkie, czyste, perfumowane ciało - pomyślał. -Kobiece ciało. Kobięcy zapach. Kobieta, kobieta, miękka kobieta. Aaach.

Poczula wilgotny nos i spojrzała w dół.

- O, rany, co za wspaniałe zwierzę. Czy to twoje? - spytała Decjusza. Podała psu rękę do powąchania. Z entuzjazmem obwąchał delikatne paluszki; nie wypadło

rezygnować z poczucia własnej godności, ale łagodnie pomachał wielkim puszystym ogonem.

Pogładziła go po łbie i podrapała za uchem jak należy. Wilk rozdziawił paszczę i uśmiechnął się niczym wielkie, szczęśliwe, głupawe psisko.

- Jaki śliczny, jaki ułożony - powiedziała Decjuszowi. - Szczęściarz z ciebie, że jesteś właścicielem takiego przepięknego zwierzęcia.

Wilk odwrócił łeb i posłał Decjuszowi ironiczną wersję psiego uśmiechu.

Decjusza coś ścisnęło za krtań, ale się przemógł i rzekł:

- Hm, no tak, pani, on jest... - Głos mu się załamał i musiał odchrząknąć.
- Wielce mi pomógł podczas tej podróży.

- No, może i tak, ale owce się go boją - wtrącił owczarz.

Pani obdarzyła go uroczym uśmiechem.

- Jestem pewna, że nie mają się czego lękać, kiedy są pod opieką takiego siłacza.

Pasterz miał taką minę, jakby go piorun trafił. Decjusz westchnął. Znowu podrapała wilka za uchem. Zdaniem Decjusza, jego towarzysz okazywał wszelkie oznaki ekstatycznej rozkoszy.

- Och, świetny jesteś. Kiedy dotrzemy do dworu mojego brata, możesz liczyć u mnie na cudowną, soczystą kość.

- Pani brata...! - wykrzyknął Decjusz. - W takim razie musicie być panią Enid.

- To ja - potwierdziła jego rozmówczyni.

- Wielki to zaszczyt cię poznać - zaterkotał Decjusz. - Przybywam do twojego brata z pozdrowieniami od pani Fulwii i całej rodziny Bazylich. Wiozę pozdrowienia, ukłony i prezenty od jego rzymskich przyjaciół.

- Jakże to uprzejme z twojej strony - zamruczała jak kotka Enid.

Zareagowała przychylnie na podarowaną złotą bransoletkę, ofiarowaną z szacunkiem, gdy prom znalazł się na drugim brzegu rzeki.

I tak wilk wylądował pod stołem wodza, w wielkiej sali, z obiecaną soczystą kością, podczas gdy Decjusz obsypywał pochlebstwami i łapówkami pana domu przed jego własnym paleniskiem.

Były tam dwa przepyszne dzbany na wino, ze srebra i brązu, z ozdobami w kształcie zwierzęcych głów na uchach i pokrywach. Komplet sześciu kielichów,

półmisek na ciastka, kubki zdobione wizerunkami nagich mężczyzn i dziewczyn, tacka zdobiona wizerunkami tychże samych mężów, pozbawiających dziewczynce prawa do nazywania się dziewczynami.

- Och, co za bezceństwa - prychnęła Enid.
- Co to warte? - zamruczał wódz, ważąc w dłoniach tacę.
- Jest z czystego, kutego srebra - rzekł Decjusz.

Cynewolf wbił paznokcie w dno tacki. Nie zarysowało się.

- Nie bardzo. Czyste srebro jest miękkie.

Decjusz zatrzepotał rękami.

- No cóż, dodano nieco podlejszego metalu, żeby wzmocnić szlachetny kruszec i dało się go w ogóle używać. Być może to, panie, bardziej przypadnie ci do smaku. - Wręczył mu kilkanaście złotych torques.

Wódz zgiął jeden z nich i mruknął, widocznie usatysfakcjonowany podatnością materiału.

- Zresztą oczekujemy takiej samej zastawy do wina... a może większej... tego roku - oznajmił, płaszcząc się, Decjusz.

Oprócz wodza przy stole siedzieli jeszcze dwaj mężowie. Jeden z nich nosił rzymski strój i nawet togę - był to z jego strony wyraz pewnej afektacji, gdyż nie zaliczał się do obywateli Rzymu. Wilk nie wiedział o tym, przeciwnie niż wódz i siedzący obok niego bogaty chłop, człowiek sukcesu.

Wilk obejrzał dokładnie kość. Całe mięso znikło, zdarte kłami i pracującymi jak nożyce zębami trzonowymi. Łamanie tak grubej kości wiązało się z pewnym niebezpieczeństwem, ale wilk wzruszył ramionami - w myślach - i zagryzł szczęki.

Trzask! Głośne echo poszło po cichej sali. Wszyscy mężczyźni wzdrygnęli się, a także jedyna kobieta, Enid.

Decjusz zadygotał. Nie wiedział dokładnie dlaczego. Salę, okrągłą wedle dawnego zwyczaju, przykrywał wysoki stożkowy dach. Palenisko było czarne, wystygłe. Jedyne światło padało z dziury w najwyższym punkcie dachu, wypuszczającej również dym. Nad nią znajdował się kolejny stożek, zabezpieczający przed deszczem i śniegiem, tak że światło dnia padało rozmyte i niewyraźne. Palenisko otaczał duży okrągły stół, również zgodnie ze zwyczajem.

Wódz odepchnął złote przedmioty.

- Nie możemy dziś mówić o interesach. To przynosi nieszczęście.

Decjusz odchrząknął.

- W takim razie jutro.

Wszedł Mir. Miał na sobie długą ciemną opończę z kapturem, który zakrywał mu głowę. Żaden z trzech mężczyzn siedzących przy stole nie spojrzał mu prosto w twarz. Przysiadł się do nich bez słowa.

Decjusz i wilk przyglądali mu się z drugiej strony wygasłego paleniska. Znów trzasnęła kość. Wilk wysysał szpik.

- Jutro - rzekł mężczyzna siedzący obok wodza.

- Jutro - rzekł mężczyzna w todze.

- To nie jest fortunny dzień - dodał Mir.

Nie wiedzieć czemu Decjuszowi zaschło w ustach.

- Enid - odezwał się Mir. - Idź i dopilnuj jej. Niech weźmie kąpiel i zje owsiankę.

Wyraz słodkiego zadowolenia znikł z twarzy Enid. Pojawiło się na niej zgorzknienie i pustka. Przez chwilę oglądała bezmyślnie srebrne kielichy. Nagle postawiła z hukiem jeden z nich i spojrzała z furią na Mira.

Zniósł jej wzrok bez mrugnięcia powieki. Pierwsza uciekła spojrzeniem w bok.

Przez chwilę wydawała się wilkowi stara. Powstała i bez słowa opuściła salę.

Decjusz znów zadygotał i uświadomił sobie, że mimo zimna w całym obozowisku nie płonęło ani jedno palenisko. Poczł się tak, jakby coś starego i mrocznego wkroczyło do sali i siedziało zwinięte, czekając w cieniach niczym wąż.

Wilki zaskowyczał cicho pod stołem, prawie niesłyszalnie, i Decjusz zrozumiał, że jego dziwny przyjaciel też to poczuł.

- Wieczór blisko - rzekł mu wódz. - Idź do komnat, które Ci przygotowaliśmy. Nie zapalaj ognia. To zakazane. Zamknij drzwi na skobel i do rana nie wychylaj nosa za próg.

- T-t-tak - wyjąkał Decjusz. Wstał. Na stole był chleb, ser i dzban wina. Zabrał wszystko ze sobą. - Wy-wy-wychodzę. - I wyszedł.

Wilki leżał płasko, przyciśnięty brzuchem do podłogi. Zapomniał o kości. Żałował, że nie zjawił się wcześniej i marnował czas dla tego żalnego Decjusza. Żałował, że wczorajszej nocy nie zdołał przekonać jej do tego, by z nim odeszła.

Bała się burzy? Niemożliwe. Co się tu działo? Nie rozumiał ludzkich zamierzeń i dziwnych, czasem sprzecznych celów. Wiedział tylko, że im nie ufa - w głębi serca i aż do szpiku swych wilczych kości.

- Kiedy? - spytał wódz. Nie patrzył na starca.
- O zachodzie, między nocą a dniem. Kiedy nie ma dnia ani nocy, ani na suchym lądzie, ani w wodzie, ani na skale, ani na ziemi. Kiedy... - Mir podniósł wzrok ku dziurze w dachu. Światło blade.

Wilk wymknął się na zabłocone ulice. Słońce skryło się za palisadą, a że nie płonęła ani jedna pochodnia ani nawet świeczka, wszystko spoczywało w głębokim cieniu.

Gdzie Imona? Nie potrafił jej odszukać. Zeszłej nocy wiał wiatr, przeganiał smród błotnistych ulic, zarzuconych kuchennymi śmieciami, a także kwaśny odór wychodków, zalepiający mu nozdrza. Te wonie zawsze towarzyszyły ludzkim skupiskom. Teraz nie potrafił znaleźć Imony wśród labiryntu ludzkich śladów, podobnie jak wtedy, kiedy Mir zabrał ją z gospodarstwa w dolinie.

Nagle musiał odskoczyć w bok, gdyż na ulice wyległa istna ciżba ludzi. Wszyscy byli ubrani jak Mir, w czarne opończe z kapturami nasuniętymi na oczy. Nie patrzyli na siebie i po chwili wilk zdał sobie sprawę dlaczego: niektóre z sunących kształtów były nie z tego świata, przenikały przez mury bez żadnego kłopotu.

Blisko niego pojawiła się chora albo bardzo wystraszona kobieta, gdyż jej aura była doskonale widoczna. Zajęczała słabym głosem:

- Umarli. Umarli są wśród nas.

Wilk zjeżył się, kiedy minęła go kolejna zakapturzona postać, wydzielając gęsty, lodowaty smród rozkładającego się ciała. Przybyła z dna lodowatej rzeki, na którym ryby obdzierały ją do kości. Czad zasnuł umysły. Lęk przed śmiercią wyparł zdrowy rozsądek. Wir grozy, gorzkiej wściekłości i rozpaczony wessał wszystko inne.

Imona. Wyobraził sobie kobiecą twarz uśmiechającą się do niego.

Tłum parł ku wrotom. Wilk za nim. Kiedy dotarł do palisady i przecisnął się na drugą stronę razem z tłumem, zobaczył Imonę.

Stała nieopodal przejścia. Po jednej stronie miała Mira, po drugiej Enid. Jedyna była przybrana w białą szatę.

Wilk lawirował między nogami ludzi, starając się do niej zbliżyć, ale był zbyt powolny. Zanim dotarł do Imony, ruszyła z Mirem, Enid oraz grupą mężów,

dostatnich mężów w średnim wieku, odzianych w płaszcze z grubszego materiału niż przyodziewek Mira. Ich twarze nie wyrażały niczego. Wilk poczuł smród wrogości, wrogości i strachu.

Coś odepchnęło go w tył. Coś w czerni. Coś, czego szat nie poruszał wiatr. Cuchnęło i miało umysł wyprany z myśli jak tamten topielec czy topielica. Bełkotało idiotycznie. Nienawidziło, nienawidziło, rzucało się ku zatracie, ku ziewającej przepaści. Darło kościanymi palcami wszystko, czego się tknęło, nawet samo siebie.

Zadał wiatr i ludzie otulili się płaszczami, łapali kaptury, aby wiatr ich nie zrzucił. Powiew był lodowaty. Chociaż jeszcze niedawno świeciło słońce, zapowiadała się zimna noc. Świeży śnieg już się rozpuścił. Droga, którą szli Mir i Imona, wiodła wzdłuż palisady, na tyły grodu.

Trawa była zbrązowiała i uwiędła. Wzgórki jeszcze ciemniejszej, zmarniałej koniczyny plamiły murawę. Kiedy pochód dotarł na tyły wzgórza, skierował się w dół.

Wilk zbliżył się do czoła pochodu i dostrzegł, że szata Imony nie była naprawdę biała, lecz ma naturalny kolor owczej wełny, biało-szary, zabarwiony gdzieś rdzawo, gdyż runa dostarczyły zdziczałe górskie owieczki.

Słońce prawie dotykało horyzontu i czerwone, padające skosem promienie rozlewały ogniście złoty blask na niski las otaczający wzgórze.

Ostatki rozżarzonego światła mieniły się na torques Imony. Enid zrzuciła kaptur, odsłaniając zwinięte warkocze. Tylko one różniły siostrę wodza od tłumu czarnych postaci otaczających wilka.

Imona i jej orszak wkroczyli do lasu. Resztki światła zachodu spowijały czerwoną mgłą огоłocone drzewa. Burza obnażyła las ze strzępków letniego przyodziewku. Gałęzie, na których kilka dni temu wisiały szkarłatne, żółte i ciemnobrązowe liście, teraz rysowały się samotne na tle płonącego nieba. Nawet dęby, ostatni maruderzy, stały nagie.

Falanga o zimnych oczach otaczała murem Imonę i dwójkę, która jej towarzyszyła. Minęli gigantyczny pień, wyglądający jak podpora świata. Jego gałęzie udekorowały wachlarze jemioty, zielone na tle brązowej kory, zbrzgzane białymi jagodami i ozłoczone słońcem.

Poza kilkoma gigantycznymi dębami las był niski, skarłały. Miejscami gęste krzewy zarastały ścieżkę i grupa musiała się przez nie przedzierać.

Nagle szlak opadł w przejmująco wilgotną kotlinkę kryjącą staw. Wilk wyczuwał torfowy, garbnikowy zapach, wydzielany przez listowie kolejnego wielkiego dębu wznoszącego się nad wodą.

Imona przemówiła głośno w ciszy lasu, miotanego wiatrem: -Tu!

Zatrzymała się, odwróciła, podeszła do stawu i uniosła ramiona ku ostatnim promieniom światła.

Słońce, wiszące nad grzbietem wzgórz dokładnie na wprost Imony, oświetlało jej twarz.

Wilk zamrugał, ale Imona wpatrywała się bez drgnienia powiek w płonącą kulę znikającą powoli za krawędzie wielkich pagórków.

Czarno odziane postacie wydały straszliwy jęk, płacz; szloch żywych i umarłych.

Imona opuściła ramiona. Słońce przepadło, ale niebo nadal jarzyło się nad wzgórzami. Modry błękit zmierzchu wypełnił kotlinkę.

Enid wręczyła Imonie puchar.

Wilk zszedł po stromym stolcu. Był zaledwie kilka kroków za nimi. Ciemniało. Ale w ciemności między drzewami nie lękał się nikogo, żywego ni umarłego.

Rozejrzał się badawczo po twarzach otaczających kobietę w bieli. Na niektórych widniało zdecydowanie, na innych smutek, nadzieja, lęk i zachwyty. Zauważył, że kilka pulsowało czymś bardziej mrocznym. Co ci ludzie robili?

- Nie! - powiedziała, odpychając puchar. - Zjadłam owsiankę. To wystarczy. - Wysunęła szpilki z ramion szaty i materiał osunął się do jej stóp. Biel ciała odcinała się wyraźnie od siności półmroku.

Z cieni za jej plecami wystąpił wódz.

Zdjęła torques z szyi i wręczyła go Mirowi.

Wódz uderzył ją z całej siły w potylicę.

Wilk zamarł sparaliżowany szybkością ruchu i tym bezsensownym okrucieństwem.

W dłoniach Mira pojawił się zakrzywiony miecz z brązu i starzec podciął Imonie gardło.

W tej samej chwili wilk zdał sobie sprawę, że nie ma dla niej ratunku. Zanim krew zalała ranę, dostrzegł wyraźnie, jak rozchodzą się białe ścięgna i krtań, która podtrzymywała głowę i nadawała kształt mowie. Pękły na dwoje ciemne postronki,

którymi krew pędziła do mózgu, tam i z powrotem. Mir, chociaż stary, zadał tęgi cios i być może miłosierny, chociaż Imona nadal się poruszała, kiedy zniknęła w stawie, nad którym przed chwilą stała.

Enid odwróciła się, nasunęła kaptur, zakryła twarz płaszczem.

Wódz padł na kolana, przycisnął czoło do mokrej ziemi. Inni cofnęli się, żywi i martwi, winni i niewinni.

Wilk przesunął się w dół, jak kawał mroku, i stanął obok Mira. Zajrzał: do stawu.

Enid odstłoniła głowę, westchnąwszy z ulgą. Ale ta ulga okazała się krótkotrwała, ponieważ twarz Imony wypłynęła tuż pod powierzchnię wody. Enid krzyknęła i zakryła oblicze.

Z ust Imony uleciało kilka banieczek powietrza i wyłoniło się przy kępie wodorostów. Potem rozchyliła powieki i ujrzał jej oczy, te szarzielone klejnoty, które tak często spoglądały w jego oczy. Patrzyły na niego przez krótką chwilę, jakby się żegnała. Potem powieki zamknęły się i czarna plama krwi rozlewająca się z poderżniętego gardła zasłoniła twarz.

Opadającej na dno stawu nasunęła się ostatnia smutna myśl: Śmierć trwa zbyt długo.

Ale nie miała racji, bo ta myśl była właśnie ostatnia i Imona przemknęła po moście gwiazdznego blasku w ostateczną ciszę.

10

Niebawem po śmierci Imony wilk odwiedził Mira. Kiedy powrócił z *oppidum*, gromada przyjęła go z powrotem, ale nie jako przywódcę. Wadera - matka watahy, teraz będąca w ciąży - biegała z, niedobitkiem, jaki pozostał z nizinnego stada, zmasakrowanego przez Rzymian.

Ten basior, chociaż poobijany, miał gigantyczne rozmiary. Jedno ucho mu naderwano i kępka białego futra na barku wskazywała miejsce, w którym *gladius* legionisty wbił się w ciało. Jeden kieł miał złamany. Był nerwowy, pełen nienawiści i łatwo czuł urazę, stąd też budził lęk i nieufność reszty.

Traktował wszystkich młodych samców jak rywali. W sytuacjach, w których szary wilk tylko spojrzalby z dezaprobatą, Biały Bark rzucał się i warczał. Poważniejsze spory kończyły się kąsaniem i gryzieniem do kości.

Nowy przywódca prawie okuliwał jednego z młodych samców, który naraził mu się z powodu paru skrawków ścierwa. Przestępca kulał przez tydzień, pogryziony w łapę i kark. W następstwie tego wydarzenia samce zaczęły opuszczać watahę, szukając przyjemniejszego towarzystwa.

Wadera zachowywała się nieco lepiej wobec suk. W grę wchodziły znacznie poważniejsze sprawy. Suki były najlepszymi i najbardziej skutecznymi myśliwymi i dostarczały najwięcej pożywienia.

Nie parzyły się do czwartego roku życia; szczupłe, potężne morderczynie, które w razie potrzeby potrafiły prześcignąć nawet koziorożce alpejskie i kozice.

One również powoli odbijały od gromady i szary wilk wiedział, że niektóre odejdą na zawsze. Nie potrafił wykrzesać w sobie zainteresowania tymi sprawami. Łatwo mógłby stawić czoło Białemu Barkowi. Raz prawie do tego doszło, ale nawet wizja rozpadu własnej gromady nie była w stanie go poruszyć.

Pewnej nocy zdecydował się odwiedzić Mira i zabić go.

Zima przybyła w góry i wysoka warstwa śniegu zalegała jodłowo-świerkowy las. Zwierzyny łownej ubywało. Poprzedniego dnia stado dopadło kilka zajęcy, pary świstaków i znalazło pod śniegiem kilkanaście gniazd myszy polnych. Była to namiastka prawdziwego pożywienia i wilki zdawały sobie z tego sprawę.

Taka ilość pokarmu oznaczała głód. Tylko szary wilk wyczuwał, że istotę problemu stanowili Rzymianie. Trzystuosobowy obóz warowny, wzniesiony na rozkaz

Cezara, potrzebował wiele jada. Zapasy chleba mogły wystarczyć na długo, ale z mięsem było krucho.

Żołnierze urządzali polowania. Nie oglądali się na uczciwe zasady współzawodnictwa z innymi drapieżnikami. Ich interesowała skuteczność. Zbudowali długie płoty, rodzaj tunelu, i ustawili w wąskim końcu oszczepników i łuczników.

Legioniści zajęli pozycję do nagonki, a następnie pędzili zwierzęta na miejsce egzekucji.

Wilk przypatrywał się wszystkiemu zza gęstych krzewów jeżyn. Zabijali, śmiejąc się i konkurując między sobą, pozbawiając życia każde stworzenie, które wpadło do prowizorycznej zagrody.

Nic nie było dla nich zbyt małe, a już na pewno zbyt duże. Deptali najmniejsze myszki i topili kosztaki w wiadrze z wodą. To były delikatesy przeznaczone dla oficerów. Rzeź saren była obrzydliwa, gdyż wpadało ich w pułapkę tyle, że pozbawiano je życia w każdy możliwy sposób.

Biały śnieg zamienił się w krwawe pobojuwisko, zasłane okaleczanymi, wyjąłymi zwierzętami, które usiłowały uciec, wlokąc wydarte wnętrzności, dopóki nie padły pod ciosem topora lub pałki. Kozłeta zarzynano na końcu, gdyż nie chciały opuścić matek, mimo że tamte leżały sztywne w zakrwawionym śniegu.

Delikatne młode stanowiły kolejny przysmak przeznaczony na stoły dowództwa. Wieszano je żywe za nogi, podrzynano im gardła, aż krew spłynęła z kruchego mięsa.

Kiedy wilk się temu przyglądał, w pewnym momencie długiego popołudnia znów rozpadał się śnieg i małe lodowate płatki powoli zaczęły oczyszczać teren rzezi, pokrywając białą szcerwieniałą śnieg. Wszystkie zwierzęta były martwe i słyszało się jedynie przekleństwa i narzekania rzeźników, kiedy patroszyli i skórowali zdobycz.

Wilk odpełzł, dygocąc. Wrócił na miejsce, w którym rodzina Imony miała swój dom. Dolina i okoliczny las stały się białym pustkowiem.

Basior wpełzł do jaskini, w której latem rozkoszowali się miłością. Zasnął. Zbudził się tylko po to, aby się napić i wypróżnić, po czym znów zasnął.

Tak, w rzeczy samej tamci byli panami stworzenia. Nie zastanawiał się wiele nad tym, co widział. Nie chciał.

Trzeciego dnia zszedł na dół, gotów przyłączyć się do stada. Okrążył teren gospodarstwa. Stara woń zwęglonego drewna zatarała wszelkie inne zapachy. Podeszedł do lipy. Mnóstwo śladów wskazywało, że kości Leona nadal leżały splątane z resztkami warsztatu Imony. Krosno wyciosano z drewna cedrowego. Dziwny swoisty zapach przenikał miejsce tworzące grób.

Potem Maeniel dołączył do stada.

Tamtego wieczoru Biały Bark powstał ze swojego leża na śniegu, otrząsnął się i podążył w dolinę. Za nim reszta. Kiedy Maeniel dostrzegł, w jakim kierunku się udają, zatrzymał się i położył uszy.

Nie myślał już jak wilk. Wiedział, że ludzie potrafią być bardzo niebezpieczni.

Mógł zagrzebać się w śniegu i zasnąć. Mógł też po prostu zapolować gdzie indziej. Wszyscy osobnicy w gromadzie słuchali tylko własnego lęku, który odradzał im samotne polowanie bądź życie. Byli wolni. Nikt nie rozkazuje wilkowi.

Tak więc wilk na razie tylko strzygł uszami. Kilku pobratymców przebiegło obok niego. Pozornie sprawiali wrażenie znudzonych. Nikt na ich widok nie powiedziałby, że mogą być niebezpieczni.

Wilk znów zastrzygł uszami, po czym otrząsnął się z resztek śniegu, jakby chciał po człowieczemu wzruszyć ramionami, i podążył za resztą.

Kilka godzin potem wilki odpoczywały razem w śniegu, pod kopułą wysokich iglaków zarastających płytkie zagłębienia otaczające garnizon.

Gdyby nie zima i nie gęsta warstwa śniegu, wilki byłyby widoczne dla wartowników przechadzających się po platformach wzdłuż palisady. A tak biało-szary śnieg tworzył idealny kamuflaż.

Wielki szary wilk wygryzł grudkę lodu z miękkiego futra na brzuchu i uznał, że Rzymianie nie są głupi. Wyrabali wszystkie drzewa wokół fortecy na palisadę i mocarne baraki. W tych warunkach zastawienie pułapki było praktycznie niemożliwe. Żołnierze za ostrokołem kontrolowali przedpole.

Po co wypatrywać tu ślepiec? - pomyślał wilk. Podreptał w kółko, zakrył nos ogonem i poszedł spać.

Obudził się po jakimś czasie, ponieważ Biały Bark podniósł się i ukradkiem podążył za wozem, na którym niewielki oddziałek opuścił obóz. Pogoda się pogarszała. Chociaż dochodziło południe, niebo szarzało coraz bardziej i lekko prószył śnieg. Płatek padł na nos wilkowi, który słyszał, jak puchowa pokrywa

trzeszczy mu pod łapami, luźna i świeża w rosnącym mrozie. Wokół obozu pozostawiono tylko wysokie srebrne świerki, których gałęzie zaczynały się bardzo wysoko. Wierzchołki ginęły w mglistych, kotłujących się masach powietrza, przewalających się przez przełęcz.

Wilki podążyły za wozem obok kolein. Wóz pokonał zakręt i potoczył się w dół. Drzew po bokach przybywało. Fort znikł, niska roślinność gęstniała.

Wilki zbliżyły się. Nie wykonały żadnego groźnego ruchu, ale wykorzystując osłonę lasu, poruszały się obok wozu.

Śnieg padał coraz gęstszy; drobne, prawie niewidoczne płatki tworzyły w powietrzu mgłę.

Żer! Szary wilk był zbyt długo przywódcą, aby nie zależało mu na obserwacji tego, na co polował. Przyspieszył, pozostając tuż poza kręgiem widoczności załogi wozu. Nieco się lękał, czy go nie dostrzegą, ale gdy się zbliżył, zdał sobie sprawę, że nie ma powodu do obaw.

Czterech legionistów siedziało z tyłu, próbując grać w kości, niełatwe zadanie w kołyszącym się wozie, i raczyło się do woli, chociaż ukradkiem, z glinianych manierek i ciężkich bukłaków pełnych wina. Od czasu do czasu przerywali pijatykę, żeby poprzeklinać wiarusa, prowadzącego wóz.

Miał stopień centuriona, dowódcy setki żołnierzy. Tacy jak on stanowili trzon rzymskiej armii. Większość była tak twarda, że można by rozłupać skałę ich głowami, ale ten zaliczał się do nich już tylko rangą.

Legioniści, którymi pozornie dowodził, robili, co im się żywnie podobało. Kiedyś był znakomitym wojownikiem, ale zestarzał się i poza obozem młodszy żołnierze traktowali go z równym szacunkiem jak pociągową chabetę. W obrębie palisady nie śmieli się tak zachować. Zbyt wielu starszych rangą pamiętało Druzusa z okresu jego chwały i okrutnie ukarałoby wszelki przejaw nieposłuszeństwa.

Druzus powoził i mówił sobie w duchu, że oddział, z którym go dzisiaj wysłano, to banda głupców. Czuł niepokój i był przekonany, że są śledzeni. Kto ich śledzi, tego nie był pewien, ale kątem oka widział jakieś przemykające się ukradkiem kształty.

Hiraks, Germanin ze sprzymierzonego plemienia, był przywódcą, kiedy tylko nadarzyła się okazja do jakiegoś łotrostwa, i dzisiaj najwyraźniej uznał, że krótka wyprawa po opał to znakomita sposobność do zalania się w trupa. Pozostali, Marek,

Statilus i Skorpus, byli gotowi iść za nim z zamkniętymi oczami, bo mieli nie więcej niż jedną kroplę oleju w głowie na trzech. Wypity trunek sprawiał, że inteligencją dorównywali pierwszemu lepszemu pniakowi.

Druzus sprawdził miecz. Odruch zasłużonego wojaka. Zawsze utrzymywał miecz w czystości i naostrzony.

Minęli kolejny zakręt i Druzus zatrzymał wóz na skraju polany. Tu w okresie dobrej pogody duża grupa żołnierzy ścięła kilkanaście drzew, oczyściła pnie z gałęzi i porąbała kłody na części.

Druzus dygotał z zimna. Żołnierze wstali, opuścili tylną klapę wozu, zeszli na ziemię i ruszyli w kierunku wielkiego sągu.

- Rozpalić ognisko - rozkazał Druzus.

Nikt go nie posłuchał.

- Wy, kurwie syny! Powiedziałem wam, rozpalić ognisko. I to już! Jak nie... - Miecz wyskoczył z pochwy. - Nie będę zawracał głowy sądowi. Sam zabiję was czterech. - Spojrzał im prosto w oczy. Pierwsi odwrócili wzrok.

Pod śnieżną pokrywą leżało sporo chrustu. Niebawem wielkie ognisko zapłonęło nieopodal wozu. Potem żołnierze zaczęli ściągać z sągu potężne kłocę, kłaść na kozła i piłować na bierwiona łatwiejsze do załadunku.

Druzus wspiął się z powrotem na ławkę woźnicy. Teraz już wiedział, kto ich śledzi, i poczuł się lepiej. Jeden z wilków wszedł na polanę i zostawił ślady na śniegu, wielkie ślady. Druzus znał wilcze zwyczaje i wiedział, że drapieżniki nie zaatakują ludzi, chyba że nadarzy się im okazja - wyjątkowa okazja.

Spotykał się z nimi na polach bitw. Rzymianami zajmowały się zespoły medyków, ale los rannych nieprzyjaciół był im obojętny.

Czasami wrzaski z poboju rozlegały się przez całą noc. Konie też ginęły i nie zawsze dało się powiedzieć, czy odgłosy męki pochodzą z gardel ludzkich, czy zwierzęcych.

Druzus miał na sobie ciężki płaszcz, tyle że nie był to czerwony, mundurowy przyodziewek rzymskich oficerów. Nosił płaszcz z brązowej wełny, wyszywany po brzegach w zielone listki wierzby. Przed kilku laty kupił go od galijskiej kobiety. Był bardzo ciepły. Otulił się nim szczelniej.

Powracały do niego obrazy, które widział w młodości. Myślał, że z wiekiem stwardnieje, ale stało się inaczej. Przeciwnie, groza, której przez lata napatrzył się niemało, wracała doń ze zdwojoną siłą.

Westchnął i odsunął wspomnienia. Za kilka miesięcy odejdzie z wojska na dobre. Miał za sobą dwukrotny okres obowiązkowej służby i należał mu się spory żołd i premia. Już uszczknął część swoich pieniędzy, kupując małe gospodarstwo na wzgórzach pod Terraciną.

Dziesięć akrów winnic i oliwek. Dość na dostatnie życie, jeśli nie będzie się szastało dochodami. Jego kuzyn, Festus, weźmie się do uprawy winorośli i zbierania oliwek. Festus i jego synowie chętnie się wszystkim zajmą w podzięce za to, że uczyni ich spadkobiercami.

Kiedyś Druzus miał żonę, ale ta i jej dwoje dzieci - nie był zbyt pewien, czy jest ich ojcem - umarli, kiedy Cezar prowadził kampanię w Brytanii. Myślał, że z czasem przestanie jej żałować, ale okazało się to niemożliwe. Im był starszy, tym bardziej tęsknił za jej towarzystwem. Była z niej sekutnica, ale miała poczucie humoru i, co dziwne, dbała o jego zdrowie i wygodę. Brakowało mu jej nieustannych żartów i uszczypliwych uwag o jego towarzyszach broni.

A co najdziwniejsze, tęsknił za dzieckiem, dziewczynką, która -nie miał co do tego żadnych złudzeń - nie była jego. Za nią tęsknił najbardziej. Przypominała matkę, zawsze rozgadana i roześmiana. Ledwo zaczęła gaworzyć, a buzia już się jej nie zamykała.

Chłopiec był mniej ciekawym dzieckiem; cichy, uparty, chętny do ciężkiej pracy od najmłodszych lat. Miał oliwkową karnację, gęste kędzierzawe włosy prawdziwego Latyna i zapowiadał się na zwalistego mężczyznę, w typie swojego ojca.

Ale kiedy umarli, za całą rodzinę został mu Festus i jego dwaj synowie. Teraz nie zależało mu tak bardzo na gospodarce, chciał tylko siedzieć w słońcu na własnym wzgórzu i patrzeć na lapisowo-szmaragdowe morze wirujące wokół skał. Piana była biała, biała niczym śnieg zasypujący wszystko...

Druzus nagle ocknął się ze zdrygnięciem, zdając sobie sprawę, że piła ucichła. Otworzył oczy. Mały Skorpuz przemykał się ku drzewom.

- A gdzie to się wybierasz? - warknął centurion.

Hiraks oparł się o piłę.

- Musi se ulżyć.
- No, to niech idzie za drzewo. Nie oddalać się. Tu kręcą się wilki.
- Wilki - powtórzył szyderczo Hiraks. -I dlatego mamy wachać jego smrody? Nie widzę żadnych wilków.

- I nie zobaczysz. Chyba że będą tego chcieli, a wtedy będzie za późno.

Skorpus wpatrywał się w centuriona i Hiraksa zamglonymi oczami. Nos miał spuchnięty i czerwony. Tarł go energicznie, tak że puchł i czerwieniał mu jeszcze bardziej.

Hiraks zmrużonymi oczami wpatrywał się Druzusa. Stary dziad zamknął ślepia i podbródek opadł mu na piersi.

- Zgnojony stary pierdziel - rzekł Hiraks pod nosem. - Idź, gdzie chcesz, Skorpus.

Skorpus pociągnął nosem i ruszył ku kępie nagich dębów na skraju polany. Tak naprawdę, to nie chciał się załatwić. Ukrył jeszcze jedną manierkę i rozglądał się za jakimś zakątkiem, w którym mógł ją opróżnić, nie dzieląc się z tymi opilcami.

Między dębami rósł ostrokrzew i jemiola. Las przypominał wielką salę w jakimś domu nawiedzanym przez upiory. Mgła wisiała tak nisko, że kryła wierzchołki drzew. Jasne rozmyte światło odbijało się od śnieżnej pokrywy, od białych czap na nagich konarach i garstce zimozielonych roślin.

Liście i czerwone jagody ostrokrzewu odcinały się od wszechobecnej bieli. Wiszące wysoko delikatne gałązki jemioly i ich szaro-białe jagody były upiornym wspomnieniem letniej obfitości; zastygły niczym gipsowe ornamenty nad niższymi, węższymi drzewami.

Była to dodatkowa przeszkoda dla Skorpusa. Rosły tak gęsto, że przedzierał się przez nie z wielkim trudem. Ostre kolce rozorały mu ręce i nogi. Można by pomyśleć, że świadomie nie chcą go przepuścić. Ale w końcu je pokonał.

Kilka kroków dalej sterczał skalny paluch, a właściwie kupa szarych głazów mokra od delikatnego śniegu i zwieńczona plątaniną białych brzoź. Cienka jak pergamin kora minimalnie różniła się od śniegu kłującego oczy blaskiem. Dostrzegł kilka osłoniętych miejsc, w których dało się usiąść i w spokoju ducha opróżnić manierkę.

Oczywiście wilki go dostrzegły. Z ukrycia w ostrokrzewie przyglądały się, jak oddziela się od reszty i przedziera przez gęstwinię. Wedle wilczego mniemania tylko

chore lub ciężko ranne stworzenie rezygnuje z osłony, jaką zapewnia stado. A taki osobnik jest łatwym łupem.

Skorpus nie miał pojęcia, że Biały Bark jest za nim zaledwie o krok. Maeniel osłaniał basiora z prawej, wadera z lewej.

Maeniel nadal miał pewne wątpliwości. Czyżby Biały Bark planował takie właśnie łowy? A jeśli zamierzał zabić człowieka, to czy zdawał sobie sprawę z konsekwencji takiego czynu? Wyglądało na to, że reszta gromady ma identyczne zastrzeżenia, gdyż trzymała się z tym za prowadzącą trójką.

Skorpus się zatrzymał.

Podobnie wilki. Biały Bark obnażył zęby w bezgłośnym warczeniu. Wadera trąciła go, jakby chciała zmusić do działania, ale Biały Bark nie zareagował, stał niczym zamurowany, wykrzywiwszy pysk w morderczym grymasie.

Skorpus uniósł tunikę, zadygotał - lodowate powietrze szczypało nagą skórę - i ulżył pęcherzowi. Strumień moczu zrobił w śniegu żółtą dziurę.

Nie zabijało się ich - pomyślał Maeniel. - O nie, nawet gdy sprząkali nam zdobycz przed nosa. Przecież zawsze można było znaleźć inną. Ale kiedy twoja sierść była im za parkę, za futro otulające twarz i chroniące od zimna, rezygnowało się z zabijania.

Gdy przybywali na rabunek, ich samice przede wszystkim szybko rozpałały ogień, z czego się tylko dało. Potem ludzka gromada nacierała z pochodniami i włóczniami o ostrzach hartowanych w ogniu. Czasami wataha nie ustępowała pola. Zawsze kończyło się to przegraną wilków. A wataha nie mogła ryzykować katastrofy, utraty najsilniejszych łowców, którzy wypluwali płuca przebite drewnianym oszczepem lub zdychali w powolnej męce, chorując i nie mogąc zjeść, po tym jak rozpruto im trzewia.

Tak, nie warto było polować na te stworzenia. Po prostu starcie z nimi kosztowało zbyt wiele. Watasze, która o tym nie wiedziała, groziła klęską, bez względu na to, czy zwyciężyła, czy została pokonana.

Żołnierz skończył oddawać mocz, po czym wyjął manierkę i uniósł ją do ust.

Wadera zaskamląła.

Skorpusa obleciał lodowaty strach. Odwrócił się, nie wypuszczając manierki z dłoni, i zobaczył trzy wilki kilka kroków dalej.

Biały Bark rzucił się na człowieka. Maeniel trzymał się z tyłu. Podobnie wilczyca. Zdradziła ich obecność i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Maeniel pchnął ją tak mocno barkiem, że fiknęła kozła.

Skorpus grzmotnął Biały Bark manierką w łeb. Samo gliniane naczynie nie mogło zrobić krzywdy zwierzeniu tych rozmiarów ani go nawet ogłuszyć, lecz wino zalało oczy i nos zwierzęcia.

Biały Bark oślepnął na kilka sekund, a kwaśny płyn wciągnięty odruchowo przez nos zapiekł go straszliwie, nos bowiem jest najbardziej wrażliwym organem wilka.

Skorpus rzucił się do biegu. Biegł jak wtedy, kiedy zaciągnął się do legionów piętnaście lat temu. Biegł jak osiemnastolatek. Nie podejrzewał, że jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie tak szybko przebierał nogami.

Przed nim wyrosła szczelina w nagiej skale. Myślał... nie, miał nadzieję, że jest na tyle szeroka, że się w niej zmieści, ale i na tyle wąska, że wilki nie zdołają się tam wdrzeć. Nie krzyczał. Instynktownie zdawał sobie sprawę, że musi oszczędzać oddech.

Biały Bark tarzał się po śniegu, odruchowo trąc łapami nos i oczy. Wilczyca wróciła do reszty, przerażona tym, czego mały włos nie zrobili.

Maeniel rzucił się za Skorpusem, ale chwila zwłoki wystarczyła. Żołnierz wcisnął się bokiem w szparę, tak głęboko, jak się dało.

Wilk był tuż za nim. Parł przed siebie, niemal dotykając prawej dłoni Skorpusa. Wtedy człowiek odzyskał głos, a na dodatek wymacał kij, grubą gałąź z pobliskiego drzewa. Przełożył ją do prawej i kiedy szary wilk ponowił atak, dał mu po łbie.

Maeniel zatoczył się tył. Cały świat zawirował mu przed ślepiami. Skorpus wcisnął się jeszcze głębiej w szczelinę, przylegając do skały jak rozbitek Ignie do deski unoszącej się na powierzchni.

Tymczasem szary wilk i reszta watahy zdali sobie sprawę z tego, że człowieka nie da się wyciągnąć na zewnątrz. Więcej, sądząc po jego twarzy, na której malowała się groza, wyglądało na to, że nie zrezygnuje z tego schronienia mniej więcej do wiosny.

Maeniel nie miał ochoty marnować na niego czasu, przynajmniej na razie.

Biały Bark pozbierał się już po wypadku z winem, chociaż od czasu do czasu nadal popiskiwał i tarł łapą kufę.

Szary wilk rozpląnął się między ostrokrzewem i dębami, znikł razem z pozostałymi. Musiał pomyśleć, co szło mu już znacznie lepiej niż reszcie wilków.

Czuł, że powinien natychmiast odejść i powrócić w góry. Przy odrobinie szczęścia oficerowie mogli nie uwierzyć opowieści idioty, który wprasował się w skalną szczelinę, zwłaszcza że wciąż padający śnieg zakrył ślady łap. Lecz Biały Bark i jego suka nie mieli niczego do przemyślenia i szary wilk wiedział, że pozostaną w okolicach polany tak długo, aż dopadną kogoś i zabiją.

Druzus nadal drzemał na ławce. Nie zauważył, że Skorpus się oddalił. Wreszcie ocknął się, kiedy pozostali legionieści przystąpili do ładowania drewna. Ziewnął i przeliczył podkomendnych.

- Gdzie Skorpus? - warknął do Hiraksa i Statiliusa.

Dwaj legionieści upuścili dzwigane bierwiono.

- Powiedział, że idzie się odpryskać - odrzekł Statilus.

- Macie, półgłówki, pojęcie, gdzie polazł albo jak daleko? - spytał centurion.

Nie mieli. Nawet Hiraks nie zauważył zniknięcia Skorpusa.

Zaniepokojony Druzus zlął w wozu i podrzucił trochę drew do ognia. Sprawdził, czy miecz luźno wychodzi z pochwy. Okrążył polanę, szukając śladów.

W końcu znalazł płytkie znaki. Nie wątpił, że zostawił je maszerujący Skorpus. Kłopot w tym, że wilgotność była tak mała, iż ślady ledwo się rysowały. Puch syjący się z nieba szybko wypełniał każde zagłębienie.

Druzus krótko oceniał ślady stóp. Podniósł wzrok. Chmury wisiały tak nisko, że wierzchołki drzew ginęły w rozmytej bieli. Widoczność w coraz gęstszym śniegu była do niczego. Nerwowym gestem znów poprawił miecz w pochwie.

- Odszukam go - rzekł Hiraks chropawą łąciną, z obcym akcentem.

- Nie, nie ma mowy! - ostro odparł Druzus. - Jak coś go tam dopadło, dopadnie i ciebie.

Hiraks wyraził się obraźliwie o przodkach Druzusa i oskarżył go o tchórzostwo.

Druzus nie odpowiedział od razu. Jedynie lekkie zmrużenie oczu świadczyło, iż w ogóle doznaje jakichś uczuć, być może dlatego, że zauważył spojrzenia Marka i

Statiliusa uważnie obserwujących to starcie. Wyczuwał, że rozgrywa się decydujący atak na jego malejący autorytet w kohorcie. Jeśli Hiraksowi się upiecze, podwładni centuriona tak uprzykrzą mu życie, że będzie wolał nadzieć się na własny miecz, niż czekać na wymarzoną premię i odprawę. Z drugiej strony, sprowokowany do walki nie miał wielkich szans. Nie był równym przeciwnikiem dla młodszego mężczyzny i z pewnością czekała go poniżająca przegrana.

- Znakomicie. - Skinął głową. - To nie jest próba odwagi, Hiraksie, ale jeśli zamierzasz do tego doprowadzić, to śmiało. Proszę. - Odwrócił się z obojętnym wyrazem twarzy. - Róbcie swoje! -krzyknął do dwóch żołnierzy. - Ładować drewno. Jest późno i coś mi się zdaje, że ten po trzykroć przeklęty śnieg z każdą chwilą pada coraz gęściej.

Legioniści posłuchali, burcząc pod nosem.

Druzus nie zwracał na nich uwagi, podszedł do koni.

Hiraks znikł w lesie.

Druzus znów wspominał, jak niebieskie głębokie wody przemieniały się w szmaragd, gdy grzywacze docierały na przybrzeżne płycizny. Kiedy ostatni raz złożył tam wizytę, wspiął się po stromych stopniach, idąc wzdłuż winorośli rosnących na kratownicach, aż dotarł do porzuconej kamiennej chaty niczym ten, który urodził się tam i wychował. Dniem czy nocą, wiosną czy latem, powietrze było chłodne i czyste. Wino, złożone w wapiennej pieczarze koło domu, nadawało się do picia po kilku miesiącach.

Prawie czuł jego smak i zapach, nawet teraz. Przypominało mu o słonym powietrzu, słodkim majeranku, dzikim oregano, o tymianku rosnącym na zboczach wzgórz.

Otulił się w togę i spędził noc samotnie, za kompana mając wiatr wzdychający w piniach. Odziany w srebro księżyc płynął między gałęziami o długich szpilkach, podczas gdy odległe morze nuciło ledwie słyszalną kołysankę.

Na wszystkich zapomnianych bogów Toskanii! - jak i dlaczego skończył w tym nędznym lodowatym lesie, odmrażając sobie tyłek i trzęsąc się ze strachu przed wilkami?

Przeklął w myślach Hiraksa: Fortuno, ześlij tego barbarzyńcę, tego chama, ten bękarci pomiot maciory do Hadesu i niech tam wyje i jęczy nad brzegiem Styksu, między upiorami nie pogrzebanych.

Jeden z koni podrzucił łeb, zarżał i zaczął przestępować w miejscu. Jak na te niskie, przysadziste stworzenia pociągowe jego zachowanie urastało do rangi hysterii. Umiały przecież zachować spokój nawet w bitwie, ciągnąc maszyny oblężnicze.

Tak, nieuchwytnie szare drapieżniki wyszły na łowy - pomyślał Druzus - ale jeszcze się okaże, czy są niebezpieczne.

Hiraks szedł tropem Skorpusa, przez zarośla ostrokrzewu, między wysokimi dębami, i nie przestawał go przeklinać.

- Gdzie ten wszawy tępak polazł? - szepnął, po czym krzyknął:

- Skorpus, gdzie jesteś? - Głos rozszedł się echem w śnieżnej głuszy i wrócił odbity od otaczających drzew.

- Skorpus! - wrzasnął i dodał szeptem: - Ty draniu.

Dwa razy wydało mu się, że słyszy krzyki, ale te dźwięki były zbyt przytłumione i odległe, by nabrał pewności, iż to nie jego własny głos odrzucony przez zamrożony las.

Wtem dostrzegł coś ciemnego, na wpół zakopanego w zaspie po nawietrznej stronie powalonego drzewa. Odwrócił się i poszedł w tym kierunku. Tak, gliniana manierka Skorpusa. Pochylił się, podniósł ją. Zacisnął palce wokół szyjki i chciał się wyprostować, aby przyjrzeć się jej w świetle. Dziwne - pomyślał, bo wydało mu się, że czuje na plecach wielki ciężar... a potem przestał cokolwiek myśleć i czuć.

Maeniel przyglądał się, jak reszta oczyszczała kości Hiraksa. Wilki poruszały się ukradkiem, szybko i były wyjątkowo ciche. Ale jako że dzieliły z nim wspomnienia, rozumiały równie dobrze jak on, że robią coś zakazanego.

Na polanie Druzus i pozostali legionieści dorzucili dREW do ognia. Zauważył z satysfakcją, iż nieobecność Hiraksa, który jak na razie nie powrócił z błakającym się Skorpusem, budzi w nich coraz większe zdenerwowanie.

Wóz ugiął się już od bierwion, które poręczniej będzie rąbać na szczapy w obozie.

- Pewnie są tam gdzieś i robią, co mogą, żeby mróz ich nie zmógł - powiedział Marek.

Statilius spojrzął w niebo. Jeśli pogoda się zmieniła, to tylko na gorsze. Zachmurzenie wzrosło. Chmury sunęły niżej. Światło, poprzednio jasne, przybladło. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że krótki zimowy dzień ma się ku końcowi. Żaden nie miał ochoty, by noc złapała go w lesie.

- Jeśli ktoś z was chce ich poszukać, ma moje pozwolenie - oznajmił prawie słodko Druzus. Wspiął się na wóz i złapał lejce.
- Więc zostawiamy ich? - spytał Marek.
- Nie! - odparł Druzus. - Poszukamy, ale w lepszy sposób. Pojedziemy drogą.

Szary wilk chyłkiem opuścił miejsce posiłku gromady i wrócił do schronienia Skorpusa.

Wilki przyjrzały się legionistom przez welon drobnych płatków.

Skorpus wklinał się w skałę, lecz głowę obrócił na zewnątrz. Oczy miał częściowo otwarte. Policzki, nos i szyję okryła cienka powłoka lodu. Na twarzy, zastygłej w wyrazie śmiertelnej grozy, nie zadrgał nawet jeden mięsień.

Nie żyje - pomyślał szary wilk.

Dwaj legioniści nadaremnie wytrzeszczali oczy.

- Nie wiem - wymamrotał Marek.
- No, idźcie sprawdzić. To tylko pięćdziesiąt kroków od drogi. - Druzus był u szczytu irytacji.
- Nie! - odparł Marek. Złapał się kurczowo najbliższej poprzeczki wozu. Niesubordynacja była niezwykle surowo karana w rzymskiej armii.

- Chodź - rzekł Statilius. - Pójdę z tobą.

Zeskoczyli na ziemię. Mieli ze sobą miecze. W lesie panowała głęboka cisza, tylko śnieg skrzypiał pod butami.

Druzus obserwował ich, kiedy zbliżali się do czarnych plam koło drzew.

Zbliżywszy się, rozpoznali stado kruków. Szarpały coś na śniegu. Spłoszone nadejściem ludzi, nagle wzbity się z głośnym łopotem skrzydeł.

Wszędzie leżały okrwawione, potrzaskane kości, świeżo oczyszczone z mięsa. Początkowo żaden z legionistów nie miał pojęcia, jakie zwierzę żarły kruki, lecz Statilius dostrzegł czaszkę na wpół zagrzebaną w śniegu.

Dotknął jej, ale natychmiast cofnął rękę. Czaszka była śliska i zimna. Dobył miecza i odwrócił czerep. Rozpoznał ludzkie szczątki. Jeden oczodół był pusty, ale z drugiego wyglądało niebiesko oko. W jednej chwili zrozumiał, że to na pewno Hiraks.

Niedaleko rozległ się straszliwy krzyk.

Szary wilk medytował przed trupem Skorpusa. Wcześniej było mu żal człowieka, ale teraz ten nie żył, a wilki, no cóż... wilki były głodne. Skorpus po śmierci mógł się jeszcze do czegoś przydać -przynajmniej z punktu widzenia wilka.

Tak więc skoczył, zaparł się łapami o skałę, wbił zęby w żołnierską tunikę i szarpnął.

Ciało Skorpusa było szczelnie wprasowane, tak więc musiał ciągnąć z całych sił, raz, drugi wyginając grzbiet w łuk. Bez żadnego efektu. Szary wilk zawarczał przez fałdy materiału, które zatykały mu pysk, i szarpnął jeszcze mocniej.

Skorpus zamrugał i ożył w chwili, w której został wyrwany ze swojego azylu. Wylądował na śniegu obok wilka. Rozdziawił usta i wydał nieziemski wrzask rozpacz.

Człowiek, którego szary wilk uznał za nieżywego ledwie chwilę temu, poderwał się chwiejnie na nogi i zaczął okładać wilka po łbie niemal zamarzniętymi rękami. Zwierzę przypadło do ziemi i cofnęło się. Skorpus trafił je w potylicę. Wilk zaskamlał.

Marek, słysząc wrzask, rzucił się biegiem w kierunku wozu.

Wilki wyprysnęły z kępy drzew, jak smuga krwi rozlewa się na wodzie. Bezszelestne i zabójcze.

Marek padł nieżywy, nie wiedząc nawet, co się stało. Statilius dobył miecza. To uratowało mu życie... na chwilę. Przeszył ciało Białego Barku. Basior był zajęty rozszarpywaniem twarzy Marka, ale wadera dopadła Statiliusa, łamiąc mu nogę poniżej kolana. Padając, uderzył głową o pniak i pękła mu czaszka.

Druzus nie miał nawet czasu kichnąć, gdy jego podwładni ginęli, ale miał zbyt wiele doświadczenia, by stracić głowę.

Droga była wąska, wóz stał obrócony w złym kierunku. Życie wiarusa zależało od koni. Popędził je przed siebie, byle dalej od miejsca śmierci. Wąski szlak

kończył się na polanie przed skalnym paluchem, schronieniem Skorpusa. Druzus zacisnął lejce w dłoniach. Ściągnął konie tak, że stanęły dęba.

Zawracał w kierunku drogi. Wydawało się, że wszystko trwa przeraźliwie wolno, jakby cały świat zastygł niczym lodowa rzeźba, ale Druzus nie ważył się energiczniej popędzać przerażonych zwierząt. Któreś z nich mogło upaść i złamać nogę. To byłby koniec, nie tylko konia, ale i jego samego.

Wóz zatoczył koło. Po chwili Druzus poczuł, że końskie kopyta przestały się ślizgać. To znaczyło, że wrócili na drogę. Wtem wóz przechylił się, tylne koło wpadło do rowu ukrytego pod śniegiem.

Druzus był bliski załamania, ale rzucił się na lewą stronę, by wóz wrócił do właściwej pozycji. W tej samej chwili usłyszał upiorny charkot. Obejrzał się. Skorpus wlaź na wóz i czołgał się w jego kierunku. Ścigał go największy wilk, jakiego Druzus widział w życiu.

Skorpus był wcieleniem grozy, twarz i brodę miał pokryte lodem i zamarznąłą breją - zwymiotował, kiedy uciekł do skalnej szczeliny. Usta, czerwony otwór na przemrożonej twarzy, miał otwarte. Krzyczał, wył nieprzerwanie, kiedy doczołgał się do Druzusa i wbił w niego palce, zakrzywione jak szpony.

Druzus wyrwał z pochwy miecz. Pięścią zaciśniętą na rękojeści uderzył w twarz Skorpusa. Poczuł pękające kostki palców, ale równocześnie trzasnęły kości twarzy Skorpusa, który nagle zamilkł i stoczył się z wozu w pokrytą śniegiem drogę.

Końskie kopyta uczepiły się drogi. Wóz uwolniony od ciężaru Skorpusa wytoczył się z rowu. Druzus kulił się, cierpiąc męki z powodu połamanych palców, podczas gdy konie gnały ile sił w nogach w kierunku obozu.

Wilk stał w zadymce koło zwłok Skorpusa. Naprawdę nie chciał śmierci tego człowieka.

Śnieg padał coraz gęstszy. Wilk strząsnął z futra nagromadzone płatki, trącił Skorpusa nosem. Nie żył. Leżał na wznak, z rozrzuconymi nogami, szeroko rozpostartymi ramionami, biały jak śnieg, który go coraz szczelniej zakrywał. Biały, poza wilgotną krwistą plamą, która kiedyś była jego twarzą.

Wilk zaskowyczał gardłowo, odwrócił się i pobiegł między drzewa, tam gdzie posilała się reszta gromady.

Suka stała przy Białym Barku. Wilk jeszcze nie zdechł, ale Maeniel widział, że to kwestia chwil. Łapy mu podrygiwały, jakby biegł, rozrzucając śnieg we wszystkich kierunkach.

Wadera podniosła łeb i zawyła. Wycie wilka jest zawsze niesamowite, osiąga najwyższe słyszalne rejestry, ale to wołanie było wprost niezwykle, gdyż wyrażało smutek i ból.

Inne wilki nie zwracały na nią uwagi. Posiłały się trupami Marka i Satiliusa. Hiraks posłużył tylko za przystawkę.

Biały Bark zaczął toczyć pianę z pyska. Była coraz gęstsza, zabarwiała się czerwienią. Miecz z pewnością rozplątał płuca, szary wilk zdawał sobie z tego sprawę. Biały Bark kaszłał, z każdym kasznięciem wypluwając cząstkę życia.

W głowie wilka pojawiła się myśl, wyrażona ludzkimi słowami: Już nie jestem wilkiem. Nie zadał narzucającego się pytania: Jeśli nie jestem wilkiem, to kim? Poczucie utraty tożsamości było przerażające. Nie chciał wiedzieć niczego więcej.

Biały Bark zdechł. Przez jakiś czas broczył posoką z pyska, potem i ona zastygła.

Wadera nie biesiadowała z innymi. Stała, milcząc, nad zwłokami Białego Barku. Wtem niedaleko rozległy się warczenia. To wilki znalazły trupa Skorpusa.

Szary wilk nadal był otumaniony niespodziewanym napływem samoświadomości, lecz miał obowiązki wobec innych. Po śmierci Białego Barku on był najstarszym i najsilniejszym osobnikiem w gromadzie.

Lekko uszczypnął waderę w grzbiet, rozrywając jej skórę. Warknęła i odwróciła się ku niemu, obłąkana z furii, bezmyślnej wściekłości.

Ale nie cofnął się. Po prostu stał na sztywnych nogach, obnażając kły, i wpatrywał się w nią.

W jej ślepiach płonęło rozżarzone do białości szaleństwo, ale wtem gniew zgasł, powróciło otrzeźwienie. Odsunęła się od niego.

Szary wilk odwrócił się i pobiegł drogą w kierunku fortu, zostawiając za sobą ucztujące wilki. Kiedy uznał, że znalazł się wystarczająco daleko, zatrzymał się, postawił uszy i czekał, nasłuchiwał, skupiony.

Druzus przybył do obozu na wpół zamarznięty, plotąc bez sensu i jęcząc z bólu. Kiedy się ocknął, leżał w krytym strzechą niskim budynku, który pełnił funkcję lazaretu. Otaczali go przyjaciele, oficerowie.

Dobrze pamiętał wydarzenia popołudnia i zdawał sobie sprawę, że jego zachowanie nie przyniosło mu chwały, zwłaszcza to, co uczynił Skropusowi. Mógł pomóc żołnierzowi? Wtedy opanował go tak przeraźliwy strach, że zrobiłby wszystko, absolutnie wszystko, aby uciec wilkom.

No i uciekł. Tu było bezpiecznie i ciepło. Gospodarstwo nad brzegiem niebieskiego morza wzywało. Nie mógł dopuścić do tego, by cokolwiek stanęło między nim a tamtym światem. Nie mógł.

- Co się stało? - spytał ktoś. - Bełkotałeś o wilkach.

Druzus oblizał wargi.

- Nie. To nie żadne wilki. Ten drań Hiraks i tamci zaatakowali mnie... zdezerterowali.

Tak, to pięknie ustawi całą sprawę - pomyślał. Gdyby dowódca dowiedział się, że stracił głowę, że jego podkomendni padli ofiarą wilków, można by go oskarżyć, iż nie utrzymał należytej dyscypliny. Jeszcze utraciłby sporą odprawę, sumkę potrzebną na utrzymanie przez resztę życia.

Ale kto mógłby mieć do niego pretensje, gdyby podwładni uknuli spisek, postanowili zdezerterować, zaatakowali go i ranili? Nikt, nikt nie mógłby go za to winić.

Był bohaterem. Niejasno zdał sobie sprawę, że zostawiono go samego. Jego przyjaciel odeszli. Bez wątpienia zorganizowali zbrojny pościg za tymi cholernymi dezertarami. Druzus zachichotał, lecz nagle otrząsnął się, ogarnięty prawdziwym lękiem.

Tamci mogą znaleźć trupy. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w świeczkę, która rozpływała się w jeziorku wosku na stoliku przy łożku. Bogowie, a co się stanie, jeśli znajdą trupy?

Lecz nagle zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Nawet przez mury słyszał wiatr potrząsający budynkiem. Nadciągała burza śnieżna. Zadyмка, wilki i kruki już się postarają, żeby jego druhowie niczego nie znaleźli.

Wilk stał na drodze. Padał gęsty śnieg. Niebo ciemniało. Bardziej wyczuwał łapami, niż słyszał tętent kopyt.

Zawrócił w miejscu i pędem pomknął do watahy. Wilki skończyły jeść. Warknął cicho, odwrócił się i popędził w górę stoku, ku góróm. Wataha za nim.

Po pewnym czasie pojawił się zbrojny oddział. Tymczasem nastał mrok. Szybko nadchodziła długa zimowa noc i śnieg zakrył resztki ciała. Wina nie spadła ani na Druzusa, ani na wilki.

Pośród głazów i martwych drzew, połamanych dawno temu przez lawinę, basior znalazł na noc osłonięty wykrot, niedaleko od miejsca, w którym zdobył miłość Imony, miejsca ich igraszek. Mech na popękanych skałach zachował aromat jej ciała.

Wilki rozłożyły się gdzie indziej, czasem po kilka w grupie, lecz basior zauważył, że wadera odeszła samotna, podobnie jak on, zwinęła się w skalnym zagłębieniu, w którym on i Imona kochali się tamtego letniego dnia.

Po północy wyczołgał się z wykrotu. Kurzawa przeszła. Na czystym czarnym niebie migotał kryształowy pył gwiazd.

Powietrze było zimne, tak zimne, że czuł, jak kęsa go przez grubą sierść.

Cicho, bez pośpiechu, odwiedził wszystkie wilcze sypialnie. Każde zwierzę zapadło w nieprzytomny sen, nawet wadera, chociaż dręczył ją niepokój. Czasem zaskamlała niewyraźnie i przez chwilę przebierała łapami. Potem osunęła się w głębsze pokłady snu i ciemności, poza smutek i lęk, westchnęła i się rozluźniła.

Śnieg był teraz bardzo głęboki. Jeszcze nie ścięła go warstwa szronu. Za dnia miała nadejść lekka odwilż i przygotować wyśmienitą nawierzchnię dla wilczych łap. Pomkną po niej jak pociski, gotowe zabijać cięższe stworzenia, takie jak koziorożce alpejskie, zdziczałe bydło, łosie czy sarny, na tyle nieostrożne, by zabłąkać się w głębokie zasy i tam ugrzęznąć. Środek zimy to pora biesiady wilków. Nawet Rzymianie nie odważali się zapuścić w głębokie zasy.

Jednak na razie wierzchnia warstwa jeszcze nie przymarzła. Dlatego bardzo późno dotarł do sadyby Mira.

Nic nie drgnęło na pokrytych śniegiem terenach. Tylko ślad łap basiora widniał na dziewiczej, zimnej pokrywie, promieniującej w ciszy niesamowitą bladą poświatą odbijającą migotanie nieba.

Mir ocknął się, nie wiedząc, co go obudziło, i ujrzał nieproszonego gościa, który wyciągnął się na ławie przed paleniskiem, złożywszy łeb na łapach. Jego ślepią

jarzyły się opalizującym blaskiem nocnego łowcy. Wilk dźwignął łeb i wbił płomienny wzrok w oczy starca.

Mir zerknął na drzwi. Były zamknięte, rygiel znajdował się na swoim miejscu. Żaden wilk z krwi i kości nie mógł przejść przez ściany z bali.

Zwierzę przysiadło na zadzie.

Mir zadygotał. W izbie panowało przenikliwe zimno. Ostatnie polano trzasnęło głośno i sypnęły się iskry, oświetlając na krótko izbę.

Żona Mira przebudziła się i usiadła obok niego. Odwróciła się do starca i przytuliła, wpatrzona w wilka.

Ten cofnął się i warknął basowo. Cienie ochronnym płaszczem otuliły pobliznioną dziewczynę, cienie, które tylko wilk dostrzegał. Z ciemności doleciał szept:

- Ona, jedyna, żyje.

Tak - pomyślał wilk. Słowa wyłaniały się z chaosu obrazów, kłębiącego się w jego mózgu. - Już nie jestem wilkiem. Zabicie Mira to nie problem. Prawdziwy wilk zrobiłby to szybko i bez zbędnych zabiegów, ale ja... ja muszę znaleźć w jego oczach poczucie winy, świadomość konieczności, pragnienie, pożądanie, lęk. Chcę, żeby się bał, tak jak ona pewnie się bała, bo na pewno wiedziała, co ją czeka. Czemu z nimi została? Dlaczego nie uciekła? Czy wolała śmierć z rąk swoich niż życie ze mną?

Szalona nagle zaczęła krzyczeć, jęczeć i zawodzić jak cierpiące zwierzę.

Ogień wygasł na palenisku, w izbie zapadł mrok.

Gdy wzrok Mira przyzwyczyił się do ciemności, starzec dostrzegł, że poza nim i jego żoną nie ma w izbie nikogo. Wilk zniknął.

11

Kiedy po powrocie do Rzymu Lucjusz wyzwolił Filona, Fulwia zrobiła mu piekło.

- Można by dostać za niego nieziemskie pieniądze, jeszcze się przekonasz! - wyła.

- Co? Uważasz że uratowanie mi życia nie jest warte tego drobnego gestu? - rzekł. - Muszę oznajmić ci z prawdziwą przykrością, moja najdroższa siostrzyczko, że cieszą się, iż żyję i chyba mam prawo okazać nieco wdzięczności człowiekowi, któremu zawdzięczam ocalenie.

- Ty głupi bękarcie. Zawsze byłeś głupim bękartem. Mogliśmy zbić na nim fortunę. Mówi się, że jest najlepszym medykiem w Rzymie. Ludzie z najświetniejszych rodzin biegną do niego po pomoc. Jedna trzecia z honorarium, jakie każemy sobie płacić, to dużo dla tego rozdygotanego gnojka. Jest w siódmym niebie, że dostaje nawet tyle. Miałam na oku jedną z tych wielkich willi na wybrzeżu koło Ostii. Łatwo mogłam odłożyć z jego zarobków na... Gdzie się wszyscy podzieli? - zapytała, zdumiona.

Lucjusz rozejrzał się wkoło. Wspaniały ogród był pusty. Zaledwie chwilę temu ogrodnik krzątał się w pobliżu kolumn portyku, przygotowując ziemię pod krzewy wawrzynu. Teraz zostały tam tylko rośliny w kubie z wodą. Dwaj kucharze zbierali rozmaryn do kurczaków, które miały być podane na obiad, a pokojówka rwała figi z obsypanego owocami drzewa ocieniającego ścieżkę. Oni też znikli.

- Droga siostrzo, niewielu ludzi ma ochotę znaleźć się na twej drodze, gdy jesteś w złym humorze. A przy okazji, następnym razem, kiedy wpadniesz w szal z powodu czegoś, co zrobiłem albo czego nie zrobiłem, nie obrażaj mojej matki, chyba że masz ochotę na śliczną nową szczękę wrytą dla ciebie z kości słoniowej przez Filona. Nie obrzucaj kalumniami pamięci cnotliwej Sylwii.

Fulwia cofnęła się o krok. Miesiąc temu nie przejęłaby się takimi pogroźkami, ale teraz nie była już pewna, na co stać Lucjusza. Łaziebny, którego opłacała, doniósł jej, że rana brata zagoiła się i rekonwalescent z łatwością przepływa kilkanaście długości wielkiego basenu w tepidarium, ogrzanej sali. Powoli dochodziła do wniosku, że popełniła błąd, kupując Filona. Ten rozdygotany Greczyk wyciągnął jej braciszka z otchłani śmierci. Jakoś nie wprawiło jej to w wielkie zadowolenie.

- Przepraszam, wybacz moją uwagę.. Nie zamierzałam jej znieważać. Tak naprawdę chciałam dotknąć ciebie. Czemu pozwalasz sobie na taki ekstrawagancki i głupi czyn, nie konsultując się najpierw ze mną?

- Ekstrawagancki? Głupi? Fulwio, nie zauważyłaś, że jesteśmy bogaci? Bogatsi niż większość senatorskich rodzin.

- Tak, i nie potrwa to długo, jeśli nie będę pilnowała domowych wydatków, skąpiła i oszczędzała. Wy, mężczyźni, nie macie pojęcia, ile kosztuje prowadzenie domu rzymskiego nobila na odpowiednim poziomie. Przecież samo miesięczne utrzymanie tego domu...

- Oszczędź mi tego! - Fulwia doprowadzona do furii przerażała go. Fulwia jęcząca i kwękająca budziła w nim obrzydzenie.

Siostra zrobiła kolejny krok w tył. Nie zauważył błysku satysfakcji w jej oku. Westchnęła pełną piersią.

- No cóż, co się stało, to się nie odstanie, ale... - Nagle zgrzytnęła zębami i powiedziała: - W zamian za patronat świętej rzymskiej rodziny ten płaszczący się grecki karzeł powinien przynosić w zębach procent.

- W rzeczy samej powinien - zgodził się Lucjusz. - A jaką rodzinę masz na myśli?

Fulwia opuściła perystyl, idąc w kierunku swoich luksusowych apartamentów.

Lucjusz drgnął, gdy drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym sięgnął do worka, który leżał obok, i sypnął nieco zboża na kamienne płyty przed ławką. Sfrunęły dwie gołębice i zaczęły dziobać ziarno. Słońce mocno grzało go w kark i plecy, ale jesienne przedpołudnie wionęło chłodem i w cieniu nie było zbyt przyjemnie.

Zjawił się Filon i usiadł na ławce obok. Następne gołębice dołączyły do pierwszych dwóch.

- Robiła wrażenie nieco rozgniewanej - zagadnął lekarz.

- Zawsze się gniewa, kiedy uważa, że straciła pieniądze.

- Och, a ty jesteś... Czy to możliwe, że twojej rodzinie brakuje...

Lucjusz spojrział na niego z bezbrzeżnym zdumieniem i wybuchnął śmiechem.

- Nie - rzekł, kiedy się uspokoił. - Zatrzymaj pieniądze. Poślij je swojej siostrze, tej, która zajmuje się zarządzaniem. Tak postępowałeś przez cały czas, nieprawdaż?

Filon poczerwieniał i sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieco winny.

- W rzeczy samej... Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż mi się wydawało.

- Tak, i nie przypominam innych rzymskich gburów, którzy uważają, że fiut dyndający między nogami i dziadek prokonsul oraz bogowie, rzymscy czy inni, dają im prawo ustawiać kopniakami całą resztę ludzkości, jak im się żywnie podoba.

Filon uniósł brwi.

- Ty to rzekłeś, nie ja.

- Poza tym brak mi zaufania do ludzi - ciągnął Lucjusz. – Kiedy pojawiła się możliwość, że wyzdrowieję, pomyślałem sobie, że ona jeszcze gotowa cię przekupić. Więc kazałem cię sprawdzić i otrzymałem raport, który wynosił cię pod niebiosa i z którego wynikało, że poświęciłeś się dla uratowania rodziny.

- Muszę cię ostrzec, panie, że wielu bardzo niedobrych ludzi, których znam, jest niezwykle oddanych swoim rodzinom.

- Czy to znaczy: „Nie ufaj mi zbytnio?” - spytał Lucjusz.

- W tym mieście nie ufałbym zbytnio nikomu - odrzekł ponuro Filon. - Kiedyś spytałeś mnie, czy nie mam skłonności do intrygowania. Odparłem, że nie, ale nie zdawałem sobie sprawy, jakich wyżyn może sięgnąć ta umiejętność, aż poznałem Rzymu. Wyobrażałem sobie, że my, Grecy, bywamy skłonni do podłości, ale jesteśmy niewinni niczym dzieci w porównaniu z członkami waszego senatu.

Lucjusz odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem.

- Latem nawroty gorączki i dyzenterii wykańczają wielu obywateli waszego rajskiego ogródka, a zimą przekrwienie płuc nawiedza tutejsze przewiewne domostwa w stopniu wręcz przerażającym. Lecz zimą i latem, w słońcu czy w słońcu, w upale czy chłodzie polityka wykańcza większe zastępy bogatych i dobrze urodzonych niż wielka zaraza. Wystarczy po prostu zostać wybranym do tego prześwieczonego grona i jakby otworzyło się szeroko drzwi własnego domu, i zaprosiło do środka śmierć. Przy czym muszę dodać, że ich żony wcale nie są lepsze.

- Odwiedziłeś dziś Kalpurnię? - spytał Lucjusz.

- Tak.

- Aha.
- Właśnie.
- Masz może ochotę na partyjkę?
- Tylko nie twoimi kośćmi, serdeczne dzięki. Nie od razu zgadłem, co doprowadziło mnie do tak długiej serii porażek. Bo też uznałem cię za uczciwego gracza.

- Mogą być twoje kości - rzekł Lucjusz.

Filon sięgnął w fałdy tuniki.

- Tak się składa, że...
- Ciekawe, czy oczekuje mnie długa seria porażek.
- Możliwe - powiedział Filon.
- Fulwia organizuje mi karierę w służbie publicznej. Zaczyna się ona od wyboru do senatu.

- Na twoim miejscu wybrałbym inną profesję. Co powiesz na zostanie gladiatorem? To prawdopodobnie bezpieczniejsze.

- Odbywałem służbę wojskową, szykując się do wyborów, kiedy zostałem ranny. Widzisz, kariera młodego Rzymianina ze szlachetnej rodziny zaczyna się w wojsku, potem jest senat, a następnie skierowanie...

- Znam stopnie do świątyni władzy - przerwał mu Filon. - Przebywam w Rzymie wystarczająco długo. Wiem również, że każdy z nich osiąga się po grudzie, trudzie i za cenę niebywałych kosztów.

Jeden z gołębi dziobnął Lucjusza w kostkę u nogi.

- Mówią ci, że zjadły cały worek karmy, a ptaki znacznie łatwiej nakarmić i zadowolić niż rzymski plebs, panie. Możesz zaufać moim słowom.

Lucjusz rzucił następną garść ziarna. Ptaki zabrały się do niego z nieprawdopodobną wręcz szybkością.

- Drepcą, jakby kamienie gorzały im pod nogami - rzekł. - Nie mam do tego serca. Nie chcę zostać drugim Pompejuszem, Kasjuszem czy nawet Cezarem.

- To z pewnością szybko staniesz się trupem - zawyrokował Filon. - Jeśli nie zaangażujesz w to całego serca, intelektu i mocy, zostaniesz pokonany. Mówię ci, nie masz dość zwierzęcego sprytu i histerycznego lęku przed śmiercią, by nie wspomnieć o zwykłym chłopskim rozumie. Tylko z tymi cechami zwyciężysz na politycznej arenie. Ty... wybierzesz nie tę partię, co trzeba, staniesz się zawadą dla

któregoś z potężniejszych, złaknionych krwi mieszkańców senatorskiego stawu z rekinami, a wreszcie zabraknie ci ikry, żeby popełnić zbrodnię, i... zginiesz.

Lucjusz sięgnął po niemal pusty worek i przewrócił go na drugą stronę nad powiększającym się stadkiem gołębi.

- Rany, zebrało się ich tu pewnie z kilka tuzinów.
- A juści - powiedziała jedna z podkuchennych, łowiąc ptaki w sieć.
- Zostaw je! - Lucjusz podskoczył jak oparzony i krzyknął na nieszczęśnicę.

Cofnęła się wystraszona.

- Ale co to za różnica, złapać je na pasztet tutaj czy kupić na targu? - wyjąkała.

- Kupuj sobie gołębie na targu! - ryknął Lucjusz. - To moje ptaki i nie pozwolę ich ruszyć, póki są pod moją ochroną.

Dziewczyna się rozplakała.

- Och, bogowie nieśmiertelni! Daj jej coś na otarcie łez, Filonie.
- Jak zwykle, panie, słucham i jestem posłuszny - rzekł Grek, wciskając słudze srebrnika, a potem szepcząc do ucha kilka uspokajających słów. Odeszła,

podczas gdy Lucjusz zajął się uwalnianiem ptaków z sieci.

Filon zwrócił się do Lucjusza:

- Wracam do Grecji. Moja siostra będzie w siódmym niebie, kiedy mnie ujrzy. Ojciec też. Nigdy nie uważałem, że obowiązkiem medyka jest wspomagać pacjenta, który popełnia samobójstwo, a już na pewno takiego, który skacze do jamy z węzami.

- Siadaj i bądź cicho - warknął Lucjusz. Filon usiadł, ale Lucjusz zdecydował, że lekarz jeszcze nie ma być cicho. - Dobrze. Załóżmy, że zrezygnuję z polityki. Co wtedy? Co powiem siostrze?

- Powiesz mojej pani, żeby popływała sobie w Styksie.

Lucjusz zaczął się śmiać.

- To nietrudne. Zaiste, chyba słyszałem coś podobnego, kiedy ukrywałem się wygodnie za cyprysem, zanim wyszła. - Filona przeszedł dreszcz. - Zeusie świata podziemnego! Boję się tej kobiety. Wydaje mi się, że była mowa o tym, iż grozi jej utrata zębów.

Uważałem, że winienem bronić Sylwii, mojej matki. Miała niełatwe życie. Hortensjusz, mój ojciec, dawał jej nieźle w kość, szkoda mówić. Bił ją, kiedy tylko miał zły humor. Zdradzał ją na lewo i prawo, niemal na jej oczach. Fulwia była ukochaną córeczką starego. Szpiegowała Sylwii i opowiadała mu o wszystkim. Mama podchmieliła się trochę na damskiej kolacyjce. Mój kochany ojczulek dowiedział się o tym od tej żmii, Fulwii, i zagroził biedaczce zwyczajową karą.

- Jaką?
- Śmiercią.
- Śmiercią? - zapiszczał Filon. - O rany, wy, Rzymianie, poważnie

traktujecie wasze rodzinne układy.

- Ależ skąd! - warknął Lucjusz. - Czy wyobrażasz sobie, że ośmieliłby się obrazić arystokratycznych Klaudiuszów? Urodziła się w lepszej rodzinie niż on. Ojciec był tylko ekwitą. Wszyscy moi przodkowie konsulowie byli z jej rodziny, nie z jego. Nigdy jej tego nie wybaczył. Zazdrość i zapewne jego pierwsze małżeństwo z matką Fulwii zamieniło mu życie w piekło. Żałosny stary rozpustnik nigdy nie miał odwagi zaufać kobiecie, żadnej kobiecie. Nie wiem. Chciałbym ufać swojej żonie. Powiedz mi, Filonie, czy małżeństwo może zastąpić karierę? Jeśli się znajdzie właściwą kobietę?

- Myślisz o kobietach? - spytała Fulwia.

Obaj mężczyźni podskoczyli. Stała za nimi, w oczach miała dziwny błysk.

- Jaką byś chciał? Tłustą, wysoką, niską, chudą, blondynkę, rudą, brunetkę, ciemno- czy jasnoskórą? Mogę kupić ci każdą z Afryki lub Grecji. Skąd chcesz.

- Fulwio, nie jestem buhajem, ogierem ani nawet trykiem. Te sprawy wymagają pewnej... delikatności.

- Jesteś impotentem - oznajmiła bezbarwnym tonem Fulwia.

- A wiesz, że to całkiem możliwe - powiedział spokojnie Lucjusz.

Wyglądała jak ktoś, kto ugryzł jabłko i przekonał się, że rozpołowił robaka.

- Zera - zamruczała pod nosem. - Obaj jesteście zera. - Pstryknęła palcami. - Filonie, pomóż mu się wykapać i ubrać, jeśli nadal sam nie daje sobie rady. Mamy gości na kolacji.

- Kogo? - spytał Lucjusz.

Fulwia zachichotała.

- Cezara i Kleopatrze.

Dryas zbliżyła się do stawu. Według Mira tu Imona musiała po raz pierwszy napotkać wilka. Czas zacząć - pomyślała, powoli zdejmując ubranie.

Myśl o tym, że ma być przedmiotem uwiedzenia, napełniała ją odrazą. Przez całe życie przeszła tylko jedno zbliżenie seksualne. To było coś przerażającego. Lecz Dryas była przede wszystkim wojowniczką i jak każdego żołnierza nauczono ją, że cena zwycięstwa bywa wysoka. Ale przygotowanie się do walki to poważna sprawa. Dryas łatwo mogła stracić życie, gdyby ten „wilk” odgadł jej zamiary.

Rzuciła ubranie koło skały, na której zwykle opalała się Imona, weszła na kamienne wzniesienie i wskoczyła do jeziora. Była jesień i kiedy Dryas niczym nóż rozcięła wodę, wstrząsnął nią chłód. Zanurzała się coraz głębiej. Zbiornik wydawał się zupełnie niewinny, gdy jego szklista powierzchnia odbijała szkarłat, żółć, beż i ciemny brąz lasu. Tyle tylko pozostało z gorących wulkanistych wyziewów: wspomnienie konwulsji krystalicznych pokładów, z których przed stuleciami powstały te góry.

Spodziewała się, że dosięgnie dna i popływa nad nim jak w każdym zwykłym jeziorze, ale zamiast tego pogrążała się w niemal styksowych mrokach. W sercu ciemności krył się stożkowy ślad ognistych początków. Zwężał się coraz bardziej. Słońce ogrzało wierzchnie warstwy, natomiast kolejne dolne pokłady były coraz zimniejsze.

Dryas odwróciła się na plecy. Nad sobą miała płaszczyznę srebrnego światła. Czuła chłód wody, lecz i ogień młodości krążący pod skórą, który niczym niewidzialna tarcza osłaniał ją przed lodowatym płynem.

Wyłynęła na powierzchnię, wiedząc, że woda niebawem się ochłodzi, i popłynęła do skały.

Zawsze wyczuwała, kiedy jest obserwowana, i wyczuła to teraz. Był blisko. Nie miała żadnych wątpliwości.

Od czasu groźnej przygody Blaze'a nikt nie kąpał się w jeziorze i Dryas była pewna, że oczy, które ją śledzą, nie należą do ludzkiej istoty.

Dotarła do kamiennego brzegu, wyciągnęła ramiona i dźwignęła się na rozgrzaną skałę. Ten pojedynek polega na uwiedzeniu - pomyślała; odwróciła się na plecy i spoczęła naga.

Dryas traktowała swoją atrakcyjność jak jeszcze jeden rodzaj broni. Od bardzo dawna nie czuła pożądania i nie dopuszczała go do siebie. Do śmierci syna była królową, a ciało królowej nie należy do niej samej, tylko do dynastii. Nie mogła oddać się byle mężowi. Nie, musiał przejść zwycięsko próbę przed Zgromadzeniem. Musiał udowodnić, że jest nie tylko odważny w boju, ale również mądry i opanowany, jego ciało i krew są czyste, żadna skaza nie wypacza jego umysłu ani członków. On i jego syn to główni kandydaci do objęcia władzy. Oczywiście nie brakło innych chętnych. Wiele potężnych rodzin było gotowych wystawić swych młodzieńców, jeśli jej syn okazałby się nieodpowiedni.

Oddech uwiązał jej w gardle i odepchnęła wspomnienie. Nie, jestem tu, żeby powstrzymać tego ludojada, a jeśli nie uda się go powstrzymać, muszę go zabić - pomyślała.

Z głębi jej pamięci wynurzał się wizerunek dziecka, takiego, jakie widziała po raz ostatni przed inwazją Cezara na Białą Wyspę. Jeśli pozwoliłaby sobie na rozpamiętywanie tego wspomnienia, to przez długi czas byłaby skazana na paraliżujący smutek i załamanie nerwowe, tak że nie nadawałaby się do niczego.

- Nie ruszaj się, a nie dopuszczę do ciebie smutku - usłyszała głos.

Otworzyła drżące powieki i obrzuciła spojrzeniem górę zalesionego stoku.

Z dala napłynął głos.

- Zamknij oczy. Wtedy będę z tobą rozmawiać. Pomogę ci złapać wilka.

Jesienne drzewa były niewyobrażalnie piękne. Niezmienne zimo-zielone rośliny i sosny tworzyły plamy zieleni między brązowymi dębami, szkarłatno-złotymi osikami i topolami. Szczupłe brzozy zrzuciły liście, blade pnie wyróżniały się pośród reszty drzew.

Dryas zamknęła oczy.

- Muszę pojmać wilka - powiedziała.

- Obserwuje cię, ale się nie zbliży - rzekł głos.

- Czemu? - spytała Dryas. Zacisnęła pięści, ogarnięta bezradnością.

- Nie wiem - rzekł głos.

Dryas zasnęła.

Wilk obserwował ją. Tak, była piękna i zjawiła się sama, jakby zapragnęła się z nim spotkać.

Czuję do nich pociąg - pomyślał. - W innym wypadku nie przyglądałbym się jej, bo chociaż jest niezwykle urodziwa, nie okazuje cienia pożądania. Jest samotnicą, tak jak Leon. Lecz różnica między nimi polega na tym, że jej nie towarzyszy aura śmierci. Raczej jest lodową rzeźbą ukształtowaną przez wiatr i deszcz, czy też chmurą mającą postać góry lub wilczego łba, tak że zwodzi oko patrzącego, któremu może się zdać, iż widzi coś innego niż to, co ma przed sobą.

Złożył łeb na łapach i też zasnął.

Zimno obudziło ich oboje. Słońce niemal skryło się za drzewami.

Dryas wstała, przeciągnęła się i podeszła do ubrania. Wkładała bieliznę, kiedy dostrzegła cień między drzewami.

Wyróżniał się wśród otoczenia. Jak wtedy w kamiennym kręgu. Cień, ale nie rzucany przez żaden kształt. Zamarła nie z lęku, lecz z przezorności. Napotykała go wcześniej, jednak po raz pierwszy dzielił ich tak niewielki dystans, a miała świadomość niebezpieczeństwa.

- Wilk tu jest - rzekł głos.

Dryas rozejrzała się wkoło i dostrzegła, że obserwuje ją ze skalnej wyniosłości po drugiej stronie jeziora.

- Chcesz go? Musisz dokonać wyboru. Chcesz? - rzekł głos.

Tak naprawdę to Dryas nie chciała się nikomu oddać. Wyczuwała, że może odejść, zmienić swój los, zrezygnować z bezużytecznych poszukiwań i wrócić do swojego plemienia na Białą Wyspę, wrócić na Wyspę Kobiet. Pragnęła tego całym sercem. Pragnęła ciszy przerywanej jedynie głosami sióstr lub wołaniem mew na wybrzeżu. Stamtąd mogła wyruszyć w swoją ostatnią podróż i nigdy więcej nie wrócić. Mogła zaczerpnąć wody z rzeki wiecznego wybaczenia i oczyścić się ze smutku, który zakorzenił się w niej głęboko.

Pragnęła tego całym sercem. Ale miała obowiązek.

- Stawię czoło szponom orła, wilczym kłom. Choćbym cierpiała bez miary, nie spocznę, póki nie wytoczą mi z ran krwi serdecznej, póki nie odrąbią mi głowy od tułowia. Nie porzucę mego wodza ani mego obowiązku, żywa czy umarła, póki nie dojdę do końca szlaku i nie odniosę zwycięstwa. O to prosiłam i tego dokonam.

Tam gdzie cień miał może twarz, płonęły oczy.

- Jeśli chcesz wilka, złóż ofiarę - rzekł głos.

Dryas przeszukała swoje rzeczy i znalazła broszkę w kształcie łożyczki maku. Uniosła ją i cisnęła w jezioro. Plusnęło i klejnot znikł.

Zalała ją pożądanie, tak jak woda zalewa materiał, i stała się podatna niczym sztuka mokrego płótna. Padła na plecy. Opuściła ją wszelka władza w nogach, które rozłożyła wśród sosnowego igliwia. Szukała w półmroku wilczych ślepi, ale nadaremnie.

W jego miejscu stał mężczyzna, który poruszał się z pewnością siebie doskonałego zabójcy. Po chwili pochylił się nad nią.

12

Z tyłu oświetlało go słońce zachodzące nad drzewami. Znikając, barwiły niebo na kolor różowy i złoty.

Dryas próbowała odsunąć się od ciemnej, stojącej nad nią postaci, ale iglasty kobierzec umknął jej spod dłoni.

Prawie od niechcenia złapał ją jedną ręką i poderwał na nogi. Musiał być niebywale silny.

Przyciągnął ją do siebie.

- Jest zimno - powiedział. - Pozwól, niech cię rozpalę.

Przytulił ją do siebie. Był gorący. Miała wrażenie, że stoi przy buchającym ogniu.

Ze zgrozą zdała sobie sprawę, że wsuwa jej kolano między nogi, podnosi je coraz wyżej i rozpycha uda.

- Nie! - krzyknęła zdławionym głosem, odpychając się od jego piersi. - Nie... nie.

- O co chodzi? Nie chcesz mnie? Wiedziałaś, że tu jestem. Wiem o tym. Dobrze wiem. Pachniesz pożądaniem. Nie różnimy się pod tym względem. Woń jest prawie jednakowa. Nie rozumiem. Jeśli mnie nie chcesz, to po co tu przyszłaś? Czemu nie ukryłaś się w legowisku starca z... obłąkaną?

Objął ją obiema rękami.

- Chodź. Imona bała się z początku, ale pojęła, że nie uczynię jej krzywdy.

Imona! Dryas wykręcała się w jego uścisku, próbując zapanować nad sobą. Znalazła grunt pod stopami i pobiegła w górę ciemnego lasu. Potrafiła bezszelestnie poruszać się w mroku. Był czarny, gęsty jak aksamit, ale okazało się, że nawet na

chwilę nie zdoła uciec nieznanemu. Chociaż powietrze było chłodne, dostrzegła lekki odblask gwiazd na jego wilgotnej skórze.

Objął ją, pocałował w kark. Podniósł bujne sploty włosów i z wielką biegłością przesunął ustami po jej szyi, uszach, szczypiąc ją lekko wargami.

Gęsia skórka wyskoczyła jej na całym ciele, gdy poczuła rozkoszny napływ pożądania.

Roześmiał się i znów ją pocałował, wsuwając język w usta i przyciskając wargi do rozchylonych ust Dryas.

Przypomniała sobie obraz tych warg w półmroku - nabrzmiąłych, ciepłych, poszukujących. Przytuliła się do niego, szukając źródła ciepła jak ćma szuka płomienia.

Chcę umrzeć w jego ogniu - pomyślała. Ale nie, nie chodziło o prawdziwą śmierć. Nagle przypomniała sobie, jak mówiono o tej krańcowej rozkoszy... że to coś na kształt śmierci. Kiedy ostateczny przebłysk pioruna żądzzy spala wszystko inne, czujesz się tak, jakbyś umierała.

Nie, jeśli ktoś miał tu umrzeć, to nie ona. Przyłgnęła do niego bezwolnie, w całkowitym poddaniu. Poczula na sobie obręcz męskich ramion. Pragnienie cudownej rozkoszy, spalającego zachwytu, przemknęło mrocznym ogniem jej żyłami.

Nagle, niespodziewanie, ujrzała twarz syna - źrenice zamglone, lecz tęczęwki nadal czyste, zielone jak rozstłoneczniona morska płycizna. Lecz on nie żył, oddany dłoniom ciemności. Siedmiolatek. Z dziwnym przebłyskiem zrozumienia w oczach rozchylił blade usta, obnażył drobne zęby, jakby zamierzał coś powiedzieć... Dosyć! Poczula w ustach wymiociny, w sercu grozę, jak wtedy, kiedy ujrzała synka i zdała sobie sprawę, że nie żyje. Nie żyje jak inne dzieci, z którymi leżał pospołu. Wszystko zakryła ciemność.

Lucjusz nie potrzebował pomocy Filona. Dom kłębił się od służby - niewolników, wyzwolenców i krewniaczek, wszystkich należących do jego rodziny. Przede wszystkim zaś pełno było Fulwii.

Obaj obsługujący go młodzieńcy byli niewolnikami, świeżo nabytymi z *ludus* Cezara - miał ich kilka - i dlatego jeszcze niedawno przeznaczonymi na śmierć podczas takiego czy innego święta.

Wielce się radowali, że uniknęli tego losu, i zakosztowali już wygod. Nie wątpił, że nakazano im za wszelką cenę dbać o jego dobre samopoczucie. Jednak nie miał też żadnych wątpliwości, wobec kogo są lojalni. W tym domu był jeden bóg. Nie. Bogini.

Nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, widząc, że Fulwia podporządkowała sobie wszystkich niewolników w domu. Kiedy obejmował pierwsze stanowisko w legionie, nie rządziła jeszcze tak niepodzielnie. Lecz w miarę upływu lat odkrywał, że słudzy matki i wyzwoleńcy ojca są powoli zastępowani przez tych, którzy chylili czoła tylko przed jej władzą. Z niezwykłą znajomością rzeczy dobierała takie indywidua jak tych dwóch Samnitów z Kampanii, którzy wiedzieli, że ich życie zależy od jej kaprysu.

Nawet nie musiała zawracać sobie głowy tak prostą rzeczą jak domowa egzekucja. Wystarczyło odesłać ich tam, skąd przybyli, informując, że ich usługi okazały się niezadowolające, a lanista zadbałby już, aby zginęli podczas następnych igrzysk.

To samo odnosiło się do dwóch Greczynek, które pod okiem Filona zajmowały się pokojem Lucjusza. Obie nadal zachowały urodę i w swoim czasie były faworytkami Fulwii, lecz chociaż żadna nie przekroczyła trzydziestki, utraciły znacznie na atrakcyjności w oczach pani domu. Nie przeżyłyby długo w okropnych burdelach nad Tybrem. Czterdziestu czy trzydziestu klientów co noc wyniszczy każdą kobietę w ciągu paru lat. Żadna nie grzeszyła inteligencją ani siłą, a że miały po dwie lewe ręce, panicznie lękały się Fulwii.

Tak więc żył, jak zwykle, osaczony. Przeglądał się w wysokim zwierciadle, szklanej tafli posrebrzanej z jednej strony. Prawda, że odbicie było trochę niewyraźne i jedno ramię wydawało się dłuższe od drugiego, rozpoznawał siebie. Wystrojono go niczym pana młodego lub używając nieco bardziej ponurej metafory, która mu się nasuwała, jak byka skazanego na ofiarę. Grzywa ułożona w pukle, rogi pozłoczone, wykąpany, ostrzyżony i zlany pachnidłami. Westchnął. Wokół niestrudzenie krzątali się dwaj słudzy. Wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy przypadkiem nie ma rogów, które zaraz będą malowane złotem.

- Nie czyń tego, panie - rzekł jeden ze służących. – Zmierzwisz sobie fryzurę i boski Juliusz...

- Boski Juliusz! - przerwał mu Lucjusz. - Czyżby senat nadał mu godność boga? Chcesz powiedzieć, że nie jest usatysfakcjonowany tytułem pierwszego męża

w Rzymie, ojca ojczyzny, dożywotniego konsula i czym tam jeszcze, co tylko te kumkające senatorskie żaby wymyślą, i zachciało mu się zostać bogiem?

Dwaj młodzieńcy krzżeli się z przejęciem, układając fałdy togi i zachowując idealnie nieruchomy wyraz twarzy. Przynajmniej Filon będzie miał z czego się śmiać - pomyślał, żaląc się nad samym sobą.

Sypialnia była kolejnym źródłem konfliktów między bratem i siostrą. Fulwia domagała się od niego przeprowadzki do przestronniejszej, nowszej, bardziej luksusowej części willi, ale on przywiązał się do swojego chłopięcego pomieszczenia. Uznała tę chęć odosobnienia za jeszcze jeden przejaw ekscentryczności, która dyskwalifikowała go jako spadkobiercę fortuny Bazylích.

Ona mieszkała w -jak to nazywał - połączanym plugastwie wraz z dwoma sekretarzami - Firminiusz był jednym z nich - pięcioma pokojówkami, dwoma garderobianymi, trzema dziewczynami do wszystkiego i kilkoma ślicznymi istotami, z których żadna nie przekroczyła dwudziestki, natomiast każda zawsze była gotowa wskoczyć pod przykrycie pani, kiedy tylko zebrało się jej na amory. Spała samotnie na łożu z aromatycznego drewna cytrynowego, pod brokatowym okryciem i w jedwabnej pościeli.

Firminiusz zajmował pomieszczenia nieopodał, ale reszta spała w koncentrycznych kręgach wokół luksusowego łoża i kiedy Lucjusz ją odwiedzał, zawsze wiedział, kto cieszy się jej łaskami, a kto je utracił. O hierarchii świadczyła odległość posłania sługi od łoża pani.

W jego *cubiculum* nie było doprawdy miejsca dla służby. Dwie osobiste pokojówki, galijska kobieta, która się nim opiekowała, oraz Filon mieli izby obok. Fulwia nie mogła się pogodzić z tym, że sypialnia brata mieści się w rogu domu i jest tylko niewiele większa od pomieszczeń dla służby.

Lucjusz jednak lubił tę komnatę. Przede wszystkim dlatego, że panował tam latem chłód. Żelazne grube kraty zasłaniały wąskie okienka pod sufitem, które wychodziły na trawnik ocieniony cyprysami. Szklany świetlik wpuszczał dużo światła, a okna zapewniały dopływ chłodnego powietrza. Zimą okna się zamykało i kosze z płonącymi polanami szybko ogrzewały sypialnię.

Łóżko było wąskie, z puchowym materacem i lnianą bielizną pościelową. Jedyne luksus to zwierciadło. Dostał je w prezencie od matki, lecz zawsze uważał, że namówił ją do tego ojciec, jako że wszystko robili wspólnie. Powiedzieć, że

Hortensjusz trzy razy obrócił w dłoni sestercję, zanim ją wydał, to bardzo uprzejme stwierdzenie. Matka lubiła po kryjomu zaglądać do kieliszka, ale chociaż ojciec groził jej za to nawet śmiercią, to te niedwuznaczne ostrzeżenia były spowodowane przede wszystkim tym, że wołała szukać zapomnienia w drogim falernum, a nie w podlejszych trunkach, magazynowanych przez kucharza w beczkach przy kuchni.

No cóż, nieustanna pogoń ojca za wszechpotężnym denarem, jego dwa finansowo opłacalne, chociaż nieszczęśliwe małżeństwa i obsesyjne oszczędzanie na wszystkim i wszędzie przyniosły efekty. W pewnych kręgach mówiło się o nim „Hortensjusz Spuść Cenę”. Marnie żył, ale zostawił po sobie wielki majątek.

Fulwia poszerzała imperium ojca. A dzisiejsi goście mogli przysporzyć jej prawdziwych bogactw.

Światło wpadające przez szklaną płytę w dachu stawało się coraz słabsze. Młodzieńcy pragnęli jeszcze lepiej ułożyć fałdy togi, lecz Lucjusz uznał, że zrobiono wszystko, co możliwe, aby poprawić jego wygląd, i wszelkie dalsze zachody to tylko niepotrzebna krzątanina.

Długa choroba zostawiła wyraźne ślady. Był wychudzony, blady i nadal trochę kulał. Potężna blizna ciągnęła się od pośladków po biodro.

Wyszedł, nie zamykając drzwi. Bo i po co? Żaden złodziej nie znalazłby nic wartościowego w skromnym pokoju.

Napotkał siostrę nieopodal głównego wejścia, przed wielkim *triclinium*. Pierwszy raz od czasów dzieciństwa ujrzał wystawną jadalnię oświetloną i był oszołomiony.

Podłogę zdobiła mozaika przedstawiająca ogród, zielony ogród; ułożono ją w ten sposób, że kwietne rabaty znalazły miejsca pod ścianami. Mozaikę przedstawiającą łodygi roślin i kwiatów wykonano z malachitu, a płatki kwiatów — z kaboszonów, półszlachetnych kamieni szlifowanych owalnie: purpurowych ametystów, czerwonych heliotropów, żółtych cytrynów. Cały ten obraz olśniewał soczystością barw i różnorodnością kształtów.

Ściany z czystego białego marmuru wydawały się surowe, ale każdy panel wysadzono onyksiem i obwiedzionym bladofioletowym porfirem.

Barwę obramowań powtarzały łoża biesiadne, wybijane aksamitem w kolorze najjaśniejszej purpury tyryjskiej, jaką kiedykolwiek widział. Salę rzęsiście oświetlono wiszącymi lampami z brązu, które syczały, pracowicie rozjaśniając noc.

Stał i patrzył, ogarnięty podziwem.

- Teraz wiem, co doprowadziło ojca na stos pogrzebowy – rzekł i wybuchł śmiechem.

Fulwia obleczona w świetną białą gazę, udrapowaną na białym jedwabiu, i cała obwieszona złotem, odezwała się, nie poruszając ustami:

- Tylko bez żalonych dowcipów i zabawiania gości opowieściami o twoich wyczynach z galijskimi kurwami. Nie rozwódź się nad tym, jak zostałeś ranny ani gdzie, nie wspominaj o swoich nędznych rzymskich i wojskowych przyjaciółach. Nie wolno ci upokorzyć mnie przed tą parą. Nie wolno, nie wolno, nie wolno. Jeśli to zrobisz, zabiję cię.

Lucjusz nie wątpił w ani jedno jej słowo. Otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdyż z ulicy dobiegły odgłosy, jakie wydaje maszerujący oddział żołnierzy - dokładnie mówiąc, był to rytmiczny tupot butów.

- Przyszli! - wyszeptał po chwili.

- Tak - rzekła Fulwia.

Lucjusz przyłapał się na tym, że ma sucho w ustach. Do tej pory jego kontakt z najświetniejszym człowiekiem epoki ograniczył się do obejrzenia popiersia Cezara w atrium jednej z ciotek. Dzieło przedstawiało młodego przystojnego człowieka. Pomalowano je, jak większość ówczesnych rzeźb. Dyktator miał lekko kręcone włosy, jasne oczy o migdałowym kształcie, spoglądające przeszywająco, pełne, wyrażające zdecydowanie usta i silnie zaznaczony podbródek. Sławny profil przywodził na myśl inteligentnego orła, zapalczywego, ale sprawiedliwego, skłonnego do dominacji, ale wyzbytego brutalności. Było to uosobienie Rzymu, tych cech, które wieczne miasto przyniosło światu w darze i z których powodu bogowie wybrali je na władcę ludów.

To wcielenie doskonałości miało teraz przestąpić próg jego domu.

Zawirowały woale i Fulwia pomknęła do atrium przywitać gości. Odźwierny, którego Fulwia napawała takim samym panicznym lękiem jak innych niewolników, rozwarł drzwi. A że był przykuty łańcuchem do swej łoży, brzęk i hurkot oków oznajmiły przybycie najważniejszego człowieka świata.

Lucjusz poczuł w żołądku dziwny ciężar. Jak to możliwe? - przemknęło mu przez głowę. - Nie jadłem nic od rana, a mam niestrawność. Muszę spytać o to Filona...

Pierwszy wkroczył żołnierz i skłonił się Fulwii. Niósł pochodnię, która rozświetliła starą sień. Za nim weszli następni żołnierze.

Lucjusz na moment stracił wzrok, oślepiony światłem, po czym dostrzegł, że żołnierze nie są ubrani w mundury paradne, ale mają na sobie stroje bojowe legionistów; skórzane henny wzmocnione płytkami z brązu, kirysy z gotowanej skóry, mocno ściśnięte naramienniki, nabijane metalem, i nagolenniki. Wszyscy trzej żołnierze starannie omietli wzrokiem pomieszczenia.

Willa Bazylich, jak prawie wszystkie domy z tej epoki, stanowiła mieszaninę starego i nowego. Wejście należało do najdawniejszego okresu. Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy je wzniesiono, zapewne w epoce, w której dom był wiejską chatą, nie wchłoniętą jeszcze przez miasto. Służyła wieśniakom uprawiającym winorośl, oliwki i niską twardą pszenicę, która nie sięgała ud wysokiego męża. Tamci ludzie żyli z pracy rąk na otwartym stoku za murami.

Skrzydła drzwi były bardzo ciężkie, dębowe, wzmocnione żelazem. Najpierw wchodziło się do atrium, w którym deszczówka wypełniała basen, kiedyś źródło wody dla całej rodziny. Te same gwiazdy świeciły z góry, lecz w głębi zapraszał wspaniały perystylowy ogród, rozjaśniony wieloma pochodniami.

Kleopatra weszła przed Cezarem. Wpierw wydawało się, że to wsunął się jedynie cień. Lucjusz nie wierzył własnym oczom, kiedy Fulwia na przywitanie wykonała coś w rodzaju dworskiego dygnięcia. Nigdy nie widział siostry zachowującej się tak czołobitnie. Lecz gdy wyprostowała kolana, objęły się z królową i ucałowały jak stare szkolne przyjaciółki.

Niewolnik przy drzwiach także skłonił nisko głowę, niemal dotykając czołem podłogi.

I wtedy wkroczył on. Również wydawał się cieniem, dopóki nie minął basenu w atrium. Fulwia i egipska królowa wzięły go za ręce, i zaprowadziły do światła.

Lucjusz szybko usunął się im z drogi i po raz pierwszy zobaczył żywego Cezara.

Starca.

Postarzał się - przemknęło przez myśl Lucjuszowi. To była prawda. Unosił dłoń Fulwii do ust i składał jej piękny komplement. Nic błahego. Porównywał ją do Wenus Praleksytesa, którą widział w Grecji i której kopię rozkazał wykonać. Miała

być przewieziona do Rzymu i ozdabiać jego perystyl, kiedy wreszcie osiadzie w domu.

Zaiste, porównanie do tytularnej bogini domu Cezara było wielkim zaszczytem. Lucjusz z całkowitym brakiem szacunku zastanawiał się, ile kosztowało ją zaproszenie tej pary, lecz jako nieodrodne dziecko swojego ojca nie zrobiłaby niczego, co nie wróżyłoby godziwego zysku.

W końcu starzec o twarzy Cezara odwrócił się ku niemu. Tak, był stary i łąta nie okazały się uprzejme dla zdobywcy. Wargi, kiedyś pełne i zmysłowe, jakby się zwężyły i w blasku pochodni nie były różowe, lecz blade. Arystokratyczne, wysokie kości policzkowe i ostry nos nie uległy zmianie. Lecz policzki się zapadły; nos sterczał władczo, ale jakby wychudł; żółta skóra opinała kości. Szyja, mówiąc krótko, mogłaby należeć do starego indora. Luźne fałdy opadały od podbródka do środka gardła, poniżej sterczało wydatne jabłko Adama. Tak, był stary i czas nie był dlań łaskawy.

- To zapewne twój brat - rzekł wielki człowiek i raczył podać dłoń Lucjuszowi.

Uścisnął ją i złapał się na tym, że czerwieni się jak burak.

Dłoń Cezara była gorąca i sucha. Głos, którego czarodziejskie tony potrafiły wykrzesać z legionów niewyobrażalną dzielność i który chłostał senat jak bat, zachował swoją moc.

- O ile mi wiadomo - rzekł ten piękny głos - zostałeś zdradziecko napadnięty przez siły nieprzyjacielskie podczas patrolu i nosisz świeżą ranę.

Ten drań to geniusz w sztuce manipulowania ludźmi - pomyślał Lucjusz. - Już zapędził mnie w kozi róg i niebawem powlecze mnie w triumfie, żebym złożył mu hołd wraz z resztą jego wielbicieli. Jest wystarczająco opanowany i skuteczny, żeby dowiedzieć się, gdzie i jak zostałem ranny, i potrafi zrobić bohatera z ofermi oficera, który niemal dał się zaszlachtować. Muszę uważać na słowa i wyrazić swój zachwyt.

Lucjuszowi nigdy nie udało się przypomnieć, co wtedy powiedział, ale musiał usatysfakcjonować Cezara, który się uśmiechnął; jednakże dostrzegł wyraźnie, iż to, co wyraziły usta, nie przeniosło się na migdałowe oczy. Pozostały zimne i bez wyrazu.

Po prostu załatwia interesy - pomyślał Lucjusz. - Ciekawe, co go tu ściągnęło?

Skomplementowany Lucjusz przestał faktycznie istnieć, gdy Cezar skupił swą uwagę z powrotem na Fulwii.

Weszło jeszcze kilku legionistów. Ostatni umieścił pochodnię koło łoża odzwiernego i stanął plecami do drzwi. Pozostali rozstawili się wachlarzem w perystylu, sprawdzając wszystkie wejścia i wyjścia i rozkazując sługom powrócić na swoje miejsca pracy. Szybko usunęli tych, którzy nie mieli nic do roboty w kuchni czy jadalni.

- Bardzo sprawni - skomentowała to Fulwia.

- Tak, ale to hiszpańscy najemnicy - wyjaśniła cicho Kleopatra. - Moja straż, nie jego.

- Błagam cię, Cezarze, uważaj na siebie - powiedziała wylewnie Fulwia. - Życie wielu osób takich jak ja zależy od ciebie.

Cezar roześmiał się.

- Nie muszę martwić się o siebie. Mrowie ludzi nie zajmuje się niczym innym.

Wszedł pierwszy do sali jadalnej, za nim dwie kobiety. Lucjusz zamykał mały orszak.

Spojrzał na Kleopatrze. Nie, nie była piękna, lecz miała w sobie coś, czego nigdy nie widział u żadnej innej - dorównywała Cezarowi.

Wysoka, szczupła, o płci w delikatnym odcieniu bursztynu, co zawdzięczała egipskim przodkom. Poza tym miała urodę Greczynki, złotobrazowe włosy o odcieniu miodu zbieranego jesienią. Lucjusz był przekonany, że to z pewnością dzieło sprytnego fryzjera, który nie szczędził środków wybielających i olejków, gdyż lśniły jak u młodej dziewczyny.

Przez chwilę wydawała mu się zbyt chuda, lecz zaraz dostrzegł, iż była piękną w zupełnie innym typie niż niewiasty Latynów. Nie miała rozłożystych bioder i pełnych piersi. Jej biodra były wąskie. Między nimi ukrywał się brzuch krągły i wklęsły, przywodząc na myśl perłę spoczywającą w pucharze. Miała długą wąską talię, sterczące piersi, idealnie ukształtowane, i z pewnością nagie pod jedwabną osłoną. Suknia Kleopatry odsłaniała co najmniej tyle samo co welony Fulwii, lecz prawdę mówiąc, Egipcjanka była wręcz naga pod jedwabiami i z pewnością gładka jak to, co miała na sobie.

Tak, miała spiczasty podbródek, nos świadczący o żydowskim pochodzeniu, lecz jej oczy były czystymi oczami Greków, szerokie, jasne, z leciutko przybrązowionymi rzęsami. Przypominały mu oczy Aleksandra - te portrety, pomniki i malowidła ściennie, które widział. Ale cóż, ci wszyscy Macedończycy byli ze sobą spokrewnieni, czy przyznawali się do tych związków, czy nie.

Fulwia zzieleniała z zazdrości. Kleopatra była od niej starsza i urodziła dziecko, ale niemal wszystkie Rzymianki mogły jej pozazdrościć. Nawet gdy osiągnie siedemdziesiątkę, większość Latynek będzie się przy niej prezentować jak rozlazłe prukwy.

- Pani, zanim cię poznałem, myślałem, że poeci przesadzają, opiewając twoją urodę - powiedział Lucjusz. - Teraz, kiedy cię ujrzałem, wiem, że nawet wersy Homera, w których sławił cypryjską boginię, są niczym w porównaniu z twoją pięknnością i urokiem, jaki roztaczasz.

Kleopatra uśmiechnęła się do Cezara i posłała Lucjuszowi spojrzenie, od którego kolana ugięły mu się jak z waty.

- Matką mojego domu była Wenus i obdarzyła mnie najdoskonalszą ze swoich córek - rzekł Cezar. Dotarł wraz z Kleopatram do łóżek biesiadnych i spoczęli razem.

Lucjusz i Fulwia poszli za ich przykładem, ale każde zajęło osobne miejsce.

Jego siostra dźwigała na sobie tyle złota, że Cezar mógłby za nie wystawić nowy legion. Złote bransolety, złoty naszyjnik, złote amulety i tyle pierścionków, że miała kłopoty z jedzeniem.

Przyniesiono kilka win i zaproponowano je Cezarowi; czerwone bezpośrednio z amfory, białe chłodzone śniegiem. Parę odrzucił, wskazał trzy, którymi miano uraczyć jego i królową.

- Ta sala jest doprawdy wspaniała - rzekła Kleopatra, kiedy Cezar zaczął degustację.

- Zaplanowana i wykończona pod nadzorem mojego ojca, podobnie jak nowocześniejsze części willi - odparła Fulwia, rzucając Lucjuszowi ostrzegawcze spojrzenie.

Lucjusz z całych sił starał się unikać wzroku siostry i przybrał niewinną minę.

- Lecz królowa Egiptu z pewnością jest przyzwyczajona do większego luksusu niż tu. Słyszałem, że pałac w Aleksandrii jest...

- Labiryntem, w którym hulają przeciagi - przerwała mu. - Wiele tam świadectw wielkości, inne części są nawiedzane przez krwawe upiory, których wizyty zawdzięczam moim przodkom, lecz nigdzie nie znajduję wygody i odpoczynku, jakie zapewniają Rzymianom ich pałace. Te cudowne rezydencje przystają wprost idealnie do klimatu waszego wielkiego miasta.

Lucjusz zachichotał.

- Większość była najpierw wiejskimi chatami, które otaczały pola. Konie, muły, bydło i owce zamieszkiwały tu razem z ludźmi.

Królowa wybuchnęła głębokim, gardłowym śmiechem, który pieścił każdą część ciała Lucjusza. Przyłapał się na tym, że pragnie znów ją rozśmieszyć.

- Kogóż tu mamy: historyka, badacza przeszłości czy...

- Intryganta - podsunęła jej Fulwia. - Wie doskonale, że chociaż pewne części tego domu są śliczne, całość nieco zbyt natrętnie jak na mój gust ujawnia chłopskie pochodzenie. Miałam na oku pewną willę w Bajach, lecz on zepsuł moje plany, nieogłędnie pozbywając się bardzo cennej części majątku. Ale - westchnęła - co ma uczynić biedna kobieta, kiedy napotyka opór mężczyzny w rodzinie... tylko usłuchać.

- Biedactwo - rzekła z udawanym współczuciem Kleopatra. - Nie martwiłabym się na twoim miejscu. Jestem pewna, że po dzisiejszej kolacji będziesz miała rezydencji do wyboru, do koloru. - Wybuchła śmiechem.

Cezar opuścił wzrok na złote naczynie, inkrustowane perłami, z którego pił wino, i też się roześmiał.

- Ach, ci Bazylowie - powiedział. - Wiem, że w waszym domu otrzymam tylko to, co najlepsze.

Pojawili się słudzy z przekąską, *gustatio*, obsługując najpierw parę władców, półleżącą naprzeciw Lucjusza.

Noc była chłodna i żaluzjowe drzwi oddzielające rozświetlony pochodniami ogród były częściowo zasunięte, ale Lucjusz przekonał się, że czuje zapach mężczyzn i kobiet podających kolację, przebijający się nawet przez wonie czosnku, szynek, gruszek, jabłek, śliwek i marynowanych pigw.

Cezar, Kleopatra i Fulwia budzili w niewolnikach śmiertelną trwogę. Wśród nich krzątała się dziewczyna, którą przegnał od swoich oswojonych gołębi. Była

śliczna i lubił ją, gdyż miała piękny głos i wiele śpiewała podczas pracy. Lecz teraz poszarzała ze strachu.

Lucjusz poczuł, że stracił apetyt, i Kleopatra już nie wydawała mu się tak piękna. Chyba zwariowałem - pomyślał. - Ta rana musiała zaszkodzić mi na głowę. Czemu miałyby mnie obchodzić, co ci ludzie czują lub myślą?

Lecz kiedy dziewczyna zaczęła nalewać mu wina i złoty dzban, który trzymała, zadzwonił o brzeg jego kielicha, przeraził się. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć.

Złapał ją za przegub. Wzdrygnęła się i opamiętała. Krew napłynęła jej na policzki i służąca rozchyliła usta.

Fulwia obrzuciła ich wzrokiem i zacisnęła gniewnie wargi.

- Przyniesiesz mi sałaty, rzeżuchy, kasztanów i trochę tej znakomitej oliwy, którą kupiliśmy wczoraj? - spytał dziewczyny.

Cezar i Kleopatra skosztowali melona doprawionego octem winnym, oliwą i pieprzem.

Fulwia jadła wiewiórki z miodem.

- Gdybym wiedziała, że masz ochotę na sałatkę, kazałabym kucharzowi przygotować ją dla ciebie, drogi bracie.

- Och, sam lubię bawić się przyprawianiem. Powinnaś jej spróbować. Orzech włoski, rzeżucha, kasztany, oliwa i szczypta soli. Palce lizać.

Kiedy dziewczyna wróciła, niosąc potrzebne artykuły na złotej tacy, wziął je od niej i sam wymieszał.

Zaciekawiło to znakomitych gości i spróbowali jego dzieła.

- Mój lekarz twierdzi, że słodko-gorzkie zioła, oliwa i kasztany najlepiej pobudzają apetyt pacjenta - wyjaśnił Lucjusz.

- Muszę przyznać, że nadzwyczajnie to smakuje - rzekł Cezar. - Ten lekarz to oczywiście Filon. Leczy bóle głowy mojej żony i osiągnął na tym polu istne cuda. Jeśli chodzi o przyniesienie jej ulgi, rzecz jasna.

Lucjusz, który był pewien, że naprzeciwno niego leży przyczyna najgorszych bólów głowy Kalpurnii, wyraził swój podziw z kamienną twarzą.

W końcu niewolnicy sprzątnęli *gustatio*. Podano białe wino, chleb z nasionami pinii i twarde sery.

Wino zakręciło Lucjuszowi w głowie. Nigdy nie smakował podobnego trunku. Upajało, delikatne i pachnące kwiatem szalwii. Za ramieniem Cezara dostrzegł w cieniach ogrodu *cellarius*a, piwniczego, i Filona. Uśmiechali się triumfalnie.

- Ach, nieporównywalne - szepnął Cezar. - Moja droga, znajomość z twoją rodziną to dla mnie największy uśmiech Fortuny.

Fulwia uśmiechnęła i wzniosła toast.

- Za nasze nieustające sukcesy.

Niewolnicy wnieśli *caput cenae*, danie główne. Jedzenia było w bród. Pięć czy sześć rodzajów mięs: dzik z sosem śliwkowym, rzadko spotykany delikates, potrawka z wołowiny i grzybów, wątróbka z rusztu w tłuszczu z łożyska, całe pieczone prosię marynowane w zalewie z pieprzem, jagodami wawrzynu, rutą i oliwą z oliwek, a jako ostatnie w szeregu, chociaż równie wyborne jak pozostałe mięsa, młode kozłę w sosie ze śliwek, wina, czosnku i oliwy.

- Partyjski przysmak - zauważył Cezar. - Czy to aluzja, droga córko Hortensjusza?

- Czy Partowie są kolejni w twoim menu, Cezarze? – spytała Fulwia, kiedy dyktator i królowa nałożyli sobie małe porcje delikatnego mięsa.

- Nie wiem - odparł Cezar. - Jeśli uda mi się zebrać wystarczające fundusze...

- Nie trzeba nawet pytać, Cezarze - rzekła z afektowaną unізonością Fulwia.

- Trzeba - odparł. - Mam wielki dług u córki twego ojca i nie udało mi się spłacić dużej jego części.

- Nie musisz się tym przejmować. To, co proponuję, przysporzy nam niewiarygodnych bogactw.

- Co?

- Wino - powiedziała Fulwia. - Galia jest wyśmienitym krajem do uprawy winorośli.

- Co...!

- Wiem, wiem - rzekła, machając ręką - ale polowałam tam w wielu miejscach i mówię ci, panie, przy właściwych inwestycjach osiągnie się dwudziestokrotny zysk. Nie, więcej niż dwudziestokrotny. Pięćdziesięciokrotny.

Lucjusz chciał się już roześmiać, kiedy zdał sobie sprawę, że Cezar bierze poważnie słowa jego siostry.

- Czego ci potrzeba? Ile ziemi? Ilu moich ludzi?
- Pozostawiam to twojej hojności. W gabinecie mam przygotowane mapy. Wszystkie wojny przynoszą niewolników. Nieważne, skąd pochodzą. Moi słudzy mogą ich wyszkolić.
- Uważam, że to szaleńczy plan, ale nauczyłem się szanować twoje opinie. Bądź co bądź, ty i twój ojciec mieliście odwagę postawić na mnie.
- Chciałbym prosić cię o jeszcze jedno. - Fulwia wdzięczyła się jak nastolatka.
- O co?
- Nie chodzi o mnie, ale o mojego brata. Zanim wyruszysz do Partii, zechciej przydzielić mu stanowisko w armii. Jeśli to możliwe, uczyn go jednym z legatów.

Cezar spojrzał nieprzeniknionym wzrokiem na Lucjusza.

- Jak sądzę, jest ostatnim męskim przedstawicielem rodu, nieprawdaż? To byłaby szkoda, gdyby niezwykle szlachetna rodzina Bazylich miała wymrzeć.

Lucjusz miał nadzieję, że strach - prawdę mówiąc, paraliżująca groza - nie odbija się na jego twarzy. Jeśli w tej chwili czegoś naprawdę nie potrzebował, to kolejnego stanowiska w wojsku. Przecież nawet najambitniejszy żołnierz chce w końcu wrócić do domu.

Lecz miał przed sobą tego, który właśnie zakończył jedną okrutną wojnę i był gotów wyruszyć i zacząć następną: samego Cezara.

Nie tylko Lucjusz wytrzeszczył oczy. Cezar i Kleopatra wpatrywali się w niego, oboje lekko rozbawieni.

Kleopatra zażegnała żenującą sytuację, mówiąc:

- Wątpię, aby mężczyzna, który świeżo wyleczył się z niemal śmiertelnej rany, miał ochotę natychmiast wyruszyć w bój. Twoja rana była niemal śmiertelna, prawda?
- Tak, prawie śmiertelna i przez długi czas, prawie rok, sprawiała mi wielki ból.
- Tak, a legat musi wykonywać swoje obowiązki - rzekł Cezar - być wystarczająco silny, żeby wypełniać rozkazy dowódcy. Zresztą problemy z moją

nową kampanią muszą poczekać do następnego lata... kiedy senat przestanie oddawać mi honory.

Kleopatra roześmiała się, słysząc ironię towarzyszącą temu ostatniemu stwierdzeniu.

- I jakże miłe są te honory - dodał Lucjusz.

- Tak, jeśli ma się pewność, że ci, którzy je oddają, czynią to szczerze, jak na kochających przyjaciół przystało. - Również to stwierdzenie ociekało sarkazmem.

- Niektórzy prawdziwie cię podziwiają. Na przykład Marek Antoniusz.

Cezar i Kleopatra roześmieli się i wymienili spojrzenia pełne całkowitego, niczym nie zmaconego zrozumienia. Cezar kontynuował:

- Spotkałem kiedyś na Forum centuriona, weterana moich wojen galijskich. Miał tylko jedną nogę, lecz zadbano o niego jak należy, nie musiał żebrać. Mieszka ze swym wnukiem i jest poważany. Taki los powinien spotykać sługi państwa, ale często nie jest ich udziałem. Kiedy indziej wpadłem na takiego, który żebrał. Chciał mi oszczędzić wstydu i unikał mojego wzroku, lecz poznałem go i kazałem sługom zanieść go do mnie. Wygląda na to, że ma nadmierną skłonność do kielicha i kobiet, ale... - Odwrócił się do Kleopatry. - Zgubiłem wątek.

Spojrzała na niego chłodno.

- Pierwszy żołnierz, skarbie.

- Ach, tak. - Rozjaśnił się. - Porozmawialiśmy, jak przystało na starych przyjaciół. Potem przysunął się do mnie, jak mógł najbliżej. Musiałem skłonić głowę, bo nie chciał, żeby ktoś nas podsłuchał. Szepnął mi do ucha: „Strzeż się, Cezarze. Strzeż się”.

- To jedna z najlepszych rad, jakie usłyszałeś w życiu - oświadczył z głębokim przekonaniem Lucjusz.

Cezar i Kleopatra wybuchnęli głośnym śmiechem. Cezar śmiał się do łez, aż wreszcie się opanował.

- Wygląda na to, że cię rozbawiłem - rzekł sztywno Lucjusz. - Nie można się...

Cezar otrzeźwiał.

- O tak, nie można się nie przejmować, biorąc pod uwagę, z jaką wiernością przyjaciół, a nawet rodziny spotkali się nasi proskrybowani ojcowie, mając

na względzie śmierć obu Grakchów, morderstwo Klaudiusza i innych moich przyjaciół oraz współpracowników, nie mówić już o takiej znakomitości, jak zięć Cyncerona, który zginął z rąk własnego teścia.

- Dokładnie biorąc, to nie z rąk teścia - poprawiła go Kleopatra.

- Racja, nasz wzorowy senator tylko zaprowadził go do kata i stał obok jako świadek, podczas gdy tamten był ścinany... a może wieszany... na miejscu. Cynceron uważa, że poświęcenie państwu najbliższej i najdroższej osoby to dowód prawości. Lecz nie przejmuj się, mój drogi chłopcze. Nie jestem tak wielkim durniem, na jakiego wyglądam, i każdy, kto pomyli się w tym względzie, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo. Naprawdę wielkie niebezpieczeństwo.

Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, w jego słowach zabrzmiało coś takiego, że Lucjusz zeszywniał ze strachu.

Kleopatra rzuciła Cezarowi ostrzegawcze spojrzenie i Lucjusz pomyślał: On coś knuje.

Nagle wydało mu się, że w pokoju jest jeszcze ktoś poza ich czwórką. Były z nimi duchy. Obsiadły gęsto parę, którą miał przed sobą.

Oczy Kleopatry błyszcząły. Ona miała kiedyś brata... prawda? A co do Cezara... przynajmniej kilka legionów jego przyjaciół i wrogów umarło, wyklinając to imię.

Lucjusz poczuł zawroty głowy i coś mu się przypomniało, coś, co przemówiło przez jego usta, zanim zdążył pomyśleć.

- Człowiek, który mnie ugodził, zrobił to moim własnym mieczem. Wyrwał go z pochwy lewą ręką, ponieważ nie miał prawej. Została mu odcięta. Nie miał prawicy.

Łóżko Fulwii stało tuż obok. Poczuł, jak siostra wbija mu paznokcie w ramię.

- Oszalałeś? - szepnęła. - Zupełnie oszalałeś? Największy mąż w całym Rzymie jest naszym gościem...

- I do tego bardzo zadowolonym gościem - przemówił głośno Cezar. - A teraz... obiecałaś mi niespodziankę, bardzo podniecającą niespodziankę. Pokaż ją.

- Ja... ja... -jąkał się Lucjusz.

- Nie - rzekł Cezar, powstając, i reszta poszła za jego przykładem. - Nie przeprasza. Jesteś dzielnym młodym człowiekiem, który otarł się o śmierć. Zostawiła

na tobie swoje piętno. Jak na nas wszystkich. To prawda, czyni to w różny sposób, ale każdy z nas je nosi.

Następnie udali za żołnierzami niosącymi pochodnie. Szli przez labirynt pomieszczeń, starych i nowych, jakie tworzyły willę Bazylich.

Lucjusz przeszedł od zażenowania do upokorzenia i od upokorzenia do głębokiego smutku. Zanim ogarnął go smutek, zaczął się zastanawiać, co jego siostra miała na myśli, ponieważ zmierzali w kierunku starego magazynu na skraju posiadłości, w którym niegdyś składowano wino.

Zatrzymali się w sklepionym wejściu wyłożonym terakotą. Miejsce to przypominało przedsionek piwnicy. Lucjusz dostrzegł wysoką kopułę gwiazd. Przed nimi w ciemnościach zapłonęła pochodnia.

- Patrzcie! - rzekła Fulwia.

Oślepił go nagły blask i dopiero po chwili odzyskał wzrok. Pojął, że mają przed sobą miniaturowy amfiteatr, którego pełnowymiarowa wersja znajdowała się po drugiej stronie miasta i w którym odbywały się walki gladiatorów.

- Mój dar dla ciebie, Cezarze. - Fulwia zrobiła szeroki gest, wskazując Cezarowi jedno ze wspaniałych marmurowych krzesel na wysokim podium, które wznosiło się nad okrągłą, wysypaną piaskiem areną.

Cezar odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Coś cudownego. Idealne. Nie wiem, jak ci dziękować.

Ucałował Fulwię w rękę. Kleopatra uśmiechnęła się i spojrzała na niego z uwielbieniem.

Lucjusz zauważył, że niektórzy słudzy, w tym Filon, zapalają smołowane pochodnie wiszące na ścianach wokół areny.

Poza siedziskami, które zajęli Cezar, Kleopatra i Fulwia, w gigantycznym pomieszczeniu nie było krzesel. Do siedzenia służyły koncentryczne marmurowe stopnie wznoszące się od areny ku drzwiom, którymi weszli.

Stopnie wyłożono puszystymi poduchami we wszystkich kolorach tęczy i o przeróżnych kształtach. Cezar rozluźnił się w stołku kurulnym, o półokrągłym siedzisku, do którego miał prawo jako senator. Żołnierze ustawili się pod ścianami.

Filon wykonał monarszy gest i dwaj słudzy wnieśli drewniane krzesło zasłane poduszkami. Umieścili je na górnym stopniu amfiteatru. Lucjusz usiadł na nim i raczej wyczuł, niż zobaczył, że Filon zajmuje miejsce za jego plecami.

Fulwia bez dalszych ceregieli strzeliła palcami.

Dwaj gladiatorzy wyłonili się z piwnicy, idąc po ceglanych stopniach. Różnili się. Jednego Lucjusz rozpoznał natychmiast. Po prawej stronie twarzy miał dziobatą bliznę, biegnącą na skos od szczytu małżowiny usznej niemal do ust. Był sławny. Teraz nieczęsto zjawiał się na arenie, ale kiedy to czynił, dostawał niebotyczne stawki.

Zdobył sławę w igrzyskach, podczas których musiał kolejno walczyć z dziesięcioma przeciwnikami. Nie tylko pokonał wszystkich, ale zabił trzech, a dwóch ranił tak ciężko, że potem zmarli. Mówiło się, że ówczesny lanista nienawidził go i pragnął jego śmierci. Jednak nienawiść lanisty tylko dorównywała miłości tłumu, jaką ten darzył szermierza pod koniec walki. Kiedy ogłoszono, że odbędzie się jedenasty pojedynek, wybuchły rozruchy. Przybrały tak gwałtowną postać, że natychmiast otrzymał wolność i z czasem zaczęło się mówić, iż jest zamożnym człowiekiem.

Nosił na sobie tylko *subligaculum*, opaskę na biodra, i prosty hełm legionisty, z wygotowanej skóry wzmocnionej brązem. Miał przy sobie lżejszą odmianę miecza legionistów, tak zwany miecz hiszpański.

Młodszy mężczyzna, ubrany podobnie i podobnie uzbrojony, szedł za nim.

- Gordus - ucieszył się Cezar. - Nigdy nie widziałem go w walce. Oczywiście słyszałem o nim. Jak wszyscy.

Gordus, starszy, pokryty bliznami mąż, podniósł do ust miecz, sztychem w górę, i pozdrowił grupę na podium. Młody mężczyzna skłonił się, po czym zwrócili się ku sobie. Zadźwięczała stal.

Początkowo Gordus wydawał się pasywny, niedbale odpierał ataki. Młodzieniec okazał się bardzo dobry. Doświadczonemu oku Lucjusza wydawało się, że dwukrotnie o mało nie zranił starszego przeciwnika. Walczył agresywnie, w świetle pochodni głownia jego miecza zamieniła się w ognisty wir.

Gordus zdawał się ledwo poruszać ostrzem, lecz bez trudu, bez najmniejszego wysiłku odpierał każdy atak przeciwnika.

W pierwszej fazie młodszy mężczyzna po prostu rąbał mieczem. Nie tylko sprawiał wrażenie silnego, był silny. Choćby z tego względu Lucjusz uznał go za groźnego, ale wyglądało na to, że na Gordusie jego siła nie robi wrażenia.

Kiedy okazało się, że dotychczasowa taktyka prowadzi donikąd, młodszy gladiator cofnął się i pokazał, iż stać go na coś więcej niż zwyczajną rąbaninę. Znów

zaatakował, tym razem inteligentnie, zadając cięcie w dół, a potem starając się odrzucić ramię Gordusa, by otworzyć sobie drogę do pchnięcia, które zrani lub zabije przeciwnika. Ale to również zawiodło.

Gordus miał wspaniałą pracę nóg i nigdy nie pozwalał sobie na tak daleki wypad, aby się odsłonić. W końcu młodzik się cofnął. Mimo chłodu cały złał się potem.

Lucjusz był pewien, że Gordus przejdzie do ataku, lecz tak się nie stało. Przeciwnie, odczekał, aż młodszy przeciwnik złapie oddech, okrążył go powoli, zniżył miecz.

Młody uspokoił oddech i znów stał się z Gordusem, tym razem prezentując wielkie umiejętności i chłodny umysł. Lucjusz nigdy nie spotkał się z takim mistrzostwem, a już z pewnością nie wśród legionistów.

Lecz Gordus nadal odpierał każdy atak. Tyle że teraz zadawał sobie więcej trudu, wysunął jedną stopę i parował uderzenia przeciwnika, niemal wyprzedzając ciosy.

Koniec nastąpił szybko i niespodziewanie. Młody człowiek zadał mocny cios. Gordus nie przyjął zasłony, lecz cofnął się. Uderzenie chybiło. Młodzieniec odzyskał równowagę, ale zanim zdążył się zasłonić, miecz Gordusa przebił skórę prawego ramienia i sztych zanurzył się między kości.

Lucjusz zagryzł zęby i zadygotał, gdy miecz zazgrzytał o kość.

Młodzieniec cofnął się, miecz wypadł na arenę ze zbroczonych krwią palców. Czerwień skropiła biały piasek, ściekając po owiniętej sznurem rękojści.

Lucjusz usłyszał zza pleców westchnienie Filona. Grecki medyk zszedł po czterech płytkich stopniach. Nie było mowy o zabijaniu. To było czysto pokazowe starcie.

Filon obejrzał ramię młodzieńca. Ten stał, zaciskając zakrwawioną pięść, podtrzymywał ją drugą ręką. Następnie Filon spojrzał z naganą na Gordusa i odprowadził młodszego szermierza do wyjścia, za miejsca siedzące.

Gordus oparł się o balustradę podestu i prowadził cichą konwersację z Cezarem. Gladiator słuchał tego, co dyktator ma do powiedzenia; kiwał głową i od czasu do czasu czynił jakiś lakoniczny komentarz, ocierając ostrze serwetką.

Paru niewolników usługujących przy kolacji wniosło tacę z winem w szklanym dzbanie i przeróżne słodkości.

Lucjusz, któremu lekko szumiało w głowie z racji wypitego wina i emocji, odmówił pucharu. Gdzieś pod podłogą rozległy się kobiece śmieszki.

Cezar, Kleopatra i Fulwia do woli częstowali się winem i ciastkami. Egipska królowa i jego siostra skłoniły głowy ku sobie, prowadząc szeptem rozmowę. Cezar nadal rozmawiał cicho z Gordusem. Lucjusz spojrzął na krew schnącą na piasku i zrobiło mu się niedobrze.

Niewolnik, w którym Lucjusz poznał jednego z ogrodników, wszedł na arenę i zgrabił piasek do czysta.

Znów rozległy się chichoty i drobna postać ubrana w *subligaculum* weszła prawie nieśmiało na arenę.

Lucjusz zapomniał o mdłościach. Jeśli nie zwariował, ten ktoś ubrany jak gladiator był kobietą.

13

Dryas obudziła się na ziemi, leżąc w gęstym lesie. Przewróciła się na plecy, spojrzała na wysoką kopułę gałęzi, poczuła liście i gałązki drapiące skórę. Zdała sobie sprawę, że jest naga. Spróbowała się podnieść, ale upadła z powrotem i spojrzała na leśnego giganta, który wyrastał blisko jej ramienia.

To było największe drzewo, jakie widziała w życiu. Kiedy przesunęła wzrok w górę, dostrzegła, że na jego konarach rosną igły i szyszki. Jednak w tym otoczeniu nie było wcale większe. W pobliżu rosły potężniejsze.

Jakoś dźwignęła się na kolana, chociaż na widok tego, co ją otaczało, poczuła zawroty głowy. Odwiedzała już lasy, ale takiego jeszcze nie widziała. Przy tutejszym najmniejszym drzewie wszystkie, jakie spotkała na Białej Wyspie czy gdzie indziej, były karzełkami. Ziemię pokrywała nie trawa, lecz mech.

Poczuła coś kleistego na rękach i na brzuchu. Została ranna? Nie żyje? Czy wilk odgadł jej cel i rozszarpał gardło?

- Nie! - krzyknęła i echo odbiło się w milczącym lesie. Chwila lęku minęła i Dryas otrząsnęła się na tyle, żeby ogarnąć sytuację. Spojrzała na dłonie, niżej i wzdrygnęła się. Po utracie przytomności musiała z wymiotować.

Wstała i spostrzegła wodę. Tryskała z ziemi w środku rozległej połaci zielonego mchu. Dalej grunt nieznacznie opadł. Chwiejnym krokiem poszła przed siebie.

Znalazła fontannę. Wyływająca woda tworzyła strumień, którego kamienne dno było niemal zarośnięte gęstym mchem i paprociami. Mchów było wiele rodzajów. Od delikatnego zielonego puchu na kamieniach, dywanów na brązowych igłach i odłamanych gałęziach, do grubych, niemal futrzanych okryć wystających korzeni drzew, małych głązów i dolnych partii pni. Widziała przeróżne paprocie, od koronkowych okrągłych fontann, niewielkich rozmiarów i barwy bladej zieleni, uczepionych prawie niewidzialnych czarnych gałązek, po szaro-oliwkowe groty z grubymi żyłkami, dźwigającymi setki równoległych liści.

Uklękała i obmyła ręce, twarz i ciało. Gdzie się znalazła? Kiedy wyprostowała się na klęczkach, przekonała się, że najbliższe drzewo wyrasta z urwiska, a za nim rozciąga się głęboka dolina zasnuta mgłą.

W oddali właśnie wstawało słońce. Na wpół zasłonięte snującymi się bez celu mgłami jaśniało niczym złota moneta, zsyłając żółty blask w skłębione opary, nadal przeniknięte niebieskością i czernią.

Lecz powiał poranny wiatr, początkowo słaby, jedynie muskający jej nagą skórę, potem coraz silniejszy, spychający wilgotne lazurowe cienie.

Wzięła głęboki oddech. Uczyniła to z najwyższą rozkoszą, powietrze było bowiem czystsze niż świeża woda i przepojone woniami cedrów i sosen. Aż się prosiło, by napełnić płuca jego nieskażoną energią, by spalić smutek zakorzeniony w sercu i osiągnąć wieczne przebaczenie i pokój.

Znów przypomniała sobie twarzyczkę syna - otwarte oczy, zamglone źrenice wpatrzone w jej oczy- i powróciła świadomość, czarna jak otchłań, że mimo całego wyszkolenia, wiedzy i nawet miłości poczyniła zły wybór i że w decydującej chwili przybyła za późno.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie.

Nagle znalazła się obok górskiego jeziora. Był ranek. Sosny wokół były zwyczajnymi drzewami. Słońce jeszcze nie powstało. W szarym świetle ujrzała Mira. Stał przed nią z jej białą koszulą przerzuconą przez ramię. Był mocno poruszony. Kolana ją bolały, jakby spadła nie wiadomo skąd i wylądowała przed starcem.

Jak się później przekonała, to wrażenie odpowiadało prawdzie.

Wręczył jej koszulę.

- Nie udaje ci się go złapać.

Dryas naciągnęła koszulę przez głowę, wstała i spojrzała na niego ostro. Przypomniała sobie, że jest królową.

- Kim jest Imona? Co się z nią stało i dlaczego? I chcę usłyszeć prawdę. Nie kłamstwa czy uniki.

Mir skinął głową i spojrzał w dal, nad górskie szczyty. Słońce właśnie rozjaśniło śnieżne czapy.

- Imona - zamruczał. - Imona. Imona nie żyje... Imony... Imony nie ma na ziemi. Jest tam, gdzie nie ma wody ni ładu, dnia ni nocy, zimna ni ciepła...

- Tak. Rozumiem, ale opowiedz mi, kim była i... dlaczego to ją spotkało.

- Pójdź - rzekł Mir. - Nie do mojego domu, bo ona... moja żona tam jest. Wyżej, na skraj lasu. Mam tam trochę chleba, sera i nieco piwa. Posilisz się i powiem ci wszystko, co cię interesuje. To długa historia, długa i bardzo smutna.

Kiedy Mir skończył, prawie dochodziło południe. Dryas była bardzo zmęczona. Mir odszedł, a ona, nadal odziana tylko w koszulę, wróciła na brzeg jeziora po resztę rzeczy.

Znalazła ubranie niedaleko miejsca, w którym je zostawiła, lecz było rozrzucone, jakby przejrzał wszystko po tym, gdy udała się nie wiedzieć gdzie. Na miękkim brzegu stawu zostały odciski wilczych łap. Czuła wyczerpanie i musiała się przespać. W tej chwili, zanim weźmie się do czegoś innego.

Postanowiła, że wróci na tę samą halę, którą zbadała wcześniej. Zatrzymała się na chwilę, spoglądając na skąpane blaskiem słońca jezioro.

Jeśli pójdę, on przybędzie moim śladem i zaprowadzę go między stojące kamienie - pomyślała.

Och, ale czuła wielkie znużenie. Skłoniła głowę, nie wiedząc, gdzie znajdzie siły... wolę, aby zrobić to, co musi.

Zgłębiła wzrok w rozświetlonej wodzie. Wbijała go coraz niżej i niżej.

W środku wiecznej czerni unosił się jakiś kształt. Przeniknął w półmrok, a następnie powoli, niemal nie poruszając płetwami, wsunął się w rozświetloną warstwę tuż poniżej powierzchni.

Nad brzegiem zaśpiewał wodny ptak. Skoczyła żaba i Dryas ujrzała długonogi kształt, czubek łba na powierzchni, kiedy płaz sunął, pracując nogami, na drugi brzeg.

Kątem oka dostrzegła jakiś błysk na kamieniu sterczącym przy brzegu jeziora. Podeszła w to miejsce. Jej broszka w kształcie łodygi maku spoczywała na skale, złoto mieniło się w słońcu. Była pewna, że ostatniej nocy cisnęła ją do wody.

Podeszła bliżej, wspięła się na skałę i sięgnąwszy po broszkę, zważyła ją w dłoni. Tak, na pewno rzuciła ją do wody. Pamiętała plusk, z jakim znikła. Przedziwne, można by pomyśleć, że kazano jej dokonać wyboru jeszcze raz. Zawahała się, wyczerpana i przepełniona smutkiem.

Żaba dotarła na środek jeziora. Nie widziała ciemnego kształtu pod sobą, o szczękach jak nożyce i długich zębach ostrych jak igły. Nie widziała nic, tak jak nic nie widział synek Dryas. Jak do ostatniej chwili Dryas nie widziała tego, który ścigał jej malca. Zjawiała się za późno.

Żaba zobaczyła coś albo poczuła, bo sunęła rozpaczliwie zygzakami, szukając ucieczki. Broszka frunęła z dłoni Dryas niemal bez udziału woli właścicielki,

zmierzając w kierunku atakującego szczupaka. Był szybki jak błyskawica, lecz zawahał się na ułamek sekundy. Broszka rozbiła lustro wody tuż koło płynącej żaby i drapieżna ryba mając dwa cele do wyboru - jeden ciemny, drugi jasny - wybrała jaśniejszy.

Szczęki zatrzasnęły się i szczupak znikł ze swoją zdobyczą w czarnych odmętach.

A żaba - w cieniu kryjącym drugą stronę wodnego zbiornika.

Cezar zdumiał się na widok dziewczyny w stroju gladiatora wkraczającej na arenę.

Lucjusz przetarł dłonią twarz. Na pomazane miodem cycki królowej zmarłych, to jedna z jej służebnic kochanek - pomyślał. Nazywała się Melissa, miała około czternastu, szesnastu lat.

Nawet *subligaculum* wyglądało na niej dobrze. U większości mężczyzn było poplamione potem i bardziej odstaniało, niż zasłaniało owłosienie krocza. Ona obwiązała je dodatkowo w pasie. Jeden koniec przewinęła kunsztownie między nogami i przerzuciła nad paskiem, tak że kołysał się kusząco między udami.

Przez chwilę wydawało mu się, że jest naga do pasa, ale dostrzegł, że się pomylił. Nosila kamizelkę z cieniutkich srebrnych ogniwi, zwisającą tuż poniżej piersi. Przez tę przejrzystą kolczugę przeświecały sutki.

Zastanowił go miecz, który trzymała w ręce. Posrebrzane ostrze, model wojskowy, rzucało oślepiające błyski w świetle pochodni. Głownia nie była stępiona.

Za dziewczyną weszła na arenę kolejna erotyczna zabawka, imieniem Yella. Była ciemnowłosa; Melissa - jasnowłosa. Poza tym się nie różniły; miały zbliżoną wagę, wzrost i ubiór.

Wzięły się za ręce i pozdrowiły ukłonem towarzystwo na podium.

Cezar wybuchnął śmiechem, odwrócił się i szepnął coś Kleopatrze. Ta dmuchnęła mu w ucho i ugryzła w koniuszek małżowiny. Znów się zaśmiał, skierował wzrok na zawodniczki i uśmiechnął się do nich z pobłażaniem.

Dziewczęta zaczęły coś w rodzaju pojedynku i po kilku pierwszych starciach widać było, że przeszły pierwsze szkolenie.

Gordus nie zszedł z areny. Skrzyżowawszy ramiona, oparł się o podstawę podium, na którym siedzieli Cezar, Fulwia i Kleopatra.

Blondynka, Melissa, okazała się agresywniejsza. Miała dłuższy zasięg ramion, więc zaczęła gonić brunetkę po arenie.

W tym momencie wmieszał się Gordus. Przerwał starcie, unosząc miecze kijem z brązu, wykończonym kością słoniową. Rozdzieliły się. Brunetka obrzucała gniewnym spojrzeniem jasnowłosą dziewczynę.

Gordus podniósł wzrok ku podium.

- Mam ogłosić zwyciężczynię, Cezarze?
- Jeszcze nie - odparł zapytany. Był wielce rozbawiony.
- Och, nie - dodała Fulwia. - Oczekuję przynajmniej jeszcze jednego starcia. Ale niech odsapną. Żadna nie przepada za ćwiczeniami w palestrze i mają krótki oddech.

Gordus podszedł do dziewcząt, podając im ręczniki i wino z wodą.

Cezar pożerał je wzrokiem. Przedstawiały sobą podniecający widok.

Trudno było osądzić, która z nich jest atrakcyjniejsza, ale Lucjusz bardziej zainteresował się brunetką. Ruch sprawił, że krew rozplomieniła jej policzki, szyję i czoło, a lekka warstwa potu zwilżyła gładką cerę. Ciemne włosy lekko się kręciły i miękkie, wilgotne loczki zaczęły się kleić do policzków, czoła i karku.

Kolczuga podkreślała pączkujący biust i odsłaniała umięśniony, okryty meszkiem brzuch. Czerwona przepaska biodrowa idealnie podkreślała oliwkową barwę skóry.

Lucjusz był zadowolony, że przywdział togę. Udało mu się oszukać siostrę, że jego męskość spotkało najgorsze, lecz teraz zdradliwe ciało udowodniało, że skłamał. Na dodatek już układał plany i spiski, które miały nakłonić tę erotyczną zabawkę siostry, by przestała interesować się kobietami, a zaczęła mężczyznami, by porzuciła Fulwię, a wybrała jego.

To nieuczciwe, że Fulwia zgranęła wszystko dla siebie. Miał prawo nie tylko do rodzinnego majątku, lecz do wpływów, luksusu, władzy; Fulwia zbyt długo wzbraniała mu dostępu do wszystkich przyjemności.

Lecz musiał zachować ostrożność. Dziś wieczór zatańczył dokładnie tak, jak mu zagrała, robiąc z siebie durnia przed Cezarem. Dyktator był bohaterem wielu brzydkich i niemiłych opowieści i wyglądało na to, że nie bez powodu, lecz nikt nigdy nie powiedział, iż Cezar zdradził tego, kto mu zaufał i pomógł. Odpłacał zawsze z nawiązką - tak za zło, jak i za dobro.

W tym momencie Cezar rzucił serwetkę i walka, jeśli tak można było to nazwać, została podjęta.

Lucjusz rozkoszował się, patrząc, jak światła i cienie rzucane przez migotliwe blaski pochodni układają się na delikatnych, kuszących krągłościach brunetki.

Mellisie wystąpiły plamy na skórze, podczas gdy Vella pociła się bez szkody dla cery, wyglądała tak, jakby namaściła ciało oliwą. Teraz oddawała ciosy i nie dała się zapędzić w kozi róg jak poprzednio.

Znalazłszy się przy brzegu areny, kobiety zwały miecze na wysokości rękojeści i równocześnie odpychały rękami twarz przeciwniczki.

Gordus ruszył ku nim.

- Nie! - krzyknął Cezar. - Nie zatrzymuj ich. Wygląda na to, że się rozgrzały. Teraz walczą serio.

To była prawda, gdyż Mellisa nagle złapała Vellę za sutek i wykręciła go boleśnie.

Vella krzyknęła. Przerwały starcie i patrzyły na siebie przez szerokość areny.

Łzy wściekłości zalały oczy Velli i ostrożnie dotknęła obolałego miejsca.

- To nieuczciwe - załkała. - Nie miałyśmy naprawdę...

- Och, przestań się mazgać - fuknęła gospodyni. – Obiecałyście sprawić nam dobre widowisko. No to już.

Cezar klasnął w dłonie.

- Właśnie. Tysiąc sestercji dla zwyciężczyni. I wolność.

Fulwia roześmiała się.

- Cezarze, to nie jest prawdziwa walka.

- Teraz jest.

I stała się prawdziwa. Starły się co najmniej pół tuzina razy. Zmieniły chwyt na oburęczny. Nie żałowały sił i amfiteatr wypełnił brzęk stali, kiedy dziewczyny dawały z siebie wszystko.

Pożądanie opuściło Lucjusza. Czuł, że powinien w jakiś sposób przerwać walkę, ale tak Cezar, jak Kleopatra przyglądali się jej z najwyższym zainteresowaniem.

Obie przeciwniczki były skapane w pocie. Włosy przykleiły im się do głów, strumyki potu płynęły po twarzach.

Lucjusz w przeciwieństwie do reszty wiedział, co to walka. Nawet Cezar miał innych, by walczyli za niego. Ale Lucjusz zdawał sobie sprawę, że kiedy pot zaleje dziewczynom oczy, oślepną. Żadna z nich nie osłaniała ciała tak, jak czynili to prawdziwi gladiatorzy - tarczą, hełmem czy zbroją.

Vella oślepla pierwsza. Lucjusza raz to spotkało i pamiętał uczucie całkowitej bezradności, którego na pewno doznawała teraz Vella. A prócz bezradności musiała czuć również ból, silny ból, ogień w oczach.

Mellisa, sama w nie najlepszej formie, przy kolejnym ciosie wytrąciła Velli miecz z ręki. Zawirował w powietrzu i z brzękiem uderzył o marmurowy brzeg areny.

Lecz teraz to ona przestała widzieć. Velli udało się przetrzeć oczy.

Lucjusz odetchnął z ulgą.

Cezar się śmiał. Kleopatra pobladła z obrzydzenia, a Fulwia wydawała się znudzona.

Vella wydała pisk, rzuciła się na oślepa, zepchnęła Mellisę i wczepiła się jej we włosy.

Mellisa wrzasnęła i próbował odepchnąć atakującą... mieczem. Wszedł łatwo w ciało Velli, jak nóż wchodzi w masło, i zatrzymał się na szerokość dłoni przed rękojeścią.

Vella spojrzała bez wyrazu na miecz, który tkwił w jej ciele. Uniosła rękę, jakby chciała złapać za rękojeść, ale można by pomyśleć, że zabrakło jej odwagi.

- Moje nogi - powiedziała. I w rzeczy samej całkowicie straciła w nich władzę, bo powoli ugięły się w kolanach. Miała w oczach pustkę. Lucjusz dostrzegł to, bo z jakiegoś powodu odwróciła ku niemu głowę. Z klęczek opadła na bok i strużka krwi pociekła z kącika ust na piasek. Łapała z trudem oddech, pierwszy, drugi, trzeci. Wyprostowała nogi. Zadygotały i zwiotczały, lekko podkurczone. Nie żyła. Rumieniec uciekł z twarzy, która przybrała woskowy, żółty kolor.

Groza podeszła Lucjuszowi do gardła falą mdłości. Mellisa krzyczała bez ustanku. Filon zbiegł na arenę. Przyklął obok Velli. Szybko przekonał się o tym, o czym już wiedział. Razem z Gordusem wzięli Mellisę pod ramiona i wyprowadzili z amfiteatru. Przez jakiś czas Lucjusz słyszał krzyki dziewczyny. Ucichły, przechodząc w szloch, i w końcu zupełnie ustały.

Wyszedł ogrodnik, który poprzednio zgrał piasek, i wpatrywał się w trupa. Ciało Velli nadal krwawiło ze straszliwej rany w torsie. Sługa był zagubiony, ale podszedł do niego Gordus, który wiedział, co się robi z trupem.

To, co kiedyś było Vellą, złapali pod kolana i ramiona. Gordus oparł sobie jej głowę o brzuch i razem wynieśli ciało z areny. Ogródnik wrócił z grabiami.

Dopiero wtedy Lucjusz popatrzył na siostrę, Cezara i Kleopatę. Fulwia nieco pobiadła, lecz Cezar uśmiechał się do Kleopatry i przekomarzali się po cichu jak para kochanków.

Dwie królewskie żmije były w znakomitych humorach.

14

Dryas włożyła na siebie świeże ubranie - białą haftowaną tunikę i luźne spodnie kawalerzysty - ale zostawiła bagaże i wierzchowca w domu Mira. Przed odejściem przemówiła spokojnym tonem do dziewczyny, którą Mir nazywał swoją żoną. Tym razem nie udało się wyciągnąć od niej słowa, chociaż szalona uroniła kilka łez. Na ich widok Dryas poczuła pewną ulgę i nadzieję, że nieszczęsne dziecko może znajdzie spokój i - jeśli to możliwe - ukojenie.

Zanim wyruszyła w góry, porozmawiała z Mirem. Skinął głową, kiedy powiedziała mu o łzach.

- Teraz umrze - rzekł.

Dryas była wstrząśnięta.

- Umrze?

- Umrze - powtórzył Mir.

Dryas obejrzała się na dziewczynę. Włożyła wianek z niebieskich dzikich astrów i tańczyła między przygaszonymi jesiennymi słońcami, nucąc jakąś pozbawioną melodii piosnkę.

- Jesteś pewien? - spytała Dryas. Tak mądry człowiek jak Mir nie rzucał słów na wiatr.

- Tak, widziałem już takie spojrzenie. Ona tylko czekała na twoje przybycie. Teraz może połączyć się z tamtymi. Dość przeżyła i dość się nacierpiła. Złap wilka i zabierz go, niech zapoluje na Cezara. Oto cel wart polowania takiej bestii.

Dryas skinęła głową i samotnie ruszyła w góry. Słońce zachodziło, gdy dotarła na halę. Oczekiwał ją cień.

- Jest potężnym stworzeniem i nie pokonasz go bez pomocy - przemówił głos w jej głowie. To, co planujesz, nie wystarczy. Ujarmij go. Jesteś potężna, zdecydowana. Ujarmij go. Lub któreś z was zginie. Na pewno!

Dryas bała się zapytać, kto to będzie, lecz z drugiej strony podejrzewała, że nawet duch nie był tego pewien. Na Wyspie Kobiet, w gromadzie adeptek, rozprawiły o umiejętności wpadania w trans i przewidywania biegu wydarzeń. Należała do tych, którzy mieli ów dar. Czy wypełniwszy stosowne rytuały, można było wysledzić kaprysy przypadku? A może to pozaświatowe istoty trafniej przeczuwały działania przeznaczenia?

Jej nauczycielka, Lyssa, wierzyła w ich wielką moc.

- Wiedza jest jedna - głosiła. - Zdolność do przewidywania przyszłości tkwi korzeniami w naszej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości. Zakładając, że zaświatowe byty obserwują bieg zdarzeń... chociaż nie wszyscy zgadzają się z tym założeniem... narzuca się, że potrafią lepiej ocenić cnoty i słabości całej ludzkości, a także mocne i słabe punkty poszczególnych mężów i niewiast. Stąd też ich wiedza o teraźniejszości i przeszłości może nieskończenie przekraczać naszą. Uważamy zatem, iż mądrze jest konsultować się z nimi w chwilach niepewności, a ich rada powinna być rozważona i oceniona. Mimo że wiedza, którą się z nami dzielą, bywa niedoskonała, w żadnym razie nie wolno jej lekceważyć.

Dryas uśmiechnęła się. Chłodne, logiczne i obiektywne wnioskowanie Lyssy było bez zarzutu. Lecz nawet mając te wszystkie wymienione zalety, można się było mylić, głęboko mylić.

Cień pozostał, strefa samoistnego mroku, której nie tworzyło nic widzialnego.

Cień ostrzegał, lecz nie nakazywał, i nie zamierzała pytać go o pozwolenie. Ciężar wyboru spoczywał wyłącznie na niej. Ona i tylko ona musiała wybrać linię działania i ponieść jej konsekwencje, dobre i złe. W pewnym sensie całe życie przygotowywała się do tej chwili.

Cień milczał. Nie odezwał się więcej.

Dryas odwróciła się i podeszła do swego legowiska. Sięgnęła po woreczek z miękkiej skóry. Opróżniła go. Kiedy chłodne ogniwa wysypały się na dłoń, miała wrażenie, że nieostrożnie sięgnęła po wściekle gorący przedmiot. Jakby wzięła garnek, który wydawał się zimny, ale przepalał dłoń na wskroś, rozżarzony do białości.

Ból przeszył jej ciało i umysł, jakby poniosła stratę zaledwie kilka dni temu, tydzień, miesiąc. Wciąż świeża pustka dławiła ją rozdzierającym bólem, nieugaszonym żalem. Tonęła w falach śmiertelnego smutku jak w niezgłębionym morzu.

A przecież ta rozpacz była stara i chociaż miała siłę fali oceanu, nie zdołała ściągnąć jej w odmęty. Uchwyciła się teraźniejszości, aż cierpienie osłabło, złagodzone przez czas i przestrzeń.

Przedziwne, że coś tak pięknego może być źródłem wielkiego smutku.

W zapadającym zmierzchu migotał metalicznym blaskiem ten łańcuszek mający postać liści jarzębiny, jej kwiatów i jagód. Liście były ze złota, kwiatostan z kości słoniowej, a kiście jagód z granatu. Drzewo oddano w liściu, kwiecie i owocu. Dryas jak zawsze pomyślała, że potrzeba było do tego nadludzkich umiejętności. Uniosła go wysoko, tak że odbił ostatnie promienie zachodzącego słońca, i wydawało się, iż trzyma w dłoni płonący ogień, śnieg i słońce.

Wyrób takiej rzeczy jest zakazany, gdyż może ona uwięzić ducha jarzębiny lub przynajmniej część życia drzewa. Może również uchwycić część życia każdego bytu, i to właśnie było celem Dryas.

Poddano mnie próbom - pomyślała. - I nie znaleziono u mnie skazy.

Pochyliła głowę, jakby przyjmowała nakładane jarzmo, i wsunęła łańcuszek przez głowę.

- To nigdy nie miało być noszone przez śmiertelną kobietę - rzekł głos.

Dryas ledwo widziała cień. Był częścią drzewa spoglądającego na nią ze stoku.

Tak jak ostatniej nocy poczuła pożądanie. Rozumiała, że to ogień tworzenia, kaskada światła rozjaśniającego świat niczym kolejne słońce i pchającego przed sobą wszystko jak wiatr, który wynosi wody coraz wyżej, tworząc niebotyczne grzywacze, i spycha je ku coraz głębszym toniom, aż w końcu roztrzaskają się w szarość, ciemny błękit, zieleń i biel - biel pąków kwiatów bzu czarnego i jarzębiny na wiosnę.

Tuż po świcie Lucjusza obudzili jego dwaj niewolnicy. Miał ochotę obsypać ich przekleństwami, lecz zdawał sobie sprawę, że nie odważyliby się zakłócić mu spoczynku bez rozkazów Fulwii, i gdyby dał folgę swojemu niezadowoleniu, i wpełzł z powrotem pod przykrycia, dopiero by ją rozwścieczył.

Uniósł dłoń, rozstawił na włos palec wskazujący i kciuk i rzekł:

- Tyle dzieli was od targu niewolników.

Przyjęli tę groźbę bez drgnienia powieki. No cóż, nie oczekiwał, że skulą się przerażeni.

Jeden z nich podał mu zwój. Lucjusz zmrużył oczy, ale za żadne skarby nie potrafił go odczytać.

Przetarł oczy i w końcu zdał sobie sprawę, że trzyma jedną ze zjadliwszych mów Cyncerona przeciwko Katylinie.

Wpatrywał się w nią ogłupiały.

- Hę? - wykrztusił wreszcie.
- Po drugiej stronie - wyjaśnił jeden z nich.

Lucjusz postanowił kiedyś, że nazwie ich Kastor i Polluks, ale nie zdecydował, który będzie Kastorem, a który Polluksem. Nawet ich nie rozróżniał.

Rozwinął zwój. Było na nim byle jak nabazgrane zaproszenie. Odczytał tylko, że ktoś go gdzieś zaprasza, ale nic więcej.

- Hę, hę - rzekł.
- To od szlachetnego Marka Antoniusza. Zaprasza cię, panie, na śniadanie.
- Śniadagada - wybełkotał Lucjusz. - Padarada. – Następnie uznał, że dość wygłupów, bo inaczej pogrąży się w całkowitym i nieodwracalnym kretynizmie.
- Sprowadźcie Filona - warknął.

Sprowadzili.

Filon wparadował rzeński jak kwietniowy ranek. Lucjusz wręczył mu list.

- Przynieście panu świeże ubranie, togę i ciepłą wodę – rozkazał Kastorowi Filon. A może Polluksowi? Lucjusz nie miał pojęcia komu, lecz obaj zniknęli i już zrobiło się przyjemniej.

- Hmm - mruknął Filon i pogładził podbródek. - Sądzę, że prośba twojej siostry zgłoszona Cezarowi już przyniosła owoce.

- Skąd wiesz? - zapytał Lucjusz.
- Bo jak każdy sługa w tym domu... wolny i niewolny... stałem w kuchni, łowiąc każde jego słowo.
- Bzdura. Ta kuchnia to dziupla. Wszyscy by się w niej nie zmieścili.
- Zdziwiłbyś się, ilu ludzi może się zmieścić w bardzo małym pomieszczeniu, jeśli mają wspólny cel, a poza tym zawsze jest dach i ogród.

Powrócili Kastor i Polluks, przynosząc części odzieży i ciepłą wodę, co zakończyło spór.

- Masz, panie, chęć na kąpiel? - spytał jeden z nich.

- Ależ, na tyłek Charona, czemu miałby kapać się o takiej rannej porze? Antoniusz nie zauważy, czy ociekam perfumami, czy cuchnę jak nie splukana latryna.

Nie mylił się.

Kiedy dotarli do domu Antoniusza, odźwierny wpuścił ich bez problemów. Jeden z wyzwoleńców pana domu szykował w ogrodzie stół do śniadania.

Lucjusz spytał o Antoniusza. Sługa wywrócił oczami.

- Mój pan jest w *tepidarium* - oznajmił.

Tak było. Siedział w kłębach pary, pociągając ze srebrnego pucharu obrzydliwy, śmierdzący płyn. Zajęczał, kiedy otwarte drzwi wpuściły ostre światło dnia. Był potężnym mężczyzną, nieco zaniedbanym, lecz nadal przystojnym. Kędzierzawy brunet, owłosiony obficie na całym ciele.

Spojrzał na Filona tak, jak niedoszły topielec patrzy na kogoś, kto rzuca mu deskę ratunku.

- W tej chwili nie ma boga, któremu miałbym ochotę dziękować za cokolwiek, ale cieszę się, że cię widzę, Filonie - zamruczał.

Następnie przeniósł zalane krwią oczy na Lucjusza i popatrzył na niego jak na robaka, który wypęza spod mokrego kamienia.

- Czyja cię znam? A jak nie, to czego chcesz? Lepiej, żeby było to coś ważnego, bo inaczej niebawem ty poznasz Tullianum.

- Och, znasz mnie - rzekł Lucjusz. - Nie wiem tylko, czy mnie pamiętasz. Ilu poznanych ludzi zapamiętujesz?

Antoniusz zaczął się śmiać, potem zakrztusił się, zacharczał i zwymiotował poza brzeg marmurowego basenu, w którym leżał.

- Oooh, oooh, oooh. Nie rozśmieszaj mnie. To okropnie boli. Głowa mi pęka, mózg wypłynie mi oczami, ugotuje się we wrzątku i skończy się moja męka. Błagam, błagam, błagam. – Wyciągnął w górę ramię. - Nieśmiertelni bogowie, niech tak się stanie. Ten drań, Cezar, pożałuje. Nie. Poprawka. Cezar nigdy niczego nie żałuje. Odpowiadając na twoje pytanie: zapewne jednego na dziesięć.

Filon wrócił do wielkiej łazienki. Lucjusz nie zauważył, kiedy medyk wyszedł. Niósł szklanicę z nieprzejrystego kryształu, ozdobioną spiralą ze złotego drutu; i zwinięty ręcznik. Ręcznik położył na głowie Antoniusza, tak że wyglądał jak niezgrabna korona, a szklanicę wręczył mu ze słowami:

- Pij powoli.

Zabrał Antoniuszowi srebrny puchar. Naczynie zawierało cuchnące kwaśne wińsko, zwane *poscą*, raczej ocet niż szlachetny trunek. Podawano go niewolnikom w wiejskich posiadłościach. Koszmarny płyn podobno był znakomitym środkiem na kaca.

Antoniusz ostrożnie skosztował lekarstwa przyniesionego przez Filona.

- Aaach - odetchnął i zanurzył się głęboko w wodzie. - Filonie, nigdy się nie dowiem, co jest w tych twoich wywarach, ale to mnie nie obchodzi. Truj mnie, kiedy chcesz.

Lucjusz rozejrzył się, znalazł dwa taborety i przyniósł je na skraj basenu. Usiedli na nich z Pilonem.

- Mięta, białe wino, Waleriana i szczypta opium na ból głowy - wyjaśnił Filon. - To nie tajemnica. Mięta uspokaja żołądek, białe wino jest na klina, Waleriana koi nerwy, a co robi opium, już wyjaśniłem.

- Na klina! - zahuczał Antoniusz.
- Plotka głosi, że lubisz pić na umór. Tak więc potrzebujesz tęgiego klina.
- To prawda - rzekł Antoniusz, znów z nosem w szklanicy.
- Rozgłos to musi być miła sprawa - zauważył Lucjusz.
- W ręczniku jest pewnie śnieg? - spytał Antoniusz.

Filon skinął głową.

- Resztki z wczorajszego nocnego przyjęcia.

- Wysoko zawędrowałeś, prawda? - odezwał się radośnie Lucjusz. - Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, chyba poróżniłeś się ze swoim szlachetnym przyjacielem. Ty i Cezar nie rozmawialiście ze sobą. Co się stało?

- Co się stało, że się poróżniliśmy czy że się pogodziliśmy?
- Jedno i drugie.
- Chyba nie odpowiem na te pytania - powiedział Antoniusz. - Może kiedyś, kiedy się lepiej poznamy.

- Uhhh - mruknął Lucjusz.

Antoniusz zaczął wrzeszczeć i tłuc w podłogę.

- Woda jest coraz zimniejsza i chcę więcej pary! O rany, niech te leniwe syny parszywych kundli przestaną obmacywać dziewczki kuchenne i dorzucać drew do

pieca, inaczej nie minie południe, a wygarbuję im skórę na tyłkach! - Znów złapał się za głowę. - Och, och, och. - Zerwał ręcznik z głowy i cisnął go Pilonowi. - Więcej śniegu! - zaryczał.

Filon wykręcił ręcznik. Na podłodze pojawiły się brudne kałuże.

W tym momencie Antoniusz złożył ofiarę w tej samej postaci co poprzednio, po czym opróżnił szklanicę i zawył za wychodzącym Filonem:

- I więcej lekarstwa na kaca!

Lucjusz, prawie obsesyjnie czyścioszek, czuł się w łazience Antoniusza jak w chlewie. To prawda, pomieszczenie było luksusowe; wyłożono je białym, czarnym i żółtym marmurem, na podłodze były mozaiki w fale, otaczające czarny marmurowy basen - wielki jak dla konia - w którym unosił się Antoniusz.

Ale panował w nim nieziemski bałagan. Wszędzie porzrucano ręczniki, różnych rozmiarów gąbki, flaszki z perfumami, stągwie z oliwą, grzebienie, szczotki, szczypce i inne rozmaite narzędzia niewiadomego imienia. Nie wspominając o kleistych kałużach wymiocin, wina i szczątkach jedzenia wokół centralnego basenu.

- Powiedziałem, że woda jest coraz zimniejsza!!! - zawył na całe gardło Antoniusz. - Nie każcie mi wychodzić w ten mróz na dwór, bo...

To wystarczyło. Czarne marmurowe urządzenie w kształcie kwiatów zasyczało głośno i plunęło ze ściany gorącą parą, która zasnuła pomieszczenie. W tej samej chwili trysnęła woda z dzbana w dłoni nubijskiej piękności, posągu z kości słoniowej i brązu. Basen zaczął się napełniać.

- Aaach. - Antoniusz oparł się wygodnie i rozluźnił. Pod ręką miał misę z orzechami włoskimi; miażdżył je i zjadał.

- Cezar obudził mnie zaraz po świtanie, przedstawiając listę rzeczy, które mam dla niego dziś zrobić. Nie pojmuję, jak on to wytrzymuje. Ja nie potrafię i nigdy nie potrafiłem wykonać nawet połowy jego prac. Gdybym zdobył się na taki wysiłek, nie dożyłbym kalend przyszłego miesiąca. Idzie do domu z tą ptolemejską suką... no, egipską królową... i ją chędoży. Potem idzie do swojego drugiego domu i musi udowodnić Kalpurnii, że wciąż są małżeństwem, a jeszcze potem jest tu o brzasku z całą listą obowiązków dla mnie i każe mi wstać! Nie śpij do południa! I zrób to! Albo narażę się na jego wielkie niezadowolenie. Uśmiecha się do mnie, jak to on potrafi, pokazując kły, i rusza do senatu.

Wczoraj w nocy mieliśmy przyjęcie. Fulwia... moja żona, nie twoja siostra... zajęła się mną za pomocą bata. Coś mi się zdaje, że stanął mi jak należy i nie chciał opaść. Wino mnie uspokaja, a bat zawsze podnieca. Ale proszę, jest świt. Tyłek mnie boli. Żołądek jeździ w dół i w górę. Głowa pęka, a on mówi, że mam kazać ci wejść do senatu.

- Nie - rzekł stanowczo Lucjusz. - Ani mi się śni...

- Nie kłóć się ze mną! - zaryczał Antoniusz. - Chyba że chcesz celę w Tullianum. Przekonajmy się, co można osiągnąć za pomocą wody, chleba i tygodnia w norze w ziemi. Założę się, że będziesz inaczej śpiewał.

Lucjusz westchnął.

- Ja też się założę. W porządku, tylko nie próbuj mnie przekonać, że on czyni to z dobroci serca. Powiedz mi, czego naprawdę chce.

- Powiem, jak się zamkniesz i przestaniesz mi przerywać. Chce, żebyś szpiegował innych senatorów.

Lucjusz zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił taboret, na którym siedział. Sprzęt zagrzecotał głośno na marmurowej podłodze.

- Ty... ty! Może nie jestem patrycjuszem jak ty i twoi przyjaciele, którzy są gotowi lizać każdemu tyłek, ale...

Wszedł Filon, niosąc następny ręcznik i puchar.

Antoniusz grzmotnął pięścią w wodę. Temu gestowi brakowało wyrazu, więc złapał misę z orzechami i rzucił ją w głowę Lucjusza.

Misa była ciężkim kawałem gliny. Jej brzeg dosięgnął czoła Lucjusza, rozcinając mu skórę na długość małego palca. Po chwili polała się obficie krew.

Lucjusz zobaczył gwiazdy. Nie tylko gwiazdy, ale komety i może kilka małych księżyców. Zachwiał się i kolana się pod nim ugięły.

Filon złapał go pod ramiona, stopą postawił przewrócony stołek i pomógł Lucjuszowi usiąść. Przycisnął napełniony śniegiem ręcznik do czoła poszkodowanego i podał lekarstwo na kaca Antoniuszowi, które przełknął je jednym haustem.

- Mogę zapytać, co się wydarzyło? - zapytał ze spokojem medyk.

- Tak, możesz - warknął Lucjusz.

Antoniusz gramolił się z basenu i narzucił na siebie prostą szatę, mającą w środku otwór na głowę. Wyjaśnił Filonowi żądanie Cezara.

Filon spojrział na Lucjusza ze zrozumieniem.

- On jest... jaki jest. Nie ma dla niego żadnych „ale”, panie. Lucjusz obrzucił go jadowitym spojrzeniem i wyrwał mu z ręki wypełniony śniegiem kompres.

- Zamknij się! - zaryczał Antoniusz. - Zamknij się, zanim popełnisz zdradę i będę musiał donieść mu o tobie! Twój sługa nie jest durniem i ma rację. Nie ma żadnych „ale”. Poza tym... – Zgrzytnął zębami. - Kiedy pobędziesz z tą bandą kłamców, złodziei, grabieżców, kurwiarzy, niechlujów, pierdzieli, idiotów, pedałów, bandytów, pijawek, mend, kazirodców, nudziarzy, rajfurów, szantażystów, wymuszaczy, morderców i... czy coś pominąłem? Och, tak, węży... to po kilku miesiącach z rozkoszą ulżysz swojej frustracji i gniewowi, wykorzystując moje nadstawione ucho.

Uniósł palec.

- Zaufaj mi, Cezar ma wielu szpiegów i nie musisz mu mówić niczego, czego nie chcesz. Twoja siostra będzie szczęśliwa... a, przy okazji, mówią mi, że to gorsza harpia niż moja żona... będę trzymał się od niej z daleka... Cezar niebawem wyrusza do Partii i będziesz mógł robić, co dusza zapagnie. Słyszysz?

Wściekły Lucjusz mocno zacisnął usta, ale udało mu się powiedzieć:

- Tak.

- Znakomicie. - Antoniusz zatarł ręce. - Z każdą chwilą czuję się lepiej. Co powiesz na kilka godzin w palestrze, a potem lekki południowy posiłek? - Klepnął Lucjusza w plecy i rzekł wielce rozradowany: - Kucharz sprawia dla mnie dwa dziki. Moja żona będzie poza miastem. Zjedz ze mną kolację.

Hej, pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Zasiadzieliśmy się nad dzbanem wina z tamtą aleksandryjską tancereczką. Pamiętasz ją? Miała dwie wielkie obrączki w cyckach. Pamiętasz, co zaproponowała?

Lucjusz pamiętał i zaróżowił się nieco na to wspomnienie.

- Zadziwiające - kontynuował Antoniusz. - Myślałem, że spadnę z krzesła. Wyobraź sobie. Ja myślałem, że spadnę z krzesła.

- W istocie, to trudne do wyobrażenia - przyznał Filon.

Antoniusz przyglądał mu się chwilę spode łba.

- W każdym razie w tym momencie, hm, wieczoru...

- Sądzę, że był to raczej poranek - przerwał mu Lucjusz.

- Tak, o takiej porze tracę nieco pamięć - zakończył Antoniusz.

- To raczej normalne - powiedział Lucjusz. - Nie znam nikogo innego, kto by wypił tyle wina i potrafił ustać na nogach.

- Tak, tak, ale do czego zmierzam... Czy przyjęliśmy jej propozycję?

- Chyba nie odpowiem na te pytania - odrzekł Lucjusz. – Może kiedyś, kiedy się lepiej poznamy. Wtedy ci powiem, ale nie w tej chwili.

- Ha! - wykrzyknął Antoniusz. - Zgrabna riposta. No cóż, chyba sam się o nią prosiłem.

- Co za piękne pomieszczenie - rzekł Lucjusz. Dzięki temu mógł odwrócić spojrzenie od Antoniusza. Dość się na niego napatrzył.

- Gówno prawda - odparł Antoniusz. - Żółć mi się od niego przewraca. A teraz... w senacie, masz trzymać gębę zamkniętą, a oczy i uszy otwarte. Idź tam, usiądź sobie, jeśli znajdziesz miejsce. A jeśli go nie znajdziesz, oprzyj się o ścianę.

- Senat zajmuje się jedynie wymyślaniem nowych honorów dla Cezara - parsknął Lucjusz.

- Tak, Cezar zgrabnie to ustawił. Znasz się choć trochę na polityce?

- Chyba nie.

- No cóż, mój chłopcze, członkowie ciał ustawodawczych są bezradni, dopóki nie stworzą frakcji, koterii, spisku, kliki, partii, stowarzyszenia lub, innymi słowy, nie znajdą współników zbrodni. Otóż Cezar mianował ni mniej, ni więcej tylko trzystu nowych senatorów, z których każdy zawdzięcza jemu to wyniesienie. Tak więc teraz nasza tubylcza grupa przestępcza - patrycjusze - może się jedynie kotłować i gadać. Nie znaczy to, że przestali być niebezpieczni.

Lecz żadna frakcja nie jest tak wielka, żeby przegłosować tych trzystu nowych... nie muszę chyba dodawać, że wszyscy są lojalni wobec Cezura... tak że na razie senat jest nieszkodliwy. Cezar wyrwał zęby żmii.

- Tak, ale one odrastają.

- Jeszcze nie. - Antoniusz spojrzał spod ciężkich powiek na Lucjusza i Filona. - Idź do senatu i uszczęśliw siostrę. Nie przysparzaj mi więcej kłopotów. - Wyszedł energicznym krokiem i tyle go widzieli.

Dryas powróciła na halę. Siedziała w ciszy, patrząc z wysoka, jak noc obejmuje świat we władanie. Cień góry rozciągał się na równinie, ślizgał nad polami, lasami, nad domami i pastwiskami.

Z powodu oddalenia w czasie i przestrzeni nie odróżniała swojego plemienia od Rzymian.

Słońce zachodziło coraz niżej, lecz jego ostatnie promienie sięgały wysoko, zatapiając świat w cieniu i oświetlając szczyty złotym blaskiem. Miękkie, lśniące zielone trawy szeleściły, szeptały w powiewie wieczoru. Długie źdźbła pieściły jej kostki, łydki i uda.

Muszę go pokochać, tego człowieka - wilka, tak jak trawa kocha ziemię, na której rośnie, i jesienny wiatr, którego pocałunki nadają jej blask.

Muszę skierować jego płomień ku mnie. Nie tak, żeby mnie spalił, jak spalał pola pszenicy tych, których winił za śmierć lmony, ale tak by użyczył mi płomienia pożądania, który żeni owocującą ziemię z żarem ognia, dzięki czemu rodzi ona miriady kształtów tworzących królestwo życia. Drzewa skłaniające się w uwielbieniu przed wiatrem. Wysoki biały jęczmień, żółtą pszenicę, sady ozdobione wielością kwiecica, z którego powstają jabłka, śliwki, gruszki i pokryte meszkiem brzoskwinie. Kwiaty pustkowi unoszące twarzyczki i przysięgające wierność słońcu za dnia, a księżycowi nocą.

Burze ogniowe przeszywające niebiosa, zsyłające ziemi swoje groty i błogosławiające ofiarne narzędzia, które przejmują ogień z rąk bogów i przekazują go w ręce człowieka.

Następnie wyjęła żelazny pierścień i rozpałała ognisko z chrustu leżącego na trawie.

Słońce zawisło na krawędzi świata, po czym zstąpiło w ciemność. Na tej wysokości jej ognisko równało się światłu upiornego sierpa, wiszącego w przejrzystym jesiennym powietrzu niby ułamek paznokcia porzuconego przez wieczne bóstwo. W końcu oranżowo-zielony blask zachodzącego słońca rozpląnął się za horyzontem i miriady gwiazd zamigały z niebotycznej ciemności, spoglądając na samotnie stojącą Dryas.

Zdjęła koszulę i cisnęła ją w płomień. Ogień strzelił wysoko, oświetlając jej ciało, gdy stała dumna i naga w rozgwieżdżonej nocy.

Przyjdzie? - zadawała sobie pytanie. Zaplotła palce wokół łańcuszka na szyi, zacisnęła je w pięść.

Bluźnierstwo. Ten przedmiot to bluźnierstwo.

Nikt nie miał prawa tworzyć czegoś takiego, nie miał prawa zamykać w jednym przedmiocie wszystkich stadiów życia drzewa i wszystkich jego części, włączając je w obręb ludzkiego kosmosu. Tam, pomiędzy liśćmi, owocami i kwiatami, wyczuwała groźne tajne korzenie, wykręcone tak, jak chciał artysta. Drzewo kształtowało matkę Ziemię. Ziemia kształtowała drzewo. Zamknąć to wszystko w kręgu pociągało za sobą niebezpieczeństwo. Jej plemię zwykle tego nie czyniło, zawsze coś pomijało lub dokonywało podziału, nawet jeśli budowało fortecę lub rzeźbiło koronę.

Czy przyjdzie? - zastanawiała się. - Teraz on ma wybrać. Ja już wybrałam.

Usłyszała szmer rozsuwanej trawy i silne męskie ramiona objęły ją od tyłu. Zadrzała, ale natychmiast przyłgnęła do ciepłego, silnego ciała.

Pocałował ją w gardło i w ucho. Spytał niewinnie:

- Podoba ci się to? Imonie się podobało.

- Tak - odparła i nie skomentowała tego, że mówi o jednej kobiecie, trzymając w ramionach inną.

Nie - pomyślała. - To jeszcze duże dziecko. Muszę uczynić go mężczyzną... tej nocy.

Gładził ją całym ciele. Szukał, próbował, badał, a w końcu pieścił.

- Jesteś stworzona tak jak ona. Imienia pierwszej nigdy nie poznałem. Drugą była Imona. Miałem tylko was dwie. Wszystkie jesteście tak stworzone?

- Tak - powiedziała i wydała cichy zdławiony okrzyk. Dotarł w intymne regiony jej ciała i poczuła tam przedziwne drgnięcia.

- Co to miało znaczyć? To słowo? - zapytał. - Wydawało mi się, że znam większość słów, ale tego wcześniej nie słyszałem.

- Nie, to nie słowo, ale oznaka rozkoszy.

Bardzo łagodnie odwrócił ją ku sobie.

Po raz pierwszy ogarnął ją lęk. Jego oblicze tchnęło niesamowitą niewinnością, budzącą strach urodą. I przez chwilę doznała rozkoszy i poczucia winy złodzieja, który trzyma w dłoni zakazany owoc skazany na jego łaskę. Lecz nie, tu nie mogło być mowy o kradzieży. Miała raczej wrażenie, że on jest drżącą dziewicą, chętną panną młodą, a ona panem młodym, na którym ciąży obowiązek wprowadzenia jej w misterium i okrucieństwo tworzenia.

Lecz kiedy pocałował ją i przytulił do siebie, to złudzenie pierzchnęło. Był do szpiku kości samcem, nieugiętym samcem, a ona przez chwilę była tak wolna od poczucia odpowiedzialności, jak to tylko zdarza się zwierzętom. Przekroczyła swój Rubikon.

Poprzednio rozłożyła koło ogniska świeże lniane okrycie. Na nie rzuciła koc, jakiego używała, śpiąc na dworze.

Podszedł w kierunku tego pościelenia, mówiąc:

- Tak, Imona też lubiła na czymś leżeć. Mówiła, że pieczara, w której się parzyliśmy, jest zimna.

Prowadził ją tyłem, aż stanęła na pościeleniu.

- Znam twój dotyk. Znam twój zapach. - Przechylił ją w tył, podtrzymując ramieniem, i wsunął twarz między jej piersi. - Teraz chcę poznać smak.

Ona stała. Ukląkł przed nią. Rozsunął dłońmi jej uda.

- Jaki jest mój smak? - zapytała.

- Twój własny, niepodobny do żadnego innego. - Zrobił coś, nie wiedziała dobrze co, ale zatknęło ją i odruchowo zacisnęła dłonie na jego włosach, każąc mu czynić to dalej.

- Tak, jest wyłącznie twój. Od razu smakowałaś inaczej niż Imona i twój aromat jest inny.

- W takim razie kobiety to wino i każda jest innym pucharem? - zapytała.

Lecz nie odpowiedział. Był zbyt... zajęty. W chwilę potem zajęta była również ona, gdyż jej dolina rozkoszy zaczęła pulsować zgodnie z rytmem serca.

Znalazła się na ziemi, nie wiedząc, kiedy ani jak się to stało.

- Zeszłej nocy znikłaś z moich ramion. Jak mogę cię zatrzymać? - spytał.

- Nie wiem. Próbuje.

Zmienił pozycję i poczuła, że pulsowanie narasta. Tyle że teraz było cudowne, prawdę mówiąc tak cudowne, że Dryas nabrała przekonania, iż musi być zakazane. Lecz nie mogła się mu dłużej oprzeć, a także prądowi, który wciągał ją coraz głębiej. Chciała zaznać więcej rozkoszy i to pragnienie było zaspokajane. Coś weszło w nią, jak miecz wnika w ciepłą wyścielaną pochwę, z każdą chwilą przenikało ją głębiej, aż wydawało jej się, że nie wytrzyma dłużej. Miała rację.

Fala czystej rozkoszy zatopiła jej wolę, intelekt, a w końcu samą świadomość.

Nie panowała nad odruchami - wyginała się w łuk, zaciskała i prostowała palce, na końcu krzyczała - tak jak nie mogła uchronić swojego , ja" przed zagładą w otchłani poddania. Taka jest moc tworzenia, poznała ją wreszcie i choć walczymy z nią po kres naszej woli, wszyscy jesteśmy jej niewolnikami.

Dryas nie miała pojęcia, jak długo spała w jego ramionach, lecz kiedy się ocknęła, niebo było czerwone i pozycja gwiazd zdradziła jej, że brzask jest blisko.

Obok leżał nie człowiek, ale wilk. Był gigantyczny, nawet jak na górskiego wilka, i wiedziała, że tylko igrał sobie z Blaze'em. Żaden człowiek nie mógł stawić czoła temu stworzeniu.

Łańcuszek zadźwięczał na szyi Dryas. Wilk postawił ucho i wiedziała, że czuwa nawet we śnie.

Przez chwilę czuła lęk, ale odepchnęła to uczucie niegodne wojownika. W pojedynku, który musi zakończyć się zwycięstwem jednej strony, a śmiercią drugiej, akceptowanie zagłady to warunek przystąpienie do starcia. Nikt chętny do walki nie lęka się śmierci.

Mógł ją zabić. Wykastrowanie było łaską w porównaniu z tym, co mu szykowała.

Powiał wiatr, ogień ożywił się na chwilę, po czym opadł. Wilk spał dalej, oparłszy pysk na łapach, spał z zamkniętymi ślepiami.

Mrok napierał na Dryas niczym żywa istota. Usłyszała głos na wietrze, a może to był głos wiatru - albowiem ona jest nie tylko matką ziemi, lecz również królową wiatrów: Nie zwlekaj. Nie masz wiele czasu.

Powstała. Mogłaby przysiąc, że tylko na moment odwróciła spojrzenie od wilka, lecz kiedy znów na niego popatrzyła, był tam mężczyzna.

Czarny wiatr syczał nad trawami. Ruszyła ku niewidzialnym wyżłobieniom prowadzącym do skalnego okręgu, górującego nad doliną. Wiatr zmierzwił długie źdźbła trawy niczym czuprynę śpiącego dziecka.

W nocy osiadł na nich szron i paliły stopy Dryas, gdy zmierzała ku kamiennym zagłębieniom wiodącym w górę, ku...

Dziwne - pomyślała. - To miejsce bez nazwy, lecz każdy wie, o co chodzi, kiedy o nim mówisz.

Złapał ją w połowie hali, objął i próbował pocałować.

- Wracaj. Musi ci być zimno. Wracaj, ogrzeję cię.

Głos miał jak aksamit, usta jak jedwab.

Dryas przemknęły przez głowę opowieści o kobietach, które zdradziły mężczyzn. W sumie łatwo było wystrychnąć ich na dudka, ale dotychczas nigdy nie rozważała nawet takiego okrucieństwa, wykorzystania równie cudownej niewinności. Nauczyciele stawiali jej za wzorzec najwyższe standardy moralne, absolutną prawdomówność. Żądano od niej, by w razie potrzeby miała odwagę oddać życie, nie tylko bez słowa skargi, ale i bez namysłu.

Co pomyśleliby ojej uczynkach tej nocy? Lecz wiedziała, że oni, podobnie jak ona, wzięliby pod uwagę bezpieczeństwo plemienia Mira i chociaż z oporami, zaakceptowałiby jej wybór.

Lecz uznaliby również jego prawo wyboru.

- Mam na górze napój - powiedziała. - Rozgrzeje nas.

Czarny wiatr zamarł i cała ziemia zastygła w bezruchu.

- Niebawem nastąpi świt - rzekł. - Powiedz mi, gdzie to jest. Widziałem, jak wspinałaś się tam wcześniej. Wejść po niego. Tamto miejsce mi się nie podoba. Tchnie niedobrą wonią i ma złowrogi wygląd. Jeśli spadniesz, roztrzaskasz się o skały.

- Ty też - rzekła przez ściśnięte gardło.

- Nie, ja potrafię wrócić z krawędzi śmierci. Mam tę moc. Nic, co nie zabija od razu, nie może mi zaszkodzić. Nie jestem wilkiem.

- I nie jesteś człowiekiem. - Znów go pocałowała, oplatając całym ciałem i napierając na jego uda, jakby dopraszając się o pieśczętę.

- Nie, i nie chcę nim być. Ze wszystkich stworzeń pod niebem jesteście najokrutniejsi, najgorsi i bezlitośni. Nic nie ostoi się przed waszą wściekłością. Wilk wie, co to gniew. Lecz wy nie zabijacie, żeby żyć, tylko dla zabawy.

Całowała go, przesuając dłonie po jego ciele.

- Jeśli tak nas nie znosisz, to czemu przyjmujesz nasz kształt?

- Bo kuszą mnie... kobiety. Kobiety i moc.

- W takim razie chodź ze mną. Chodź, skosztuj miodu pitnego.

Zostawiłam trochę w pobliżu kamiennego kręgu.

- Piłem wino. Miód nie jest mi znany.

- W takim razie chodź. - Głos miała kusicielski jak wąż, gdy przemawiał do Ewy. - Nie pożądasz mnie znowu?

- Tak - odparł. - Tak, po nieskończoność. Każdej nocy i tyle razy, ile zdołam cię przekonać, żebyś mi się oddała.

- Chodź, a ukażę ci czary, cuda. Poznaj miłość idealną i wieczną.

- Nie. Ideał i wieczność to zbyt wiele w przypadku... To zawsze zbyt wiele.

Cofnął się. Odwrócił się i słuchał, gdyż w oddali zawył wilk.

- Wzywają cię?

- Nie. - Pokręcił przecząco głową. - To... One nie mają imion... Jak by ci go opisać... Ma siwy pysk, cztery pazury u lewej przedniej łapy i bardzo spiłowane zęby. Powiada mi, gdzie zlegną dzisiaj, kiedy słońce wzejdzie. Czemu mnie pytasz? Imony nigdy to nie zajmowało.

- Wydaje mi się, że nie chciała wiedzieć zbyt wiele o swoim kochanku.

- Nie chciała. I chyba nie wiedziała.

Wilczy chór rozległ się kolejny raz. Przeszedł ją dreszcz. On odpowiedział. Nie miała pojęcia, że ludzkie gardło może wydać podobny dźwięk.

Spojrzała na niego pytająco.

- Imona oszalałaby ze strachu.

- Ja nie jestem Imoną - rzekła Dryas. - Co ci mówią?

- Nic. To były grzecznościowe pozdrowienia. Teraz bądź rozsądna, chodź ze mną.

- Nie. - Odwróciła się ku skrajowi hali. - Chcę przywitać słońce i jest mi zimno. Miód mnie rozgrzeje.

Przyglądał się jej przez chwilę, gdy się oddalała, po czym wzruszył ramionami i poszedł za nią przez trawę.

Przez chwilę Dryas myślała, że przegrała, lecz miała na tyle ostry słuch, aby wychwycić szelest zmrożonych ździebeł trawy pod jego stopami. Po kilku krokach stanęła przed skałą. Szukała ręką chwytu, kiedy on zatrzymał się za nią, ujął jej dłoń i wsunął w pierwszy otwór.

- Dobrze widzisz w ciemności - skomentowała.

- Jestem wilkiem. Wiele rzeczy robię lepiej niż człowiek. Niezdarny z was gatunek. Macie inne umiejętności.

Nie poczuła się obrażona. Mówił rzeczowo, nie chciał jej urazić. Zrozumiała, że po prostu powtarzał to, co uznawał za prawdę.

Wspięli się razem.

Górska łąka była nieco osłonięta, lecz wyżej poczuła się tak samo jak w czasie pierwszej wizyty. Wiał nieprzerwanie wiatr.

Lecz Dryas ukryła tam inny koc i owinęła w niego glinianą flaszkę. Była zadziwiająco ciężka, glazurowana wewnątrz i z zewnątrz. Korek służył za naczynie do picia.

Uklękała, nalała nieco miodu do kubka i spróbowała napoju. Łyk na pusty żołądek i w głowie jej zawirowało.

Wiosną górskie kwiecie rozkwita jedno po drugim. Wpierw sady pogórza bieleją dzikimi wiśniami i jabłoniemi, potem odmiany drzew wyhodowanych ludzką ręką - brzoskwinie, śliwy, migdałowce, pigwowce - rozkładają białe, żółte i szkarłatne płatki.

Lecz obsypują się kwieciami również złowieszcze rośliny: żółtym - lulek czarny, upiornie białym - mak, niebiesko-żółtym - wilcza jagoda, która sieje pierwsze płatki w cieniach strumyków, między wiecznie zieloną lawendą ukrytą wśród traw.

Pyłki dębu, jesionu i buka roznosi wiosenny wiatr, a z nimi mieszają się nasiona jemioli, przekazując klucz do pozaziemskich ścieżek.

Pszczoly ich nie rozróżniają - pomyślała Dryas. - Coś ginie. Ginie na zawsze.

Albowiem tylko zakon Mira i Blaze'a umiał zbierać i warzyć miód, a żaden z bartników nie wychował godnego następcy. Sekrety miały pójść z nimi do grobu.

Wypiła, widząc tę tajemniczą, łagodną niewinność na jego obliczu. Pociągnął ostrożny łyk.

- Niezłe - rzekł i skosztował śmieiej. A potem, nie wiedząc kiedy, opróżnił naczynie.

Łagodnie scałowała ostatnie krople z jego warg. Dotknął jej piersi i ocknął się w niej dziki łowca. Pożądała go. Był jej potrzebny do utraty świadomości swojego „ja”, woli, jak za pierwszym razem. Ale wiedziała, że to się nie uda. Ciężyła na niej klątwa czynów dawnych i obecnych.

Teraz był bardziej natarczywy i niecierpliwy. Miód zrobił swoje. Osiągnęła tyle, że odwlekła chwilę, w której położył ją na ziemi. Powiodła go do płaskiego kamienia w środku kręgu.

Lecz gdy spoczęła na kamiennej płycie, w kręgu umarłych, ogarnął ją lęk i pożądanie osłabło. Ujrzała ich w każdej dziurze między kamieniami. Trwało to

jedynie krótką chwilę, potem ich wizerunki zaczęły drżeć niczym powierzchnia stawu, kiedy zmać ją owad lub ryba, a obraz drzewa i nieba rozłamuje się na tysięczne odłamki.

Kobieta w szorstkiej brązowej koszuli, o pustych oczodołach, dziecko trzymają za rękę. Oczy obojga wypalono. Młody woj, zbyt młody, jeszcze bez zarostu, tylko z meszkiem na brodzie, oczy zamknięte, łzy na policzkach, zamiast nogi krwista miazga, na szyi szkarłatna linia; raniono go i podcięto mu gardło, gdy leżał bezbronny. Inna kobieta osłania głowę szatą łopocącą na wietrze, ukrywa się, czaszkę ma zmiądzoną i brzuch rozplątany jak sarna.

To cienie - pomyślała Dryas.

Podniosła wzrok i skupiła się na jego twarzy. Wiatr się wznosił, przepędzał niskie chmury nad krawędziami płaskiej wyniosłości. Światła przybywało i dostrzegała bielejące opary. Nieboszczycy wnikali w kłębiące się chmury, wstające z dolin, i znikali.

Rozsunął jej nogi kolanem i zaraz potem rozplątał ją ból. Nie była jeszcze gotowa, gdy w nią wszedł. Ale może słusznie uczynił, bo ból ją uspokoił i przetrzeźwiała. Dała się wciągnąć w pospólne drżenie ciał, podniecenie. Zupełnie jakbym wlatywała bardzo wysoko na huśtawce - pomyślała.

Och, jak opisać to uczucie, nawet kiedy się je pamięta? Chcę unieść się wyżej. Niech to wznoszenie się nigdy nie ustanie. Aż wreszcie znalazła się najwyżej.

W tej samej chwili promienie słońca rozlały się złotem po mgłę. Wpatrywała się w jego twarz, przejętą i piękną, a jej ciało czciło go ulegle, gdyż spokój, którym promieniował, był absolutny.

Filon i Lucjusz stali bez słowa w łazience Antoniusza.

- Chciałbym... - rzekł Lucjusz, unosząc zaciśniętą pięść.

Filon położył mu dłoń na ramieniu.

- Nic nie mów. - Lucjusz jeszcze nie słyszał tak rozkazującego tonu w ustach lekarza. - Nie mów nic! - powtórzył bardziej prosząco. - Nic! Nawet w mojej obecności. Antoniusz nie żartował, ostrzegając przed zdradą. I usiądź. Twoje czoło znów krwawi.

Lucjusz dał się usadzić na stołku w pobliżu basenu.

- Pozwól, niech nałożę ci czysty opatrunek. - Sięgnął po ciężką misę. Woda nadal leciała z dzbanka posągu. Filon umył misę i napełnił ją ciepłą wodą. W kącie pomieszczenia leżał stos czystych ręczników. Wziął dwa, jednym zmył Lucjuszowi twarz, drugi podał na paski i rzekł: - Zanim porozmawiamy, daj mi się rozejrzeć.

Wyszedł i powrócił, niosąc pełny kielich. Podał go Lucjuszowi.

- Pij!
- To twoja mikstura?
- Tak. To przecież oczywiste.

Lucjusz wypił.

- Dobrze - rzekł Filon. - Teraz na pewno wiem, że jesteśmy sami.

- Jak mam się z tego wykaraskać?

- Nie wykaraskasz się. Mówię poważnie. Nie ma żadnych „ale”, niemniej możesz lec złożony ciężką malarią, trzeciacką albo czwartacką. Idź tam, a drugiego dnia owiń sobie gardło szmatą i mów każdemu... swojej siostrze również... że nabawiłeś się przeziębienia. Ja cię wspomogę, potwierdzę, że masz gorączkę. Następne kilka tygodni możesz przeleniuchować na sofie w bibliotece, czytając... na co przyjdzie ci ochota.

- A kiedy minie te kilka tygodni?

- Coś wymyślę. Zamierzałem odwiedzić cię dziś rano w bardzo ważnej sprawie. Ta dziewczyna, Vella... miała kogoś, kto ją bardzo kochał...

- Kochanka?

- Tak. Tyle że nie mężczyznę, kobietę; dziewczkę kuchenną, którą posłałeś po składniki do sałatki.- - Filon przeciągnął palcami po włosach. - Jest bardzo załamana. Rzuciła.... rzuciła... groźby.

- Och, nie, czemu nie zostawicie jej w spokoju? Gdzie Fulwia?

- Poczekaj, dziewczyna śpi, a inni mają na nią oko. Boją się. Kiedy któryś z niewolników zabije właściciela, całą służbę czeka śmierć. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Panicznie boją się takiej masakry. Są gotowi ją zabić, gdyby wpadła w szal. Lecz twoja siostra jest zupełnie bezpieczna. Poszła z wizytą do egipskiej królowej.

- I nic nie wie o tym, że ktoś chce jej wyrwać serce, jeśli tylko przyjdzie, że je ma.

- Właśnie. Zamierzałem wstawić się u ciebie za tą dziewczką kuchenną. A przynajmniej spróbować...

Lucjusz pokręcił głową i skrzywił się. Czoło bolało go dotkliwie.

- Czy zawsze los jednego człowieka musi być utrapieniem dla kogoś innego? Nawet najmarniejszego niewolnika?

- Prawie zawsze - rzekł smutno Filon.

- Wezwij pretora. Znasz kogoś, kto ją przyjmie?

- Jesteś pewien, że chcesz pretora, nie mistrza tortur?

- Pamiętam czasy, kiedy w patrycjuszowskim domu służba potrafiła być lojalna bez wzywania kata. Nie! Nie zbrukam mojego domu obecnością takiego indywiduum ani takim czynem. Nie! Ostatnią noc była dość potworna. Dość krwi na dłoniach mojej rodziny. Pozbądź się jej. Nie! Nie ma zginać. Nie! Daj jej wolność; powiedz, że ma się wynosić i nigdy więcej nie zbliżać się do posiadłości Bazylich. Znasz kogoś, kto ją przygarnie?

- Jest kobieta, która...

- Nie! Nie! Nie mów. Nie chcę znać jej imienia. Tylko pozbądź się tamtej... i zadbaj, żeby Fulwia nigdy nie usłyszała słowa o całej aferze. Zmrużyłeś oko tej nocy?

Filon pokręcił przecząco głową.

- Nie.

- W takim razie idź do domu i prześpij się.

- Nie mogę. Muszę odwiedzić Gordusa i sprawdzić, czyjego syn...

- Tamten drugi to był jego syn...!

- Tak. Zwie się Martinus.

- Czemu, na niebiosa?

- Chłopiec widzi w ojcu bohatera i pragnie iść w jego ślady - wyjaśnił Filon.

- Ach, Gordus chciał go zniechęcić.

- Właśnie. Jeśli będzie musiał, zrobi z chłopca kalekę, żeby trzymać go z dala od areny. I nie mogę winić go za ten zamiar. Gdyby mój syn...

- Gdyby to był twój syn, pewnie wychowałbyś go na mądrzejszego młodzieńca. Co Fulwia knuje z tą egipską... prostytutką?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Firminiusz jest z nią. Planują jakieś łożostwo, to pewne.
- W takim razie dajmy wolność tej dziewczynie, zanim moja kochana siostrunia wróci. Trzeciacką czy czwartacką?
- Co?
- Pamięć słabnie ci z każdą chwilą. Co ile dni ma mnie trząść zimnica?
- Co trzy. To mniej ważne. Nie zależy nam na tym, żeby w twoją siostrę wstąpiły teraz jakieś wielkie nadzieje, prawda? A przy okazji, co ta aleksandryjska tancerka wam zaproponowała?
- Mniejsza z tym. Lepiej, żebyś nie wiedział.
- Nie?
- Nie.

Kiedy Maeniel się obudził, Dryas siedziała na krawędzi kamienia, zaplatając włosy w warkocz.

Mgła wypełniała dolinę. Opary były tak gęste, że zakryły nawet halę.

Usiadł prosto, wiedział, że nie spał długo, i osłonił oczy przed światłem. Głowa go bolała. Nie wiedział, co to kac. Spróbował przywołać swoją wilczą postać i wpadł w panikę, kiedy się nie udało.

Dryas wstała, ubrana tylko w naszyjnik. Warkocz upięła z tyłu głowy.

Spotkali się wzrokiem i zdał sobie sprawę, że zachował swoje wilcze zmysły. Powiedziały mu, że na hali są ludzie. Słyszał dzwonięcie ogniwi łańcucha. Zastanawiał się, dlaczego go nie zabito. Kości góry leżały blisko i złapał kamień, lecz znów napotkał jej wzrok.

Miała ciemnoniebieskie oczy, nie jak woda lub niebo, lecz jak lapis - lazuli lub szmaragd. Przypominały jagody, które zjadł, zanim przebył rzekę i spróbował uratować Imonę. Ich niebieskość smakowała i pachniała jak... jak niebieskość. Potem jej oczy stały się studniami, a czarne źrenice rozszerzyły się jak źrenice sokoła, który spogląda w dal lub w głęboki mrok, szukając ofiary. Przypominały skrzydło kruka, którym ptak osłania zakrwawione strzępy mięsa.

Tak - pomyślał. - Zabijałem bez potrzeby.

Przypomniał ich sobie, kiedy byli plemieniem ognia, a jego plemię, wilki, napotkało ich po raz pierwszy polujących na zamarznętej równinie. Biedne

stworzenia. Początkowo żywili się tylko padliną, zamrożonymi szczątkami, którymi wzgardziło szare plemię, jego plemię; żółte - kory i im podobne; i brązowe - gigantyczne niedźwiedzie.

Byli słabi. Być może to ta słabość dodała im sił. W ich okrzykach i zaciekłości, z jaką ciskali kamieniami i kijami w zabójców - rywali, była desperacja.

Tak, wataha, która stawiała opór, mogła zabić jednego osobnika, lecz tamci zawsze zabijali dwóch lub nawet trzech przeciwników. Oślepiali żółte plemię ogniem, a często wylupywali ślepią ofiarom, używając zaostrzonych kijów, tak że drapieżne koty błąkały się w wiecznej ciemności, nieprzytomne z bólu, aż zdychały wygłodzone.

Brązowi, niedźwiedzie, najdłużej stawiali opór. Wszyscy w zamarznętej tajdze i tundrze lękali się tych potworów. Lecz i one się ugięły, bo chociaż dysponowały wielką siłą, wiodły samotny tryb życia i przesypiały miesiące mroku.

Jego wilczy umysł nie znał pojęcia czasu, nie wiedział, jak długo trwała ta batalia. Nikt nie liczył dni, miesięcy, lat ani nawet tysiącleci, nie zaznaczał krótkich okresów lata lub epok, podczas których lód cofał się i warunki stawały się łagodniejsze.

Zimno i ciemność powracały zawsze, zawsze. Tamci ginęli od wilczych kłów. Od chorób. Dygotali i gaśli podczas zjadliwie zimnych nocy, w marnych kryjówkach przeszywanych zabójczymi wiatrami. Koty porywały ich młode, którym samice pozwalały oddalić się zbyt daleko od hordy. A gigantyczny niedźwiedź jaskiniowy wypędzał ich ze swoich legowisk.

Sto razy ponosili klęskę, tysiąc razy. Można by spędzić życie, jedynie wyliczając ich porażki, lecz nigdy nie ulegli. I to właśnie ta nieugiętość przyciągnęła wilki do wykrotu, tak że legły tam i ogrzały garstkę kobiet, które starały się uratować życie własne i swoich dzieci.

Zapomnieli o tym wszystkim i rządili tam, gdzie niegdyś byli wyrzutkami, nawet wśród drapieżców. Lecz ich ciała, każdy nerw, każda kropla krwi w żyłach, każdy odłamek kości, pamiętały i przechowały wiarę w zwycięstwo.

Dojrzał to wszystko w oczach Dryas. Jak oni wszyscy była stworzona do pożądania i do zabijania.

Runął w ciemność, która się przed nim rozpostarła, i przepadł.

15

Zima coraz szczelniej skuwała góry mrozem. Lodowce wysyłały w doliny swoich posłańców - śniegi. Rzeki zamrzły poza wodopojami wilków. Szukały go tam i przez jakiś czas wzywały upiornymi głosami, od których huczało w górach. Lecz ani nie odpowiedziały, ani nie wróciły. Tak więc w końcu zarówno zwierzęta, jak i ludzie zapomnieli o nim.

Pojawił się inny basior i wataha dobrze sobie radziła. Dni stawały się coraz krótsze i czasem światła północy błyskały nad górami.

Wilki przemierzały zamrzniętą powłokę jak cienie demonów i powodziło im się świetnie pośród zimowej nędzy. Kiedy wszystkie inne stworzenia walczyły z głodem, zimnem i nawet pragnieniem, gdy potoki i rzeka zamrzły, one odbierały należne im ofiary - młode, które nigdy nie miały ujrzeć wiosny, a także osobniki, które osłabił głód lub podeszły wiek.

Nawet Rzymianie nie wychylali nosa poza forty w dolinie, gdyż dni były zbyt krótkie, a zimno zbyt dotkliwe. W tej sytuacji potężni srebrni drapieżcy śmigali nawet po dolinach w blasku słońca i gwiazd.

Dryas pozostała z Mirem i jego żoną.

- Nikt nie pamięta tak ostrej zimy. Nawet mnie, któremu mało kto dorównuje wiekiem, trudno jest przypomnieć sobie gorszy czas.

Dryas siedziała przy stole, karmiąc jego żonę zupą. Dziewczyna zapomniała czasem, że je, i Dryas musiała trącać ją w usta drewnianą łyżką, aby przełknęła poprzednią porcję.

- Jesteś bardzo cierpliwa - rzekł Mir.

Dryas skinęła głową i dalej robiła swoje.

- Nie tylko w przypadku dziewczyny. Myślisz, że on się kiedyś otrząśnie?

- Nie wiem - odparła. - Wiem tylko, że z racji tego, co uczyniłam, muszę próbować nawiązać z nim kontakt.

- Może powinniśmy go zabić. Ja chciałem. Próbowałem.

Tak było. Kiedy przynieśli człowieka, który niegdyś był wilkiem, przykuli go łańcuchem w przybudówce służącej za stajnię koniowi Dryas. Nie odzywał się. Jako wilk zachowywał się niczym człowiek; a kiedy został człowiekiem - tak długo, jak Dryas nosiła łańcuszek - bardziej przypominał wilka.

Nie sprzeciwiał się włożeniu odzieży. Wiedział, że ludzka skóra jest cienka i człowiek szybko się wyziębia. Przykuli go za nogę do ściany. Miał wolności na długość ludzkiego ciała. Jednego nie robił, nie brukał legowiska. Łańcuch był na tyle długi, że zostawiał odchody w gnojówce pośród chwastów.

Jednak zbliżanie się do niego było niebezpieczne. Jeden z ludzi Mira podszedł za blisko i nieszczęśnik został unieruchomiony na resztę zimy. Miał połamane żebra i ramię.

Po tym zdarzeniu pokarm wykładano mu na kawałku kory i podsuwano rozwidlonym patykiem. Czasem jadł, czasem nie.

Nikt nie wiedział, dlaczego na Dryas i Mira spadł jeszcze jeden miazdzący cios. Mir próbował go otruć, sypiąc opium do resztek z ludzkiego stołu, zmieszanych z warzywami, które dostawał co dnia.

- Mam nadzieję, że po prostu zaśnie i nigdy się nie obudzi - rzekł Mir.

Lecz to żona Mira zjadła feralny posiłek. Nie wiedzieli, że jest jedyną osobą, której towarzystwo znosi. Nie wiedzieli, że każdego dnia przychodzi do jego legowiska. Zjadła, co mu podsunęto. Ani Dryas, ani Mir nie mieli o niczym pojęcia, dopóki nie zaczął walić pięścią w ścianę, aż zaczęła się sypać.

Dziewczyna rzucała się, nie mogąc złapać tchu. Odtruwano ją całą noc i prawie cały dzień, lecz kiedy się ocknęła, była w gorszym stanie niż poprzednio. Nie sięgała po jadło. Czasem nie spała.

Dryas każdego wieczora przynosiła mu posiłek. Popychała miskę patykiem, siadywała na stosie drewna pod niższą ścianą przybudówki i próbowała nakłonić go do mówienia.

Ignorował ją, nie chciał z nią rozmawiać i zachowywał się tak, jakby jej nie było. A już na pewno nie patrzył jej w oczy. Pograżyły go raz i zapamiętał ich moc.

W głębi przybudówki znajdowało się okno, częściowo zasłonięte deskami. Za nimi i za drzwiami tak niskimi, że musiał się przez nie przeczołgiwać, dostrzegał lasy ogołocone przez zimę.

Szkielety drzew rysowały się na tle nieba zasnutego mgłami. W pogodne dni widać było ośnieżone góry w osłonie wysokich lasów - świerków, sosen i jodeł - o szczytach zasnutych mgłami i czasem długimi welonami deszczu, później zrobiło się bardzo zimno.

Pierwsze dni niewoli były najgorszym okresem jego życia i nigdy nie chciał ich wspominać, nie chciał przeżywać ich powtórnie. Część jego osoby uległa zniszczeniu. Nie wyobrażał sobie, aby jakiegokolwiek stworzenie, zwierzę bądź człowiek, mogło przeżywać tak wielki ból i równie głęboką rozpacz.

Tylko w snach był wolny. Tylko w snach przywdziewał szare futro i wędrował ze swoimi przyjaciółmi, z tymi, których kochał. Poznał poczucie winy, gdyż dał się uwieść ciepłemu, słodkiemu ciału Dryas, poznał też żal tak potężny, że czasem odchodził od zmysłów w długie, zimne bezsenne noce.

Lecz wtedy odwiedzała go żona Mira i przytulając się, szukała ciepła, tak że przesuwając się na legowisku ze szmat, robiąc jej miejsce przy ścianie. Przeważnie spała niespokojnie. Można by pomyśleć, że kolejny raz musi odtworzyć w myślach długą, tragiczną i nieznośnie bolesną historię swojego życia.

Czasem, kiedy jęczała lub krzyczała, widział, jak cienie gęstnieją w ciemności, sprawując nad nią straż. To, co we snach sprawiało jej tyle bólu, wzywało umarłych z grobów, aby dzielili jej smutek.

Mir martwił się nią.

- Uważasz, że on może... - Urywał, ponieważ ta myśl była zbyt straszliwa, aby wyrazić ją w słowach.

- Nie - rzekła Dryas. - Nie uważam. Polując na niego i trzymając go w niewoli, przekonałam się, że tylko wtedy okazuje miłość kobiecie, kiedy ona... okaże mu przychylność. Jego pożądanie musi być odwzajemnione. Obrażenia tej małej są takiej natury, że chyba nie byłaby w stanie zbliżyć się do niego jako kobieta. A poza tym, co zrobisz? Przykujesz ją na łańcuchu jak jego? Uwięzisz?

Mir nie powiedział: „Powinnaś go zabić”, chociaż nadal tak uważał, uznał, że mówił o tym dość razy. Chociaż nadal pchało mu się to na usta.

Dryas chodziła do Maeniela każdego dnia i siadywała na pniu dębu, który okazał się za twardy nawet dla siekiery i piły, i próbowała do niego dotrzeć. Po jakimś czasie zabrakło jej słów i siedzieli w milczeniu, pogodzeni z dzielącą ich głęboką przepaścią. Czasami przychodziła szalona i jadła pokarm z jego misy, podczas gdy Maaniel i Dryas przyglądali się zachodowi słońca.

On wiedział, że każdy zachód jest taki sam, a zarazem inny, lecz ona całe życie była zbyt zajęta, by to zauważyć. Obserwowała, jak słońce zawisa nad

horyzontem i chowa się za niego, i przekonała się, że każdy dzień obdarza ludzkiego ducha i umysł nowym pięknem. Może ducha i umysł każdego żywego stworzenia.

Po kilku odwiedzinach żony Mira przestała się o nią lękać. Traktował ją jak szczenię, które jeszcze ssie matkę, obojętnie, ale opiekuńczo. Nie przedstawiała dla niego zagrożenia, zresztą nie mogła zagrozić niczemu większemu niż mysz albo jaszczurka.

Kiedy łapała małe zwierzęta i niosła je do garnka, Dryas łagodnie wyjmowała je z jej dłoni. Lecz gotowała igliwie sosnowe, zeschnięte liście, połamane patyki i gałęzie, stare kości rozsiane w lesie i czasem poroże zrzucone przez jelenia lub łosia.

Co jakiś czas Dryas opróżniała gar, czyściła go, prała ubranie i pościel Mira, a także dziewczyny. Kiedy było dość ciepło, aby wysuszyć pranie na słońcu, rozkładała je na gałęziach drzew i krzaków. Gotowała i polowała. Ponieważ sprawnie władała łukiem i oszczepem, przynosiła tyle mięsa, że żywiła całą czwórkę.

Pewnego najbardziej mrocznego, mroźnego i krótkiego dnia zimy wilk natężył wszystkie siły i spróbował zabić Dryas.

Każdego dnia rąbała drewno na opał. Raz ciężkie jesionowe polano dotoczyło się tak blisko niego, że zdołał je dosięgnąć. Miała tyle obowiązków na głowie, że tego nie dostrzegła.

Zimno przeszywało do szpiku kości. Niebo od tygodnia było zasnuwane chmurami, powietrze pachniało śniegiem. Dryas zatrzymała się po wejściu do przybudówki i patrzyła na szare chmury wiszące nad przełęczą, zaróżowione na brzegach gasnącym blaskiem słońca.

Weszła do środka, położyła na polepie płat kory i sięgnęła po patyk.

Polano wyfrunęło z ciemności, ciśnięte z taką siłą, z jaką tylko silne męskie ramię potrafi wyrzucić pocisk.

Wcześniej rozważał na zimno, jak najlepiej ją zabić. Trafiając ją w głowę? Nie, szczapa była zbyt ciężka i mógł chybić. Nie znał się na sztuce zabijania opanowanej przez ludzi. Nigdy nie ćwiczył rzucania czymkolwiek i nie chciał ryzykować. Tylko tak mógł się odpłacić za ból, który mu zadała.

W nogi? Zauważył, że chociaż egzystencja wilków zależy od sprawności ich łap, z ludźmi jest inaczej. Potrafili przeżyć najpotworniejsze rany nóg, po których wilk zdechłby w ciągu paru dni lub jeszcze krócej.

Nie, połamanie nóg Dryas nie było dobrym pomysłem, lecz miała szczupłe ciało, niemal kruche. Odwrócił się ze wstydem na wspomnienie, jak bardzo pożądał tej wąskiej talii i delikatnych piersi. Gdyby wbił jej kształtne żebra w płuca, umarłaby jak Biały Bark od *gladiusa* rzymskiego żołnierza.

Lecące polano trafiło ją prosto w tors, łamiąc dwa żebra i obijając sześć innych. Rzuciło ją na sag drewna, obracając do ściany. Uderzyła czołem o pień dębu, na którym zwykle przesiadywała. Lecz nie straciła przytomności, nawet nie została oszołomiona.

Miała przy sobie miecz. Prawie nigdy się z nim nie rozstawiała, nawet gdy była zajęta takimi przyziemnymi sprawami jak gotowanie czy cerowanie. W jednej chwili wyskoczył z pochwy. Ruszyła na przeciwnika, niezdolna przewyciężyć nienawiści i wściekłości.

Stał ubrany w wyblakłą tunikę, jaką wyszykowała mu ze zużytej derki. Dryas na zawsze zapamiętała mroczną nienawiść płonącą w jego oczach.

W ostatnim blasku dnia ostrze zakreśliło w powietrzu migotliwy łuk. Zamierzała poderżnąć mu gardło.

Lecz żona Mira stała w drzwiach, widziała krew na twarzy Dryas i żądzę mordy na jego obliczu. Krzyknęła z tak przeraźliwym bólem i grozą, że nikt, kto nie słyszał tego krzyku, nie uwierzyłby w jej mękę. Głos szalonej przeszył czaszkę Dryas, jak szydło przeszywa miękką skórę. Cios poszedł płazem. Miecz rozciął tunikę i skórę człowieka - wilka na szerokość dwóch dłoni. Dryas włożyła taką siłę w zabójczy cios, że straciła równowagę i upadła, opierając się prawą dłonią o polepę.

Uspokojenie żony Mira zajęło sporo czasu. W końcu byli zmuszeni uciec się do opium. Inne środki, Waleriana i szałwia, nie mogły opanować wzburzenia i grozy dziewczyny. Kiedy wreszcie zasnęła, wstrząsana czkawką po napadzie hysterii, i oddech się jej uspokoił, Dryas i Mir usiedli i porozmawiali, ale to raczej Mir mówił, a Dryas płakała.

- Jestem w kropce - powiedział Mir. - Nie wiem, co robić. Tak, chyba zabicie go byłoby błędem, ale wydaje mi się, że w końcu nie będziemy mieli wyboru, bo druga możliwość to uwolnić go takiego, jaki jest, pół człowieka, pół zwierzęcia.

- Nie będzie wilkiem. Jak motyl w pajęczynie tak on jest uwięziony w ludzkiej postaci. Zmieniłam coś, co kiedyś było piękne, w potwora. I okaleczyłam go

na zawsze. Mogę wyrównać mu krzywdę, tylko ucząc go, jak najlepiej może wykorzystać niewolę dla swojej ludzkiej połowy.

- Nie, nawet jeśli naprawdę masz taki zamiar, nie wyrównasz mu krzywdy. Los rzadko uśmiecha się do kalek. Uwięziony w ludzkiej postaci może stać się równie niebezpieczny jak wilk. Niewykluczone, że jeszcze bardziej. Może stać się rozbójnikiem. Postaw sobie pytanie, czy mój nieszczęsny lud, już uginający się pod rzymskimi podatkami, zasługuje na to, żeby on na nim żerował? Lękam się, bo dość go poznałem. Nawet jako człowiek jest niebywale silny i szybki. Kiedy opanuje sztukę posługiwania się bronią, stanie się śmiertelnym zagrożeniem dla każdego, kto znajdzie się w zasięgu jego miecza. A nawet rąk.

- Nie jest tak silny jak wtedy, kiedy go pojął. Stracił na wadze. Nie je, a czasem nie śpi. Jeszcze nie ma śródka zimy. Z twoją żoną jest coraz gorzej. Nabrałam przekonania, że tylko on trzymają przy życiu. Mir, jestem pewna, że nim nastanie wiosna, przyjdzie nam wykopać dwa groby.

Mir odchylił się na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili złożył je na stole.

- Jestem przeciwny temu, żeby ta okrutna historia potoczyła się własnym torem. W młodości nie raz i nie dwa słyszałem podobne opowieści. Grecy zbierają je z lubością; o Edypie, Jazonie i Medei, Agamemnonie. Mają chorobliwe upodobanie do tych koszmarnych mitów. Od pierwszego słowa tych opowieści wiesz, jak się skończą. Masz nadzieję, że czyjaś życzliwa dłoń podsunie kielich z trucizną jasnowidzowi Tejrezjaszowi lub że Medea okaże serce swoim dzieciom. Albo Orestes lub Elektra zadowolą się tym, że bogowie pomszczą śmierć ich ojca, a oni sami przejdą nad tym do porządku i będą żyli w spokoju. Ale nie, nic takiego się nie wydarza. Nigdy. I mam wrażenie, że los zapędził wszystkich mieszkańców tej chaty w kozi róg, z którego żadne z nas czworga nie wyjdzie bez szwanku.

Dryas niewiele zrozumiała z tej tyrady.

- Nigdy nie słyszałam żadnej z tych opowieści.

- Więc cię z nimi zapoznam. Cóż, moja droga, jeśli uznasz, że winnaś postępować jak dotychczas, to dotrzemy sobie towarzystwa przez jakiś czas. A kiedy w końcu dojdiesz do wniosku, że to stracona sprawa, daj mi znać, a ja pomogę zakończyć jaz godnością tobie i naszemu niegdysiejszemu wilkowi. Nie wydaje mi się, żeby któreś z nich przeżyło, moja żona czy ten wilk. Lecz jeśli musisz

marnować siły w tej daremnej szamotaninie, to jednak pociesz się, że mogło ci się trafić gorzej.

Lucjusz nigdy by tego nie potwierdził, ale okazało się, że Cezar i Marek Antoniusz mieli rację, a Filon nie.

Senat okazał się absolutnie fascynującym miejscem. Nieprzyjemnym, niebezpiecznym, niewygodnym i nawet w gruncie rzeczy niepojętym, niemniej jednak fascynującym.

Jak Antoniusz kładł mu to do głowy, Cezar upakował w kurii nowych ludzi. W teorii dawni patrycjusze powinni kontrolować nową legislaturę, ale chyba stracili do tego serce. Lub też mieli za bardzo na pieńku jedni z drugimi, nawet teraz gdy utarł im nosa człowiek, który bynajmniej nie ukrywał, że ich nienawidzi. A rozwarstwienie, nieuchronny wynik snobizmu wszystkich zainteresowanych, nie pomogło wprowadzić ładu w niegdyś szacowne i wpływowe ciało.

Lecz bez względu na to, z czym miał do czynienia, Lucjusz chłonał ten spektakl, kiedy usiłował odnaleźć w nim rolę dla siebie. Wyniośli patrycjusze patrzyli z góry nawet na najstarsze rodziny plebejuszy, niemal dorównujące im pozycją towarzyską. Tamci z kolei traktowali wyniośle cudzoziemców - jak ich nazywali - świeżo upieczonych senatorów z Galii, Grecji, Afryki i niektórych prowincji rzymskich, udając, że ci nie istnieją.

Kotłowanina i gadanina. Tak określił to Antoniusz i okazało się, że wiedział, co mówi. Zbierano się około trzeciej godziny, kotłowano i gadano, póki nie zjawił się Cezar lub jego urzędujący przedstawiciele. Tymczasem stał się dożywotnim dyktatorem i senat zachowywał się odpowiednio - postępował pod dyktando dyktatora. Funkcją zgromadzenia było natychmiastowe i entuzjastyczne aprobowanie każdego prawa czy ustawy zaproponowanych przez Cezara. A gdy trafiła się luźniejsza chwila, nadawało się mu jakiś nowy, bezprecedensowy zaszczyt.

Lucjusz niebawem przekonał się, że stara warstwa rządząca całym sercem nienawidzi Cezara, ale mogła tylko przyglądać się bezradnie, kiedy podporządkowywał sobie administrację rzymską.

- Jeśli Antoniusz uważa, że trafię na coś, co może mu się przydać, u Grakchów, Scypionów, Metellów lub innych prześwieatnych pierwszych familii, to ma

rozmiękczeniu mózgu - zwierzył się Lucjusz. - Żaden z nich nie odzywa się do nas, nowych ludzi, i możemy mówić o wielkim szczęściu, jeśli w ogóle dostrzegają naszą obecność. Pewnego dnia Tuliusz Cymber odepchnął mnie, kiedy wychodził do ogrodów przez drzwi frontowe kurii. Gdybym upadł, pewnie przeszedłby po mnie jak po wystającym bruku.

- Zniosłeś to gładko? - spytał Filon.

- Nie, nastąpiłem mu na nogę i kopnąłem w goleń, a miałem na sobie stare wojskowe obuwie. Chyba wiedział, kto mu to zrobił i dlaczego. Oto jedna z tych małych wiktorii, którymi się napawamy. A Ci nowi senatorowie to ciekawski ludek. Jak do tej pory mam sześć zaproszeń na kolację. Dzisiaj do dwóch Greków, Maniliusza i Feleksa. Poznaliśmy się wczoraj. Widzieli, co zrobiłem Cymberowi, i radości nie było końca.

Lucjusz stał przy drzwiach i rozcierał obolałe żebra po łokciu Cymbra, kiedy tamci dwaj podeszli do niego. Padał kapuśniaczek i ogrody były smutnie nagie w chłodzie wczesnej zimy. Poza piniami wszystkie drzewa były nagie i żaden z niewolników państwowych nie sprzątał alejek między rabatami. Okrywały je brązowe, ociekające wodą liście.

- Ładna robota - rzekł jeden z nowych senatorów i przedstawili się.

- Skąd jesteście? - spytał Lucjusz.

- Z Grecji - powiedział Maniliusz.

- Z Afryki - dodał Feleks. - Prawdę mówiąc z Aleksandrii, ale... Cezar lub ktoś z tłumu jego zauszników wyznaczył nas do reprezentowania Grecji.

Maniliusz wyglądał jak wielu Greków: ciemnokasztanowe kręcone włosy, delikatna blada cera, lekka, ale atletyczna budowa. Feleks był Murzynem; karnacja hebanu, ciemne oczy, kręcone włosy, znakomita muskulatura, tchnąca radością twarz i wspaniałe białe zęby, które odcinały się na tle ciemnej skóry.

- Z Grecji... - powtórzył Lucjusz. - Nie obraż się, Feleksie, ale nie wyglądasz...

Obaj młodzieńcy wybuchnęli śmiechem.

- Jestem Afrykaninem - wyjaśnił Feleks. - Mój ojciec spekuluje, sprzedaje dzikie zwierzęta na igrzyska do Rzymu. Zarobił masę pieniędzy i wysłał mnie do Aleksandrii, żebym nabrał ogłady w sztukach wyzwolonych.

- Jego ojciec - wtrącił Maniliusz - po pewnym czasie uznał, że wyzwolił się tak, że już bardziej nie można, i wezwał go do domu.

- Tak - rzekł Feleks. - Prawdę mówiąc, w Aleksandrii nabrałem paru przyzwyczajęń, których mój ojciec zupełnie nie aprobował, a jego dezaprobata była tak wielka, że musiałem uciekać w koszuli nocnej, bo groziło mi, iż wyląduję w klatce z lwami w charakterze śniadania tych bestii.

- Na szczęście jego matka nie była tak ograniczona jak jej małżonek, więc zdążyła ostrzec go na czas - dorzucił Maniliusz - i zapowiedziano mu, że byle trzymał się z daleka od domu, a ojciec nie będzie robił mu wstrętów. Dostał nawet pełnomocnictwa do prowadzenie agentury w Rzymie.

- Tak - potwierdził to Feleks. - Co kwartał otrzymuję ładną sumkę. Prowizję za podrykanie transportów ojca dostawcom Cezara w okresie igrzysk.

- A on wsadził cię do senatu - powiedział Lucjusz.

Tamci zachichotali jak para dziewczuszek. Maniliusz uniósł dłoń przyjaciela i ucałował ją łagodnie. Feleks poklepał go po policzku.

- Jesteś przesłodki, mój skarbie.

- A co ty, Maniliuszu, robisz dla Cezara? - spytał Lucjusz.

- Och, dostarczam korzenie. Jestem pośrednikiem, nie wiesz? Moja rodzina siedzi w tym interesie od czasu wojny peloponeskiej.

- Och, dłużej, dłużej - rzekł Feleks. - Co najmniej trojańskiej.

Obaj roześmieli się.

- Zjedz z nami kolację dziś wieczór - zaproponował Lucjuszowi Maniliusz i zwrócił się do Feleksa: - Wyobrażasz sobie, oto Rzymianin, który odezwał się do nas publicznie. Zjawi się przeuroczy attycki poeta. Dziś wieczór przedstawi nam swoją ostatnią odę. Mamy wyśmienitego kucharza i na deser będziesz mógł wybrać sobie dziewczynę lub chłopca.

- Obawiam się, że sprawię wam zawód - rzekł Lucjusz. - Nie jestem patrycjuszem, chociaż moja matka wywodziła się z patrycjuszowskiej rodziny. Wyszła za mąż za osobę niższego stanu. Bazylowie są tylko ekwitami.

- Poznanie cię jest prawdziwą radością - oświadczył Maniliusz.

- Bogowie, a kimże są ci ekwici?

- Łaskawie wolno nam zarabiać na handlu. Jesteśmy rzymską warstwą ludzi interesu.

- To w niczym nie umniejsza mojej radości z poznania ciebie - rzekł Maniliusz. - I bardzo proszę, zechciej złożyć nam wizytę.

- Może porównamy nasze doświadczenia w handlu – zauważył Feleks.

- A może jesteś zainteresowany rynkiem korzennym?

- Tak czy siak, chyba przyjmę ich zaproszenie na dzisiejszy wieczór - oświadczył po złożeniu relacji Lucjusz.

- Prawdopodobnie dobrze byłoby zadbać o tę znajomość - powiedział Filon.

- Znasz któregoś z tej pary?

- Feleks ma hemoroidy.

- Feleks? Spodziewałbym się tego po Maniliuszu, a może żołnierze, którzy uzupełniali moją wiedzę, mylili się. Powiadano mi zawsze, że to ten, który gra rolę kobiety, ma chory tyłek.

- Żołnierze gadają byle co - powiedział Filon. - Przyjmuję co najmniej trzech w tygodniu z osobistej gwardii Kleopatry. Ten sam problem.

- To mnie nie dziwi. Nie mogą się żenić. Regulamin im nie zabrania, ale z zasady poniżej centuriona nie mają dość pieniędzy i za często zmieniają miejsce pobytu, żeby utrzymać rodzinę. Tak więc zostają im miejscowe kurwy, a te są przeważnie brudne, pijane i brzydkie, jeśli nie w ostatnim stadium choroby, i niebezpieczne. Stawiam pięć sestercji do dwudziestu pięciu, że jak któryś z nich trafi na niewinne młode dziewczę, to opiekun tego uroczego stworzenia czyha gdzieś nieopodal, gotów podciąć nieszczęśnikowi gardło za miedziaka, wojskowy miecz albo parę butów. Więc przeważnie kontentują się jedni drugimi i nie mogą mieć o to do nich pretensji. Nie mogę też powiedzieć, żebym palił się do powrotu do armii. Czemu miałbym dbać o tę znajomość? Nie wydaje mi się, żeby łączyło nas wiele wspólnego.

Filon uśmiechnął się zimno.

- Po pierwsze, są nieszkodliwi jak króliki. Po drugie, wielu arystokratów nie wymieni z nimi słowa w kurii, ale przybiegnie w te pędy na każdy ich bankiet. Prawie wszystkie korzenie, jakie pojawiają się na stołach w Rzymie, przechodzą przez magazyny Maniliusza, a Cezar upodobał sobie Feleksa i traktuje go jak pieska pokojowego.

Po trzecie, obaj są nieuleczalnymi plotkarzami. Nie wątpię, że każdy z nich zszedłby ze swojego stosu pogrzebowego, by posłuchać ostatnich sprośnych rewelacji z życia wielkich naszego miasta lub by powiadomić o nich zgromadzonych żałobników.

- Hmm, Filonie, czy Cezar...
- Nie i nie powtarzaj tego starego kłamstwa o królu Nikomedesie, bo jeszcze Cezar się dowie. Nie tak mało ludzi, którzy sztychli z niego za młodu, zostało uhonorowanych finalnym zaproszeniem na Pola Elizejskie. Najwybitniejszy rzymski wódz potrafi być uprzejmy.
- Filonie, czy...
- Nie. Zapewne mógłbym łapówką wybawić ojca z kłopotów, gdybym nie był opętany przez urocze stworzonko imieniem Roksana.
- Coś czuję, że splukałeś się przez nią do czysta, he?
- Uhm - odparł ponuro Filon.

Dryas powróciła do chaty o świcie. Zastała go śpiącego. Mir miał rację w jednym: człowiek - wilk zachował nienaturalną siłę i przedziwną moc. Po cięciu biegnącym przez pół torsu została tylko czerwona blizna. Dryas wiedziała, że do południa zniknie i ten ślad.

Ocknął się.

- Chowasz jeszcze coś pod poduszką? - spytała ostro.
 - Niestety nie. Powinienem mierzyć w głowę, ale bałem się chybić.
- Dryas pokuśtykała do pniaka i usiadła na nim. Oddychała z trudem, żebra mocno dawały się jej we znaki. Zauważył to.
- Przynajmniej zadałem ci ból i na długo zapamiętasz mnie i moje cierpienie.
 - Tak, zapamiętam - odpowiedziała. Przez chwilę siedziała prosto. To również bolało. Spróbowała spojrzeć mu w oczy, ale unikał jej wzroku; siedział wsparty o ścianę i przez otwarte drzwi patrzył na rozpalające się światła dnia.
 - Zabrałaś mi życie. Litościwiej byłoby mnie zabić.
 - Nie! I nie zabrałam ci życia, jedynie połowę. Tak nakazywał mi obowiązek. Nie mogłam ci pozwolić, żebyś przemierzał lasy w skórze wilka i zabijał

plemię Mira. Teraz jesteś skazany na ludzkie ciało i musisz przeżyć swoje życie jak jeden z nas.

- Powiedziałem ci, że nie chcę być człowiekiem! - krzyknął.

- Ale teraz nie masz wyboru! - odrzyknęła. Spazm bólu w piersiach wykręcił jej twarz i ciało. Dopiero przycisnąwszy dłoń do końców połamanych żeber, które tarły o siebie, złagodziła nieco te katusze.

- Masz prawo być z siebie dumny. Przez następnych kilka tygodni będę wiele o tobie myślała - powiedziała. - Może nawet przez resztę życia, bo nie podoba mi się to, co ci uczyniłam. Nie chciałam niszczyć wilka, ale to było mniejsze zło. Na moim zakonie ciąży obowiązek opieki nad naszym ludem. To dlatego Mir posłał po Blaze'a, a ten poprosił mnie o przybycie.

Spojrzała na niego. Tym razem spotkali się wzrokiem i znów ujrzała w jego oczach piękną, pierwotną niewinność zwierzęcia. Pochyliła głowę, czując się pokonana jego absolutną pewnością siebie - wolność przeważała nad wątpliwościami i złożonością.

- Ja cierpię i będę cierpieła jeszcze ponad miesiąc, a twoje rany zagoją się tego dnia. Ja będę żałowała latami, lecz ty zacierasz swoje smutki zabójstwem, a potem ganisz mnie za to, że cię powstrzymałam.

- Tak, a co z Imoną? Twoja opieka jej nie obejmowała?

- Imona miała obowiązek. Ciężył na niej od dnia narodzin. Była kobietą szlacheckiego rodu, córką królów, których dziedzictwo sięga zamierzchłej przeszłości. W lepszych czasach nie poproszono by jej o życie. Lecz na nasz lud spadła katastrofa; zażądano od niej złożenia siebie w ofierze, a w zamian Rzymianie i Cezar nie mieli przekroczyć Renu. I nigdy go nie przekroczą. Ja złożyłam podobną ofiarę. Urodziłam dziecko. Powinno być królem, ale zabili je Rzymianie. Utraciłam syna.

- Twój lud wymyśla bajki o bogach - przemówił z pogardą wilk. - Wasze historyjki dotyczą was i waszych lęków. Wiem, co przechadza się w pobliżu drewnianego wizerunku, który gnije w świętym gaju w dolinie. Widziałem ją, na tyle, na ile mi pozwoliła. Jesteśmy jej dziećmi i dawno temu złożyliśmy jej hołd. Czasem podróżuje z, nami i wysyła nas, żebyśmy strzegli jej ulubieńców. Czemu miałyby domagać się życia Imony? Jedno ludzkie życie jest niczym dla... dla nich.

Czy żywią jakieś uczucia? Czy zmieniają bieg wydarzeń, przejmują się losem wilków bądź ludzi? Nie mogę na to odpowiedzieć. Byłem wtedy wilkiem, przybyłem do gaju, w którym składa się ofiarę krwi. Krwi, nie śmierci.

W drewnianych misach, spoczywających na trawie, był miód. Śmielszy od reszty, wypilem go i poczułem dotyk tej, która oszałamia. Tej, w której snach widzimy wszystkie nasze żądze. Tak więc uczyniła mnie człowiekiem i nazwała „Maeniel”. Posiadłem kobietę w gaju, jedną z wybranek, tych, które oddają swoją krew wraz z wodą- krwią ziemi - uwalnianą przez wiosnę. Nie zamkniętą w lodzie, ale w zimnym kamieniu. - Zamilkł i usiadł na sianie i gałganach tworzących jego postanie.

Rozjuszona Dryas wpatrywała się w niego oskarżająco.

- Wybrałeś postać człowieka, a teraz uchylasz się od odpowiedzialności, jaka się z tym wiąże.

- Pożądałem dziewczyny, może kobiety, nieważne - powiedział.

- Założę się, że dziewczyny, kiedy wszedłeś do gaju, kobiety, kiedy z niego wychodziłeś - odpowiedziała rozwścieczona. Wypadła z szopy, jakby ją Furie goniły.

Maeniel poczuł, że trzęsie się ze strachu. Podał tej, którą uważał za czarownicę, swoje imię. A imię było narzędziem mocy. Czy mogła je wykorzystać i zniewolić go jeszcze bardziej? Lecz żaden z jego lęków się nie zmaterializował. Dryas nie powróciła.

Natomiast szalona przyniosła mu posiłek o zwykłej popołudniowej porze. Przyniosła również swoje jedzenie, tak że mieli tego więcej, niż potrzebowali oboje. Miskę świeżo upieczonych chlebków, wielki kawał sarniny i napój z suszu jabłkowego i miodu. Najedli się do syta. Zasmakował w ludzkiej strawie. Wilki przez całe życie nie kosztowały czegoś podobnego.

Przyglądał się jedzącej dziewczynie. Była filigranowej budowy. Dłonie miała nadal piękne, wdzięczne, długie palce, chociaż paznokcie brudne i obgryzione do żywego mięsa.

Umiała zachować się podczas posiłku, zawsze żuła z zamkniętymi ustami. Układała kawałki mięsa i jarzyn na kawałkach chleba, owijała je i podnosiła do ust, nie plamiąc tłuszczem ubrania. Zawsze przed posiłkiem i po nim myła ręce i twarz.

Dzisiaj Dryas przekonująco mówiła o tym, że powinien pogodzić się ze swoim ludzkim ciałem. Lecz kiedy obserwował kalekie dziecko, kolejny raz doszedł

do przekonania, że nie uśmiecha mu się przyłączenie do ludzkości. A potem pomyślał, że skoro chce żyć, to nie ma wyboru.

Lucjusz przekonał się, że dom Maniliusza i Feleksa ma zdecydowanie grecki charakter. Nie było w nim fresków. Ściany pokrywał zwykły tynk, u dołu ciągnęła się biała listwa przypodłogowa, a na wysokości ramienia - szeroki czerwony pas. Sufit wykonano z cedrowych bali.

Wszystko tchnęło tą samą oszczędną elegancją. Od wykwintnie rzeźbionych krzesel, taboretów i łóżek biesiadnych do posągów, ustawionych w bardzo rzymskim perystylu. Tylko zamożnego Greka stać było na rzymski dom. Rzeźby były kopiami bezcennych greckich arcydzieł.

Attycki poeta, zgodnie ze swoją reputacją, wyglądał niczym Perykles z popiersia. Lucjusz nie potrafił osądzić, czy poeta ma talent, czy nie, albowiem deklamował swoje wersy - oczywiście przy akompaniamencie kitary, na której grał młodzieniec o końskiej twarzy - w archaicznej grece, nie znanej współczesnym Hellenom.

Greka Lucjusza była, delikatnie mówiąc, marna i zmuszony do słuchania ody w starogreckim musiał nieludzko wysilać swoje wątłe umiejętności. Wszystko to wyznał następnego dnia Filonowi.

- Mówisz, że zwie się Dionizjusz? - zapytał lekarz i parsknął z pogardą. - Jeśli to ten, o którym myślę, to nazywa się Septimus, a kitarzystą jest Priskus, jego szwagier. Septimus był pedagogiem, ale przekonał się, że nauczanie przynosi marne zyski, więc kupił kilka zwojów attyckich wersów i zarabia jako poeta. Taki z niego Grek jak z ciebie. Urodził się w Pistum. Maniliusz i Feleks to ludzie interesu. Literackie „dzieła” tego oszusta rzuciły ich na kolana.

- Jedzenie było tak dobre, jak obiecywał Maniliusz.

- Tak, to zasługa ciotki Feleksa, Myrtus. Ma jadłodajnię naprzeciw Circus Maximus, tuż i w pobliżu Forum.

- Ach, jeszcze jedno. Towarzyszyło nam zupełnie niegreckie zgromadzenie kobiet.

Tak, był ich istny tłum i Lucjusz początkowo nie wiedział, co ma o tym sądzić. Wszystkie znakomicie ubrane, doskonale uczesane i o nieskazitelnych manierach. Ale tematami były jedynie stroje, biżuteria, uwodzicielskie sposoby malowania twarzy

i perfumowania ciała, to, która została kochanką jakiegoś bogacza, który senator nakrył żonę z gladiatorem, czy też, która żona senatora nakryła męża z gladiatorem. Stroje, biżuteria, pieniądze, który patrycjusz przyłapał żonę z szóstką tragarzy lektyki, który ekwita przyłapał żonę z ósemką osiłek. Czyja żona przyłapała małżonka zadowolającego klientelę burdelu nie zatrudniającego kobiet. Stroje, makijaż, biżuteria, uczesanie. Wszystkie dostawały darmowe i, zdaniem Lucjusza, czasem trafne porady od Maniliusza i od Feleksa, w załączeniu do zaproszeń na wszelkiego rodzaju pokazy, od nakładania bieli ołowianej, proszku antymonowego i stosowania wałków do układania szat, nadzorowane przez eksperta od damskich ciuszków - samego Feleksa - wspomaganego dzielnie przez dwóch służących, fryzjera i dwie przepiękne istoty przebrane za pokojówki, które jakiś czas temu skrycie zaczęły golić zarost.

Jak wypadało w rzymskim domu, panie wcześniej opuściły biesiadę i panowie siedzieli do późna przy winie.

- Doprawdy winienesz legnąć z jedną z nich, a może z niejedną - radził mu Feleks. - Są wielce zabawne i mówię ci, prawie każda z nich od razu rozłożyłaby się pod takim bogatym i zgrabnym chłopcem jak ty. Chyba że nie gustujesz w tej płci - dodał figlarnym tonem.

Obaj mężczyźni przyglądali mu się pytająco. Zapanowała cisza i po krótkiej chwili Lucjusz uznał, że wypada złożyć jakieś wyjaśnienie.

- Znacie Filona, więc wiecie, że jest moim medykiem. Odniosłem niezwykle dokuczliwą ranę... - Nie musiał kontynuować. Obaj prześcigali się w przeprosinach.

- Och, nie! Mój drogi, ani słówka więcej. Och, bogowie, nie zwracaj uwagi na nasze bajdurzenie. Jesteśmy najgorszymi plotkarzami w Rzymie, ale tak naprawdę zaprosiliśmy te damy tylko po to, żeby cię poznały. - Maniliusz uśmiechnął się czarująco.

Feleks dał mu klapsa w dłoń.

- Och, bogowie, przestań mówić ogólnikami. Każdy z tych rajszych ptaszków chętnie przyleci do ciebie za ładne nausznice z granatów.

- Sądzę, że nazwanie ich rajszych ptakami to pewna przesada - skomentował tę wypowiedź Filon. - Wpadniesz w ich szpony i oskubią cię do ostatniego piórka. Oczekują od mężczyzn, że są gotowi się dla nich zrujnować.

Lucjusz się roześmiał.

- Co to, to nie. Żadna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, bym uległ im aż do tego stopnia. Lecz nie miałbym nic przeciwko jakiejś przygodzie, gdyby nie lęk, że Fulwia dowie się o tym.

- Panie, co, na bogów niebios i podziemia, ma wspólnego Fulwia z twoim życiem uczuciowym? - sztywno zwrócił się do niego Filon.

Szli wąską ulicą prowadzącą do Forum. Lucjusz obejrzał się. Kastor i Polluks podążali za nimi w pewnej odległości.

- Myślisz, że mogą nas usłyszeć?

- Nie, jeśli nie będziesz krzyczał - uspokoił go Filon.

- Uważam, że Fulwia wolałaby się mnie pozbyć - rzekł półgłosem Lucjusz. - I jak to kiedyś wspomniałem, idealnie odpowiadałoby jej grzeczne dziecko. Gdyby jedna z tych zawodowych gracji zaszła w ciążę, to nie wątpię, iż bez straty czasu sprzedałaby mojego następcę temu, kto byłby gotów zaoferować za niego najwyższą cenę. A hojnym nabywcą praw do tego berbecia najprawdopodobniej okazałaby się moja oddana siostra, Fulwia Kamila Bazylia. Jak myślisz, ile życia zostałoby mi od takiej transakcji?

Filon był wzburzony.

- Mieszkańcy niebios i zapewne wielu innych miejsc wiedzą, że większości Rzymian i sporej liczbie Greków jest obojętny los nie-Rzymian oraz tych mieszkańców republiki, których przewyższają bogactwem i wpływami. Ale związki krwi to inna sprawa. Ludzie kochają swoich krewnych i są wobec nich lojalni. Na niebiosie, człowieku, mówisz o swojej siostrze!

- Filonie, nigdy się nie spodziewałem, że ci to powiem, ale nie bądź naiwny. Fulwia prawdopodobnie mnie nienawidzi, a na pewno za mną nie przepada. Pamiętasz, ostrzegałem cię przed nią podczas naszego pierwszego spotkania, tuż po tym, jak groziła ci przybiciem do krzyża.

- Tak, ale ja nie jestem jej bratem.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie. Fulwia pragnie kontroli nad całym majątkiem rodzinnym, całkowitej kontroli, i jedyną osobą, która stoi jej na drodze, jestem ja. Wedle prawa mam większą władzę nad domem niż ona...

Lucjusz odwrócił się tak szybko, że Filon aż podskoczył. Obejrzał się. Kastor i Polluks byli za nimi tuż-tuż. Słuchali zachłannie z błyszczącymi oczami.

- Czy któryś z was ma mi coś do powiedzenia? - przemówił ostro Lucjusz.

- N-nie - wyjąkali.

- W takim razie wracajcie na swoje miejsce. Nic z tego, co mówię, nie jest dla waszych uszu. Ci, którzy mnie podsłuchują i szpiegują, nie mogą liczyć na moją sympatię. Chcecie zakosztować bata ołowianymi kulkami? On szybko was nauczy, że macie być ślepi i głusi, kiedy sobie tego życzę.

Obaj szybko cofnęli się jak niepyszni, ale Lucjusz postarał się, by dotarło do nich wszystko, co miał im do powiedzenia.

Filon się nie odezwał. Był co prawda wyzwolencem, ale zdawał sobie sprawę, że Lucjusz jest wściekły. Wściekły jak nigdy.

- To nie było do ciebie - rzekł medykwowi.

- Wiem, i teraz rozumiem lepiej, co miałeś na myśli... w tamtej sprawie.

- Kochałeś swoją rodzinę?

- Tak. Kochałem i kocham. Nie musiałem się sprzedać dla dobra ojca i siostry. Niewolnictwo to ciężka rzecz/ dla mężczyzny, ale dla kobiety czy starca to koszmar. I gdybym nie był nieprzewidującym durniem, miałbym dość pieniędzy na łapówkę, której żądał rzymski gubernator prowincji, i uratowałbym rodzinę, ale tak się nie dało.

- Och, lecz teraz jesteś wolny i możesz wrócić...

- Nie, nie mogę, jeszcze nie. Kiedyś może, ale nie teraz. Poza tym dobrze mi się tu wiedzie.

- Tak. Nie daj się obdzierać ze skóry Fulwii.

- Dostaje jedną trzecią!

Lucjusz zatrzymał się.

- To rozbój w biały dzień!

- Psyt. - Filon położył palec na ustach i obejrzał się na Kastora i Polluksa. - Jedną trzecią z tego, o czym wie. Hm, nie darmo nazywa się nas, Greków, krętaczami. Uczyliśmy się handlu od przebiegłych kupców z Sydonu i Tyru, zanim Romulus w ogóle wpadł na to, do czego są sutki wilczycy. Dam sobie radę.

Dziewczyna wróciła na noc do Maeniela. Spanie z nią mu nie przeszkadzało, a rozgrzewała mu krew nie bardziej niż wilcze szczenię.

Jego ciało potrzebowało wielu sygnałów, zanim osiągnęło gotowość. Pod tym względem Dryas rozumiała go idealnie.

Straszliwe blizny, które skaziły oblicze i ciało dziewczyny, w niczym nie zmieniły tego, że była młoda i buchała gorącym niczym piec. Podobnie grały wilcze szczenięta, a że przywykł spać ze stadem, bardzo źle czuł się w samotne noce.

Zanosilo się na śnieg i wielki mróz. Zmysły wilka oceniały pułap chmur, zapach i kierunek wiatru, wilcze uszy reagowały na drobne zmiany ciśnienia. O zmierzchu powiał wiatr i wilk poczuł nadciągającą burzę śnieżną, tak jak coraz głośniejsze kroki mówią człowiekowi, że ktoś się zbliża.

Dziewczyna wbiegła do szopy. Uniósł ją i położył przy ścianie na kupie słomy okrytej starą derką. Tam była najlepiej zabezpieczona przed zimnem. Niebawem zasnął. Obudziła go, wyslizgując się za potrzebą.

Nie wróciła. Człowiek pomyślałby, że po prostu poszła sobie do chaty, do Mira i Dryas, ale on nie był człowiekiem. Bez względu na zamiary Dryas, nie lekceważył niczego.

Wstał. Zadymka okazała się dość łagodna, zostawiła tylko cienką pokrywę śnieżną na łące, domu i przybudówce. Świecił błydy księżyc i wilk dostrzegł miejsce, w którym szalona załatwiała potrzebę. Ale coś musiało ją przestraszyć i uciekła przez łąkę do lasu, zostawiając ślady stóp.

Wyszedł powoli na dwór, tak cicho jak tylko wilk potrafi, tym bardziej że łańcuch hałasował i ograniczał swobodę.

Dał słaby wiatr. Odwrócił się ostrożnie, sprawdzając jego kierunek, aż wionął mu prosto w nozdrza. Wyczuł odór człowieka, żołnierza. Żelazo, skóra, palone drewno: znaki szczególne obozujących rzymskich legionistów. Ci nadchodzący żołnierze cuchnęli kwaśnym polem, co znaczyło, że są zdenerwowani, gotowi do aktu przemocy lub wystraszeni. Ku swojemu zdziwieniu przekonał się, że posiadał nową umiejętność. Potrafił ich policzyć. Było ich tylu, ile palców u jednej dłoni i jeszcze jeden palec. Sześciu.

Wziął głęboki oddech i starał się opanować strach, który wzbudził w nim ten odór. W porę przypomniał sobie, że ma do czynienia z ludźmi, nie z wilkami i nie musi się przejmować, iż wyczują jego woń.

Usłyszał lekki szelest kroków zwierzęcia lub człowieka i zastygł. Ktoś zbliżał się za jego plecami.

Lucjusz dostał siedem zaproszeń. Piąte było od senatora z Galii, który swoją rzymskością przerósł wszystkich Rzymian znanych Lucjuszowi.

Można by sobie wyobrazić, że tak wyglądała kolacja u Katona Starszego, tyle że ten Ambruks był o wiele mniej jadowity. Damy siedziały podczas posiłku, zamiast pólleżeć. Tuż za atrium stało okazałe krosno; miało demonstrować, jak pracowite są mieszkanki tego domu. Obok ściany z wymalowanymi bóstwami opiekuńczymi domostwa, larami i penatami, było *lalarium*, domowa kapliczka.

Lecz tam, gdzie chodziło, o rozkosze podniebienia, Ambruks okazał się o wiele bardziej pobłażliwy od Katona Starszego. Tak więc Lucjusz był w świetnym nastroju i podchmielony, kiedy opuszczał dom Gala.

Jak zwykle towarzyszyli mu Kastor i Polluks, jak również potężny galijski służący, wypożyczony przez gospodarza.

Kastor i Polluks szli pierwsi z pochodniami w dłoniach, za nimi Gal. Opuścili wąskie uliczki dzielnicy mieszkalnej i przecinali Forum.

Nocą pustoszało i pochodnie rozjaśniały tylko zamknięte sklepy i budynki użyteczności publicznej. Zwykle część mieszkalna miasta napawa przechodnia otuchą, świadomością bliskości innych ludzi; z murów, ogrodów i z balkonów wychodzących na ulicę słychać muzykę, śmiechy i szczęk noży. Rzymianie uwielbiali składanie wizyt i uczyty, tak że w środku nocy na ulicach mijają się całe grupy powracające z bankietów, aż nastawał spokój i trakty komunikacyjne zapełniały wózki transportujące towary do stolicy i wywożące je na prowincje.

Lecz w środku Rzymu ulice były puste i milczące jak drogi poza miastem, obstawione grobowcami. Tak Kastor, jak i Polluks sprawiali wrażenie zdenerwowanych, chociaż byli uzbrojeni.

Gal idący dotychczas z tyłu przyśpieszył i zrównał się z Lucjuszem.

- Ile mówić mój język? - spytał.
- Niewiele - odparł Lucjusz. - Więcej rozumiem, niż jestem w stanie wyrazić.
- To ja mówić twój. Ktoś nas śledzić, ale to żaden utrapienie.
- Czemu nie?

- To ktoś mały. I jeden.
- Przyłącz się do tamtych dwóch. - Lucjusz wskazał na służących na

przedzie, a potem sprawdzwszy, czy miecz łatwo wychodzi z pochwy, wsunął się w zaułek za kramami.

Bardzo dobrze - pomyślał. Kastor i Polluks nadal podążali szybko przed siebie, rozmawiając z muskularnym Galem. Dobrzy z nich strażnicy - dodał kwaśno w myślach. Nawet nie zauważyli, że został z tyłu i znikł. Na służbie przekonał się, że łatwo ukryć się w ciemnościach.

Widział dobrze w nocy i nawet podczas nowiu księżyca wystarczało mu światło gwiazd.

Cień osoby, która za nim szła, pojawił się na ulicy. Nadzieje Lucjusza się spełniły. Nieznajomy poszedł za światłem pochodni i nie zauważył jego zniknięcia. Tak, Gal się nie mylił. Był to drobny mężczyzna lub kobieta.

Wokół nie było śladu innych ludzi. Niosła coś w prawej ręce... broń? Nie. Oświetlała sobie drogę latarnią.

Złapał kobietę za ramię i wciągnął ją w zaułek, równocześnie wrywając latarnię z ręki.

Spodziewał się krzyku, lecz tylko głośno zdławiła oddech i rozluźniła się dopiero wtedy, kiedy uniósł latarnię i zobaczyła, kto ją trzyma.

- Och. Wystraszyłeś mnie śmiertelnie, panie. Nie poznajesz mnie?

Poznał ją. To była dziewczka kuchenna.

- Wybacz. Nie znam twojego imienia, kochanko Velli.

- Lukrecja. Twoja siostra, panie, nazwała mnie tak, kiedy kupiła nas obie.

Po pewnym czasie zrozumiałam, że dając mi imię kobiety wiernej aż do śmierci, chciała mnie wyszydzić. - W jej oczach nagle zalśniły łzy.

Lucjusz niemal odruchowo zareagował na okrutny żart siostry.

- Cicho! Nie płacz i nie wstydz się swojego imienia. Bezecnicy, którzy nie pojmują, co znaczy czyjaś cześć, zawsze pierwsi wystawiają się na śmiech. Lukrecja była osobą wielkiego honoru i uczciwości, a jej czyny przysporzyły jej wiecznej chwały.

W tej samej chwili biegiem powrócili Kastor i Polluks, trzymając pochodnie w dłoniach.

Lukrecja odwróciła się, zasłaniając twarz opończą. Lucjusz zmierzył ich rozwścieczonym wzrokiem.

- Mądre chłopaki - rzekł z sarkazmem. - W końcu zauważyliście, że zniknąłem. Jednakże nigdy nie wiecie, kiedy jesteście niepotrzebni. Teraz wynocha i czekać na ulicy. Nie muszę dodawać, że poza zasięgiem słuchu.

Kastor i Polluks natychmiast wycofali się biegiem, zostawiając ich samych. Gal stał na ulicy, rozkładając ręce, jakby chciał powiedzieć: „Cóż mogłem zrobić?”.

Lucjusz kiwnął głową, a potem wskazał Kastora i Polluksa. Następnie odwrócił się i zaprowadził Lukrecję w gęste ciemności.

- Co się dzieje? Potrzebujesz pomocy? Może pieniędzy?
- Och, nie, nic mi nie jest - szepnęła. - I nie ufałabym tym dwóm.
- Komu? Kastorowi i Polluksowi?
- Nie nazywają się tak. To Macer i Afer, faworyci twojej siostry, panie.

- Faworyci? Z jakiej racji? Śpią z...

Gwałtownie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, och, nie, nie. Twoja siostra jest czysta.
- To dlaczego nazywasz ich jej faworytami?

Była bardzo wystraszona i rozejrzała się wkoło, jakby lękając się, że ktoś może ją podsłuchać.

- Nie widzę żadnego tłumu - powiedział. - Przestań się trząść i opowiedz mi, co dzieje się w moim domu. Czemu są jej faworytami? Teraz nikt cię nie skrzywdzi. Jesteś wolną kobietą, jeśli Filon uczynił to, co mu nakazałem. Gniew mojej siostry nie może cię dosięgnąć.

- To kłamstwo i dobrze o tym wiesz, panie. Potężni tego miasta czynią ze słabymi to, co im się żywnie podoba, i nikt nie może ich powstrzymać. Popatrz na tego Cezara. Każdy się go boi.

- Nie jest wcale taki najgorszy. - Lucjusz zaczynał tracić cierpliwość.
- Nie jest i dlatego sprzysięgli się go zabić. Już o tym mówią.

Lucjusz położył jej dłoń na ustach.

- Nie chcę o tym słuchać i jeśli wiesz coś o takich spiskach, nie mów nikomu. Ani ojcu, ani matce, ani zaufanej, najukochańszej przyjaciółce. Zrozumiałaś? Dopiero teraz cofnął rękę.

- Teraz mów, co knuje moja siostra.
- Ale myślę, że nie dojdzie do żadnego morderstwa czy skrytobójstwa.

Cezar już przedsięwziął środki... - Miała zamiar go uspokoić, lecz on znów zakrył jej usta dłonią.

- Na bogów wojny, zniszczenia i chaosu... Bądź cicho, proszę.

Odsunęła się, łkając i mówiąc:

- Przestań, panie. Duszę się i...
- Dziewczyno, wbij sobie do głowy, że jeśli... - Wziął głęboki oddech. - Są

w tym mieście ludzie, którzy zwiedziawszy się, że rozsiewasz takie wieści, naprawdę cię uduszą.

Oparła się o ścianę. Zacisnęła dłonie na piersiach i zamknęła oczy, próbując nad sobą zapanować.

- Lukrecjo, opowiedz mi o faworytach mojej siostry.
- Nie znam na to przyzwoitych słów.
- Doskonale. To użyj nieprzyzwoitych. Jestem żołnierzem. Już je

słyszałem. Wszystkie.

- Ona uwielbia patrzeć, jak ludzie... dopuszczają się... lubieżności. To... to ją podnieca.

Lucjusz westchnął.

- Ach, no cóż, to nie takie okropne, ale w takim razie nie nazwałbym jej „czystą”.

- Och, ona nie bierze w tym udziału. Powiada, że jej czystość jest ważna dla przyszłości rodziny Bazylích.

- Zapewne ma rację. Macer i Afer wypełniają męskie obowiązki, podczas tych uroczych... wieczorków?

- Tak.
- Jesteś tego pewna?

- O, tak. - Głos znów jej zadrżał. - Byłam tam. Przydałam im wiele uciechy. Mężczyźni napawają mnie lękiem. - Rozpłakała się cicho, a następnie odwróciła się, rozszlochała na dobre, dając ujście głębokiej, beznadziejnej rozpacz. - Uczestnictwo nie jest dobrowolne. - Głos miała ochryply.

- Słuchaj, powiem, co o tym myślę. Przekradałaś się ciemną nocą przez Rzym, ryzykując życie, żeby opowiedzieć mi te świńskie sekrety mojej siostry... Podobnie jak ty potępiam te czyny, ale nie mogę wiele...

- Nie! - Odwróciła się, ocierając łzy ciemną opończą. - Szłam za tobą, panie, żeby ci powiedzieć, że zabrano Filona. Był w domu Gordusa, gladiatora. Zmieniał opatrunek jego synowi. Żona Gordusa odprowadziła go do końca ulicy. Tam czekali na niego żołnierze. Marcja, żona gladiatora, próbowała interweniować, lecz oni dobyli mieczy i powiedzieli, żeby wracała do domu, jeśli wie, co dla niej dobre. Potem zabrali Filona i od tej pory nikt go nie widział.

Maeniel skulił się. Poczł jej zapach. Żony Mira, szalonej dziewczyny.

- Chodź - szepnął.

Posłuchała go. Porwał ją na ręce i wszedł do szopy. Cicho zadzwonił łańcuch. Odsunął koc, wskazał postanie. Zrozumiała i zakopała się w słomie. Zakrył ją kocem i każdy, kto ogarnąłby pobieżnie wzrokiem to miejsce, dostrzegłby jedynie puste legowisko.

Uniósł głowę i wyjrzał przez okno. Na polanę wkroczyło czterech mężczyzn, następni dwaj byli już u drzwi Mira. Ogarnęło go dzikie szaleństwo; najpierw, kiedy na próżno usiłował się przemienić, a następnie, kiedy walczył z lękiem, jaki budziła w nim myśl, że chociaż jest całkowicie bezradny, musi zdradzić swoją obecność. W końcu jednak się przemógł i uczynił to, co musiał.

- Dryas! - zaryczał.

Ocknęła się, słysząc to wołanie. Jej miecz wisiał nad łóżkiem. Dobyła go, gdy pierwszy napastnik kopnięciem otworzył drzwi. Jego sylwetka zarysowała się w słabym blasku księżyca i pierwszych promieniach brzasku.

Przebiegła przez chatę. Przeszyła mieczem gardło napastnika i kopnęła go tak, że poleciał na drugiego mężczyznę. Obaj upadli; pierwszy już umierał. Wydał ostatnie tchnienie przez rozoraną tchawicę. Drugi odepchnął trupa na bok, usiłując dobyć broń.

Dryas wbiła mu miecz w miejsce, które widziała najlepiej. W pachwinę. Rozcięła tętnice, którymi krew jest dostarczana do nóg. Wypuścił broń i zatoczył się, usiłując zatamować potok jasnego szkarłatu, który zalał mu ręce i chlusnął na biało-niebieski śnieg.

Pozostało czterech i obawiali się jej, chociaż nie miała przy sobie nawet noża. Za broń miała jedynie miecz, a za zbroję zakrwawioną koszulę. Wiedziała, że jeśli nie zredukuje ich przewagi, jest skazana na przegraną.

Nacierali, odganiając ją od domu. Musiała się cofać, groziło jej bowiem, że zostanie otoczona i pokonana. Miała jedynie nadzieję, że odciągnie ich od Mira, jego żony i Maeniela.

Mir wybiegł z domu na uginających się nogach.

Och, nie - jęknęła w duchu. A potem błysnęła jej myśl: Może odwróci ich uwagę.

- Czego chcecie?! -krzyknął.

Nie odwrócił ich uwagi. Nadal napierali na nią. Jeden z nich miał pilum i miecz; pozostali miecze i tarcze.

- Poddaj się - rzekł włócznik. - Zależy nam tylko na tobie. Jesteś dobra, ale my lepsi. Mamy przewagę. Poddaj się, a zostawimy resztę w spokoju.

Nie - pomyślała Dryas. Wolą raczej przeszyć się własnym mieczem niż taki los.

- Co? - powiedziała. - Nie macie dość kurew w obozie?

Przejaśniało się coraz bardziej. Dostrzegła, że to nie są rzymscy legionieści. Nosili znacznie lepsze zbroje; podkreślające muskulaturę napierśniki z gotowanej skóry, metalowe nagolenniki i naramienniki, hełmy z pióropuszcami i długimi greckimi nosalami.

Najemnicy i do tego dobrze opłacani - pomyślała. Włócznik był najstarszy. Włosy i ściętą w szpic bródkę miał przyprószone siwizną.

- Poddaj się - rzekł po łacinie z silnym obcym akcentem. - Musimy dostarczyć cię do Rzymu. I mamy wyraźny rozkaz, że nie może ci spaść włos z głowy.

- Nie wierzę ci - syknęła przez zęby.

Siwobrody dał znak swoim ludziom, że mają się wycofać. Nie zniżył włóczni, wycelowanej w Dryas.

- Zabierz starucha i szaloną dziewczkę - nakazał jednemu ze swoich ludzi.
- Ty - wskazał włóczni Dryas - nie ruszaj się. Spróbujesz ucieczki, a nim zrobisz dwa kroki, będziesz miała włócznię w plecach. Chcę dostarczyć cię mojej chlebodawczyni nietkniętą, tak jak sobie życzyła, ale zabiłaś mi dwóch ludzi i jeśli

będę musiał, zabiorę do Rzymu twoją głowę. - Uśmiechnął się. - Samą głowę, galijska suko.

- Nie - krzyknął Mir. - Zostawcie w spokoju moją żonę... – Zgiął się wpół, tłumiąc okrzyk bólu, kiedy jeden z żołnierzy wykręcił mu rękę za plecami.

Drugi wszedł do chaty, podczas gdy trzeci przyciągnął Mira w kierunku Dryas. Z domu dobiegały odgłosy brutalnego przeszukiwania, przewracania mebli, roztrzaskiwania naczyń.

Niebawem żołnierz opuścił chatę.

- Tu jej nie ma - powiedział i skierował się do szopy.

Tymczasem szalona wyskoczyła spod koca, zaskakując Maeniela.

Chciał ją złapać, lecz spoglądał w kierunku drzwi, a ona była tak szybka, że przemknęła obok. W dłoni został mu tylko rękaw jej koszuli, ponieważ tkanina przegniła.

Biegła do sągu drewna w drugim kącie szopy. Była przy nim, kiedy żołnierz stanął na progu.

- Nie, nie! - krzyknął Maeniel, pragnąc odwrócić uwagę żołnierza, i rzucił się ku niemu. Łańcuch go powstrzymał i upadł na twarz.

Żołnierz w jednej chwili dostrzegł, że Maeniel jest przykuty do ściany i zlekceważył go. Chciał porwać dziewczynę, lecz ta wcześniej złapała spore bierwiono i uderzyła go w nogę. Chociaż nosił nagolenniki i drewno odbiło się od metalowej osłony, jednak uderzenie sprawiło mu ból.

Żołnierz przeszył ją mieczem, ale kawał jesionowego konara potoczył się ku Maenielowi.

Człowiek - wilk dźwignął się nieco i wyciągnął rękę. Znów powstrzymał go łańcuch, wbijając się w kostkę i stopę. Maeniel tylko musnął bierwiono czubkami palców.

Żołnierz ruszył na Maeniela, gotów go wykończyć. Zapowiadała się łatwa robota. Wróg leżał, zasięg ruchów miał ograniczony, był bezbronny.

Maeniel wycofał się w tył, jakby wystraszony.

Żołnierz zbliżył się jeszcze bardziej. Miał miecz i tarczę. Cisnął w leżącego tarczą i uniósł miecz.

Maeniel zanurkował pod tarczą, złapał przeciwnika za kostki i szarpnął go za nogi.

Żołnierz upadł, uderzając głową o polepę. Ale ochronił go henn. Klął i kopał, usiłując się wyrwać. Herm spadł z głowy i potoczył się, głucho dudniąc.

Lecz Maeniel zachował tylko postać człowieka, myślał i czuł jak wilk. Jak rozwścieczony wilk. Błyskawicznie obrócił wrzeszczącego żołnierza i roztrzaskał mu czaszkę o dębowe bale.

Straszliwy krzyk i łomot na chwilę odwróciły uwagę włócznika. Dryas przerzuciła miecz do lewej ręki i skoczyła w prawo. Grot włóczni rozciął koszulę nocną w chwili, w której Dryas zadała cięcie, mierząc w gardło. Osiągnęła więcej, niż zamierzała. Odcięła głowę dowódcy najemników.

W szopie Maeniel podniósł miecz martwego żołnierza. Bierwiono, za które dziewczyna oddała życie, leżało teraz w zasięgu jego dłoni. Położył na nim naprężony łańcuch, ujął miecz w obie dłonie i ciął. Ostrze rozleciało się od ciosu, ale łańcuch również. Maeniel był wolny.

16

Jak to on powiedział? - pomyślał Lucjusz. - „Dam sobie radę”. *Ave atque vale*. Filon, ty durniu.

W co wdepnął grecki medyk? Przyjrzał się dziewczynie.

- Martwię się o Filona, ale martwię się również o ciebie. Dotrzesz bezpiecznie do domu?

- No cóż, panie, nie chcę więcej zawracać ci głowy. Niedaleko jest gospoda, w której mogę spędzić noc. Mam ją rano otworzyć, więc... - Wskazała pęk kluczy u pasa. - Jest parę kroków stąd.

Skinął głową.

- Dobrze. Odciągnę Kastora i Polluksa. Chyba nie widzieli twojej twarzy, więc nie będą mieli z czym pobiec do mojej siostry, ale zaczekaj, aż znikniemy, dopiero wtedy się skryj.

Szybko wrócił na ulicę. Kiedy mijał ciąg sklepów, usłyszał Gala mówiącego do... już zapomniał ich imiona.

- To mi się nie podoba - mówił Kastor lub Polluks. - Jak coś mu się stanie, pani...

- Co? - przerwał mu Gal. - Ty myśleć, że on jakieś niemowlę, potrzeba mu śliniak? To pokojówka damy. Pani chce pan do łóżko! Do łóżko! Do łóżko! Dziewczyna mówić mu, kiedy przyjść, bo pan nie ma w dom. - Roześmiał się hucznie, rozbawiony tą intrygą.

- Coś ci kapnie, jeśli znasz imię tej damy - rzekł jeden z paskudnych imienników niebiańskich bliźniaków.

Lucjusz zastygł w ciemności.

- Ile? - spytał zainteresowany.

- Dużo.

- Najpierw chcieć zobaczyć pieniądze.

- On nic nie wie. - W tej uwadze była wystudowana pogarda.

Gal nie dał się naciągnąć. Znów się roześmiał.

Lucjusz wyszedł z zaułka i zakończył rozmowę.

- Ruszajcie - nakazał Kastorowi i Polluksowi. - Chcę dotrzeć do domu jeszcze tego roku. - Kiedy zaczęli się ociągać, krzyknął: - Ruszajcie! I trzymajcie pochodnie w górze. Chcę widzieć drogę, a nie następować wam na pięty.

Gal ruszył ostatni. Lucjusz szedł sam, myśli kotłowały mu się pod czaszką. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wyzwoleńcy, nie mając rzymskiego obywatelstwa, praw również mieli niewiele, tak że Filon mógł zostać uprowadzony w kilka miejsc, w tym do straszliwego Tullianum, więzienia i miejsca kaźni w Rzymie. Gniew Lucjusza rósł. Czuł tę samą frustracją co podczas rozmowy z Antoniuszem przed kilkoma tygodniami, wrażenie, że nie może kierować własnym życiem tak, jak by tego chciał.

Nie uśmiechało mu się, aby przyszłość wyznaczała mu rodzina, Cezar czy Antoniusz. Dryfował bez celu, sam bowiem nie wiedział, czego chce. Rana jakoś go odmieniła. Nie wiedział, w jaki sposób, ale odmieniła. Kiedyś los osoby tak niskiej rangi jak Filon nie obchodziłby go w najmniejszym stopniu, ale teraz...

Wiedział, że znalazł przyjaciela. Medyk stał mu się bliski. Kiedy i jak się to stało, nie miał pojęcia. Czy nocami, gdy czytał mu filozofów, a on leżał wstrząsany dreszczami i płonąc gorączką, z oczami utkwionymi w suficie obserwował cienie rzucane przez lampę Filona i myślał o swojej śmierci? Usiłował skupić się na pokrętnych argumentach jakiegoś dawno zmarłego Greka dowodzącego nieśmiertelności duszy i nie wierzył ani jednemu jego słowu, ale wiedział, że jest o wiele bliżej wypróbowania zasadności tych twierdzeń niż ów filozof, autor tekstu...

Zdał sobie sprawę, że przejrzał pocieszające iluzje, którymi otacza się większość ludzi, powstrzymując napór mroku czającego się na dnie umysłu, mroku głębszego niż zwykła czerń nocy, ponurej pustki, w której duch już wie, że bogowie są jedynie ładnymi obrazeczkami stworzonymi przez artystów i że my, ludzie, to jedynie sprytniejszy gatunek zwierząt, któremu nieskończenie dalekie i być może ślepe moce dały krótki pobyt między ziemią a niebem. I nic poza tym.

Teraz Lucjusz był gotów sprzedać cały senat, aby odzyskać przyjaciela.

Bo tym właśnie był dla niego Filon, bez względu na rangę - przyjacielem. A niezależnie od tego, co wszechświat kryje, czy też nie, każdemu z nas sądzone jest mieć bardzo niewielu przyjaciół, choćbyśmy przeżyli nawet mnóstwo lat.

Zwolnił i spytał Gala:

- Chcesz pieniędzy?
- Ten język każdy rozumieć. Co zrobić?
- Kiedy dotrzemy do domu, zamierzam pozbyć się tych dwóch.
- Mądrze. Sprzedać cię za czapka gruszki.

- Wiedziałaś, że jestem blisko was.

Gal zachichotał.

- Ile?

- Sto aureusów.

- Złoto. Mordować! Kogo?

- Umiesz przejść do sedna. Kiedy dotrzemy do domu, ja wejdę z nimi do środka. Ty przekradniesz się na tyły. Jest tam stajnia, wpuszczę cię do środka. Osiodłasz dwa konie. Znasz się coś na koniach?

Gal mruknął twierdząco.

- Jeździć dla Cezara.

- Sprzymierzony kawalerzysta. Dobrze. Jak się zwiesz? – Na imieniu Gala można było sobie język połamać i brzmiało bardziej z germańska niż z galijska.

- Lucjusz zagwizdał przez zęby, ale tak, żeby nie zwrócić uwagi prowadzącej dwójki.

- Wymyśl coś, co będę w stanie powtórzyć.

- Odcięte Ucho.

- Odcięte Ucho? - powtórzył pytająco. O ile dobrze widział, uszy mężczyzny były całe i nie poblżnione.

- *Ja!* Odcinać uszy i wieszać na szyja. W wojsko moje imię Odcięte Ucho. Odciać masa ucha i nosić na szyja. Łatwo. Odcięte Ucho.

- Oczywiście. Odcięte Ucho, miłe imię.

Gal zachichotał.

- Nie takie miłe, ale ty nie płacić sto złotych moneta za miło. Chcesz miło-miło? Znajdź kobieta. Chcesz rozwiązać wielka kłopot? Brać Odcięte Ucho.

- Jesteś wolny?

- Pewnie. Amboruks powiedziec: „Odcięte Ucho, Rzymianin ma dojść do domu bezpiecznie”. Pracować dla Amboruksa. Za śmierdząca pieniądze. Ty płacić lepiej. Dla ciebie zabić.

- Mam nadzieję, że nie dzisiaj wieczór, ale jeśli będę chciał się czegoś od kogoś dowiedzieć i nie dostanę odpowiedzi, możesz go zabić.

Odcięte Ucho mruknął twierdząco. Dotarli do domu. Odźwierny otworzył drzwi. Kastor wszedł pierwszy, Polluks ostatni. A może na odwrót, Lucjusz nie był pewien.

Chcieli iść za nim do jego pokoju. Oznajmił, że ma dwadzieścia dwa lata i nie potrzebuje pomocy przy rozbieraniu. Mieli dziwne miny, bo niewielu bogatych ludzi obywało się bez pomocy służby, ale udali się do siebie.

Kiedy znikli, wyobraził sobie, co robili dla jego siostry. Ta wizja nie było sprośna, budziła obrzydzenie. Postanowił, że w przyszłości sam będzie dobierał sobie służbę.

Zanim oddalił się do sypialni, zajął do Filona. Drzwi zastał uchylone. Pokój był nie tylko pusty, ale wręcz nagi. Znikła nawet prycza medyka. Lucjusz wyszedł na korytarz. Odwrócił się plecami do ściany, zamknął oczy i zacisnął pięści. Mdłości podeszły mu do gardła. Czuł jednocześnie bezradność i wściekłość.

Wszedł do siebie. Jego miecz stał w kącie. Wyciągnął go z nadzieją, że nie zardzewiał i ostrze się nie przytępiło. Okazało się, że jest w równie doskonałym stanie jak ostatniego dnia, w którym go przypasał.

Przypomniał sobie, że miał wtedy kaca. W garnizonie nie było wiele do roboty. Zasiał się do późna z garstką oficerów. Pozostali poszli na dziwki, ale nie przyłączył się do nich.

Był bardzo jurny, ale ostatnia prostytutka, którą miał, tak cuchnęła po poprzednich klientach, że kiedy zrobił swoje, co nie sprawiło mu prawie żadnej przyjemności, zdał sobie sprawę, że jej odór jest rodzajem zemsty skierowanej przeciwko mężczyznom, którzy wykorzystywali ją z równym obrzydzeniem. Spojrzał w zimne, ciemne oczy, przypominające wąskie ślepia drapieźnych kotów buszujących w śmietniku za palisadą. Jej spojrzenie było gorsze niż zwierząt, bo one przynajmniej traktowały go obojętnie, podczas gdy ona płonęła zimną nienawiścią, życząc mu wiecznych cierpień, i tak nie mogących zrównoważyć nawet chwili piekła, na które była skazana. Wytoczył się z burdelu i z wymiotował do rowu.

Nigdy więcej tam nie przyszedł. Nie wiedział, czy jest wyjątkiem, ale wyglądało na to, że wielu młodych żołnierzy czuje podobnie. Tak więc siedzieli razem, przeklinając wizję jutra, objazdu i rabunku spichlerzy nieszczęsnych tubylców, uginających kark pod butem najeźdźcy, i pili, chęłpili się i znów pili, a potem budzili się jak on, czując śmietnik w ustach, rżnięcie w kiszki i ból rozsadzający głowę.

Lecz tej nocy był zadowolony, że wcześniej wyczyścił miecz i... ale przecież nie mógł go wyczyścić, bo ostatni raz miał go nie w dłoniach, ale wbity w plecy, gdy

mało nie postradał życia. W takim razie ktoś inny stał krew z ostrza i natarł je oliwą, żeby dzisiaj on mógł wyjść z tego pokoju i zabić nim kogoś innego.

Pogrzebał w stosie wojskowych łachów na podłodze i znalazł ciemną opończę. Zrzucił z siebie senatorską togę z purpurowym obramowaniem, kopnięciem posłał ją do kąta i wyszedł na dwór, wpuścić do domu Odcięte Ucho.

Okazała się niebezpieczniejsza, niż myśleli. Mówiły to ich miny. Dowódca leżał martwy na ziemi. Żołnierz trzymający Mira szybko odepchnął starca. Zjawili się w sześciu. Nie wiadomo jak i kiedy zostało ich dwóch.

Natarli na Dryas. Krążyła, wycofując się tyłem, aby rozdzielić przeciwników, a kiedy to się nie udało, próbowała ustawić ich w jednej linii. Lecz byli doświadczonymi wojakami i potrzebowali tylko czasu, aby ją wykończyć.

Pierwszy uderzył mieczem. Zastłoniła się i ostrze wroga ześliznęło się po jej ostrzu, a atakujący poleciał za ciosem, lecz poczuła coś na ramieniu, strumyk ognia, i wiedziała, że oręż któregoś z przeciwników doszedł celu.

Napływ adrenaliny, który początkowo dodawał jej sił, wyczerpywał się, i poczuła rosnący ból. BRZĘK! Sparowała następny cios, ale drugi miecz uderzył zaraz potem i zdała sobie sprawę, że coraz szybciej podaje tyły, naciskana przez żołnierzy. Następny cios i jeszcze następny. Stopy jej drętwiały, ale miała jeszcze w zapasie kilka sztuczek.

Opadła na kolano i zadała cios z dołu, kierując sztych pod napierśnik bliższego przeciwnika. Odskoczył, tak jak tego chciała, wpadając na partnera. Przez krótką chwilę przeszkadzali sobie nawzajem, ale nie zdołała tego wykorzystać. Pośliznęła się i musiała się podeprzeć.

W tej samej chwili Mir rzucił się na jednego z żołnierzy, wskazując mu na plecy i owijając ręce wokół szyi. Zaatakowany wykręcił się, wyjął z wściekłości, i uderzył starca w ramiona górnym brzegiem tarczy.

Dryas uniknęła groźnego pchnięcia drugiego przeciwnika i rozorała mu ramię trzymające miecz, ale zapłaciła za to słono. Dostała potężne uderzenie tarczą.

Normalnie przyjęłaby takie uderzenie i odskoczyła bez szkody dla siebie. Lecz metalowy guz wbił się akurat w złamane żebra. Ból ją oślepił. Zatoczyła się w tył i wpadła na coś miękkiego. Nie wiedzieć skąd wyfrunął łańcuch i owinął się wokół

szy napastnika, który zaraz potem runął na ziemię, ogłuszony ciosem Maeniela w skroń.

Ostatni żołnierz wyrwał się z uścisku Mira. Był sprawny, ale zobaczywszy potężnie zbudowanego mężczyznę, który przyszedł z pomocą Dryas, cisnął miecz i uciekł.

Nikt za nim nie pobiegł. Maeniel i reszta weszli do szopy. Wszyscy uklękli obok szalonej. Maeniel spodziewał się, że jest martwa, ale przyjrzawszy się bliżej, dostrzegł, iż oddycha. Jedną ręką zasłaniała straszliwą ranę, drugą złożyła bezwładnie na podłodze.

Westchnęła leciutko, uśmiechnęła się i rzekła:

- Powiedz Dryas, że mój duch jest wolny.

Z tymi słowami odeszła w zaświaty.

Nie było mowy o zakuwaniu Maeniela, ponieważ musiał pomóc Mirowi i Dryas dotrzeć do domu. Na progu leżały dwa ciała. Maeniel z szacunkiem spojrzał na bladą, chwiejącą się Dryas, kopniakami oczyścił drogę z trupów, po czym wziął Dryas na ręce, bezceremonialnie zaniósł ją do łóżka i okrył.

Mir wziął się do rozpalania ognia.

- Oboje musicie namoczyć nogi w gorącej wodzie, inaczej dostaniecie odmrożeń. - Na chwilę oderwał się od dorzucania drew do paleniska. - Wiecie, wcześniej nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechnęła, a wy?

Maeniel zastygł. Wątył blask ognia kładł się na jego skórze.

- Nie. Do mnie też nigdy się nie uśmiechnęła. Uratowała mi życie. Ten, który wszedł do szopy, zabiłby mnie, ale mu przeszkodziła.

- Cieszyła się ze śmierci - powiedział Mir.

- Starcze, nikt chętnie nie umiera.

- Czasem tak - rzekł Mir, rzucając szczapki na zwęglone bierwiona. Po czym wstał i podszedł do skrzyni w kącie. Wyjął z niej opończę z czarnego jedwabiu, wyszywaną w jesienne liście, szkarłatne, brązowe, zielone i żółte, i lamowaną ciemnobrązowym, niemal czarnym futrem sobolim. Wręczył ją Maenielowi.

- Weź to i owiń ją. Dziś w nocy zbudujemy dla niej stos pogrzebny. Ten jedwab przybył z daleka, lecz został ozdobiony przez jej matkę i siostry, a futro zdobyli jej krajanie z północy. Tyle tylko pozostało ze szlachetności i piękna, które dawno temu przyniosła w te góry. Niech ma to na sobie, kiedy połączy się ze swoimi.

- Nie! - sprzeciwiła się Dryas. - Musimy się stąd wynieść. Tamci nie dostali tego, po co przyszli. Ten, który uciekł, na pewno opowie reszcie w rzymskim forcie, co się stało, i znów zaatakują.

Maeniel odwrócił się i spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Dryas poczuła na skórze chłód metalowego naszyjnika. Lecz człowiek - wilk rzekł jedynie:

- Nie, nie zaatakują. Lekki śnieg, który spadł ostatniej nocy, to jedynie zapowiedź czegoś gorszego. Wiem. Przed snem czułem zbliżającą się śnieżną burzę i nadal ją czuję. W uszach mi trzeszczy. Nie wiem czemu, ale zawsze tak jest przed zadymką. Nie! Niebawem wszelki ruch zamrze w górach i w obozie na dole. My też nigdzie nie wyruszymy. - Powiedziawszy to, wyszedł.

Mir wyjął ze skrzyni jeszcze jeden gruby przyodziewek i okrył nim Dryas, a następnie zaczął grać wodę do przemycia ran.

Maeniel zaniósł opończę do szopy. Dźwignął szaloną, złożył na jedwabiu i starannie owinął. Następnie przeniósł ją na swoje legowisko, zasłane dwoma wełnianymi kocami. Okrył zmarłą kolejnymi kocami, zostawiając twarz osłoniętą tylko jedwabiem. Znieruchomiał. Zastygłe oblicze rysowało się pod delikatną tkaniną, która złagodziła rysy i ukrywała blizny; przez chwilę oglądał kobietę, jaką mogłaby się stać, gdyby mordercy nie najechali domu jej rodziny.

Nie myślał, że zdobyła się na swój czyn powodowana szaleństwem albo strachem. Oddała życie, bo chciała go ratować. Był opiekunem i osłoną tak wielu szczeniaków, że straciła rozeznanie. Tak, to dla ciebie, nie dla tamtej, zasiądę przy ich ogniskach - pomyślał.

Nie lękał się śmierci; to uczucie nie znane żadnemu wilkowi. Nawet psy są od niego wolne, tak że zawsze zostaje im ta droga ucieczki. Lecz tak jego, jak wszystkich nas, w tym ludzi, trzyma przy życiu wiecznie zmieniająca się natura doznań. Nie bał się śmierci, ale nie mógł pogodzić się z myślą, że przestanie żyć. I żeby żyć, musiał przyłączyć się do obcych sobie stworzeń, musiał nauczyć się ich zwyczajów i zasad. Ona chciała, by przyjął ten dar i zapłaciła za niego sowicie.

Znów popatrzył na jej twarz, spokojną i piękną. Czuł, że pogodzi się z losem i stanie jednym z nich. Lecz ta trudna decyzja okryła go wiecznym smutkiem. Pamiętał, jak żałował Imony uwięzionej w zadymionej chacie, kiedy on i jego plemię głodni, spragnieni przyjaźni i nawet miłości pędzili na swobodzie, w świetle księżyca i

gwiazd, nie doceniając tego, co mieli. Wiedzieli tylko, że z chwilą narodzenia zostali obdarzeni wszystkim, co potrzebne do przeżycia, bo w innym wypadku ten wielki arbiter wszelkiego życia, konieczność zaspokojenia potrzeb, nie dałby im zaczerpnąć pierwszego oddechu.

Lecz te oto niedoskonałe stworzenia, tak zależne od siebie tam, gdzie chodziło o zaspokojenie każdej potrzeby, rodziły się zdane na tysiące mąk: lęk przed chorobą, głód, koszmarny brak akceptacji bliskich. Potrzebowały ochrony przed zimnem i drapieżnym instynktem osobników własnego gatunku. Każdy dzień był walką, a nocą wkraczali do jaskini lęku i zawsze, każdego dnia i godziny, patrzyli na śmierć, wiedząc, że kiedyś przyjdzie nieunikniona z zewnątrz lub wykluje się w nich samych.

Maeniel sięgnął po siekiere i zaczął rąbać polana z wysokiego sągu. Niebo, czyste o świcie, zachmurzyło się znowu i pojawiły się drobne płatki śniegu.

Po dłuższej chwili wszedł Mir. Przyniósł Maenielowi rondel ciepłej owsianki, świeżo pieczony chleb i paski duszonego mięsa z poprzedniego wieczoru. Podszedł do ciała. Po raz pierwszy ujrzał najemnika zabitego przez Maeniela. Żołnierz leżał skulony przy ścianie. Mózg i krew zbryzgały bale. Mir sam w młodości był wojownikiem, ale nagle zbrakło mu oddechu.

Maeniel zjadł chleb i popatrzył na owsiankę.

- Łyżką - odpowiedział Mir.

Maeniel skończył chleb, nadal nie bardzo wiedząc, co zrobić z owsianką. Mir pokazał mu, jak posługiwać się łyżką. Maeniel spróbował owsianki i skrzywił się.

- Nie warte zachodu - rzekł.

- Zjedz - poradził mu Mir. - Rozgrzeje cię.

Wrócił do drzwi i patrzył przed siebie. Śnieg był coraz gęstszy, płatki coraz większe. Mir usłyszał drapanie łyżki o dno rondla.

- Ciekawe, kim byli - powiedział, spoglądając znów na wojownika przy ścianie.

Maeniel wrócił do rąbania drzew.

- To Rzymianie - rzekł na chybił trafił. Niebawem się zgrzał, krople potu wystąpiły mu na twarz. To było dla niego coś nowego; wilki w ogóle się nie pocą.

- Nie - oświadczył Mir. - Zbroje i broń są zupełnie nierzymskie. Ci ludzie nie przysli z obozu w dolinie. Nie, jestem przekonany, że chodziło im o Dryas. Ich przywódca wygadał się, że mają sprowadzić ją do Rzymu nietkniętą.

Maeniel opuścił siekierę.

- Co to „Rzym” i czemu temu człowiekowi zależało na sprowadzeniu j ej tam?

- Bo jest niezwykłą kobietą. W ich języku takie walczące niewiasty noszą nazwę Amazonek.

- Umie się dobrze bić. - Maeniel układał drwa. - I inne rzeczy też - dodał pochmurnie.

- Rzadko spotyka się podobne kobiety, nawet wśród nas. Być może to szkoda, że pozbyliśmy się ich parę wieków temu. Dobrze znały się na wielu zagadnieniach, nie tylko wygrywaniu bitew. Taka jak ona poradziła sobie z Mariuszem, inna może dałaby radę Cezarowi. Nie myliła się co do ciebie. Ja chciałem cię zabić, lecz ona się temu sprzeciwiła. Wraz z moją żoną wierzyły, że można nauczyć cię, jak być...

- Człowiekiem - podsunął mu Maeniel. - No cóż, twoja cudowna Dryas jakoś... nie wiem... jakoś sprawiła, ale nie mogę już przywdziać wilczej skóry. W tej sprawie nie pozostawiła mi wyboru. Mam nadzieję, że jesteś dobrym nauczycielem, starcze, bo czeka cię trudne zadanie.

Mir spojrzał na trupa.

- Musisz panować nad swą wielką siłą.

- Zrobiłem to, co zamierzałem. Popełnił niewybaczalny czyn. Zabił ją. Wystarczyło odepchnąć ją na bok, ale że chciała dać mi broń, więc ją zabił.

- Nic dziwnego - rzekł Mir. - Taka jest większość żołnierzy, a może służba ich zmienia. Uciekają się do użycia siły tam, gdzie innymi metodami mogliby łatwiej osiągnąć cel. Zapłacił za wszelkie zło, które uczynił.

- Tanio zapłacił! - Maeniel był w ponurym nastroju i rąbał drewno, aż drzazgi leciały. - Ile ci tego potrzeba?

- Już narąbałeś aż nadto. Chodź do chaty. Musimy przygotować ci jakieś okrycie na nogi. Jest coraz zimniej i odmrozisz stopy. Kiedy pogoda się zmieni, musimy być gotowi do ucieczki. Nie sądzę, żeby ci ludzie byli Rzymianami, ale nie

mogli działać bez pozwolenia z fortu w dolinie. A kiedy znów się ruszą, bez wątpienia spróbują porwać Dryas. Musimy odejść. Wszyscy.

- Do miasta za Renem? - spytał Maeniel.
- Co wiesz o Cynewolfie i jego warowni?
- Dość! - odparł Maeniel i wbił siekierę głęboko w pień dębu, na którym

zwykle przesiadywała Dryas.

Mir uznał, że zadał dość pytań swojemu nowemu uczniowi. A już na pewno wszystkie, na które chciał znać odpowiedź. Wracanie do losu Imony mogło przynieść nieszczęście i było niemądre, a Mir nie lubił igrać z mocami przeznaczenia i nie był głupi. Tak więc zebrał naczynia i zaprowadził Maeniela do domu.

Lucjusz wpuścił Odcięte Ucho do stajni. Osiodłali dwa konie.

- My jechać teraz? - spytał Gal.
- Nie - rzekł Lucjusz. - Najpierw zadamy kilka pytań i zapłacę ci. Chodź! -

Odcięte Ucho ruszył za nim.

Pieniądze były w skrzyni przykutej łańcuchem do żelaznego drąga osadzonego w ścianie nieopodal atrium. Lucjusz otworzył zamek. Zastanowił się, czy siostra wie, że ma klucz. Nigdy go nie używał. Ojciec dał mu go na osiemnaste urodziny, kiedy syn wyruszył do wojska, ale jak do tej pory nie korzystał z rodzinnego skarbcza.

Uważał, że dostaje sporo pieniędzy. Konia, zbroję i ubrania miał opłacane z funduszy rodzinnych, a towarzyszyło mu dwóch starych służących. Obaj byli wyzwolencami ojca Lucjusza, leniwymi i przeczulonymi na punkcie swojego statusu, tak że najęli do pracy kobietę, Alię. Pranie, wynoszenie nocnika i mycie podłogi było poniżej ich godności. Jeśli chodzi o gotowanie, to po tygodniu ich kulinarnych katastrof Lucjusz się poddał i, jak to on, poszedł po linii najmniejszego oporu - płacił Alii dodatkowo za kucharzenie.

W ten sposób dwie stare zrzędy mogły swobodnie doglądać jego zdrowia, moralności, wydatków, picia, diety itd. Wytrzymał to przez dwa tygodnie, aż znalazł jakiś powód, aby odesłać ich do Rzymu. Nakazał księgowemu ojca wysłanie ich na emeryturę.

Dlatego też musiał zadowolić się Alią. Całe życie spędzone przy legionach sprawiły, że była obsesyjnie czysta i bezgranicznie skąpa. Ponieważ nie miał na co

wydawać pieniędzy poza kobietami - a był zbyt wybredny - poza piciem - a nie był nałogowcem - lub kośćmi -które go nie pociągały - miesięczny żołd w zupełności mu wystarczał.

Krótko mówiąc, nigdy nie miał kłopotów finansowych, lecz widział, że ojciec ma stosy monet różnej wartości.

Pomacał w otwartej skrzyni.

- Tak.

Ojciec był uporządkowanym człowiekiem. Kazał uszyć skórzane sakiewki i poprzesywać je wzdłuż i wszerz, tak że każda moneta miała swoją kieszeń. Dziesięć kieszeni na dziesięć. Sto aureusów. Złoto migotało nawet w słabym świetle.

- Złoto - sapnął Odcięte Ucho.

Lucjusz wręczył mu zapłatę.

Znikła w fałdach ubioru Gala.

- Mordować?

- Tylko kiedy ci powiem.

- *Ja!* - W tym okrzyku dźwięczał entuzjizm.

Rozległ się brzęk łańcucha i stary odźwierny wyłonił się z legowiska przy drzwiach. Podniósł wzrok i ujrzał dwóch mężczyzn pochylonych nad skarbem. Skulił się, przejęty strachem. Odcięte Ucho zapalił lampę oliwną i ukazało się oblicze Lucjusza.

- Pan!

- Tak. Gdzie śpi Firminiusz?

Stary niewolnik wskazał drżącą ręką korytarz na prawo od apartamentów Fulwii. Lucjusz skinął głową.

- Wracaj spać.

Razem z Odciętym Uchem podeszli do wskazanych drzwi. Ku zaskoczeniu Lucjusza biło spod nich światło i dobiegały głosy.

- No więc, kim ona była? - mówił Firminiusz. Był rozdrażniony.

Odpowiedź była przygłuszona, a jej ton przepraszający.

- Niewątpliwie Kastor i Polluks. Składają donos - rzekł cicho Lucjusz.

- Tak ty ich zwać, he? - rzekł Odcięte Ucho. - Mówić ci, sprzedać cię za czapka gruszki. Pukać czy kopać w drzwi?

- Kopnij.

Odciętu Ucho kopnął. Skrzydło frunęło do środka.

Pokój był jasno oświetlony i bardziej kobiecy niż jakiegokolwiek pomieszczenia odwiedzane do tej pory przez Lucjusza. W suficie osadzono szklany świetlik w kształcie kopuły. Widniały w nim tylko gwiazdy.

Głównym meblem było łożo zajmujące centralnie ustawione podium; rzeźbione w drewnie cytrynowym wypolerowanym na wysoki połysk, wygięte z obydwu końców. Leżał na nim potrójny materac i wiele poduszek, a okrywały je długie zwoje gazy, spływające z sufitu.

Po obu stronach łoża stały kandelabry w kształcie gigantycznych złotych róż. W kielichach znajdowała się oliwa, spomiędzy płatków, odbijających blask płomieni, sterczały knoty. Światło było oślepiające. Cała komnata oślepiała. Na ścianach umieszczono malowidła: amorki i łabędzie podtrzymujące białe, żółte i śliwkowe aksamitne draperie.

Kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem, Firminiusz wrzasnął:

- O rety! - Zatrzepotał dłońmi jak wzbijająca się do lotu gołębica i spojrzął na Lucjusza spod rozmigotanych rzęs.

Lucjusz wszedł do sypialni w asyście Odciętego Ucha i wskazał na drzwi.

- Wynocha - rozkazał Kastorowi i Polluksowi. - Chcę pomówić sam na sam z sekretarzem mojej siostry.

- Och, nie, nie zostawiajcie mnie samego z tym... pijanym nicponiem i tym strasliwym barbarzyńcą, który mu towarzyszy. W jakim rynsztoku znalazłeś tego potwora? Jest nie tylko okropnie ubrany, ale niewyobrażalnie owłosiony...

- Firminiuszu, chciałbym, żeby to była rozmowa cywilizowanych ludzi, ale ty nadwerężasz moją cierpliwość. Wy dwaj, precz!

- Tylko nie ważcie się wychodzić. - Firminiusz uczepił się ramienia Kastora. - Lucjuszu, jeśli nie wyjdiesz w tej chwili, każę usunąć z mojego pokoju ciebie i twojego owłosionego przyjaciela. Mam delikatną konstrukcję i nie mogę spać, jeśli naruszy się mój sen... Nie, błagam, błagam, usuńcie ich stąd. Pani Fulwia będzie nieskończenie wdzięczna, jeśli usuniecie tego śmiecia na korytarz i...

- Obaj są wyszkolonymi gladiatorami - powiedział Odciętemu Uchu Lucjusz.

Ten zarechotał.

„Gladiatorzy” ruszyli na natrętów.

Lucjusz sięgnął po broń.

Odcięte Ucho dobył miecza i Lucjusz dowiedział się, co tak rozbawiło jego nowego sługę. Gal zadał cios tak szybki, że Lucjusz nie nadszedł za nim wzrokiem. Miecz uderzył płazem w skroń Kastora. Ten przez chwilę stał ze zdumioną miną, a następnie błysnął białkami i ugiął kolana. Padł na posadzkę i znieruchomiał.

Odcięte Ucho zarechotał po raz drugi i błysnął ostrzem przed oczami Polluksa.

- On pogłaskać tamten raz a dobrze. Ja ciebie popieścić długo. Chodź.

Firminiusz zaskrzeczał. Polluks uciekł. Lucjusz kopnięciem zamknął za nim drzwi.

- Zabarykaduj je.

Odcięte Ucho przesunął wielką komodę.

Lucjusz czuł się nieco głupio, zmuszony do biegania po pokoju za uciekającym Firminiuszem.

Odcięte Ucho wrócił i wybawił swojego pana z kłopotu. Podciął Firminiuszowi nogi i stanął mu na piersi, kiedy tamten próbował się podnieść.

Firminiusz zaczął wrzeszczeć. Odcięte Ucho załatwił i ten problem. Wymierzył mu siarczysty policzek.

Głowa Firminiusza odbiła się od podłogi i oczy mu się zamgliły.

- Firminiuszu, posłuchaj. Jak jeszcze raz wrzaśniesz...

- Ty stracić jedno ucho - powiedział Odcięte Ucho.

- Znakomicie - rzekł zachwycony Lucjusz. - Tak, Firminiuszu. Ten oto mój przyjaciel jest nazywany Odcięte Ucho. Wiesz, czemu?

Firminiusz wytrzeszczył oczy ze zgrozy i pokręcił przecząco głową.

- Bo lubi zbierać je na pamiątkę. Naniza je na sznur i nosi go na szyi. Właśnie zaczyna kompletowanie nowego naszyjnika i jak jeszcze raz wrzaśniesz, twoje ucho będzie na nim pierwsze... a może uszy.

Firminiusz skinął głową.

- Teraz zamierzam zadać ci kilka pytań i lepiej, gdy udzielisz prawdziwych odpowiedzi, bo jak nie to... no cóż, ja kolekcjonuję gałki oczne. - Lucjusz dobył sztyletu. - Wkładam je do szklanych fiolek, zalewam winem, żeby moje skarby dobrze się zachowały, i trzymam pod łóżkiem. Jeszcze dwa egzemplarze i będę miał pełną dziesiątkę. Twoje bardzo by mi się przydały. A teraz, gdzie Filon?

Burza sprzecznych namiętności odmalowała się na twarzy Firminiusza. Strach, ale nie o siebie, lecz przed Fulwią. Gniew, jako że zapewne życzył Filonowi wszystkiego najgorszego. Wściekłość, gdyż został upokorzony. Tępy upór, ponieważ był przekonany, iż Lucjusz nic mu nie zrobi. Lucjusz uznał, że najlepiej zrobi, przystępując do działania. Spróbował ostrości sztyletu na policzku Firminiusza. Pojawiła się strużka krwi.

Firminiusz zastękał.

- Nie...

Lucjusz nacisnął mocniej. Następna strużka była wyraźniejsza. Firminiusz zacharczał.

- Neeee...

- „Nie” to nie jest właściwa odpowiedź - warknął Lucjusz i sztylet zawisł nad lewym okiem pytanego.

Firminiusz załamał się.

Ale jeszcze bardziej załamał się Lucjusz, słysząc odpowiedź.

- Przekonasz się, że nijak mu nie pomożesz - rzekł mściwie Firminiusz. - Za późno.

Odcięte Ucho złapał Firminiusza za nocną koszulę i cisnął go na łóżko. Potem poklepał leżącego po policzku i spytał Lucjusza:

- Ty chcesz ja iść zaraz?

- Mogę dać ci trochę czasu. Jak myślisz, ile ci zajmie...?

Firminiusz przeskoczył za wysokie wezglowie, wydając przeraźliwy pisk.

- Nie uważasz, że to niemęskie? - spytał Lucjusz.

- Nie! - sapnął z lubością Odcięte Ucho. - Tak samo jak z kobieta, ale dziura bardziej ciaśniej. Fajnie! Dobrze!

Firminiusz wrzasnął kolejny raz, ile miał sił w płucach.

- Jemu to trochę nie odpowiada - zauważył Lucjusz.

Odcięte Ucho roześmiał się.

Ktoś walił do drzwi i krzyczał. Wrzaski Firminiusza obudziły całe domostwo.

- Szkoda, chyba najlepiej zrobimy, wychodząc, chociaż nie mogą mi nic zrobić - rzekł Lucjusz. - To mój dom. Jako najstarszy mężczyzna z rodu Bazylich ja tu rządę. Słyszysz, Firminiuszu?

Łomotanie do drzwi ustało.

- Panie Lucjuszu...? - rozległo się pytanie.
- Tak. Nie przeszkadzać mi teraz. Rozmawiam z Firminiuszem!

Zza łóżka rozległ się jęk.

Odcięte Ucho odsunął komodę na miejsce. Za drzwiami stał inny sekretarz Fulwii. Był wyzwoleńcem i rządcą poprzedniego pana domu. Zmierzył Lucjusza spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Panie, trudno mi uwierzyć, że to ty naruszasz spokój tego domu o tak późnej porze.

- Wybacz, że cię obudziłem, Aristo. - Boski bliźniak nadal leżał na podłodze jak kłoda. Lucjusz wskazał na niego. - Nie chcę więcej oglądać tej pary.

- Słucham - rzekł Aristo. - Chcesz, byśmy ich sprzedali?

- Nie - odparł Lucjusz. - Wygląda na to, że są bardziej oddani mojej siostrze niż mnie. Niech znajdą się w jej orszaku. Przygotuj pokój Filonowi obok mojego.

Stary sługa zachował twarz bez wyrazu.

- Twoja siostra, panie, oznajmiła, że on nie wróci.

- Myliła się. - Wskazał Gala. - To jest Odcięte Ucho i również będzie potrzebował pokoju, bo od tej pory należy do służby.

Wyszedł w towarzystwie Odciętego Ucha. Wyprowadzili konie na ulicę.

- Sami? - spytał Odcięte Ucho.

- Tak - rzekł Lucjusz i ruszyli w noc.

Wilk był przekonany, że życie między ludźmi okaże się trudne i bolesne. W grodzie Cynewolfa nie było tak źle. Jedyne czasem spotykały go nieprzyjemne lub niepojęte sytuacje.

Wymóg Blaze'a, aby kąpać się codziennie rano w lodowatej rzece, był i nieprzyjemny, i niepojęty. Wilki się nie myją. Bo i po co? Wilcza sierść nie przepuszcza wilgoci, a gęsty podszerstek odnawia się sam i jest czysty. Wilk linieje latem, a jesienią wyrasta mu nowa gruba okrywa. Jęzor znakomicie nadaje się do czesania.

Tę idiotyczną obsesję ochlapywania się wodą może i dałoby się zrozumieć, ale w lodowatej rzece, zimą? Chciał jak najszybciej zrezygnować z uczestniczenia w

tym szalonym rytuale i zawzięty upór Blaze'a był dla niego równie niezrozumiały jak i sam przedmiot sporu.

Kiedy perswazje nie były w stanie poruszyć Maeniela, Blaze uciekł się do gróźb. Okazały się równie nieskuteczne. Blaze spróbował bata. Po dwóch razach Maeniel odebrał mu narzędzie kary, informując bez żadnych niedomówień, iż nie ma zamiaru narażać się na dodatkowe cierpienia.

Blaze siedział na rozbebeszonym łożu Maeniela, tuląc kciuk przypadkowo wyłamany podczas szamotaniny i przeklinał uparciucha nie w jednym, ale w trzech językach.

Te wrzaski sprowadziły Dryas i Mira.

Mir wziął stronę Blaze'a, ale Dryas spróbowała negocjacji, wyjaśniając Maenielowi, dlaczego codzienna kąpiel w zimnej rzecznej wodzie jest dla niego dobra. Musiał rozbijać lód, żeby dostać się do niej.

- Nie wierzę w nic, co mówicie - powiedział.

Wtedy Mir i Blaze zalali go potokiem słów, co przekonało Maeniela, iż ludzie reagują wrzaskiem i furią, kiedy oskarży się ich o łgarstwa, chociaż z bezpośrednich obserwacji wynikało, że niezwykle często się do nich uciekają, żeby nie powiedzieć - stale.

Dryas rozstrzygnęła spór. Zeszła do rzeki, znalazła ustronny zakątek, rozebrała się i wskoczyła do wody. Szybko się umyła, a potem jeszcze prędzej nałożyła ubranie.

Bez namysłu poszedł jej śladem, dochodząc po cichu do wniosku, że ludzie lubią zadawać sobie cierpienie, bo nic nie sprawia im takiej przyjemności jak robienie rzeczy niepojętych. Nawet dla nich samych.

Zwierzył się z tej refleksji Dryas, kiedy razem wracali do *oppidium*. Po tym, jak ujrzał ją nagą na brzegu rzeki, znów próbował ją namówić do wspólnej ucieczki.

Odmówiła. Wiedział, że tak zareaguje, lecz uznał, iż mimo wszystko warto spróbować. Stwierdzał jednak ze smutkiem, że stała się zimna jak lód.

Siedli na kłodzie przed bramą.

- Proszę cię, staraj się przypodobać Blaze'owi - klarowała mu. - Ma ogromną wiedzę i wiele możesz się od niego nauczyć. Jeszcze nie mogę zabrać cię do Rzymu. Żadne z nas nie jest jeszcze do tego gotowe. Musisz wpierw nauczyć się jeździć konno, ubierać, zrozumieć zasadę działania pieniądza...

- Nadal chcesz udać się do Rzymu i zabić Cezara? Co on ci zrobił?
- Zabił mi syna - powiedziała Dryas.
- Jak? - zapytała Maeniel. - Chcesz, żebym ci pomógł, lecz tę wyprawę mogę przypłacić życiem. Podaj mi swoje powody.

- Jest ranek - rzekła.

Był ranek i do tego zimny. Rzeka nie zamarzła cała, ale drzewa wzdłuż brzegów były nagie i szron pokrywał szczątki roślinności, jakie uchowaly się po ostatnich mrozach. Za górami słońce właśnie rozświetlało szczyty. Złoty blask przebijał się między zwałami szarych chmur, oświetlając surowy zimowy krajobraz.

- To plugawe, że słońce unosi się nad światem, w którym mój syn już nie żyje - powiedziała Dryas. - Minęło wiele czasu, ale wciąż dręczy mnie to okrutne wspomnienie.

- Wilki się nie smucą - wyznał Maeniel. - Płacicie wysoką cenę za swoją moc. Kiedy to się zdarzyło?

- Wedle ludzkiej miary, przed dziesięciu laty.
- Wilki rzadko żyją tak długo. Jeśli ból może trwać przez tyle lat, gdzie miejsce na radość?

- Nie odpowiem ci na to. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się radowałam. Chyba dawno temu, kiedy on żył, lecz nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądał. Dziwne, ale póki się nie narodził, traktowałam go jak obowiązek. Dopiero gdy podałam mu pierś, nauczyłam się go kochać. A kiedy rósł, stał się radością mojego życia. Lecz że był moim synem, los wyznaczył go na kandydata na króla.

Był rudy i kiedy się uśmiechnął, serce mi tajało. - Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na twarzy Dryas, lecz szybko znikło. - Serce mówiło mi też, że na tym maleństwie spoczął wielki ciężar, bo jego pierwszym obowiązkiem było nauczyć się rządzić. Zanim dotknął rączką mojej piersi, zanim złapał ustami sutek, musiał dotknąć stali. Wiedziałam o tym. Podniosłam się z zydła, na którym rodziłam, opuściłam krąg służebnic i zlaną krwią podeszłam z kwilącym oseskiem do ściany, na której wisiała broń. Położyłam jego rączynę na rękojeści miecza i przycisnęłam jego usta do zimnego ostrza. Tak więc został poświęcony swojemu ludowi jeszcze mokry od wód płodowych i krwi z mego łona.

Jednak miał szczęśliwe dzieciństwo. Była z niego szelma, jak z każdego rudzielca, z pięknymi zielonymi oczami i uśmiechem, któremu nie sposób się oprzeć.

Próbowałam być surowa. Może za często... Łajałam go i kilka razy poszedł bez kolacji do łóżka... Och... och, ale kochałam go. Służebne go psuły. Dostawał od nich wszystko, czego zapragnął. I myślałam sobie, i wciąż myślę, że żadna kobieta by mu się nie oparła, kiedy stałby się mężczyzną. Niezbyt to dobra cecha u króla, ale... okazała się bez znaczenia... Starłam się zbytnio nie ulegać jego urokowi. Mówiłam sobie, że musi nauczyć się dyscypliny. A on szybko przekonał się, że na ogół nie zdoła wymigać się przed matką...

Nie miał żadnych kłopotów z nauką. Przejawiał wiele naturalnych zdolności. Lecz jak wszystkie dzieci musiał nauczyć się dzielić tym, co miał i co dostawał, musiał zrozumieć, że nie wolno wykorzystywać słabszych i wyciągać ręki po nie swoje. Święcie brał sobie do serca to wszystko i w miarę jak rósł, byłam z niego coraz bardziej dumna, ale jego popularność wśród rówieśników przysparzała mi bólu.

Byłam dumna, bo miał w sobie załężki władcy, a ból wynikał z tego, że dziecko z każdym krokiem, z którym oddala się od matki, wyszarpuje korzenie kwiatu miłości rosnącego w jej sercu. Lecz dzieci muszą odchodzić. Takie jest prawo życia.

Tak więc kiedy moja siostra mieszkająca wśród Brygantów zaprosiła go na roczny pobyt, przystałam na to. Udałam się z nim i spędziłam poza domem długi czas. Siostra i jej małżonek - wódz plemienia - gościli nas po królewsku. Zobaczyłam wiele rzeczy, o którym tylko mówiło się w naszych górach.

Po raz pierwszy piłam wino, ujrzałam wozy bojowe i żelazne pancerze dla koni, słuchałam bardów śpiewających długie, niewiarygodnie skomplikowane opowieści o możliwych królach i królowych, ich odwadze, bitewnej zaciekłości, próżności i okrucieństwie.

Widzisz, nasz lud zamieszkuje wśród chmur i deszczu. Jest tam zawsze zimno. Pasiemy nasze stada na rozległych zielonych pastwiskach. Zbieramy się cztery razy do roku. Na tych zgromadzeniach królowe, królowie i strażnicy praw rozpatrują wszelkie spory, kojarzą małżeństwa, kupują, sprzedają i handlują. Każdy może się wypowiedzieć: mąż, niewiasta, biedny, bogaty, mądry, głupiec, wolny i niewolny. A jeśli jest zatarg, naszym obowiązkiem jest wysłuchanie stron i wydanie wyroku.

Śpiewamy piękne stare pieśni. Mówią o tym, jak nasze statki niegdyś wiosłowały po zimnych północnych wodach hen, poza słupy świata, przemierzając ciepłe niebieskie morze, jak czynią to białoskrzydłe morskie ptaki. Są to pieśni o

gwiazdach, o tym, jak się zmieniają. O lecie, pełnym kwieciami i owoców, i o zimowej walce z rybą na lodowatym szarym oceanie. Opisują światła niebios, które - prawidłowo odczytane - wskazują drogę do najdalszych zakątków Ziemi.

Również nasze kobierce są piękne, lecz jak w przypadku pieśni, tematy są stare, niektóre tak wiekowe, że ich przesłanie uległo zapomnieniu. Lecz ich żywe kolory palą bure ściany i szare niebo. I odnajdujemy w nich granice naszych ziem, a także rodowody naszych królów i królowych, sięgające w przeszłość sześciokrotnie po tysiąc lat. Wszystko ma znaczenie - grzebień, ryba, ptak, wilk i smok. Barwy zaklęte w kobiercu są bogatsze niż te, którymi pyszni się tęcza. Każde plemię ma własny. Każda rodzina, każda kobieta i każdy mąż. Kobierzec żyje wspólnie ze swoim właścicielem i z nim umiera, nikt inny bowiem nie ma do niego prawa. Wiszą w moim dworze, również mój. Nigdy tam nie wrócę. Nigdy nie wrócę, żeby popatrzeć na kobierzec mojego syna z wyszytą opowieścią o jego życiu.

Nie ujrzę również wizerunku mojego życia. Inna ręka utka mój kobierzec, odetnie nić i obszyje brzeg. Mogę tylko ufać, że będzie to ręka przyjaciela. Zanim odjechałam, skończyłam kobierzec syna i obszyłam brzeg. Niechaj ci, którzy to umieją, przeczytają zakończenie. Ja nie mogłam.

Zamilkła.

Wilk spoglądał na rzekę. Przeświecające słońce przemieniło ją w rozżarzony złoty szlak. Koronki szronu migotały na trawie i drzewach niczym ozdobiony klejnotami diadem księżniczki. Potem słońce zgasło, podobnie jak piękny złudny pejzaż, i rzeka leżała szara jak wypolerowany miecz, jak spoina lśniącej metalicznie ziemi i nieba.

- Zostawiłaś go u twojej siostry - przypomniał Maeniel.
- Tak. I wtedy wylądował Cezar. Późno dostaliśmy wieści o najeździe na równiny. Wyruszyliśmy natychmiast. Chociaż ludy na Białej Wyspie czasem walczyły między sobą, mieliśmy wielu przyjaciół, sojuszników i krewnych wśród plemion masakrowanych przez Cezara.

Jak powiedziałam, byliśmy dobrze obeznani w sztuce wojennej, ale to nie przypominało wojny, tylko... wyniszczanie. Zagrody i dojrzałe zasiewy poszły z dymem, a ludzi, którzy je uprawiali, wymordowano, zostawiając trupy na pastwę wilków i dzikich kotów. Krowy i owce wyrzucono na pastwiskach. Psy i koty wybito w

domach, zatłuczono i skopano na śmierć. Gdzie się dało, spalono pszenicę, i nawet sady obrączkowano, żeby uschły i umarły w słońcu jesieni.

Och, Rzymianie nie zniszczyli wszystkiego. Zabrali pewne przedmioty - na przykład naczynia ze złota i srebra - a także chłopców i dziewczęta nie na tyle starych ani młodych, żeby im byli kulą u nogi podczas odwrotu. Lecz poza tym zostawiali za sobą spaloną ziemię i trupy.

Tak więc nadal żywiłam nadzieję, kiedy przybyliśmy na ziemię, którymi rządził mój królewski szwagier. Wśród trupów nie było dzieci. Kiedy to sprawdziliśmy, wskoczyliśmy na siodła, wiedząc, że dzieci na pewno ukryto w lasach. Tak, nie pomyliliśmy się. Znaleźliśmy je w niewielkiej odległości, nieopodal drzew. Na chwilę zamilkła. W końcu spytała:

- Czy wiesz, że to, co nazywamy miłością, może się przepoczwaczyć w nieznośną ohydę? Koszmar tak upiorny, że umysł odwraca się od tego i z utęsknieniem spogląda w czeluść śmierci, znajdując rodzaj nadziei w kontemplacji wiecznej nicości. Rodzaj pocieszenia w wiecznym śnie bez marzeń i lęku przed obudzeniem.

Przez chwilę nie pojmował tych słów, a kiedy mu się to udało, uciekł od tej straszliwej zagadki.

- Wilki nie ulegają takim koszmarom. Nawet nie przychodzą im na myśl. Nie potrafią ich sobie wyobrazić.

- Dzieci były pod strażą - kontynuowała Dryas. – Wartownicy stawili opór, ale nie byli równymi przeciwnikami dla legionistów. Zanim polegli, zdołali nawet zabić kilkoro dzieci. Te miały szczęście. Nie było pośród nich mojego syna.

- Czy ty i twoi przyjaciele złapaliście tych legionistów, którzy to zrobili?

- Powiedziano mi, że tak - wyjaśniła Dryas. - Byłam skutecznym dowódcą. Przeszłam inicjację w boju, ale ostatnie, co pamiętam, to twarzyczkę nieżywego syna. Reszta zachowała się w mojej pamięci jak wspomnienia tych, którzy chodzą w mroku, pod niebem porysowanym piorunami, i widzą świat jedynie przez ułamek chwili, kiedy gniew burzy rozświetla chmury od wewnątrz.

Dopadliśmy ich na równinie. Obawialiśmy się długich włóczni, których używają, pilów. Z łatwością okaleczyliby nimi naszą piechotę. Długie żeleźca utykają w tarczach, drzewca łamią się, tak że woj musi pozbyć się osłony i walczyć bez niej. Jedną trzecią mojego oddziału stanowiły kobiety. Są wśród nich mistrzyni procy,

które trafiają ptaka w locie. Muszą polować na ptactwo, kiedy nasi mężczyźni łowią wielkie ryby, pływaków niezgłębianych oceanów, lub udają się na długie wyprawy handlowe, tam gdzie zimą słońce nie świeci, a bogowie walczą między sobą w niebie, rozciągając kurtyny kolorowych światła na tle niezliczonych gwiazd.

Pierwsza salwa z naszych proc okazała się zabójcza, a kiedy Rzymianie zaatakowali, rozstąpiliśmy się i przepuściliśmy ich. Jeśli było ich niewielu, ginęli na miejscu. Jeśli mieli przewagę liczebną, rozpływaliśmy się w wysokich trawach lub cieniach rzucanych przez kępy drzew.

Ledwie garstka najeźdźców dotarła do rzeki. Próbowali pokonać ją w bród nocą, przed wschodem księżyca, ale czekaliśmy w ciemności pod drzewami.

Wodzowie zwołali naradę. Zabrałam głos i próbowałam ich namówić, żeby spalili statki Cezara, uwięzili go na naszym terytorium i zadali mu śmierć. Ale oni się bali. Bali się i uznali, że politycznie będzie pozbyć się tej plagi. Tak więc wrócił do siebie i nazwał tę obłąkańczą rzeź zwycięstwem.

Teraz zamierzam odnaleźć go i zabić. Chcę, żebyś mi pomógł, bo chociaż mam pieniądze, nie jestem pewna, czy wystarczy mi umiejętności. Lecz jeśli się nie uda, oboje zginiemy. Prawdę mówiąc, nie mam planu - skończyła bezradnie.

- Ani my, kiedy polujemy. Ludzie robią plany, mają zasady, bawią się logiką jak psy kijem albo szczeniak kawałkiem skóry, ale my nie. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabyś zaplanować takie przedsięwzięcie. Po pierwsze, musisz dostać się do Rzymu, zebrać wiadomości o Cezarze, a potem sprawdzić, czy masz jakies szansę. Żeby zabić sarnę, musisz wiedzieć, gdzie ona się pasie. Więc najlepiej zrobię, dowiadując się, czego ten Blaze może mnie nauczyć.

- To znaczy, że wyruszysz? - spytała.

- Niewykluczone. Poza tym słuchałem, co ludzie tutaj mówią. A mówią niemało, zwłaszcza kobiety. Chyba lubią się o mnie ocierać. Kilka tych samych wciąż przecina moje ścieżki.

Dryas zmierzyła go wzrokiem. Był umięśniony jak atleta. Świeżo ogolony? Nie, po prostu nigdy nie nosił brody. Cerę miał ciemną, ale pod opalenizną widniały zdrowe rumieńce. Jego włosy były koloru starego wypolerowanego drewna. Kędzierzawe, połyskliwe. Tak, nie spodziewała się, by długo tęsknił za jej wdziękami.

- Więc tutejsi dużo mówią o tym Rzymie - kontynuował - i wydaje mi się interesujący. Ale jeśli Cezar jest tak pewny siebie, jak to opisujesz, to może ktoś go zabije, zanim my się tam dostaniemy, i wszystkie twoje zmartwienia znikną.

Rudzielec, którego powalił, próbując ratować Imonę, nadal stał na straży. Minęli go, wchodząc za palisadę. Wilk był przekonany, że strażnik go rozpoznał, ale zaskoczyła go nienawiść w oczach wartownika. To prawda, uderzył go mocno i ukradł mu ubranie, a następnie porzucił je na ulicy, ale czy to powód, żeby tak się gniewać? Maeniel nie znajdował wyjaśnienia tych uczuć, lecz nie miał wiele czasu na ich rozpatrywanie, bo musiał stawić czoło swoim rozgniewanym nauczycielom, wysłuchać ich kazań, a potem przetrzymać kłótnię tych mędrców spierających się w kwestii programu nauki. Udało mu się znaleźć antałek miodu i szeptem porozumieć z hojną wielbicieleką, która umówiła się z nim po zmroku w stajni. Chodziło o obopólną przyjemność. Spodziewał się dłuższego nieróbstwa, gdyż Mir i Blaze nadal nie osiągnęli porozumienia, kiedy dopadła go Dryas i zaciągnęła na męczącą lekcję szermierki.

Szybko zdał sobie sprawę, że od tej pory to ona będzie jego głównym utrapieniem, nie Mir czy Blaze. Dryas okazała się nieznużoną perfekcjonistką, obdarzoną wyjątkową kondycją i wielkimi umiejętnościami. Doprowadziła go do takiego wyczerpania, że na wieczornej schadzce niemal zabrakło mu sił na miłosne igraszki. Lecz po krótkim odpoczynku i kilku kubkach miodu znalazł siły nie na jeden, lecz cztery czy pięć zasugerowanych zabiegów, po których był tak obolały, że o świcie z radością wskoczył do rzeki.

Dryas zauważyła wyraz odprężenia i zadowolenia na jego twarzy. Miała chętkę przyłożyć mu płazem drewnianego miecza podczas lekcji, ale łańcuszek sam poruszył się na jej szyi i dziwnie przylgnął do skóry, przypominając o ich wzajemnych stosunkach.

Po miesiącu nawet nie próbowała mu dołożyć; był za dobry. Miał niewiarygodną koordynację. Zamęczyłby cwałującego konia i prześcignąłby wilka. O zmroku widział lepiej niż ludzie, a słuch miał cudowny.

Kiedy raz ćwiczyli za murami, rzucił jej niedbale, że Mir się zbliża, bo dochodzi już pora lekcji łaciny.

Dryas spytała go, skąd to wie.

Powiedział, że potrafi rozróżnić jego chód i słyszy kroki starca. Po chwili Mir zjawił się w bramie.

W końcu rzeka zamarzała i odetchnął z ulgą, bo skończyły się kąpiele. Nie spadło dużo śniegu, toteż ćwiczyli z Dryas do woli.

Dawała mu w kość, zdając sobie sprawę, że pod jej ręką wyrasta jeden z najtęższych szermierzy. Nauczyła go nie tylko władania mieczem, ale również używania tarczy, która w rękach doświadczonego wojownika była groźną bronią, zwłaszcza wtedy, kiedy stracił miecz lub władzę w ręce, która władała mieczem. Nauczył się strzelać z procy - chociaż Dryas sądziła, że potrzeba do tego ćwiczeń od wczesnej młodości. Był zabójczo sprawny, bez względu na rozmiar celu. Kpiono z niego, albowiem zabijał z procy jedynie wtedy, gdy trzeba było zdobyć jedzenie.

Pewnego popołudnia, chłodnego, nieprzyjemnego i szarego, Dryas zarządziła polowanie na bagnach i zabrała Maeniela oraz kilkoro dzieci. Zbliżało się święto, a spiżarnie zionęły pustkami. Wzięli sieci, licząc na to, że nałapią ptactwa wodnego żerującego między trzcinami.

Sieci okazały się niepotrzebne, ponieważ w krótkim czasie zestrzelił siedemnaście gęsi, przeważnie trafieniami w głowę. Wszystkim przeszła ochota do kpin, a święto było niezwykle udane.

Lecz prawdziwe mistrzostwo zaprezentował w sztuce skoku bohaterskiego łososa, być może dlatego, że kiedy go trenował, odzywała się nim wilcza natura. Umiejętność polegała na walce gołymi rękoma. Była zaniedbana przez większość Brytów i Galów. Lecz kiedyś plemię Dryas posługiwało się nią z wielkim powodzeniem, jako że pozwalała całej społeczności odeprzeć atak lub wypad, nawet gdy była bez broni.

Tu sprawdzały się wilcze atuty - kły i pazury, szybkość i ciężar ciała. Bronią Maeniela była jego inteligencja i zręczność, niezbędne podczas walki wręcz. Miecz, sztylet, strzała, oszczep i proca służyły wyłącznie jako uzupełnienie.

- Nie czcij bałwochwalczo broni - rzekła mu Dryas. - Jeśli jedna cię zawiedzie, bądź gotów sięgnąć po drugą. A przede wszystkim naucz się, że najgroźniejsza może być para rąk.

I to wtedy ryży mąż imieniem Aktus wybrał się na niego z nożem. A Maeniel miał puste dłonie.

17

O tej porze ulice były zajęte tylko przez wozy. Lucjusz i Odcięte Ucho bez kłopotu kluczyli między nimi, słysząc od czasu do czasu przekleństwo, gdy znaleźli się zbyt blisko furmana z ciężkim ładunkiem lub gdy na zakręcie przyhamowali inny pojazd.

W końcu wstrzymali konie przed wysoką bramą obszernej rezydencji w pobliżu Forum. Drzwi były drewniane i wzmacniane żelazem. Dzwon i młotek wisiały w niszy, po prawej stronie. Lucjusz uderzył mocno w dzwon. Zahuczał głośno.

Odpowiedzią była jedynie cisza.

Lucjusz załomotał pięścią w drzwi.

Ze środka poleciało przekleństwo.

- Wpuszczajcie! - krzyknął. - Muszę się spotkać z Cezarem lub szlachetną Kalpurnią.

Barwna wiązanka posłała go w niegodne miejsce pośród zmarłych. Po czym rozległy się słowa:

- Durniu! Jesteś pijany albo szalony, że o tej porze domagasz się wpuszczenia do domu pierwszego obywatela. Wracaj do siebie.

Lucjusz uniósł młotek i grzmotnął nim w dzwon. Metal zadźwięczał trzy razy.

- Przestań, psi wypierdku. Obudzisz całe sąsiedztwo.

- To mnie wpuść!

Ze środka rozległ się grzechot odsuwanych rygli i spuszcanych łańcuchów. Dwaj legioniści rozchyłili bramę. Byli w zbrojach, szkarłatnych pelerynach i hełmach.

Jeden z nich oświetlił Lucjuszowi twarz pochodnią, drugi trzymał się z tyłu. W jednej ręce trzymał pilum, drugą wsparł na rękojeści miecza.

Lucjusz zamrugał i zasłonił dłonią oczy, lecz się nie cofnął.

- Wejść, ale zostawcie broń przy drzwiach - powiedział żołnierz z pochodnią, centurion.

Lucjusz odpassał miecz i sztylet. Odcięte Ucho pozbył się wprost niewiarygodnej ilości morderczego żelastwa: greckiego jednosiecznego miecza, znakomitej broni; germańskiego szerokiego miecza, który wyciągnął zza pleców; zwykłego *gladiusa* legionistów; trzech sztyletów, każdy różnej długości; procy na ołowiane pociski i *cestusa*, ciężkiej rękawicy bokserskiej czy rodzaju kastetu, ostatniej deski ratunku, gdyby wszystko inne zawiodło.

Nawet weteran centurion był pod wrażeniem.

Przybyło jeszcze trzech żołnierzy i odeskortowali Lucjusza obok wiekowego *lalarium* z kilkunastoma maskami pośmiertnymi, atrium z basenem jeszcze starszym niż w willi Bazylich, do perystylu otoczonego krużgankami.

Wszystko tam przygniatało wielkością i promieniowało nie tyle bogactwem, ile pewnością siebie szlchetnego domostwa, którego wybitni mieszkańcy przez pokolenia poświęcili życie służbie publicznej i najdawniejszym instytucjom miasta.

Z cienia wyłoniła się kobieta. Miała na sobie zieloną jedwabną tunikę opadającą do posadzki luźnymi miękkimi fałdami, chwyconą guzami na barkach i ramionach. Emanowała szlchetną urodą i Lucjusz przez chwilę jej nie poznał. A kiedy zbliżyła się do żołnierza trzymającego pochodnię, zdał sobie sprawę, że chociaż jest urodziwa, ma już młodość za sobą. Zmysłowe kształty, jedynie zaznaczające się pod luźnym materiałem, z czasem zaokrągliły się nieco ponad miarę, a kasztanowe włosy, okalające twarz w kształcie serca, przetykała siwizna.

Kiedy się cicho odezwała, jej słowa i maniry były pełne niesłychanej dworności, świadczącej, że ta kobieta nie umie ciosać kołków na głowie, mówić bez opamiętania, czy nawet okazywać wyniosłości. Niemożliwe, by kiedykolwiek zniżyła się do utyskiwań czy narzekań. Zawsze uprzejma i rozważna, nigdy nie splamiłaby się obraźliwym słowem, sceną urządzoną mężowi, nawet na łożu śmierci. Lucjusz, widząc ją, pojął, że ma przed sobą uosobienie tych wszystkich cnót, którymi promieniuje słowo *patricius*.

- Mój małżonek śpi. Był bardzo utrudzony i za żadną cenę nie chciałabym pozbawiać go odpoczynku. Czy masz jakąś ważną sprawę, którą chciałbyś z nim omówić? A jeśli tak, to czy jesteś pewien, że nie mogłabym ci pomóc?

Lucjusz nie zastanawiał się nad tym, co robi. Po prostu przyklęknął na jedno kolano.

- Szlchetna Kalpurnio, jednego z moich sług dziś zadenuncjowano jako wroga twojego małżonka. Kohorta pretorian aresztowała go na rozkaz Marka Antoniusza. To wyzwoleniec, grecki medyk imieniem Filon. Jestem przekonany, że dobrze znam tego człowieka. Uważam, że gdzieś popełniono jakiś błąd. Filon nigdy nikomu źle nie życzył, a już na pewno twojemu małżonkowi i jestem tak samo pewien, że w najmniejszym stopniu nie może być zamieszany w jakikolwiek spisek skierowany przeciwko Juliuszowi Cezarowi.

Kalpurnia podeszła do Lucjusza i ujęła go za rękę, dając znak, by wstał. Uczynił to.

- Tak, znam Filona i nie mogę uwierzyć, by był gotów skrzywdzić kogokolwiek, ale czy to nie może poczekać do rana?

- Szlachetna pani... - Lucjusz wziął głęboki oddech i szukał w myślach słów mogących wyrazić dramatyzm sytuacji kobiecie, która żyła z dala od koszmarów będących zapewne udziałem Filona.

- On chce powiedzieć, że po całonocnym brutalnym i intensywnym przesłuchaniu przez Antoniusza i osiłków z kohorty pretorianów własna matka nie poznałaby Filona.

Lucjusz dostrzegł Cezara stojącego na krużganku. Robił wrażenie zirytowanego i znużonego zarazem.

- Podaj mi, proszę, jeden sensowny powód, który powstrzymałby mnie przed posłaniem cię do tej samej celi w Tullianum, w której przebywa Filon.

- Ponieważ wtedy ukarałbyś dwóch niewinnych ludzi zamiast jednego.

- I możesz dać mi słowo, że twój przyjaciel jest niewinny wszystkich zarzutów, które doprowadziły do jego aresztowania?

- Mogę, Cezarze.

- Nawet gdybyś miał zostać skazany na śmierć, jeśli okazałoby się, że się myliłeś?

- Tak, Cezarze, tak!

- Jesteś niezwykle pewny tego człowieka.

- Tak.

Kalpurnia odwróciła się od Lucjusza i podeszła wdzięcznym krokiem do Cezara. Zatrzymała się, położyła mu dłoń na ramieniu i cicho coś powiedziała na ucho. Następnie, nie patrząc już na Lucjusza, prześliznęła się przez drzwi na krużgankach. Pokojówka niosąca lampę wyszła jej na spotkanie i odprowadziła swą panią do komnaty.

Lucjusz niemal wbrew woli odprowadził ją wzrokiem. Kiedy znikła, powrócił spojrzeniem do Cezara.

- Tak, jest bardzo piękna - odezwał się Cezar.

- Nie chodzi tylko o urodę — powiedział Lucjusz, jak zwykle łapiąc się na tym, że mówi nie na temat i podziwia kobietę, która była zagadką dla całego Rzymu. Co gorsza, pozwalał sobie na to przed obliczem jej męża.

- Tak, masz rację - odparł Cezar i odwrócił się do jednego z żołnierzy. - Przynieś mi pulpit.

Żołnierz wrócił ze skórzanym kufierkiem, który po otwarciu zamieniał się w przenośny pulpit. Żołnierz podtrzymywał go, podczas gdy Cezar skreślił szybko rysikiem kilka linijek na woskowej tabliczce, po czym wręczył ją Lucjuszowi.

Ten skłonił się głęboko i odwrócił ku wyjściu.

- Nie ciekawi cię, co tam jest?
- A powinno? - spytał Lucjusz.
- Nie. To rozkaz uwolnienia twojego przyjaciela z aresztu.
- Dzięki ci i wybac, że pragnę się tak szybko oddalić. Trochę się boję...
- Co może mu się wydarzyć, podczas gdy ty zbijasz bąki - skończył za niego Cezar. Rzucił coś półgłosem jednemu z żołnierzy, który skłonił się i wyszedł. Następnie Cezar odprowadził gościa do drzwi. Lucjusz i Odcięte Ucho szybko przypasali broń.

Kiedy światło latarni wydobyło z mroku twarz Odciętego Ucha, Cezar go rozpoznał.

- Odcięte Ucho, co słyhać u Ambruksa?

Zapytany zawarczał półgłosem:

- Jeść, spać, składać ofiary bóstwa domostwo. Jeść, spać, składać ofiary bóstwa domostwo. Dzień i dzień to samo. Bez koniec. Bez frajda. Każda kobieta stara. Łóżko wąskie, twarde, zimne. Płacić śmierdzące.

- Więc zmieniłeś pana?

- *Ja!*

- Co myślisz o tym człowieku?

Odcięte Ucho dwukrotnie zmierzył Lucjusza spojrzeniem.

- Mało na wierzch, dużo w środek.

Cezar skinął głową. Lucjusz nadal się śpieszył, ale Cezar go uspokoił:

- Nie martw się. Wysłałem żołnierza. Już nie będą przekonywać twojego przyjaciela, żeby podzielił się z nimi tym, co wie.

Lucjusz akurat zapinał pas z mieczem. Kiedy podniósł głowę, Cezar znikł.

Przy drzwiach czekał oddział kawalerii. Odeskortował go do rezydencji Antoniusza, lecz tylko do drzwi dla służby, mrowiło się tam od żołnierzy, nawet o tej nocnej porze. Lucjusz wjechał na dziedziniec i zeskoczył z konia.

Filon, przyprowadzony przez kilku żołnierzy, przedstawiał straszliwy widok. Jego tunika i płaszcz były pokryte starymi i świeżymi plamami krwi. Nos miał złamany. Jedno oko purpurowe i całkowicie niewidoczne, drugie podobnej barwy i częściowo otwarte, rzęsy sklezione krwią. Wargi popękane i napuchnięte. Najgorszy był otaczający go odór przypalonego mięsa.

Lucjusz wręczył rozkaz uwolnienia centurionowi sprawującemu służbę.

- Pomóż mu! - rzekł do Odciętego Ucha. Razem złapali Filona pod ramiona. - Możesz dosiąść konia? - spytał Lucjusz.

- Tak - odparł Filon. - Jeśli to konieczne, mogę pełznąć, iść, a nawet fruwać. Zrobię wszystko, żeby uciec z tego koszmarnego domu.

Lucjusz poczuł nieziemską ulgę, słysząc, że kochany stary Filon nie stracił ducha mimo odniesionych obrażeń.

Jednakże nie musiał dosiadać konia. Żołnierz Cezara najął powóz. Nie było to nic wspaniałego, dwukółka ciągnięta przez wyjątkowo ponurego muła, z dwoma małymi siedziskami po bokach i jedynym z tyłu, wyściełanym popękana skórą. Płócienna buda, rozpięta na kabłakach, osłaniała od wiatru, który dmuchał bezlitośnie. Noc z każdą chwilą stawała się coraz chłodniejsza. Woźnica siedział za mułem.

Lucjusz przysiadł się do Filona. Odcięte Ucho burknął coś na propozycję zajęcia miejsca siedzącego i przyłączył się do konnego żołnierza, który ruszył za pojazdem.

- Co się stało? - spytał Lucjusz.

- Nie wiem. Wiem tyle, że czekali na mnie za domem Gordusa. Biedna Marcja usiłowała protestować i mało nie zarobiła siarczystego policzka za dobre chęci. Powiedziałem jej, tak stanowczo, jak mnie było stać, żeby się nie wtrącała. Bałem się ją poprosić, aby cię zawiadomiła. Lękałem się, że ją też aresztują. Pewnie by to zrobili, ale nie musiałeś niczego mówić. Wiedziała, co uczynić. Znalazła odpowiedniego posłańca, który zaraz dostarczył mi wiadomość.

Filon skinął głową, ale nie stawiał dalszych pytań.

- W każdym razie przyprowadzili mnie przed oblicze Antoniusza. Przez chwilę kamień spadł mi z serca. Ale on oskarżył mnie o kłamstwa. Prosiłem, błagałem, poniżyłem się tak, że czuję ból na wspomnienie tej chwili, choć nie taki, jaki spotkał mnie niedługo potem.

On, oczywiście, nie słuchał. Wręcz przeciwnie, rzekł jedynie, żebym nie robił z siebie takiego wielkiego durnia, bo to i tak nie ma znaczenia. Następnie przekazał mnie swoim przyjaciółom. Nie przedstawili się i nie pytałem, jak się zwa. A później byłem na to zbyt... powiedzmy... zajęty.

Najpierw zaprezentowali mi wszystkie swoje zabaweczki. Nie było jeszcze tak źle, chociaż ciskali mną po izbie, wyjaśniając, co do czego służy. Później zaczęli demonstrować na mnie działanie tych przyrządów. Byłbym w gorszym stanie... - Opuścił wzrok. Dłonie miał opuchnięte, posiniaczone, lecz nie połamane i bez szram. - Ale potraktowali mnie bezceremonialnie i wymknąłem się im. Rozumiesz, nabrałem nadziei, iż w jakiś sposób uda mi się ich przekonać, by mnie zabili, nie miałem bowiem pojęcia, że Marcji uda się nawiązać z tobą kontakt i że będziesz mógł mi pomóc. - Mówił coraz bardziej ochryłym głosem.

Lucjusz odwrócił wzrok.

Minęli róg ulicy i wiatr uderzył ich w twarze. Lucjusz nałożył Filonowi kaptur na głowę i otulił go szczelniej opończą.

- A wiesz, że ten wiatr dobrze mi robi? - rzekł Filon. - Znieczuła wszystkie obolałe miejsca. W każdym razie jeden wielki tłuk, który zapewne nie miał pojęcia o swojej sile, przyłożył mi w głowę i stałem się nieczuły na zabiegi, które, jestem pewien, przeciągnęły się długo w noc. Kiedy wreszcie się ocknąłem, moja głowa nie pracowała jak należy. Ale starałem się stworzyć wrażenie, że jestem bardziej ogłupiały niż w rzeczywistości. Tymczasem wrócił Antoniusz i obrzucił swoich pomocników najgorszymi przekleństwami.

Nie dał się zwieść mojemu podstępowi, nakazał natomiast podać mi trochę chleba i wina. Nie składam tego na karb jego dobroci. Zdawałem sobie sprawę, że jedynie szykowali mnie do dalszych przesłuchań... Ale usłyszałem, że przybył posłaniec, po czym zostawiono mnie samego. Co zrobiłeś? Jak udało ci się mnie wydostać? A przy okazji... W życiu nie widziałem niczego piękniejszego niż ty i twój nowy... Jak mam go nazwać? Ale język mi się płacze. Nie przykładaj wagi do moich słów. W głowie mam mętlik. Możliwe, że nic udawałem i ten cios w głowę sprawił...

- Bądź cicho - ofuknął go Lucjusz, wskazując drogę woźnicy. - Porozmawiamy, kiedy znajdziemy się w domu.

Kiedy dotarli do willi, rozmyty zimowy księżyc zaszedł, lecz dziedziniec był skąpany w świetle. Aristo czekał z Alią. Na widok Filona zacmokała, pomogła mu zejść z wózka i udać się do pokoju.

Lucjusz nie zdawał sobie sprawy, że lubiła medyka, lecz kiedy ujrzał pokój Filona sprzątnięty, łóżko posłane i rzeczy osobiste ułożone tam, gdzie poprzednio było pusto, uświadomił sobie, że znalazła w sercu ciepłe miejsce dla Filona.

Aristo przyniósł gorącej wody i świeże przybranie dla Greka oraz płótno na opatrunki. Alia, która miała spore doświadczenie, oczyściła opatrzyła rany, w tym kilka silnych oparzeń.

Lucjusz spytał o siostrę.

- Wyjechała - rzekł Aristo. - Do Galii. Wróciła od Kleopatry wyraziła przy mnie swoje niezadowolenie ze swoich agentów, narzekała, że jeśli się chce, żeby coś było zrobione jak należy, to trzeba tego dopilnować samemu. Następnie dodała: „Zabiła pięciu. Posłałam sześciu, a ona zabiła pięciu. Uwierzyłbyś w coś takiego?”. Zapytałem: „W co miałbym uwierzyć?”. Lecz nie odpowiedziała i nie wyjaśniła, kiedy powróci. Przy okazji, znalazłem ci służącego, panie. To odźwierny. Przez lata był przykuty w swoim pokoju, od kiedy i woja matka umarła. Sądzę, że twój ojciec gniewał się na niego, ponieważ był nieco zbyt lojalny wobec twojej matki.

- Masz na myśli, że przynosił jej wino?

Na obliczu Arista pojawił się bolesny wyraz, jaki zwykle charakteryzuje osoby cierpiące na długotrwałe zaparcie, lecz nie padła żadna odpowiedź.

- Znakomicie - rzekł Lucjusz.

- Jest czysty, cichy i umie trzymać język za zębami. Poza tym będzie wdzięczny za uwolnienie go z długiego więzienia, jakim było dlań dawne stanowisko. Na razie obejmą je Macer i Afer, przynajmniej do powrotu twojej siostry. Potem może uczynić z nimi, co jej się żywnie podoba. Ich zachowanie względem ciebie, panie, a także zachowanie Firminiusza to poważna sprawa. Jako najstarszy żyjący członek rodziny, w prostej linii spadkobierca płci męskiej, ty jesteś władcą tego domu.

Jesteś *pater familias*, ojciec rodziny, dysponujący *patria potestas*, władzą ojcowską. Wszyscy, którzy mieszkają pod tym dachem, wolni i niewolnicy - w tym pani Fulwia - podlegają twojej władzy. Tamci dwaj grozili ci w obecności świadka.

Poprzednio nie zajmowałem stanowiska, jako że nie domagałem się należnych ci przywilejów, lecz teraz gdy się to zmieniło, winienem wyegzekwować prawo i spełnić twoje życzenia. Lecz muszę powiedzieć, że nie zgadzam się z twoją pobłażliwością wobec Macera i Afera. Uważam, że popełnili niezwykle poważne wykroczenie i powinni pozostać w łańcuchach do powrotu twojej siostry.

- Dziękuję ci - rzekł Lucjusz ze szczerą i należną tej chwili powagą.
- Teraz, jeśli pozwolisz, panie...
- Oczywiście.

Aristo oddalił się, jak zwykle jednocześnie uprzejmy i pełen wzgardliwej wyższości.

Alia zrobiła, co do niej należało, i wyszła od Filona. Na odchodne dostała od Odciętego Ucha klepnięcie w tyłek. Obruszyła się i posłała mu spojrzenie mówiące: „Za kogo się uważasz, że tak się ze mną spoufalasz?”.

- Ja mieć złoto - rzekł Odcięte Ucho.
- Uhm... powiedziała Alia, lecz w jej głosie nie było sprzeciwu.

Jak na gust Lucjusza była nieco za stara i nigdy nie myślał o niej jako o kobiecie, ale miała krzepkie ciało, szerokie biodra i pełne piersi. Nie była ładna - miała krogulczy nos i zbyt wystającą szczękę - lecz wyglądało na to, że przypadła do gustu Odciętemu Uchu. Lucjusz ruszył do Filona, ale zatrzymał się przy Galu.

- Alia? - spytał.
- Kobieta czasem kłopot. Lubić mężczyźni, lubić pieniądze, lubić bałagan, lubić się lenić, lubić się kłócić, lubić wsadzić ci nóż w plecy, lubić zazdrość cały czas, lubić kraść, lubić pić wino. Ta lubić mała pieniądze, nie gadać, nie kłopot. *Ja*, ona dobra.

Lucjusz skinął głową.

Filon leżał na łóżku wygodniejszym niż poprzednio. Klatkę piersiową miał obandażowaną, okrycie zasłaniało go od pasa w dół. Mimo że w pokoju paliła się lampka, źrenice miał rozszerzone. Wziął opium.

- Ona ci je podała czy sam wzięłeś? - spytał Lucjusz.
- Ja sam. Nie jestem tak głupi, żeby powierzyć to zadanie komuś innemu.
- Poszedłem do samego Cezara.
- Zeusie gromowładny. Strasznie ryzykowałeś.

- Tak. - Lucjusz nie zaprzeczył oczywistemu. - Chcę tylko wiedzieć, czy okłamałem Cezara, przysięgając na swoją głowę, że nie jesteś uwikłany w żaden spisek przeciwko niemu?

Filon milczał długo, tak długo, że Lucjusz myślał, iż zasnął.

- No...? - nacisnął medyka.

- Nie, nie kłamałeś - odparł Filon. - Ale...

- Co „ale”? - Lucjusz szybko rozejrzał się po pokoju, upewniając się, że jest pusty. Poza świetlikiem nie było żadnego okna. Drzwi zamknięto.

- Wiem coś.

Lucjusz siłą woli powstrzymał się, aby nie jęknąć.

- Co? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Filon powiedział mu.

- Po pierwsze, czemu, do pioruna, nie przekazałeś tego Antoniuszowi?

- Bo to plotka. Znam jaż niezbyt pewnego źródła, a gdybym nawet coś pisał, to nasz przestawny sąd uznałby, że wiem jeszcze więcej i ukrywam to. Wobec tego zarządziłby natychmiastowe... przesłuchanie. Uznałem, że w tych okolicznościach najmądrzej będzie udawać niewiniątko.

- Prędzej czy później wydobyliby z ciebie prawdę.

- Prawda i człowiek na torturach to dwie zupełnie różne rzeczy. Wcześniej czy później wymyśliłbym coś... żeby tylko przestali. Teraz wiesz to samo co ja. Jeśli musisz, idź do Cezara, ale ostrzeż mnie najpierw, żebym przygotował sobie truciznę.

- Muszę. Dałem słowo - rzekł z rozpaczą Lucjusz.

- Świetnie! Mam tyle opium, że nie muszę się przejmować. Ty jesteś obywatelem rzymskim. Zostaniesz ścięty.

- Ach, matko bogów. - Lucjusz przeciągnął dłońmi po policzkach. - Może pozwoli mi popełnić samobójstwo.

- To nie większa przyjemność niż ścięcie, Regulusie.

- Regulus był człowiekiem honoru. Poza tym, że jestem obywatelem rzymskim, mam nad Cezarem przewagę.

- To Cezar ma przewagę - powiedział Filon. - Nie jest głupi. Wątpię, czy można powiedzieć to samo o jego ciężkorękim przyjacielu. Podejrzewam, że wrócisz do domu z głową na ramionach i że zachowasz ją w najbliższej przyszłości. Tak

naprawdę martwię się spiskowcami. Jest ich tak wielu i mają tak wysoką pozycję, że nie popuszczą tym wróbelkom, które sfruną na ramię Cezara i będą ćwierkać mu do ucha. Lub powtórzą to samo co tamten weteran: „Strzeż się, panie. Strzeż się”.

Maeniel wszedł do stodoły późnym popołudniem. Była pozbawiona okien. Usłyszał Aktusa,- zanim go dostrzegł. Rudzielec skoczył z lewej strony, trzymając nóż gotowy do pchnięcia i celując poniżej żeber. Maeniel zareagował tak, jak uczyła go Dryas, zablokował pchnięcie przedramieniem. Z zadowoleniem przekonał się, że to skuteczna technika. To zadowolenie było tak wielkie, że nie kontynuował kontrataku. Tymczasem Aktus uderzył go w pięść w twarz. Lecz cios nawet nie poruszył Maeniela. Po prostu dźwignął rzyżego mężczyznę i cisnął nim o ścianę.

Aktus był przez chwilę oszołomiony, po czym osunął się na klepisko i zaczął płakać.

- Co ci się stało? - spytał Maeniel.

Nie dostał sensownej odpowiedzi, ale nic dziwnego, ludzie byli szaleni. Popelniali największe cudactwa w najmniej odpowiednich chwilach. Wziął Aktusa za fałdy na karku, jak rozbrykanego szczeniaka, i wyciągnął go na dwór do przepołowionej kłody, służącej za końskie poidło. Rozbił lodową pokrywę i zanurzył głowę Aktusa w wodzie.

Ten poderwał się, plując i krzycząc. Maeniel powtórzył operację; tamten znów pluł. Znów wsadził go do wody. Tym razem Aktus wynurzył się, mając twarz w ciekawym odcieniu szarości, purpurowe wargi i wysadzone oczy. Strugi wody lały mu się z ust i nosa. Maeniel spojrzał na niego z powątpiewaniem.

Przybiegła Dryas i pomogła mu zaciągnąć rudzielca z powrotem do stodoły.

- Nie zabiłem go, prawda? - spytał z niepokojem Maeniel.

Dryas oparła Aktusa o kopę siana.

- Nie - powiedziała. - Wracają mu rumieńce. - Kopnęła nogą w coś, co przeleciało po klepisku. - Nóż! - Popatrzyła na Maeniela. -Co...

- Nie patrz na mnie! Nic mu nie zrobiłem. Przynajmniej nie tym razem. Wciąż jest wściekły, bo kiedyś uderzyłem go w głowę, ukradłem mu ubranie i próbowałem namówić Imonę, żeby ze mną uciekła. Gniewacie się o byle co i skrywacie w sercu urazę jak żadne inne stworzenia. Nawet łós zapomniałby po tygodniu, że go ścigałem... ale nie osobnik twojego gatunku. Poza tym próbował

chlusnąć mi winem w oczy. Nie trafił, bo jako człowiek mam oczy dużo wyżej niż jako... Czemu ci to tłumaczę? Próbował wsadzić mi nóż między żebra. Bronilem się. Mogłem go zasztyletować. Prawdę mówiąc... - Sięgnął po nóż.

- Nie! - krzyknęła Dryas. - Nie! Nie! - Odepchnęła go od Aktusa. - Proszę! Nie! On jest teraz bezbronny.

Maeniel trzymał nóż, długą, ciemną broń o cienkiej klindze i rękojeści z kła dzika.

- Ach, rozumiem. - W jego głosie kryła się agresja i Dryas patrzyła na niego tak, jak mogłaby patrzeć na wielkiego złego psa, który właśnie uwolnił się z obroży. Dostrzegł jej minę i cofnął się z obrzydzeniem na twarzy. - Boisz się mnie. - Wskazał na Aktusa. - Powinnaś martwić się tym durniem. - Odwrócił się, wbił nóż w nadproże, złamał go tuż poniżej rękojeści i wyszedł szybkim krokiem ze stodoły.

Aktus, który ani na chwilę nie stracił przytomności, chwiejnie się podniósł. Z nosa lał mu się śluz, z oczu - łzy.

Dryas poczuła, jak cuchnie. Odsunęła się gwałtownie.

- Jesteś pijany.

Splunął jej w twarz i dorzucił cicho kilka wyrazów po łacinie, z których większość miała poniżający i obraźliwy sens. Aktus znów się rozszlochał i zataczając się, odszedł ulicą.

Maeniel udał się do bramy.

- Kobieto nocy... - tak, pamiętał królową szaleństwa, człowieczą samicę prokreacji, tworzenia i w końcu zniszczenia i rozkładu -...kobieto nocy, nienawidzę być człowiekiem!

Nie dostał żadnej odpowiedzi, jedynie lodowaty wiatr wionął mu w twarz.

Chmury sunęły w ciemności, tnąc płatkami zamrożonego deszczu i zimnego śniegu. Przypomniał sobie wilka, poczuł głębokie przeszywające pragnienie, które, jak mu się wydawało, już go opuściło.

Czy nadejdzie kiedyś dzień, w którym zapomni o miłym dotyku futra, nie skóry, zapewniającego zawsze ciepło; o pewnym oparciu, kiedy stawiał wielkie łapy na zamrożonym gruncie; o niewyczerpanej mocy, kiedy musiał biec; o szybkości, którą zapewniały cztery łapy, w przeciwieństwie do nieporadnie stąpających dwóch nóg?

O pięknie ciszy, przerywanej jedynie szmerem wody, lub o padającym śniegu dzwoniącym jak dalekie dzwoneczki, wietrze wzdychającym między świerkami i jodłami na górskim stoku, śpiewie ptaków wiosną i latem, gdy świtem mknął wzdłuż rzeki. Wszystko to było przeciwieństwem nie kończącego się bełkotu, natrętej kanonady dźwięków, wydawanej przez te stworzenia, które nieustannie do siebie mówiły.

Zatrzymał się i głęboko odetchnął. Porywisty wiatr palił mu gardło i płuca.

Wilcza kufa jest długa i ogrzewa powietrze, które przez nią przechodzi. Jako człowiek nie dysponował już tym drobnym udogodnieniem. Tęsknił za wolnością poza murami na wpół zrujnowanego miasta. Marzył o zimowej przeprawie przez skutą lodem rzekę i biegu przez zamrznięty las po drugiej stronie. Lecz jeśli spróbowałby tego w obecnej postaci, czekała go śmierć. Tak, był tu przywiązany. Przywiązany jak te kulące się ze strachu ludzkie istoty, przerażone chłodem, śniegiem i długą, czarną zimową nocą.

Tak, został uwięziony, skazany na niewolniczy trud. Początkowo nie zdawał sobie sprawy ze swojego statusu. Robił wszystko, co było konieczne. Lecz niebawem dostrzegł, iż prace, które mu zlecano, były przydzielane tylko kobietom i najbardziej pogardzanym, najędźniejszym mężczyznom.

Oderwany od najważniejszej części samego siebie, samotny między tymi nieszczęśnikami, był skazany do śmierci na marne życie sługi pośród resztek plemienia. Atmosfera beznadziejności, nawiedzającej ostatnie schronienie niegdyś dumnego ludu, była wszechobecna.

Czuł smutek i rozpacz ludzi. Ich tragedia była równie namacalna jak mróz niesiony przez zimowy wiatr.

Zawołał go Mir. Starzec stał spokojnie pod okapem wielkiego okrągłego dworu wodza i przyglądał się padającemu śniegowi.

Maeniel podszedł i zatrzymał się obok. Wbrew sobie lubił Mira. Przede wszystkim dlatego, że kiedy nie miał niczego do powiedzenia, milczał. Blaze'owi prawie nigdy nie zamykały się usta. Dryas... hm, Dryas stanowiła dla niego zagadkę. Czasem jej nienawidził. Kiedy indziej budziła w nim lęk. Pamiętał pożądanie, które w nim budziła, ale jak to sama powiedziała, teraz była kobietą z lodu.

Mir podrapał się w nos.

- Wieczorem uczała - zagała. - Cynewolf ma kłopoty z utrzymaniem swoich ludzi w ryzach. Znasz się trochę na polowaniu?

Maeniel spojrzał na starca. Początkowo głęboko urażony, zdał sobie sprawę, że Mir żartuje.

- Co nieco - rzekł.

Godzinę później posuwał się konno brzegiem rzeki, a wiatr wiał mu w twarz. Nie marzył. Mir nie robił wokół siebie wiele wrzawy, ale był najskuteczniejszy z całej trójki.

Blaze lubował się w ezoterycznych rozważaniach. Na przykład: „Czy stałe gwiazdy się poruszają?”. W nieskończoność wałkował z wilkiem ten temat, począwszy od tego, co znaczy słowo „poruszać się”. „Czy ziemia jest okrągła, czy płaska? Jaka jest najmniejsza niepodzielna cząstka?”

Dryas uwielbiała meandry umysłowe w rodzaju: „Jeśli wojownikowi nie wolno pić miodu po wschodzie księżyca, ale okazuje się, że aby uratować życie przyjaciela, musi wypić miód po wschodzie księżyca, to co jest gorsze? Mimo wszystko wypić miód czy poświęcić życie przyjaciela, żeby nie złamać litery prawa?”.

Wilk uważał, że to jakaś absolutna bzdura. Był gotów wypić miód po wschodzie słońca, zachodzie słońca, wschodzie księżyca i czego tam bądź, aby uratować przyjaciela. Lecz zgadzał się, że taka sytuacja może narazić na straszliwe rozterki.

Mir martwił się jedynie, jak ubrać go na mróz i czy znajdzie mu odpowiednio spokojnego wierzchowca. Niektóre konie nadal nie dawały się dosiąść, kiedy poczuły wyraźny wilczy zapach.

Miał na sobie grubą tunikę, luźne spodnie, wełnianą opończę, buty podbite ćwiekami i grube skarpety.

Doświadczonym okiem ogarnął szuwały i brzeg rzeki. Ze wszystkich zwierząt sarny najczęściej zbliżały się do *oppidum*. Pod wieczór wylaniały się z kryjówek na bagnach i szukały żeru na polach, ziaren pomiędzy skibami. W zaroślach, osłaniających wiejskie zagrody od wiatru, znajdowały dzikie jabłka, pigwy, kępy dziczatego zboża i nawet czerwone, mięsiste róże.

Za siodło miał potrójnie złożoną derkę. W skórzanym kołczanie pod kolanem spoczywały trzy oszczepy. Mir dał mu najlepsze, jakie miała Dryas. Drzewca z

jesionu, stalowe żeleźca, wąskie, ale ostre jak brzytwa i ząbkowane, co utrudniało wysunięcie się z rany.

Dla Dryas to był świat wiedźmy, królowej zimy. Brąz, czerń i zieleń - oto barwy wiedźmy. Półwilk jechał przez pustkowie pełne jej symboli.

Drzewa i mokradła były czarne - wilgoć wniknęła w pnie, brudząc je barwą mokrego mułu - lecz wysokie konary pozostały brązowe, wyjąwszy skupiska bladozielonej jemioli i perłowych jagód.

Wyschnięta trawa miała inny odcień brązu tam, gdzie obrastała młodniak, głęboki, nasycony, lecz srebrzysto-brązowy w miejscach, w których woda stykała się z łodem i szron pokrywał wyschnięte źdźbła. Niebo poszarzało od zwałów mgły, czepiającej się bagiennych rozlewisk i rzeki. Tu wody nie zamarzły, lecz z pluskiem toczyły się między kamieniami. Lód zalegał tylko po brzegach. Spokojne rozlewiska i nieujarzmiona rzeka łączyły się w jedno z lodowatym szarym niebem.

Człowiek jest zwycięzcą, zwycięzcą w najstarszej walce o przetrwanie - pomyślał.

Kiedy *oppidum* znikło mu z pola widzenia, ściągnął wodze i prowadził konia stępą w pobliżu mokradeł, z dala od rzeki. Pomagał mu znajdować twardy grunt między zamulonymi rozlewiskami i stojącą wodą, tak że bezszelestnie poruszał się na mrocznym tle młodniaka. Wiatr nadal wiał Maenielowi w twarz.

Oppidum wzniesiono na naturalnym wzgórzu. Pochyłość była tak stroma, że końskie kopyta niekiedy z trudnością znajdowały pewne oparcie. Lecz po jakimś czasie teren znów się podniósł. Dawniej, gdy w mieście biło serce potężnego plemienia, tu stały gospodarstwa wiejskie. Chłopi nadal uprawiali ziemię, lecz mieszkali za palisadą, gdyż na wsiach nie było bezpiecznie.

Mokradła skończyły się i Maeniel znalazł się na skraju rozległej posiadłości, podzielonej na ziemie uprawne i pastwiska. Teraz stał się jeszcze uważniejszy. Między skibami odcisnęły się ostre kopyta jeleni. Potem zobaczył zwierzęta: brązowe kształty, zimowe kawalerskie stado; same samce, od świeżych cielaków po szóstaki.

Niespiesznie skierował wierzchowca w stronę lasu. Wiatr nadal wiał ku niemu. Koń stąpał cicho i byli coraz bliżej stada.

Kiedy ocenił, że odległość jest odpowiednia, wyciągnął oszczep z kołczanu i popędził konia. Jelenie pasły się w pobliżu rzeki. Rzuciły się do ucieczki.

Cisnął pierwszy oszczep tak, jak uczyła go Dryas, i kompletnie spudłował. Koń galopował coraz szybciej.

Kilka największych, najstarszych byków znikło za wzniesieniem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, kiedy sięgnął po drugi oszczep.

Tuż przed nim wyskoczył młody jeleń. Odruchowo cisnął oszczepem. I tak jak go uczyła Dryas, wycelował nieco przed byczka.

Był przekonany, że nie trafi, gdy jeleń z niemal ptasią gracją uniósł się nad kamiennym murkiem. Broń i zwierzę spotkali się w powietrzu. Jeleń zginął od razu, padł za murem.

Koń pędził w górę stoku, wyciągnął się, muskając brzuchem podłoże. Maeniel ścisnął udami boki wierzchowca, pochylony nad jego szyją. W dłoni trzymał kolejny oszczep. Poniżej stado rozłożyło się sierpem, dwa prowadzące byki docierały już do bagna. Miał w zasięgu kilka celów, ale to były młode sztuki, pierwszy rok pozbawione opieki matek.

Jeleń znajdujący się najbliżej drzew, wielki czworak, był w pełnym rozkwicie sił. Maeniel dokonał wyboru nie jak wilk, ale jak człowiek. Cisnął instynktownie oszczepem i broń utkwiała w barku wielkiego byka, który znikł między krzewami i niewysokimi drzewami.

Maeniel zeskoczył z konia i popędził przed siebie. Ślad był wyraźny, wielkie szkarłatne krople posoki biegły między drzewa. Słyszał zwierzę przedzierające się wśród krzewów na skraju lasu, a potem tętent kopyt, gdy pokonało barierę roślinności i wyrwało się na otwartą przestrzeń.

Zastonił twarz opończę, chroniąc ją przed kolcami dzikiej róży, jeżyny i głogu i przedarł się tunelem, który utworzyło uciekające zwierzę.

W mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie i w ostatniej chwili dojrzał, jak byk wskakuje do płytkiego rowu, prowadzącego do rzeki. Nie pokazał się po drugiej stronie. Niemniej jednak Maeniel nie zwolnił, aż nie znalazł się na krawędzi rozpadliny.

Jeleń leżał jak długi na niewielkim stoku. Rozdziawił pysk, wywalił jęzor i wytrzeszczył ślepie. Martwy.

Maeniel machinalnie dobył noża. Drugą chwilę stał nieruchomo, nasłuchując, jak cisza znów bierze w posiadanie pustkowie. - Tak - rzekł. - Jesteśmy królami zabójców.

Wilk zaatakowałby najslabszą sztukę, sprawdził, czy w stadzie nie ma starców, kalek, bezsilnych. Ale nie człowiek. Ten wybrał najlepszą sztukę, ponieważ dysponował środkami i umiejętnościami, aby ją ubić. Dla siebie i swoich braci.

Potem przypomniał sobie, że podczas wieczornej uczty inni będą mieli prawo wyboru najsmaczniejszych kąsków. Porcja najlepszego łowcy będzie przysługiwać innym mężczyznom, nie jemu. W tej samej chwili odbiło mu się owsianką, którą dostał na śniadanie.

Zszedł na dół, złapał za wieniec, wyciągnął ścierwo na górę i zabrał się do sprawiania jelenia. Zanim skończył, zjadł serce i wątrobę, buchające gorącą parą w lodowatym powietrzu. Miały dobry smak. Powiesił ociekające krwią mięso na najniższej gałęzi i udał się do młodszego jelenia.

Kiedy oba były już sprawione, rozgrzał się i miał pełny żołądek. Zjadł również serce i wątrobę młodzika.

Koń pał się na otwartej przestrzeni, opodal dawnego gospodarstwa. Piana schła mu na bokach.

Maeniel poszedł do rzeki umyć zakrwawione ręce i oczyścić nóż. Poza tym ze względu na konia musiał odczekać, aż mięso ostygnie. Zwierzę zachowywało się spokojnie, lecz Maeniel wiedział, że można stracić wiele czasu na przekonanie go, iż wszystko jest w porządku.

Konie okazały się upartymi stworzeniami, do których nie przemawiały racjonalne argumenty. Pracując w stajni, nauczył się nieco ich języka, niewiele, lecz dużo więcej, niż potrafiłby jakikolwiek człowiek. Podobnie jak ludzie i wilki różniły się inteligencją i osobowością, lecz zachowywały się irracjonalnie lub wpadały w panikę o wiele szybciej niż ludzkie czy szare plemię. Zapewne wychodziło im to na dobre, jako że ich przeżycie zależało od odruchowej reakcji na zagrożenia ze strony natury bądź drapieżników. Lecz ta cecha była uprzykrzeniem dla ludzi, którzy je zniewolili i oczekiwali opanowania i inteligencji nawet od swoich niewolników, tak ludzkich, jak i zwierzęcych.

W pobliżu rzeki znajdował się niewielki staw. Wyglądało na to, że dawniej służył za zbiornik retencyjny podczas wysokich stanów wód. Zapewne miał regulowane wrota, które blokowały odpływ, kiedy poziom rzeki opadał.

Brzegi były grząskie. Maeniel zapadł się po kostki.

Nieco się tym zirytował, ale ocknął się w nim wilk. Doznał wstrząsu, był bowiem przekonany, iż jego drugie „ja” przepadło na zawsze. Tymczasem wytrzeszczało na niego żółte ślepie z odległego miejsca wygnania, widocznego jak przez mgłę.

Głupcze! - Obrzydzenie kosmatego brata bliźniaka wyraziło się w słowach. - Czy tak uległeś ich dziecinnej ślepcie, że nie widzisz tego, co wokół ciebie, nie dostrzegasz znaków ostrzegawczych, które wiatr i woda podsuwają ci pod nos?

Tak, ziemia wokół stawu był zdeptana przez ludzi i konie. Maeniel stał cicho jak wilk, oczyścił umysł ze wszystkiego, starając się odczytać strumień napływających informacji.

Ludzie, nie, nie tacy zwykli ludzie, żołnierze; woń skóry, stali, potu, ale nie strachu. Kobieta! Młoda, powiew perfum, płci, gniewu. Rządząca samica, jak wadera w stadzie. Konie, wojskowe wierzchowce. Zatrzymali się, oddawali mocz, tak, nawet kobieta, między wierzbami, wiśniami i topolami nad rzeką. Potem jedli gotowany pokarm, chleb, mięso, ser i czekali na kogoś. Brak zapachu gniewu mówił, że nie szukali zemsty ani zwierzyny łownej.

Co tu robili? Co? Zaczął powoli krążyć. Aktus.

Aktus, warstwa odorów - człowieka, ubrania, potu, wina. Aktus wydzielał smród charakterystyczny dla tych ludzi, którzy pochłaniali wielkie ilości sfermentowanego soku z winnego grona. Zapach gniewu i choroby, mieszanka typowa dla tego człowieka. Tylko on mógł zostawić ten swoisty podpis w powietrzu, na ziemi, liściach, drzewach, gałązkach i krzewach. Rozpoznawalny jak dobrze znana twarz. Maeniel miał już okazję poznać ludzi i rozumiał ich znacznie lepiej niż dawniej, ale nie wiedział, co myśleć o tych znakach. Niemniej jednak nie zaniepokoił się. Tamci się oddalili. Uznał, że nie zagrażają jemu ani nikomu innemu.

Na kamienistym brzegu znalazł wolne od lodu ujście strumyka. Umył ręce i oczyścił nóż. Zanim ukrył ostrze w pochwie, przetarł je jelenim łojem.

Z każdą chwilą było coraz mroczniej, lecz krawędzie chmur pozostały jasne, przeszywane złotymi wyrazistymi promieniami wątego słońca, padającymi niemal równolegle na zimowy krajobraz, pełen szarości i brązów.

Myślał o tym, czym jest piękno w oczach ludzi. Tak, wilki też rozumiały piękno. To poczucie słuszności, dialog między duchem życia i duszami tych, którzy przychodzą i odchodzą z falami czasu. Bez względu na to, co miało się zdarzyć,

będzie postępował słusznie, czy to jako wilk, czy to jako człowiek, i pozostanie wierny samemu sobie.

Złoty blask przygasał i Maeniel wrócił na zbocze. Załadował jelenie na konia i skierował się do *oppidum*.

Mir czekał na niego przy bramie. Starzec zabrał zwierzę do stajni, a jemu nakazał pomóc kucharzowi.

Wielka sala była gotowa do uczy. Nowe pochodnie płonęły na ścianach. Kilkanaście kawałów mięsa już wisiało nad paleniskiem w środku, a po chwili przyniesiono jeszcze dwa jelenie. Zebrany tłum przywitał większe zwierzę szmerem zachwytu. Mężczyźni i kobiety szykujący wielkie pomieszczenie na ucztę spierali się, kto ma prawo do porcji pierwszego łowcy z tak wspaniałego zwierzęcia.

Maeniel opuścił dwór i poszedł odwiedzić Mira. Starzec, Dryas, Blaze i Maeniel mieszkali razem. Zajęli na wpół zniszczony budynek na skraju miasta. Kiedy zjawili się w nim po raz pierwszy, izba była pusta, dach opadał, śnieg dostawał się do środka i zasypywał kałuże wody stojące na zniszczonej podłodze. Posprząтали, zakryli otwory w ścianach naoliwionym pergaminem, załatali dach i wprowadzili się. Dryas i Mir spali na łóżkach we wnękach ściennych. Blaze miał pryczę, a Maeniel wylegiwał się na stole.

Maeniel zaprzyjaźnił się z Evars. To ona sprzątała podłogę i palenisko, prała ubrania i pościel, wykładła posłania na śnieg, tępiąc wszy i pluskwy. Dryas była po żołniersku czysta i porządna, ale nie przepadała za życiem domowym. Evars umiała gotować i zwykle zajmowała się kuchnią, nawet wtedy kiedy nie było ku temu potrzeby, tak jak tego wieczoru. Zupa perkotała na palenisku, z dala od ognia. Mir czytał, Blaze pisał, a Dryas ostrzyła oszczepy, których używał tego dnia.

Maeniel nalał sobie miskę gorącego rosółu i usiadł za stołem.

- Dzisiaj chcę porcji pierwszego łowcy - oznajmił.

Blaze pisał dalej i powiedział:

- Nie bądź głupcem.

Mir czytał dalej i powiedział:

- Hm, co?

Dryas przejechała osetką po sztychu żeleźca i powiedziała:

- Bierz, jeśli chcesz, ale pewnie będziesz musiał zabić paru ludzi, żeby ją dostać.

Blaze i Mir podnieśli głowy, jak ptaki nad kałużą odwracają jednocześnie łebki w kierunku źródła hałasu.

- Nie jest dość dobry - rzekł bez emocji Blaze.
- Nie jest dość dobry. Naprawdę? - spytał Mir.
- A właśnie że jest - powiedziała, po czym odwróciła się do Maeniela i powtórzyła: - Tak, jesteś. Jesteś najlepszy, jakiego widziałam, a na pewno najlepszy, jakiego szkoliłam. Jeśli czujesz się gotowy sprostać wezwaniu innych byków, nie rezygnuj. Nie mogę ci zagwarantować, że wygrasz. Nikt nie może dać ci takiej gwarancji, ale wydaje mi się, że masz wielkie szansę.

- Nie jest szlachetnego rodu. Jego krew...
- Och, cicho bądź - powiedziała do Blaze'a. - Co to znaczy: „Nie jest szlachetnego rodu”? Jest synem rozdawczyni szaleństwa, tej, która obdarza kobiety darem prorokowania, a mężczyzn szalem bitewnym. Jego dom to dom wilka. Był ich przywódcą i będzie przywódcą tu, pośród ludzi.

Czuła naszyjnik i tylko najwyższą siłą woli powstrzymała się od tego, aby go nie dotknąć. Pełzał, autentycznie pełzał pod jej bluzą jak wąż. Maeniel uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie jestem dla ciebie - rzekła. - Jeśli miałabym wrócić, to winnam przynieść króla mojemu ludowi, a już nie jestem do tego zdolna. Nie nadaję się do rządzenia. Mir pokręcił przecząco głową.

- Wilku, dziecko wyciąga ręce do ognia. Dziecko mówi: „Śliczne. Dajcie mi to”. Nie rozumie natury i niebezpieczeństwa tego, co tak bardzo podziwia. Między ludźmi jesteś jeszcze dziecięciem. Błagam cię, zajrzyj głęboko w swoje serce, zanim porwiesz nagrodę, ona wydaje się bowiem powabna jedynie twojemu nieuczonemu oku.

- Nie nazywam się „Wilk”, ale „Maeniel”. Nie powiedziałaś im - rzekł do Dryas.

- Nie, twoje imię należy tylko do ciebie, jako że dała ci je twoja patronka... imię i dużo więcej. Rada Mira jest słuszna. Zastanów się nad nią i podczas uczt zdecyduj, jak postąpisz. Jeśli wpiery zerwiesz kwiat, zanim mu się przyjrzysz, nie dowiesz się, czy osa nie skryła się w kielichu albo nawet żmija nie zwinęła się pośród płatków. Lecz jako typowy samiec zapewne nie zdołasz się powstrzymać. Życzę ci szczęścia. Wydaje mi się, że będzie ci bardzo potrzebne.

Zaczęła nacierać tłuszczem żeleźca, gdy przyszła Evars i wezwała ich na ucztę.

18

Lucjusz zorganizował swoją służbę. Stary odźwierny, Oktus, zapowiadał się na znakomitego służącego, przynajmniej wedle opinii Lucjusza. Był, jak powiedział Aristo, spokojny. Nie nadskakiwał Lucjuszowi, który tego nie cierpiał. Dbał o to, by jego pan miał czyste ubrania, porządek w pokoju i zaściłane łóżko. Nie komentował postępów Lucjusza i nie narzekał.

Lucjusz spędził jeden dzień, nic nie robiąc. Filon dziarsko dochodził do siebie i już dźwigał się z łoża, spacerował i jadł wszystko, co przynosiła mu Alia.

Odcięte Ucho sprowadził swoje rzeczy z domu galijskiego senatora i zadamowił się w nowym miejscu. Te rzeczy to były stosy ostro zakończonego żelastwa i mnóstwo wełnianego przyodziewku. Gal był na tyle wyrafinowany, że miał otwarty rachunek u pewnego bankiera na Forum i Lucjusz podejrzewał, że tam spoczęły złote aureusy, wyjąwszy część należną Alii.

Lucjusz oznajmił Oktusowi, że idzie z wizytą do Cezara i musi się dobrze ubrać. Wziął kąpiel, a sługa dostarczył mu wspaniałą tunikę z lnu i jedwabiu, barwy kości słoniowej.

Lucjusz wynurzył się z wanny i uważnie obejrzał strój.

- To nie moje.
- Sądzę, że twoje, panie. Twój ojciec kupił ci sporo ładnych rzeczy, po tym jak udałeś się do wojska. Jakimś sposobem wiele ich znalazło się w pokoju Firminiusza. Aristo je odzyskał.

Tunika była bardzo prosta, ale przepięknie utkana i uszyta. Oktus udrapował na niej senatorską togę.

Dochodziło południe i Lucjusz wcale nie palił się do rozmowy. Nie spodziewał się, by skończyła się obcięciem mu głowy, lecz myślał, że ma wyznać Cezarowi, iż się pomylił i Filon jednak coś wie, nie była przyjemna.

Kiedy zjawił się w domu dyktatora, wpuścił go żołnierz, jak poprzednio, i wprowadził do tego samego ogrodu, który ujrzał tamtej pamiętnej nocy.

Rezydencja okazała się zadziwiająco skromna jak na człowieka dysponującego taką władzą i takimi bogactwami, jakie obecnie osiągnął Cezar. Lecz gdy Lucjusz przechadzał się wokół centralnego basenu, zaczął pojmować, dlaczego znużony wódz, zmęczony wieloma wojnami, cieszył się z powrotu do takiego cichego miejsca. W ogrodzie wszędzie kwitły zimowe zioła - oman wielki o dużych żółtych

płatkach i szałwia strasząca fioletowe kwiaty. Pyszniły się róże, słodkie róże z Pistum, których purpurowe płatki nabierały coraz ciemniejszego odcienia; wielkie rozmaryny oplatały kolumny krużganka, a nagietki, kwietne żółte tarcze, gromadnie zasłaniały zegar słoneczny, ocieniony również niebieskimi kwiatami niepokalanka przebijającego się przez gęste zarośla. Kosańce, irysy i egipski lotos kwitły w basenach wraz z niebieskimi trzcinami, które zawładnęły całym wodnym obrzeżem.

Dwa baseny rozdzielał posąg. Figurka była niewielka, z zielonkawo-czarnego marmuru. Początkowo Lucjuszowi wydawało się, że to brąz, lecz z bliższej odległości stwierdził, iż ma przed sobą dziwnie zabarwiony kamień.

Teraz była stara. Tu oddano ją w latach młodości, gdyż nosiła togę praetexta, strój niezamężnej dziewczyny, niedojrzałej kobiety. Lucjusz mógł się przekonać, że kiedyś jej uroda była wyjątkowa. Kalpurnia, córka Lucjusza Kalpurniusza Pizona, żona Cezara, urodzona, by żyć i umrzeć między tymi dwoma mężczyznami.

Przypomniał sobie słowa Filona, który mówił o niej rano.

- Tak - powiedział Grek. - Wielka pani i bardzo chora kobieta.
- Nie jest zazdrosna o Cezara, jak mówią?
- Nie, myślą się. Ona rozumie zobowiązania i ciężary kobiety zamężnej z jednym z największych politycznych smoków naszego miasta i godzi się na nie. Wychowano ją w poczuciu obowiązków względem męża, rodziny, miast i nawet swojej warstwy. Na jej rodzinie spoczywa cień tajemniczej i straszliwej natury. W Aleksandrii pobierałem nauki u specjalisty od trepanacji. Wiesz, co to jest?

- Robienie dziur w czaszce.

Filon skinął głową.

- Właśnie. Ona bardzo lęka się tych bólów, bo wierzy, że... czasem sprowadzają wiedzę o przyszłości. Kto wie? Może ma rację. Przewidziała śmierć siostry i matki, lecz wielki problem polega na tym, że bóle spotęgowały się w ciągu ostatnich kilku lat. Dawniej nachodziły ją kilka razy w roku, a teraz zdarzają się raz na tydzień, raz na dwa tygodnie.

Są straszliwie dokuczliwe, lecz krótkie, trwają do pół godziny. I mogę je jeszcze bardziej skrócić, podając miksturę z opium, złocienia i waleriany. Powinna przejść operację, ale bardzo się przed nią wzbrania. Sądzę, że to jej jedyna nadzieja, lecz ona lęka się, że pozbawi ją władz umysłowych, co jest bardzo prawdopodobne,

lub że nie przyniesie żadnej ulgi, co również jest niewykluczone. Czasem operacja po prostu nie skutkuje.

Jej krewny ze strony matki przeszedł trepanację i leżał przez tydzień jak trup. Potem ku smutkowi i obrzydzeniu wszystkich spadkobierców, którzy już dzielili jego majątek, odzyskał zdrowie i dożył późnej starości. Jednakże jego siostra utraciła mowę i słuch, miała sparaliżowaną prawą stronę ciała i umarła, podobnie jak młodsza siostra Kalpurnii. Przespała dobrze noc, ale kiedy rano służące przyszyły ją obudzić, leżała spokojnie, lecz bez ducha.

- Tajemnicza sprawa - powiedział Lucjusz.

- Tak, bardzo, ale ja przynajmniej poważnie traktuję jej bóle, a nie przypisuję ich temu, że ma pochwę zamiast fiuta i pary jaj. Z przypadków obserwowanych w Aleksandrii wiem, że jej choroba jest zarówno prawdziwa, jak i niebezpieczna.

- Bo...?

- Bo symptomy stają się coraz bardziej wyraziste. Zdarza się, że to jedynie rozstrój nerwowy. Wtedy ataki pojawiają się z tą samą częstotliwością i trwają równie długo. Lecz gdy to coś poważnego, pojawiają się coraz częściej i przybierają coraz ostrzejszą postać, a wtedy medyk może się spodziewać, że pacjent utraci władzę w ciele lub nawet umrze.

- To bardzo niedobrze, a w przypadku pani jej rangi również nie najlepiej dla medyka.

- Tak, i nie myśl sobie, że od czasu do czasu nie przychodzi mi to do głowy - rzekł ponuro Filon.

Lecz teraz patrząc na nią, na jej młodość zaklętą w kamieniu, tworzącym wizerunek piękna, wdzięku i rozkoszy, pojmował, czemu Cezar musiał ją zdobyć i pozostał jej wierny przez tyle lat, jak na mężczyznę jego pokroju i statusu.

W tym momencie zjawił się sekretarz i oznajmił mu, że Cezar go przyjmie.

Lucjusz poszedł za sekretarzem przez dwa wielkie pokoje recepcyjne, pełne najważniejszych, najbardziej wpływowych, najzamożniejszych i najpotężniejszych ludzi w Rzymie. Większość widywał w sali senatu. Starał się unikać ich wzroku, wiedział bowiem, co myśleli.

Czemu pierwszy człowiek Rzymu nie spotyka się najpierw z nami, tylko z tym wychudzonym parweniuszem, z tym zerem?

I Lucjusz sam zadawał sobie to pytanie.

Cezar zajmował miejsce przy stole do pisania, między dwoma sekretarzami. Kiedy Lucjusz wszedł, odesłał ich i wskazał mu krzesło, Lucjusz usiadł.

- Dostałem od ciebie list proszący o spotkanie.

- Tak, ja... - Lucjusz nie mówił. Skrzeczał. Odchrząknął. – Nie byłem do końca szczery... nie... nie, „szczery” to niewłaściwe słowo, „dokładny” jest lepsze, dużo lepsze. - Lucjusz poczuł, że cały poci się obficie. - Ja... Filon, nie... ja i Filon, chodzi mi o to, że my obaj... rozmawialiśmy po... torturach. Nie, „tortury” to chyba źle powiedziane.... Oczywiście, że ty nakazałbyś...

- Ależ tak, nakazałbym - powiedział Cezar.

- Oczywiście, ty... hm... nakazałbyś.

- Co Filon wie? - Cezar był zarówno podejrzliwy, jak i zły.

Lucjusz miał dość tego wszystkiego.

- Absolutnie nic, ale usłyszał plotki, a ponieważ dałem ci słowo, uważam, że powinienem...

- Jąkać się przy każdym słowie - wtrącił Cezar.

- Tak... nie... tak...

- Dość! - Cezar uniósł palec. - Weź głęboki oddech i powiedz mi, co to za plotka, Regulusie. - Teraz był rozbawiony.

- Regulusie? Filon mnie tak nazwał. Pewnie ma rację. Zwykle się nie myli. Mówi się, że pięćdziesięciu senatorów rozważa... zabicie ciebie.

Cezar uniósł brwi.

- Pięćdziesięciu. Ładna, okrągła liczba. To w takim razie raczej bunt niż spisek?

- Niektórzy mówią, że czterdziestu - rzekł markotnie Lucjusz. - Inni, że sześćdziesięciu. Wybrałem średnią... mam kupiecki umysł, Cezarze. Cecha rodzinna.

- Nazwiska...?

- Niewiele. Cztery pewne, dwa możliwe. Tilliusz Cymber, Kaśka, Brutus i... Cyncero. - Lucjusz zawahał się przy ostatnim.

- Naturalnie - powiedział Cezar. - Nienawidzi mnie.

- Kasjusz i jeszcze jeden to zera, ale nie pamiętam wszystkich.

Cezar uniósł dłoń.

- Nie kłopotz się, to i tak bez znaczenia. Wiem, że ciężko było Ci dzisiaj przyjść, ale słyszę tę historię od powrotu do Rzymu.

Lucjusz odetchnął głęboko z ulgą.

- Więc to nic nowego. W takim razie cieszę się, że przyszedłem. Czuję się dużo lepiej. Zatem nie przykładasz wiary do tych opowieści.

Cezar zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie przykładam. Są zawsze mgliste i nazwiska zmieniają się za każdym razem. Niektórzy z wymienionych to moi współpracownicy, czekają w przedpokojach na spotkanie ze mną. Co mam zrobić? Kazać moim żołnierzom wyprowadzić ich pojedynczo czy dwójkami do ogrodu i ściąć im głowy pod pretekstem, że spiskują przeciwko mnie?

- Oni nie widzą w tym zdrady, Cezarze, lecz traktują to jak służbę państwu.

Cezar rozsiadł się wygodnie na krześle i zaczął się śmiać.

- To nie jest śmieszne. Oni są niebezpieczni.

Wybuch wesołości zakończył się ironicznym grymasem.

- Założę się, że nie zdobędą się na odwagę.

- Nie stać mnie na taki zakład. Bez względu na opcję. Stawka jest zbyt wysoka.

- Co winienem uczynić? Użyć sfałszowanych kości?

- W rozgrywce, w której uczestniczysz, kości są zawsze sfałszowane, ale na twoim miejscu postarałbym się przynajmniej o najlepszą parę. Oni są groźni nie tylko dla ciebie, Cezarze. Przeszedłem powiedzieć, że nie chcę być wplątany w ich kunszachty i zaciągnięty na miejsce kaźni za nic.

- Rozsądna postawa. Znakomicie, możesz iść. Ale zanim wyjdiesz, dam ci radę. Cenię przyjaźń twojej siostry i każdy, kto będzie ograniczał jej interesy lub życie osobiste, czy też będzie usiłował narzucać jej swoje zdanie, spotka się z moją dezaprobatą. Tak więc zapomnij o *patria potestas* i *pater familias*. Niech gniją w kodeksach prawnych, gdzie ich miejsce.

Lucjusza zalała fala gniewu tak potężna, że serce zaczęła mu walić młotem i skóra zdrętwiała. Oczywiście, częściowo było to spowodowane lękiem przed przytłaczającą władzą tego człowieka, lecz również przemożną wściekłością, gdyż zelżono jego prawa mężczyzny.

Pochylił się, zacisnął ręce na poręczach krzesła, aż palce mu zbieleły.

- Cezarze, Fulwia i ja rozumiemy się nawzajem. Ona trzyma się swojej połowy domu, ja swojej. Zarządza fortuną rodziny, a ja nie patrzę jej na ręce, bylebym dostawał to, czego chcę i kiedy chcę. Ale wara jej od moich przyjaciół, niech nie waży się ucierać mi nosa ani decydować za mnie, komu mam wsadzić kutasa i kim będzie spadkobierca rodziny Bazylich. A co do tego kloaczego szczura, Firminiusza, tej trującej żmii, to próbował ukąsić w piętę mojego przyjaciela. Ma szczęście, że szanuję prawo, bo gdyby było inaczej, to wciąż jeszcze zbierałby swoje flaki z podłogi tej swojej wyperfumowanej sypialni. Jeśli zaś chodzi o tych zdradzieckich szakali z senatu, to masz rację. Nie planuję przyłączyć się do nich i ich haniebnych spisków, lecz nie dlatego, że boję się niepowodzenia, lecz dlatego, że kiedy przegram, to chcę na to zasłużyć. W pełni zasłużyć.

Cezar gwałtownie się wyprostował.

- W rzeczy samej, Regulus! Czuję się, jakbym poklepał jagnię między rogami i obudził lwa. - Parsknął wzgardliwym śmiechem. -Może twoja siostra ma rację. Powinienem mianować cię legatem i niech twoje humory znajdą ujście na polach bitew. Lepiej, żebyś tam dał upust swojemu rozgoryczeniu niż w obliczu człowieka, który ma władzę życia i śmierci nad tobą i twoimi podejrzanymi stronnikami.

Lucjusz poczuł gęsią skórkę, ale nie zamierzał ustępować. Wycierpiał za wiele obelg od Antoniusza i tego człowieka. Wysłano go do senatu jako szpiega. Musiał wysłuchiwać, kiedy z nonszalancką obojętnością odmawiano mu praw głowy rodziny. A na dodatek usiłowano pozbawić życia Filona. Nie! Dość - pomyślał.

- Cezarze, któregoś dnia dorobisz się o jednego wroga za dużo.

- Tak, może już się to stało, ale nie za twoim udziałem. Czy wiesz o tym, że twój ojciec polecił mi twoją siostrę, nie ciebie?

- To dla mnie niewielkie zaskoczenie, Cezarze. Nie wydaje mi się, żeby przepadał za moją matką ani za jej synem.

- Sądzę, że tu się mylisz. Rzekł o tobie, iż jesteś wolny od podstępu jak dziecię i przejrzysty niczym kryształ. Zapomniał dodać, że jesteś uparty, jak rozwścieczony byk, doprowadzony do ostateczności.

- W jego ustach to nie były wyrazy uznania.

- Tak, zapewne nie, ale pomyśl. Nikt nie docenia otwartości i szczerości. Prawda ma swoje zastosowanie. Teraz nie jest popularna w Rzymie. Masz jakieś ambicje polityczne?

- Nie.

- Dobrze, w takim razie mogę zaproponować ci stanowisko dowódcy. Niewysokiego szczebla, ale jeśli będziesz mi służył, szybko awansujesz. Lecz nie potrafię wykrzesać w sobie obawy przed twoją wrogością. Każdy, z kim miałeś na pieńku, przywita cię z otwartymi ramionami.

- Czy to ma mnie uspokoić? Nie patyczkujesz się z wrogami. Wercyngetoryksa kazałeś zadusić podczas triumfu, a innego wodza, którego imienia nie wspomnę, zachłostać na śmierć. Mówiłem z centurionem obecnym podczas ogłoszenia i wykonania wyroku.

- Galowie byli pod wrażeniem.

- Tamten centurion również. Ja także. Dzięki serdeczne, ale nie. Nie kusi mnie być tarczą między tobą i Fartami. Ani teraz, ani kiedy indziej. I podobnie jeśli chodzi o senat. Wystrzegałbym się tych znakomitości, szczególnie najbliższych tobie.

- Uważasz, że są niebezpieczni?

- Tak.

- W rzeczy samej. - Władca świata przez chwilę wydawał się ogarnięty smutkiem. - Nie wydaje mi się. Rzym, który zniszczył Kartaginę i pogrążył Hannibala, skończył się.

- Tak, zgadzam się, ale oni o tym nie wiedzą. Ich myślenie nie nadąża za zmieniającym się czasem. Wierzą, że senat będzie taki jak niegdyś, kiedy usunie się z niego ludzi, którzy go brukają. I kiedy ogień stosu pogrzebowego strawi twojego trupa.

Maska opadła. Kurtyna rozsunęła się i Lucjusz po raz pierwszy ujrzął prawdziwe oblicze dyktatora. Przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy później w samotności rozważał słowa Cezara.

I w ułamku chwili pojął, dlaczego niektórzy ludzie woleli raczej popełnić samobójstwo, uznając je za łaskę, niż czekać na karę tego człowieka.

Cezar miał twarz z kamienia, tak nieruchomą, że kiedy drgnął na niej jeden mięsień, Lucjusz skulił się, jakby otrzymał cios. Orientował się, że znalazł się w

śmiertelnym niebezpieczeństwie, tak jak wiedział, że gdyby dyktator zapragnął jego śmierci, nastąpiłaby w ciągu jednej chwili.

- Myślisz, że możesz stać z boku? - Głos pana i władcy Rzymu smagał jak bicz. - Jak to powiedziałaś... trzymać się swojej połowy domu, kiedy twoja siostra trzyma się swojej? No więc, nie możesz. Chcesz czy nie, bierzesz udział w tej rozgrywce i musisz uznać jej wynik. - Cezar pochylił się nad stołem i wpił wzrok w Lucjusza. - Wiesz od kiedy?

- Nie.

- Od dnia, w którym twój ojciec posłał mi pieniądze na wystawienie legionu i roczny żółd. A utwierdziło się to, kiedy przeszedłem Rubikon i od twojej siostry dostałem na jeszcze jeden legion i na kolejny roczny żółd. Oboje osiągnęli siedemset procent zysku na tych inwestycjach. Ostrożnie licząc. Pewnie tysiąc lub tysiąc pięćset procent. Galijskie złoto zbiło cenę aureusa o jedną trzecią. Kwiat młodzieży galijskiej trafił na targ niewolników w Rzymie lub skuty łańcuchami pracował na polach Bazylich. Galowie umierali w waszych kopalniach, hodowali wasze winnice, wlewali złote strugi oliwy i pszenicy w spichrze twojego ojca. Konie i rzeka wina barwy królewskiej purpury trafiły na jego statki, a następnie sprzedawano je za śmieszne kwoty każdemu barbarzyńcy stąd do ostatniego zadupia na Białej Wyspie. Więc wiedz, zarówno moją przyjaźń, jak i szacunek można kupić, ale nie tanio. A jeśli zależy ci na jednym i na drugim, to siadaj do stołu, bierz kubek z kośćmi, stawiaj i rzucaj!

Zgadzam się. Twój ojciec nie wyrażał się o tobie z uznaniem, ale mógł się mylić. Czasem bardzo trudno zwieść tych, którzy nie zwodzą innych, i wydaje mi się, że tak może być w twoim przypadku.

- Podajesz mi rękę.

- Tak, i nie czynię tego z przyjaźni. Jest wyciągnięta, od kiedy wygłosiłem pierwszą mowę na Forum, więcej lat temu, niż chce mi się pamiętać. Teraz odejdz! Mam dzisiaj wiele spraw do załatwienia i już poświęciłem ci dość czasu. Zdobędę się na ten komplement i powiem, że może nie był to czas stracony. Wróc, kiedy będziesz gotowy porozmawiać serio.

Lucjusz wstał z rozdziawionymi ustami, mętlikiem w głowie i wyszedł.

Nie siedzieli razem w sali biesiadnej. Trzy kręgi stołów otaczały palenisko, a przy półokrągłym, honorowym zasiadał wódz, Cynewolf. Musieli przy nim zasiadać również Mir, Dryas i Blaze, z racji swojej najwyższej rangi. Lecz Maeniel, który nie miał żadnej rangi, siedział w trzecim rzędzie, koło drzwi, gdzie było zimno. Nie zwracał uwagi na temperaturę, lecz był świadom poniżenia.

Poniżej stołu honorowego zasiadali następni czcigodni goście i ich podwładni. Drugi krąg zajmowali rzemieślnicy mieszkający w mieście i ich rodziny, poza dziećmi.

Maeniel siedział przy najpodlejszym stole wraz z niskimi rangą wojownikami domu Cynewolfa i ich kobietami. Obok miał Evars. Zawładnęła tym miejscem po ich pierwszym seksualnym zbliżeniu, gdy okazała się na tyle sprawna, że przyniosło mu to przyjemność. Była sługą, a słudzy przeważnie jedli w spiżarniach obok kuchni.

Kupiono ją od plemienia zamieszkującego dzikie tereny za Renem i mówiła z wyraźnym obcym akcentem, o wiele bardziej gardłowym niż ten galijski, do którego się przyzwyczała.

Po tym jak Rzymianie spalili miasto po raz pierwszy, Cynewolf wyzwolił niewolników. Uczynił to nie z dobroci serca, lecz dlatego że nie mógł ich wyżywić. Wielu musiało poszukać sobie pracy. Ci, którzy mieli gdzie się udać, odeszli. Pozostała reszta, chociażby Evars, która nawet nie umiała powiedzieć, skąd ją sprowadzono, ani nie pamiętała imion swych rodziców. *Oppidum* było ich domem, jedynym, jaki kiedykolwiek znali.

Evars uważała się za kobietę Maeniela. Pozbyła się pewnej brunetki, dziewczyny, która również zauważyła, że Maeniel jest zabójczo przystojnym, świetnym kochankiem o dobrym sercu, i chociaż nie bogaty, dzieli się szczerze tym, co ma. Evars przekonała dziewczynę o swojej determinacji. Posłużyła się w tym celu długim jednosiecznym nożem, noszonym pod spódnicą w pochwie z członka byka. Brunetka nie była tępą i natychmiast przestała zwracać na niego uwagę. Evars najwyraźniej uznała, iż zawdzięcza mu awans społeczny.

Tamtego wieczoru sala biesiadna była pięknie przystrojona. Wysoko nad stołami rozpięto draperie, rozliczne barwne sztandary potężnych rodzin wspierających Cynewolfa. Krwista czerwień, żółcie wszystkich odcieni, od bladostonecznej po oranż i zielenie - zieleń płową, zieleń nasyconą, zieleń liści winorośli - wszystkie te kolory falowały na chorągwiach oznaczonych godłami rodzin. Węże,

smoki, fantastyczne ptaki, nawet niedźwiedź i wilk, cały zwierzyniec ożywał na tle szerniałych dębowych desek sufitu.

Trzynaście pochodni płonęło na ścianach, których również było trzynaście, na każdej osadzono bezpiecznie pochodnię, tak że nie osmałała drewna. Skóry jelenie zakrywały ławy, obrusy - stoły.

W sali rozległy się pieśni i muzyka. Śpiewacy przechadzali się między stołami.

Najważniejsi biesiadnicy krzykiem domagali się pieśni sławiących osobistości z ich rodzin. Panowała radosna biesiadna atmosfera.

Siedzącej obok Maeniela Evars udzielił się nastrój ogólnej zabawy. Śmiała się głośno i pochłaniała miód, który zapewne był przeznaczony dla mężczyzn.

Dziwne, ale w miarę upływu czasu Maeniel czuł się coraz bardziej nieswojo. Zadygotał, wspominając procesję upiorów towarzyszącą idącej na śmierć Imonie. Mimo śmiechów i pieśni budziło się w nim coraz silniejsze wrażenie, że wydarzy się coś niedobrego. Nie tknął miodu i wypił niewielką ilość wina zmieszanego z wodą.

Jeden ze znakomitych gości wskazał na Aktusa siedzącego z wojownikami przy drugim stole. Buchnął gromki śmiech i Maeniel zdał sobie sprawę, że on sam też jest tematem rozmowy. Ktoś wspominał, jak Aktus wpadł na psa, który zamienił się w człowieka, a następnie przyłożył mu pięścią w twarz.

Aktus zaczerwienił się mocno, kiedy goście przy niewielkim stole honorowym zaczęli pokładać się ze śmiechu. Cynewolf nie robił wrażenia rozbawionego. Ani Dryas, Mir czy Blaze. Sam Aktus tylko wbijał rozwścieczony wzrok w znakomite towarzystwo otaczające wodza.

Maeniel jeszcze bardziej rozwodnił wino. Jakoś stracił chęć do pojedynkowania się o porcję pierwszego łowcy.

Kucharze zaczęli zdejmować kawały mięsa z rożnów. Dzielili je na stole obok paleniska i ładowali na tace.

Największe kawały - całe udźce, porcje karkowiny, żeberek szły nad głowami towarzyszy Maeniela do Cynewolfa i jego gości. Rozdawał je hojną ręką.

Kompani Maeniela dostawali ochłapy i tłuszcz. Szczęśliwi maczali chleb w sosie lub palcami wkładali kawałeczki mięsa do ust. Maeniel rozluźnił się i robił to samo co oni.

Wieprzowina, marynowana i zapiekana w winie z pieprzem i cynamonem, była niezwykle smaczna. Po niej przysła zupa, również z chlebem, pieczonym z orzechami włoskimi, migdałami i nasionami pinii; maczało się go w rosole.

Evars piła zachłannie miód. Rozgrzana żarem paleniska i mocnym trunkiem zarumieniała się zmysłowo, a jej płowe włosy, wymykając się spod panieńskiej siatki, układały się w pociągające loczki wokół twarzy.

Pocałowała go, pachnąc miodem i sosem pieczeni. Nie stawiał oporu i zastanawiał się nad późniejszym spotkaniem w stodole. Chociaż ich znajomość była publiczną tajemnicą, nie miał kąta dla swojej kobiety i bardzo go to drażniło.

Zastanawiał się, jak zdobyć kawałek ładnej ziemi, który mógłby zacząć uprawiać następnego roku, kiedy dostrzegł jakiś cień koło paleniska.

Na chwilę odwrócił się od Evars i zobaczył Leona w płaszczu z kapturem. Stał na tle płomieni. Przy jego kolanach była stara wadera.

Maeniel miał wrażenie, że wokół zapadła głęboka cisza. Leon nie żył, wadera również. Jej kości skrywała masa ziemi i kamieni na górskim zboczu osypanym śniegiem. Z Leona pozostała kupka poczerniałych, ogryzionych kości pod lipą.

Maeniel spojrzał Leonowi w oczy i przekonał się, że trup naprawdę stoi przed paleniskiem. Nie był cieniem ani ulotnym wspomnieniem, lecz świadomą istotą. Uśmiechnął się do Maeniela z ponurym rozbawieniem. O tak, stał i cieszył się z jakiegoś sobie tylko wiadomego żartu.

Postać wadery wydawała się mniej realna, była zamglona i nieco oddalona, jakby przybyła z jeszcze dalszego zakątka niż Leon. Spojrzała na niego raz i drugi. Poszedł za jej wzrokiem, utkwionym w miejscu przy stole zajmowanym uprzednio przez Aktusa. Dziwne. Było puste.

Maeniel wrócił spojrzeniem do paleniska. Leon stał przed nim dalej, lecz wilczyca przepadła.

- Evars, wyjdź! - szepnął kobiecie obok. - Wyjdź zaraz! Pośpiesz się!

- Co? - spytała nieco bełkotliwym głosem. Napitek zamglił jej oczy.

Złapał ją za ramię i zacisnął palce. Zaskamlała i próbowała się wyrwać.

- Wyjdź! Już! - powiedział jej do ucha. - Wyjdź. Natychmiast. Idź!

Nie ruszyła się.. Roztarła tylko miejsce, w które wbił palce. - O co chodzi? Sprawiasz mi ból. Wstał i poderwał ją na nogi.

Przy stole wybuchł ogólny śmiech i kpiono, że niektórzy mężczyźni są bardzo niecierpliwi, ale trzymał ją mocno za przegub, a nie dorównywała mu siłą. W jednej chwili wywlókł ją za drzwi.

Ze schodów dworu rozciągał się widok na całe miasto. Nocą widział lepiej niż jakikolwiek człowiek. Dostrzegł otwartą bramę i niewyraźne postaci zbrojnych mężów pokonujących ulice.

Bezceremonialnie porwał Evars i przerzucił przez palisadę. Wylądowała z krzykiem po drugiej stronie. Zdążył odwrócić się, aby uchylić się przed włócznią, która przyszpiliłaby go do palisady. Wyrwał włócznię z dłoni napastnika, równocześnie łamiąc mu rękę. Tamten wrzasnął, sięgając lewą ręką po miecz.

Maeniel odrzucił włócznię i sam wyrwał ten miecz z pochwy. Chciał wbić go żołnierzowi w brzuch, ale ostrze pośliznęło się na pancerzu i przeszło gardło. .

Miał czas się rozejrzeć i ujrzał, że w pobliżu nie ma nikogo. Popędził do dworu. Nad jego głową przeleciało kilkanaście płonących strzał i wbiło się w ściany.

Maeniel wiedział, że krzyczy, ale nie wiedział co, kiedy skokami biegł po schodach. Runął w drzwi i potoczył się do środka, zatrzymując się o krok przed paleniskiem.

Kłęczał, trzymając w dłoni ociekający krwią miecz i tocząc wzrokiem po twarzach biesiadników. Przez ważką chwilę, która wydawała się trwać tysiąc lat, tylko gapiono się w niego bez wyrazu, rozdziawiając usta. Potem wybuchł tumult i wrzawa.

Nie było ucieczki. Dwór w jednej chwili wypełnił się dymem. Ogarnięci paniką biesiadnicy tratowali się i walczyli między sobą, usiłując dotrzeć do drzwi, lecz każdy, kto przestąpił próg, był bezlitośnie mordowany przez atakujących żołnierzy.

Płonął cały dach. Krokwie okrywała jedynie strzecha. Straszliwe oranżowe światło, o wiele jaśniejsze niż blask pochodni, przenikało każdy zakątek. Biło z dumnych, wysokich chorągwi, których płonące paski opadały na wijącą się ludzką masę.

Zewnętrzna wilgotna warstwa słomy przez chwilę stawiała opór pożarowi, a potem zajęła się z hukiem, który zawtórował rozpaczliwemu wyciu uwięzionych w budynku. Cały dach był wrzącą masą płonących węgli.

Wódz zginął na oczach wilka. Jedna z chorągwi spadła mu na ramiona. Ubranie zajęło się i stracił równowagę, padając na niższe stoły. Płonął w centralnym palenisku; czarny wijący się kształt.

Dryas zbiegła z podium, śpiesząc mu z pomocą. Zatrzymała się obok Maeniela i odwróciła wzrok od szczątków Cynewolfa. W dłoni dzierżyła miecz. Była chłodna i opanowana.

Wilk podniósł wzrok ku dymnikowi i ujrzał gwiazdy. Ich spokojne piękno panowało nad niewyobrażalnym chaosem w dole. Głos Dryas przebił się przez wrzawę:

- Musimy się stąd wydostać. Nie mamy wyboru.

Podźwignął kawał blatu. Nie widział, jak Dryas zrywa coś z szyi i ciska do paleniska. Uniósł nad głową potężną część stołu i ruszył ku drzwiom.

Za nim szła Dryas. Błat uderzył w ościeżnice i przez koszmarną chwilę Maeniel bał się, że wytrzymają. Poczł na plecach napór tłumu. Ościeżnice pękły z trzaskiem jak wyschłe gałązki i cała ściana runęła na zewnątrz.

Na ulicy najeźdźcy dążyli do zwarcia z ofiarami, ale chociaż podpalenie dworu przyniosło im początkowy sukces, teraz szczęście się odwróciło. Cała połać dachu osunęła się jak płonący stóg siana i wylądowała na ulicy między dwoma grupami. Przez kilka chwil atakujący znaleźli się przed przeszkodą nie do przejścia, a ludzie z dworu mieli szansę ucieczki.

Płomienie wyskoczyły między nimi, ale Maeniel dostrzegł, że Dryas nie ucieka, został więc przy niej. Niedawni biesiadnicy byli ogarnięci taką paniką, że nikt nie podjął walki, chociaż zapewne przewyższali liczebnie napastników. Zbyt wiele było tam kobiet, niektórzy, jak Blaze czy Mir, liczyli sobie sporo lat. Uciekli przez palisadę w noc. Lecz Dryas stawiała czoło wrogowi, dając najstarszym i najstarszym czas do ucieczki.

Maeniel pomyślał, że przede wszystkim powinna zadbać o siebie, i miał rację, ponieważ jeden z napastników krzyknął:

- To ona! Nie dajcie jej uciec. Tysiąc złotych aureusów dla tego, kto ją pojmie! Związać ją!

Żołnierze zaatakowali Dryas, osłaniając twarze płaszczami, gdy pokonywali ścianę ognia. Poderżnęła gardło pierwszemu i wbiła miecz w oko drugiego.

Maeniel znów przybrał postać wilka. Wściekłość i dzika rozkosz zalały mu serce. Runął przed siebie i okulił trzeciego, który na nią natarł, potem złamał nogę kolejnemu. Lecz wiedział, że nie pokona wszystkich, a na dodatek ulica była zbyt szeroka. Tamci mogli zająć ich z boków.

Dryas cofała się, kiedy wilk dostrzegł jakiś cień nad ich głowami. Szczeknął ostrzegawczo, ale było za późno.

Stali pod płonącym szkieletem dworu rysującym się na tle nieba. Zaczął się zapadać.

Wilk podwinął ogon i uciekł, ale Dryas skrzyżowała miecz z kolejnym przeciwnikiem i nie mogła albo nie chciała przerwać walki. Aż zrobiło się zbyt późno.

Spadające belki pękały na kawałki. Jeden z nich uderzył ją w czoło, rozsypując iskry i zwęglone szczątki wokół twarzy kobiety. Przeciwnik uniósł tarczę i częściowo ochronił Dryas. Potem porwał ją, zarzucił nieprzytomną na ramię i uciekł.

Lucjusz szedł przed siebie bez celu. Po prostu szedł. Ulice były zatłoczone. Wokół zawierano najprzeróżniejsze transakcje. Kramarze oferowali wszelkie usługi, od cielesnych do remontów dachów.

Za kolejną przecznicą jakaś dziewczyna zaproponowała siebie za dwa asy. Sprzedawała się za pobliską świątynią lub wewnątrz niej, jeśli mężczyzna obawiał się, że ktoś ich podejrzy. Przyjął propozycję, zapłacił, lecz gdy znalazł się w świątyni, okazał się niezdolny do aktu.

Panował tam mrok, światło padało jedynie przez dwa otwory nad ołtarzem. Nie było posągu ani nawet imienia na terakotowej ceglanej ścianie, a sam ołtarz był kwadratowym blokiem marmuru żłobionym na górze i u podstawy.

Po tym, jak zawiodła go męskość, dziewczyna się wystraszyła, ale dał jej dodatkowego miedziaka i powiedział, że chce pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Tak więc został w środku, oparty o ścianę, słuchając przytłumionych hałasów ulicy.

Nie doszedł do żadnej konkluzji, ale mętlik w głowie ustąpił. Podeszedł do płyty ołtarza. Na stopniu stał mosiężny dzban, taca z kilkoma owocami, misa pełna wody i kielich wyglądający na mosiężny. Żłobkowany na krawędziach i wąski u dołu, rozszerzał się ku górze.

Nie rozumiejąc, dlaczego to czyni, nalał zawartość dzbanka do pucharu i wypił ją.

Świątynia znikła. Miał wrażenie, że jest gdzieś w pobliżu Via Appia. Szpalery wysokich cyprysów rosły wzdłuż drogi. Szedł ścieżką zarośniętą tymiankiem i mchem, obrzeżoną liliami. Poprzednio nigdy nie widział takich kwiatów. Płomienne, szkarłatne i żółte kielichy miały u nasady brązowe plamki. Między najbarwniejszymi

dostrzegł plamy bieli, a nawet zieleni. Szedł w chłodnym, wilgotnym cieniu pod cyprysami.

Ścieżka krzyżowała się z kamienną drogą. Z tyłu rozległy się rogi myśliwskie. Przyśpieszył, po czym zatrzymał się z boku, wśród lili.

Najpierw dopędziła go goniona zwierzyna. Okazało się, że to olbrzymi dzik, i Lucjusz był zadowolony, że myśliwi są niedaleko. Nie miał dłużej ochoty na jego towarzystwo. Toczył pianę z rozdziawionego pyska, jego szable miały długość męskiego przedramienia. Złe świńskie ślepia omiotły spojrzeniem Lucjusza, płonąąc wściekłością, i zwierzę rzuciło się na człowieka. Lucjusz przeżył chwilę grozy. Był bezbronny.

Lecz psy siedziały dzikowi na karku. Lucjusz nigdy nie widział równie wielkich okazów. Były pełne gracji, o wydłużonych kształtach i krótkiej sierści, same albinosy lub popielate, o słodkich czystych głosach.

Za nimi pojawił się orszak myśliwych. Lucjuszowi zaparło dech. Wszystkie wierzchowce były siwe. Ich sierść miała połysk macicy perłowej, a długie kręcone grzywy i ogony przypominały chmury rzednące na krawędziach. Pędziły prosto na niego. Chciał się cofnąć i poczuł na plecach smagnięcie ognia w miejscu, gdzie miał bliznę. Upadł na kolano. Spojrzał w górę, starając się podnieść. Jednak był pewien, że wmanewrował się w sytuację bez wyjścia i zostanie stratowany przez konia, pędzącego wprost na niego. Ale nie wziął pod uwagę jej. Wypadła zza prowadzącego. Jej rumak był czarny gęstą połyskliwą czernią jak nocne rozgwieżdżone niebo. Kary swoim ciężarem zepchnął siwka, odrzucając go od Lucjusza. Minęła go o włos, szurając prawym butem po jego ramieniu.

Patrzył z otwartymi ustami, jak wspaniałe wierzchowce docierają do prostego gościńca zbudowanego z gładkich sześciokątnych bloków, szaroniebieskiej barwy. Kiedy się tam znalazły, wzbily się w powietrze, nad drogę, niczym ptaki.

Wyskoczył spomiędzy kwiatów na ścieżkę, aby mieć lepszy widok, ale potknął się i wylądował na czworakach na podłodze świątyni.

Ale to nie była dokładnie ta sama świątynia. Zarówno puchar, jak i dzban przepadły, chociaż misa stała tam, gdzie poprzednio. Ku swojemu zdumieniu przekonał się, że jest pełna wody, a w niej widnieje jej twarz. Twarz kobiety, która uratowała go przed stratowaniem.

Lecz po zastanowieniu doszedł do wniosku, że to nie jest twarz tamtej. Kobieta na karym rumaku miała oblicze bogini, bez skazy i zmarszczki. Kosmyki włosów tej ciemnowłosej niewiasty wymykały się spod czepka, którego faktycznie nie widział, i chociaż jej nieruchome rysy były tak idealne, jakby wryto je w marmurze, a potem wypolerowano, to miała siniak na prawym policzku i mały pieprzyk pod lewym okiem. Zamknęła oczy. Zastanawiał się, czy nie żyje, i ogarnął go smutek. To go dopiero zdziwiło. W gruncie rzeczy, czemu miałyby się przejmować tym, czy zupełnie nieznana kobieta opuściła ten świat, czy nie? Chcąc jej dotknąć, zmaćcił wodę i cała misa znikła.

Kłęcząc na pustej, zakurzonej posadzce. Nie było żadnego ołtarza, żadnego dzbana, kielicha czy misy. Światło padało z dalekich drzwi, wychodzących na ulicę.

Kiedy do niech dotarł, zdał sobie sprawę, że przybiegł z głębi świątyni. Ku swojemu przerażeniu przekonał się, że drzwi chroni żelazna furta. Ale dlaczego to go tak przeraziło? To, że nie znał źródła lęku, dodatkowo go wystraszyło. Pchnął drzwi i z wielką ulgą stwierdził, że ustępują pod jego ręką. Zszedł po schodach na ulicę. Nie oglądał się, dopóki nie znalazł się na Forum. Było niedaleko.

Teraz nie widział świątyni. Sięgnął w fałdy togi, aby sprawdzić, czy cała przygoda nie kosztowała go utraty sakiewki, i poczuł w dłoni śliwkę. Popatrzył na nią zdumiony i przypomniał sobie tacę z owocami w świątyni. Śliwka była piękna, a on głodny. Atlasowa skórka świadczy zwykle o dojrzałości owocu i przez chwilę miał na niego wielką ochotę.

Włosy stanęły mu na karku, kiedy przypomniał sobie, skąd ją ma. Była zbyt piękna, jak nie z tego świata. Niebieska, wpadająca w fiolet, o wybornym zapachu i barwie. Ideał śliwki. Ukrył ją pod togą i przypomniał sobie o sakiewce.

Tak, miał pieniądze - zaiste dużo pieniędzy. Ulice wokół się wyludniały, a słońce wisiąco wysoko. Czas sjesty. Niektóre jadłodajnie stały otworem. W zimie ludzie nie odpoczywali długo.

Spojrzał na budynek senatu i publiczne ogrody sąsiadujące z teatrem Pompejusza i świątynią Wenus.

Przeszedł wzdłuż rzędu jadłodajni i zobaczył w drzwiach znaną osobę - Lukrecję. Odwróciła się do niego, dając znać spojrzeniem, że go rozpoznaje, po czym znikła w cieniach sali dla gości.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej, lecz po chwili mała ciemnowłosa dziewczynka stuknęła go w ramię.

- Panie! Ładny panie! Moja pani chce z tobą porozmawiać.

Wrócił z nią do jadłodajni, w której dostrzegł Lukrecję. Lokal był mały i bardzo czysty. W tej chwili nie było w nim gości, lecz wytarte ławy i stoły świadczyły, że cieszy się popularnością.

Dziewczynka, ledwie dziecko, zaprowadziło go do małego ogródka z altanką, fontanną i zegarem słonecznym. W altance stał stół. Dziewczynka postawiła obok niego plecione krzesło, po czym wybiegła z pośpiechem. Wróciła z tacą pełną oliwek, sera i z dzbankiem wina.

Oliwki marynowano na różne sposoby, każdy rodzaj znajdował się w osobnej miseczce. Również sery były w niejednym gatunku. Wino pochodziło z winnic na nadmorskich wzgórzach: białe, słodkie, pachnące jesienną mgłą pełną woni dymu, jabłek, migdałów i kopru.

Popołudniowe słońce grzało mu twarz i kark. Niebo było lazururowe, spowitą lekką mgiełką.

Rozluźnił się i zabił pierwszy głód oliwkami i serem. Po chwili dziecko wróciło, niosąc kurczę w jarzynach i talerz chleba pokrojonego jak tort i posypanego tartym serem.

Zjadł palcami kurczaka i jarzyny, chlebem zebrał tłuszcz. Uznał, że spożył jeden z najlepszych i najprzyjemniejszych posiłków w życiu.

Kiedy dziecko sprzątnęło talerze, Lukrecja przyniosła tacę z ciastkami na miodzie.

- Jak się czuje Filon? - spytała.
- Usiądź - powiedział Lucjusz.
- Ja...
- A ja o to nie dbam. Usiądź.

Usiadła na ławeczce po drugiej stronie stołu.

- Nie za dobrze - rzekł Lucjusz. - Był torturowany i bardzo wiele wycierpiał.

- Och, nie! - szepnęła, kryjąc twarz w dłoniach.
- Nie denerwuj się. Zapewne uratowałaś mu życie.

Opuściła bezsilnie dłonie na podolek i przeniosła spojrzenie na ogródek ziołowy, w którym rosły bujne równe szeregi szaławii, tymianku, kopru, ogórków i mięty.

- Dopiero co wracam od Cezara - powiedział. - Czy jest tu ktoś jeszcze?
- Nie. - Przez chwilę miała podejrzliwą minę. - O co chodzi?
- A dziecko?
- Nie ma jej. Idzie do domu, do matki. Płacę jej kilka miedziaków tygodniowo za pomoc przy sprzątaniu. To nie mój interes, ale Myrtus, ciotki Feleksa.

Dzierżawi mi tę jadłodajnię za tygodniową opłatę. Filon mi to załatwił. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dziesięć lat ja będę właścicielką. - Odpukała w spód stołu. - Mam nadzieję. O co chodzi? - spytała po raz drugi, znów podejrzliwie.

- Chciałem ci powiedzieć, co oznajmił mi Cezar.

Pochyliła się, wspierając podbródek na kłykciach.

- Proszę, słucham.

Powtórzył rozmowę z dyktatorem.

- A więc to tak - rzekła beznamiętnie, kiedy skończył. - Tak to się kręci. *Res publica*, rządy ludu. Wybierasz opcję, dajesz do rąk pieniądze swoim faworytom, a zwycięzca zgarnia wszystko.

Skinął głową, zjadł ciastko i wypił łyk wina.

- Jak myślisz? Czy powinienem zapłacić?

Przyglądali się wędrownce słońca po niebie i cień na zegarze powiedział im, że Lucjusz spędził ponad godzinę w jadłodajni.

- Wiesz, jak się tu dostałam? - spytała Lukrecja.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie.

- Dziedzic chciał wyrugować mojego ojca z posiadłości. Ojciec stawiał mu opór. Wiesz, co się stało?

Lucjusz skinął głową.

- Dziedzic kazał go pobić czy zabić?

- Pobić, ale ojciec zmarł. Przybyli ludzie Cezara i mój brat, mężczyzna wysoki i silny, odmaszerował z legionami. Powiedział, że wróci z pieniędzmi na zapłacenie dzierżawy dziedzicowi, ale nie wrócił. Matka umarła tamtej zimy. Dziedzic

sprzedał mnie, żeby mieć pieniądze. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Lucjuszu, jestem przekonana, że nawet bogów kupuje się i opłaca.

Ofiary, byki, woły, krowy i gołębie, są kupowane przez bogatych i potężnych, żeby zadławić bogów krwią i mięsem, oślepić dymem i kadzidłami, aż zapomną, czym jest cnota sprawiedliwości, jeśli ją kiedykolwiek znali.

- To i moja siostra jest czysta - powiedział Lucjusz.

- Wiem. Nie mogę powiedzieć tego o sobie. Najpierw sprzedano mnie do domu publicznego. Tam oddawałam się bez przerwy, czasem czterdzieści razy każdej nocy, aż odwróciłam twarz do ściany i nie chciałam przyjmować jadła ani wody. Właściciel sprzedał mnie w nadziei odzyskania inwestycji, zanim umrę. Tak, Lucjuszu, zapłać Cezarowi. Zapłać mu i uważaj się za szczęściarza, jeśli zdołasz ochronić tych, których kochasz. Ja czuję żal tylko dlatego, że mnie się nie udało. Uchroń ich przed twoją czystą siostrą i jej szcurkiem, Firminiuszem. I uchroń siebie. Jesteś dobrym człowiekiem i chociażby z tego powodu lękam się o ciebie.

Wychodząc, zdał sobie sprawę, że pora sjesty minęła, ulice znów się wypełniają. Zatrzymał się przy drzwiach i wcisnął Lukrecji do ręki monetę.

- Za obiad - powiedział.

- Nie, nie - rzekła, próbując oddać zapłatę.

Pokręcił przecząco głową.

- Myrtus to bardzo praktyczna Greczynka. Nie pochwaliłaby cię za darmowe wydawanie strawy. - Oddalił się z pośpiechem.

Wsunęła monetę do kieszeni. Dopiero późnym wieczorem, kiedy zamknęła interes i stojąc przy łóżku, czesała się w świetle świecy i szykowała do snu, przypomniała sobie o niej. Wyjęła ją i okazało się, że to złoty aureus.

19

Dryas ocknęła się w ciemności. Czowała się podle, a w głowie pulsował jej tępy ból. Ręce i nogi miała skrępowane. Leżała na wozie. Na wozie trzęsącym się na wybojach. Kiedy spróbowała otworzyć powieki, potarła o coś rzęsami. Miała opaskę na oczach. Czowała mdłości.

Przypomniała sobie, że cisnęła naszyjnik w palenisko. Nawet w tej niewesołej sytuacji była zadowolona, że zdjęła okowy ze stworzenia, które dopiero z czasem i wbrew sobie zaczęła darzyć podziwem. Widziała śmierć Cynewolfa i męka przepaliła ją do dna duszy, ponieważ zdawała sobie sprawę, że to ona spowodowała zniszczenie na *oppidum*. Cała ta żalosna wyprawa była od początku skazana na niepowodzenie. Jej życie dobiegło kresu. Niewolnictwo znaczyło dla niej śmierć.

Z zewnątrz dobiegały głosy i pobrzękiwanie końskiej uprzęży. Rozmawiali dwaj ludzie; głos jednego przypominał chrzęst żwiru.

- Zapłaciła mi - rzekł Chrząst Żwiru. -I dobrze. Ta nie przetrzyma długo. Zdziwiłbym się, gdyby udało mi się dowieźć ją na statek.

- W Rzymie będzie objawieniem sezonu.

- Nie wydaje mi się, żeby dostarczyła im tej radości. Nigdy nie zmuszą jej do wyjścia na arenę. Zresztą nie sądzę, żeby ta suka z rodu Bazylích miała takie plany. Co ją obchodzi plebs? Ta jest przeznaczona do prywatnego użytku.

- Jej?

- Tak! Nie! Kto wie? Dla kogoś o niezwykłych gustach. Sporo nas kosztowała. Miletusa, Florusa, Scypiona.

- Chcieli wrócić do domu bogaci jak ty.

- Tilliusz nie będzie więcej chodził. Achilles nie dźwignie się z łóżka przez tydzień, żeby się wyszczać.

- To wina tamtego psa.

- Psa! Ładny mi pies! - wykrzyknął Chrząst Żwiru. - Zjawił się dopiero wtedy, kiedy wyciągnęła na nas miecz. Nie, ona też jest czarownicą. Niektórzy legioniści Cezara spotkali się z nimi na Albie i mówili, że są gorsze od mężczyzn. O wiele gorsze. Zdaje ci się, że wybierasz spokojne miejsce na spoczynek, a rano budzisz się z poderżniętym gardłem. Te kurwy wkładają sobie nóż w dziurę. Wkładasz jej i wyjmujesz coś, co wygląda jak pęknięta kiełbasa. Niech ta suka z rodu Bazylích się nią cieszy. Kiedy dotrzemy do Messeny, odłączam się. Zabieram

pieniądze i kupuję gospodarstwo w Kampanii. - W głosie Chrzęstu Żwiru była ulga. - Nie wsiadam z wami na siatek. Ona może wywołać sztorm i posłać łódź na dno, zanim dotrze do Ostii. Nie ufam żadnej z nich. Żadnej z tych czarownic.

Do Rzymu - pomyślała Dryas. - Fulwia chciała zabrać mnie do Rzymu. A w Rzymie jest Cezar.

Jeźdźcy przyspieszyli i wysunęli się przed wóz. Nie słyszała dalszej części rozmowy. Jednakże po chwili dobiegł ją głos Fulwii, mówiącej coś do Chrzęstu Żwiru. Sprzeciwiał się, ale Fulwia była uparta i chyba musiał się zgodzić, bo wóz się zatrzymał. Dryas poczuła, że wchodzi na niego dwoje ludzi. Jeden lżejszy, drugi cięższy. Fulwia i Chrzęst Żwiru - pomyślała.

W chwilę potem czyjeś dłonie zaczęły ją obmacywać. Wielkie dłonie.

- Rozwiążę jej nogi - zaproponowała słodko Fulwia.

- Nie rozwiąż jej niczego! - zaproponował gwałtownie Chrzęst Żwiru.

Błądził rękami po piersiach i brzuchu Dryas. - Niczego.

Dryas nie stawiała żadnego oporu. Tamten przewrócił ją na bok.

- Na plecach. Aaa... proszę - powiedział i wyjął nóż, który nosiła na sznurku przywiązany do kołnierza.

- Teraz ciekawsze miejsca - zachichotała Fulwia, kiedy Dryas została obrócona na plecy.

- Nic mnie nie ciekawi u tej lochy - rzekł Chrzęst Żwiru. - Widziałem, jak zabiła trzech moich ludzi, i jeśli jesteś mądra, pani, to zaraz pozwolisz mi poderżnąć jej gardło i zakopać ją na skrzyżowaniu dróg z kołkiem w sercu, przywaloną wielkim głazem, żeby się nic podniosła i nie biegła ze swoimi przyjaciółmi, wilkami.

Mówiąc to, obmacywał brzuch i pośladki Dryas, a potem wewnętrzną stronę ud.

- Tak, jeszcze jeden przypięty do uda. Ma przy sobie wszystko, co trzeba, żeby...

Przerwał, gdyż uniósł tunikę Dryas i wsunął jej dłoń do spodni, po ukryty tam nóż. Usiłował złapać za rękojeść. Udało mu się i wyciągając ostrze, drasnął ją w brzuch.

- Przepraszam - powiedział.

- Przepraszam...?! - wrzasnęła Fulwia. - Nie porznij jej! Poza tym, kogo przepraszasz? Ona jest nieprzytomna.

- Nie, właśnie, że jest przytomna - stwierdził Chrzęst Żwiru. - Leży jak kłoda, bo ma nadzieję, że właśnie tym nas zmyli, ale kilka razy poczułem, jak drgnęła. Wie, co się dzieje, ale nie może na to nic poradzić. - Mówił i dalej obmacywał nogi Dryas. - I jeszcze jeden na wysokości kostki. - Wyjął go. - Zachowaj je wszystkie, pani.

- Jesteś pewien, że nie miałbyś ochotę na trochę zabawy za wszystkie swoje zachody i stracony czas? - spytała Fulwia. - Jest tu nas tylko troje i mógłbyś ściągnąć z niej te portki i...

- Zgwałcić ją - powiedział Chrzęst Żwiru.

- Czemu nie? - Głos Fulwii był chrapliwy od... Dryas nie była pewna, co Fulwia czuje, ale wiedziała, że tamta stara się to ukryć.

- Nie, pani - powiedział Chrzęst Żwiru. - W gwałceniu trzeba zasmakować, ale mnie nigdy się to nie udało. Poza tym płacisz mi za to, żebym się dla ciebie bił, a nie dostarczał ci rozrywki.

Dryas słyszała posapywanie Fulwii, ale Rzymianka nie odezwała się więcej. Deski zatrzeszczały, kiedy zeskoczyła z wozu na ziemię, ale Chrzęst Żwiru został pod płachtą, więc przygotowała się na najgorsze.

Na wojnie mężczyźni i kobiety są w równym stopniu narażeni na gwałt. W świecie przemocy i zniszczenia obie płci bywają wykorzystywane seksualnie. Być może kobiety mają prawo mówić, że przydarza im się to nieco częściej, lecz mężczyźni, szczególnie młodzieńcy, też padają ofiarami gwałtów, wykorzystywania ich ciał wbrew woli. Dryas uczyła swoich adeptów, że może wydarzyć się najgorsze i muszą reagować z godnością i odwagą. Miała nadzieję, że w tej sytuacji okaże się silna, lecz czuła nie tyle gniew, ile oburzenie i irytację. Była cała obolała. Teraz Fulwia i ten obrzydliwy kawał gówna mieli zamiar jeszcze ją upokorzyć. Życzyła im wszystkiego najgorszego, gdyby Chrzęst Żwiru poszedł za sugestią Fulwii.

- Nie, czarownico, nie będę się z tobą pokładał - powiedział Chrzęst Żwiru. - Mam, czego chciałem. - Dryas usłyszał brzęk monet. - Żałuję, że nie posłuchała mnie, jeśli chodzi o twoje gardło. Nie musiałbym się więcej wami przejmować. - Oddalił się i została sama.

Wóz się nie ruszał i Dryas po dźwiękach odgadła, że zatrzymano się na nocleg. Zastanawiała się, ile czasu minęło od porwania. Zapewne dzień, ale to była

tylko zgadywanka. Spróbowała odwrócić się na bok i zamiar się powiódł. Leżała na czymś miękkim, chyba na słomie przykrytej derką. Było jej całkiem wygodnie.

Po jakimś czasie poczuła woń gotowanej stawy, ale nie poczęstowano jej. Nie była tym zaskoczona i po jakimś czasie usnęła.

Kiedy się obudziła, po dźwiękach odgadła, że jest noc. Szumiał wiatr i blisko pohukiwała sowa. Było chłodno, ale ktoś przykrył ją szorstkim, niezbyt czystym kocem. Założyłaby się, że to nie Fulwia. Koc cuchnął łajnem i końskim potem.

W głowie jej przejaśniło, ból w skroniach znikł.

Powinnam dziękować losowi za drobne dary. Przynajmniej jest mi ciepło.

Zaczęła się gimnastykować, aby pobudzić krążenie i nie dostać skurczów. Najpierw stopy, nogi w kostkach i wyżej, tors, barki, ramiona. Zastanawiała się, czy się nie odwrócić, i rozważała, jak to zrobić, nie zrzucając koca, gdy zdała sobie sprawę, że nie jest sama na wozie.

Pazury zastukały o drewno. No cóż, cisnęła naszyjnik do ognia. Chłodne nocne powietrze zawitało wraz z przybyszem. Czuła woń zimnej sierści i czegoś jeszcze. Coś mokrego dotknęło jej policzka i przepaska na oczy pojechała w górę.

Patrzyła mu w ślepią. Pysk miał poryty śnieżnym puchem. Kryształki lodu błyszcząły na sierści.

Zapiszczał cichutko. Zrozumiała, że to pytanie. Brytany tak witały ją rankiem. Patrzyły jej w oczy i ruszały za nią, kiedy szła opróżnić pęcherz przy strumieniu.

Ciekawe, kto teraz mieszkał w jej dworze. Kto karmił psy i wybierał się z nim o brzasku na polowanie? Była pewna, że nigdy nie ujrzy swoich umiłowanych gór, a dom, który ukochała ponad wszystko, jest dla niej stracony na zawsze.

- Nic mi nie jest - szepnęła, ale dwie łzy, które pojawiły się w kącikach oczu, spłynęły jej po twarzy. Jako że leżała na boku, jedna prześliznęła się garbkiem nosa, a druga spłynęła pod okiem na słomę.

Parsknął i trącił ją nosem w policzek.

- Nic mi nie jest - powtórzyła uparcie. - Zabierają mnie do Rzymu. Nie wiem, co wyniknie z moich zamierzeń... jeśli w ogóle coś... Lepiej o tym teraz nie mówić. Odejdź! Bądź wolny, biegnij, gdzie cię oczy poniosą. Nie chcę oglądać cię przykutego do rydwanu naszego szalonego gatunku. I nie będę więcej próbowała cię wykorzystać. Popęłniłam wielki błąd.

Bądź zawsze wolny, bo ze wszystkich rzeczy wolność jest najlepsza, chociaż niełatwo ją osiągnąć, a znajdują ją tylko ci, którzy potrafią się nią cieszyć. Orzeł na szczytach turni wybiera wolność, jaką daje mu wiatr, a polujący wilk nie nosi niczyjej obroży. Więc odejdz z odwagą. Mam niewielką szansę na... wyrównanie rachunków. Ale chociaż jest minimalna, muszę jej spróbować i nie oglądać się na to, ile będzie mnie kosztować. - Zamknęła oczy.

Oplłynęła go kaskada jasności i zimnego ognia i nagle poczuł, że klęczy w wozie obok Dryas.

- Skuli ci ręce i przybili łańcuch do podłogi. Gdyby nie to, już bym cię wyniósł. Mogę ruszyć za nimi i wykończę jednego po drugim, zanim wyjadą z tych gór. Pomóż mi.

- Nie.

Tylko tyle powiedziała, nie otwierając nawet oczu. Zewnątrz rozległy się kroki i zamienił się w wilka szybciej, niż tego chciał.

Wartownik zajrzał do wozu i spojrzał mu prosto w ślepie.

Był środek nocy, kiedy biegł wzdłuż górskiego stoku, między pniami drzew tak wiekowych i wysokich, że przypominały chmury na rozgwieżdżonym niebie. Pierwsze konary wyrastały na niesłychanej wysokości. Padający śnieg układał się srebrnymi płatami na czarnym kobiercu sosnowych igieł. Gigantyczne pnie zdawały się kolumnami na wpół zrujnowanej świątyni, zanurzonej pod powierzchnią morza.

Biegł między nimi, wilczy cień sunął po srebrnobiałym śniegu i czarnych zaspach igieł, zwracających bogactwa słońca ziemi.

Stał się człowiekiem i zatrzymał się. Patrzył na drzewa i zimne gwiazdy. Przeklinał Dryas i Imonę, kobiety i ich postęпки niepojęte dla wilka, a nawet dla większości mężczyzn. Lecz dzięki Dryas lepiej zrozumiał Imonę. Ona też była gotowa oddać życie za swój lud. Imona go nie słuchała i nie posłuchała go również Dryas.

Był opiekuńczym stworzeniem. Kazała mu odejść i rozkoszować się wolnością, ale wolność już nie dla niego. Przestał być zwyczajnym wilkiem, znalazł szlak, którego pragnął. Ten szlak (a może „pasja” była lepszym słowem) stał mu się celem po kres życia.

My, plemiona szare i brązowe, wiemy od dawna, że nasze drogi są wytyczone przez... siły sprawcze życia - myślał. - One nadają wszystkim postać i tchnienie, one nadają nam prawa. Te prawa są jednym ze sposobów naszego myślenia. Trzymamy się wzorców, które znał nasz pradawny przodek, pierwszy wilk. Jego prawa są moimi. Potrafię przywołać w myślach wspomnienia polowań na potwory, kiedy lodowce skuły świat. Lecz człowiek to wyjątkowy gatunek. Nie hamuje go żadne prawo. Nie hamowało wtedy, kiedy polował na lodowych przestrzeniach podczas wiecznej zimy, nie hamuje teraz. Dla nich cały byt jest wieczną pokusą, jak tamta kobieta była pokusą dla mojego pierwszego przodka, kiedy tak dawno temu związali się przymierzem, żeby powstrzymać noc.

Nie miał pojęcia, czym się staną, ale warto było przez wieczność biec szaleńczo za nimi, bez względu na wynik gonitwy. Zostali stworzeni, aby upaść niżej i wznieść się wyżej, niż gatunek Maeniela mógł to sobie wyobrazić. Miał zamiar dołączyć do nich, ponieważ poczuwał się do wiecznego pobratymstwa. Byli krwią z jego krwi i kością z jego kości. Siły życiowe pozwoliły im wyłonić się ze świata mrocznych mórz i zatrutego powietrza i na zawsze zaistnieć pod gwiazdami rozrzuconymi jakąś nieznaną i być może niepoznawalną dłonią na wiecznym niebie.

Nagle zdał sobie sprawę, że nogi ma jak sople lodu, z nosa mu cieknie i niebawem wstanie świt. Powinien donieść Blaze'owi i Mi-rowi, co przydarzyło się Dryas. Nie obchodziło go, skąd wzięło się to poczucie, ale poszedł za jego głosem. Jako przywódca watahy też nieraz kierował się przecuciem.

Przekonajmy się, co się teraz stanie - pomyślał, znowu przemienił się w wilka i poczuł się znacznie wygodniej, pędząc bez wysiłku w stronę resztek *oppidum*. Dotarł tam świtem i przesadził palisadę.

Znalazł Mira, Blaze'a i Evras w domu, który poprzednio zamieszkiwali. Wierchowiec Dryas stał w stajni. Wilk przywitał się z nim. Tamten odpowiedział mu czysto grzecznościowo i wsadził łeb do żłobu. Maeniel pozostawił opończę, tunikę i buty w pustej przegrodzie. Ubrał się i wszedł do domu.

Mir podniósł wzrok znad stołu.

- Znalazłeś ją?
- Tak - powiedział, siadając. Ewas naląła owsianki do miski i postawiła ją przed nim. Był głodny, ponieważ nie zatrzymał się, aby zapolować.
- No i...? - naciskał starzec.

- Nie chciała, żebym pomógł jej w ucieczce. - Siłą woli wstrzymywał się od tego, żeby rzucić się na owsiankę. Nie należała do jego ulubionych potraw, ale był głodny i zziębnięty po długim nocnym biegu, a miska buchała gorącem.

- Czemu nie? - spytał poirytowany Mir.

- Myśli, że może zabije Cezara, jeśli zdoła przeniknąć do jego otoczenia.

Zamierzam udać się za nią do Rzymu.

Evras zalała się łzami.

- I dać się zabić - zajęczała.

- Trzeba bardzo się starać, żeby pozbawić mnie życia. Ty, Ewas, wrócisz z Mirem. Tu jest gorzej niż tam, gdzie mieszkał Mir. Niebezpieczniej. A tak w ogóle, ilu przeżyło?

- Niewielu i większość odeszła - wyjaśnił Blaze. - Uciekli do przyjaciół lub krewnych, którzy ich przygarną. Wielu gości mieszkało nie tu, ale w głębi lasów. Cynewolf dawno powinien się stąd wynieść, porzucić swoje dawne ziemie po rzymskiej stronie rzeki i pogodzić się ze stratami. Teraz nie ma go wśród żywych i większość wodzów, która przeżyła, znajdzie sobie innych panów. Mnie zaprosił lud we Fryzji. Miałem nadzieję, że uda mi się tu coś odbudować, stworzyć jakiś ośrodek oporu przeciwko Rzymianom, ale Cynewolf był po prostu za słaby. Upadł na duchu, kiedy... - Nie skończył.

- Kiedy zabrali jego najstarszego syna - powiedziała Evras. - Teraz gnije w moczarach z dzieckiem, szlachetną kobietą Wenedów...

- Ewas, zamknij się! - rozkazał Blaze.

Zdziwiona rozejrzała się wkoło.

- Czy ja coś mówiłam?

- A więc tak - powiedział Maeniel, patrząc na dwóch starców. - Ona była... jak mówisz? Wenedką szlachetnego rodu.

- Tak, zgadza się - potwierdził Mir.

- Nie wydaje mi się, żeby to wam wiele dało - zauważył Maeniel.

- Nie. - Dłoń, w której Mir trzymał łyżkę z owsianką, drżała. - Ale... została nam tylko ona i musiałem spróbować.

- Ach tak, i teraz to Dryas będzie próbować - rzekł Maeniel. - Nie pojedzie sama. Przyłączę się do niej i zrobimy, co się tylko da, żeby przeszkodzić Rzymianom.

- A co ze mną? - spytała Ewas.
- Z tobą? - rzekł Maeniel. - Jeśli chcesz, możesz iść ze mną. Jeśli nie...
- Ja nie chcę do Rzymu! - załkała Ewas.
- Pójdę porozmawiać z klaczą Dryas - rzekł Maeniel. - Jest lojalna względem swojej pani. Spytam, czy nie zechciałaby zanieść mnie do Messeny. Poza tym... - Spojrzał ponuro na Ewas. - Jest rozsądniejsza niż ktokolwiek przy tym stole.
- Będziesz potrzebował pieniędzy - zauważył Mir.
- Wiem. Dryas miała ich sporo. Wezmę trochę. Pokazała mi, gdzie je ukryła. - Z tymi słowami wyszedł długim krokiem.
- Nie chcę do Rzymu - powtórzyła z uporem Ewas, wysuwając dolną wargę.

Blaze westchnął głęboko i dalej jadł owsiankę.

- Nie chcę do Rzymu - ogłosiła po raz trzeci.

Blaze miał tego dość.

- Na twoim miejscu siedziałbym cicho. To niezwykle człowiek.
- Jaki tam człowiek - warknęła. - Ostatniej nocy widziałam, jak zmienił postać. Nie może odstawić mnie jak worka rzepy i... - Wyglądała na niepokieszoną. - Nie, chyba jednak może. - Zaczęła płakać.

Blaze spędził życie na łagodzeniu sporów między ludźmi bardziej zapalczywymi i upartymi niż ta para. Znał rozwiązanie dla obojga.

W stajni Maeniel podszedł do przegrody. Nie miała bramki. Konia uwiązano do kółka w ścianie.

Klacz błysnęła białkami oczu na jego widok.

Parsknął.

Ona też parsknęła.

Maeniel zarżał cicho.

Uniosła prawe przednie kopyto i stuknęła nim w podłogę.

On wsparł się o drąg i zarżał jeszcze kilka razy.

Grzebała kopytem w ściółce.

- Messena - rzekł.

Koń odwrócił się i zademonstrował szeroki zad, obejrzał się i znów błysnął białkami oczu.

- No i...? - spytał Mir.

- Zastanowi się, ale zapewne wyrazi zgodę. Potem puszcze ją wolno. Została pożyczona od ludzi mieszkających na wybrzeżu i jest pewna, że znajdzie drogę do domu.

- Powiedziała ci to wszystko? - zapytał z pewnym sceptycyzmem Mir.

- Nie - odparł Maeniel. - Dwie noce temu opowiedziała mi, gdzie mieszka. Leniuchowaliśmy. Nie jesteśmy na szczególnie przyjacielskiej stopie. Zwykle zjadamy konie.

- Widzę, że mimo pewnych przeszkód macie szansę nawiązać znajomość.

- Tak. Większość koni nie odzywa się do nas, kiedy my zwrócimy się do któregoś osobnika ich plemienia, potem zwykle musimy unikać agresywnych zachowań.

- Aha.

- Tak, przyjaźń ma swoje plusy i przynosi korzyści obu stronom. Chyba macie powiedzenie opisujące takie sytuacje. Czasem ktoś może zrobić dla nas coś, czego my sami nie możemy. Jak to mówią, przysługa za przysługę.

- Hm, niewątpliwie jest w tym jakaś myśl - skwitował te dywagacje Mir.

- Nigdy nie słyszałam takiego strasznego wrzasku – wyznała Fulwia.

Chrzęst Żwiru i Fulwia stali w wozie, patrząc na Dryas. Ta siedziała oparta o bok wozu, oczy miała zaczerwienione ze zmęczenia i niewygody.

- Twierdzi, że to był największy wilk, jakiego widział w życiu - rzekł Chrzęst Żwiru - ale ponieważ prawdopodobnie nie widział ich wiele, to należałoby uznać, iż zwierzę było normalnych rozmiarów. Dręczy mnie tylko, co on tu robił? Co robił w tym wozie? - Zmrużył oczy i wpatrywał się w Dryas. - Rozumiesz mnie? - spytał ją.

- Tak - odpowiedziała.

- Podczas naszego pierwszego spotkania mówiła świetnie po łacinie - wtrąciła Fulwia. - Spodziewałam się, że zrozumie nas bez problemu.

- Rozumiałam wtedy, rozumiem teraz - rzekła Dryas.

- Co ten wilk tu robił? - spytał Chrzęst Żwiru.

- To przyjaciel - wyjaśniła Dryas.

- Co...?! - wrzasnęła Fulwia. - Jesteś zuchwałą, a niewolnicy, którzy okazują zuchwalstwo...

- Fulwio! Nie będę twoją niewolnicą! - powiedziała Dryas. - Jeśli chcesz czegoś ode mnie, to wybrałaś zły sposób, żeby to osiągnąć.

Fulwia zbladła z wściekłości.

- Ty... - szepnęła chrapliwie. - Każę cię chłostać, aż zaczniesz błagać o śmierć... aż skóra zacznie ci odpadać krwawymi pasami od...

- Pani! - rzekł głośno Chrzęst Żwiru i wskazał kciukiem na polanę, na której żołnierze przygotowywali posiłek. Zeskoczył z wozu, a Fulwia poszła w jego ślady.

Udał się na skraj obozowiska, po czym odwrócił się i rzekł ze spokojem:

- Pani, nie mam w tym żadnego interesu. Za kilka dni cię opuszczę i zapewne nigdy więcej nie spotkam ciebie ani twojej więźniarki. Ale znam tych *keltoi* i moi ludzie nie dorobili się posągów nagrobnych dlatego, że tamci są łagodni i ustępliwi, a zwłaszcza ich wielmoże i kapłani. Myślę, że ta niewiasta należy do obu tych warstw. Jeśli chcesz przywieźć ją do Rzymu żywą i jeśli chcesz, żeby występowała tam na arenie, to winnaś jej okazać nieco szacunku i przekonać, że powinna ustąpić ci w tym czy w tamtym. Poza tym nie wiem, co Lidiusz widział w tym wozie nocą, ale jeśli tamto stworzenie było chociaż w połowie tak wielkie, jak opowiedział, to nie zadzierałbym z nikim, kto ma takich... szczególnych... i zapewne nieprzyjemnych przyjaciół.

Fulwia nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok ku zamglonemu szlakowi wiodącemu ku wybrzeżu.

- Masz rację - powiedziała - i niech to piekło pochłonie, ale zależy mi na tym, żeby ta kobieta wystąpiła jako gladiator. Pewien mój... nazwijmy to... ważny przyjaciel jest opętany pragnieniem ujrzenia prawdziwej Amazonki. Chce zobaczyć, jak taka istota walczy. Jak mam ją podejść? - Fulwia, kiedy chciała, potrafiła być uwodzicielska i słodka.

- Daj mi z nią chwilę sam na sam - rzekł. - Może, ale tylko może trochę ją zmiękczyć.

Wrócił do wozu i spojrzał na Dryas. Oczy miała zamknięte.

- Pewnie nie czujesz się zbyt świeżo. Jeśli chcesz, zabiorę cię do strumyka i jeśli obiecasz mi, że nie uciekniesz, to mogę cię rozkuć i dostaniesz coś do jedzenia.

Dryas otworzyła oczy i skinęła głową.

- Daj słowo - powtórzył.
- Daję.

Musiał pomóc jej zeskoczyć z wozu, gdyż miała skurcze od więzów, ale zaprowadził ją do strumienia i odwrócił wzrok, kiedy weszła za drzewo.

- Przyjaciel - powiedział.
- Tak.
- Nie masz ochoty na dokładniejsze wyjaśnienie.
- Nie.

Wyszła zza drzewa, udała się do strumienia i umyła twarz i dłonie. Zerknął w górę, gdzie żołnierze szykowali obóz. Fulwia była niewidoczna, a żołnierze poza zasięgiem słuchu.

- Jesteś ważną osobą. Ona zapłaciła mi tysiąc złotych monet, żeby cię sprowadzić. Nie jestem głupcem. Nie jestem durniem. Znam twoją kastę i wiem, że już byś nie żyła, gdyby nie zależało ci na życiu, więc pewnie coś szykujesz. Ci Rzymianie to dranie, więc... pozwól, że cię przekupię i może trochę tobą pokieruję. Powiedziałem jej, że postaram się, abyś poszła na współpracę. Ugnij się, a pomogę ci dojechać żywej do wybrzeża. Potem rób, co chcesz. Udawaj, że zależy ci na pieniądzach. Na złocie. To na nich najlepszy sposób. I na mnie też, ale nie na ciebie. Jak się nazywasz, ciemnowłosa?

- Dryas.

Skinął głową.

- Aquila.
- Dziękuję, Aquilo.
- Powodzenia, Dryas.

Kiedy Lucjusz wrócił do domu, udał się do Aristo.

- Ile mam pieniędzy? - spytał.
- Dużo.
- Dobrze! Dość, żeby wystawić legion?

- Tak, ponad trzy.
- Poślij Cezarowi tyle, żeby starczyło na legion i na roczny żołd.
- O to chodziło?
- Tak.
- I dostaniesz, czego chcesz?
- Tak. Potrzebuję również drewnianej misy, ale tę mogę wziąć z kuchni.
- Na pewno - rzekł Aristo. - Myślałem, że rozważasz, panie, taką

transakcję i przygotowałem niezbędne dokumenty.

Aristo wręczył Lucjuszowi kilka zapisanych tabliczek woskowych. Lucjusz zapoznał się z nimi dokładnie i złożył na nich swój podpis.

- Tak - powiedział Aristo. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wierzę, że odniesiesz takie same sukcesy jak twój dziad.

- Mój dziad?

- Tak, on naprawdę stworzył fortunę Bazylich. Byłem młodym chłopcem, kiedy się poznaliśmy. Kupił mnie od rodziny, która nie mogła wyżywić swoich dzieci. To były złe czasy Mariusza i Sulli. Wielu zostało nędzarami podczas proskrypcji, wśród nich moi rodzice.

- To straszne! - szepnął Lucjusz.

- Nie - powiedział Aristo. - Jak się okazało, ich nieszczęścia były szczęściem i na dłuższą metę wyszły im na dobre. Dzięki mądrości twojego dziadka odzyskali wszystko, co stracili, i zdobyli wiele więcej, podobnie jak moi braci i siostry. Twoja rodzina należy do najbogatszych rodzin ekwitów w Rzymie.

Lucjusz przełknął ślinę.

- Ale ty zostałeś niewolnikiem.

- Mój chłopcze! Mój chłopcze! - Aristo westchnął. - Ludzie godzili się z niewolą, żeby zdobyć pozycję, którą ja osiągnąłem, a którą przede mną miał mój ojciec - zarządcy rodziny pnącej się na szczyt, tak jak wy wtedy. Chyba mój ojciec nie wiedział, czy twój dziadek po prostu nie chce wykorzystać naszego nieszczęścia... popieraliśmy Mariusza... ale kiedy usłyszał jego ofertę... Otrzymał królewską sumę, która pozwoliła mojej matce na dostatnie życie, a siostrom na doskonałe małżeństwa. Oczywiście ojciec musiał rozwieść się z matką. Wielka szkoda. To ją niezwykle zraniło. Kochała mojego ojca. Jednakże połączyli się u końca swoich dni.

- Sprawy nie zawsze układają się tak dobrze, prawda? – spytał Lucjusz. -
Weź pod uwagę Oktusa.

Aristo zmarszczył brwi.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wiesz.
- Musiałem trochę pogrzebać w pamięci. Nie kojarzyłem najbliższego
sługi matki ze starym odźwiernym w łańcuchach. Ale kiedy ujrzałem go lepiej
ubranego i przechadzającego się swobodnie po domu, przypomniałem sobie.
Zasługiwał na coś znacznie lepszego od naszej rodziny. Od syna mojej matki.

Aristo wyraźnie czuł się nieswojo.

- Możliwe, ale niewykluczone też, że twój ojciec miał swoje powody. Nie
wiem. Nie wyjawiał mi ich... ani nikomu innemu. Mogę mówić tylko za siebie. A nam,
mojej rodzinie, dobrze się powodziło. Ojciec dostał wolność, kiedy twój dziadek
zmarł. Mnie wyzwolono wraz ze śmiercią twojego ojca. - Starzec odchylił się na
krzesło, wziął ze stołu nożyk i zaczął ostrzyć trzcinkę do pisania. – Nie powiedziałem
tego po to, żeby wzbudzić twoją sympatię, ale by udowodnić, że czasem w życiu nie
mamy wyboru.

Lucjusz skinął głową.

- Zostałem wmanewrowany.
- Bardzo prawdopodobne. Oczywiście nie potrafię tego udowodnić, lecz
nawet gdybym potrafił, co mógłbyś z tym począć?
- Nic. - Lucjusz opuścił wzrok. - Kto doprowadził do tej sytuacji?
- Zapewne Antoniusz. Mówię to dlatego, że uważam cię za prawdziwego
spadkobiercę twojego dziada, na dodatek na tyle opanowanego, że potrafisz
wykorzystać tę informację na swoją korzyść i korzyść tych, których jesteś gotów
chronić. A tak przy okazji, pomysł twojej siostry, aby uprawiać winorośl w Galii, jest
zapewne całkiem rozsądny, więc nie wchodź jej w drogę.

Zdał sobie sprawę, że go odprawiono. Aristo pochylił się nad tabliczkami i
trzcinka poszła w ruch.

- Powiadają, że jest ich sześćdziesięciu - rzekł Lucjusz.

Trzcina Aristo zatrzymała się i uniósł głowę. Spojrzał Lucjuszowi prosto w
oczy.

- Powiadają wiele rzeczy. Co myślisz o tej?

- Szaleństwo! Najgorsze szaleństwo! Nie znoszę polityki. Hazard jest wystarczająco obrzydliwy. Nie dbam o swoje życie.

- Możesz nie mieć wyboru - zauważył cicho Aristo.

- A wiesz, że Cezar powiedział dokładnie to samo?

- Cezar zapewne ma rację. Więc na twoim miejscu bym się przygotował. Wykonałeś bardzo dobrą robotę, ucierając nosa Firminiuszowi. Nie sądzę, żebyś miał z nim w przyszłości kłopoty. Ja też się ich nie spodziewam. Jednakże twoja siostra to zupełnie inna sprawa.

- Skoro mowa o mojej siostrze... - Lucjusz zatrzymał się w drzwiach. - W pobliżu kurii jest jadłodajnia. Właścicielka... oddała mi... przysługę.

- Nie mów nic więcej - przerwał mu Aristo. - Proszę! - Przymknął oczy.

Tak, to nie jest bezpieczny temat - pomyślał Lucjusz. - Nie w tym domu. Gdyby Fulwia się dowiedziała...

- Niezbyt dokładnie przeglądasz dokumenty, które podpisujesz, prawda? - spytał Aristo. Podał jedną z tabliczek Lucjuszowi. - Dług Lukrecji wobec Myrtus został spłacony w całości.

Lucjusz uśmiechnął się, skinął głową i oddał dokument Aristo, rozważając ten paradoks, że w świecie, w którym garstka umie czytać, porozumiewanie się za pomocą zapisków jest bezpieczniejsze niż mowa. Gdyby pisał słówko w tej sprawie, to może do zachodu słońca rozległoby się echem w każdym rzymskim domu, ale ukryte w zakurzonych domowych rachunkach uszło uwagi wszystkich. Uśmiechnął się raz jeszcze i wyszedł.

Do brzasku pozostało jeszcze trochę czasu. Dryas patrzyła przez kratę na arenę, na której płonęło kilka niewidocznych pochodni. Miejsce walk odpowiadało opisowi Mira. Jednak nie było zbyt wielkie. Siedzenia biegły rzędami w górę, lecz było ich zaledwie osiem czy dziesięć.

Na widowni znajdowało się również podium górujące nad wysypaną piaskiem powierzchnią. Otaczał je wieniec żelaznych zaostrzonych prętów, wygiętych w dół, tak że nie zasłaniały widoczności, ale chroniły najważniejszych widzów przed wybrykami tłumu, doprowadzonego do wrzenia popisami walczących ludzi bądź zwierząt.

- Tak - rzekła cicho. Była sama. Przywieziono ją do Rzymu późnym popołudniem. Dotarła do *ludus* po zmroku i słyszała fragment głośnej kłótni między lanistą a Fulwią. A może nie była to kłótnia, lecz dyktowanie warunków, oczywiście przez Fulwią. Dryas po drodze zauważyła, że Fulwią lubiła, kiedy wszystko przebiegało pod jej dyktando.

Zaprowadzono Dryas do celi. Pomieszczenie było pozbawione okien, zamykane na żelazną kratę, a podczas chłódów, które wówczas panowały, używano jeszcze ciężkich dębowych drzwi. Z jednej strony ciągnęła się wąska ceglana platforma, na której leżało zwinięte pościelanie.

Dryas pozostawiono jedynie glinianą lampkę z odrobiną oleju. Płomyk dogorywał. Wykorzystała kilka chwil jasności na rozwinięcie pościelania i pożałowała, że lampka nie zgasła wcześniej, ponieważ słoma była w kilku miejscach poplamiona krwią.

W kącie stał gliniany nocnik zasłonięty szmatą. Dryas odwróciła siennik i okazało się, że druga strona jest jeszcze bardziej poplamiona. Koc był nie lepszy.

Padał deszcz i hulał wiatr, łomocąc zamkniętymi drzwiami. Musiały być jakieś urządzenia wentylacyjne, jako że Dryas od czasu do czasu słyszała przeciąg spowodowany burzą.

Cela była tak mała, że kiedy Dryas stanęła w środku, dotykając ręką tylnej ściany, do drzwi miała zaledwie kilka stóp. Równocześnie mogła dotknąć bocznych ścian.

Zwierzęta, z którymi walczyli *bestiarii*, przebywały w lepszych warunkach, ale zapewne nie było w tym nic dziwnego. Kosztowały drożej niż ludzie.

Lampka zgasła i zapadły ciemności. Dryas ogarnął chwilowy lęk, a potem smutek i rozpacz. Mokre ściany nasiąknęły uczuciami przestępców i jeńców wojennych.

I co zrobili ci nieszczęśnicy? - pomyślała Dryas. Paru zapewne zasługiwało na śmierć, ale gdyby była sędzią, to zapewne wypuściłaby większość, nakazując zwrot zagarniętego mienia i zapłatę grzywny.

Przed wszystkim były to drobne złodziejzki i Dryas zdawała sobie sprawę, że im obficie bogaci obrastali w sadło, tym bardziej lękali się i nienawidzili każdego, kto pozbawiał ich choćby części majątku.

Pamiętała słowa Aquilii o jeńcach wojennych: „Ci rzymscy dranie wierzą, że bogowie dali im w prezencie cały świat. I jeśli ktoś mówi im: «Nie masz prawa rządzić mną, moim kawałkiem ziemi ani moim ludem», jest zbrodniarzem zasługującym na śmierć. Jeśli dadzą ci żyć, to w okowach niewolnika. Mogą robić z tobą, co zechcą. I wierz mi, tak właśnie w ich oczach wygląda prawo, ich prawo i ich zasady”.

W jego głosie brzmiała gorycz. Wiedziała, że to właśnie zostawiają za sobą Rzymianie - gniew i gorycz. Według ich standardów również była zbrodniarką. Jej plemię zeszło z wyżyn i wspomogło plemię wybrzeża w walce przeciwko Cezarowi. Nie ulegało wątpliwości, że było gotowe uczynić to jeszcze nieraz. Tak więc wedle standardów Rzymian, standardów, które mieli nadzieję narzucić całemu światu, zasłużyła na to, aby mogli udowodnić na niej swoją władzę, swoją absolutną potęgę. Bo nie ma władzy większej niż ta, która każe ludziom walczyć na śmierć i życie i zabijać na rozkaz.

Jedną rzeczą jest rozpatrywanie tej uzurpacji boskiej pozycji w trzeźwym blasku dnia, inną - leżenie w mroku i odczuwanie męki, klęski i przesączone bólem przygnębienie, którym tchną otaczające cię ściany... i słuchać deszczu.

Spała i śniła, że jakimś sposobem wyrwała się na wolność i wracała; szła do domu po stokach zarośniętych gęstą trawą, a zły los był tylko koszmarem, który należało wyrzucić z pamięci, gdy biegła ze swoimi brytanami przez zjawiskowe wrzosowiska skąpane rosą poranka i mieniające się purpurą, fioletem, bladym różem i bielą. Czuła tak wielką miłość do tego świata, jej świata, że serce mało jej nie pękło z bezbrzeżnej rozkoszy.

Obudziła się w ciemności i rozpaczy tak bezdennej, że od razu zdała sobie sprawę, iż jest świadoma uczuć kogoś innego. Pogiębiona dusza rozpaczała niczym

porzucone dziecko i Dryas uspokoiła ją własnymi wspomnieniami, wyszukując ich w pamięci jak porwanych pergaminów, jak rozrzucony zbiór jesiennych liści; czerwonych, żółtych, oranżowych i złotych, unoszących się na stojącej powierzchni stawu. Duch wyplakał się do końca i zasnął. Podobnie Dryas.

Aquila obudził ją przed brzaskiem. Na dworze nadal panował mrok. Podał jej kubek *poscy*. Dryas wolałaby któryś ze swoich naparów, ale to nie było złe. Ktoś, pewnie jakaś kobieta, zmieszała je z pachnącym hyzopem. W małych dawkach działał pobudzająco.

- Marcja, żona lanisty, powiada, że możesz skorzystać z jej latryny. Jest przy kuchni. Da ci też coś do zjedzenia - rzekł Aquila.

Dryas skinęła głową i dokończyła kwaśne wino.

Aquila sprowadził ją po schodach. Cela znajdowała się na drugim piętrze. Z przejścia miała widok na kilkusetosobową widownię. Z korytarza były drzwi do innych cel.

- Jak wielkie są te koszary? - spytała.

- Mieszczą jakieś trzy setki ludzi, przeważnie mniej. Ostatnio składano niewiele *munera* i do wiosny nie planuje się żadnych walk, więc nie wydaje mi się, żeby przebywało tu więcej niż stu ludzi.

- *Munera*?

- Ofiary z gladiatorów.

- Ofiary...? Tak się to nazywa?

- Są ofiarowani dla uczczenia pamięci zmarłego.

- I to raduje jego ducha?

- Nie wiem - powiedział Aquila. - Jestem dobrym Grekiem, a Grecy nie mają sprecyzowanych poglądów na życie po śmierci. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co o tym myślę, chociaż pewnie o tej porze nie za bardzo cię to obchodzi, to Rzymian zupełnie nie interesuje, ilu niewolników zabijają. Po prostu lubują się w krwawych widowiskach.

Jeśli chodzi o Cezara, to *munera* posłużyły mu tylko do jednego. Cały Rzym przekonał się, z jakim niezwykłym zdobywcą ma do czynienia. Stracono wszystkich więźniów, którzy okazali się na tyle odważni, buntowniczy lub inteligentni, by sprzeciwić się woli dyktatora. Ci, którzy ugięli się pod jarzmem, przeżyli. Co do

reszty... no cóż, jeśli wymordujesz odpowiednio wiele młodzieży jakiegoś plemienia, to rzymscy poborcy podatków długo będą mieli z nim spokój.

Zatrzymali się u dołu schodów i Aquila zastukał do drzwi małego rzymskiego domu. Otworzyła kobieta.

- Oto ona - rzekł Aquila, lekko popychając Dryas do środka.

Kobieta wciągnęła Dryas do kuchni. W kącie na ruszcie gotowała się owsianka. Dym ulatniał się przez dziurę w dachu.

Kobieta była ładna, chociaż jej uroda nieco przybladła. Latynka o ciemnych kręconych włosach, oliwkowej karnacji i pełnych kształtach.

- Och, nie - powiedziała do Aquili, który wszedł za Dryas. – Co sobie wyobraża ta pani Fulwia? Spodziewałam się jakiejś wywłoki, cyrkówki, a to dama.

- Uważaj, co mówisz, Marcjo. Jej łacina jest bardzo dobra, lepsza niż większości pedagogów. Umie również czytać i pisać.

- Na Junonę, królową bogów, nie może zostać w tej dziurze na piętrze, obok zbrodniarzy i nie wiadomo kogo. - Marcja była bardzo poruszona. - Chodź, skarbie. - Wzięła Dryas za rękę i zaprowadziła ją za zasłonę i drewniane przepierzenie. W latrynie był drewniany sedes. Obok, w wiadrze z brązu, znajdowała się woda, a na patyku wbitym w ścianę sterczała gąbka. Po drugiej stronie stał stół z miednicą pełną parującej wody. Druga gąbka, tunika i para sandałów wisały na oparciu krzesła.

Zażenowana Marcja wskazała na gąbkę na ścianie.

- Ta jest...

- Rozumiem - powiedziała Dryas. - Z octem?

- O, tak - odparła Marcja. - Nie spodziewałam się, ale dobrze działa. Zostaw tu swoje ubranie. Wypiorę je. To twój miecz? Aquila powiedział, że tak, ale nie spodziewałam się, że kobieta...

- Kobiety mojego plemienia noszą miecz i ja również. Tak być powinno. Dostałam go od mojego nauczyciela, kiedy dorosłam.

Marcja pomachała rękami.

- Rozumiem, rozumiem. Nie, nie rozumiem. Jesteś damą. Aquila powiedział, że dobrze urodzoną...

Dryas uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Teraz to chyba bez znaczenia.

Marcja zostawiła Dryas, aby mogła się obmyć. Kiedy Dryas korzystała z latryny, myła się i ubierała, słyszała ich rozmowę.

- Co ona myśli? - spytała Marcja.

- Nie wiem. Dlatego wciąż tu jestem - powiedział Aquila. - Przysięgłem sobie, że zostawię ich w Messenie, ale okazała się kimś innym, niż się spodziewałem. Marcjo, ona zabiła sześciu ludzi, a Lidiusz przysięga, że widział, jak wilk odwiedził ją nocą.

- Jak ona to wyjaśnia? - spytała Marcja.

- Powiedziała, że to przyjaciel.

Marcja zamilkła.

Dryas skończyła się ubierać i wróciła do kuchni. Marcja podała jej miskę kaszy gotowanej na mleku i podplomyk. Aquila wyszedł.

Dryas jadła szybko. Marcja zajęła się kuchnią, ale obserwowała ją kątem oka. Dryas właśnie kończyła, kiedy wrócił Aquila.

- Czas iść - rzekł. - Masz się stawić o świcie. To jej rozkaz. Nie chce, żebym ci towarzyszył. Na dworze czeka lektyka...

Marcja wyszła i wróciła z obszerną wierzchnią suknią noszoną przez kobiety, *pallą*.

- Masz, bo inaczej przeziębisz się na śmierć. - Otuliła Dryas.

Lektyka stała na ziemi przy bramie. Nadal panował mrok. Dryas rozsunęła zasłony i usiadła na poduszkach. Aquila, wyraźnie zawstydzony, założył jej na kostkę u nogi łańcuch, który przytwierdzono do jednej z kolumnienek.

- Muszę - powiedział tylko, zasuwając zasłony.

Potężnie zbudowany mężczyzna podążył konno obok lektyki. Kiedy Dryas spróbowała wyrzeć na zewnątrz, warknął:

- Nie wolno.

Lecz Dryas co nieco zobaczyła, chociaż w niczym jej to nie pomogło. Dostrzegła jedynie ciemne budynki z zamkniętymi okiennicami, wąskie ulice i pochodnie konnej eskorty oświetlające gładkie mury lub zamknięte okna i drzwi.

Na wschodzie przejaśniało się, gdy dotarli do amfiteatru obok rezydencji Bazylich. Rozkuto Dryas i zaprowadzono ją pośpiesznie do tunelu, biegnącego do celi. Stała przy oknie, przyglądając się, jak wstaje dzień. Drzwi były zaryglowane.

W rosnącym blasku dojrzała na ławie przy ścianie gliniany dzban i kubek. Usiadła i naląła płynu do kubka. Znów posca. Miała dreszcze mimo *palli*. Było tak zimno, że napiła się ciepłego wina.

Poczuła dziwny spokój. Była pewna, że niebawem umrze. Czy przydarzy się okazja zabrać ze sobą Cezara? Wilk nie obiecał, że uda się za nią, ale niewykluczone, że to zrobił. Mógłby się teraz przydać. Oparła się o ścianę i niewzruszona czekała na to, co miało nadejść.

Oktus obudził Filona o tej samej porze, o której przybyła Dryas. Filon wstał i zaczął się ubierać.

- Będziesz jej potrzebny - powiedział Oktus. Wyglądał na wyczerpanego.
- Co się stało?

Oktus wsparł się plecami o bieloną ścianę pokoju Filona.

- To była zła noc. Ledwo pani się zjawiała, zaczęła tłuc wszystko, co jej wpadło w ręce. Wszystkie pokojówki są zapłakane, przynajmniej te, które nie dostały hysterii. Firminiusz zamknął się w sypialni. Nawet Antia jest bezsilna.

- Antia? - powtórzył pytająco Filon.
- Tak, garderobiana. Zwykle kiedy się wścieknie, słucha tylko jej i Firminiusza.

- Nie próbowałeś zbudzić Arista?

- Nie oszalałem do końca. Myślisz, że chcę skończyć w łoży odźwiernego, przykuty do ściany?

- Nie wydaje mi się, żeby cię to czekało. On cię lubi.

Uśmiech Oktusa był nieco wymuszony.

- Tak? Rzadko okazuje jakiegokolwiek uczucia. Naprawdę nie byłem pewien.

- Lubi cię, bardzo. - Filon położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

- Nie wydaje mi się, żebyś obecnie miał się czego obawiać.

- W każdym razie mój dobroczyńca potrzebuje snu. Nie sądzę, żeby budzenie go było rozsądnym posunięciem. Pani rozbiła szklaną wazę na głowie Firminiusza i cisnęła lusterkiem w Antię. Antia zachowała spokój. Uchyliła się, ale Firminiusz uciekł z wrzaskiem. Był boso i rozciął sobie stopę na szkle. Nie zranił się

głęboko, ale zostawił krwawe odciski w całej sypialni, atrium i korytarzu. To chyba jedyne straty. Ale pani przysięga, że rano sprzeda wszystkich.

- Nie mówi poważnie.
- Nie, pewnie nie, gdyż inaczej obudziłaby samego Arista.

W każdym razie masz przygotować jakichś nowych gladiatorów na prywatny pokaz w jej amfiteatrze, który odbędzie się tego przedpołudnia.

- Świetnie - rzekł Filon. - O co ten cały gniew?

Oktus uniósł brwi.

- Nie wiem. Zjawiała się, zobaczyła Macera i Afera w łoży odźwiernego i posłała po Firminiusza. Antia i pozostałe dziewczęta pomagały się jej rozebrać. Przyszedł Firminiusz, one wyszły. Antia była jej zaufaną piastunką, więc została. Potem Firminiusz wrzeszczał i uciekał, podobnie Antia, a ona tłukła, co jej wpadło w rękę.

- Powinieneś mnie obudzić. Dałbym jej środek uspokajający - powiedział Filon.

- Powinieneś zapłacić mi za ochronę. Przeklinała między innymi ciebie. Strzeż się tego nowego gladiatora. Kupiła go w Galii i według mnie pani ma nadzieję, że ty będziesz jego pierwszą ofiarą. W każdym razie chce, żeby Cezar przekonał się, jaką gwiazdę zdobyła, bo kazała przygotować dzika.

- To gladiator czy *bestiarus*? Wiesz, różnią się. Jedni walczą z ludźmi, drudzy ze zwierzętami - spytał Filon.

- Jeśli się różnią, to nie w moich oczach, Pilonie. Ja widzę tylko potężnych morderców, przerażające zręczne monstra. Dotyczy to nie tylko ludzi, ale i zwierząt, z którymi tamci mają do czynienia. Czasami trudno dostrzec różnicę między nimi. Mam go obudzić?

- Tak - rzekł Filon. - Jeśli Cezar naprawdę ma się zjawić, to spodziewa się powitania ze strony głowy domu, choćby ze względu na formy. Nasza kruszynka musi bardzo zważać na swoją reputację.

Oktus zauważył, że Filon twarz ma sztywną z obrzydzenia.

- Zaraz go obudzę.
- Nie przejmuj się, jeśli...

Oktus pokręcił przecząco głową.

- Nie, nigdy nie okazał wobec mnie gniewu, najmniejszego zniecierpliwienia, nic.

Filon skinął głową. Wiedział, dlaczego tak jest - Lucjusz poczuwał się do ogromnej winy wobec Oktusa. Lojalność, którą sługa okazał Sylwii, powinna być nagrodzona, ale kiedy matka umarła, Lucjusz odbywał służbę wojskową w Galii i nie zastanawiał się nad losem jej służących.

Oktus poszedł obudzić Lucjusza, a Filon udał się do zbrojowni i wziął ubranie, kolczugę i włócznię. Niewolnik zbrojmistrz wydał mu wszystko bez słowa.

Niebo było już jasne, słońce dopiero wstawało. Filon oparł włócznię o mur, zawiniątko z ubraniami przerzucił przez ramię, otulając się szczelniej płaszczem. Było zimno. Z niedalekiego pomieszczenia rozległy się kwiki i mknnięcia. Filon zdawał sobie sprawę, że sładzy torturami doprowadzają zwierzę do szaleństwa, aby walka była interesująca. Przeszedł go dreszcz, kiedy przypomniał sobie, co z nim samym wyczyniali ludzie Antoniusza.

Dziki były najokrutniejszymi zabójcami, więc zachował współczucie dla człowieka. Jeden błędny krok podczas walki z takim stworzeniem i pada się bezradnie na piasek, wijąc w bólu.

Filon poznał dobrze tak gladiatorów, jak i *bestiarii*, i nie obawiał się jednych ani drugich. Przeciwnie, okazali się pacjentami zdolnymi do okazania wyjątkowej wdzięczności. Zarówno jeńcy wojenni, jak i kryminaliści to nieszczęśnicy, jakich świat nie widział. Pierwsi zostali uznani za niewartych wystawienia na targach niewolników, drudzy wywodzili się z najbiedniejszych warstw społecznych Rzymu. Większość, oczywiście nie wszyscy, była niesłychanie wdzięczna za najmniejszy przejaw dobroci. Garstka, która żywiła nienawiść do całego świata, nie żyła długo.

Ten z pewnością nie nienawidził świata. Wydawał się bardzo drobny, kiedy siedział w milczeniu, patrząc przez kratę na arenę. Jego szczupła postać była w głębokim cieniu. Potężny strażnik stał przy zaryglowanych drzwiach. Otworzył je, przepuszczając Filona. Na brzęk żelaza osoba na ławce odwróciła się i Filon zdał sobie sprawę, że ma przed sobą kobietę.

Oktus obudził Lucjusza i powiedział mu, że jego siostra wróciła nocą.

- Przykro mi, że jej nie przywitałem - rzekł Lucjusz.
- Oczywiście - powiedział Oktus i zaczął przygotowywać golenie.

- Och, nie - zajęczał Lucjusz i ruszył z powrotem do ciepłego łóżka.
- Cezar przybywa - oświadczył Oktus.

Lucjusz wytoczył się na dziedziniec. Usiadł na krześle wysuniętym poza krużganki. Światło było wyraźne. Oktus golił pana domu. Alia przyniosła togę i wełnianą tunikę.

- Co ja robię takiego, że muszę ubierać się w wełnę? - spytał Lucjusz.
- Uczestniczysz, panie, w *munera* z Cezarem, Antoniuszem, Kleopatrą i twoją siostrą. Sprowadziła mu nowego gladiatora, z Galii.

Lucjusz szepnął coś pod nosem, a potem równie cichym głosem połączył z tą czynnością Cezara i Antoniusza, sugerując, że robią to ze sobą, zamieniając się rolami.

Oktus cofnął się ze skrobaczką w dłoni.

- Panie...
- Wiem, wiem - powiedział Lucjusz. - Mam nic nie mówić i trzymać głowę wysoko.

Oktus wrócił do swojego zajęcia. Lucjusz z pewnym niepokojem zauważył, że dłoń służącego drży, ale jak na dobrego sługę przystało, ogolił Lucjusza w jednej chwili, uczesał go, napomadował włosy i zaraz potem ułożył na nim togę z purpurowym obramowaniem. Lucjusz zauważył, że kiedy nieszczęśni Kastor i Polluks wkładali na niego togę - strasznie ciężko nosiło się to diabelstwo - wciąż się z niego osuwała, lecz spod rąk Oktusa wychodziła tak ułożona, że nawet huragan nie był w stanie jej zburzyć.

Wyszykowany należycie udał się za Oktusem do atrium. Towarzyszył mu Odcięte Ucho, jak zwykle małomówny.

- Musieć widzieć walka - powiedział tylko.

Pojawili się Cezar i Antoniusz, ten drugi przeklinał pod nosem. Ujrawszy Lucjusza, spytał:

- Ten twój grecki medyk ma pretensje? Bo jak ma, to znam sposób na wyleczenie niewolnika z pretensji.
- Filon nie jest niewolnikiem - rzekł Lucjusz.
- To prawda - wtrącił Cezar. - Jest obywatelem rzymskim i ma prawo nosić togę jak ty, Marku Antoniuszu, i głosować na zgromadzeniu ludowym.

Antoniusz zrobił kwaśną minę, a potem rzekł z irytacją:

- Nie wiedziałem, że już to zrobiłeś.
- Zrobiłem - potwierdził Cezar i uśmiechnął się do niego.
- W takim razie chyba powinienem mu zapłacić, ale sprowadźcie go, bez względu na to, kim jest - stęknął Antoniusz. - Mam najgorszego kaca, od kiedy Atena wyskoczyła z głowy Zeusa. Odnoszę wrażenie, że mój język leżał w kadzi garbarza przez dwadzieścia lat. Oczy mam na patykach jak langusta. Przysięgam na grób mojego ojca, że wystają mi na grubość kilku palców. Jak nie Filon, to niech ktoś inny okaże mi litość. Dajcie mi coś do picia. Oktus skłonił się Lucjuszowi i rzekł cicho:

- Filon jest u nowego gladiatora, ale jeśli sobie życzysz, panie, to wiem, gdzie medyk trzyma większość leków. Mogę przynieść temu szlachetnemu panu...

- Tak, tak - przerwał mu Antoniusz. - Nawet jeśli się pomylił, to przynieś mi coś, co zabije mnie od razu. Lepsza śmierć niż przedłużanie tych mąk; światło dnia mnie rani. Mówię ci, rani.

Pojawiła się Kleopatra, świeża i pełna energii. Na widok Antoniusza parsknęła szyderczym śmiechem.

Fulwia zachowała się bez zarzutu. Ostentacyjnie pocałowała Lucjusza w policzek i uściskała Cezara.

- Mój drogi przyjacielu, musisz zobaczyć, co mam dla ciebie. - Następnie ucałowała się z Kleopatram.

Oktus powrócił z pucharem. Podał go Lucjuszowi, skłonił się i wyszedł. Lucjusz zajrzał do naczynia. Płyn miał taki sam wygląd i zapach jak lekarstwo Filona na kaca. Podał puchar Antoniuszowi.

- Pójdźcie - rzekła Fulwia. - Zobaczcie mój nowy ćwiczebny amfiteatr.

Filon nie mógł oderwać od niej wzroku.

Podeszła do niego, a on podał jej trzy oszczepy. Obejrzała je krytycznie. Miały różny kształt. Jeden odłożyła od razu. Nawet Filon dostrzegł, że miał luźną tuleję. Z dwoma pozostałymi podeszła do światła. Jeden uznała za zadowalający, przy drugim oświadczyła: „Tępy”, ale zaczęła trzeć ostrze o brzeg kamiennej ławy. Dobra stal węglowa szybko zyskała na ostrości. Kobieta ostrożnie sprawdziła kciukiem efekt swojej pracy.

- Do golenia się nie nadaje, ale wystarczy. Co to ma być, człowiek czy zwierzę? - spytała Filona.

- Myślę, że dzik.
- Świetnie, dzik. Dobrze, że Fulwia nie ma zbyt wysokich wymagań, prawda? Trzy oszczepy, jeden z luźną tuleją, zupełnie do niczego. Pozostałe bez jelca.

- Jelca...? - powtórzył, chociaż myślenie przychodziło mu z trudnością.
- Tak - powiedziała. - Dzik nabija się na oszczep i dopada tego, kto go trzyma, czy w tym wypadku tę. - Coś na kształt uśmiechu zadrgało na jej ustach.
Dodała: - Zamknij buzię albo coś ci w nią wpadnie. Co tam jeszcze masz, jakąś broń?

Podał jej *subligaculum* i kolczugę.

Podniosła kolczugę i obejrzała pod światło. Była przepiękna, ze srebrnych kółek. Pod szyją i na dole - co było raczej umownym określeniem, jako że kończyła się tuż pod biustem - ozdobiono ją dużymi, błyszczącymi kamieniami.

- Piękna i skuteczna. Ślimak by jej nie przebił - oświadczyła kobieta. - Jeśli ten dzik mnie obali, nawet nie zdążę się zakrzusić, a przekłuje mnie kłami. A to co?

Subligaculum uszyto ze szkarłatnego jedwabiu. Było nieco bardziej skomplikowane niż zwykła opaska biodrowa. Miało pasek z dużych płaskich i złotych ogniw. Jedwab opadał na pośladki, zakrywając je skutecznie, a potem wracał między nogami i zasłaniał dolną partię brzucha. Z boków były uchwyty do paska.

- Wygląda na to, że ktoś nie żałował pieniędzy – skomentowała cynicznie Dryas.

- Sprawdzę, czy nie znajdę lepszego oszczepu - powiedział Filon. Pośpieszył do drzwi. Okazało się, że są zamknięte, a strażnik znikł. Odwrócił się do Dryas z wyrazem kompletnego rozczarowania na twarzy. — Jesteśmy uwięzieni.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Nie rób takiej miny, jakby uwięziono cię z lwicą.

Wybełkotał... nie wiadomo co. Potem nie mógł sobie tego przypomnieć.

Roześmiała się, po czym obejrzała dokładnie kratę.

- Podnoszona z zewnątrz?

Filon skinął głową.

- Widzowie? - spytała, wskazując na podium po drugiej stronie areny.

- Tak - powiedział Filon. Rozpoznał Fulwię, Antoniusza, Lucjusza, Kleopatrę, Cezara i Odcięte Ucho.

Było tam bardzo jasno. Nad podium odsunięto markizę. Słońce weszło i siedzenia po prawej stronie oraz piasek lśniły w kwadracie żółtego światła.

- Odwróć się - rozkazała.

Filon powoli zaczął się cofać, nie spuszczając z niej wzroku.

- Drzwi są zamknięte - usprawiedliwił się. - Nie mogę wyjść.

Wyszedłbym, gdyby się dało.

- Bum! - powiedziała.

Odskoczył dwa kroki.

- Odwróć-się-chcę-się-rozebrać - rzekła powoli i wyraźnie.

- Och, och, ooch. - Ostatnie „och” wyrażało ulgę. Odwrócił się do ściany. Za sobą usłyszał szelesty.

Z areny dobiegły go odgłosy: głośnie wachanie, parsknięcia, tupot racic na glinie przysypanej piaskiem, a potem łomot o kratę. Odwrócił się szybko.

Dzik drugi raz uderzał ryjem i szablami o żelazną kratę. Na bogów nieśmiertelnych!, był wielki, cuchnął moczem i posoką, bo posługacze go drażnili, a ci, którzy wcześniej się nim zajmowali, bali się go i trzymali w brudnej klatce.

Stworzenie otworzyło wielki psyk i pokazało zęby, gorsze niż kły po obu stronach ryja, długie, żółte i groźne. Zaryczało i uderzyło kłami o kratę. Skórę miało czarną, ryj owłosiony, szczecinę na grzbiecie zjeżoną.

Dryas przyglądała się mu ze spokojem i trąciła je w bok oszczepem. Znów rzuciło się na kratę, kwicząc i rycząc. Filon przez chwilę spodziewał się, że żelazne pręty pękną niczym wyschnięte gałązki.

Z góry rozległy się krzyki i poleciały małe włócznie, odciągając zwierzę od kraty.

Filon był przerażony.

- To stworzenie... to stworzenie cię zabije. - Ledwo zauważył, że Dryas się przebrała.

Uśmiechnęła się do niego uroczo i łagodnie. Kiedy pozbyła się bezkształtnej tuniki, okazała się piękna i na zawsze zapamiętał jej wdzięczną postać w przykrótkiej kolczudze i przepasce na biodra. Miała długie, szczupłe nogi - krępe u większości kobiet Latynów - umięśnione łydki, wąskie kolana, pięknie rozwinięte uda. Wysmukłe

biodra, niemal jak u dziewicy, płaski, ale ukształtowany brzuch, aksamitną skórę. Wysokie piersi sterczały na tyle, że odsuwały kolczugę od brzucha. Pięknie rozwinięte ramiona, proporcjonalne jak nogi, silne, ale nie ciężkie - niczym liny wplecione w okrętowe wielokrążki, okazy nieugiętej mocy, sprężyste i pewne.

Dzik obiegnął arenę i znów znalazł się przy bramie. Krata szła w górę, coraz szybciej.

- Nie! - krzyknął Filon. - Nie!

- Lepiej wyjdę, bo inaczej on tu wpadnie i zabije nas oboje - powiedziała łagodnie. Schyliła się, jak błyskawica przemknęła pod kratą i stanęła naprzeciw dzika.

Zaszarżował. Dryas była teraz sama i otaczała ją cisza. Pobiegnęła w prawo, tak że dzik szarżował prosto na nią. Przez krótką chwilę słońce oślepiło ją, ponieważ uniosło się nad wschodnią ścianą amfiteatru. Kiedy zobaczyła dzika, był tuż-tuż. Poczula kły na kostce u nogi i wbiła prawy oszczep w bok zwierzęcia. Chrząknął, ale nawet nie zwolnił biegu. Zawrócił; Dryas nie wypuściła drzewca, zatoczyła łuk w powietrzu, wykorzystując ruch dzika, a potem nagle puściła oszczep, który pozostał w zakrwawionym boku.

Teraz zwierzę ustawiło się pod słońce. Dryas przerzuciła oszczep z lewej ręki do prawej.

Na trybunie Lucjusz nadal konstatował fakt, że ogląda kobietę. Kiedy chmura piasku zakryła ją i dzika, a zwierzę pochyliło łeb, chcąc nadziać swoją ofiarę na kły, Lucjusz zerwał się na równe nogi i krzyk zamarł mu w gardle. Usłyszał obok siebie głos Cezara:

- Tak szybko. Wielka szkoda. Liczyłem na dłuższą walkę.

Nagle ujrzał, jak oszczep wbija się w bok dzika, a ona nie tracąc równowagi odskakuje w bok.

Była niemal dokładnie poniżej podium.

- Na Bachusa, kobieta! - zaryczał Antoniusz. - Sto złotych monet na dzika.

- Przyjmuję! — wrzasnął Lucjusz.

- I ja! - krzyknął Cezar.

Tym razem dzik rozminął się z przeciwniczką, oślepiony słońcem, ale drugi oszczep prześliznął się po żebrach zwierzęcia, padając na piasek, i Dryas była bezbronna.

Dzik przystanął na chwilę, robiąc ciężko bokami. Krew sikała z rany na biodrze. Nadal ciągnął za sobą oszczep i Dryas zauważyła, że toczy z pyska czerwoną pianę. Drugie pchnięcie, pozornie nieskuteczne, musiało przebić płuco.

Ale zwierzę było dalekie od śmierci. Dryas znów zrobiła zwód w lewo. Ono za nią. W prawo. Stworzenie jakby przewidywało jej ruchy.

Dryas wybiła się w powietrze jak akrobata, zrobiła salto, opadła na ręce tuż za ogonem zwierzęcia, i stanęła na środku areny.

Dzik odwrócił się z nieprawdopodobną zręcznością, bardziej przystającą gronostajowi czy łasicy niż dzikiej świni, i rzucił się do kolejnego ataku.

Lucjusz usłyszał, jak Antoniusz sapie z podziwem. Cezar śmiał się. Ale dzik był morderczym przeciwnikiem i Lucjusz ogromnie bał się o kobietę. Pochylił się nad żelaznym ogrodzeniem, zaciskając dłonie na prętach.

Dryas porwała oszczep i ku zgrozie Lucjusza przyklęła na jedno kolano przed szarżującym dzikiem. Wiedział, co zamierzała. Sam w ten sposób rozprawił się z maciorą, dawno temu, kiedy wbito mu własny miecz w plecy.

- Nie, nie rób tego - szepnął. - Rozorałaś mu płuco. Za chwilę nie będzie mógł oddychać i zdechnie. - Wiedział to równie dobrze jak ona.

Dryas wbiła oszczep w żebra atakującego stworzenia, ale parło dalej, rozwarłszy pysk, żółte kły lada chwila miały rozerwać jej bark i szyję. Odskoczyła w tył, ale zapomniała, gdzie się znajduje, i uderzyła ciałem o kamienną bandę.

Rozdziawiony psyk zamknął się na jej kostce u nogi, ale była w ruchu, odbiła się dłońmi od grzbietu zwierzęcia, przeskoczyła na drugą stronę. Krew lała się ze zranionej nogi i Dryas wylądowała na piasku, opierając się na lewej ręce.

Dzik zawrócił, nadal rozdziawiał ryj, kły trzymał opuszczone.

Wykończy mnie - pomyślała. - Zginę.

Ręka pośliznęła się jej na piasku i Dryas rozłożyła się jak długa, patrząc w ślepią zwierzęcia.

Zrobiło jeden krok. Drugi i trzeci. Wbiła mu oszczep w ciało. Za-rzeziło, zagulgotało i padło, zginając nogi. Dryas powstała.

Poczuła, że cała drży, ale ludzie na podium nie mogli tego dostrzec.

Dzik znów zarzęził, kiedy Dryas cofała się od niego, po czym rzygnął jasną posoką na piasek. Dopiero wtedy zdechtł.

Dryas spojrzała na lewą dłoń. Zdarła sobie skórę i krwawiła w tym miejscu. Dzik zadrasnął ją w nogę. Żadna z ran nie była poważna.

Z tyłu usłyszała podnoszoną kratę. Brzęczały pracujące łańcuchy.

Antoniusz opadł na siedzisko.

- Co za walka! - Wskazał na Dryas. - Ale nie powiecie mi, że to kobieta. To po prostu niemożliwe. Nie, nie uwierzę w to, nawet gdyby wszystkie westalki w Rzymie przysięgły, że nie mam racji.

Dryas wpatrywała się w nich, lekko odchyliwszy głowę do tyłu. Lucjusz nie dbał o to, że nie patrzy na nich życzliwiej niż na dzika. Odwróciła się i poszła do otworu poniżej kraty. W jasnym świetle dnia tunel wyglądał niczym gardziel jaskini.

Zanim tam znikła, odwróciła się, zdarła z siebie kolczugę i cisnęła ją na piasek. Zrobiła to samo ze szkarłatną przepaską biodrową i ukazała się im naga.

Lucjusz poczuł suchość w ustach i był zadowolony, że ma na sobie togę. Nagle zdał sobie sprawę, że stracił ją z siebie w którymś momencie, podniecony walką. Ale tak się złożyło, że nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na stan jego duszy i ciała.

Antoniusz fuknął jak dzik. Natomiast Cezar rzekł:

- Mam wrażenie, że stoi przed nami kobieta. Tak. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości!

21

Nie miał pojęcia, że może ich być tak wielu. Nigdy nie widział równie ogromnych mas. Jak zdobywali pożywienie? Jakim cudem nie wpadali w obłąd? Tłok był niesłychany i rozumiał, czemu mają zupełnie stępione zmysły. Miasto przesycęła taka mnogość zapachów, że Maeniel ledwo mógł zebrać myśli. Mimo że dysponował teraz ludzkim umysłem, nie potrafił jednocześnie ogarnąć tak wielkiej ilości informacji.

Siedział w lektyce, a stękający tuzin tragarzy cuchnął potwornie strachem i potem spod pach i z kroczy. Bali się, gdyż byli ludzkimi zwierzętami pociągowymi, za którymi podążał nadzorca z długim biczem w dłoni. Lektyka należała do Amboruksa. Gdy któryś tragarz potknął się lub zwolnił, bicz szedł w ruch. Poprzednio Maeniel zauważył, że mają czerwone opuchlizny na różnych częściach ciała. Teraz wiedział, skąd się wzięły.

Lektyka oczekiwała go w Ostii, kiedy zszedł ze statku. Nie miał pojęcia, jak Blaze przekazał wiadomość Amboruksowi, ale w porcie czekało kilku galijskich strażników i lektyka. Maeniel wszedł do środka z czterema workami ze złotem, zastanawiając się, co poruszy to krzesło z zasłonami. Teraz wiedział. Ale dźwigający go ludzie męczyli się okropnie, w związku z czym męczył się również on.

Hałas był ogłuszający. Okrzyki ulicznych sprzedawców mieszały się z kłótniami klientów jadłodajni, siedzących w ogródkach. Słyszał zamieszanie i gwar, nieustanny potok ludzkiej mowy, tupot nóg, skrzypienie wózków, łomot młotów i drapanie kielni, kiedy mijali miejsce budowy. Wszechobecne wonie jadłodajni, winiarni, masarni pełnych mięs i kiełbas, piekarni, smrody wodociągów, uryny, kału, gnijących szczątków drewna, śmieci, zgnilizny i rozkładu niemal oszołomiły jego zmysły.

Trzask!, trzask!, trzask! Tragarze przeszli do biegu, kiedy wkroczyli na Forum. Nie wierzył, że zdołają poruszać się szybciej, ale zachęceni biczem nadzorcy wykrzesali z siebie resztkę sił. Strażnicy rozepchnęli tłum, kiedy mijali mównicę.

Lektyka skręciła na dziedziniec otoczony kramami. Zasiadali w nich mężczyźni chronieni przez potężnych gladiatorów i mastyfy na łańcuchach. Zauważył z niepokojem, że psy to osobniki używane do polowań na wilki.

Tragarze stawiali lektykę.

- Delikatnie! - ryknął nadzorca i znów rozległ się trzask bata. Kiedy krótkie nogi lektyki dotknęły kocich łbów, wilk nawet nie poczuł wstrząsu.

Wysiadł przed największym kramem. Okiennice, wzmacniane żelazem, były otwarte, a właściciel siedział obok kosza z płonącymi węglami. Był to ascetycznie wyglądający łysy Grek o imieniu Dofanes. Polecili go Blaze i Amboruks.

Maeniel sięgnął po worki ze złotem i położył je na stole przed bankierem. Wybiegli dwaj pomocnicy i zaczęli pomagać w liczeniu. Kiedy dostrzegli, że jest tam wiele innych monet poza rzymskimi aureusami, wzięli się do ich rozdzielania i przynieśli wagę.

Maeniel wsunął rękę do sakiewki i podał nadzorcy dwie sztuki srebra, nakazując mu kupno jedzenia dla siebie i swoich ludzi. Polecił zadbać również o tragarzy, gdyż mimo chłodu byli spragnieni i wyczerpani. To była wielka kwota dla ludzi przywykłych do oglądania miedziaków.

Dwaj strażnicy wysłani po zakupy niebawem wrócili objuczeni bochnami chleba z kiełbasą, cebulą i nasionami pinii; czterema dzbanami wina; kurczakami, bekasami i młodymi gołąbkami; pieczonymi kiełbasami i glinianym garem z wieprzowiną duszoną w moszczu winnym, cebuli, rzemie i marchewce.

Wszyscy siedli tam, gdzie stali, i rzucili się najadło, podczas gdy Maeniel, ostrzeżony wcześniej przez Blaze'a i Mira, nie spuszczał oka z pieniędzy, pilnując, czy nie jest oszukiwany.

Przyodział się w togę i w tunikę. Nie miał prawa do takiego stroju, gdyż nie był obywatelem rzymskim, ale z drugiej strony, do jakiego ludzkiego plemienia zaliczyć wilkołaków? Był równie dobrze Rzymianinem, jak Galem czy Germaninem.

Niewolnicy, którzy w myślach przeklinali go od Ostii, może nie zaczęli go błogosławić, ale spoglądali na niego znacznie przychylniejszym wzrokiem.

Kiedy skończono ważyć i liczyć, Maeniel przekonał się, że jest bogatym człowiekiem, nawet wedle rzymskich standardów. Jednak nie zaprowadzono go do willi Amboruksa, lecz do domu Maniliusza i Feleksa. Odmówił zajęcia miejsca w lektyce i przeszedł całą drogę pieszo. Wprawiał swoich strażników kolejno w zażenowanie, irytację i wściekłość, ponieważ chciał zobaczyć wszystko.

Przystanął przed kramem masarza i próbował każdej kiełbasy, po czym wtoczył się do tawerny, której właściciel i jakaś kobieta wykorzystywali w niezwykle sposób blat. Mężczyzna zadarł wysoko tunikę, kobieta uczyniła podobnie ze swoim

przebraniem, ale oburzeni strażnicy zauważyli, że miała na sobie strój szanującej się mężatki, *stołę*.

Strażnicy już mieli wyprowadzić z pośpiechem Maeniela, kiedy mężczyzna zeskoczył z wrzeszczącej kobiety, porwał z pieca gar z zupą i cisnął nim w przybyszów.

Maeniel w ostatniej chwili uniknął przemiany. Uświadomił sobie, że staje się wilkiem, i w tej samej chwili przywołał postać ludzką, i wszystko to, kiedy cował się pod stołem. Strażnicy rozpierzchli się we wszystkich kierunkach, kobieta również rzuciła się do ucieczki. Część zupy chlusnęła niebezpiecznie blisko niej. Wywar zawierał sporą ilość tłuszczu, który mógł wywołać dotkliwe oparzenia.

Kobieta odwróciła się przy drzwiach, obsypując przekleństwami kochanka. Strażnicy wypełzli z kryjówek, większość spod stołu, podobnie jak Maeniel; jeden złapał się belki u powały, dwaj inni wrócili z ulicy.

Maeniel musiał bronić nieszczęśliwego oberżysty przed strażnikami, którzy chcieli go utopić, a przynajmniej zanurzyć w garze z wrzątkiem. Kobieta dołączyła do nich; nie mogła wybaczyć mu zupy. Rzuciła się na kochanka z zębami i paznokciami, gdyż nie miała innej broni.

Zebrawi się sąsiedzi, niesłuchanie rozbawieni całym wydarzeniem.

Maeniel zauważył potężnego mężczyznę pędzącego wprost na niego. Wyglądał na małżonka niewiasty. Tłum się rozpierzchł. Nacierający mąż był najwyraźniej postrachem całej okolicy.

Nie wiedzieć czemu nabrał przekonania, że to Maeniel obraził jego żonę, a właściciel tawerny bronił jej czci. Wielkolud był uzbrojony w miecz.

Zarówno Maeniel, jak i strażnicy, hołdując maksymie, iż lepiej być przezornym i żywym niż mężnym i martwym, popędzili za tragarzami.

Kiedy zebrawi się kilka ulic dalej, Maeniel zażądał wyjaśnień. Strażnicy przeplatali je przekleństwami, z których część była trudna do przetłumaczenia, a którymi Maeniel okazał głębokie zainteresowanie. Był świadom intymnego charakteru miłostnego zbliżenia, jak i tego, że ludzie nie lubią, kiedy im się go przerywa, lecz nie miał pojęcia, czemu zacny strój tamtej niewiasty wywołał takie wzburzenie w owej sytuacji. Zostało mu to dokładnie wytłumaczone. Zażądano również obietnicy, iż zachowa większą powściągliwość w swych badaniach.

Dotrzymał jej, odbijając od swego orszaku tylko po to, by kupić chleb ze smakowitą miodną polewą w ilości wystarczającej dla całego towarzystwa. Szli dalej, jedząc i popijając.

Zatrzymał się i kupił niezwykle nakrycie głowy. Była to wielka kapusta, której liście podwiązano u góry, służyła za kapelusz słoneczny. Kiedy słońce paliło twarz, uszy, kark, rozwiązywano niektóre liście.

Widok tej ozdoby głowy na tyle rozbawił eskortę, że pokładała się ze śmiechu i nawet tragarze, najbardziej udręczeni z całej ekipy, zdobyli się na uśmiechy i chichoty.

Natychmiast spoważnieli, kiedy Maeniel mało nie wzbudził zamieszek na Forum, rzucając srebro dzieciakom tańczącym do muzyki fletu.

Od tej pory poganiano go żwawiej, aż całe towarzystwo dotarło do domu Maniliusza i Feleksa na Palatynie.

Do środka wprowadził ich piękny młodzieniec, przebrany za niewiastę. Miał płomieniście kasztanowe włosy, makijaż, a spowijały go zielone jedwabie i obłoki perfum.

- Ładny strój - rzekł z podziwem Maeniel.
- Tak, zielony to mój kolor - zamruczał jak kotka i poprawił niezwykle kunsztowną fryzurę pełną loczków i zwieńczoną diademem.

Zaprowadził Maeniela do perystylu, w którym około ośmiu dam i dziesięciu mężczyzn, wszyscy mniej bądź bardziej rozebrani, przechadzali się między świeżymi kwiatami i ozdobnymi roślinami.

Były tam wczesne róże, irysy, paprocie, lilie białe i różowe, fiołkowo-różowe szaławie, wspaniałe niebieskie akanty, podnoszące głęboko wcięte liście. Królowały fiołki o uroczej woni. Kwitły w niskich glinianych dłoniach, purpurowe, białe, żółto-purpurowe, żółte i skromne niebieskie.

Ludzie barwami strojów zaćmiewali kwiaty. Gdziekolwiek spojrzeć, widniały klejnoty; czerwone, niebieskie, oranżowe ametysty, czarne onyksy, hematyty i perły wszystkich możliwych kolorów - różowe, białe, niebieskie, brązowe i migotliwie czarne. Stroje były w barwach tęczy i z przeróżnych materiałów; z jedwabiu, delikatnego płótna, wełny, bawełny. Szkarłatne, zielone, oranżowe, płomieniste, niebieskie, różowe, żółte, brązowe i nawet czarne. A na dodatek wszystkie te barwy

mieszały się ze sobą. Nie trzeba dodawać, że wszyscy mieli pomalowane twarze i w powietrzu wisiła ciężka woń perfum.

Orszak Maeniela nadaremnie próbował powstrzymać rozbawienie, krztusił się, dusił, pokwikał, chichotał, kaszłał.

Panie i panowie w ogrodzie również nie ukrywali wesołości. Wskazywali palcem kapuściany kapelusz i pokładali się w ataku histerycznego śmiechu.

Maniliusz i Feleks wzniesli oczy w górę.

- O rety - jęknął Feleks. - A co tym razem zesłał nam Amboruks?

Przez chwilę Maeniel stał między dwoma grupami ludzi śmiejącymi się z siebie nawzajem i przy okazji z niego. Jeszcze się nie zorientował, czy ta sytuacja sprawia mu przyjemność, ale był cierpliwym stworzeniem. Zerwał z głowy kapustę, skłonił się Feleksowi i Maniliuszowi i uśmiechnął się.

Maniliusz złożył dłonie jak do modlitwy.

- Och...

Feleks obejrzał kapelusz.

- Rany...

Kobiety uniosły się z krzeseł i tłumnie otoczyły nowego gościa.

- Bogowie - rzekła pani ubrana w płomienście czerwony chiton - czyż on nie jest...

- Po prostu uroczy... - Ta dama miała na sobie stole z sześciu warstw zielonej jedwabnej gazy.

Maeniel zaczął całować rączki pań. Uwielbiał ten zwyczaj.

Lucjusz wyszedł z areny jak we śnie.

- Kaledończycy - zamruczał Odcięte Ucho.

- Co...? - spytał Lucjusz.

- Kaledończycy. Jej plemię. - Gal miał na twarzy dezaprobatę. - Ona musieć zginać.

- Zgadza się. Powinna zginać, mając przeciwko sobie takiego dzika i dwa lekkie oszczepy do obrony, ale dała sobie radę – rzekł Lucjusz, nie mogąc otrząsnąć się z zachwyty i podziwu.

- Nie! - powiedział głośno Odcięte Ucho. - Ona umrze przedtem... zanim walczyć z dzik. Święta kobieta wojownik. Nie z Latynów. Kapłanka wojny, królowa

wojny, mówić na ona walkiria, ona dosiadać huragan. Pokazać palcem. - Odcięte Ucho pokazał ręką przed siebie. - Palec paść na ciebie, ty nie żyć. Najpierw musisz bić się nagi, potem ty iść na ofiara zwycięstwa. Kaledończycy. - Nie powiedział nic więcej, przynajmniej po łacinie, odszedł, mrużąc pod nosem.

Lucjusz rozumiał jego uczucia. Doświadczał tego samego, lecz niewątpliwie z zupełnie różnych przyczyn.

Pamięć wciąż podsuwała mu jej wizerunek, powiększała szczegóły tego, co ujrzał. Nie, to niemożliwe, aby wyglądała aż tak wspaniale.

Za długo byłem bez kobiety - myślał. - Powinienem coś z tym zrobić wiele tygodni temu. Po prostu potrzebuję jakiegoś erotycznego odprężenia.

Tymczasem nastał środek przedpołudnia i zapowiadał się ciepły dzień. Lucjusz unikał wszelkich ludnych miejsc. Chciał pozbyć się wizji, która go nawiedzała, a równocześnie rozpamiętywał ją szczegół po szczególe: dumną, a zarazem bezbronną postać, stojącą przed plamą ciemności, w cieniu ścian barwy kości słoniowej otaczających arenę, na białym piasku.

Był tak głęboko pogrążony w myślach, że nie wiedział, gdzie się znajduje, aż potknął się o kamienną płytę wypchniętą przez korzeń drzewa na nieużywanym dziedzińcu. Rozejrzał się wkoło, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, dokąd zawiodły go podążające bez celu stopy.

Była to najstarsza część rezydencji, nie przebudowana jak perystyl w pobliżu atrium z jego wiekową cysterną. Mieszkał tu z rodzicami w czasach swojej młodości, aż do szesnastego roku życia, kiedy zmiany w rzymskim społeczeństwie zmusiły ojca do wydatków na modernizację domu, tak aby bogata i wpływowa rodzina Bazylich miała siedzibę godną swojej pozycji.

W pobliżu przedsionka znajdowały się sale recepcyjne, w których ojciec Lucjusza i Aristo spotykali się ze współpracownikami, pracownikami i stronnikami - klientelą w rzymskim żargonie - wierzycielami, wyzwoleńcami i niewolnikami.

Matka miała w pobliżu swoje komnaty, w których uparcie podtrzymywała arystokratyczne koneksje z rodziną Juliuszów, krewnymi Cezara, co służyło celom ojca. Popołudniami oddalała się bez słowa i piła. Jako dziecko nigdy nie rozumiał, czemu zawsze unosi się wokół niej gęsty odór potu i alkoholu, ale wyczuwał, że rodzicom nie układa się najlepiej. Niemniej oboje okazywali mu dobroć i był chyba szczęśliwy, nawet zdany na nieustanne złośliwości Fulwii.

Teraz ogród zarósł, wyschłe chwasty opanowały stare kwietniki. Jednakże ozdobne żywopłoty i wysokie cyprysy zieleniły się jak poprzednio. Sadržawkę przykrywała rzęsa i biała mięta nadwodna, a karp, którego pamiętał z dzieciństwa, nadal zamieszkiwał zbiornik.

Pomyślał, że ona musi być tam nadal.

Tak, stała między cyprysami, żywopłotami i wyschłymi łodygami róż, przy krótkim brzegu basenu, nieopodal jego chłopięcego pokoju: Wenus wchodząca do kąpieli. Nogi posągu zzieleniały od wilgoci, jedna z nich zawsze wisiała nad lustrem wody. Nie była arcydziełem, ale masowym produktem jednego z kupieckich hellenistycznych miast-państw, założonych przez spadkobierców Aleksandra. Tania kopia klasycznej sztuki rzeźbiarskiej, z której słynęła Grecja.

Posąg miał brzydką twarz, obwisłą szczękę, ale rzeźbiarz nadał ciału odpowiednie proporcje. Lucjusz był trzynastolatkiem z wyobraźnią i twarz nie była tą częścią rzeźby, która interesowała go najbardziej.

Był wtedy samotny. Zbliżając się do niej między wysokimi chwastami i cyprysami, pomyślał: I teraz też jestem samotny.

Nie była duża, nieco wyższa niż przeciętna kobieta. Pamiętał, że w młodości podnosił głowę, aby spojrzeć jej w oblicze, lecz teraz on górował nad nią wzrostem. Spojrzał na czubek jej głowy. Objął ramieniem szczupłą talię i przytulił policzek do zimnych marmurowych włosów. Przypomniał sobie kobietę na arenie i uświadomił sobie, gdzie wcześniej widział jej twarz - w opuszczonej świątyni, w której znalazł śliwkę. Jej oblicze ukazało się w misie z wodą.

Wielki stary karp uniósł się, złapał muchę lecącą nad powierzchnią wody i znikł w poruszonych wodorostach. Ważki tańczyły między kępami zdziczałych papirusów u brzegów basenu. Zielona żaba wskoczyła na stopę posągu. Cud nad cudami, zielony wąż z czarnymi długimi pręgami wzdłuż ciała zatrzymał się i obserwował go bursztynowymi oczami, o wąskich szparkach źrenic w jasnym słońcu, a potem wsunął się do wody i znikł w zmaconej głębi.

Ujrzał ją w wodzie, oczy zamknięte, ciało szczupłe, białe, piersi zwieńczone pączkami sutek, ciemny trójkąt włosów łonowych jak miękkie futerko. Tak, to właśnie przypominał gęsty kędzierzawy wzgórek - futerko kotki.

Wydało mu się, że błędząc niespokojną dłonią wokół kibici posągu, wyczuwa wilgotną dojrzałą brzoskwinię. Wsunął głębiej palce - może w kępkę mchu. Odbity w

wodzie wizerunek słońca nagle roztrzaskał się, gdy żaba zeskoczyła w złoty dysk. Rozkosz napłynęła w jego ciało, niemal boleśnie spęczniała w lędźwiach, a potem śmignęła jak strzała z łuku w światło, powietrze i w ciszę, gdy zlał go pot i ogarnęła słabość. Jego samotna bogini pożądania podtrzymała go i nie pozwoliła upaść do kolan w modlitwie, błaganiu lub rozpacz.

Fulwia była rozanielona. Bez końca zachwyciała się Dryas, proponowała jej pieniądze, klejnoty, Własną służbę, willę w Bajach, co tylko chciała.

Dryas ogarnął niesmak i gorycz. Nie wierzyła w żadne obietnice Fulwii i czuła, że znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Usłyszała dość, aby zrozumieć, iż Cezar znalazł się wśród publiczności i że przyglądał się jej przed południem. Nie wiedziała nawet, który to. Jak mogła go zabić, jeśli nie potrafiła go rozpoznać? Nie miała pojęcia, od czego zacząć poszukiwania i jak doprowadzić do końca swoją misję.

Poprosiła tylko o kąpiel i posiłek. Miała nadzieję, że rozgadana i rozemocjonowana Fulwia pójdzie sobie. Tak się stało.

Dryas z przyjemnością zgodziła się na łaźnię; jej plemię również uwielbiało kąpiele w parze. Łazienka zaskoczyła ją. Co za luksusy. Czemu ludzie mający dostęp do takich wygód i wspaniałości szukali dreszczyku emocji podczas takich widowisk jak dzisiejsze? Czemu wyprawiali się daleko od domu, by gnębić innych, na przykład Galów? Przecież to strata czasu.

Zjawiły się pokojówki Fulwii i namaściły olejkami ciało Dryas. To sprawiło, że otworzyły się zadrapania na nodze i dłoni. Popłynęła krew. Na jej widok kobiety straciły wszelki umiar w zachowaniu - tak przynajmniej uznała Dryas.

Biegały po pokoju, wydzierając się niegodnie. Ich piski zirytowały Dryas, ale zachowała dobre maniery. Przecież była gościem, wbrew swej woli, ale jednak gościem. Pośród plemion szanujących zasady gościnności od niepamiętnych czasów gość winien okazać uprzejmość gospodarzowi i przychylić się do wszelkich próśb, oczywiście w ramach zdrowego rozsądku. Nie okazała irytacji nie mogącym dojść do ładu pokojówkom, wręcz przeciwnie, obiecała, że zastosuje się do poleceń medyka, kiedy ten się zjawi.

Kobiety ubrały ją w luźną muślinową szatę i posłały po Filona.

Lekarz natknął się na Lucjusza w atrium. Pan domu robił wrażenie niezadowolonego i w kwaśnym humorze.

- Dokąd ją zabrano? - spytał.
- Donikąd, jest w łaźni. Antia po mnie posłała. Podobno dzik przejechał jej kłami po kostce u nogi. Fulwia nakazała im, że ma być traktowana jak rzadki kryształ. Służba boi się śmiertelnie jej gniewu, więc jestem wzywany do paru zadrapań. Oglądałem ją po walce. Do wieczora znajdzie się na ustach całego Rzymu. Cezar i Kleopatra musieli najać sypialnię, zanim on udał się do senatu. To, co ta apetyczna kobieta zrobiła przed zejściem z areny, poruszyło każdego mężczyznę w zasięgu wzroku. - Zachichotał. - Antoniusz nawet zapomniał o kacu.

Lucjusz wydał dziwny gulgot.

- Nie! Nie! Nie ruszaj się. Nie odchodź. Zaczekaj, aż wrócę. - Podskakiwał niczym opętany. - Potrzebuję... potrzebuję... Nie wiem, czego potrzebuję... Potrzebuję jakiegoś przebrania. Nie mogę być twoim pomocnikiem? Łaziebnym? Kim mogę być?

- Och, nie! Ty też?

- Tak, tak, tak! - Lucjusz biegał po całym atrium.

- Oktus! - krzyknął Filon.

Zjawił się Oktus.

- Tunikę. Starą, znoszoną, dziurawą i łataną. Czy masz coś takiego pod ręką? - spytał Filon.

Oktus skinął głową i po chwili wrócił z żądanym strojem.

- Nie jest zbyt ładna, ale się nada. Dziękuję - powiedział Filon i podał ją Lucjuszowi.

- Teraz będę mógł znaleźć się blisko niej - oświadczył Lucjusz, wkładając tunikę w szatni.

Filon skinął głową.

- Tak, czasem przyjrząwszy się dokładniej komuś, kto budzi nasz podziw z daleka, przekonujemy się, że oczekiwania przerosły rzeczywistość. Ujawniają się wady, wcześniej niewidoczne, i dostrzegamy brutalną prawdę. To, co początkowo wywiera na nas niesłychane wrażenie, odrzuca nas, jako zbyt krańcowe, gdy zbliżymy się z zamiarem nawiązania intymnego kontaktu.

- Ależ oczywiście - powiedział Lucjusz. - Ruszajmy. Chcę zobaczyć, jaka ona jest naprawdę.

- Wydawało mi się, że to powiedziałem - rzekł Filon.

- Nie, nie, wcale tego nie powiedziałaś. A może tak, kiedy się nad tym zastanowić, ale w tej chwili...

- Bądź cicho - rozkazał Filon. - Jesteś sługą. - Otworzył drzwi.

Ostre światło padające ze świetlika nie pochlebiało urodzie żadnej kobiety. Poza Dryas. Lucjusz ujrzał nieziemskie zjawisko, jakimś cudem pojmane i skazane na obecność wśród ludzi.

Pokojówki umyły, namaściły i ułożyły jej hebanowe włosy wokół dziwnej korony z miedzi najeżonej ostrymi kolcami. Z bliska dostrzegł, jak gładką ma cerę, niczym najdoskonalszy pozbawiony skaz marmur. Jednak jej skóra nie była zimna jak kamień, ale tchnęła ciepłem różanej barwy, niczym róże z Pistum, błogosławione darem dwukrotnego kwitnienia. Teraz, w chłodnym powietrzu i jasnym słonecznym blasku, rozkładały pąki. Długie okrutne łodygi miały rozjaśnić się płatkami, przesycającymi powietrze balsamiczną wonią.

Siedziała na krześle, jednym z tych rzadkich przedmiotów, które lubili Grecy, z wygiętym oparciem i wąskimi nogami. Wilgotna muślinowa szata nie ukrywała tajemnic jej ciała, układając się łagodnymi zarysami. Przydawała mu kuszącego wdzięku, jakim napawałby się ktoś gotów obnażyć siedzącą, wiedząc, że widok pięknego pejzażu skąpanego we mgle nie dorównuje jego urodzie w blasku słońca nowego dnia.

Była po prostu kobietą, bez sztuczności, bez upiększeń, bez udawania, nawet bez otoczki pożądania. Taką kobietą, jaką stworzyła natura, urodzoną w równej mierze do nasycenia żądz jak i do jej pobudzenia, gotową przytulić do piersi dziecko i mężczyznę poszukującego między jej udami płomiennej rozkoszy, osnutej tajemnicą stworzenia, i chętnego dzielić z nią tę rozkosz, gdy męskim ogniem roznieci jej żar.

Kiedy Filon zamknął drzwi, odwróciła wzrok ku wejściu.

Tak, nie mylił się rano, myśląc, że ma niebieskie oczy. Niebieskie jak śliwka, którą zabrał ze świątyni, niebieskie jak wypolerowane lapis - lazuli, niebieskie jak Morze Egejski latem, niebieskie i obramowane czarnymi rzęsami.

A, co gorsza, ona zobaczyła jego. Nie patrzyła na ludzi przez pryzmat wyobrażeń i zależności. Nie patrzyła jak on, który widział w Lukrecji nie człowieka, lecz niewolnicę, dopóki ta nie straciła swojej kochanki.

Dryas widziała ludzi takich, jacy byli, i czuł, że prowadzi go wzrokiem, kiedy szedł obok Filona do jej krzesła. Blizna mu dokuczała. Był boso. Wkładając zniszczoną tunikę, zdjął sandały, a blizna tym bardziej dawała mu się we znaki, że nie miał na nogach nawet zimowego żołnierskiego buta.

Widziała kuśtykanie, zniszczoną odzież, pochylenia głowy. Czuł obawę, że może go rozpoznać, że dostrzegła go w trakcie porannej walki, chociaż siedział za Antoniuszem i Cezarem. Liczył tylko na to, że nie przyjrzała się dobrze jego twarzy.

Zdawał sobie sprawę, że wszystko wskazuje na to, iż jest służącym, do tego niezbyt ważnym, lecz mimo to nadal mu się przyglądała i widziała coś więcej niż łachman, kalectwo i uniżoność.

Doszli do krzesła. Ukląkł i uniósł jej nogę, podtrzymując ją za piętę i łydkę, tak by Filon mógł ocenić rany zadane przez dzika.

Wsparała się na jego barku. Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Poczuł wstrząs, jakby poraził go piorun, i przez chwilę byli tylko sami.

Tak, widziała go, i on ujrzał się jej oczami. Widziała sługę, młodego kulawego mężczyznę, ubranego tak jak ci, którzy utrzymują się z ciężkiej pracy, młodego mężczyznę, który nie ma wielkiej nadziei na osiągnięcie czegoś w życiu. Niemniej jednak stara się z całych sił, korzystając z tych kilku drobnych darów, które zawdzięcza losowi. Oto młodość, tak naprawdę uwięziona w domu, w którym nigdy nie będzie dane się jej rozwinąć, rozkwitnąć w pewną siebie, szlachetną, utalentowaną męskość. Oto ludzki duch urodzony, by frunąć ku miłości, nadziei, osiągnięciom, ale odsunięty od wszelkiego dobra, które mógłby stworzyć dla siebie i innych, skazany na runięcie w mrok i zniszczenie.

Poczuł jej smutek i dziwny głód sprawiedliwości i wiedział doskonale, że ona jest jego i była jego, i że kochał ją przez całą przeszłość, oraz że kochał ją dalej. Żywej czy martwej nie odda jej nikomu. Nie odda Cezarowi, Rzymowi czy nawet samym nieśmiertelnym bogom.

Filon nacierał kostkę maścią i zapewniał Antię oraz inne kobiety, że te kilka zadrapań to drobiazg. Lucjusz postawił stopę Dryas na podłodze, a ona cofnęła dłoń z jego barku i przeniosła wzrok gdzie indziej.

Musiał wstać i wyjść z pomieszczenia, ale nie pamiętał, jak się to stało. Nie mógł sobie również przypomnieć, jaką drogą przeszedł do opuszczonego ogrodu, w którym stał jego ideał kobiecości. Kroczył między nasyconymi głęboką zielenią, nie strzyżonymi cyprysami i zarosłym zielskiem, chociaż uroczym basenem, błogosławionym przez panującą nad nim matkę wszelkiego życia. Wiedział, że przeniosła pożądanie z kamienia w ciało, i posłała go do niej, aby mogli na siebie spojrzeć.

Wilk również wziął kąpiel i zdał sobie sprawę, że ten rytuał odgrywa niepoślednią rolę u Rzymian. Pozwolił również „pokojówkom” Feleksa, aby go ubrały. Okazały się równie zręczne przy nakładaniu męskiego, jak damskiego przyodziewku i kiedy o zmroku wkroczył do atrium, był Rzymianinem w każdym calu. Zapytał Feleksa, dlaczego wyznaczono mu tu lokum, ukrywając fakt, że jest gościem Amboruksa.

- Och, mój drogi, to byłoby niezbyt fortunne. Znajomość między galijskim arcykapłanem druidów i Amboruksem, wysoce poważanym rzymskim senatorem i obywatelem, mogłaby się przydać tam, ale nigdy tu. Więc jesteśmy jego reprezentantami, by tak rzec. Nie może zlekceważyć żądania z tamtej strony, byłoby to wysoce nierozważne, nawet kiedy Galia jest teoretycznie pod rzymskim butem. Ci druidowie wciąż cieszą się zbyt wielkim poważaniem wśród ludu i chociaż jestem przekonany, że to faceci do rany przyłoż, to Rzymianie patrzą na nich koso.

- Hm, rozumiem - powiedział Maeniel. Rozumiał więcej, niż Feleks chciał mu przekazać.

- Nie chciałbym cię urazić, ale wydajemy dziś wieczorkiem kolacyjkę dla paru znajomych senatorów i chciałbym wiedzieć, czy jesteś obeznany z rzymską etykietą?

- Mam pólżeć wsparty na lewym łokciu i brać jedzenie pierwszymi trzema palcami prawej ręki. Nie wolno chlipać, pierdzieć, czkać, smarkać, spluwać ani się drapać. Nie wolno mi się upijać, awanturować, rozmawiać o religii ani polityce, opowiadać sprośnych kawałów w obecności dam... ani obmacywać służących. Mam chwalić jedzenie, nawet jeśli nie jest smaczne, i nie rzucać się na najlepsze kawałki. I mam - odetchnął głęboko - umyć się przed i po.

Feleks zamrugął.

- Och, rany, rany, tak. To chyba wszystko.
- Znakomicie - rzekł Maeniel.
- Nie wspominaj o powiązaniach Amboruksa z druidami. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wspominaj o nim ani o nich.

- To się rozumie - obiecał Maeniel.

Po dłuższej chwili wmaszerował model rzymskiej prawości, Marek Juniusz Brutus, a za nim Antoniusz z nosem spuszczonej na kwintę.

- Synowie Cezara — powiedział Feleks, trącając Maeniela łokciem w żebra.

- Nie są na to trochę za starzy? - zdziwił się Maeniel.

- Wiesz, mój drogi, oni nie są prawdziwymi synami dyktatora, ale Brutus to jego naturalny spadkobierca, a Antoniusz legalny - wyjaśnił Maniliusz.

- Ach - rzekł Maeniel. Poczłł się znacznie lepiej, kiedy udali się na kolację.

Antoniusz i Brutus spoczęli naprzeciw siebie. Wymieniali spojrzenia, jak para wilków gotowa rzucić się sobie do gardeł o pozycję w stadzie. Maeniel często uczestniczył w takich wydarzeniach lub był ich świadkiem i z zaskoczeniem dostrzegł, że Maniliusz i Feleks udawali, że nic się nie dzieje. Już wcześniej zauważył, że ludzie lubią maskować się przed innymi, czy też przed samymi sobą, ale tu miał do czynienia z wyjątkowym zakłamanie.

Jak już zauważył Lucjusz, dom urządzono zdecydowanie na modłę grecką. W tym samym duchu przygotowano ucztę.

Kolacja zaczęła się od wspaniałej sałatki z ośmiornicy, wymieszanej z kwaśnymi jarzynami doprawionymi łyżeczką soku z limonek i łyżką oliwy. Słodkie plastry delikatnego mięsa lekko popieprzono i posolono i podano chleb do wybrania sosu, co stanowiło zwyczaj raczej grecki niż rzymski.

Antoniusz i Brutus mierzyli się wzrokiem nad sałatką i gdy sięgnęli po ten sam kawałek ośmiornicy, niemal zawarceli na siebie.

Prawie jak wilki - pomyślał Maeniel, po czym poprawił się. -Nie! Zupełnie jak wilki. Nawet pachną, jakby chcieli rozpocząć starcie, do którego jeszcze nie są gotowi. Przejdą do czynów dopiero wtedy, kiedy jeden z nich upewni się o zwycięstwo, ale na razie żaden z nich jeszcze się aż tak nie zaperzył. Nie, jedyne, co dzieli ludzi od zwierząt, to fakt, że cała wataha przyjmuje do wiadomości wynik

pojedyńku, i wraca spokój. Tymczasem między ludźmi konsekwencje takiego starcia są o wiele drastyczniejsze.

Kiedy znikł ostatni listek sałaty i sprzątnięto resztki chleba, pojawiły się tłuste kosztatki nadziewane boczkiem, pieprzem, nasionami pinii i szczawiem.

- Widziałeś nową zabawkę Cezara? - spytał Antoniusz Brutusa i dodał: - Wybacz, zapomniałem, że cię nie zaproszono.

Maeniel ledwo zapanował nad tym, by nie wybuchnąć śmiechem, nie szczeknąć jak wilk podczas zabawy. Brutus uniósł brwi.

- Słyszałem o niej, ale przecież on wie o moich filozoficznych zainteresowaniach i o tym, że nie pochwalam takich... lubieżnych rozrywek. To profanacja cnót prawdziwych gladiatorów. No proszę, kobieta! Jak takie stworzenie może okazać *primarium bellatorem*, mistrzostwo w walce wręcz okazywane nawet przez więźniów i niewolników? Tamci są przynajmniej mężczyznami.

Dryas - pomyślał wilk. - Oni mówią o Dryas.

- O co chodzi? - spytał.

Antoniusz zignorował pytanie, a Brutus odparł z pogardliwą wyższością:

- Prywatna sprawa. Haniebny pokaz uroku, jaki nowinki rzucają na słabsze umysły.

- Wyglądało na to, że Cezar bawił się dobrze - powiedział Antoniusz, kończąc trzecią kosztatkę.

- Oto miernik deprawacji... naszych czasów - zakończył nieporadnie Brutus.

Maeniel bawił się świetnie. Zdawał sobie sprawę, że Brutus był gotów palnąć głupstwo. Antoniusz miał błysk w oku. Mało brakowało, a Brutus oskarżyłby dyktatora o zdegenerowanie.

- Kobieta, kobieta gladiatorem! - wykrzyknął Maeniel. - Jakaż...

Obaj honorowi goście zmierzyli go nieżyczliwymi spojrzeniami.

- Jakaż... odmiana - zakończył.

- Do gladiatora trochę jej brakuje. Określenie *bestiarus* bardziej odpowiada jej zajęciu - stwierdził pedantycznie Brutus. – Przecież walczyła ze zwierzęciem, z dzikiem. O ile rozumiem, ona pochodzi z Galii. Godni siebie przeciwnicy. Podobno to święte zwierzę tych barbarzyńców.

- Świąte czy nie, ale wielkie i groźne. Co najmniej raz otarła się o śmierć, może dwa. Pokonanie takiej bestii lekkim oszczepem to prawdziwy wyczyn. Ful... to znaczy jej właściciel, mówi mi, że na jutro szykuje dla niej lwa - powiedział Antoniusz.

Maeniel rozważał, czy nie skrócić karku obu szacownym gościom. Wiedzieli, gdzie jest Dryas, i nie mieli zamiaru tego zdradzić, ale Maniliusz i Feleks wymienili znaczące spojrzenia.

- Ach, urwisie - powiedział Feleks. - I pomyśleć, że byłeś tu zaledwie przed tygodniem na turbocie w oliwie i z kaparami roboty cioci Myrtus i nie szepnąłeś słówka o nowym nabytku Fulwii.

- Widzę, że przed wami nie ukryje się żaden sekret. – Antoniusz roześmiał się.

Maeniel dojrzał wyraz satysfakcji na gładkich obliczach gospodarzy. Antoniusz potwierdził ich podejrzenia.

- Nie pojmuję, czemu miałyby się cokolwiek ukrywać – powiedział Maniliusz. - Mówi się, że jest bardzo piękna, ale, oczywiście, obaj jesteście zaufanymi przyjaciółmi Cezara i tylko garstka może się poszczycić tym, że widziała ową kobietę. Przecież przyniesiono ją do domu w lektyce z zasłonami i wróciła... ale to wicie, nieprawdaż? - mruzczał jak zadowolona kotka. - Musicie wiedzieć, gdzie się ją ukrywa.

Brutus uśmiechnął się, Antoniusz unikał jego wzroku, a Maniliusz i Feleks robili wrażenie zawiedzionych.

Maeniel zjadł kosztatkę. Jadł je już wcześniej. Te były podane na ostro. Rozważał, czy zwierzęta futerkowe są lepsze na świeżo, ociekające gorącą krwią, czy oskórowane i upieczone. Doszedł do wniosku, że smakują mu w każdej postaci. Hodowane były tłustsze niż żyjące na swobodzie i nadziewano je figami.

Nikt z obecnych nie miał pojęcia, gdzie przebywa Dryas, ale wszyscy najwyraźniej wyłazili ze skóry, aby się tego dowiedzieć.

Kosztaki spałaszowano. Pojawiła się przepiękna blondynka i zabrała tacę. Przynajmniej wyglądała na blondynkę, ale wilcze zmysły podpowiedziały Maenielowi, że to zdecydowanie blondynek. Zarówno Antoniusz, jak i Brutus uznali jej powierzchowność za prawdziwą. Ale może też płęć sług była im obojętna. Przecież to Rzym - pomyślał ponuro Maeniel.

Następnie podano dzbany z winem, przesławnym falernum. Maeniel przekonał się, że jest godne swojej reputacji.

- To po prostu nie do zniesienia. - Feleks westchnął. - Antoniuszu, posłuchaj, ty jako jedyny z obecnych widziałeś ją na własne oczy. Czy jest tak pociągająca, jak głosi plotka?

- O ile mi wiadomo, jesteś przyjacielem Lucjusza – powiedział Antoniusz. Feleks wyglądał na zaskoczonego.

- Tak, wpada do nas na kolację co najmniej raz w miesiącu. Uroczy młodzieniec, chociaż nie udało się nam zainteresować go...

- Mężatkami, które u was bywają- skończył za niego Antoniusz.

- Cyt, cyt - powiedział Maniliusz. - Przecież te wszystkie damy to godne najwyższego szacunku żony wybitnych obywateli, jedynie spragnione odrobinki przygody. Nie każdy małżonek w Rzymie potrafi zadbać o potrzeby swojego skarbeczka tak, by odpowiadało to jej randze, a jeśli one potrafią zarobić coś na boku...

- Tak, ale ty znasz go lepiej niż ktokolwiek inny. Musiał się wam zwierzać, co myśli o swojej rodzinie.

- Och. - Maniliusz wzięty głęboki oddech. - Rozumiem. Rozumiem, do czego zmierzasz. - Klepnął Feleksa w nadgarstek. - Najdroższy, przypomnij sobie. Nasz nieoceniony przyjaciel wspomniał o pewnej walce pokazowej, która miała... nazwijmy to... niezbyt przyjemny rezultat. Ale kto był *exauctoratus*, zarządcą *ludus*, w którym ćwiczyły tamte panie?

Feleks zmarszczył brwi.

- Chwileczkę, chwileczkę, daj mi się zastanowić. Mam to na końcu języka. - Strzelił z palców. - Oczywiście, to sławny Gordus, sam wielki Gordus. To tam jest ukrywana. W Campus Martius, domu Gordusa.

- Zdziwiająca - rzekł Brutus. - Ale po ci to wiedzieć? – Pytanie było skierowane do Antoniusza.

Ten wyszczerzył zęby, uśmiechając się do Brurusa, ale nie odpowiedział.

Zarówno Maniliusz, jak i Feleks mieli niewyraźne miny.

W tejże chwili pojawiło się danie główne. Prosiak pieczony nad otwartym ogniem, w polewie z migdałami, nadziewany chlebem, miodem i wielkimi grzybami.

Maeniel, zanim wziął się do jedzenia, przeprosił gospodarzy, zmuszony szukać ulgi w latrynie. Pił wino razem ze wszystkimi, a nie nawykł do takiej ilości napojów, co dopiero napojów wyskokowych.

Kiedy znalazł się sam, przemienił się w wilka i okazało się, że słyszy rozmowę biesiadników w jadalni.

- Ostrzegam cię - zasyczał Brutus do Antoniusza. – Wtrącanie się do spraw Cezara i utrudnianie mu...

- Nie mów głupstw - przerwał mu Antoniusz. - Myślisz, że pozwolę na to, żeby swędzenie w kroczu mogło zaszkodzić moim najważniejszym interesom...

- To czemu chcesz wiedzieć, gdzie ją trzymają? - przerwał mu z kolei Brutus.

- Bo nikt mi nie powiedział. - Antoniusz robił wrażenie rozgniewanego, naprawdę rozgniewanego, nie pozorującego gniew.

- Gdybyś nie był mężczyzną, którego zachcianki wiodą jak byka za kółko w nosie, to pewnie dyktator okazywałby ci więcej zaufania - warknął Brutus.

- Zaufania! Ty zakochany w Grekach pochlebco! Kim jesteś, że masz czelność mówić o zaufaniu? Gdyby Cezar myślał jak Sulla albo choćby poszedł za radą zdrowego rozsądku, rozkazałby waszej bandzie optymatów otworzyć sobie żyły po bitwie pod Farsalos i zostałyby po was tylko popioły, wosk, maski pośmiertne i nieprzyjemne wspomnienia. Tylko Katon umiał zachować się na poziomie, kiedy wbił sobie miecz w brzuch. Ale cała wasza reszta... Jeden po drugim przyczołgaliście się do niego, błagając o litość. I zlitował się nad wami... taka nasza dola!

- Panowie, panowie. - Maniliusz na próżno starał się uspokoić tamtych dwóch.

- Nie zostanę tu, żeby obrażał mnie chciwy, lubieżny osioł twojego pokroju. Człowiek, którego bogiem jest własny kałdun, mózgiem kutas i który wierzy tylko w dzban z winem. Hańba Cezarowi, że ufa tobie, narodził się na drzewie republiki, i że jest gotów oddać takiej kupie łajna jak ty...

Grzmiący bas Antoniusza zagłuszył piskliwą tyradę Brutusa.

- Powiedziałem mu, powiedziałem, kiedy uniewinnił waszą sforę i zaprosił was do udziału w rządach, powiedziałem, że wkłada wam do rąk sztylet, którym poderżnicie mu gardło. Myślicie, że to głupiec? Naprawdę bierzecie mnie za durnia? Myślicie, że jestem głuchy, tępy i ślepy? Kiedy dostanę dowody tego, co planujesz

wraz ze swoimi przyjaciółmi z senatu, każę was wysmarować smołą i powiesić na krzyżach, żeby oświetlić drogę legionom, które pójdą na Fartów. Was, wasze żony i wasze dzieci...

Z sali jadalni rozległ się kolejny huk i ostrzegawczy krzyk Feleksa, gdy Brutus wypadł z domu, domagając się lektyki, która miała zanieść go do domu.

Wilk siedział na podłodze latryny. Słyszał śmiech Antoniusza i rozgorączkowaną krzątanicę Feleksa i Maniliusza, przepaszających za Brutusa. Wstał jako człowiek i z powrotem przywdział tunikę. Bez pomocy nie potrafił nic zrobić z togą. Nie był obeznany z tym strojem i czuł się bezradny. Spłukał latrynę kubłem wody.

Kiedy wyszedł, wszyscy słudzy stali w kuchni z przyklejonymi uszami do ściany jadalni. Kilku z nich pomogło mu ułożyć togę, dwaj inni podali miednicę i dzban z wodą do umycia rąk.

- A przy okazji... - Antoniusz sprawiał wrażenie całkowicie uspokojonego i rozluźnionego. - Czemu zaprosiliście mnie dzisiaj? Na pewno nie po to, żebym kłócił się z tym cierpiącym na zaparcia durniem.

- Nie - rzekł Maniliusz. - Och, co za wieczór. Jestem całkiem rozbity. Wszystko wyleciało mi z głowy. Mam tam zupełną pustkę. Feleksie, mój ukochany, proszę...

- Nasz gość, nasz gość! - wykrzyknął Feleks. - Jego bankier jest naszym bankierem i był na tyle uprzejmy, że podzielił się informacją o tym, jak wysokie konto założył u niego ten Maeniel. Chyba tak się nazywa. Byliśmy wstrząśnięci wysokością kwoty. Nasz przyjaciel zwierzył się nam, że jest bogatym człowiekiem, ale nie mieliśmy pojęcia, jak bogatym.

- Proszę, nie owijajcie niczego w bawełnę - rzekł niecierpliwie Antoniusz. - Ile ma?

- Sześć, nie mniej niż sześć talentów w złocie.

- Zgadza się, jest bogaty. Porozmawiam z Cezarem, przekonamy się, czy nie możemy mu trochę pomóc w ulokowaniu tego majątku. Wierzcie mi, nie ma lepszej inwestycji niż nasza wyprawa na wschód. Galowie to byli tylko barbarzyńcy, ale kiedy Cezar ścisnął ich za jaja, wozy złota przyjechały do Rzymu i setki tysięcy niewolników. Mówi się, że Partowie są jeszcze bogatsi... - Przerwał, gdyż Maeniel wrócił do pokoju.

Maniliusz i Feleks wyjaśnili, że Brutusa wezwały ważne sprawy. Maeniel rozłożył się na łożu i podziękował za świeżo wykrojoną porcję pieczeni.

Antoniusz odwrócił się do niego z uśmiechem na ustach.

22

Dryas wróciła do *ludus* wczesnym popołudniem. Znalazła się w tej samej celi, w której trzymano ją noc wcześniej. Pewnie zajrzała tam Marcja, ponieważ pomieszczenia posprzątało, a łóżko, jeśli można było je tak nazwać, posłano. Pościel i koc były świeże. Dryas nadal miała na sobie szatę, więc przykryła się nią i zasnęła.

W ciemności czuła tamten ból. Pozostał wraz z duchem zmarłego. Znała źródło tego cierpienia. Tamten ktoś zabijał na arenie swoich bliskich. Chciał żyć. Zabił brata i trzech przyjaciół z dzieciństwa. We śnie ukląkł przed Dryas i prosił ją o przebaczenie. Nie mogła zadośćuczynić temu błaganu.

Siedziała z nim na kamiennej ławie. Był zmierzch, rzymski tłum nasycił już swoją żądzę igrzysk. Wspaniałych igrzysk. Popłynęła prawdziwa rzeka krwi. On przeżył, a wszyscy, których kochał, zginęli. Skierował swój miecz przeciwko sobie.

Dryas obudziła się wstrząsana dreszczami. W judaszu widniała oświetlona twarz Aquili.

- Krzyczałaś - rzekł. - Nigdy nie słyszałem tak strasznego krzyku. Co się stało?

- Nie pamiętam, że krzyczałam - powiedziała Dryas. - Nic się nie stało, ale jest zimno. Zimno i musiało mi się coś śnić.

Odsunął rygiel w drzwiach, wszedł do środka i postawił lampę. Szata, która spadła z łóżka, wyglądała na podłodze jak kałuża czerni. Podniósł ją i otulił Dryas. Cmokał przy tym zatroskany.

Ma macierzyńskie odruchy - pomyślała Dryas. - Ja byłam matką, ale nigdy nie byłam macierzyńska. Jak to się dzieje, że mężczyznę stać na odruchy, które powinny być obce jego naturze.

- Chodź - rzekł. - Marcja piecze kurczaki i mamy suszone daktyle i majeranek do nadzienia, a do tego są marchewki, chleb i świeży ser. Zdaje mi się, że z obiadu zostały jeszcze jaja na twardo.

Dryas udała się za nim bez słowa. Było późne popołudnie. Światło płonęło wokół nich, kiedy szli kruzgankami. Mijając kolejną celę, usłyszała głośnie uderzenie i drzwi się zatrzęsły.

- Dziwne - powiedział Aquila. - Gordus powiedział, że to pomieszczenie jest puste.

- Nie - odparła spokojnie Dryas. - Te cele nie są puste. - Trzecie drzwi zagrzechotały jeszcze głośniejsze. Zadygotały, zatrzęsły się na ich oczach.

- Ciarki chodzą mi po skórze, jak to widzę - powiedział Aquila.
- Jeśli to nie ty krzyczałaś, to kto?

Dryas nie odpowiedziała. Dotarli do schodów prowadzących na plac ćwiczeń. Zapanował spokój.

Weszli do kuchni Marcji, w której zastali Gordusa siedzącego przy stole. Nie było żadnych łóżek. Miejsce Marcji było obok Gordusa, a dla Dryas i Aquili już przygotowano nakrycia. Usiedli.

Marcja przygotowywała porcję dla osoby, która pozostała na górze. Krojona pierś kurczaka w tłuszczu, smakowicie wyglądające bułki cebulowe, nadzienie z daktyli i majeranku, pajdy gorącego chleba prosto z piekarnika, miska białego sera z pieprzem i marchewki smażone na oliwie, z miodem i kminkiem. Poszła z tym na górę.

Gordus spojrzął z gniewem na Dryas, a potem podobnym spojrzeniem obrzucił Aquilę. Marcja wróciła i zaczęła obsługiwać gości, ignorując męża. Jego niezadowolenie pogłębiło się, lecz dopiero kiedy przed Dryas i Aquilą wylądowały talerze z chlebem, kurczakiem, nadzieniem i marchewkami, zajęła się Gordusem.

Zamruczał coś pod nosem.

Odwróciła się od garnka z rosółem wołowym i zmierzyła męża wzrokiem Gorgony.

- Tak? Nie usłyszałam.
- Jak z nim? - spytał potulnie Gordus.
- Świetnie. Filon był dzisiaj i oświadczył, że rana goi się dobrze. Nie dziękował ci.

- Lepiej niech podziękuje swojej szczęśliwej gwiazdzie, że tak mu się upiekło. Kiedy jeszcze raz okaże takie zuchwalstwo, żeby stawać przeciwko mnie, zrobię z niego kalekę na całe życie.

- Ach, wy, mężczyźni! - krzyknęła Marcja. - Chłopak cię kocha...
- Gdyby mnie kochał, nie szukałby szczęścia na arenie. Powiedz mi, kobieto, czy chcesz, żeby ryzykował życie pomiędzy tymi barbarzyńskimi wojownikami, recydywistami, wyrzutkami, mordercami i niewolnikami? Ludźmi, którzy za nic mają wszelką uczciwość i wiarę, którzy nie uchylą się przed żadną...

Z rozmachem postawiła przed nim miskę z zupą i grzmotnęła go w głowę drewnianą chochłą.

- Wyszłam za ciebie, no nie? A gdzie byłeś, kiedy się pierwszy raz... spotkaliśmy? - skończyła nieco bezradnie.

- Wiedziałaś, jaki jestem, ale ja... ja - wskazał na siebie palcem ja wyrwałem się z poddaństwa, biedy, długów i hańby. Teraz jestem panem samego siebie. Walczę najwyżej dziesięć razy w roku i już dawno mam tyle pieniędzy, że wystarczy mi na dostatnią starość, a ty i chłopiec nie będziecie musieli martwić się o przeżycie. Nawet teraz... - Posłał Aquili i Dryas kolejne mroczne spojrzenie. - Gdyby nie to, że mi zapłacono, powiedziałbym mojej szanownej patronce, żeby wyносиła się prosto do... za to, że chce zamienić mój *Iudus* w burdel.

- Gordus...! - krzyknęła Marcja.

Dryas zerwała się na równe nogi.

Aquila zrobił to samo, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Panie, ani ja, ani ta dama nie jesteśmy tu z własnej woli. Ona, jak i wielu, którzy tu przybyli, została pojmana w honorowej walce i chociaż Fortuna okazała się dla niej niełaskawa, jak mniemam również dla ciebie, zdobyła się na rozum i odwagę, od kiedy...

- Kim jesteś? - warknął Gordus. - Żołnierzem czy oratorem?

- To Grek - powiedziała Marcja, jakby to tłumaczyło wszystko.

- Jestem gościem w twojej kuchni - odezwała się Dryas - chociaż równocześnie więźniarką w twojej celi. Uprzejmość przystoi gościowi nawet wtedy, kiedy gospodarz ucieka się do obelg. Proszę skierować mnie do poprzedniej kwatery, jeśli tak nisko mnie poważasz. Nie...

- Błagam...! - powiedział Gordus, wznosząc ręce do nieba w proszącym geście. - Już przywołano mnie do porządku. - Wstał i skłonił się Dryas. - Proszę o wybaczenie.

Dryas odpowiedziała ukłonem i siadła.

Powtórzył ukłon pod adresem Aquili, który usiadł ze słowami:

- Prawdę mówiąc, byłbym .zrozpaczony, gdybym musiał zrezygnować z kurczaków twojej żony. A poza tym te cele na górze są nawiedzone przez duchy.

- Tak, to prawda - poparła go Dryas.

Marcja, która napełniła talerz dla siebie, odwróciła się do męża.

- Mówiłam ci.
- Myślę, że to Priskus - rzekł Gordus.
- Tak. - Dryas jadła nadzienie łyżką. - Zmarł w celi, którą mi przeznaczono.
- Gordus! - krzyknęła z oburzeniem Marcja.
- Skąd wiesz? - Po głosie Gordusa było wiadomo, że poczuwa się do winy.
- Rozmawiam z umarłymi - powiedziała Dryas.
- I czym się jeszcze zajmujesz? - spytała Marcja.
- Szkolę młodzieńców do walki i kiedy to niezbędne, przewiduję przyszłość.

Na te słowa Gordus spochmurniał.

- Wiem, że mam jutro walczyć - kontynuowała. - Dotarły do mnie plotki kobiet. Co to będzie? Pantera, lew? Nie zrozumiałam dokładnie, co mówiły.
- Ani jedno, ani drugie - rzekł Gordus. - To... stworzenie... przywieziono z daleka, z Jedwabnego Szlaku. To wielki kot, tak przynajmniej wygląda, chociaż nigdy nie widziałem kota jego rozmiarów. Jest ogromny. Zwykle służy do egzekucji przestępców, więc to ludo-jad. I nie wydaje mi się... Wolałbym, żebyś nie zasiadała przy moim stole, młoda damo. Miałem nadzieję, że nie będę musiał spojrzeć ci w oczy.

Dryas uśmiechnęła się, oderwała kawałek chleba i wytarła nim talerz z tłuszczu.

- No widzisz. - Aąila westchnął. - Widzisz? Zachowuje się tak, od kiedy się poznaliśmy. Dlatego tu jestem.
- Tak, widzę - rzekł Gordus.
- Pozwól, niech ukoję rozpacz Priskusa - poprosiła Dryas. - Wzywa mnie, bym spełniła swój obowiązek. Źle uczynił. Wie o tym i nie może znaleźć spokoju. Jego bliscy wyszli na arenę wraz z nim.
- Dobrze, ale co mu powiedzą, kiedy się z nim spotkają? - spytała Marcja.

Dryas uśmiechnęła się po raz wtóry.

- Nie jestem sędzią.

- Znakomicie - powiedział Gordus. - W takim razie odczytasz przyszłość mojego syna.

- Spróbuję - obiecała Dryas. - Nie zawsze mi się udaje, ale spróbuję.

Dzięki Antoniuszowi Maeniel wkroczył na ziemię nieznaną. Przywódca jednej watahy nie obejmuje ramieniem innego basiora, nie zionie mu winem w pysk i nie nakłania do odwiedzin w domu publicznym.

- Znajdziemy ci coś miłego, he? - powiedział Antoniusz. - Idziemy do najlepszego lokalu w Rzymie, a to nie byle co. Rzym to królowa miast, chociaż Aleksandria nie jest zła. Ten Gadzina ma wszystko i jest za mądry na to, żeby podtykać moim przyjaciołom jakiś drugorzędny towar.

Maeniel nie stawiał najmniejszego oporu. Antoniusz miał wdzięk starego krokodyla, połączony z napastliwością nie zrównoważonego niedźwiedzia. Trudno było tego nie dostrzec. Tak Maniliusz, jak i Feleks trzęśli się niczym osiki w jego towarzystwie i zapewne nie tylko oni. Maeniel zauważył, że Antoniusz wzbudzał wprost paniczny lęk w swoich niewolnikach. Ale że wiedział, gdzie jest Dryas, Maeniel ruszył z nim na miasto, kiedy tamten odesłał do domu jego tragarzy z lektyką.

Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno. Noc zakryła Rzym. Podjazd domu dwóch przyjaciół wychodził na Tybr. Z wody podnosiła się mgła. Zimno i wilgoć przesycaly powietrze.

Maeniel wziął głęboki oddech. Ci kalecy ludzie żyli w ograniczonym świetle. Czuł najdziwniejszą mieszankę woni, jaką kiedykolwiek spotkał. Lecz wiedział już - od Blaze'a - że sprowadzają zwierzęta i ludzi z dalekich stron. Niby dla zabawy, ale w gruncie rzeczy, aby ich mordować. Zapewne taki koniec czeka również Dryas, powiedział Blaze.

Okoliczne ogrody tchnęły własnymi zapachami: pinii, cyprysu, bukszpanu, trawy i wody, śpiących kwiatów i ptaków. Tak, kwiaty i ptaki śpią. Róża w środku nocy pachnie inaczej niż w słońcu. Podobnie ludzie. Ci z kolei we śnie pachną inaczej niż rośliny czy zwierzęta. Tak, w swojej dolinie zapewne zabiłby już i odpoczywał. Potrafił ocenić stopień pijaństwa Antoniusza po odorze, jaki wydzielał. Nie powinien już stać na nogach, co dopiero mówić z sensem, ale maszerował, śpiewając na całe gardło sprośną piosnkę, i wilk słuchał jej z wielką uwagą, bo miała

wiele nowych określeń, których nauczyli go strażnicy Amboruksa. Antoniusz potrafił wykorzystać całą masę wysoce przyzwoitych słów do opisu wielce nieprzyzwoitych czynności. Chłodne powietrze i nocny wiatr otrzeźwiły Antoniusza i obudziły w nim nowe impulsy. Zaczął zwierzać się ze swoich erotycznych przygód.

Wilk słuchał, zastanawiając się, czy kobiety opisałyby Antoniusza z równym zachwytem, jak on sam to czynił.

Dotarli do mostu nad Tybrem. Wartownik poznał i powitał Antoniusza.

- Panie, jest bardzo późno, niemal ósma. Poza kręgiem światła straży nieszczęścia wszelkiego rodzaju czyhają na Zatybrzu.

Antoniusz roześmiał się gromko.

- Jesteśmy uzbrojeni, no nie? - Pokazał na swój hiszpański miecz.

- A teraz, mój przyjacielu, mój bogaty przyjacielu, co ty masz?

Maeniel odchylił togę. Miał na sobie pas i miecz od Mira. Starzec wręczył mu broń, zanim wyruszyli do oppidum na Renie. Dryas stwierdziła, że to wspaniały dar.

„Byłem gotów powiesić go na ścianie, żeby przerdzewiał wraz z resztą, ale prawdę mówiąc, należy się tobie” - rzekł starzec.

Broń i pochwa były bardzo proste, ale obnażone ostrze jarzyło się tęczowym blaskiem. Wydawało się, że rozświetla je jakieś wewnętrzne światło.

Legionista podszedł bliżej, nie wypuszczając włóczni z ręki. Był to potężnej postury mężczyzna, o ciemnych długich włosach, opadających spod hełmu. Miał na sobie kirys podkreślający muskulaturę, pas ze złotych płytek, brązowe naramienniki i nagolenniki.

- Wyciągnij trochę ostrze - rozkazał Maenielowi.

Maeniel zrobił to.

- Galijski, do tego stary! - wykrzyknął żołnierz. - Skąd go masz?

- To prezent od przyjaciela.

- Chciałbym mieć takich przyjaciół - oświadczył legionista. - Jesteś Galem?

- Nie.

- Tylko nie wsadź go komuś w brzuch dziś w nocy.

- Nie wsadzę, chyba że na to zasłuży - odparł Maeniel.

- Tak. Ale nie zapomnij rzucić ścierwa do rzeki. Cezar nie lubi, kiedy cudzoziemcy zabijają obywateli rzymskich lub kiedy noszą ich strój. Togi są

zarezerwowane dla Rzymian i takich szlachetnych panów jak obecny tu czcigodny Antoniusz.

Maeniel uśmiechnął się, a raczej obnażył zęby.

- Postaram się o tym pamiętać - rzekł i udał się mostem za wyśpiewującym Antoniuszem.

Otoczyła ich bieda. Domy tuliły się do siebie, groźnie napierając na ulicę. Wonie były ostrzejsze i podlejsze. Kanalizacja, rozlane wino, ludzki brud, strach, zgniłe jedzenie. Wszędzie cuchnęło seksem, krwią, zepsuciem i śmiercią. Im dalej od rzeki, tym bardziej stromo wznosiła się ulica. Zza szczelnie zamkniętych drzwi tawern dolatywała muzyka: skargi i jęki piszczalek, dudnienie bębnów. Perliste dźwięki strun, trąconych zręcznymi palcami, tańczyły w powietrzu jak krople wodospadu.

Antoniusz przystanął w wąskiej ulicy. Teraz cuchnął nie tylko winem.

- Masz ochoty rozlać trochę krwi? - spytał.

- Myślałem, że idziemy złożyć wizytę jakiemuś Gadzinie. Pamiętasz?

Dziewczynki.

Antoniusz roześmiał się nieprzyjemnie.

- Mój dom jest pełen kobiet. Kiwnę palcem, powiem, że ma lec w moim łóżu, a każda od razu zrzuca suknię. Nie, nie przyszedłem tu dla kobiet.

Odwrócił się, podszedł do drzwi i załomotał w nie.

- Wpuszczajcie mnie. Chcę wina. Pić mi się chce. Wpuszczajcie!

- Panie, nie zapraszamy tu Rzymian - szepnął z wyraźnym obcym akcentem czyjś głos.

Antoniusz kopnięciem otworzył drzwi i jednym uderzeniem pięści powalił niepokąźnego mężczyznę.

Inny wybiegł z cienia, trzymając jednosieczny zakrzywiony miecz. Antoniusz dobył hiszpańskiego oręża. Sparował pierwszy cios, po czym wbił podstawę dłoni w nos przeciwnika. Rozległ się głośny chrzęst. Nos znikł w twarzy, krew chlusnęła z ust i zmiażdżonej chrząstki, zalewając tunikę rannego, Antoniusza i podłogę.

Nawet w ciemności Maeniel ujrzał coś przypominającego wielkiego pająka. Odgadł, gdzie powinna być szyja napastnika. Dobrze, że mu się to udało, bo nóż rozciął mu tunikę na wysokości piersi, szukając serca. Zacisnął dłoń. Może na szyi, może na kręgosłupie. Poczul trzaskające kości. Jedna z nich przebiła skórę i rozcięła mu palce.

Antoniusz roześmiał się.

- Nie liczyłem na taką pyszną zabawę.

Maeniel był zaskoczony jego lekkomyślną brawurą. Sam ledwo rozróżniał kształty i był pewien, że Antoniusz nic nie widzi. Znajdowali się w korytarzu. Kończył się dziedzińcem ukrytym za rogiem.

- Jest ich więcej? - spytał Antoniusz.

- Nie, nie tu - powiedział Maeniel. - Ale pod koniec tego korytarza jest...
wielu.

- Ilu?

- Nie potrafię powiedzieć.

- No, jak wiesz, że tam są, to powinieneś powiedzieć, ilu tam siedzi. -

Antoniusz był poirytowany.

- Czuję ich woń. Dużo więcej niż dwie ręce.

- Ponad dziesięciu? - szepnął Antoniusz.

- Tak. Wyośmy się stąd.

- O nie. - Antoniusz wręcz dławił się z rozkoszy. - Nie bawiłem się tak od tygodni. Nie opuściłbym tego miejsca za skarby świata. - Ruszył dalej.

Za nim Maeniel.

Gordus zaprowadził Dryas do tunelu pod areną. Było ciemno. Szedł pierwszy, niosąc latarnię. Za nim Dryas, potem Marcja. Aquila z drugą pochodnią zamykał mały orszak. W przejściu cuchnęło kocim moczem i smrodem, jakie zostawiają uwięzione zwierzęta. Tunel kończył się rozległym pomieszczeniem, wyłożonym kamieniami. Wyżej była widownia. Stały tam klatki, przeważnie puste - małe, drewniane, ale Gordus zaprowadził ich w głąb. Ujrzeni wielką żelazną klatkę na kołach, tak że można było ją pchać albo zaprząć do niej muły. Potężne cielsko, rozciągnięte za żelaznymi prętami, zdumiewało wielkością w migotliwym blasku pochodni.

Gordus potrząsnął prętem i krzyknął:

- Strach, obudź się! Obudź się i przywitaj z tą damą.

Stworzenie wstało leniwie, weszło bezszelestnie w krąg światła pochodni, uniosło koszmarnie wielki łeb, obnażyło kły i zaryczało.

Dryas cofnęła się o krok, wzięła głęboki oddech i wypuściła go powoli. Zerknęła w bok i ujrzała, że Aquila wytrzeszcza oczy ze zgrozy. Marcja zakryła ust, tłumiąc krzyk. Gordus miał na twarzy kamienną maskę.

Co dziwne, reakcje Marcji i Aquili uspokoiły Dryas. Najpierw dostrzegła niezwykłą urodę zwierzęcia. Jasnopomarańczowa skóra z czarnymi pasami była wspaniała, a wężowa gracja, z jaką mięśnie grały pod krótką sierścią, sprawiała imponujące wrażenie. Tak, był to kot co się zowie. Wielki łeb z białą nastroszoną grzywą pochylił się, jakby chciał dotknąć jej nosem, a dwoje złotych oczu o zwężonych w świetle źrenicach przyglądało się jej bez ciekawości. Stworzenie uniosło łapę i zobaczyła końce straszliwych szablanych pazurów. Wysunęły się leniwie z futrzanych pochew i niespiesznie ukryły z powrotem.

Kot odwrócił się, mimochodem trącił coś nosem i wrócił na słomiane posłanie w kącie.

Dryas przyjrzała się dokładnie szczątkom w klatce i ściągnęła wargi z obrzydzeniem. To była bezkrwista, niemal ogryziona do kości resztką ludzkiego ramienia, jeszcze z dłonią.

- Należy do Antoniusza - wyjaśnił Gordus. - Nazywają go „Strach” i nie bez racji. Jak powiedziałem, służy do mordowania skazańców i żre przeważnie ludzkie mięso, bo Antoniusz karmi go trupami. Powiada, że opłacamy nawet niewolników, więc Strach tym bardziej zasługuje na zapłatę.

- Rozumiem, że będę bezbronna? - spytała Dryas.

- Nie, ale z drugiej strony, co mu zrobisz mieczem? - rzekł Gordus. - Nawet skazańcom wtrącanym do jego klatki zwykle daje się jakąś broń. - Wskazał klatkę pochodnią. - Widzisz, nawet mieczem i tarczą niewiele zdziałasz. Myślę, że to właśnie rajcuje Antoniusza. Kilku skazanych było na tyle dzielnych, że stawiało mu opór, ale nie mieli szans. Żadnych.

- Dziękuję ci, Gordusie - powiedział Aquila. - Doceniam twoją troskliwość. Naprawdę doceniam.

Marcja płakała cicho.

- Mówiłem ci, żebyś nie wtykała nosa w nie swoje sprawy - rzekł z gniewem Gordus. - Mówiłem, że to tylko sprawi ci przykrość. Mówiłem, żebyś się nią nie zajmowała.

- Pst! - Dryas objęła Marcję. - W życiu musiałam stawić czoło gorszym sytuacjom, a wierz mi, śmierć to wcale nie najgorsze, co nas może spotkać. - Pocałowała w czoło starszą kobietę. - Dziękuję ci za twoją dobroć. A teraz postarajmy się znaleźć ukojenie dla Priskusa. Obiecałam mu ostatniej nocy, że uczynię dla niego, co tylko zdołam.

Udali się dalej tunelem, aż Dryas poczuła, że znaleźli się poza obrębem amfiteatru. Nad nimi znajdowały się szyby świetlne wyrąbane w wapieniu. Nocą świeciły w nich tylko gwiazdy.

Weszli do kaplicy pogrzebowej.

- Nie zapraszamy tu ludzi z zewnątrz - powiedział Gordus, osadzając pochodnię w metalowym uchwycie obok drzwi. Aquila poszedł za jego przykładem, osadzając swoją po drugiej stronie wejścia.

Oświetlona komnata przypominała Dryas salę biesiadną i nie bez racji, gdyż zapewne odbywały się tu również stypy. W środku, wokół kamiennego stołu, stały cztery wielkie kamienne łoża. Pod ścianami umieszczono kamienne ławki, przykrywane dla wygody poduszkami; w razie potrzeby znajdowała na nich miejsce większa grupa ludzi. Ściany pobielono i pomalowano. Przeważała czerwień, płomienny szkarłat - kolor welonu okrywającego od stóp do głów oblubienicę podczas rzymskiego ślubu.

U stóp Dryas było zagłębienie, do którego wlewano ofiarne płyny. Miało kształt odwróconego płytkiego stożka.

Dryas obesza dziurę i zbliżyła się do stołu. Nad nim dostrzegła kwadratowy szyb świetlny, a wyżej gwiazdy.

- Tak - powiedziała. - To wystarczająco dobre miejsce. - Widziała je oczyma wyobraźni za dnia. Szyb rozjaśnia łagodnym blaskiem komnatę: ławki, kamienne łożka okryte poduszkami i nawet zasłany stół. Wszystkie miejsca siedzące i leżące zajmują mężczyźni. Główny ofiarnik ma zasłoniętą głowę, w wyrazie szacunku dla zmarłego, i składa ofiary do dziury w ziemi. Rzuca tam chleb, mięso, leje oliwę i wino, aby błogostawionej pamięci towarzysz walk na arenie mógł posilić się i napoić podczas długiej i czasem ciężkiej podróży w wieczność.

A biesiadnicy uczują, dzielą się tym, co przynieśli w koszach z grobu, dają wyraz swojemu dziękczynieniu za to, że mogą nieco dłużej rozkoszować się

blaskiem dnia, chociaż wiedzą, iż kiedyś też będą musieli na zawsze odejść, rozpocząć ostatnią, samotną podróż.

Kochamy - pomyślała Dryas, wspominając swoje miłości. - Kochamy i chociaż miłość nie jest wieczna, dajemy jej wyraz.

- Nawet potężni muszą znaleźć pocieszenie, więc wznieśliśmy tę komnatę - powiedział Gordus. Jego głos odbił się echem od kamiennych ścian. - Nawet potężni zasługują na coś od tych, którzy ogłaszają wyrok, i ci potrafią to uszanować. Kobieto, jeśli musimy odprawić twój rytuał, niech odbędzie się tutaj.

- Dziękuję ci - rzekła Dryas. - Zrobię wszystko, żeby być godną twojej decyzji. - Przeszła do kolumbarium, małego przedpokoju, gdzie w niszach ściennych spoczywały prochy gladiatorów. Niemal od razu znalazła urnę Priskusa i wróciła z nią do głównej komnaty. Urna była długości przedramienia, nieco mniejsza niż amfora na wino. Marcja przyniosła podstawkę na urnę, a Gordus miał przy sobie oliwę i wino.

Aquila, niewiele myśląc, podał Dryas swój sztylet. Metalową rękojeścią rozbiła pieczęć i drewnianą łyżką Marcji zgniotła resztki kości na proch. Zmieszała je z oliwą i winem i umieściła urnę na podstawce, pod gwiazdami migocącymi w szybie.

Odwróciła się z łyżką w dłoni, sięgając po ogień, i zobaczyła, że Gordus, Marcja i Aquila zakryli już głowy połami płaszczy, tak więc poszła za ich przykładem, po czym przytknęła do pochodni łyżkę zanurzoną w oliwie. Oliwa zapaliła się od razu. Dryas wróciła do stołu i cisnęła łyżkę do urny.

Lękała się, że szczątki nie zajmą się ogniem, co byłoby złym znakiem, ale płomienie buchnęły ze środka. Podniósł się dym, niosąc oliwę, wino i pachnidła wylane na stos pogrzebowy Priskusa ku gwiazdom i nocnemu nieboskłonowi.

Dryas uniosła się wraz z nim. Ujrzała Cezara, sprawcę wielu nieszczęść i żalości. Siedział sam, pisząc przy świetle pięcioramiennej lampy z brązu mającej postać sześciu zabijających się gladiatorów.

Uniósł głowę, kiedy duch zjawił się obok niego, jakby czuł, że stał się obiektem penetracji dwóch umysłów.

Jest stary i to powinno stać się dawno temu - pomyślała. Widziała jastrzębi profil, zapadnięte policzki, fałdy skóry na szyi, wiecznie ruchliwe spojrzenie, wnikające w kąty pokoju, jakby chciał ich zobaczyć - zobaczyć i zapobiec ucieczce Priskusa ze szponów chciwej, władczej mocy, która zniszczyła tak wiele i tak wielu.

Lecz oni byli w ruchu, krążyli wokół, i zanim przebył oceany czasu i dostrzegł ich na obrzeżu wieczności, zostawili po sobie tylko nikłe odbicia. Przepadli w nocy.

Dryas zdała sobie sprawę, że patrzy w dół na gwiazdy. Rozciągały się pod nią jak morze. Płonęły miriadami, nad niezgłębionymi odmętami wód i zielonymi kontynentami, sunęły po tysiącach szlaków, rygorystycznych i przewidywalnych od początków czasu, a jednak niepojętych dla niej i jej gatunku.

Potem duch, który kiedyś był Priskusem, rozciągnął się jak dym gasnącego ogniska, kiedy wiatr powieje, i znikł rozproszony w powietrzu. Przepadł, stając się cząstką oceanu gwiazd.

Dryas ocknęła się w komnacie pogrzebowej. Na jej oczach urna pękła i rozpadła się. Prochy zawirowały niczym trąba powietrzna nad pustynią i ogrzane żarem, wypchnięte chłodnym powietrzem komnaty, popędziły szybem ku nocnym przestworzom.

Za nimi, w korytarzu, ktoś zajęczał. Zimno przebiegło Maeniela. To pewnie odezwał się pierwszy nieszczęśnik, który stanął im na drodze. Maeniel był pewny, że dwaj następni już nie żyją.

Antoniusz zdawał się nie słyszeć tych odgłosów. Szedł dalej przed siebie. Kiedy skończył się korytarz, wilk zaczął widzieć, a jak to wilk - widział dobrze. Dziedzinięc roił się od mężczyzn. Siedzieli na poduszkach wokół niskich stołów. Przyglądali się parze tancerzy, chłopcu i dziewczynie. Oboje byli nadzy. Maeniel i Antoniusz zatrzymali się jak wryci, albowiem mieli przed sobą scenę pełną takiego erotycznego napięcia, jakiego nie czuli nigdy w życiu.

Początkowo Maeniel wziął ich za dzieci, ale przyjrawszy się dokładniej, przekonał się, że nie są tacy młodzi. Oboje byli dorośli, chociaż bardzo drobni. Mieli brązową skórę i ciemne włosy. Dziewczyna zajmowała środek sceny, a chłopiec krążył wokół niej, starając się z nią złączyć. Chociaż stała w miejscu, jej ciało falowało w wybornej grze światła i cieni, kiedy obracała się, cały czas zwrócona twarzą ku partnerowi. Początkowo Maeniel myślał, że jest naga, ale miała coś na sobie - węże.

Jeden owinał się wokół jej kibici i można było wziąć go za pas. Ten pas jednak żył i ruszał się. Dwa następne oplotły ramiona dziewczyny i unosiła ręce przy każdym zbliżeniu tancerza, a wąż dźwigał głowę i syczał, rozdziawiając pysk, jakby

zamierzał zaatakować, i chłopiec się wycofywał. Krążył bez ustanku wokół drażniącej się z nim samicy, a ona groziła mu wężami do wtóru zawodzących piszczałek i bębnów wybijających równy rytm.

Na całym dziedzińcu płonęły kosze z węglem, odpędzając nocny chłód. Antoniusz stał u boku Maeniela, chwiejąc się na wpół zamroczony winem, ale Maeniel był trzeźwy. Mimo to dym unoszący się z koszy zamącił mu jakoś w głowie, utrudniając myślenie i zmuszając do patrzenia na parę pośrodku dziedzińca.

Taniec niepostrzeżenie zmieniał charakter. Dziewczyna powoli odchyłała się w tył, rozstawiwszy nogi, aż zawisła niemal równolegle torsem do podłogi. Następnie oparła palce prawej ręki na ziemi i wąż leniwie zsunął się, dał się złapać treserowi i znikł w koszyku. To samo stało się z drugim gadem. Dziewczyna wygięła się w łuk, wspierając na rękach, omiotła długimi włosami ziemię. Pozostał tylko wąż na biodrach.

Jej partner, którego ciało falowało podobnie jak jej, miał pełną erekcję i przysuwał się coraz bliżej do mokrej, czerwonej szczeliny rozwartego sromu. Powstrzymywał go jedynie gad owinięty wokół pasa dziewczyny. Uniósł łeb i otworzył pysk. Od fallusa samca dzieliła go zaledwie odległość dłoni. Maeniel czuł krew kipiącą w żyłach i rozumiejąc sens tańca, stał skamieniały, zahipnotyzowany rytmicznymi ruchami młodzieńca. Wydawało się, że wąż również uległ tej rytmicznej pulsacji, powoli opuścił głowę i zsunąwszy się po nodze dziewczyny, opuścił stanowisko na jej ciele. Samiec wkroczył do ogrodu rozkoszy, przywitany czule u bram pocałunkiem intymnych warg.

Maeniel wykręcił się na pięcie, zdając sobie sprawę, że tamci są nieopodal i że powstrzymuje ich tylko lęk o bezpieczeństwo tańczącej pary. Miał rację. Było ich co najmniej tuzin. Porwał za pas pijanego Antoniusza i pobiegł obok połączonych tancerzy. Wykorzystał wszystkie sztuczki, których nauczyła go Dryas, aby ująć z życiem. Kiedy wyrosła przed nim drewniana brama, rozwalił ją, używając głowy Antoniusza jako tarana. Uciekł, popychając przed sobą na wpół nieprzytomnego mężczyznę.

Lucjusza obudził zły sen. Jak we wszystkich koszmarach okazał się ofiarą losu, ale nie mógł sobie przypomnieć, na czym polegała jego słabość. Spał sam, w przeciwieństwie do większości Rzymian. Kiedy udał się do łóżka, zwolnił Oktusa i

usiadł, opierając się na poduszkach. Czytał, aż zmorzył go sen. Wtedy zdmuchnął lampę.

Teraz, usiłując przypomnieć sobie koszmar, zobaczył światło na krużgankach za drzwiami i otworzył je, zaskakując Oktusa, który zmierzał do pokoju Filona, znajdującego się kilka drzwi dalej. Sługa się odwrócił.

- Co się dzieje? - spytał Lucjusz.

- Nic - odparł Oktus, osłaniając migocące światełko przed nocnym wiatrem. - Szedłem po Odcięte Ucho, bo musi towarzyszyć Filonowi. Kalpurnia pilnie potrzebuje medyka. Chodzi o to, co zawsze. Dostała ciężkiego ataku. Mam nadzieję, że nasze łożenie tam i z powrotem nie obudziło cię, panie.

- Nie, dręczył mnie zły sen. Zobaczyłem światło. - Zdjął płaszcz z haka na drzwiach i otulił się nim szczelnie. Sen rozpływał się, ale Lucjusz potrzebował towarzystwa, chociaż nie potrafił zlokalizować źródła niepokoju. Sen bardzo go poruszył i pozostawił po sobie głęboki lęk.

Tak, Lucjusz zdał sobie sprawę, co go gryzie; lękał się o kobietę, która walczyła z dzikiem. Fulwia niewiele mu powiedziała. Zdawał sobie sprawę, dlaczego nadal stroi fochy. Upokorzył Firminiusza i niewątpliwie dał łapówkę Cezarowi. To, że nie nawiązała słowem do tego ostatniego wydarzenia i nie przyznała się, iż coś o nim wie, tylko potwierdzało jego podejrzenia. Nie chciała mu wyjawić miejsca pobytu Dryas. Wstrząśnięta tym, że brat pokazał charakter, zastanawiała się teraz, jak zagonić go do szeregu. Wedle jej wizji świata jego miejsce było w gromadzie krewnych, którzy mieli słuchać i milczeć.

Jak zwykle wolał uniknąć kłótni i nie wiedział, jak podejść siostrę. Zadowolili się tym, że jutro zażąda wyjaśnień.

Fulwia udała się na kolację do Kleopatry, a Lucjusz zasnął przed jej powrotem. Teraz szedł za Oktusem do pokoju Filona i wymyślał sobie od głupców. Powinien nacisnąć Fulwię, nawet gdyby znaczyło to pranie rodzinnych brudów w obecności całej służby, niewolnej lub wolnej.

Fulwia nie budziła w nim strachu. Jednak bał się Cezara i przypomniał sobie ostrzeżenie dyktatora przed mieszaniem się w jej sprawę.

Filon nie spał i był ubrany, kiedy Oktus wszedł do jego pokoju.

- Co się dzieje? - spytał Lucjusz.

- O tej porze? Nie wiem, ale...

- Kiedy pstryknie palcami, zaraz stajesz na dwóch łapkach - skończył za niego Lucjusz.

Filon utkwiał wzrok gdzieś za lewym ramieniem Lucjusza, na co Oktus odwrócił się do ściany i zaczął pilnie przyglądać się gładkiej powierzchni.

Lucjusz westchnął i widząc składane wojskowe krzesło obok porządnie załanego łóżka Filona, usiadł na nim i złożył dłonie na poręczach.

- Nie traktuj mnie w ten sposób - powiedział. - Czy kiedykolwiek...

Filon uniósł dłoń.

- Proszę, oto jak wygląda sytuacja. Młoda dama, której o los się martwisz, jest zapewne w ludus Gordusa. Fulwia to patronka lanisty i wspomnianą damę najpewniej zamknięto w jednej z cel. Staramy się znaleźć jakiś sposób, żeby jej pomóc, ale jak do tej pory nic nie wpadło nam do głowy.

Na dodatek szlachetna Kalpurnia jest w bardzo złym stanie. To niezwykle chora niewiasta, chociaż nikt w to nie wierzy, nawet jej mąż. Wielu ludzi skarżących się na jej niedomogę i podobne utrapienia zdecydowało się na trepanację, chcąc zlikwidować bóle głowy, wizje, dziwne optyczne fenomeny, które prześladują ich przez całe życie.

- Zaczekaj. Wizje? – spytał Lucjusz.

- Ona nie ma zwykłych bólów głowy - wtrącił Oktus. - Jest coraz bardziej chora. Była przyjaciółką twojej matki. Często towarzyszyłem jej podczas wizyt w domu Kalpurnii. Początkowo to były tylko krótkie... - Zerknął niespokojnie na Filona.

Ten skinął głową.

- Możesz mu bez obawy powiedzieć.

- Krótkie widzenia, po których ślepa na pewien czas. Wymiotowała i miała straszliwe migreny. Nie ciągnęły się długo, ale były koszmarnie bolesne. Rzadko trwają dłużej niż pół dnia, ale to czysta udręka. Najbardziej męczą ją widzenia. Widzisz, przewidziała śmierć twojej matki. Miesiące... nie, lata wcześniej, zanim Sylwia umarła, Kalpurnia błagała ją, żeby przestała pić. Ale jestem pewien, że kiedy spotkały się po raz ostatni, Kalpurnia wiedziała, podobnie jak ja, iż jest za późno. Odgadłem to po jej zachowaniu - rzekł ze smutkiem. - Teraz jest coraz gorzej. Widzi całe tłumy przyjaciół i krewnych, połowę szlacheckich rodzin Rzymu, okrytych krwią, martwych na polach bitew, na stosach pogrzebowych. Jest śmiertelnie przerażona i wierzę, że ma prawo się bać.

Oktus trząś się. Lucjusz wskazał mu niską ławę pod ścianą, na-przeciwko łóżka.

- Usiądź, proszę.

Oktus nie odmówił.

Lucjusz odwrócił się do Filona.

- A co ty powiesz? Jesteś dla mnie wzorem trzeźwo myślącego, sceptycznego, praktycznego Greka. Wierzysz tym wizjom? I, na bogów nieśmiertelnych, nie stój tak nade mną. Usiądź.

Filon przysiadł na łóżku.

- Początkowo uznawałem je za wymysły. Poprzednio spotkałem się z tego rodzaju zakłóceniami pracy organizmu i uspokoiłem Oktusa, mówiąc, że te ataki wywołują u większości cierpiących rozstrój psychiczny, ale po pewnym czasie zacząłem wierzyć, chociaż nie bez oporów, że wizje Kalpurnii są obrazami przyszłych wydarzeń. Zgadza się z tym, co zapowiada bieg wydarzeń, co wiem o rzymskiej polityce, o samym Cezarze i o jego niemiłym przyjacielu Antoniuszu.

Na przykład, dziś w domu twoich przyjaciół, Maniliusza i Feleksa, Antoniusz wywołał ohydny kłótnię z Brutusem. Uważamy, że zrobił to na rozkaz Cezara. Myślimy, że zdaniem Cezara byłoby szaleństwem opuszczać Rzym, pozostawiając w senacie tak silną reprezentację partii optymatów, stronnictwa konserwatywnej arystokracji. Uważamy również, że w tej sytuacji możemy niewiele uczynić. Pozostaje nam tylko przestrzec cię, że masz siedzieć jak mysz pod miotłą. Antoniusz wyrasta na przyszłego spadkobiercę Cezara, ale po prostu nie da się przewidzieć, jak długo Cezar będzie żył. A ci, którzy prorokowali jego klęskę, bardzo często się mylili...

- Aha - powiedział Lucjusz. - Jesteście przekonani, że optymaci naprawdę zawiązali spisek.

- Tak - wtrącił się Oktus. - Nie zamierzam zdradzać ci moich źródeł informacji, ale to sprzysiężenie istnieje, chociaż jego członkom brak odwagi, żeby wyjść poza słowa...

- Z drugiej strony wydaje mi się, że ta kłótnia z Brutusem miała zmusić ich do działania - oznajmił Filon. - Chodziło o to, żeby ujawnili swoje prawdziwe intencje.

- Tak, trafne spostrzeżenie - wtrącił Oktus.

- Nie możemy nic zrobić? - spytał Lucjusz.
 - Jeśli masz jakiś dobry pomysł, proszę, słuchamy – powiedział Filon.
- Lucjusz potrząsnął przecząco głową.
- Uważajcie na siebie. Ja dostałem ostrzeżenie i wziąłem je sobie do

serca.

Filon wstał.

- No cóż, muszę iść. Zniecierpliwiony Odcięte Ucho może być nieprzyjemny.

- To prawda - powiedział Lucjusz. - A ty, Oktusie, wracaj do łóżka. Prześpij się. Filon, obudź mnie po powrocie, zajrzemy do *ludus*.

Oktus odprowadził go do pokoju i oddalił się.

Lucjusz stał i patrzył na śliwkę. Nadal trzymał ją w sznurkowej siatce wiszącej na ścianie. Już powinna się zasuszyć - pomyślał. A przecież za każdym razem, kiedy ją oglądał, była sprężysta i wilgotna. Nie dojrzewała, nie gniła, nie wysychała. Pogłodził ją przez oko siatki.

Nagle pokój wypełniło zimne powietrze i zmieszane wonie ogrodowych róż, lilii, lawendy i fiołków. Chcę do domu - pomyślał, ale opamiętał się i zdziwił. Przecież był w domu. Tu i teraz. Nieprawdaż? To jest mój dom - pomyślał. - Tutaj, prawda?

Ale nie dostał odpowiedzi na swoje pytanie. Zdmuchnął lampkę i zapachy ogrodu pozostały, wypełniając ciemność.

23

Nie było pogoni. Najwyraźniej właściciel tawerny, w której wywołali burdę, zadowolili się tym, że ich przepędził.

Maeniel znalazł spokojną, nadal czynną gospodę i wprowadził do środka staniającego się Antoniusza. Posadził towarzysza na ławie pod ścianą i zamówił wino.

Spróbował go i okazało się całkiem dobre, tylko trochę rozwodnione.

- Mmm - zamruczał zaskoczony.

Oberżysta, umięśniony olbrzym z jednym okiem i masą blizn, powiedział:

- Takie wino jak zapłata. - Maeniel zapłacił srebrem. - Ale trzymajcie te wasze miecze za pasem i bez rozrób w mojej gospodzie.

Dostrzegł plamy krwi na ubraniu Maeniela, rozcięte palce, otarte kłykcie. Do rozbicia bramy dziedzińca trzeba było użyć nie tylko głowy Antoniusza. Dostrzegł też, że goście pod zwykłymi płaszczami mają drogie szaty.

- Tacy szlachetni panowie jak ty i twój przyjaciel myślą, że mogą tu przyjść, naszczać komuś na próg i narobić na podłogę. Myślicie, że nie zobaczymy, że pod tymi waszymi eleganckimi strojami kryją się kloaczne szczury. Ale my nie tacy głupi. Pilnujcie się. Jak narobicie mi jakichś kłopotów, odpłacę z nawiązką. Daję słowo.

Maeniel skinął głową i przyniósł Antoniuszowi wino.

- Rozwaliłeś bramę moją głową. - Antoniusz okrasił to stwierdzenie tak paskudnym przekleństwem, że klient siedzący obok na ławie przesunął się w bezpieczniejsze miejsce. Antoniusz pociągnął wina. - Niezłe - powiedział, oceniając trunek.

- Tak - rzekł Maeniel.

- Przedni z ciebie zabijaka. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś radził sobie tak szybko, kiedy przyszło się wynosić.

- Zabiliśmy tam dwóch ludzi. Bałem się - wyznał cicho Maeniel.

Antoniuszowi udało się zrobić oburzoną minę.

- Oczywiście, że ich zabiłem. Bronili mi wejścia do tego domu. Jestem konsulem. Jedno moje słowo i każdy parszywy degenerat z tej strony rzeki może pożegnać się z życiem, a już ja się postaram, żeby egzekucja była długa i nieprzyjemna. Zrobię, co mi się żywnie spodoba, każę ich spalić, ukrzyżować, rzucić

dzikim zwierzętom albo będą musieli walczyć ze sobą na śmierć i życie, a ja będę miał świetną zabawę.

- Hm, ja bym się tu tak nie ciskał. Konsul czy nie konsul, nic Ci to nie da, kiedy popłyniesz Tybrem twarzą w dół. Więc pij do dna i zjeżdżamy stąd. Właściciel nie wygląda na miłego staruszka.

Antoniusz oświadczył, co może mu zrobić oberżysta, ale niezbyt głośno.

Wino raczej go otrzeźwiło.

- Zabawiłem się dość jak na tę noc - powiedział. - Teraz muszę odwiedzić Cezara. Chcesz ze mną wpaść? Chcesz poznać najpotężniejszego człowieka świata?

Maeniel skinął głową. Bał się, że głos go zdradzi.

Antoniusz ryknął śmiechem, wstał, poprawił pas i zrobił obelżywy gest pod adresem oberżysty.

Maeniel, stojący za plecami Antoniusza, potrząsnął przecząco głową, jakby chciał powiedzieć olbrzymowi: „Nie rób nic, nie warto”.

- Jest pijany - dorzucił.

Oberżysta odprowadził ich wzrokiem, kiedy wychodzili na ulicę, bynajmniej nie wystraszony.

Dom Cezara był daleko od Zatybrza. Pretorianie kolejny raz oddali honory Antoniuszowi. Jeśli zauważyli jego zniszczony strój, nie pokazali tego po sobie.

Było po północy, około dziewiątej godziny wedle rzymskiej miary czasu, kiedy dotarli do domu Cezara. Zza murów rezydencji dobiegały głosy i padało światło. Antoniusz uderzył mocno w drzwi. Otworzył żołnierz.

- Co się dzieje? - spytał Antoniusz. - Wiem, że Cezar siedzi do brzasku przy biurku, ale zwykle poza nim cały dom śpi.

- Szlachetna Kalpurnia dostała ciężkiego ataku - wyjaśnił żołnierz, prowadząc ich do atrium. - Wystraszyła mnie śmiertelnie - dodał cicho. - Nie wiem, co ujrzała, ale ten jej wyraz twarzy i krzyk... - Poglądził amulet, który miał na szyi. - Lzydo opiekuńcza. Wyszła z pokoju i wezwała straż. Kazała przyprowadzić osobistego medyka. Przyszedł i posłał po Filona, ale zanim wróciła do pokoju... Wiem. Stałem obok. Wytrzeszczyła oczy. Jej twarz zbieleła jak płótno, a potem upadła na podłogę i dostała najgorszego ataku, jaki widziałem w swoim... Wyglądała jak pies, który dostał truciznę. Teraz jest z nią trzech medyków.

- Kobiety - mruknał Antoniusz. - Żenisz się z nimi, a one dostają kręćka.
- Chcesz się, panie, wykapać? - spytał żołnierz. - Obaj wyglądacie tak, jakbyście zderzyli się podczas wyścigów rydwanów.

- Cholerny mądrała! - burknał Antoniusz. - Cezar jest nadal przy żonie?

- Och, już dobrą chwilę. Naprawdę wzięło ją strasznie.

O dziwo, łazienka Cezara była skromna, w bieli i zieleni, ale bardzo czysta i wygodna. Kiedy wyszli z kąpeli, Antoniusza zaprowadzono do Cezara, a Maenielowi kazano czekać w ciemnym ogrodzie.

Światła w domu gasły kolejno. Ze swojego miejsca w perystylu Maeniel widział odchodzących lekarzy. Żołnierz przechadzający się portykiem strzegł wejścia do pokoi po tej stronie domu, w której znikł Antoniusz.

Maeniel, zwykle niesłychanie czujny, zdał sobie sprawę z jej obecności, dopiero kiedy siadła obok na ławce.

- Więc podoba ci się mój księżycowy ogród? - szepnęła.

Odwrócił się do niej. Zareagował podobnie jak Lucjusz. Nawet w gęstym mroku jej uroda była uderzająca, chociaż uroda jest i zawsze była złudzeniem. Kobieta miała na sobie grecki chiton, niesłychanie prosty ubiór, w którym ujrzął ją Lucjusz: dwie prostokątne płachty zszyte po bokach i chwyczone u góry zapinkami, tak że zostawały otwory na głowę i ramiona. Wyglądała w nim świetnie. Strój podkreślał pełne, kształtne ciało. Długie włosy miała ułożone z tyłu głowy, ściągnięte białą wełnianą opaską, przysługującą szlachetnie urodzonym damom.

Maeniel przyglądał się, jak zakłada nogę na nogę i splata dłonie na kolanie. Była piękna urodą, która rozświetlała ją od wewnątrz.

- Księżycowy ogród - powtórzył niemal głupawo.

- Tak. - Uśmiechnęła się i poczuł się zaszczycony. - Zaprojektowałam go z myślą, żeby oglądać go przy księżycu. Te rośliny przyswajają sobie jego koloryt. Filozofowie powiadają, że sam księżyc to nic. Świeci tylko odbitym światłem słońca. Ale jego srebrna mgła jest niewyobrażalnie piękna. Spójrz. - Poglądziła jedwabisty srebrzysty liść. - Artemisia, piołun. Mam tu jego kilka odmian. Kapłani używają go do perfumowania olejków i podczas składania ofiar. Ja skrapiam jego esencją wodę podczas kąpieli. A tam ruta.

Roślina przypominała Maenielowi lekki deszcz spryskujący drzewa i głązy. Setki drobnych listków jaśniało prawie niebieską poświatą w blasku, jaki księżyc rzucał zza chmur biegnących po niebie.

- Szanta - tłumaczyła Kalpurnia, wskazując inną roślinę. – Jest używana na choroby gardła, a oto szałwia do kuchni i na perfumy. - Zerwała liść i podała go Maenielowi.

Tak, dla osobnika jego gatunku ten zapach był niemal odurzający. Wilk nigdy nie pojąłby w pełni uroku tej woni, ale człowiek, jakim stał się dzięki Dryas, był ogarnięty bezbrzeżnym zachwytem.

- Rosną tu wszędzie. Widzisz? - Wskazała na wysokie łodygi wyłaniające się spośród srebrnych liści i dźwigające kaskady białych kwiatów. - Waleriana, stara dobra przyjaciółka, i mak. - Tak, dostrzegł delikatne cieniutkie kwiaty za walerianą. - Nowy przyjaciel - dodała.

- Pani, twój ogród jest bardzo piękny, ale czy nie powinnaś być w łóżku? - spytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, nie wiesz, jak trudno jest wymknąć się moim pokojówkom. Teraz pilnują mnie przez cały czas. Filon chce posłać po jakiegoś znajomego Aleksandryjczyka, medyka, który zrobi mi dziurę w czaszce. Jest zdania, że bóle głowy i wizje mogą zniknąć, ale ja powiedziałam mu „nie”. Nie pozwolę przedziurawić sobie głowy. Jeśli Cezar uda się do Partii, wtedy może zaryzykuję. Jestem próżna i cenię sobie urodę. Nie chcę być łysa i brzydka. Poza tym to grozi wielkim niebezpieczeństwem. Mojej siostrze zrobiono coś podobnego. Ciężko zachorowała i umarła. Moja matka przeszła to samo i odzyskała siły po operacji. Bóle głowy i wizje dały jej spokój na długo, ale na starość powróciły, tyle że nie takie uciążliwe. Umarła w późnym wieku i to na zimową niedomogę płuc, nie z winy bólów głowy.

- Tak bardzo go kochasz? - spytał Maeniel.

Roześmiała się. To był aksamitny śmiech, pieszczota dla uszu, ale szybko położyła palce na ustach.

- Ojej, nie wolno mi hałasować. Ktoś może mnie usłyszeć. Och, nie, nie kocham Cezara, ale boję się, że gdy pozwolę przyjacielowi Filona zjawić się w Rzymie, Cezar odłoży wyprawę na Partów. Jeśli mają mi zrobić dziurę w głowie, chcę być sama z bólem i moją brzydotą. Nie chcę, żeby przesiadywał przy moim

łozu. Widzisz, znów będzie wyjaśniał mi sprawy. Od kiedy zjawiała się ona, ta żmijowata egipska królowa, on nie rozmawia ze mną o sprawach państwowych. Chyba ją tym zaszczycą. Gdy ją znalazł, poszłam do świątyni Wenus Genetreks i złożyłam w podzięce ofiarę z gołębi władcy bogów i ludzi.

Tak się cieszyłam, że ją znalazł. Widzisz, nienawidzę jej tylko z jednego powodu. Dlatego, że dała mu dziecko. Ja nie jestem do tego zdolna. Chciał dzieci, nawet dziewczynek. Kochał swoją córkę, Julię. Wielu mężczyzn zupełnie nie zwraca uwagi na dziewczynki, ale on cieszył się bardzo, kiedy przyszła na świat. Wielu małżonków każe zabrać dziewczynki i zanieść je na stopnie świątyni. Przychodzą handlarze niewolników, wybierają najlepsze, zabierają i wychowują tak długo, aż nadają się do sprzedania do burdelu.

- Co dzieje się z resztą? - spytał ogarnięty zgroza. Maeniel. Nikt nie powiedział mu o powszechnym zwyczaju porzucania niechcianych dzieci, tak zwanym wystawianiu noworodków.

- Pewnie psy je zżerają. - Zadygotała. - Niemowlęta są takie bezbronne. Latem zabija je upał, zimą chłód. Chyba nie żyją długo. Często są porzucane koło świątyni Westy. Jedna z kapłanek bogini powiedziała mi, że wiele dzieci zostawianych nocą nie dożywa wschodu słońca. A ta garstka, której nikt nie weźmie, nie ogląda południa. W lecie dzień jest za gorący, w zimie - noc za chłodna.

Ale ja nigdy nie zaszłam w ciążę i po jakimś czasie... byłam zadowolona. Bo... bo... zaczął wyjaśniać mi wiele spraw i boję się, że z chwilą gdy zacznie zabijać swoich nieprzyjaciół w senacie, będzie mi wyjaśniał, dlaczego musiał to zrobić. On zamierza ich... wiesz... zabić. Widziałem to już w wizjach. Mnie to nie przeszkadza... wyjaśnił mi, dlaczego musi to zrobić. Ci filozofowie, których dawniej miałam, czytali mi jego raporty z Galii. Oni wyjaśnili mi, dlaczego musiał robić te rzeczy... wiesz, sprzedawać tak wielu w niewolę. Torturować wodzów, którzy nie szli mu na rękę, nie dawali okupu.

Tak, filozofowie wytłumaczyli to wszystko, a kiedy wrócił, sam wytłumaczył, jak zginął Pompejusz, powiedział, że nie przyłożył do tego ręki. Obserwowałam go i nie czułam się dobrze, kiedy jeden z jego legionów się zbuntował. Wiesz, zdziesiątkowali go, zabili co dziesiątego żołnierza, ale było ich tak wielu. Ścięli ich szybko. Większość bez oporu poddawała się katu.

Nie pojmowałam, dlaczego tak postępują, ale on i Antoniusz wytłumaczyli mi. Kiedy los padł na nich, nie mieli wyboru, więc woleli szybko umrzeć. Tak ich wybierano... losowo. Jeśli stawiali opór albo uciekali, ginęli od miecza, z upływu krwi lub mieli wyprute wnętrzności. Umierali z pragnienia. Smarowano ich smołą i palono żywcem. Zatem lepiej było uklęknąć i podstawić kark pod miecz centuriona. Czasem ci, co czekali, nawet ostrzyli miecze oficerom... Tak mówi Antoniusz. Uznali zdziękowanie za niezbędny element dyscypliny w szeregach.

Ale kiedy tam przyszedłam, trupy... leżały w niewyobrażalnie wysokich stosach... Cuchnęły nieprawdopodobnie. Widzisz, nie mogli ich odpowiednio szybko spalić, a ci, którzy nie umieli się właściwie zachować, którzy nie godzili się ze śmiercią, jak według mego męża powinien godzić się żołnierz, krzyczeli tak... tak...

I, wiesz, żołnierze nie mają żon. To niezgodne z prawem. Wiem, Cezar i Antoniusz też mi to wytłumaczyli. Ale mają kobiety jak żony, nie prawdziwe żony... ale kobiety. A one mają dzieci... jak prawdziwe żony. Błagały i prosiły oficerów, żeby darowali życie ich mężczyznom, ale, oczywiście, tylko narobiły sobie kłopotów i nikt ich nie słuchał... Wybacz mi. Jesteś gościem. Niewątpliwie jako mężczyzna rozumiesz te sprawy dużo lepiej ode mnie.

Maeniel potrząsnął głową, jakby chciał, żeby mu w niej przejaśniało.

- Nie - rzekł. - Nigdy nie byłem żołnierzem i po twoim opisie życia w armii chyba nigdy nie zechcę zaciągnąć się do wojska.

- Czy czekasz na spotkanie z moim mężem? - spytała uprzejmie jak dziecko, które stara się zabawić gościa.

- Nie.

- Boisz się mojego męża?

- Nie. To zapewne dowód głupoty z mojej strony, ale nie, nie boję się go.

- To wielka przyjemność znaleźć się w towarzystwie człowieka, który nie boi się mojego męża i nie chce się z nim spotkać. Czemu w takim razie przybyłeś do Rzymu? Widzę, że niewiele o nas wiesz.

- Szukam kobiety.

- Byle jakiej czy konkretnej?

- Konkretniej. Nazywa się Dryas.

- Ach, tej - powiedziała bez wyrazu. - Pokojówki opowiedziały mi o niej. Dziś przed południem walczyła z dzikiem i pokonała go, ale jutro po południu zginie. Antoniusz chce wpuścić ją na arenę ze Strachem.

- Dlaczego? Kim jest Strach?

- Antoniusz jej nienawidzi. Stracił przez nią pieniądze. Postawił na dzika. Uważa, że zrobiła z niego głupca.

- Dlaczego? Ratując swoje życie?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiadomo, o co im dokładnie chodzi, ale Antoniusz założył się z Cezarem, że ta kobieta nie pokona Stracha. Cezar przyjął zakład.

- Kim jest Strach?

- To wielki kot z Indii. Nazywają go tygrysem. Przypomina lwa. Widziałeś lwa?

- Tak - rzekł.

- Strach jest większy. Ma pomarańczową sierść w czarne pasy. Antoniusz wydaje mu skazańców. Cezar powiada, że zwycięży bez względu na wynik tego starcia. Jeśli ona zabije Stracha, to przysporzy Cezarowi sporo pieniędzy. Jeśli zginie, widok jej walki zagrzeje mu krew. Widzisz, on chce znowu zapłodnić Kleopatrze.

- Nie wytłumaczył ci tego? - spytał Maeniel.

Roześmiała się.

- Nie, nie. Pokojówki rozmawiały o tym, kiedy myślały, że leżę nieprzytomna po makowym wywarze Filona. Mak nie zawsze usypia, chociaż ten, kto go spróbuje, wygląda na śpiącego. Filon ostrzegł mnie przed tym, a przekonałam się, że przeważnie mówi prawdę.

- Czy on też tłumaczy ci różne sprawy? - spytał Maeniel.

- Nie - szepnęła i chyłkiem obejrzała się przez ramię. Wstała. - Chodź. Znam miejsce, w którym możemy porozmawiać bez przeszkód. Szłam tam, kiedy cię dostrzegłam. Przystanąłam tylko po to, żeby porozmawiać o ogrodzie.

- Z tego, co słyszałem, Cezar jest zazdrosnym mężem. Powiedział coś w tym rodzaju, że jego żona winna być ponad wszelkim podejrzeniem.

Znów wybuchła śmiechem i szepnęła:

- Kalpurnio, pst! Nie jest zazdrosny, o mnie już zupełnie nie. A tamto było wymówką, żeby rozwieść się z poprzednią żoną i ożenić się ze mną. Widzisz, spotkał się ze mną na obiedzie u mego ojca. Szukał wtedy czegoś, co by utrwaliło ich przyjaźń i na mój widok uznał, że świetnie się nadam. Jedyнным sposobem, żeby zaciągnąć mnie do łóżka, było małżeństwo, lecz on zawsze dostaje to, czego chce. Zarówno jego przyjaciele, jak i wrogowie przekonali się o tym dawno temu. Pst! Idź za mną.

Nie miał pojęcia, dokąd szła. Ogród z dwóch stron zamykał wysoki kamienny mur, najeżony żelaznymi grotami, po dwóch pozostałych stronach ciągnęły się krużganki, od których odchodziły drzwi do różnych pokoi.

Księżyc świecił jasno przez chwilę i wilk dostrzegł zacieniony kąt, w którym zbiegały się mury. Rosły tam dwa wielkie krzaki róż. Zaczęły właśnie kwitnąć i w mroku widniały białe kwiatuszki.

- Wiesz, że róże można krzyżować? - powiedziała, wskazując krzewy. - Ogrodnik połączył dla mnie dziką i szlachetną odmianę. Są bardzo blade, niemal białe. Przejście znajduje się między nimi. Sprawdźmy, czy jest otwarte. - Ruszyła do kąta ogrodu i... znikła.

Cofnął się. Zbyt długo byłem między ludźmi. Wiem, co tam jest. Ruszył przed siebie i atramentowa ciemność połknęła i jego. Usłyszał jej głos:

- Och, świetnie. Nigdy wcześniej nie pokazałam nikomu tego zakątka. Zastanawiałam się, czy uda ci się tu wejść.

- Tak - odpowiedział półgłosem. - Byłem tu już wcześniej.

Mówił prawdę. Znalazł się tu, kiedy w pogoni za kozicą spadł z urwistej skały. Był bliski śmierci. Ale pamiętał gigantyczne drzewa i wodospad; orlicę i inne paprocie w pobliżu sadzawki wodospadu, mech okalający zbiornik. Ale przede wszystkim pamiętał wodę, która lśniła w ciemności.

Kiedy był tu poprzednio, nie zapadła jeszcze noc, inaczej niż teraz, a gdy uniósł wzrok, gigantyczne sosny nie zasłaniały widoku czystego nieba i półksiężycy unoszącego się samotnie. Tak, ta woda naprawdę lśniła. Zimne niebieskawe ogniki błyskały już u góry skały. Niewyraźne światła spadały do sadzawki, gdzie nabierały takiej mocy, że Maeniel i Kalpurnia widzieli się nawzajem. Jako że stali około piętnastu kroków od sadzawki, światło ich nie raziło, było tylko jasnym tłem dla okolicznych drzew i skał.

Zadygotała, potarła ramiona i powiedziała:

- Powinnam wziąć szal.

Zdjął wojskowy płaszcz. Zsunął z siebie czystą togę i podał ją Kalpurnii.

- Proszę - rzekł. - To zapewne z garderoby twojego męża. Antoniusz i ja kąpaliśmy się w jego łazience i służba dała nam czyste ubrania.

- Kąpaliście się...! Co takiego ci się przydarzyło, że musiałeś wziąć kąpiel? Czy jesteś przyjacielem Antoniusza? - W drugim pytaniu zadźwięczał niepokój. Pośpiesznie uciszył jej obawy.

- Nie, i sędzę, że po dzisiejszej nocy będę trzymał się od niego z daleka.

W pobliżu strugi, która wypływała z sadzawki, leżało kilka głazów. Woda, spadając, świeciła, ale kiedy wiała się po kamienistym dnie strumienia między sosnami, ostry blask gaśł, tak że mogło się wydawać, iż to jedynie tysiące robaczków świętojańskich tańczy nad pluskającymi falami, odpędzając cienie pod gigantyczne pnie.

Kalpurnia wybrała głaz ukształtowany jak krzesło. Maeniel zdecydował się na wielki płaski kamień.

Zrelacjonował wszystko, co wydarzyło się po drugiej stronie Tybru, w tym taniec dwójki młodych ludzi w ogrodzie.

- Hmm, żałuję, że tego nie widziałam. - Westchnęła.

- Nie wiem, czy moralność pozwala cnotliwej żonie...

- Proszę - rzekła, unosząc dłoń w geście nakazującym milczenie. - Kiedy tylko mężczyźni zaczynają mówić o moralności, wiem, że mają ochotę cię pojąć. To, co sami robią - szczególnie z kobietami - się nie liczy. Oni nigdy nie są niemoralni, tylko inni, mężczyźni i kobiety.

Spójrz na Antoniusza. Zapewne uważa, że wdarcie się do tamtego domu to była jedynie świetna zabawa, natomiast ci młodzi tancerze to ohydni degeneraci. Gdyby tylko mógł dowiedzieć się, kim są, ukarałby ich, nie oglądając się na motywy ich postępowania. Zapewne oglądaliście niewolników zmuszonych do odegrania widowiska, lecz jest bardziej prawdopodobne, że to tylko dwójka biedaków zarabiająca na chleb tym swoim płasem.

Maeniel nie podawał w wątpliwość tej oceny. Była nie tylko słuszna, ale również logiczna.

- Chyba to, co robili, tresura, akrobacje i taniec, sprawiało im przyjemność. A jeśli kulminacją całości była wspólna rozkosz, to, no cóż, tym lepiej. Ale chyba muszę iść. - Zaczął się podnosić. - Brzask jest pewnie niedaleko i służące będą cię szukać.

- Och, tu czas nie istnieje. - W jej głosie dźwięczał całkowity spokój. - Zaczęłam tu przychodzić, kiedy nie mogłam dłużej znieść wyjaśnień, bólów głowy, jednym słowem... chyba rozpaczy. Zostawałam na kilka dni, ale po powrocie zawsze okazywało się, że nikt się za mną nie rozglądał. A zegary nie pokazywały upływu czasu. Ani słoneczny, ani wodny, ten w atrium. Tak więc widzisz, nikt nie będzie mnie szukał.

- Co kazało ci stąd wrócić?

- Głód, pragnienie. Widzisz, lękam się tu czegokolwiek skosztować, a przede wszystkim tej wody. - Wskazała na wodospad. – Kiedyś wypłam jej trochę; po makowym naparze mam straszliwe pragnienie. Przez dłuższą część dnia nikt mnie nie widział, ale kiedy pokazałam się w łaźni, moje pokojówki, które zrobiły tam sobie małe przyjęcie, mało nie wyzionęły ducha ze strachu. Życie wśród niewolników to problem. Nawet moje wyzwolenice nie mają do mnie zaufania.

Po prostu Cezar stał się zbyt potężny. Jestem tylko jego księżycem, ale kiedy zaczną ich zabijać, wszyscy będą przekonani, że mam większe wpływy. Oni nie pokażą się u mnie, ale ich żony zaczną mnie nawiedzać, tak jak żony tamtych żołnierzy padały na kolana przed oficerami Cezara, błagając o oszczędzenie ukochanych. Toteż stanę się obiektem pielgrzymek i nikt nie uwierzy, że nie mogę mu pomóc. Nikt nie uwierzy, jak mało wagi Cezar przykłada do moich słów. Nikt nie zrozumie, że moje łzy i błagania są równie bezsilne jak ich. On jest nieugięty. Zniszczy ich niebawem. Wiem, widziałam to w wizjach, a one nigdy nie kłamią.

Rozumiesz zatem, że to miejsce jest moim jedynym azylem. Nie pozwolę Filonowi wydlubać sobie dziury w głowie. Jeśli migreny i wizje ustaną, mogę utracić ten zakątek. Bóle są tak straszne, że muszę sięgać po napar makowy Filona, a wtedy drzwi między różami się otwierają. Ból jest męką, ale bez niego nie znalazłabym tego miejsca. Niebawem, kiedy on zaczną zabijać, zjawię się tu, zaczerpnę wody z sadzawki i zostanę już na zawsze. - Po tych słowach siedziała zamyślona w chłodnym cieniu.

- Jesteś bardzo piękna - rzekł cicho.

- Tak, i to moje nieszczęście. Uroda zwróciła jego uwagę. Ale czy w tym zakątku, w którym nikt nie może nas tknąć, masz ochotę się ze mną kochać?

- Tak. Bałem się zapytać.

- Ja również - rzekła, powstając. Zrzuciła togę, rozpięta zapinki chitonu i miękki strój opadł z szelestem między paprocie.

Maeniel rozłożył płaszcz na ziemi. Podniosła wzrok, skromnie zasłaniając ramionami piersi.

- Czas nie mija tu i mija - powiedziała. - Księżyc jest nisko i chyba niebawem nastanie brzask.

Objął ją i nawet w ciemności odnalazł jej usta. A potem zdał sobie sprawę, że nigdy żadna kobieta nie obdarzyła go i nie obdarzy takim wdziękiem i taką łagodnością. Przytuleni obserwowali wschód słońca nad sosnowym lasem, ciągnącym się aż do horyzontu.

- Idź już - powiedziała i pocałowała go na pożegnanie koło sadzawki. Zanim dotarł do wyjścia, odwrócił się, chcąc po raz ostatni objąć ją spojrzeniem, ale znikła w płomienistym blasku wschodzącego słońca.

Przekonał się, że jest w ogrodzie, i już nie oglądając się, podążył przez atrium ku wyjściu. Odebrał miecz od strażnika, który przydał mu dwóch żołnierzy eskorty do domu Maniliusza i Feleksa.

Niebawem potem Clea, wyzwolenica Kalpurnii, zajrzała do sypialni pani i ujrzała puste łóżko i śpiące pokojówki. Nie obudziła ich. Pani rzadko udawała się daleko. Clea znalazła ją w ogrodzie. Siedziała uśpiona na ławce, odrzuciwszy w tył głowę, oświetloną bladymi promieniami zachodzącego księżyca.

Zaprowadziła Kalpurnię do pokoju, zdjęła z niej strój i rozczesała długie włosy. Kiedy nakładała jej koszulę nocną, zauważyła we włosach pani coś, czego początkowo nie dostrzegła: pęk sosnowych igieł. Łagodnie wyjęła je, położyła Kalpurnię na łóżku i okryła.

Wyglądała jedwabny chiton, gdy wypadł z niego wyschnięty liść paproci. Clea zaniósła liść i igły do kosza płonącego w kącie, po czym dotknęła amuletu na szyi. Oddawała cześć wschodniej bogini i jako że brała udział w misteriach, ceniono jej usługi.

Inne wyznawczynie chętnie kupowały swoje siostry w wierze, uznając, że takie niewolnice są wartościową inwestycją. Można właścicielki ufały im

bezgranicznie. Tak było i z Clea. Kalpurnia wiedziała, że ma w niej oddaną powiernicę.

Przez chwilę zapach sosny wypełnił sypialnię. Brązowe igły rozpały się do czerwoności i spopieliły. Nie pierwszy raz wydarzyło się coś takiego. Clea już poprzednio znajdowała resztki tych roślin we włosach i ubraniu pani. A wiedziała przecież, że ani sosny, ani paprocie nie rosną w ogrodzie.

Kiedy Filon wrócił od Cezara, udał się do Lucjusza. Było chłodno i świt zbliżał się spieszными krokami. Lekarz zajązwał do Oktusa. Starzec spał. Alia wyszła na spotkanie Odciętego Ucha. Burczał coś pod nosem, ale nie zwracała na to uwagi i zapędziła go do łóżka.

Lucjusz nerwowo przechadzał się po pokoju, ale udawał, że jest zupełnie spokojny.

- Myślisz, że powinienem się wykapać? - spytał.
- Tak.
- Dlaczego?
- Kobiety wolą wykąpanych.
- To wcale nie ma żadnego związku z nią - rzekł wyniośle Lucjusz.
- Czyżby?
- Tak!
- Weź kąpiel! - powiedział stanowczo Filon.
- Tylko bez pachnideł czy pomady!
- Dobrze. Wykąp się.
- Ogolić się?
- Kobiety wolą ogolonych.
- Ani mi się śni budzić Oktusa. Sam się ogolę.
- Nie, lepiej obudź Oktusa, niż miałbyś poderżnąć sobie gardło. Poza tym mógłby to źle odebrać, gdybyś nie skorzystał z jego usług. Byłby urażony. Głęboko urażony.
- Czasem ręce mu się trzęsą.
- Dlatego że boi się twojej siostry. A poza tym ty również budzisz w nim lęk.
- To chyba nie komplement? Prędszej obelga. Cezar powiedział...

- Nie wyjeżdżaj mi z Cezarem. - Tym razem Filon uderzył w wyniosły ton.
- Jak mam codziennie słuchać głębokich myśli dyktatora, to pakuję manatki i wracam do Grecji. Na wszystko można spojrzeć z różnych punktów widzenia. Bywa, że najbardziej szlachetny i godny pochwały zamiar okazuje się w najlepszym razie głupi, a w najgorszym - bezsensowny i nieszczęśliwy.

Oktus boi się ciebie, bo jak niemal każdy w tym domu zauważył, że bywasz poirytowany, pogrążony w depresji czy zły, ale wie, że nie jesteś zawzięty, a już w żadnym razie okrutny. Twoja siostra jest mściwa, zawzięta i wyjątkowo okrutna.

Teraz wykąp się, ogól i ubierz. Ta kobieta jest w domu Gordusa. Widziano ją tam niedawno i ogólnie wiadomo, że po południu w koszarach gladiatorów zapowiada się wydarzenie wykorzystujące jej... umiejętności. Prywatny pokaz dla Cezara, Antoniusza i setki jego przyjaciół, senatorów i ekwitów.

- Och, nie!
- Tak. Wezwę Oktusa.
- A Odcięte Ucho...?
- Niech się wyśpi albo robi to, na co tam mają ochotę z Alią. On może ci się przydać po południu.

Nie upłynęło wiele czasu, a Lucjusz i Filon udali się do *ludus*.

Krótko potem Aquila obudził Dryas. Podał jej kielich ciepłego napoju przez kratę celi.

- Posca? - spytała.
- Nie, to napój Marcji. Nie wiem, co to jest. Od *poscy* możesz się porzygać. Wiem, bo przytrafiło mi się to, kiedy służyłem w legionach. Ale *poscą* się nie upijesz. Wiem, próbowałem.

- Za to udało ci się zwymiotować - powiedziała Dryas.

- Tak, to świństwo.

Dryas spróbowała napoju Marcji, białego wina z ziołami. Poczowała smak mięty.

- Smaczne - powiedziała.
- Prawie wszystko jest lepsze od *poscy*, ale nie wiem, czy wciąż będziesz w takim dobrym nastroju, kiedy zejdziesz na dół do tego... Lucjusza.

- Kim on jest?

Aquila miał taką minę, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Przeszł na nogi na nogę i gryzł wargę.

- To pewnie... pewnie twój prawdziwy właściciel.

Dryas spojrzęła na niego.

- I...?

- Brat Fulwii, kobiety, która zapłaciła mi za pojmanie ciebie.

- Czego chce?

- Nie wiem, ale gdyby chodziło mu o to, o czym myślę, to... - Podał Dryas jeden ze sztyletów, zarekwirowanych podczas przeszukania.

Odepchnęła broń.

- Nie, czas na takie rzeczy minął. Nie mogę wydostać się stąd w ten sposób.

- Czemu nie?

- Chodzi o twoje bezpieczeństwo, bezpieczeństwo Gordusa i Marcji. A oni mają syna i zamężną córkę, która z kolei ma już własne dzieci. Honor nie pozwala mi, żeby inni płacili za mój brak odpowiedzialności. Tak więc, proszę, zamknij drzwi i pozwól mi się ubrać.

Aquila pokręcił głową i cofnął się.

Dryas ubrała się. Cela znacznie zmieniła się na korzyść. Marcja zmieniła pościelenie, spaliła siennik i prześcieradła, na których umarł Priskus, znalazła dla Dryas ubranie: czystą tunikę - co prawda uszytą z używanego materiału, ale ufarbowanego na kolor ciepłej ochry, *pallę* z dobrej wełny - owszem, spraną i znoszoną, ale zacerowaną i ufarbowaną na granatowo, a także obszytą na brzegach. Do tego doszły sandały z wąskimi paskami, krzyżującymi się na podbiciu, i para wełnianych skarpet.

Dryas ułożyła włosy na miedzianym diademie, jak wczoraj zrobiły to pokojówki Fulwii. Otuliła się *pallą* i krzyknęła do Aquili:

- Jestem gotowa!

Otworzył drzwi kopnięciem. Miał zacięty wyraz twarzy, nabiegłe krwią policzki. Zerwał z Dryas szatę i związał jej dłonie za plecami, po czym narzucił *pallę* z powrotem na ramiona i popychając, nakazał jej iść.

Na półpiętrze potknęła się. Złapał ją za ramię, zdając sobie sprawę, że skrępowana narobi sobie krzywdy. Ale nie zdjął więzów. Jedyne podtrzymał ją, dopóki nie znaleźli się na dole, gdzie oczekiwała ich Marcja.

- Aquila, przestań już! Jeśli zamierzasz robić z siebie głupca, wynoś się do swojego gospodarstwa w Kampanii.

- Ona nawet nie chce się bronić! - Rozsupłał więzy.

Marcja uściskała Dryas i pomogła jej okryć się *pallą*. Wyglądała na zasmuconą.

- Tak, nie będzie się bronić. Ja też się nie broniłam. Czasem kobiecie nie wolno myśleć o własnym bezpieczeństwie. Ja musiałam myśleć o matce i młodszej siostrze. Ona ma nas.

- Ze wszystkich ohydztw w tej ohydnej sprawie ta jest najohydniejsza. - Aquila zacisnął dłonie w pięści. - Chce ją mieć, zanim stanie naprzeciwko tego... tego... stworzenia.

- No cóż, chyba potem nie na wiele mu się przydam - powiedziała Dryas.

Marcja zaczęła się śmiać. Uściskała Dryas, a potem otarła łzy.

- Kiedy było po wszystkim, matka pomogła mi się umyć. Krwawiłam trochę. Miałam tylko czternaście lat. Wzruszyłam ramionami, popatrzyłam na nią trzeźwo i powiedziałam, że był niespecjalny. Nie odbiegłam daleko od prawdy, był niespecjalny, ale i tak bolało. Tak więc nakłamałam, ale powieka ani mi drgnęła. I dobrze. A kiedy będzie po wszystkim, mam trochę owsianki, bekonu i świeżo pieczonego chleba, a ty, Dryas, możesz położyć się na pryczy w kuchni. Gordus i mój chłopak wyszli. Będzie mi miło, kiedy dotrzymasz mi towarzystwa do popołudnia.

- No cóż, ja nie mam czternastu lat i on nie będzie miał okazji pomyśleć, że sprawiło mi to przyjemność - odparła ponuro Dryas. - Może nie będę się opierać, ale są inne sposoby okazania tego, co się czuje, i nie pożałuję mu żadnego. Tak więc postaw owsiankę na ogniu. Wrócę niebawem.

Tym razem Aquila szedł pierwszy.

Kiedy Marcja odwróciła się w kierunku kuchni, zobaczyła psa. W życiu nie spotkała takiego olbrzyma.

- Bardziej z ciebie wilk niż pies - szepnęła pod nosem. Była odważną kobietą. Wśród ludzi skazanych na *ludus* trafiały się niebezpieczniejsze potwory niż jakikolwiek wilk.

Koło drzwi trzymała stary miecz. Był nieco mniejszy niż broń legionistów, niemniej jednak wystarczyło jedno cięcie, aby człowiek lub zwierzę stracili głowę. Krzywe, jednosieczne ostrze było tak lekkie, że nawet kobieta mogła się nim obronić. Dobyła go z pochwy i stawiła czoło psu.

Ale ten zachowywał się tak, jakby zrozumiał jej komentarz. Zbliżył się bokiem, z podwiniętym ogonem, wywieszonym jęzorem i popiskując nieśmiało.

Westchnęła i pokręciła głową.

- Jeszcze jeden z pustym żołądkiem. No dobra, nie łaż nigdzie. - Pozbierała resztki jedzenia i wrzuciła je do miski. Niektóre już nadgniły, ale dla psa były to smakołyki.

Odwróciła się, z miską i ujrzała przed sobą potężnie zbudowanego mężczyznę, pozbawionego wszakże jakiegokolwiek przyodziewku.

W jednej ręce trzymał ściereczkę i osłaniał nią strategiczny obszar. Drugą wyciągnął w proszącym geście. Przemówił niezwykle grzecznie po łacinie:

- Proszę, wybaczyć, że zakłócam ci spokój o tak wczesnej porze. Może mogłabyś użyczyć mi kawałka materiału nieco większego od tego? Chciałbym również spotkać się z Dryas. A może jeszcze byłabyś tak łaskawa i sprawdziła, czy nie masz odrobiny owsianki i nieco bekonu. Moja wdzięczność nie miałaby granic. Tak się składa, że byłem na nogach przez całą noc i...

Musiał przerwać tę przemowę i dokończyć ją nieco później, gdyż Marcja zemdląca.

- Nie zamierzam mu nic ułatwiać - warknął Aquila.

Zaprowadził Dryas do komory wychodzącej na arenę. Wyjście przesłaniała krata. Podobnie wejście. Aquila zamknął Dryas w środku. Sklepienie było półokrągłe. Obecność żelaznych zabezpieczeń sugerowała, że trzymano tu zwierzęta, a powietrze przenikał smród kocich odchodów, chociaż podłogę zmieciono do czysta. Niewątpliwie przyszykowano to miejsce dla tygrysa.

Dryas była gotowa na to, co ją czekało. W głębi tunelu zjawił się Aquila, prowadził dwóch mężczyzn. Natychmiast ich poznała. Jednym z nich był medyk,

który opatrywał jej opuchniętą kostkę, drugim towarzyszący mu łąziebny. Tyle że ten łąziebny był odziany o niebo lepiej niż poprzednio.

Dryas podeszła ku nim i zatrzymała się przy kracie. W korytarzu płonęła pochodnia. Dryas spojrzała na Lucjusza i Filona z głęboką dezaprobatą.

- Po co ta przebieranka? - Patrzyła Lucjuszowi prosto w oczy, jak poprzedniego dnia. - Czemu po prostu nie powiedziałeś od razu, kim jesteś?

Lucjusz poczuł suchość w ustach i pustkę w głowie. Popatrzył na towarzyszących mu mężczyzn. W niczym mu nie pomogli. Aquila miał zacięty wyraz twarzy. Mina Filona mówiła mniej więcej: „Radź sobie sam”.

- B-bo - jąkał się Lucjusz - wszystko, wszystko było lepsze od nienawiści w twoich oczach, nawet litość.

Dryas uśmiechnęła się.

- Czemu zważałeś na to, co myślę?

- Bo ja... Nie wiem, co powiedzieć. Normalnie mężczyzna nie musi robić tego sam... bez pomocy.

Dryas wyciągnęła dłoń przez kraty i ujęła jego dłoń. Uniósł ją do ust.

- Teraz powiedz mi, czego chcesz - rzekła ze spokojem.

- A jak myślisz, czego?

- Chcesz lec ze mną, za moją zgodą lub bez niej.

- Nie. - Pokręcił przecząco głową i ujął jej dłoń w obie ręce. - Przeszedłem tu prosić cię, żebyś została moją żoną.

Aquila miał taką minę, jakby wydawało mu się, że się przesłyszał. Nawet Filon był wstrząśnięty.

Lecz Dryas wytrzeszczyła oczy ze zgrozy. Puściła *palłę*, która upadła na podłogę. Przesunęła lewą rękę przez kratę i pogładziła go po policzku.

- Albo to oszustwo, jakiego świat nie wiedział, albo nic nie wiesz! - szepnęła.

Szczerze spojrzenie Lucjusza wykluczało jakiegokolwiek oszustwo. Oddzielała ich tylko krata. Zakrył dłonią jej rękę na swoim policzku.

- Czego nie wiem? - Jego twarz nagle zbladła z gniewu i ze strachu i straszliwym głosem, którego nawet Filon się nie spodziewał, krzyknął: - Czego nie wiem?

24

Gordus spoglądał z zachwytem na świat, kiedy szedł z Martinusem przez Forum. Niebo było błękitne, a wysokie białe obłoczki nie przysłaniały jasnych, ciepłych promieni słońca.

- Myślisz, że dostaniemy się przed oblicze Cezara? - spytał Martinus.
- Nie wiem - odparł Gordus. - Teraz rozpatruje tak wiele petycji, że nie spodziewam się, aby się nam udało, nawet gdyby nas wysłuchał.
- Przecież musi mieć jakieś poczucie sprawiedliwości - zaproponował Martinus.
- Mój synu, nie apelowałbym do jego poczucia sprawiedliwości. W przypadku tak potężnego władcy to bezcelowe.
- Masz rację. Nie będę się wtrącał. Nie jestem za bardzo wygadany. Pewnie język by mi się poplątał i wyszedłbym na głupca.
- Co ci powiedziała? - spytał Gordus. - Czy odczytała twoje przeznaczenie?

Martinus zamyślił się.

- Nie wiem, co powiedzieć. Początkowo wydawało mi się, że jej słowa niewiele znaczą, takie przynajmniej odniosłem wrażenie.
- Jakie słowa?
- Zaraz.

Ominęli sprzedawcę chleba z mięsem - który przechadzał się z koszem na głowie - a potem musieli okrążyć starego weterana handlującego, co dziwne, kwiatami. Siedział na stopniach świątyni Westy z koszami róż, lili, fiołków i narcyzów, a także donicami ziół, które mogły rosnąć na balkonach, parapetach i dziedzińcach - szaławii, bazylii, słodkiego majeranku i nawet kopru o długich łodygach.

- Poprosiła o swój miecz. Aquila poszedł po niego. Dobyła go z pochwy i kazała mi położyć dłonie na ostrzu. Po chwili podniosła go. Moje palce zostawiły ciemne ślady. Powiedziała, iż racja była po twojej stronie. Nie jestem zrodzony do miecza. Ogarnął mnie smutek, bo darzę cię wielkim szacunkiem i bardzo chciałem...

Przystanęli, znaleźli się bowiem przed świątynią Wenus i chodnik zasłala chmara gołębi wypuszczona z gołębnika.

Stara kobieta próbowała sprzedać im woreczek ziarna.

- Nakarm jej gołąbki i oddaj cześć - powiedziała. – Obdarzyła cię gładkim liczkiem, młodzieńcze, i pewnie ukochała. Teraz ty poproś ją o szczęście w miłości.

Martinus uśmiechnął się i Gordus pomyślał: Jaki on przystojny. Ma kasztanowe włosy, tak delikatne i miękkie, że wiatr się nimi bawi, duże migdałowe oczy, długie rzęsy, piękny uśmiech, wysokie silne ciało, obdarzone gracją młodości. Skonałbym, widząc go w amfiteatrze z mieczem w dłoni. Mój duch, odcięty od korzeni ciała, spocząłby w ciemnościach i nigdy by się nie podniósł. Dziękuję, Dryas. Dziękuję.

Martinus dał starusze miedziaka i odebrał od niej mieszek z ziarnem. Usiedli z ojcem na stopniach świątyni i karmili gołębie. Po drugiej stronie ulicy stał dom, którego bramę pomalowano w pasy czerwone i żółte, barwy Cezara.

- Jak powiedziałem, bardzo chciałem być taki jak ty - rzekł Martinus - ale ona oświadczyła: „Nie, stał cię odrzuca. Spójrz na ślady, które zostawiłeś na ostrzu”. Potem położyła ręce na moim torsie i zamknęła oczy. Najpierw się zachmurzyła, a potem uśmiechnęła i długi czas stała nieruchomo. Następnie wskazała na próg. Zjawiała się na nim dziewczyna. Była piękna, najpiękniejsza, jaką widziałem w życiu. Uśmiechnęła się do mnie i znikła. A po chwili usłyszałem śmiech dzieci. Wtedy Dryas zapytała mnie, czy chcę tworzyć muzykę.

- Jaką muzykę? - spytał Gordus.

- Muzykę, którą słyszę przez cały czas - odparł Martinus. – Nie pamiętam, żeby kiedyś umilkła mi w uszach. Śpiewałem w kołysce i kiedy pełzałem po kuchni za mamą. Czasem, kiedy posłucham jej dłużej, potrafię ją zapamiętać i powtórzyć przyjaciółom. Nie wyobrażam sobie, żeby kiedyś ucichła, ale nigdy nie mówiłem o niej mamie ani tobie, bo się bałem, że mnie wyśmiejesz.

- Nie wyśmieję - powiedział Gordus. - Nie. - Szare oczy mieniły się blaskiem miłości. - Nigdy bym cię nie wyśmiał. To coś bardzo ważnego. Więc co z tą muzyką?

- Dryas zapowiedziała, że jeśli dalej będę ćwiczył, aby zostać gladiatorem, to po pierwszym publicznym pojedynku muzyka opuści mnie na zawsze. Powiedziałem, że już wolałbym umrzeć, niż narazić się na coś takiego. Odpowiedziała, że wie o tym, ale dlatego tak długo trzymała dłoń na moim torsie. Ta muzyka cechowała się niezwykłą pięknnością i ona też ją słyszała. Powiedziała, że dziewczyna w progu zostanie moją żoną i czeka nas długie, szczęśliwe życie.

Spłodzę wiele dzieci i będę wszystkie kochał, a one odwdzięczą mi się miłością. Muzyka będzie towarzyszyć mi przez całe życie i życie moich następców aż po kres czasu. Ale to się nie spełni, jeśli wybiorę drogę miecza.

Za nic nie narażę się na utratę muzyki. Nie mógłbym bez niej żyć.

Ani ja bez ciebie - pomyślał Gordus.

- Coś wymyślimy - powiedział.

Obok przebiegli tragarze dźwigający bardzo drogą lektykę z kolumnkami z kości słoniowej i złota, i z purpurowymi zasłonami. Gołębie zerwały się, gruchając i łopocąc skrzydłami. Z mieszka wyrzało dno.

Gordus się podniósł.

- Idziemy do Cezara.

Ku jego zaskoczeniu dyktator nie kazał im długo czekać. Przywitał ich uprzejmie.

- Tak, jeśli się nie mylę, widziałem tego młodzieńca w twoim pokazowym pojedynku - rzekł. Martinus nadal nosił bandaż na ramieniu. - Nie jest takim szermierzem jak ojciec, ale trudno tego oczekiwać. Czy zamierza iść w twoje ślady?

Martinus zarumienił się i wymamrotał:

- Nie, nie sędzę.

- Zapewne z zyskiem dla siebie - powiedział Cezar.

- Tak - rzekł Gordus. - Panie, przybyłem w sprawie tej kobiety, która jest w moim *ludus*.

Cezar, witając się z nimi, odwrócił się od biurka. Teraz obejrzał się niecierpliwie na pergaminy i papirusy, które za nim leżały.

- Tak, o co chodzi? Zaprosiłem pewnych ludzi na dziś wieczór, żeby obejrżeli jej walkę. Czy ona i to stworzenie, lew czy jak mu tam, są gotowi?

- To tygrys, Cezarze, i przybyłem, gdyż wypuszczenie jej na arenę z taką bestią to zwykłe morderstwo.

Cezar uniósł brwi. Skinieniem dłoni zwolnił dwóch sekretarzy, nadal oczekujących poleceń, i wsparł ręce na kolanach.

- Mocno powiedziane - wycedził.

- Nie sędzę - powiedział Gordus. - Ta młoda dama nie jest zbrodniarką.

O ile wiem, żaden rzymski sąd nigdy nie skazał jej za zbrodnię zasługującą na *dammano ad bestias*, to jest rozszarpanie przez dzikie zwierzęta.

- Wiem, co to jest - przerwał mu Cezar. - Nie będziesz uczył mnie prawa.
- Tak, nigdy bym się nie ośmielił, ale pragnąłbym usłyszeć wyraźnie, jaki ona ma status. Ten żołnierz, Aquila, powiada mi, że pojmano ją podczas ataku na miasto rządzone przez naszego sprzymierzeńca, Cynewolfa, i wbrew jej woli porwano do Rzymu.

- Masz wrażliwe sumienie, Gordusie, jak na lanistę i eksgladiatora. - Cezar wstał i podszedł do tej strony gabinetu, która sąsiadowała z ogrodem. Wiał wiatr, łopocąc długimi lnianymi zasłonami i grzechocząc kółkami karniszy. - Gordusie, wiem, kim jest ta, jak ją nazywasz, młoda dama, i mogę opowiedzieć ci o niej więcej - rzekł, odwracając się do niego. Odruchowo pogładził się po łysiejącej głowie. - Mogę opowiedzieć ci więcej, niż ona miałaby ochotę wyjawić.

To Kaledonka. Pochodzi z plemienia, które zamieszkuje najdalsze tereny Brytanii, wysokie góry, oddalone od reszty. Jej plemię jest uważane za najbardziej zaciekle, okrutne i przestępcze nawet wśród zaciekłych i dzikich ludów Białej Wyspy. Nie mają bogów i czczą tylko zmarłych przodków. Uważają, że wszyscy są równi, także kobiety, i dlatego szkolą swoje niewiasty w sztukach walki i mordowaniu. Tak córki, jak i synów. Uczą je jeździć konno, polować, władać mieczem i tarczą.

Uważają, że każdy człowiek jest równy, i nie stawiają tamy swoim namiętnościom, równie łatwo śmieją się jak płaczą, okazują gniew i grozę. Są niestali i nieopanowani, dzicy i nieskrępowani jak wilki z dolin lub orły unoszące się między turniami. To wydarzenie w amfiteatrze upamiętni nasze zwycięstwa. Kiedy skończę z Partami, powrócę na Białą Wyspę.

Chciałbym ujrzeć, jak walczy ta Kaledonka. W Brytanii osaczyliśmy jedną z ich wilczyc, ale dopiero kiedy wyzionęła ducha, dowiedzieliśmy się, że to kobieta. Kiedy powrócę, pojmem tylu Kaledończyków, ilu się da, i przywiodę ich tu, mężów i kobiety, żeby walczyli i umierali ku naszej rozrywce. Tak jak teraz ta kobieta ku mojej. Pojmujesz, Gordusie?

- Tak - odparł lanista. - Tak mi się wydaje, ale czy przynajmniej pozwolisz, panie, aby podczas walki ze Strachem dysponowała własną bronią i miała cię szansy? Tak zwą tę bestię, Strach. Kolczuga, w którą szlachetna Fulwia pragnie ją przyodziać, jest węższa od zwykłego płótna. Pozwól jej na skuteczniejszą zbroję.

- Gordusie, przyprawiasz mnie o znużenie, a to niedobrze wróży tobie i tej kobiecie. Następnym razem będziesz mnie namawiał, bym wysłał ją na arenę z kohortą żołnierzy, która osłoni ją od wszelkiego nieszczęścia.

- Chyba nie chcesz, panie, by zginęła w ciągu paru chwil, prawda?

- Nie - rzekł z namysłem Cezar. - Jeśli to w ogóle możliwe, chciałbym, aby przeżyła.

- Mam doświadczenie w tej materii - powiedział Gordus. - Pozwól mi odziać ją w zbroję.

- Nagość doda smaczku widowisku! - zaprotestował Cezar.

Gordus przełknął ślinę.

- Obiecuję, że Kaledonka będzie wyglądać niezwykle ponętnie.

Kiedy wyszli na ulicę, Gordus nie zachwycał się już tak bardzo pogodą i miał wrażenie, że słońce świeci mniej jasno niż poprzednio.

- Nie udało ci się - ocenił audiencję Martinus.

- Nie, chłopcze, nie masz racji. Połowa bochenka to lepsze niż nic, zwłaszcza kiedy masz do czynienia z takim człowiekiem jak Cezar. Nie liczyłem, że zyskam tak wiele, bo udało mi się pokonać tę sukę Bazylich, która życzy rychłej śmierci naszej małej kapłance. Zrobię dla niej, co w mojej mocy. Jest wspaniała. Tu Cezar miał rację.

- Czy inne rzeczy, które o niej mówił, są prawdziwe? Co znaczą tamte słowa o upamiętnianiu naszych zwycięstw?

- Nie wydaje mi się. Czy odnosisz wrażenie, że Dryas brak panowania nad sobą czy odwagi?

- Nie - odparł Martinus. - Aquila rzekł mi, że ona jest sędzią wśród swojego ludu, co oznacza, że mają prawa.

Gordus skinął głową.

- Kiedy napomknął o upamiętnieniu naszych zwycięstw, to poczułem się tak, jakby splunął mi w twarz. Mój ojciec uprawiał ziemię w Kampanii, aż wygnali go żołnierze mający za sobą decyzję senatu, na mocy której przydzielano nasze tereny weteranom Pompejusza. Jestem takim dobrym Latynem jak każdy senator. Mój dziad stanął po stronie Grakchów, kiedy usiłowali przeprowadzić reformę rolną. Ojciec był dzierżawcą w Kapui, kiedy w majestacie prawa odebrano mu ziemię z inicjatywy samego Cezara i nasza rodzina zesłała na psy.

Więc udaliśmy się do Rzymu i usiłowaliśmy żyć jak reszta plebsu, z rozdawanego chleba. Chleba i igrzysk, tego według naszych władców potrzeba rzymskiemu ludowi, ale to przywiodło go do zniszczenia, i myślę, że ojciec i dziadek woleliby raczej swoje gospodarstwa niż worki chleba i wielkie igrzyska. Już w Kapui stałem się lanistą, w tym samym *ludus*, z którego niegdyś wyszedł Spartakus, i przysiągłem, że godzę się na palenie ogniem, zakucie w kajdany, chłostanie różgami, śmierć od miecza, jeśli okażę nieposłuszeństwo mojemu panu. Zrobiłem to dla pieniędzy, których potrzebowałem, żeby uchronić przed nędzą matkę i brata, ale nigdy nie pragnąłem takiego życia dla ciebie.

- A matka? - spytał Martinus.

- Milcz. To, co przydarza się mężczyznom, może być roztrząsane na głos, ale los kobiet... to inna sprawa. Powiem tyle: bawiliśmy się razem jako dzieci, a ona mieszkała tylko dwie ulice dalej, w tym samym miasteczku co ja, i w jej żyłach płynie latyńska krew, jak w moich. Ale na arenie czasem walczyłem jako Gal, czasem jako Samnita, a raz czy dwa jako Trak - przedstawiciele plemion podbitych przez legiony.

Niemniej nie pojmuję, co Cezar zamierza upamiętnić, chyba że ma na myśli narzucenie ludowi niewolniczego jarzma i wprężenie go do rydwanu absolutnego władcy. To mu się udało. Nadal chcesz być szermierzem i przelewać krew swoją i towarzyszy, ku rozrywce ludzi jego pokroju?

- Już wolę muzykę - wyznał Martinus.

Kłótnia, która wybuchła, okazała się dużo bardziej zażarta niż pojedynek z tygrysem, chociaż miała o wiele skromniejszą widownię. Filon, jej świadek, uznał, że jeszcze nigdy nie widział takiej bezpardonowej rodzinnej awantury, od której sypały się dachówki, okiennice grzechotały, a w uszach pękały bębunki.

Lucjusz i Dryas okazali się przeciwnikami wprost stworzonymi dla siebie. Nie ustępowali sobie nawet odrobinę, kiedy rozdzieleni jedynie żelaznymi prętami darli się jak opętani, nie żałując gardeł.

Lucjusz z miejsca chciał narzucić swoją wolę i zażądał od Dryas, żeby z nim uciekła. Już!!! Wsiądną na statek w Ostii. Już!!!

I mają zostawić jego przyjaciół i rodzinę na pastwę wściekłości Cezara, Fulwii, nie wspominając o Antoniuszu?! Czy on oszalał?! Ona ma swój honor! A

honor wymaga, żeby umieć się zachować w pewnych sytuacjach! Czy on tego nie rozumie?

A co za honor może mieć kobieta z barbarzyńskiego plemienia?! Dzięki bogom nieśmiertelnym za tę kratę - pomyślał Filon. Nie ze względu na Dryas. Ze względu na Lucjusza.

Miała taką minę, jakby była gotowa zabić swojego adoratora, gdyby tylko mogła go dopaść. Zaiste, gdy Aquila podał jej miecz, byłaby do tego zdolna!

Jak ona śmie doprowadzać go do takiego stanu, kiedy on mało nie oszalał z miłości do niej!

To, że oszalał, to nie jej wina! Gdyby nie to, że pochodzi z plemienia, którego mężowie są tak próżni, aroganccy, samolubni i bez opamiętania chciwi, że są gotowi wyrzucić krzywdę nawet swoim przyjaciołom, nie...

W tej fazie sporu przybył Maeniel, a także Marcja, Gordus i Martinus. Okazało się, że Lucjusz znalazł się w absolutnej mniejszości. Nie pogodził się z tym. Został pokonany w walce, ale nikt mu nie pomógł. Nawet Filon uznał, że stracił rozum. Upadł na głowę. Sfiksował. Pożegnał się ze zdrowym rozsądkiem.

Małżeństwo! Proponował małżeństwo kobiecie z dzikiego, barbarzyńskiego plemienia wojowników. Ta wspaniała Amazonka mogła liczyć na całą masę propozycji każdej natury od bardzo praktycznych greckich znajomych Filona, ale nie na małżeństwo.

To samo myślał Aquila, jak również Gordus i nawet Martinus. Aquila uważał małżeństwo za jakieś rozwiązanie, ale za żadne skarby nie potrafił sobie wyobrazić Dryas chodzącej po obejściu w Kampanii, karmiącej kurczaki i świnie. Lub mieszkającej w domu takiego bogatego arystokraty jak Lucjusz. Wywołałaby sensację, nawet gdyby wyjechał z nią do wiejskiego majątku. Większość Rzymian, patrycjusze, a nawet ekwici, uznałaby chęć życia z Dryas pod jednym dachem nie tylko za ekscentryczność, ale za całkowity obłąd.

Ale Lucjusz myślał jak najpoważniej i, co gorsza, nie ustępował, tak że Maeniel i Gordus musieli mu zawiązać ręce za plecami. Gordus zarzucił mu na szyję pętlę i zaprowadził do domu, grożąc włóczęgą.

Dryas rozdygotanymi dłońmi wzięła z podłogi *pallę*, otrzepała ją z piasku i poprowadziła cały orszak zmierzający na śniadanie.

W kuchni było bardzo ciepło, przeciwnie niż pod areną. Dryas podeszła do osłoniętego kratą paleniska i zaczęła grzać sobie ręce.

Trzy zakryte talerze leżały na stole. Tak, Marcja obiecała owsiankę, bekon i chleb.

Gordus wprowadził Lucjusza do kuchni. Zaraz za nimi weszli pozostali.

Stół stał w kącie. Miał po czterech stronach ławki. Lucjusza usadzono pod ścianą. Gordus zajął miejsce z jednej strony, Maeniel z drugiej.

Marcja podała im swoją *poscę*, dużo lepszą od tej, którą Dryas próbowała w rezydencji Fulwii. Po chwili przed każdym stał kielich, z wyjątkiem Lucjusza, który miał zawiązane ręce.

Przez jakiś czas wszyscy pili w milczeniu.

W końcu Dryas odwróciła się od paleniska i spytała Lucjusza:

- Mówisz, że chcesz się ze mną ożenić?
- Tak - odparł wyzywająco. - Chcę.
- Szlachetna pani... - wtrącił się Filon.
- Nie nazywaj mnie szlachetną. Nie jestem rzymską damą. One otaczają się niewolnikami, których ja nie mam, i nie przerywaj mi, kiedy mówię.
- Czy ona zawsze jest taka? - spytał Maeniela Aquila.
- Przeważnie - odparł filozoficznie zapytany.

Dryas spiorunowała ich wzrokiem mówiącym, że mają milczeć, i znów spojrzała na Lucjusza.

- Znakomicie. Czy zdajesz sobie sprawę, do czego się zobowiązujesz, pragnąc się ze mną ożenić?

Lucjusz musiał przyznać, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Mężczyzna, za którego wyjdę, ma szansę stać się królem Kaledończyków. Aby zostać moim partnerem, musiałbyś przejść próby, które czekają konkurenta do tronu, tyle że jeśli byś nawet im nie sprostał, mógłbyś zająć miejsce w drużynie władcy.

- Wedle Cezara nie macie królów - wtrącił Maeniel.
- Cezar się myli - odparła Dryas. - Król jest wodzem podczas wojny i sędzią w czas pokoju. Można rzec, że jesteśmy nieco podobni do Rzymian, gdyż jak wy patrzymy rządzącym na ręce i jak wy sami wolimy kierować naszym życiem. Kobiety o moim statusie dają ludowi królów. Albo rodzą przyszłego władcę, albo

nominują go, oddając swą rękę pretendentowi. Nasze ciała nie są naszą własnością. To dlatego zadaję te pytania. Jeśli naprawdę chcesz być moim partnerem, jestem zobowiązana cię zaakceptować.

W kuchni zapanowała ogólna konsternacja. Filon zakrył głowę płaszczem na znak rozpacz.

- Co?! - wykrzyknęła Marcja i uderzyła w stół chochlą, którą nakładała owsiankę.

Aquila siedział z rozdziawionymi ustami, a Maeniel, który już doszedł do wniosku, że większość osobników jego nowego gatunku jest szalona, przyjął nowy wymóg Dryas ze spokojem.

Jedynie Martinus zadał rozsądne pytanie:

- Dlaczego?

- Bo Lucjusz może nauczyć nas łaciny, rzymskiego sposobu prowadzenia wojny, zwyczajów, wiedzy i, co równie ważne, umiejętności technicznych - wyjaśniła Dryas.

- Właśnie - powiedział Martinus. - Cezar rzekł, że kiedy podbije Partię, przyśle swoich żołnierzy na Białą Wyspę, a ci przywiodą waszych ludzi, żeby walczyli w amfiteatrze.

- Nie zrezygnowałabym z twojej oferty, gdyby została złożona w poważnym duchu - odparła, marszcząc brwi i patrząc na Lucjusza. - Ale uważam, że kierują tobą młodość, frywolność i żar pożądania, a nie rozważne pragnienie, aby stać się częścią mojego życia. Kiedy udałam się na spotkanie z tobą, byłam zdecydowana pozwolić ci na zaspokojenie pożądania. Lepsze to niż narażenie moich przyjaciół na krzywdę.

Uznałam cię po prostu za utrapienie i jeśli jesteś tylko utrapieniem, to odejź. Rzym kipi od prostytutek, drogich, tanich, ale wszystkich do kupienia. Mnie nie można kupić. Zapewniam cię, mogę być tylko twoją ofiarą, ale nie będę chętną partnerką w rozkoszy. Mam swoje obowiązki i muszę walczyć tego popołudnia. Więc jeśli nie potrafisz nad sobą zapanować, pójdę z tobą do latryny, bo to miejsce, w którym wypada ulżyć tego rodzaju namiętnościom.

Jeśli możesz i jesteś gotów okazać mi szacunek, którego nie poskapiłbyś nawet ulicznej dziewczynie... to znaczy, nie zawracałbyś jej głowy po próżnicy, kiedy ona zdobywa pieniądze na chleb... to odejź. - Wskazała na drzwi. - I zyskasz moje

podziękowania i szacunek do końca moich dni. Rozwiąż mu ręce, Maenielu, i pozwól mu zrobić to, na co ma ochotę. Na nieszczęście ma nad nami władzę, wobec której jesteśmy bezradni i bez względu na to, co uczyni, najważniejsze jest, by w końcu sobie poszedł.

Odwróciła się do ognia i rozgrzewała wciąż zgrabiąle ręce.

Gordus rozciął więzy. Lucjusz wysunął dłonie zza pleców i przyglądał się im, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Potem uniósł wzrok ku Dryas. Miał minę, jakby dostał pałką między oczy.

Brażowa tunika i niebieski płaszcz dodawały jej atrakcyjności. Marcja podała jej miskę owsianki i łyżkę. Dryas zaczęła jeść na stojąco. Wyglądała bardzo zwyczajnie. Miękka Iniana tunika nie ukrywała cudownych zarysów ciała. Włosy miała zaczesane w warkocze i ułożone wokół mosiężnej korony. Zaróżowiła się od ciepła bijącego z paleniska, czego poprzednio u niej nie oglądał, a nawet sandały i wełniane skarpety nie mogły ukryć piękna jej nóg, szczupłych kostek i stóp o wysokim podbiciu. Nie wyobrażał sobie, że mógłby ulec fali pożądania i ją zniewolić. Byłaby to taka sama potworność jak zabicie dziecka, fałszywy donos na przyjaciela, kradzież lub wyrządzenie krzywdy.

- Z mojej strony nic ci nie grozi - rzekł wreszcie. - Tak spieszno mi cię skrzywdzić, jak rzucić się z dachu i próbować latać. Warunki, jakie trzeba spełnić, żeby zasłużyć na małżeństwo z tobą, są zaiste niesłychane. Nie jestem pewien, czy zdołam im sprostać i bardzo się o ciebie lękam. Tak bardzo, że tracę zmysły. Jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi, którego powinnaś się bać. Tak, odejdę, jeśli sobie tego życzysz, ale wolałbym zostać i otoczyć cię wszelką opieką i pomocą, do jakiej jestem zdolny.

Mówiąc to, powstał, przepchał się obok Maeniela i podszedł do niej. Kolejny raz dostrzegła, że kuleje, i coś ścisnęło ją za serce. Nie wiedziała co ani dlaczego.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być dobrym kandydatem na króla twego ludu - rzekł z pokorą. - Noszę bliznę i zapewne zawsze będę podupadał na zdrowiu z powodu mojego kalectwa i drugiej choroby.

Był od niej nieco wyższy i musiała zadrzeć głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Nie wiedziała, że Marcja wzięła jej z rąk miskę i łyżkę, i nie opierała się, kiedy objął ją i przytulił do piersi. Stał, przyciskając usta do jej włosów, a ona płakała, zrozpaczona, że ta chwila nastąpiła właśnie wtedy, kiedy szła na pewną śmierć.

Lucjusz i Filon kroczyli z pośpiechem ulicami Rzymu. Dzień, początkowo jasny i piękny, szybko stracił na urodzie. Nadciągały chmury, zasłaniając słońce i czyste niebo, i zerwał się północny wiatr, który pędził między domami wiekowego miasta. Szarpał luźny przyodziewek obywateli rzymskich, szczypał w nosy i palce, przenikał do kości chłodną wilgocią.

Szare niebiosa odpowiadały nastrojowi Lucjusza. Przepętniał go ponury gniew i nienawiść. Szedł z takim pośpiechem, że Filon musiał prawie biec truchtem, aby mu dorównać.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił - tłumaczył lekarz. - Palenie za sobą wszystkich mostów jest nierozsądne. Nawet jeśli wyjedziesz, któregoś dnia możesz zechcieć powrócić...

Lucjusz przystanął i odczekał, aż Filon się z nim zrówna. Nie odpowiedział, jedynie spojrzał zimno w twarz przyjacielowi.

- Nie - rzekł w końcu. - Nie zechcę. Nie tu i nie jako Lucjusz Korneliusz Bazyli. Skończyłem z tym. Jeśli nie uśmiecha ci się odejść ze mną, dam ci tyle pieniędzy, ile tylko pragniesz. Możesz odjechać, dokąd ci się żywnie podoba. Cały świat stoi przed tobą otworem, Filonie. Uczynię cię bogaczem, jeśli o tym marzysz.

- Naprawdę zamierzasz ożenić się z tą kobietą i uciec z nią na koniec świata?

- Tak.

Filon zaczął się śmiać.

- Nie zrezygnowałbym z tego widowiska za skarby świata. – Otarł oczy. - Wiesz, ulubionymi opowieściami mojej matki były te helleńskie bzdury o przygodach i miłości. Jedna z nich mówiła o Aleksandrze i zastanawiałem się, jak by to było, gdybym mógł iść z żołnierzami przez pół świata, poznać Persję i Indie, walczyć z ludźmi dosiadającymi słoni. Wspinali się na góry, przebywali pustynie, widzieli wiszące ogrody Semiramidy w Babilonii, ówczesnym największym mieście świata. Czułem szaleńcze podniecenie nawet u tamtego koszmarnego handlarza niewolników na Kos. Nie miało się pojęcia, dokąd się będzie sprzedanym ani dlaczego. Kiedy wylądowałem akurat w Galii, oszołomiony patrzyłem na bardzo chorego mężczyznę...

- Było ze mną aż tak źle? - spytał Lucjusz.

- Tak, byłeś żółty, a twoja siostra obiecywała mi różne przyjemności, jakie tylko ona potrafi wymyślić.

- Co byś zrobił, gdybym nie wyzdrowiał?

- Nie wiem. Niczego nie planowałem. Kiedy tylko przekonałem cię, że nie powinienes co wieczór upijać się na umór, a za to jeść normalne posiłki, twój stan się polepszył. Odniosłem sukces. Radosny i łatwy.

- Tak? - spytał ironicznie Lucjusz.

- Nie, prawdę mówiąc, przez jakiś czas twoje życie wisało na włosku.

- Też mi się tak wydawało. No cóż, to może nie będzie wielka przygoda. Być może jest nam pisany niemiły koniec na obcej ziemi, tam gdzie Cerber mówi dobranoc.

- Zaryzykuję - powiedział Filon.

- W takim razie świetnie - rzekł Lucjusz i znów ruszył przed siebie. Poprzednio zaniósł Dryas na górę. Marcja nie opuszczała go na krok. Położył ją na pryczy w jednym z pokoi sypialnych. Zdjął z niej sandały, zostawiając skarpety. Marcja zdjęła z niej pas.

Filon coś przyrzędził.

- Waleriana - oświadczył Marcji. - Musi odpocząć, ale nie powinna przyjmować żadnej mikstury, po której będzie oszołomiona albo skacowana.

Aquila uniósł głowę Dryas i przekonał ją, aby wypita napój. Następnie udali się na dół, na naradę.

- Jestem bezsilny - wyznał Lucjusz. - Jeśli poproszę o coś moją siostrę, nic nie sprawi jej większej przyjemności, niż stanąć mi okoniem. Ma po swojej stronie Cezara.

- Tak, złożyłem mu wizytę dziś przed południem - wtrącił Gordus.

- Zakładam, że bez powodzenia - rzekł Filon.

- Przeciwnie, być może przyniosła niejaki praktyczne efekty. - Gordus skinął głową. - Udało mi się go przekonać, żeby zmienił plany twojej siostry. Chciała ubrać Dryas jak tancerkę i cisnąć ją na arenę temu pręgowanemu mordercy. Przygotuję jej niezłą kolczugę i dam tarczę i jej własny miecz. On nadal domaga się, żeby wystąpiła nago, jak to nazwał, ale... - Odwrócił się do Maeniela. - Czy umie należycie władać włócznią?

- Umie - potwierdził Maeniela. - Jak każdą bronią.

- Świetnie. Będę mógł...

Musiał przerwać. Drzwi otworzyły się z hałasem i jakiś nieznany mężczyzna stanął na progu. Wskazał na Maeniela i wrzasnął:

- To on! On! Łapcie go, zanim...

Ale było za późno. Wielki wilk, jeden z największych, jakie Lucjusz widział w życiu, zrzucił z siebie tunikę, dopiero co noszoną przez Maeniela.

Nie było możliwości ucieczki. Wilk rzucił się ku człowiekowi w drzwiach i przemknął między jego nogami. Tamten upadł. Wilk runął prosto na Antoniusza i kilku pretorianów.

Maeniel miał przewagę zaskoczenia. Tamci mieli przewagę uzbrojenia. Jeden z nich cisnął w niego oszczepem. Broń omsknęła się po żebrach wilka i uderzyła w kamienne płyty, krzesząc iskry.

W końcu wojna! - pomyślał wilk i zatopił kły w łydce oszczepnika.

Antoniusz dobył *gladiusa* i zadał mu cios w łeb. Chybił o włos. Wilk wykonał obrót, którego mógłby mu pozazdrościć najzwinniejszy wąż i zatopił kły w wielkim, dobrze odżywionym rzymskim pośladku, nie osłoniętym żadną zbroją.

Trysnęła krew. Rozległ się wrzask Antoniusza albo kogoś z jego eskorty. Na tym etapie nikt nie wiedział dokładnie, co się dzieje. Antoniusz upadł, wbijając miecz w udo jednego z żołnierzy, łapiąc drugiego za zbroję i ściągając go na ziemię.

Wilk wykorzystał okazję i uciekł.

Lucjusz, który przyglądał się wszystkiemu z kompletnym osłupieniem, odwrócił się do Aquili.

- Ona mówi, że to jej przyjaciel - rzekł Aquila i wzruszył ramionami.
- O rany, twoja ukochana ma naprawdę niesamowitych znajomków - skwitował to Filon.

Kiedy Lucjusz wychodził, Antoniusz krwawił, szalał i ryczał, ogarnięty najwspanialszą patrycjuszowską furją, na Gordusa, Marcję, Aquilę, a nawet biednego Martinusa. Lucjusz zrozumiał tyle, że Antoniusz przybył na polecenie Cezara. Miał zająć się tygrysem i nie było mu to w smak. Towarzyszył mu Decjusz, wyraźnie agent Fulwii, który nieustannie bełkotał o człowieku zamieniającym się w wilka i na odwrót.

- Nie wiem, czy człowiek może zamienić się w wilka, ale wilk w człowieka...? Nie, wykluczone - orzekł Filon, kiedy wraz z Lucjuszem zmierzali do

wyjścia. Lucjusz zauważył z pewną satysfakcją, że Filon nie kiwnął nawet placem, aby pomóc Antoniuszowi.

Teraz śpieszył do domu, gotów opustoszyć skarbiec. Pod tym względem był Bazylim z krwi i kości. Miłość była dla niego ważna, ale zaraz potem szły pieniądze. Jeśli miał udać się z Dryas na krańce świata, to świetnie, ale chciał podróżować wygodnie, a pieniądze rzadko kiedy bywają nieprzydatne.

- Nie oglądaj się - powiedział Filon - ale idzie za nami wielki... pies.
- Ach... - Lucjusz zamarł z nogą w powietrzu, postawił ją powoli, po czym szybko skręcił w ulicę prowadzącą do rzeki.

Podobnie jak w większości nowoczesnych miast główny plac Rzy-mu otaczały mniej bądź bardziej zapuszczone okolice. Ulica, na której się znaleźli, nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Wąska, pełna sklepików, winiarni, jadłodajni, nawet z młynem obracany przez zniechęconego muła. Obok znajdowała się piekarnia, magazyn win, kilka insulas, domów z pokojami do wynajęcia, wychodzącymi na ulice. Okna sąsiadowały ze sobą tak blisko, że lokatorki gwarzyły nad głową Lucjusza schodzącego po stopniach. Światła i świeżego powietrza było jak na lekarstwo. Nagle zobaczył to, czego szukał: łaźnię. Wejście w zaułku. Skręcił w niego i dostał się do środka.

Od razu poczuł się lepiej. Lokal wyglądał porządnie, zapewne odpoczywali tu skromni pracownicy najemni i rzemieślnicy. Nie oferował żadnych luksusów, ale nikt nie czał się tam, gotów poderżnąć gardło klientowi, aby zawładnąć jego sakiewką. Nie było marmurów, ściany wybielono, a podłogę wyłożono zwykłą terakotą.

O tej porze lokal świecił pustkami. Właściciel wychynął z cieni. Lucjusz wręczył mu monetę.

- Do parni.

Właściciel zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, następnie Filona.

- Chcecie jedzenia, wina, kobiety?
- Nie - odparł Lucjusz. - Mam kaca. Przyjęcie do rana.
- Nie widuje się tu wielu senatorów. - Oceniał wzrokiem czerwone obramowanie togi Lucjusza.

- Jesteś ciekawski? - spytał Filon. Jako obywatel rzymski również miał na sobie togę.

- Mogę mieć bielmo na oku - zaproponował właściciel.

- Więc się rozumiemy. - Z tymi słowami Lucjusz wręczył mu następną monetę.

- A jakże. Tutaj. - Wskazał drewniane drzwi. - Prześcieradła kąpielowe w szatni. Uważajcie na wasze ubrania. - Znikł tak szybko, jak się pojawił.

Parnia nie była zła; prześcieradła czyste, pod ścianami ławki. Parę wytwarzano staromodną metodą: polewano kamienie leżące na rozżarzonych węglach. Było ciepło i wilgotno.

- Brak *hypocaustów* - zauważył Lucjusz.

- To dobrze? - spytał Filon.

- Tak. Kanały podpodłogowe niosą ciepłe powietrze, ale i dźwięki. Teraz pozostaje nam czekać, aż nasz przyjaciel się zjawi.

- Nie wiem, co przywitam z większą ulgą, jego przybycie czy nieobecność.

- Rozumiem.

Ale po chwili w sali obok rozległy się kroki i zjawił się Maeniel, również owinięty w prześcieradło kąpielowe. Usiadł na ławce.

Wszedł łąziebny z wiadrem wody, zlał gorące kamienie, aby powstało więcej pary, zrobił zdziwioną minę na widok Maeniela i wyszedł.

- Chyba będziesz musiał dopłacić - rzekł Maeniel.

- Drobiazg - powiedział Lucjusz.

A jakże, zjawił się właściciel, wyciągając dłoń. Lucjusz dał mu kolejną monetę i tamten się oddalił.

- Kim był ten histeryk w *ludus*? - spytał Lucjusz.

- Nazywa się Decjusz. Spotkaliśmy się w Galii. Pewni... moi... krewni mieli ochotę zrobić z niego posiłek. Udaremniłem im to.

- Wielka szkoda - rzekł Lucjusz.

- Wyszło na to, że tak. Oczekiwał na mnie ostatniej nocy w domu Maniliusza i Feleksa. Kiedy tylko się pojawiłem, zaczął wrzeszczeć. Musiałem bezzwłocznie uciekać. Na szczęście jestem w tym dobry. Nie złapali mnie.

- Domyślam się. - Lucjusz skinął głową.

- Tak, ale przez całą noc wałęsałem się po Rzymie, szukając tego *ludus*. Kiedy wreszcie znalazłem, wpakowałem się w sytuację, z której nie umiałem się wygrzebać.

- Znasz Dryas? - spytał Lucjusz.
 - Tak, bardzo dobrze.
 - Czy jej los cię obchodzi?
 - Tak.
 - Czemu się tu znalazła? - spytał Lucjusz i dojrzał na twarzy Maeniela rozterkę.
 - Przez Cezara - odparł wilk po chwili i zrobił gest, jakby podrzynał komuś gardło.
 - Szkoda - powiedział Lucjusz. - Nigdy nie udało się jej znaleźć dość blisko, ale nie ona jedna ma ochotę to zrobić. Jest wielu innych, również ja, tyle że nie wiem, jak tego dokonać.
- Maeniel skinął głową.
- Do tego sprowadza się cały problem.
 - Wiecie, co ja bym zrobił? - spytał Filon, odzywając się po raz pierwszy.
 - Nie - odpowiedzieli chórem.
 - Złożyłbym wizytę Brutusowi.
 - Brutus... - powtórzył Maeniel. - To ten, z którym Antoniusz kłócił się kilka dni temu u...
 - Tak - znów odparli chórem.
 - Krąży plotka. Kalpurnia mówi, że Cezar sporządza listę, ale nie wiem za dobrze, co to znaczy.
 - Proskrypcja. - Lucjusz zrobił gest, jakby skręcał komuś kark.
 - Czy myślisz o tym samym co ja? - spytał Maeniel.
 - Tak, i dobrze myślisz. Znasz blisko tę damę? - spytał delikatnie Lucjusz.
 - Nie, ona nie wchodzi w grę - odparł Maeniel. - Ma zbyt wiele do stracenia.
 - Myślę, że złożę wizytę Brutusowi - powiedział Lucjusz.
 - Potrzebuję ubrania i pieniędzy - przypomniał sobie Maeniel.
 - Drobiazg - rzekł Lucjusz.

Walka zapowiadała się jako nie lada wydarzenie. Marcja pilnowała snu Dryas i wywiązała się doskonale ze swojego zadania. Pokój nad kuchnią był ciepły.

Amfiteatr miał skromne rozmiary. Płytką widownia liczyła jedynie pięć rzędów, lecz wzniesiono ją w środku *ludus* mającego pięć kondygnacji. Kolumnowe ganki obiegały arenę z trzech stron na dwóch poziomach. Od wiatru osłaniała je tylna ściana teatru znajdującego się po drugiej stronie ulicy. W pobliżu nie było żadnego innego budynku, który zasłaniałby światło.

Naprawdę doskonały układ - pomyślał Gordus. Już poprzednio organizował Cezarowi prywatne *munera*. Męska część widowni zwykle schodziła w dół. Kobiety wolały pozostać na wygodnych krużgankach i raczyć się winem i jedzeniem. Miały dobrą widoczność, a gdy widowisko stawało się zbyt krwawe jak na ich gust, raczyły się smakołykami i plotkowały, podczas gdy panowie zachłystywali się okrucieństwami areny.

Teraz musiał zastanowić się, jak uchronić życie małej kapłanki. Tak nazywał ją w myślach od nocy w kaplicy pogrzebowej.

Gordus był twardym mężczyzną. Szkolił gladiatorów dla Cezara i innych. Wysyłał ludzi na śmierć. W prawie każdym *munera* kilku traciło życie. To dlatego zbudował kolumbarium. Nawet te wyrzutki musiały wiedzieć, że czeka ich pogrzeb z prawdziwego zdarzenia, a ich towarzysze nie zapomną o złożeniu ofiary, która otworzy im ostatnią drogę. To należało do porządku *ludus*. Straszna przysięga posłuszeństwa nie była pustym gestem. Gordus sam zakosztował bata, a nawet rozpalonego żelaza, i nie szczędził podobnych kar, kiedy przyszło mu prowadzić szkolenie. W tej profesji nie było miejsca na dobroć, a nawet na litość.

A jednak, co dziwne, zniechęcili go tylko nieliczni, a większość chyba polubiła. Zaznawszy jego twardej ręki, godzili się z dyscypliną *ludus*, widząc, z jakim uporem i dokładnością wpaja im umiejętności niezbędne do przeżycia w amfiteatrze. Nierzadko wracali pełni wdzięczności, gotowi dla niego pracować, kiedy ich właściciele już zarobili na nich dość pieniędzy.

Jak wielu twardych mężczyzn był sentymentalny tam, gdzie chodziło o kobiety. Żony i córki były rytualnie czyste. Tak, przydarzyło się im to i owo ze strony żołdaków, kiedy ojciec Marcji i jego ojciec próbowali ustrzec swoje skromne gospodarstwa. Wiedział, że niektórzy sąsiedzi z wioski godzili się z kompletną grabieżą i biedą, gdyż woleli to niż skazanie swoich żon i dzieci na los jego matki i Marcji. Rozumiał to. Czuł nienawiść i bezgraniczną pogardę, ale pojmował takie postępowanie.

Kiedyś mężowie pokroju jego ojca i dziada byli kimś ważnym. Tworzyli kręgosłup legionów. Stanęli na drodze Hannibalowi, kiedy kartagiński wódz przekroczył Alpy i zagroził samemu Miastu. Mężczyźni z jego rodziny walczyli u boku Scypiona i Fabiusza, krzyżowali miecze z Samnitami i kładli podwaliny potęgi Rzymu na pagórkach Toskanii. Myśleli, że któregoś dnia ich samych i ich synów czeka w nagrodę dobrobyt, bezpieczeństwo i pokój.

Ale mylili się. Nawet dziadek był przekonany, że Grakchowie obejdą się sprawiedliwie ze skromnymi rolnikami z okolic Rzymu. Ale ta wiara się wyczerpała. Ojciec Gordusa pogrążył się w rozpacz. On przekonał się na własne oczy, że sprawiedliwość jest ślepa, a szale jej wagi sfalszowano.

Teraz jedynymi liczącymi się klasami byli publikanie - dzierżawcy podatków państwowych w prowincjach - i generałowie z patrycjuszowskich rodzin. Ci pierwsi opłacali tych drugich, aby podbijali kolejne ludy, które można by łupić, wykorzystywać i sprzedawać w niewolę. Widok nieprzeliczonych zdobyczy wojennych doprowadzał klasę bogaczy do szaleńczych sporów kończących się wzajemnymi mordami.

Znalazł oazę spokoju, jak wielu ludzi na przestrzeni wieków, nie patrzył poza obręb swojego ogniska domowego i zdecydował się strzec tylko najbliższych. Wszystkimi możliwymi sposobami.

Wiedział, że zanim wykupił Marcję i jej matkę, przeżyły złe czasy, ale to nie była jej wina. Zrobiła to, co musiała, ale zauważył, że nawet teraz nosiła na gładko zaczesanych włosach *vittę*, wełnianą opaskę cnotliwej żony, a na niej staromodny Iniany welon, by nikt nie pomyślał, iż nie dba o cnotę z powodu swojej przeszłości.

Dryas nie należała do tego miejsca. Jak każda kobieta. *Ludus* było piekłem sądzonym mężczyznom. Tylko oni na nie zasługiwali.

Gordus bez reszty pogardzał Cezarem, bo wszedł w zмовę z Fulwią, umieszczając tu Dryas. Podziwiał dyscyplinę i odwagę. To jedyne cnoty, które cenił u swoich zawodników, a które w jego mniemaniu decydowały o całym człowieku.

Mimo że Dryas była kobietą, spełniała jego wymogi. Miał zamiar pomóc jej ze wszystkich sił, tak więc zaczął dobierać garderobę.

Normalne buty nie były pewne. Wybrał sandały, wzmocnił dodatkowymi paskami na goleniach, po czym pozłocił całość. Prezentowały się wybornie.

Następnie przyciął kolczugę, którą miała włożyć pod spód, i do tego dołożył łuskową zbroję. Gladiatorzy walczący z dzikimi zwierzętami lubili łuski, bo szpony,

pazury i kły ślizgały się na nich. Z drugiej strony kolczuga była mocniejsza. Tak więc zabezpieczył Dryas podwójnie - i miał nadzieję, że skutecznie. Musiała odsłonić brzuch, ale rękawy kolczugi sięgały prawie do łokci i nieco zabezpieczały ramiona.

Aquila dał mu jej miecz i dwa sztylety. Wyciągnął je z pochew. Nie było słońca, ale metal i tak zaśnił tęczowym blaskiem.

- Ostrze jak brzytwa - rzekł z uznaniem.

Aquila skinął głową.

- Czy takie jak ona mogą w ogóle przegrać?
- Czasem wygrywają. - stwierdził Aquila.

Zaniósł te rzeczy Marcji stojącej u dołu schodów.

- Wciąż śpi - powiedziała Marcja.

- Dobrze. Właśnie szykują stoły z jedzeniem - rzekł. – Niech wyśpi się najdłużej, jak to możliwe.

Przy stole siedzieli dwaj mężczyźni, racząc się winem. Doświadczeni gladiatorzy, wyzwoleńcy. Mógł im zaufać. Podeszedł do nich. Marcja udała się na górę.

- Wy zaczniecie - zapowiedział. - Chłopcy, których wam wybrałem, to tyros, jeszcze nieopierzeni. Przystojni. Nie zróbcie im blizn na twarzach. Powiedziałem im, żeby nie szli na całego i nie próbowali żadnych sztuczek. Wam nie wolno ich okaleczyć ani zabić. Nie zróbcie ze mnie kłamcy. To tylko pokazówka. Cezar będzie na widowni. Wie.

- Dziewczyna i tygrys. To na serio czy tylko akrobatka? – spytał jeden z nich.

- To na serio, zupełnie serio - odparł Gordus.

Drugi był poruszony.

- Kobieta. To nie w porządku.
- Zgadzam się, ale co na to poradzisz? - rzekł Gordus.

Gladiatorzy pokiwali głowami i dolali sobie wina.

25

Kucharze przygotowali pieczenie w ziołach, prosięta w miodowej polewie, kurczaki, gęsi, gołębie, perliczki i nawet łabędzia. Cała świnia obracała się na rożnie, polewana własnym tłuszczem.

Na innym stole stały zimne potrawy: oliwki wszelkiego rodzaju, białe sery, ogórki marynowane, dynie, cebule i pory, szynki i cytryny. Były chleby z serem, daktylami, orzechami i placki z oliwkami i cebulkami.

Amfory z białym winem chłodziły się w śniegu i zadbano o bogate zapasy sławnego *falernum*, słusznie cieszącego się sławą najlepszego z czerwonych win.

U bram pojawiały się lektyki, z których wysiadali cudownie odziani mężczyźni i piękne kobiety. Szli schodami na krużganki, na których niewolnicy przysłani przez Cezara i Antoniusza proponowali im złote i srebrne puchary z winem posypanym płatkami róż. Krążyły tace z zakąskami: jajka z przyprawami, kiełbaski, sery wędzone, małe szparagi w winnym sosie z kolendra i lubczykiem.

Cezar przybył z wielkim orszakiem, w którym znajdowali się Brutus, Cyncero, Fulwia, Kleopatra i Lucjusz. Lucjusz wiedział, że najbardziej pomoże Dryas, nie okazując po sobie niczego, bez względu na to, co by ją spotkało.

Antoniusz - który z zadowoleniem uznał, że Lucjusz zaczął patrzeć na świat nieco trzeźwiej - zjawił się wraz z hordą senatorów, wojskowych, publikańców, ekwitów i przeróżnych pijawek, pochlebców i osiłków, nie wyłączając Maeniela.

Przechadzali się po krużgankach, obnosząc klejnoty, złoto, srebro, bursztyny, granaty, szafiry, ametysty, rubiny i najprzeróżniejsze odmiany pereł. Znakomite materiały: aksamity, jedwabie, wełny. Mężczyźni wyróżniali się bielą. Kobiety były pstre jak motyle. Przerzucali się żartami, idiotyzmami, banałami, głupstwami, szyderstwami i okrucieństwami, wszystkim, co wpadło im do głowy.

Nikt nie słuchał nikogo i nikt nikogo nie dostrzegał, tak przynajmniej wydawało się Lucjuszowi, który był pewien, że Dryas niebawem zostanie zabita ku uciesze tych bezwartościowych pasożytów, morderców, bandytów i złodziei. Podzielił się tą myślą z Maenilem, kiedy spotkał go, smakującego oliwki na ostro na niższym ganku.

Nie zginie, jeśli coś na to poradzę - rzekł Maeniel, gdy ten próbował oliwek w winie, oliwie i liściach laurowych.

- To niedorzeczne, że lubisz oliwki - powiedział Lucjusz. – Nie wolałbyś trochę smacznego, świeżego, krwistego mięsa?

- Nie. Mięsa mam po dziurki w nosie. Nie spisywałbym jej na straty. Kiedyś jej nie doceniłem i sporo mnie to kosztowało.

- Nie widziałeś tego tygrysa.

- Widziałem - odrzekł Maeniel. - Ale jesteśmy wcześniej i pomyślałem sobie, że zerknę, co jest w bufecie. Kłopoty najlepiej rozwiązywać przy pełnym żołądku. Często, kiedy się nie najesz, potem tego żałujesz. Więc nie rozpaczaj nad sobą. Zapewniam cię. Jej daleko do rozpaczy.

Marcja pomogła Dryas się ubrać. Paski złożonych sandałów sięgały pod kolana. Dzięki temu podtrzymywały nogi w kostkach i w pewnym stopniu zabezpieczały łydki.

Oczywiście, dostała zwyczajną przepaskę na biodra z czerwonego jedwabiu, ale Gordus dołożył do tego porządny pas i dwa sztylety. Na włosy znów nałożyła spiczastą koronę.

Marcja nałożyła jej *strophium* - opaskę na piersi - demonstrując, jak nosić ją w ten sposób, żeby nie skaleczyć się kolczugą.

- Akrobatki owijają piersi tak, żeby im nie latały - wyjaśniła.

Dryas roześmiała się, po czym przyznała:

- Tak, czasem strasznie przeszkadzają. Chociaż zawsze żałowałam, że nie mam większych.

- Och, małe działają równie skutecznie, czy to na niemowlęta, czy na mężczyzn.

- Tak, wiem. Bałam się, że będę miała kłopoty przy karmieniu syna, ale na obawach się skończyło.

- Masz syna?

- Nie żyje. - Dryas uciekła wzrokiem w bok.

- Zauważyłam rozstępy na twoim brzuchu - powiedziała Marcja. - Sama mam ich sporo. Ja urodziłam czwórkę. Tylko dwoje żyje, Martinus i Tullia. Tullia jest mężatką. Wyszła dobrze za męża, biorąc pod uwagę... - Nie skończyła. Kiedyś była niewolnicą i dlatego miała na końcu języka: „że jest córka wyzwolenicy”.

Dryas skinęła głową i poprosiła w duchu, aby Marcja nie zadawała więcej pytań. Życzenie się spełniło.

Marcja wyjęła parę skórzanych opasek na przeguby.

- Gordus musiał dobrze się naszukać, zanim znalazł taką małą parę - powiedziała.

- Zawsze uważałam, że noszenie ich to tylko sprawa mody.

- Gordus też tak uważa, szczególnie w przypadku mężczyzn, którzy mają pięści jak bochny chleba. Ale przekonał się, że służą drobnym gladiatorom o lekkiej budowie ciała. Wzmacniają przeguby w najważniejszym, najsłabszym miejscu.

Dryas zapięła opaski i przekonała się, że Marcja ma rację. Dodatkowe skórzane rzemienie biegnęły między palcami, a wewnętrzną stronę wyściełała miękka poduszeczka.

- Tak, są pomocne - oceniła i zdecydowała się trzymać miecz w dłoni, a nie w pochwie u pasa. - Ale w minimalnym stopniu - dodała z żalem.

- No cóż, to wszystko - rzekła Marcja.

Przykrótka kostium nie trzymał ciepła, więc Dryas owinęła się w wełnianą *pallę*.

Marcja podała jej kubek ciepłego napoju.

- Recepta Filona - powiedziała. - To dobry medyk. Gordus miał szczęście, że dostał go do pomocy. Wszyscy gladiatorzy powiadają, że jeśli tylko nie wyciągną cię z areny za nogi, to Filon poskłada cię z powrotem i nawet się nie dowiesz, kiedy to zrobił, bo rozbawi każdego swoimi żartami.

Podeszły do okna i przyglądały się, jak kwiat Rzymu opuszcza lektyki. Marcja zachichotała na widok pewnej szczególnie bogato ubranej damy.

- Ta to ma naprawdę niewiele rozumu w głowie. Dawno stuknęła jej pięćdziesiątka. - Znała większość przybyłych. - No, ale wiesz, to nie znaczy, że oni mnie znają. Niektórzy przybywają tu zawsze, kiedy tylko Cezar się pojawi. Serwila. - Wskazała starszą kobietę ubraną w ciemny, surowy strój. - Najbardziej chciwa baba w Rzymie. Nie wiadomo, czego bardziej pożąda: Starego Łyska czy jego pieniędzy. Podczas ostatnich proskrypcji musiał sprzedać jej za bezcen posiadłości ośmiu czy dziewięciu z listy skazanych. To nie tylko jedna z najbardziej chciwych kobiet w Rzymie, ale jedna z najbogatszych.

- Niedobrze mi się robi na myśl, że będę paradowała przed tymi wszystkimi potworami na wpół naga - powiedziała Dryas, rozchylając *pallę* i spoglądając na krótki kostium.

- Nie będziesz paradować - oświadczyła Marcja. - Na arenę wejdiesz tunelem. Nie musisz się do nich zbliżać. Zresztą to nieważne; pewnie i tak przebijesz wszystkie urodą. Każdy mężczyzna ześlini się na twój widok. Popatrz na te kobiety... Patrz na te ciała miękkie jak rozgrzane masło, na zwiotczone mięśnie i obwisłe cycki. Smarują białą ołowianą nie tylko twarze, ale piersi i tyłki, różują policzki, cycki, podbrzusza, kładą hennę na powieki i brwi, ciasno krępują się przepaskami, żeby zrobić sobie rowek między tymi naleśnikami, wbijają się w gorsety, bardziej końskie uprząże niż gorsety, żeby wciąż udawać, że mają w miarę dobrą figurę.

Całe dni wylegują się na kanapach, opychają się słodyczami, tortami, cukierkami, usuwają płody, kiedy tylko zajdą w ciążę, nic nie robią, tylko drą się na służbę. Co za nieszczęście, kiedy muszą przebyć ten kawał drogi do latryny. Nic dziwnego, że Lucjusz oszalał na twoim punkcie. Kobieta, która ma charakter i poukładane w głowie, której nie zakasuje tłusta mleczna krowa i która nie boi się powiedzieć napalonemu arystokracie, żeby się wynosił, to cud. Wcale nie jestem zaskoczona.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Czy już pora? - spytała Marcja.

- Tak - odparł Gordus.

Po chwili Dryas czekała przy jednym z wyjść na arenę, za żelazną kratą.

Gordus podał jej tarczę.

- Nie mogę ci dać takiej, której ten kot by nie zniszczył. Ta przetrzyma jedno uderzenie łapy, nie więcej.

- W porządku - odparła Dryas. - Nie uniosłabym tarczy odpornej na szpony zwierzęcia jego rozmiarów. Byłaby za ciężka.

Na arenie kończył się drugi wstępny pojedynek. Nowicjusz, bardzo przystojny blondynek, miał paskudnie rozciętą skórę na głowie. Starszy z gladiatorów odsunął się, wykonawszy polecenie Gordusa.

Lanista, jeden z pomocników Gordusa pełniący funkcję sędziego, rozdzielił przeciwników.

- Nieźle - powiedziała Dryas. - Rany głowy robią wrażenie.

- Mocno krwawią - dodał Gordus. - Ale ten germański dzieciak nie jest zły. Normalnie nie przepadam za blondasami. Mają słaby wzrok i machają mieczem jak cepem. Ale ten jest szybki. Może chwilę pożyje, jeśli młodzież rzymska da mu trochę wytchnienia.

- Popularny? - spytała Dryas.

- Nie może przejść spokojnie ulicą, kiedy udaje się na ćwiczenia. Nie uwierzyłabyś, co mu wciskają. Ubrania, klejnoty, perfumy... - Urwał.

- Brudną bieliznę - skończyła za niego Dryas.

Gordus nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Arena była teraz pusta i sprzątnięta. Słońce chyliło się ku zachodowi. Po niebie sunęły rzadkie chmury. Światło dnia falowało. Biały piasek i rozjaśnione wapienne ławy niebieskoszarej barwy tworzyły monochromatyczne tło, od którego odbijały się tuniki i togi senatorów. Nagle złoty blask zamigotał na piasku i wapiennym owalu.

- Jaki chcesz pogrzeb? - spytał Gordus. - Tak zaklinamy tu los, żeby się poszczęściło.

- Rozsądnie. - Dryas skinęła głową.

Tygrys wbiegł elastycznym krokiem na arenę i ziewnął leniwie, demonstrując szczęki pełne zabójczych kłów barwy kości słoniowej. Zachwycony tłum głośno wciągnął powietrze. Wróciło słońce, przebijając się między barankami na niebie.

- Jaki piękny - powiedziała Dryas. I był piękny. Czarne pręgi odbijały się od pomarańczowego futra jak aksamitne aplikacje. Wielkie mięśnie prężyły się z gracją, niewiarygodną u tak wielkiego stworzenia. Odwrócił łeb i można by pomyśleć, że wielkie żółte ślepia ludojada poglądają obojętnie na Dryas, mówiąc: „Czekam”.

Dryas skinęła głową.

- Nie możemy do tego dopuścić. Otwierać kratę.

Wyszła na otwartą przestrzeń. Czerwona tarcza, obrzeżona u góry i u dołu pasami z brązu, ładnie współgrała z czerwoną przepaską biodrową.

Słońce zaśniło na miedzianej koronie, łuskowej zbroi i wysoko wiązanych złoconych sandałach.

Tarczę trzymała niedbale u boku. Niech się napatrzą, jak wyglądam - pomyślała. - Zrobię chociaż tyle dla moich przyjaciół.

Tygrys zawrócił płynnym ruchem. Zrobił trzy kroki. Z niemal niewiarygodną szybkością przeszedł w bieg i skoczył.

W ostatniej chwili zakrył ją cień zwierzęcia unoszącego się w powietrzu. Zrobiła obrót na prawej nodze i uderzyła go mieczem w lewą przednią łapę.

Tygrys wydarł jej tarczę, jakby to była zabawka. Trzasnęły rzemienie wiązane na przedramieniu, uchwyt wyleciał z dłoni. Zdrętwiała jej cała lewa ręka, ale zdążyła ciąć Stracha w pysk.

Powinna zginąć i była gotowa na śmierć, ale zwierzę przerwało atak.

Dryas przypomniała sobie zabawę kota z myszą i odsunęła się powoli. Tak, jestem myszą. Skupiła się bez reszty na przeciwniku.

Tygrys potrząsnął zranioną łapą, raz, drugi. Czerwona fontanna skropiła arenę. Zaczął krążyć.

Dryas spojrzała przelotnie na zdrętwiałą rękę. Krew płynęła z rozdartego przedramienia, ale palce krwawiły tylko tam, gdzie rozorał je uchwyt tarczy. Rozprostowała delikatnie dłoń i poczuła, że powoli odzyskuje w niej sprawność. Nadal się cofała. Tygrys szedł za nią. Tak, była myszą i... Zaraz skoczy - pomyślała.

Zrobił to tak szybko, że nie nadszła za nim wzrokiem, ale zdążyła runąć ku niemu, gdyż wojownik odpowiada na atak atakiem. Złapała miecz w obie ręce. Zadała cios z całej siły i poczuła, jak ostrze wgryza się w mięśnie, chrząstki i zgrzyta o kość. Zwierzę cuchnęło i na moment oślepla. Zastanowiła się, czy wielka paszcza zatrzasnęła się na jej głowie.

Poczuła niewiarygodne silne uderzenie w żebra. Miecz wyleciał jej z dłoni - nie miała pojęcia, iż nadal go ściska - ale sama została wyrzucona w powietrze.

Automatycznie, tak jak wiele lat temu wpoili jej nauczyciele, zwinęła się w kulę. Przetoczyła się po piasku. Kiedy się zatrzymała, dostrzegła, że tygrys spada na nią jak atakujący jastrząb. Był tuż-tuż. Zareagowała odruchowo. Impuls pojawił się nie wiedzieć skąd. Miała w garści piasek; cisnęła nim w ślepie tygrysa.

Coś jak lodowe sople przesunęło się po jej nagim udzie i w chwilę potem stała na środku areny, podczas gdy zwierzę tarło ślepie łapami. Z oddali docierały do niej odgłosy tłumu. Krzyczał i wył w jakimś zamazanym świetle. Lecz ją otulała głęboka cisza.

Przeszyła wzrokiem tygrysa. Dała mu w kość. W przenośni i dosłownie. Miecz sterczał w przegowanej piersi wbity po rękojeść. Z każdym oddechem krwawe

bąbelki wyskakiwały wokół rany. Rozorany pysk był obsypany piaskiem, jedno ślepię łzawiło, lecz tygrys jeszcze trochę widział. Kulał.

Dryas dostała pazurami. Krew spływała po lewej nodze z długich, płytkich ran uda. Tygrys ugryzł ją w bark, ale kolczuga spełniła zadanie. Bolało ją całe ramię i bark, kiedy nimi poruszała. Była pewna, że kły zacisnęły się, ale nie przebiły kolczugi. Na lewym ramieniu miała znaki, ale to były ledwo zadrapania.

Zabij go - pomyślała. - Zabij go - nieustannie krążyło jej po głowie. - Zabij go. Jak? - Obchodzili się nawzajem. - Zabij go.

Tarcza leżała nieco dalej. Dryas pozostały jeszcze sztylety. Nadal mogła atakować jak prawdziwy wojownik. Była w lepszym stanie niż wielki kot. Mogła go przetrzymać.

Najgorsze były kłujące rany uda. Czowała, jak tężeją pod skorupą krwi, ale tygrys z każdą chwilą odzyskiwał wzrok. Podrażnione ślepię łzawiło, ale żółta tęczęwka znów błyszczała i bacznie ją obserwowała.

Pojawiło się więcej światła. Niejasno zdała sobie sprawę, że wokół areny umieszczono w regularnych odstępach pochodnie. Dryas i wielki kot przesuwali się od jednej migotliwej kałuży światła do drugiej. Bestia z każdą chwilą była coraz bliżej.

Tarcza leżała tam, gdzie upadła, w pobliżu tunelu, którym Dryas weszła na arenę. Przypomniała sobie żabę z jeziora Mira. Jestem myszą.

Tygrys był coraz bliżej. Teraz albo nigdy. Za chwilę miał znaleźć się za blisko.

Rzuciła się ku tarczy. Zacisnęła palce na jej brzegu. Cisnęła ją. Wielki dysk zawirował w powietrzu, błyszcząc w świetle pochodni.

Tygrys miał wybór: kobieta w głębokim cieniu albo migocąca tarcza w świetle. Wybrał tarczę, uderzając ją łapą w powietrzu.

Dryas pobiegła do niego. Nie, nie pobiegła, wydawało się, że frunęła i skoczyła, lądując na karku zwierzęcia.

Tygrys zaryczał, stając na tylnych łapach, jak szalejący koń. Ugryzł muskularną nogę, która ścisnęła jego bok.

Dryas złapała za fałdy luźnej skóry na karku zwierzęcia. Zacisnęła palce jak szpony. Prawą ręką dobiła najdłuższego sztyletu. Pomarańczowy kark z czarnymi pasami wyginał się w kierunku lewej ręki, trzymającej pewnie jak śmierć.

Cięła w dół, tak mocno i głęboko, jak tylko mogła. Usłyszała ryk, ale to nie był ryk zwierzęcia, lecz powietrza uchodzącego przez rozoraną tchawicę.

Nagle wyleciała w powietrze, koziółkując i próbując znów zwinąć się w kulę. Nie udało się jej, wylądowała na plecach i przez chwilę leżała sparaliżowana. Ta chwila nie trwała dłużej niż mrugnięcie powieki, bo Dryas poderwała się na nogi tak szybko, że niektórzy widzowie nie zdali sobie sprawy, że upadła.

Tygrys leżał. Wydał dwa czy trzy chrapliwe pomruki, spróbował się dźwignąć i zdechł.

Dryas miała zawroty głowy. Podniosła oczy i dojrzała, że gwiazdy zaczynają się gromadzić na rozjaśnionym błękitnie.

Podeszła na tygrysa i spojrzała na niego. Następnie uniosła ramiona i popatrzyła na widzów.

Tłum oszalał.

Owacja tłuszczy - pomyślała.

Znów spojrzała na tygrysa, pochyliła się i uniosła rytualną garść prochu, którą posypuje się przegranych, skazanych na tułaczkę w krainie cieni. Wstała, rozsunęła palce, a strumyczki piasku spłynęły na pomarańczowy bark pokryty czarnymi pręgami.

Wiwatujący tłum nagle ucichł i Dryas ruszyła ku wyjściu. Nie wszyscy zrozumieli sens jej gestu, ale był na tyle jasny, że nie ulegało wątpliwości, iż wyrażał krańcową pogardę.

Na początku tunelu oczekiwali ją Lucjusz, Maeniel i Gordus. Maeniel trzymał włócznie.

Szła na chwiejących się nogach. Tłum wył i gwizdał.

Gordus śmiał się.

- Doprowadziłaś pierwsze rodziny Rzymu do szału, Rozszarpiaj nas na kawałki.

Lucjusz porwał ją i otulił płaszczem. Maeniel wskazał włócznie.

- Byliśmy blisko. Nie potrzebowałaś tego.

- Nie - przyznała Dryas.

- Mówiłem wam, że jest dobra - powiedział Maeniel.

Z góry dobiegały krzyki, piski i wrzaski.

- Rusza bankiet - rzekł Gordus. - Są tancerki. Żony i matki wracają do siebie. Niektórzy z widzów zabawią całą noc poza domem. Senat zbiera się dopiero pojutrze.

Maeniel i Lucjusz wymienili spojrzenia w półmroku.

- Zamierzam go zabić - oświadczył Lucjusz.
- Za to? - spytał Maeniel.
- Chociażby.
- Nie chcę słuchać tej rozmowy - powiedział Gordus.

Dryas nic nie rzekła, ale oparła się o Lucjusza, któremu sprawiło to niezwykłą przyjemność, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

Maeniel szedł mrocznym korytarzem, aż natknął się na pustawe pomieszczenie, w którym leżała używana broń, rekwizyty, przeróżne połamane i zapomniane rzeczy - to wszystko, co gromadzi się wokół ludzkich siedlisk: niczemu nie służące przedmioty, bezużyteczne, ale zbyt dobre, aby się ich pozbyć na zawsze, coś, co „może się jeszcze przyda”.

Człowiek byłby ślepy w tym magazynie, ale wilk dawał sobie radę. W powietrzu wisiał smród wilgoci i zgnilizny. Powiesił na kołku tunikę i togę i wybiegł lekkim wilczym truchtem.

Myślał o Kalpurnii. Deszcz, który cały dzień wisiał nad miastem, padał teraz gęsto. Tłum spieszący do lektyk rozpływał się, dzielił na grupki.

Wilk stał w cieniu jednego z wejść i przyglądał się ludziom. To wszystko jedno - pomyślał. Wilcze plemię uznawało tabu dotyczące zabijania w obrębie gromady, a ludzie tworzyli w jego mniemaniu gromady. Rzadko zdarzyło mu się widzieć tak niezdarną grupę stworzeń. Gdyby wilki były tu gdzieś blisko, z trudnością powstrzymałyby się od ataku na tych dwunogów. No cóż.

Deszcz padał coraz słabszy. Mimo to tragarze lektyk byli skazani na przemoknięcie do suchej nitki, ale nikt się nimi nie przejmował. Przestrzeń przed bramą opustoszała.

Wilk oddalił się od amfiteatru. Żołnierzowi stojącemu na warcie przed bramą i ochraniającego późno wychodzących i często pijanych widzów zaparło dech w piersiach, kiedy dostrzegł wilka, który przebiegł obok niego i znikł w cieniach. Zostawił po sobie tylko wspomnienie wielkich żółtych ślepi jarzących się w mroku.

Myślał o niej, mając przed oczami białą jedwabną szatę i niewysłowioną grację kobiecych ruchów. Przemknął przez Forum. Deszcz wciąż siąpił i nawet jadalnie, zwykle otwarte do rana, były zamknięte. Nieliczne światła odbijały się od kocich łbów.

Kiedy dotarł do rezydencji Cezara, okrążył dom, zbity z pantałyku. Napotkał ten sam problem, jaki wcześniej miał w *oppidum*. Brama była zamknięta.

Przed nią stał umundurowany wartownik - w hełmie, z pilum i mieczem.

Wilk zatrzymał się przed nim i przysiadł na zadzie. - Wynocha. - Wartownik pomachał w jego kierunku końcem oszczepu.

Wilk uniósł pysk ku niebu i zawył. To obudziło wszystkie psy w całym mieście. Szczekały, ujadły, wyły, piszczały. Powstał nieziemski hałas.

Wartownik wziął do ręki grudę ziemi i cisnął nią w wilka.

Zwierzę zrobiło unik i wyszczerzyło kły, wywalając jęzor.

Żołnierz zaklął pod nosem.

Wilk znów zawył. Tym razem trwało to bardzo długo, istny pokaz wilczego jodłowania. Wszystkie psy w sąsiedztwie dostały szału.

Kapitan straży uchylił bramę.

- Cóż na... - Tyle zdążył powiedzieć. Wilk przemknął obok niego i znikł w mroku atrium.

- To pies! - zgłosił młodszy żołnierz. - Pobiegł do domu.

Kapitan popatrzył na niego, jakby tamtemu wyrosło trzecie ramię w najmniej odpowiednim miejscu. Powiedzmy na środku czoła.

- Każę na niego uważać. Może to pies kogoś z domowników.

- Nie wiem. Pierwszy raz go widzę.

- Dobra, ale jeśli nie należy do kogoś, kto tu mieszka, to czemu chciał wejść?

- Nie wiem - rzekł wartownik - ale może powinniśmy zapytać...

- Kogo? Pani Kalpurnia śpi. Cezar jest w ramionach sam-wiesz-kogo w jej rezydencji. Proszę, idź spytaj go, czy to jego pies. Z chęcią to zobaczę. Z chęcią zobaczę, co się z tobą stanie, kiedy to zrobisz. A teraz stul pysk i przestań doprowadzać te cholerne psy do szału! - Po tych słowach zatrzasnął bramę, wywołując kolejny wybuch psiego rejwachu.

Noc była bezksiężycowa, a na domiar złego dom miał układ godny labiryntu. Maeniel szybko przemykał od cienia do cienia. Nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Usiadł i zdał się na swoje zmysły.

Żołnierz na krużgankach. Tak, wszystkie wonie na to wskazywały: metalu, potu, rozgrzanego mężczyzny, młodości. Tak, żołnierz.

Kolejni mężczyźni, nieżołnierze, w pobliskim pokoju przyjęć; nie tak zgrani, w zleżalej odzieży; czuł zapach jedzenia, napitków. Słyszał śmiechy i rozmowy. Sekretarze Cezara? Możliwe.

Kochankowie, dwoje niewolników? Razem w niedalekiej pustej sali biesiadnej. Zapach seksu go podniecił.

Unikając wart, przeszedł cieniami wewnętrznego ganku na inny dziedziniec. Róże, tak, te róże. Białe w wazonach pod ścianą. Furtka do jej prywatnego ogrodu. Ich woń przenikała wilgotne, prawie nieruchome powietrze, zapraszały, jakby chciały powiedzieć: „Chodź, chodź”.

Obudziła się. Dziś miała bóle głowy. Zaczęły się, kiedy Dryas walczyła z tygrysem, i tym razem ujrzała jego. Kalpurnia wiedziała, że męki, które stanowiły treść jej życia, wkrótce się skończą - męki, które zaczęły się, gdy ujrzał ją na progu osiemnastej wiosny i poprosił ojca o jej rękę, a które ciągnęły się dzień po dniu do dzisiaj.

Dwadzieścia lat zabrało mu zrozumienie, jak bardzo go nienawidzi, ale dla niego to nie miało najmniejszego znaczenia, byleby dała mu syna.

Dalsze pięć lat zajęło mu wykrycie, że zabijała każdy kolejny płód, nosząc go jeszcze w łonie, przy czym dwa razy otarła się o śmierć.

Teraz miała to wszystko za sobą. Kleopatra dała mu syna i dzisiejszej nocy leżał w jej ramionach, mając nadzieję na następnego.

W pokoju było ciemno, a pokojówki tworzyły niewyraźne skulone kształty na sofach otaczających jej łóżko. Zamknęła oczy i wdychała zapach róż. Kiedy otworzyła powieki, zobaczyła parę oczu. Jaśniały, skupiając i odbijając promienie światła. To było zwierzę. Kot? Nie, za wysoki. Pies? Ale w tym domu nie trzymano psa.

Rzadko spała w sypialni przylegającej do krużganków. Woląta ten pokój. Był okrągły i jej mąż czasami nazywał go świątynią Westy. Nie był to tylko żart. Jedynie

kolumny z zielonego i białego marmuru oraz delikatne zasłony oddzielały go od ogrodu.

Podłogę zdobiły mozaiki wyobrażające skrzydlatego konia. Zasłony poruszały się w nocnym powiewie. Nie, to dawniej miała kota i psa. Potem nigdy. Pies go drażnił i pewnego dnia przekonała się, że kazał zwierzę zakopać żywcem. Pewnie długo walczył o życie, zanim się poddał.

Nie wiedziała, że kot - tak naprawdę kotka - złości go bezgranicznie, aż kiedyś spotkała zwierzę miauczące i błąkające się po ogrodzie. Ze ślepiów sterczały mu szpilki.

Wtedy właśnie postanowiła, że nigdy, ale to nigdy nie da mu dziecka, i nie dała. Ale w ciągu ostatnich kilku dni znów zaczął wyjaśniać jej sprawy i wielkie znużenie, ciężkie jak łuk triumfalny, przygniotło jej duszę.

Te oczy przesunęły się ku niej. Nie bała się. Terroryzował ją tak bardzo i od tak dawna, że zwykły strach nie miał żadnego znaczenia. Zwierzę znikło i pojawił się mężczyzna. Rozpoznała go.

- To ty - szepnęła.

Podał jej rękę i pomógł usiąść.

- Jakie to wygodne, że możesz zmieniać postać. - Mówiła cichym, ledwo słyszalnym głosem. - Jakim zwierzęciem jesteś?

- Wilkiem - powiedział, pomagając wstać jej z łóżka. Wyśliznęli się z pokoju, trzymając za ręce.

- Wyobrażam sobie, że to ratuje cię ze wszelkiego rodzaju niewygodnych sytuacji - dodała.

- Tak. - Włożył znalezionej tunikę. - Tak, ale kiedy zmienię się nie w porę, powstają różne nieprzyjemne sytuacje.

- Nie mogę powiedzieć, że bym była zaskoczona. Po prawdzie, ostatniej nocy wyczułam w tobie coś dziwnego. Przecież wszedłeś do mojego ogrodu z dziecinną łatwością.

Przed nimi pojawiły się róże. Ruszyli między nie, nadal ręka w rękę.

Dopiero co świtało. Światło - różowe, barwy fuksji, fiołków i ametystów - było niewyobrażalnie piękne. Maeniel ledwo widział Kalpurnię i świat, w który weszli.

- To inne miejsce - rzekł.

- Wiem. - Przytuliła się do niego. Jak poprzedniej nocy miała na sobie jedwabną koszulkę, tyle że tej nocy materiał był prawie przezroczysty. - Przychodziłam tu już przedtem. Muszę się z kimś zobaczyć.

- Teraz?

- Nie, dopóki słońce nie wzejdzie wysoko na niebie. Kochaj się ze mną.

- Dobrze - powiedział i złożył pocałunek na jej ustach, chłodnych i świeżych niczym woda w lodowatym strumieniu. Jej ciało było gładkie jak płatki róż i równie pachnące. Stali w pobliżu kamiennej balustrady. Kilka kroków dalej trzy marmurowe stopnie wiodły na kamienny taras osłonięty srebrnymi liśćmi i zarosły niebieskimi kwiatami. Za tarasem nie było domu, tylko kępa młodych sosen.

W słabym świetle gęste igliwie miało zielonoczną barwę. Pod sosnami panował mrok. Spoczęli na grubym kobiercu z brązowych igieł. Wokół unosił się gęsty zapach żywicy.

- Czy ktoś zamieszkuje w tym ogrodzie? - spytał.

- Jeśli tak, nigdy go nie spotkałam.

Wcześniej zdjął tunikę i teraz przebiegła z wolną dłonią po jego barku, torsie, brzuchu, budząc rozkoszne oczekiwanie. Kiedy dotarła do celu, uśmiechnęli się i zagubili w pocałunkach, pieszczotach i poszukiwaniach boskiej, chociaż cielesnej rozkoszy, podczas gdy wokół nich po raz wtóry budził się pierwszy poranek świata.

Zasnęli na jakiś czas, a kiedy się ocknęli, słońce ciskało długie włócznie blasku przez młode sosny. Gęsta koronka igieł tworzyła złote wzory na skórze kochanków i leśnym podłożu.

Patrzyli na rozległe łąki zdobione małymi kępami drzew i kwiatami o wszystkich barwach tęczy. Łąki opadały płytkimi tarasami ku zamglonemu horyzontowi, a wilcze ucho Maeniela wychwytywało z oddali dźwięki morza. To było morze w okresie lata, rozkołysane, ślące długie ciepłe fale, opadające na piasek wybrzeża z lekkością dziecięcej stopy.

Ruszyli na łąkę. Kwiaty płonęły złotem na tle brązowiejącej letniej trawy, tworzyły plamy błękitu w zielonym, mrocznym cieniu długich gałęzi wierzby płaczącej. Te gałęzie spoczywały na gigantycznej popękanej urnie, zanurzonej w ziemi. Za urną szkarłatna kaskada winorośli opadała ku niebieskiemu stawowi okrytemu gęstymi łodygami wierzby.

Jakieś stworzenie piło ze stawu, coś, czego wilk nie mógł dokładnie zobaczyć. Uniosło głowę i zarżało na widok towarzyski Maeniela, która pobiegła ku niemu z okrzykiem radości.

Spotkali się i śmiali, i tańczyli razem na trawie wśród kwiatów.

Wilk dostrzegł delikatne, niemal czarne nozdrza, a potem oko, lśniące i ciemne, za firaną długich rzęs. Ciemny bark o szarej nakrapianej sierści lśnił metalicznie. Maeniel przez chwilę widział róg na środku czoła.

Stworzenie, splot materii i cienia, stanęło dęba, a potem rozwinęły się skrzydła, które na moment zasłoniły słońce. Były tak wielkie, że pewnie dorównały długością torowi wyścigowemu, miały z milę rozpiętości. Zwierzę nie nosiło ich na sobie, ale wezwało stamtąd, gdzie zamieszkiwało na stałe, tak jak przywołało róg i kopyta umiejące tańczyć w powietrzu.

Maeniel dojrzał wielkiego, nakrapianego siwka, którego sierść błyszczała jak czyste kute srebro, a grzywa i ogon były kędzierzawe i miękkie niczym włosy blondynki, puszyste niczym najlepsza wełna.

Ukląkł, zapraszając ją, aby go dosiadła. Odmówiła ze śmiechem, ale pocałowała go w chrapy i uściskała potężny kark.

Skrzydła rozwinęły się z hukiem tak głośnym, z jakim podczas burzy pęka maszt statku, i nieziemski rumak znikł w porywie wiatru.

Kalpurnia stała, unosząc dłoń w pożegnaniu.

- To twój przyjaciel? - spytał Maeniel.
- Tak. Staje się niecierpliwym. Muszę odejść za następnym pojawieniem się wizji.

Podszedł do niej i usiedli na pękniętej ławce w pobliżu stawu. Wielkie różowofioletowe kwiaty lotosu otwierały się w słońcu, gęsto zarastając lustro wody.

Z boku odchodziły w dół stopnie. Płytkie, na wpół zarośnięte, opadały przez niskie tarasy, z których każdy wypełniała zielona murawa, ogrody pełne róż, lilii, kwitnących drzew i kolejne stawy, ozdobione posągami. Część rzeźb była zniszczona, część nietknięta, niektóre białe, inne pociemniałe od mchów i porostów. Na obrzeżach ogrodów kwitła masa kwiatów: malwy, goździki, stokrotki, naparstnice, białe maki, blade i czerwone fiołki; w cieniach mleczak czarny i tojad mordownik. Każdy ogród był osobną całością. Każdy zapraszał do odwiedzin i kontemplacji.

- Twoja przyjaciółka pokonała tygrysa - rzekła Kalpurnia.

- Tak, ale teraz nie wiem, co zrobić.
- Zabij go - powiedziała.
- Jesteś pewna?
- Tak.
- Nie wyobrażam sobie, by jego następcą okazał się lepszy. Kimkolwiek byłby.

- Ależ będzie lepszy, zwłaszcza z punktu widzenia twojej przyjaciółki. Jeśli o mnie chodzi, to bez znaczenia. Jeśli chodzi o Rzym, zło już się stało. Nie potrafi tworzyć. Umie tylko niszczyć. Kiedyś nie powiedziałabym tego, ale teraz muszę.

Udoskonalił swoje umiejętności. Za kolejne dziesięć lat będzie pustoszył na prawo i lewo. Nic nie powstanie z popiołów, które zostawi za sobą. Nie ma nikogo, kto by mu dorównał. Nikogo równie silnego.

- Powiadają, że ma dobre cechy.
- Jakie? - spytała.
- Jest litościwy.

Zaczęła się śmiać.

- On nie zna sensu tego słowa. Litość w jego wydaniu to umiejętność zastawiania pułapek. Wybacza wszystkim i czeka, sprawdza, kto będzie dla niego użyteczny, kogo da się zmiążdżyć, zniewolić i pozbawić ducha, a kto musi zostać zabity, ponieważ będzie mu się sprzeciwiał do ostatniego tchu.

Oczywiście, kilku wybierze i pozwoli im żyć przez jakiś czas, tak żeby móc się bawić ich cierpieniami. Pamiętasz historię z piratami? Porwali go i zażądali okupu. Wypłacił okup, ale poprzysiągł, że wróci i ich ukrzyżuje. I tak zrobił.

- Słyszałem, że kazał ich udusić, zanim zawieśli na krzyżach - wtrącił Maeniel.

- Tak, po jakimś czasie, ale tylko niektórych i dopiero wtedy, kiedy znudziło go własne okrucieństwo i nasycił się ich cierpieniami. Umie podporządkowywać sobie ludzi, wykorzystując tych, których kochają. Mnie dawno temu pozbawił wszystkich, których kochałam.

Pomyśl o swoich przyjaciółach. O tamtych zakładnikach w Galii. Uginają kolana, bo lękają się o swoich najbliższych.

Teraz jestem wolna. Stałam mu się zawadą. Kiedy powróci z Partii i Białej Wyspy, będzie chciał się ożenić z tą Egipcjanką. Jaki pożytek może mu przynieść żona w średnim wieku? Widziano go, jak kręcił się przy medykamentach Filona, którymi medyk leczy moje migreny. Nieco więcej opium i zasnę nie na kilka godzin, ale na zawsze.

Maeniel pogładził ją po policzku i ucałował w czoło. Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach. - Nie, on wybrał i ja też. Tu nie ma ręki losu, tylko chodzi o wybór. On jest kamienną równiną, na której zmarli powstają o świcie, z otwartymi ranami na bladym ciele, z oczami wypełnionymi nienawiścią. Znow walczą między sobą o zwycięstwo i władzę, lecz jedyna wiktoria, która ich czeka, to kilka godzin ciężkiego snu przed wschodem słońca. Spoczywają okryci milczeniem śmierci i powstają o zmierzchu, by pić i chełpić się, czekać na świt i wyjść na świat, kolejny raz przeżyć mękę śmiertelnych ran. Czekają na niego. Nie może im umknąć.

- A ty? - spytał.

- Pst. - Znow położyła mu palec na ustach. - Nigdy nie przeżyłam takiej miłości. Nie mogę chodzić w ciemności, bo promieniuję uczuciem i jeszcze dosięgnę mego rumaka zrodzonego z wiatru i deszczu, i frunę w zaświaty.

Teraz, zanim będę musiała odejść, jeszcze raz nasycę się urodą tego miejsca, które nie ma sobie równych. Będziemy się kochać w krwawym prochu czasu, aż zostanę zmuszona do powrotu i przekroczenia bramy wieczności.

26

W ludus była łaźnia. Spartańska, to oczywiste, ale wyposażona we wszystkie najnowsze urządzenia. Rozpalono *hypocaustum*. Marcja czekała na Dryas. Gorące pomieszczenie z basenem było proste, zbiornik wyłożony płytkami z rurą sterczącą ze ściany. Marcja odkręciła kurek i ciepła woda chlusnęła do basenu.

- Wynoście się, wy, mężczyźni - rozkazała Marcja.
- Nie - sprzeciwił się Lucjusz. - Mam prawo tu pozostać. - Posadził Dryas na ławce pod ścianą i zaczął rozwiązywać jej sandały.

Towarzyszyła im spora grupka widzów: Gordus, Aquila, Filon i Martinus.

- Potwierdzasz, że ma to prawo? - spytał Gordus.
- Tak - odpowiedziała Dryas, nadal wyczerpana po niebywałym zwycięstwie.

Wszyscy pozostali wyszli, poza Marcja, która rozplotła jej włosy, a potem pomogła się rozebrać.

Dryas z ulgą zanurzyła się w ciepłej wodzie. Kiedy się rozluźniała, przyglądała się Lucjuszowi, jak stoi na brzegu i rozmawia z Marcja.

Zamknęła oczy i długo myślała o swoim domu, jasnych kobiercach na ścianach i psach tłoczących się wokół paleniska. Długie zasłony oddzielały to pomieszczenie od reszty domu.

Widziała, jak mieszkają Rzymianie. Co on by sobie pomyślał w jakąś głuchą noc, kiedy niedalekie morze ciska fale o skały, wiatr niesie szare płachty deszczu, a lodowata mgła zwisa nad lasem i wrzosowiskami?

Zamknęła oczy i wydało się jej, że czuje słone powietrze, lekkie zapachy wrzosu i dzikiego kopru, zmieszane z wonią palonego drewna i pieczonego mięsa. Tu, w tej gorącej, wilgotnej łaźni pół świata dalej, całym sercem tęskniła za chłodnym, ale jakże czystym wiatrem i dalekim dudnieniem morza.

Kiedy na wiecu ogłosiła swoją decyzję ludowi i kobietom, drużynniczkom królowej, była zaskoczona ich smutkiem. Ich miłością, przynajmniej kilku z nich.

Przybyła Sachna, jej najbliższa przyjaciółka, jeżdżąca jak wędrowni wojownicy, na oklep i bez uzdy, tak dobrze rozumiała się ze swoim wierzchowcem. Błagała Dryas, aby powróciła, chociażby tylko ze względu na siebie. Kiedy Dryas odmówiła i chciała powiedzieć Sachnie do widzenia, mała ruda dziewczyna bez słowa pokazała jej plecy i odjechała.

Ale gdy była już daleko, odwróciła się i Dryas usłyszała szloch w jej głosie.

- Ty wrócisz! Wrócisz na pewno. Znam cię. Do tej pory będę zajmować się twoimi końmi i psami. Ten sam wiatr, który cię porywa, przyniesie cię z powrotem. Wiem. Nigdy nie myliłam się co do ciebie i nie myślę się teraz.

Potem kapitan dał znak i wioślarze lekkimi pociągnięciami wiosła skierowali statek na pełne morze, jakby nic nie ważył.

Ponad dwa lata temu, prawie trzy, słyszała głos przyjaciółki. Teraz ten Rzymianin, ten obcy mężczyzna, zaproponował jej małżeństwo i nie mogła mu odmówić.

Tak, odmówić nie mogę, ale czy mogę zostać jego żoną? Muszę się dowiedzieć.

Spojrzała na siebie. Rany zabarwiły wodę na różowo. Najgorsze były ślady pazurów na udzie, ale przestały krwawić i woda je oczyściła. Na ramieniu zostały jedynie zadrapania. Prawy bark bolał, napuchnięty i purpurowy.

Wielki kot zwarł kły, ale zbroja przygotowana przez Gordusa spełniła swoje zadanie. Gdyby zjawiała się w srebrnej gazie, zgodnie z życzeniem Fulwii, leżałaby teraz martwa lub w najlepszym razie ciężko ranna. A tak po kilku dniach dojdzie do siebie.

Zamknęła oczy i odpoczywała, słuchając, jak pluszcze woda wpadająca do basenu, łagodnie masując naruszony bark.

Musiła zasnąć na chwilę, a może na dłużej, bo kiedy ocknęła się ze wzdrygnięciem, przekonała się, że Marcji już nie ma. Lucjusz klęczał na jednym kolanie, wpatrzony w basen. Wyraz jego twarzy i postawa przypomniały jej, jak udawał prostego sługę, aby tylko móc się do niej zbliżyć. Uśmiechnęła się do niego niemal ze współczuciem.

- Nie! - powiedział. - Mogłabyś mnie skusić, żebym cię wykorzystał. Uśmiechasz się tak cudownie.

- Zatem wykorzystaj - odparła na to.

Poczerwieniał.

- Nie - rzekł. - Wyjdź i pozwól mi zająć się twoimi ranami.

Koło basenu stało krzesło zasłane grubym prześcieradłem kąpielowym. Pomógł jej wyjść po stopniach. Bardzo łagodnie usadził ją i owinął prześcieradłem,

tylko nogi zostawiając odsłonięte. Wylał je starannie, omijając poszarpaną skórę na udach. Rana dopiero zaczynała się zasklepić, była świeża i brzydka.

Filon dał mu świeże bandaże i miałki puder śmierdzący siarką. Gladiatorzy w *ludus* byli zagorzałymi zwolennikami tego środka, podobnie jak on. Wystarczyło, że Filon raz posypał tym pudrem ranę na plecach, a gorąco i swędzenie zaczęły ustępować. Teraz posypał nim ślady po pazurach, a następnie zabandażował je umiejętnie, jako że nauczył się paru rzeczy od Filona.

Zaczął ją ubierać, zaczynając od bielizny osobistej, przepaski na biodra, świeżej, z białego jedwabiu. Dotykał ciała Dryas jak kobieta, bez namiętności.

Odczytywał z wyrazu jej twarzy, że jest tym głęboko zaskoczona. Spodziewała się zwykłego pokazu siły, może z dodatkiem powierzchownej uprzejmości, próby wykorzystania jej bez sprawiania bólu czy przykrości, męskiej żądzy, może z wyeliminowaniem gorszych i bardziej nieprzyjemnych aspektów, lecz niewiele odbiegającej od tego, z czym już się spotkała.

Niezwykle umiejętnie nałożył chustę zakrywającą piersi. Podobnie poszło mu z przepaską biodrową. Następnie ubrał ją w białą jedwabną koszulę, na którą włożył stole z czerwonego jedwabiu. Wsunął jej sandały na nogi. Były z miękkiego zamszu; rzemyki przechodziły między palcami i wiązało sieje na kostce.

Akurat powróciła Marcja. Przyniosła białą wełnianą szatę i opaskę noszoną na włosach przez mężatki. Skończyła ubierać Dryas, zaplotła jej włosy w warkocze, nałożyła opaskę oraz pas zwany *cingulum*, zawiązany rytualnym węzłem.

- Tylko on może go rozwiązać - pouczyła ją Marcja. - I tylko wtedy, kiedy dasz mu pozwolenie.

- Nie jestem dziewicą - odparła Dryas. - Urodziłam dziecko.

- Tak, ale to nie ma żadnego związku z dziewictwem. To oznacza coś dużo poważniejszego.

- Co?

- Musi cię przekonać, żebyś uznała go za swojego małżonka, legła z nim, odsunawszy na bok wszystkie lęki, tak by was dwoje stało się jednością.

- Nie wiem, czy potrafię tego dokonać - powiedziała Dryas.

- Tak, tego się obawiam - wtrącił Lucjusz. - Lecz bez względu na to, co wydarzy się dzisiejszej nocy, nie zadowolę się tylko częstką i zwrócę cię twojemu

plemieniu. Możemy rozstać się jak przyjaciele, nawet jeśli nie potrafimy być kochankami. Nie chcę, by przemoc, nawet ukryta, zmała nasze stosunki.

- Rozumiem - odparła Dryas. Owinęła się w miękką szatę i towarzyszyła Marcji i Lucjuszowi do bramy.

Tam czekał na nich Aquila. Pocałował Dryas w policzek.

- Żegnaj, mały wojowniku. Opiekuj się nią - powiedział Lucjuszowi. - Ja wracam do Kampanii. - Chropowatymi palcami pogładził Dryas po policzku.

Nagle oczy wypełniły się jej łzami i złapała oburącz jego dłoń.

- Dziękuję ci.

Skinął głową i powtórzył to, co rzekł jej wtedy, kiedy pierwszy raz potraktował ją po ludzku.

- Powodzenia, Dryas. Opiekuj się nią - rzekł jeszcze raz do Lucjusza.

- Spróbuję. To nie zawsze łatwe - zauważył Lucjusz.

Aquila odwrócił się, minął bramę, dosiadł konia i odjechał.

Lucjusz pomógł Dryas wsiąść do lektyki.

- Twoja? - spytała.

- Wynajęta - powiedział i ruszyli w kierunku rezydencji Bazylich.

Po krótkiej chwili dostrzegła parę oczu odbijających blask pochodni. Kazała tragarzom się zatrzymać. Ślepią zbliżyły się, ale nie na tyle, by słudzy zwrócili na nie uwagę.

- Mógłbyś zaopiekować się nim i postarać, żeby dotarł bezpiecznie do domu? - spytała Dryas.

Oczy znikły.

- Myślisz, że zrobi to, o co prosiłaś? - zapytał Lucjusz.

Dryas skinęła głową.

- Wierzę, że tak. Jest bardzo dobry, a ja niepokoję się o Aquilę.

Lucjusz dał znak tragarzom, żeby ruszyli.

- Zasuń zasłony.

Dryas posłuchała go. Lucjusz skinął głową. Tak, była zbyt inteligentną kobietą, by kłócić się o drobiazgi.

Po przybyciu do domu odesłał lektykę na podwórzec gospodarski. Wcześniej pomógł Dryas wyjść i poprowadził ją przez stare pomieszczenia do tej części domu, w której mieszkali jego rodzice. Poprzednio nakazał Aristowi przez Filona, by

zrobiono tam porządek, ale nie miał pojęcia, co zastanie. Przywitali go Okrus, Filon i Alia.

Pokój biesiadny był sprzątnięty, stół przygotowany. Ustawiono łoża i krzesła. Pozostali wyszli.

- Czy masz ochotę spocząć? - spytał.

Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie leżałam podczas jedzenia.

- W takim razie usiądź.

Krzesła były stare i wygodne, z miękkimi poduszkami. Wszedł Oktus, niosąc tacę z przystawkami, i postawił przed nimi. Oliwki, ser, owoce, karafka białego wina.

Dryas spojrzała na niego.

- Dziękuję. Jak się zwiesz?

Oktus wyraźnie się zdziwił. Nie był przyzwyczajony do tego, że się go w ogóle zauważa.

- To Oktus - przedstawił go Lucjusz. - Jest garderobianym, pomaga mi się ubierać, goli mnie, zajmuje się takimi sprawami. Kto jest w kuchni? Nie mówcie mi, że moja siostra pozwoliła temu swojemu nerwowemu greckiemu kucharzowi...

- Nie - rzekł Oktus. - Kolację przygotowuje Alia. W tej części domu jest osobna kuchnia. Musiałem wyjąć z komina stare gniazdo jaskółek, ale okazało się, że piec działa.

- Świetnie! Alia dobrze gotuje.

Oktus wyszedł, zasuwając zasłony oddzielające ich od ogrodu. W pokoju było jasno. Stół otaczały cztery stojące lampy, każda z sześcioma knotami. Blask odbijał się od białych ścian ozdobionych namalowanymi zielonymi girlandami. Mozaika na podłodze również była zielono-biała, ułożona w prosty wzór liści akantu.

- Masz wielu służących? - zapytała Dryas.

- W domu jest zatrudnienie służby, ale tylko niewielka część zajmuje się moją osobą.

Zmarszczyła brwi, patrząc na oliwki i ser.

- Czy to wszystko?

- Nie, to zakąska. Wypełni nam czas oczekiwania na główne danie, szykowane przez Alię.

- Aha - powiedziała Dryas, sięgając po oliwki.

- Spróbuj z serem.
- Dobrze - rzekła po chwili. - Smaczne połączenie.
- Tak. - Napełnił jej kielich.

Przełknęła łyżeczek.

- Słodkie.
- Dodaj wody - poradził.
- Rozwadniacie je?
- Tak, większość mężczyzn, wszystkie kobiety.
- Rozumiem. Tak wypada.
- Właśnie.

Skinęła głową i dołała wody do wina.

- Co pijecie na waszej wyspie?
- Miód, piwo z jęczmienia, czasem wino. Bogate plemiona wybrzeży piją wino. My nie jesteśmy bogaci, przynajmniej ich zdaniem i pewnie również waszym.
- Co robisz pośród swoich? Gordus nazwał cię kapłanką. Aquila również, ale Odcięte Ucho mówi, że byłaś królową.

- Tak, jestem z rodziny monarszej. Mam trzy główne obowiązki. Muszę dać ludowi króla, poślubiając odpowiedniego mężczyznę albo rodząc dziecko, które kiedyś zasiądzie na tronie. Rozstrzygam spory. Przewodniczę rytuałom pogrzebowym. Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, zachowałam się tak, jak każe prawo. Powiedziałam ci, do czego jestem zobowiązana.

Oliwki i ser znikły. Oktus rozsunął zasłony i zabrał tacę. Lucjusz był wyraźnie skrzępowany, ale musiał zadać następne pytanie.

- Ilu mężczyzn było w twoim życiu?
- Dwóch - powiedziała.
- Tylko?
- Dostyc. Jednym z nich jest ojciec mojego syna, drugim wilk.

Lucjusz poczuł falę zazdrości.

- Ojciec twojego syna?

Dryas milczała przez krótką chwilę.

- Trudno mi to wyjaśnić. Wzięłam ślub ze względów politycznych.
- Politycznych? - spytał Lucjusz. - Nie rozumiem, jak...

- Nie mów mi, że nie rozumiesz. Marcja powiedziała, że przynajmniej połowa małżeństw w Rzymie jest zawierana przez wzgląd na politykę. Musieliśmy okazać mu przychyłność. Nie jesteśmy Rzymianami. Jedyne, co trzyma nas razem, to dobra wiara. On i jego ród zagrozili, że odstąpią od nas, kiedy ich królowa umarła podczas porodu. Zastąpiłam ją, a kilka innych naszych kobiet znalazło sobie mężów wśród jego rodu. Teraz tamci mają spadkobierców i pozostali naszymi sprzymierzeńcami.

- A ten wilk... Czemu nie wzięłaś go za męża i nie powróciłaś do siebie?

Wszedł Oktus, toteż wstrzymała się z odpowiedzią. Niósł trzy przykryte półmiski.

- Alia przeszła samą siebie. Mam nadzieję, że jesteście głodni.

Postawił tacę. Po kolei unosił pokrywki i recytował:

- Pieczeń z zająca w ziołach, wieprzowina z porami i pigwami, kapłon faszerowany boczkiem i grzybami. Do picia *falernum*.

Kapłon okazał się najwyborniejszy, wieprzowina ustępowała mu tylko odrobinę, ale Dryas, wygłodniała niczym tygrys, którego zabiła, znalazła w żołądku również miejsce na kawałek zająca. W końcu westchnęła, pociągnęła łyk wina, otarła usta serwetą i odpowiedziała na wcześniejsze pytanie Lucjusza:

- Ten wilk nie jest człowiekiem. Był zagrożeniem dla ludzi mieszkających w pobliżu jego terenów łowieckich i należało go poskromić.

- I udało ci się.

- Tak. Miałam szczęście, a on okazał się łagodny i odważny. W innym wypadku poniosłabym klęskę.

- Ale nie kochasz go?

- Nie. Jest inny. Przez jakiś czas każde plemię byłoby nim zachwycone, ale niebawem powstałyby nieporozumienia i musiałyby wrócić tam, skąd przyszedł. Nie wiem, co go czeka, ale jego przyszłość nie jest związana z nami ani ze mną. - Znów napiła się wina.

Opuściła długie rzęsy i wydawała się senna.

- Gdzie jest twój syn? - spytał Lucjusz.

- Nie żyje.

- Odcięte Ucho powiedział mi, że każda kobieta twojej rangi odebrałaby sobie życie, trafiwszy tu wbrew woli. Poza tym rozmawiałem z wilkiem - dodał nieco

niepewnie. - Nie wiem, czy powinniśmy roztrząsać jego słowa. Ufam ludziom, którzy mnie otaczają, ale...

- Tak - powiedziała Dryas. - Opowiem ci, jak zginął mój syn.

W tej chwili wszedł Oktus, niosąc *passum*, słodkie wino z rodzynek, i suszone figi w liściach laurowych.

Dryas poczuła dziwny dystans. To pewnie wino - pomyślała. A może to wygasał smutek, który nie odstępował jej od tak dawna? Nie wiedziała. Lecz natura, rozmiar i głębia tego smutku, chociaż może i był bezmierny, nie miały znaczenia. Cały problem sprowadzał się do jednego: czy smutek powinien być przeszkodą nie tylko w miłości, ale również w spełnieniu obowiązku?

Jego propozycja to nie puste słowa. Nieważne, czy jest głupi, lekkomyślny, omamiony złudzeniami, czy też kieruje nim pociąg do życia i ludzi, których nigdy nie widział ani nie poznał. Jest uczciwy. I ja muszę wyjść mu naprzeciw z całą uczciwością. Zatajenie czegokolwiek - przed nim, czy przed sobą - byłoby wielką zbrodnią.

- Nie wiem, czy będą mogła cię kochać - powiedziała. - Nie wiem, czy będę mogła powierzyć twej opiece własne życie. - Urwała. Przerwa trwała długo, wypełniło ją kilka oddechów, kilkanaście uderzeń serca. - Ale spróbuję.

- Złóżmy ofiarę duchom opiekuńczym domostwa. - Wstał i poprowadził ją do perystylu. Zatrzymał się na brzegu basenu. Amfora, bardzo stara amfora, przypominająca te, które biedacy stawiają na grobach na ofiary dla zmarłych, wystawała z ziemi i popękanych płyt.

Zakrył głowę połą togi. Dryas poszła za jego przykładem i też osłoniła głowę. Służba: Oktus, Filon, Alia i nawet Odcięte Ucho, zajęła miejsce u ich boku.

- Przybywam tu, szukając błogosławieństwa dla mojego małżeństwa i żeby się pożegnać - przemówił Lucjusz. - Prosić o pobłogosławienie małżeństwa to rzecz zwyczajna, pożegnać się w tym miejscu to rzecz niezwykła. Lecz jestem tu, gdyż zapomnieliśmy, skąd przybyliśmy.

Moja rodzina zjawiała się tutaj wiele lat temu. Wzięliśmy tę ziemię we władanie, a czyniąc to, obiecaliśmy chronić ją, otaczać opieką i miłością. Moi przodkowie zapewne nie zawsze byli najlepszymi ludźmi. Niektórzy okazali się chciwi, inni okrutni, a wszyscy byli skłonni do narzucania innym swojej woli i

demonstrowania siły. Ale byli mądrzy i równoważyli siłę litością i sprawiedliwością. Ich wady zostały okupione odwagą i honorem.

Teraz te cnoty odeszły w niepamięć. Zamiast kochać tę ziemię, odbiera się innym ich słuszne prawa, a zamiast jej bronić, pustoszy się i plądruje wszystko w zasięgu naszych chciwych rąk. Toteż muszę się stąd oddalić, jak niegdyś oni, jeśli opowieści mówią prawdę, kiedy ich świat spotkało zniszczenie.

Tak więc u pierwszego ołtarza moich przodków oddaję swoje życie tej kobiecie i jej plemieniu.

Alia podała Dryas oliwę i wino, która z kolei wręczyła je Lucjuszowi. Wlał oliwę i wino do amfory.

W chwilę później posąg u drugiego końca basenu runął do wody, roztrzaskując się na setki kawałków. Wszyscy podskoczyli wystraszeni.

Lucjusz podszedł w tamto miejsce i spoglądał bez słowa na szczątki w ciemnej wodzie.

- Czy to zły znak? - spytał Filon. - Jak myślisz, panie?
- Nie sędzę - odparł Lucjusz. - To oznaka, że ona opuszcza to miejsce, aby wyruszyć ze mną.

Służba odeszła, zostawiając ich w ciemnym ogrodzie.

- To rytuał - wyjaśniła Dryas. - Rytuał budzi to, co uśpione.
- Tak - powiedział i zaprowadził ją do małżeńskiego łóżka.

Sypialnia była większa niż zwykle. Jej ściany, tak jak salę jadalną, pomalowano w starym, powściągliwym stylu. Zielono-białą podłogę okalały girlandy wiosennych kwiatów. Ściany barwy jasnej zieleni, świeżych liści, a każdy fragment ozdobiono bukietem tych samych kwiatów co na podłodze: irysów, hiacyntów, stokrotek i słodkich, wiosennych róż.

Kosz z płonącymi polanami przełamywał nocny chłód, lampa o dziesięciu płomieniach płonęła koło łóżka. Było stare, żelazne, ale wyściełane czterema puchowymi materacami, zasłane jedwabiem i grubymi poduszkami.

Dryas zdjęła z włosów opaskę, rozpuściła je na plecy, a potem odwróciła się do niego i wskazując węzeł pasa, rzekła:

- Rozwiąż.

Wilk spełnił prośbę Dryas. Znalazł ślad Aquili koło *ludus* i pobiegł za nim. Aquila opuścił Rzym Via Appia. Jeśli dostrzegł wilka, który biegł łatwiejszą drogą powyżej szpaleru drzew i gospodarstw wiejskich, podążając za zapachem i odległą postacią człowieka, nie pokazał tego po sobie.

Koło Terraciana Aquila skręcił w boczną drogę, wiodącą ku wybrzeżu. W tej okolicy chłopskie zagrody przeplatały się z lasami.

Wilk przyspieszył i zbliżył się do swego „podopiecznego”. Truchtał w cieniu przydrożnego szpaleru drzew. Przyjemny spacer przy księżycu - pomyślał. Panował absolutny spokój.

Pora była późna, okna wiejskich domów czerniły się zasłonięte. Nawet psy pewnie leżały w budach, żaden bowiem nie rzucił się ze szczekaniem w jego kierunku.

Aquila ziewnął, kiwając się w siodle. Owady hałasowały w trawie i nawet wilk poczuł ochotę na małą drzemkę w jakimś wygodnym zakątku.

Kawałeczek od wybrzeża Aquila skręcił za koleinami odbijającymi od głównej drogi. Nowy szlak prowadził na nadmorskie pagórki. Był tak stromy, że miejscami koń musiał się dobrze napracować.

Wilk po raz pierwszy poczuł dzikie stworzenia - sarny, króliki, niedźwiedzia i nawet lekki odór kotów. Nie były to udomowione zwierzęta, ale małe drapieżne żbiki, nie wytępione jeszcze w Italii. Maeniel czuł się przyjemnie w tym wąskim pasie dzikości. Ale nadal nic nie przydarzyło się Aquili. Bezpiecznie dotarł do domu leżącego na uboczu.

Wilk pełen niesmaku legł pod krzakiem i obserwował człowieka szykującego się do snu. Dom wzniesiono wysoko nad winnicami. Poniżej, wzdłuż wybrzeża, wiała się droga. Wilk poszukał kryjówki. Ani myślał ruszać bez odpoczynku w drugą podróż powrotną do Rzymu. Podbiegł do domu długimi krokami. Z tyłu ciągnęła się szeroka weranda osłonięta przed morską bryzą.

Aquila zdmuchnął lampę. Na werandzie leżały sierpy, amfory, żerdzie, motyki i miękki stos worków. Ach, to było to.

Wilk przeciągnął się, zakręcił w miejscu i... Zastygł. Coś się zmieniło. Co?

Aquila zaczął chrapać.

Z przybrzeżnej drogi dobiegał hałas. Co za hałas?

Tak, niewyraźny tupot nóg. Żołnierze! Akurat tu.

Wilk obiegnął dom. Żołnierze maszerowali do miasta migocącego dalekimi światłami. No cóż, to jeszcze nie powód, aby wpadać w podniecenie.

Usiadł. Zastanawiał się, co robią Dryas i Lucjusz, po czym zdecydował się nie wysilać wyobraźni. Nietrudno było mu zgadnąć. Pomyślał z odrobiną zazdrości i sporą urazą: Ciekawe, czy wyda się jej tak dobry jak ja. Miał nadzieję, że nie. Kiedy żołnierze przejdą, będę mógł się trochę przespać.

Ale nie przeszli. Przeciwnie. Skręcili do domu Aquili.

Wilk okrążył dom z zawrotną prędkością. Budynek był niedostępny. Miał kwadratowy dach kryty dachówką i małe okna. W środku dziedziniec.

Nie było czasu do stracenia. Wilk cofnął się między winorośle i runął z błyskawiczną szybkością ku domowi. Przeskoczył kalenicę i opadł na dachówki wewnętrznego ganku obiegającego dziedziniec.

Wilki naprawdę nie umieją krzyczeć i raz przynajmniej Maeniel bardzo tego żałował, bo w przeciwnym razie nie oszczędziłby gardła.

Spodziewał się, że wewnętrzna część dachu będzie równie szeroka i płaska jak zewnętrzna, ale okazała się wąska i stroma. Pazury bezradnie szorowały po dachówkach, kiedy rozpaczliwie usiłował się o coś zaczepić. Nadaremnie.

Aquila, wielbiciel nocnego chłodu, spał smacznie na dziedzińcu.

Lucjusz śmiał się do łez.

- Żałuję, że nie widziałem jego miny. Żałuję, że nie widziałem jego miny, kiedy potężny wilk... - Nie mógł mówić dalej.

Dryas odwróciła się. Też nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Maeniel był szkarłatny z upokorzenia i wściekłości.

- Grozi wam niebezpieczeństwo, straszliwe niebezpieczeństwo - rzekł z furją.

- Wiem - powiedziała Dryas i padła w ramiona Lucjusza, krztusząc się ze śmiechu.

- Co się stało... - zaczął Lucjusz.

- Poprosiłem go o miecz i jakiś przydzwiewek - powiedział Maeniel.

Lucjusz stracił resztki powagi.

- Miecz i przydzwiewek - powtórzył słabym głosem.

- Było zimno. - Maeniel nie ochłonął z gniewu.

Lucjusz trzymał się za boki ze śmiechu i błagał:

- Przestań! Przestań! Zaraz umrę...

Oktus, stojący w pobliżu z pochodnią w ręce, zakrył usta.

- Mów dalej - poprosiła Dryas, ocierając oczy.

- Dochodził do siebie - kontynuował Maeniel. – Przydusiłem go...

- Wierzę - wtrącił Filon.

- Spytał, co wyprawiam - brnął dalej Maeniel. - Wyglądał na zaskoczonego.

Lucjusz zataczał się. Dryas nie mogła ustać na nogach. Usiadła na ławie w pobliżu ganku.

- Nie mam pojęcia dlaczego - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

- Uświadomiłem mu, że zaraz będziemy mieli gości – skończył Maeniel. -i to nie było śmieszne. Żołnierzom towarzyszyła egipska królowa, która chciała zapytać Aquilę, czy Dryas naprawdę umie odczytać przyszłość.

Lucjusza nagle odeszła ochota do śmiechu. Podeszedł do Dryas i objął ją.

- Tu jest zimno. Oktusie, przynieś płaszcz pani. - Filon odebrał pochodnię z rąk starego sługi. Lucjusz kontynuował: - To brzmi niewinnie. Gdyby cię naciskała, zbadź ją zwykłą gadaniną: dobre duchy będą ci towarzyszyły, Cezar narobi ci tyle dzieci, ile jest gwiazd na niebie, samych chłopców. Pamiętam, jak jedna zasuszona Syryjka mówiła to mojej matce. Sylwia uśmiechała się i dawała jej miedziaki.

Oczy Dryas pociemniały, ale się nie odezwała.

- Tak - rzekł Oktus. - Również pamiętam tamtą kobietę. A Sylwia umarła zaledwie w pół roku później. - Nagle się zaczerwienił. - Proszę, wybacz mi, panie.

- Nie - powiedział Lucjusz, klepiąc go po plecach. Odebrał od niego okrycie i otulił nim Dryas. - Nie musisz przeproszać. Myślę, że tamta starucha miała rację co do jednego. Dobre duchy towarzyszyły mojej matce. Była kochającą kobietą.

- Nie pamiętam złego słowa z jej ust - rzekł cicho Oktus i wycofał się w cienie.

- Tak, no cóż, ona nie jest Syryjka z rogu ulicy - zauważył Maeniel, wskazując palcem. - To Dryas, władczyni Kaledonii.

- Walczyłam nie tylko z tygrysem, ale i ze smokiem - powiedziała Dryas. - I, zgadza się, umiem odczytać przyszłość, kiedy ktoś tego zażąda, i nigdy się nie mylę.

- Smoki nie istnieją - zaproponował Lucjusz.
- Tak twierdzisz. Tak twierdzą prawie wszyscy, ale to, co nie istnieje, nie mogło mnie ugryźć. - Odwróciła się i zademonstrowała blizny na prawej łydce, trzy brzydkie białe wgłębienia po głębokich ranach.

Lucjusz odsunął ją na długość ramienia.

- Smoki nie istnieją.
- Tak - powiedział Maeniel. - Wiemy. Podyskutujemy o smokach przy jakiejś dogodniejszej okazji. Problem nie w tym, o co tamta szlachetna królowa spytała Aquilę, ale w tym, co powiedziała jednej ze swoich zauszniczek, Irys, w trakcie powrotu do Rzymu.

- Tak, ma ich dwie, Irys i Szarmenę - dodała Dryas.

- Jak mogłeś to podsłuchać? - spytał Lucjusz.

- Proszę... - rzekł Maeniel.

- Uwierzymy ci na słowo - rozsądził Filon.

Lucjusz skinął głową. Maeniel mówił dalej:

- Powiedziała: „Jeszcze przynajmniej przez kilka dni muszę powstrzymać Cezara przed proskrypcją”.

- Tak - odezwał się Lucjusz. - Spodziewałem się czegoś podobnego. - Odebrał pochodnię od Filona i odszedł w kąt ogrodu w towarzystwie Maeniela i Dryas.

Kiedy inni nie mogli ich usłyszeć, spytał Maeniela:

- Masz jakiś dowód? Tamci nie ruszą się bez dowodu.

- Nie, ale wydaje mi się, że mogę go zdobyć - odparł Maeniel. - Nie pytaj jak.

- Chodźmy - przerwała im Dryas. - Ostia jest tylko o godzinę jazdy. Z portu odpływają statki do wszystkich zakątków świata.

- Nie - powiedział Lucjusz. - On ma agentów w każdym zakątku świata. Jak daleko uciekniemy? Nie, teraz to albo on, albo my. Kiedyś może by mnie to nie obchodziło, ale teraz mam za dużo do stracenia.

- Poza tym to ty uparłaś się przybyć do Rzymu - przypomniał jej Maeniel.

- Tak, wiem, ale teraz... - powiedziała Dryas. - On jest stary i nie wiem...

- Żmija im starsza, tym jadowitsza - rzekł Maeniel. - A to żmija, jakich mało.

- Gdybym tylko umiał zachęcić do działania tego durnia, Brutusa. - Lucjusz uderzył pięścią w rozwartą dłoń. - Naprawdę myślisz, że jest jakiś niezbity dowód, że zamierza urządzić proskrypcję swoich wrogów?

- Sądzę, że go zdobędę. Powiedziałem ci, nie pytaj jak.

- Nie jestem tak głupi, żeby pytać o wasze sposoby, ale chcę wam pomóc. Ona mówi o przewidywaniu przyszłości. Widziałem, na co ciebie stać. Na dodatek ona ma te znaki po smoku. Kiedyś chciałbym spotkać tego smoka.

- W porządku, ale nie dziw się niczemu, co się wydarzy - ostrzegł go Maeniel.

- Przestałem dziwić się czemukolwiek, od kiedy was poznałem.

Ruszajmy.

Dryas odprowadziła ich wzrokiem, kiedy opuszczali dom. Została z Odciętym Uchem i Oktusem. Kiedy się odwróciła, chcąc wejść do domu, stała przed nim Fulwia. Próbowwała zamknąć drzwi, ale Odcięte Ucho położył na nich wielką dłoń i Dryas weszła do środka bez słowa komentarza.

- Jak śmiesz! - parsknęła Fulwia. - Jak śmiesz... i do tego ubrana jak szanująca się kobieta.

- Jestem szanującą się kobietą - powiedziała Dryas.

Na to Fulwia przeszła obok niej, a za nią Firminiusz, pokojówki, dwie służące, byli słudzy Lucjusza, Macer i Afer, pół tuzina tragarzy i kilku eksgladiatorów, pełniących funkcję strażników.

Aristo czekał w słabo oświetlonym atrium. Przedstawił się Dryas i zaczął omawiać z nią sprawy finansowe.

Jej wydatki na stroje, biżuterię, pokojówki.

- Jakie pokojówki? Jakie stroje? Jaka biżuteria? - pytała Dryas.

Tak, przyda się jej kilka sukni, może dwie czy trzy. Ze zwykłego, nie farbowanego lnu lub wełny. Sama skroi materiał i uszyje suknie. Jeśli to możliwe, chciałyby obejrzeć dziś konie. Zapewne będzie potrzebowała dobrego silnego wałacha lub klaczy. Koń powinien być ułożony do jazdy wierzchem i łagodny, jeśli to możliwe. Poza tym niczego jej nie trzeba. Sama zajmie się swoimi rzeczami. Zawsze tak robiła i nie potrzebuje nikogo przy sobie, kto by grzebał w jej broni lub strojach,

serdeczne dzięki. Przywykła osobiście ich pilnować. Następnie skierowała się do starej części domu, którą Lucjusz zajął dla siebie i swoich sług.

Wróciła do sypialni, w której spędziła ostatnią noc z Lucjuszem. Na stole obok łoża płonęła jedynie świeca. Dwa świetliki w suficie wpuszczały pierwsze szare promienie dziennego światła. Alia obudziła się już i zakrzętnęła, tak więc łóżko było posłane.

Dryas zdjęła drogie weselne szaty i włożyła prostą białą tunikę i szatę od Marcji. Z uczuciem pomyślała o tamtej trójce - Gordusie, Marcji i Martinusie.

Co za niespodzianka. Cała wyprawa okazała się pełna niespodzianek. Dobroć ludzi, których poznała, to jedna z nich. Przybyła tu, aby zabić, jeśli to możliwe, i zginać, jeśli to konieczne. Ani nie zabiła, ani nie zginęła. Natomiast znalazła przyjaźń, nadzieję i w końcu miłość. Bo pokochała i ostatniej wspólnej nocy zdała sobie z tego sprawę.

Nie było w nim cienia niewinności, którą miał wilk, jego niebywalej fizycznej atrakcyjności czy urody. Ale ten wąż, pokryty bliznami Rzymianin wiedział dokładnie, co robić. Zademonstrował swoje umiejętności w sposób tak wyszukany, że wilk wyszedł przy nim na dzikusa, miłego, ale jednak dzikusa.

Traktował jej ciało jak wyborny instrument, wydobywał każdą reakcję, jak chciał, kiedy chciał i ile razy chciał. A równocześnie jego zachowanie było wyzbyte egoizmu, myślał tylko o niej. Wiedziała, że jest niesłychanie uradowany odzyskaniem męskości i z radością witał tak przepięknie wrażliwą partnerkę, która dzieliła z nim te cudowne chwile.

Ich drugie zbliżenie było popisem wirtuozerii. Nigdy nie uważała się za piękną, ale on miał w tej materii inne zdanie i przedstawił je, wychwalając wdzięki zwykle ukryte pod strojem. Nie wiedziała, że jest tyle nazw opisujących części ciała, które badał, ani że łacina ma tak wiele słów o podwójnym znaczeniu. W rzeczy samej Lucjusz zdawał się czerpać rozkosz z szokowania jej, tak aby móc podziwiać rumieniec, kiedy cała się płoniła.

- Mój cudzie, cała różowiejesz - szeptał. - Tu, tam, wszędzie. Moje serca, moja duszo, moja, moja... - W pewnym momencie zasnęli i obudziło ich dopiero stukanie Filona, kiedy przybył Maeniel. Znow zapukał, przerywając jej marzenia.

- Pani, Alia przygotowała śniadanie. Wybacz, że nie będę ci towarzyszył. Muszę podać Aristowi środki cucące, zimny kompres i olejki kamforowe. Panna

młoda, która nie chce pieniędzy, natomiast w dzień po ślubie domaga się pokazania wierzchowców, to nieco ponad jego siły. Radzę ci, przyjmij pieniądze. Przydadzą się. Tak to z nimi jest.

- Dobrze i upewnij się, że kupił konie dla ciebie, Alii, Lucjusza, mnie, Maeniela, Odciętego Ucha i Oktusa - powiedziała przez drzwi. - Nie zapomnij o Oktusie. Wyślij go od razu z Alią do Ostii. Niech czekają tam na nas. Natychmiast wyślij ich z miasta. – Wyszła na ganek.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście. Tu powinni zostać jedynie ci, którzy umieją walczyć: ja, ty, Lucjusz, Odcięte Ucho i Maaniel. Nie musisz wypełniać moich rozkazów.

W tej samej chwili pojawił się Oktus.

- Ależ tak, Lucjusz polecił nam zrobić dokładnie to, co każesz, pani.

- To prawda. - Filon miał niepewną minę. – Faktycznie rzekł...

- W takim razie ruszaj! - powiedziała Dryas. - I powiedz temu człowiekowi... Aristowi... żeby jak najspieszniej przyszykował konie.

- Tak, pani - rzekł Oktus i oddalił się z pośpiechem.

Filon był wstrząśnięty.

- Mówiłeś, że są pieniądze? - spytała.

- T-tak - wydukał. - Lucjusz zostawił mi niemałą sumę.

- Dobrze - powiedziała. - Zanieś je Gordusowi i powiedz mu, że chcę się z nim jak najszybciej spotkać.

- Były dla ciebie... na wypadek...

- Gdyby nie wrócił - skończyła za niego.

- Tak.

- Zapewne Gordus potrafi spożytkować je rozsądniej niż my. Daj mu je co do asa i powiedz, niech zbierze wszystkich ludzi, których ma pod ręką. Zna ich tak dobrze, że nie wezwie głupców ani zbyt rozmownych. Czy wspomniałeś coś o śniadaniu?

Filon wskazał stół pod tują rosnącą obok drzwi.

Zerknęła na tacę. Chleb, ser, owoce, owsianka, *posca*. Zawsze *posca*.

- Świetnie - powiedziała.

Filon nie mógł oderwać od niej oczu.

- Tak? - spytała. - Jestem ci jeszcze do czegoś potrzebna?

- N-nie.
 - Ruszaj!
- Posłuchał jej.

27

Maeniel i Lucjusz szli razem, aż dotarli w pobliże domu Cezara. Maeniel wsunął się w zaułek.

- Lubisz ryzyko, prawda? - spytał Lucjusz. - A gdybyś tutaj natknął się na jakichś dwóch rzezimieszków?

- Postanowiłem, że gdyby ktoś próbował mnie obrabować, zjem go. Zajmie mi to trochę czasu, ale zrobię to.

- Taaak - rzekł Lucjusz. - Czy ludzie są smacznici?

- Nie wiem - powiedział Maeniel. - Nigdy ich nie próbowałem, ale wierz mi, wilki nie patrzą na pokarm pod kątem smaku. Ludzie jedzą dla zaspokojenia apetytu. Wilki - dla nasycenia głodu. Dla nich każdy posiłek jest smaczny. Przypilnuj mi rzeczy.

Opadły na ziemię i wilk wysunął się spod ubrania. Pobiegł do bramy domu Cezara.

Na warcie stał ten sam legionista co poprzednio. Wilk przysiadł na zadzie i przyjaźnie wyszczerzył kły.

- A, sukinsynie! - przywitał go legionista.

Wilk wyszczerzył się jeszcze bardziej.

- Jak tego nie zrobię, będziesz wył, no nie? - spytał żołnierz.

Maeniel posapał i zamknął pysk. Następnie uniósł go.

- Nie, nie, nie - zajęczał legionista. Odwrócił się i zastukał w bramę.

Uchyliła się nieco.

- Pies wrócił. - Żołnierz był wyraźnie nieszczęśliwy.

- Budzisz mnie, żeby mi to powiedzieć? - Wartownik za bramą był jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

- Tak. Zaraz zaczniesz wyć.

- Potrafisz czytać w jego myślach?

- Pali się do tego.

- No to go wpuść.

- Ale wciąż nie wiemy, czy jest tutejszy - zastanawiał się na głos legionista.

- A jakie to ma znaczenie? To pies. Co może zrobić?

Młody legionista zrobił wilkowi przejście. Maeniel wsunął się do środka, machając uniesionym ogonem. Skinął łbem strażnikowi leżącemu na pryczy koło bramy, po czym udał się przez atrium, obok masek śmiertelnych, larów i penatów. Przez krótką chwilę poczuł oddziaływanie mocy. Stare duchy opiekuńcze nie straciły nic na swojej potędze. Włosy zjeżyły mu się na grzbiecie. Tak, niebawem coś miało się tu wydarzyć. Udał się na poszukiwanie Kalpurnii.

Nie spała, przechadzała się po ogrodzie. Kiedy ujrzała Maeniela, rzekła:

- Nie ma go tu.

Zaprowadziła go do łaźni, gdzie na półkach leżały ubrania. Po chwili wrócił. Miał na sobie tunikę, płaszcz, sandały. Usiadł przy niej. W budzącym się blasku dnia widział wyostrome rysy.

- Kolejna ostatnia noc? - spytał.

- Kolejna. Teraz nachodzą mnie co kilka godzin. Mogę tylko wziąć lekarstwo Filona. Jedynie ono przynosi ulgę, ale niewielką. - Położyła mu głowę na ramieniu. - Chcę umrzeć, ale czekałam.

- Dlaczego? - spytał, gładząc ją po policzku.

- Bo muszę coś zrobić.

Rezydencja budziła się do życia. Świąteł przybywało. Wilk widział, jak w kuchni służdy rozpalają ogień i szykują śniadanie.

Pokojówka wyszła z okrągłej sypialni i była wstrząśnięta widokiem żony Cezara w ramionach młodego mężczyzny.

- Co ona ma zrobić? - spytał Maeniel.

- Wynieść się! - powiedziała Kalpurnia.

Maeniel spojrzał na dziewczynę.

- Odejdź - powiedział.

- Chodź ze mną - rzekła Kalpurnia. Zaciśnęła palce na jego dłoni tak mocno, aż bolało.

Pomógł jej wstać i krocząc wzdłuż długiej kolumnady, przeszli z jednego ogrodu do drugiego.

- Jestem prawie ślepa na jedno oko i ledwo chodzę – zwierzyła się. - Ale bez tego, co chcę ci dać, twoi przyjaciele zginą. Więc muszę ci to wręczyć, zanim odejdę na zawsze.

Choć niedomagala, szła szybko. Od czasu do czasu zataczała się i opierała o jego ramię, a raz czy dwa upadłaby, gdyby nie jego pomoc.

- Chcę, żeby się to skończyło. Nie masz pojęcia, jak jestem zmęczona nim, Rzymem, senatem, całym tym bałaganem. Gdyby nie róże, to zawładnęliby moim życiem i umarłabym znacznie młodsza, udręczona smutkiem.

Lecz smutek i tak cię zniszczył - pomyślał.

Tymczasem dotarli do gabinetu Cezara. Maeniel z łatwością wyłamał zamek. Drzwi uchyliły się do środka. Pomieszczenie wionęło pustką, tak jak boczne sale recepcyjne. Biurko, przy którym pracował Cezar, stało puste, nie licząc skórzanej podkładki. Z kosza wylewały się porwane papiirusy. Kalpurnia wysypała strzępy na podłogę.

- Nauczyłam się tej sztuczki dawno temu, kiedy chciałam przejrzeć jego zamiary. Zwykle przygotowuje kilka wersji. Potem usuwa zbędne ustępy. To dlatego pochlebcy wychwalają jego pisanie. Formułuje myśli zwięźle, a równocześnie z wdziękiem. Można pomylić jego styl z prawdą. Aha! - Powstała, trzymając listę z nazwiskami. Podała ją Maenielowi. Wilk pisał marnie, ale Mir zadbał o to, żeby jako tako czytał.

Na liście obok nazwisk była krótka charakterystyka: „intryguje przeciwko mnie”, „żona ma dość jego zazdrości, jeden z najbogatszych ludzi w Rzymie, jego majątek podzielił się z nią sześćdziesiąt do czterdziestu”, „z rozkoszą wbiłby mi nóż w plecy” i „nienawidzi mnie, przeklina za moimi plecami”.

Ale najbardziej zaskakująca była na tej liście obecność Marka Antoniusza. On też - pomyślał wilk. Lecz jego imię przekreślono i dodano Jeszcze nie”, „pijak i dziwkarz”. Obok inne imię, „chcę tylko ujrzeć jego twarz” i był tam też Lucjusz, ale obok umieszczono tylko jedno słowo: „ojciec?”. Na liście figurował również Brutus, „o tak, mój syn”.

Zwój był zmięty, brudny i postrzępiony.

- To jego charakter pisma, poznaję - rzekła Kalpurnia.

Maeniel wygładził papiirus, zwinął go i pomógł Kalpurnii wyjść z pokoju. Przebywali w gabinecie zaledwie chwilę, ale niebo stało się szare. Mimo poranka pokrywały je ciężkie, groźne chmury, które gęstniały i stawały się coraz ciemniejsze. Kalpurnia uniosła wzrok.

- Tak, niebawem - rzekła. - Nie bądź niecierpliwy. Daj mi jeszcze kilka chwil.

Odległy grzmot zahuczał ostrzegawczo.

- Tak - powiedziała. - Wiem, wiem.

Maeniel objął ją w pasie i najszybciej jak mogła udała się w kierunku róż. Ku jego zaskoczeniu nie weszła do tajnego ogrodu, ale zerwała jeden kwiat i wręczyła mu go.

- Nie chcesz tam wejść? - spytał.

- Teraz to niekonieczne. Nie zbliżaj się do donic, kiedy zacznę umierać.

Światło pozieleniało. Wielkie krople upadły na kamienne płyty. Zapach róż oszałamiał. Wilk czuł jego składniki: woń pieprzu i kleistą słodycz wymieszaną ze smutkiem, gorzkim żalem i deszczem niesionym wiatrem. Czy uczucia mają zapachy? On je wyczuwał.

Pocałowali się i zdumiał się, że mimo przenikającego powietrze różanego aromatu pachniała morską bryzą i czymś mniej trwałym niż kwiat. Nie był mocny zapach, za to ostry, wybornie swoisty, najbliższy woni cytryn; dostępny zmysłom, ale nieuchwytny sztuce perfumiarza, bijący jedynie ze świeżo przekrojonego owocu.

Tak, to była wyjątkowa kobieta i można było ją poznać, ale nie dało się jej uwięzić ani pojąć. Lecz Cezar nigdy na to nie wpadł, nie mieściło mu się bowiem w głowie, że coś może wymknąć się jego żądzy posiadania, a to, co było dla niego niedostępne, musiało zostać zniszczone.

Wilk chciwie pocałował ją jeszcze raz, wziął na ręce i zaniósł wystraszonym pokojówkom.

Ledwo dotarł do okrągłego pokoju, a rozpętała się burza. Położył Kalpurnię na stole i wyszedł z pokoju. Deszcz zalał ogród, a kiedy Maeniel się odwrócił, kobiety podniosły wrzask. Ciało Kalpurnii owładnęły konwulsje, gdy duch usiłował wyrwać się z pięknego więzienia.

Uderzył grom? Nie, to było coś bardziej ogłuszającego. Kopyta zadudniły na kamiennej ścieżce i Maeniel po raz pierwszy zobaczył rumaka w całej krasie. Był koloru burzowych chmur, jak stare kute srebro, nakrapiany, i dużo większy niż jakikolwiek koń, którego Maeniel widział. Tym razem miał na sobie siodło zdobione kością słoniową i złotą uzdę.

Runął biały piorun, oślepił wszystkich, a zaraz potem huk gromu zatrzęsł murami rezydencji. Wilk usłyszał rzenie. Rumak miał piękny łeb, onyksowe ślepia, szerokie chrapy, szkarłatne na tle aksamitnie gładkiego pyska.

Stanął dęba i opadł na ziemię, bijąc kopytami. Długa grzywa i ogon wydawały się częścią chmur burzowych, z których rozpościerały się pajęczyny deszczu, łącząc niebo z ziemią.

BUUM! Uderzył kopytem w kamień, który się zagotował. Uniósł się obłok pary.

Pojawiła się Kalpurnia. Postać na łożu, otoczona przez histeryzujące kobiety, znieruchomiła. Służba i żołnierze zbiegali się z całego domu, zaalarmowani wrzaskami pokojówek.

Uśmiechnięta Kalpurnia zatrzymała się przy Maenielu.

- Do widzenia. Nie mogę cię pocałować, bo naprawdę mnie tu nie ma, ale żyj długo i szczęśliwie. Nie zbliżaj się do tych kamiennych donic, kiedy on wzbije się w powietrze. Brama niebawem zostanie zamknięta.

Rumak przykląkł jak poprzednio i szybko zajęła miejsce na siodle.

Wiatr wył, ale nawet Maeniel słyszał rzenie zwierzęcia, wyrażające radość i triumf, silniejsze niż wściekłość sił natury. Deszcz siekł go w twarz.

Rumak skoczył w przestworza, ponad dom i mury ogrodu, w rozszalały wiatr i dziką burzę. Rozwinęły się gigantyczne skrzydła, z hukiem głośniejszym niż ryk piorunu, i znikł.

Maeniel pamiętał ostrzeżenie Kalpurnii i rzucił się do jej pokoju. Widlasty piorun uderzył w donice z różami. Rośliny zasyczały, buchnęła para i płomień. Donice rozpękły się, zasypując dziedziniec kawałkami gliny i ziemi, a każdy człowiek, który widział to lub słyszał, skrył się, gdzie tylko mógł.

Maeniel zakrył płaszczem głowę, zwój i różę i rzucił się biegiem. Po drodze minął legionistów pilnujących bramy. Schronili się przed burzą i zamieszaniem w pobliżu ołtarza duchów opiekuńczych domu.

- Mówiłem ci, nie powinniśmy wpuszczać tego psa – powiedział młodszy.
- Naprawdę myślisz, że miał z tym coś wspólnego? Sprawił ten cały zamęt? - spytał drugi.
- Pewnie to zabrzmia głupio...
- Zamierzasz osiągnąć jakąś pozycję w wojsku?

- Nie...
 - A ja tak - powiedział starszy żołnierz. - Jak będziesz opowiadał swojemu dowódcy takie historie, skończysz, pilnując kóz przy granicy z Hiszpanią. Tam są tylko kozy.
 - Rozumiem.
 - Mam nadzieję, bo w najbliższej przyszłości nie zamierzam Ci tam towarzyszyć. Pierwsze, czego żołnierz musi się nauczyć, to nigdy nie zgłaszać się na ochotnika. Drugie...
 - Nie musisz mi mówić - przerwał mu młodzieniec. - Ma trzymać gębę na kłódkę.
- Tamten nie powiedział nic więcej. Tylko skinął głową.

Konie dostarczono. Aristo stanął na wysokości zadania. Dryas wybrała najlepsze, wsadziła na nie Alię i Oktusa i od razu ich wystąpiła, mówiąc:

- Znajdźcie byle jaki nocleg i nie zdradzajcie nikomu, kim jesteście ani dlaczego podróżujecie. Jeśli nie wyruszymy za wami, nie próbujcie się z nami porozumieć. Jeśli nie zobaczymy się jutro, nie zobaczymy się nigdy. Nie wracajcie i nie szukajcie nas. Jedźcie dalej przed siebie. - Ponieważ mówiła do Alii w jej języku, ta rozumiała ją dobrze. - Jeśli się da, znajdźcie kaledoński statek i wydostańcie się poza zasięg rzymskiej armii i władzy.

Wręczyła im pieniądze i kazała ruszać. Potem spytała:

- A ty, Filonie?
- Nie, ja zostanę - powiedział.
- On będzie się martwił.
- Wiem, ale i tak zostanę.
- Uparciuch - powiedziała.
- Wszyscy tak o nas mówią.
- Odcięte Ucho...?

Gal roześmiał się.

- Ty pierwsza trzeba uciekać. Mała kobieta. Co ty tu zrobić?
- Powrócę z nim do mojego ludu albo zginę - odparła bez namysłu.
- Ja, ty zginać, bo Cezar już tu być ze swoją kobietą.

Z ulicy dobiegł tupot żołnierskich butów. Dryas udała się z pośpiechem do starej części domu i czekała w ogrodzie. Aristo wprowadził Cezara. Towarzyszyli mu: Kleopatra, Fulwia, Firminiusz i około tuzina legionistów.

- Widzisz - powiedziała piskliwym głosem Fulwia, wskazując Dryas. - On chce ją wziąć za żonę.

- No cóż, nie może - odparł ze spokojem Cezar. - To wbrew prawu.

Dryas starała się uchwycić spojrzenie Kleopatry, ale królowa unikała jej wzroku.

- Fulwio, mądrej głowie dość dwie słowie - powiedział dyktator.

- Po tym, jak skorzystamy z jej usług, czy raczej po tym, jak moja wybranka z nich skorzysta... - skłonił się Kleopatrze - ...pozwól mu na ten romans. Za miesiąc czy dwa zapewne znudzi się nią lub co bardziej prawdopodobne, ona znuży się nim. Przecież nie mają wiele wspólnego. Tutaj jest skazana na status niewolnicy, w najlepszym razie wyzwolenicy, należącej do twojego domu.

- A co z... tamtą sprawą? - spytała Fulwia. Zaciśnęła zbiegłe wargi w jedną linię, z oczu tryskał jej jad.

Cezar posłał jej spojrzenie, które nadal sprawiało, że silnym mężczyznom miękkły nogi w kolanach.

- Wierzyłem, że jesteś osobą inteligentną i mającą wyrobiony sąd. Nie każ mi zmieniać tej opinii. Twój ojciec dokonał wyboru. Gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, kto jest ojcem syna jego żony, po prostu rozkazałby porzucić noworodka. Prawa ojca rodziny są w tym względzie nietykalne. Nie pozbył się go, a ponieważ obecnie żadna ludzka siła nie jest w stanie zażądać od niego odpowiedzi, jego decyzja pozostaje ostateczna. Każdy prawy potomek w Rzymie zażądałby mojej głowy. Mogę uczynić wiele dla przyjaciół, ale nie to.

Tak, naciskaj dalej, Fulwio - pomyślała Dryas - a w końcu wylądujesz na jednej z jego list. Albo jej.

Cezar wpatrywał się w Dryas.

- Moja wybranka - wskazał Kleopatrze - jest przekonana, że masz moc odczytywania przyszłości, i chciałaby zapoznać się z tym, co nas czeka.

- Skąd ta opinia? - zapytała Dryas.

Twarz Cezara skamieniała.

- Nie zamierzam wyjaśniać ci moich poczynań. Zrób to, czego pragnie moja wybranka.

Sens rozkazu był wyraźny. Dryas znów usiłowała spojrzeć w oczy Kleopatrze. Piękna królowa nie patrzyła na nią przeciwnie, położyła dłoń na ramieniu Cezara i zatopiła wzrok w jego oczach. Zrewanżował się jej spojrzeniem pełnym oddania.

Opętała go i nie mam wyboru - pomyślała Dryas. Miała przecucie czegoś złego. - Chcę go zniszczyć, ale czego się boję?

- To córka smoczego plemienia - warknął Odcięte Ucho zza pleców Dryas. - Z morza. - Wskazał na nogę Dryas. - On ją napiętnować. Patrz na jej noga.

Dryas uniosła tunikę, odsłaniając łydkę i blizny po kłutych ranach.

- Kobiety utrapienie, tylko utrapienie - powiedział Odcięte Ucho i wskazał na Dryas. - Ta kobieta najgorsze utrapienie. Ty mądry mąż. Mądry tak, że nikt nie wywieść cię w pole. Przy tobie wodzowie, wojownicy jak dzieci. Robić głupstwa, ty dać klapsa. Robić gorsze głupstwa, ty zabić. Oni mieć nauczka. Ci, co żyć, nauczki do śmierć. Lucjusz, Rzymianin głupi. Ona go opętać, zabrać. A niech ona go mieć. Tobie to nic. Ty mieć dużo młodych głupiec. Ja. Ale tanich. Dużo. Iść za tobą za darmo. Każdy. Ja.

Znów wskazał na Dryas.

- Stare, stare, stare plemię. Ona ze stare plemię. Oni żyć w mgła, deszcz, ciemność. Bogi bić się w niebo. Patrzyć w inny świat. Język smoka. Smoka królowa. Gwiazdy czytać. Mężowie ukraść pierwsza magia od taka kobieta, taki rodzaj kobieta. Tylko utrapienie najgorsze. Brr! Zła przyczyna ona tu się zjawić. Zła. Czy ja tobie kiedy powiedziec głupota?

- Nie, przyjacielu - rzekł Cezar. - Nigdy mnie nie okłamałeś. Czy on mówi prawdę? - spytał Dryas.

- Tak - odpowiedziała. - Radziłabym ci potraktować go serio.

Odcięte Ucho mruknął.

- To zaczyna mnie intrygować - rzekł Cezar. - Naprawdę przepowiadasz ludziom przyszłość?

- Nie całą, tylko tę jej część, która ich dotyczy. Nie spotkałam jeszcze człowieka, który chciałby poznać wszystko, co wiem. Nigdy.

- Możliwe, że w końcu go spotkałaś - odparł.

- Więc staniesz twarzą w twarz z wyjątkową kobietą. Kiedy?
- Teraz. Kobiety nigdy nie budziły we mnie lęku. Czego ci potrzeba?
- Niczego. Spokojnego miejsca, w którym nikt nie będzie nam przeszkadzał.
- We dnie czy w nocy?
- Teraz, jak sobie zażyczyłeś - powiedziała.
- Świątynia Westy. Kapłanki, westalki, z przyjemnością zrobią mi tę przysługę. Przecież Westa to kobieta.

Świątynia była wiekowa, może najstarsza w Rzymie. Wiele razy ją przebudowywano. Chroniła ogień przed wygaśnięciem i tak naprawdę do tego ograniczała się jej funkcja. Niesłuchanie prosta budowla była przypuszczalnie kopią pierwszych sadyb osadników. Zapewne przybyli z Grecji i zasiedlili kamienistą, gorącą ziemię na siedmiu nadtybrzańskich wzgórzach.

W środku zrobili palenisko, przy którym zgromadzili się po raz pierwszy, chroniąc przed zimnem i niebezpieczeństwem czającymi w ciemności. W tamtych czasach ludzie zasypiali, mając przed oczami żarzące się głownie, a budził ich widok strzelających płomieni, kiedy jeszcze przed wschodem słońca kobieta, opiekunka żaru, dorzucała dREW do ognia, szykując pierwszy posiłek.

Westa, opiekunka rodziny, czystości żon i córek, strażniczka ogniska i, być może, ducha ognia, który na zawsze oddzielił ludzi od zwierząt, strzegła też przed nieszczęściem, głodem i chorobą. Dała ludziom dar niebios, złożyła go w drżące dłonie pierwszej nieśmiertelnej marzycielki naszego gatunku; pierwszej, która oderwała oczy i ręce od spraw doczesnych i uniosła je ku rozgwieżdżonemu niebu. Tak, oto jedno z takich miejsc jak Delfy, Tara w irlandzkiej dolinie czy równina Salisbury - pomyślała Dryas. - Tu przyłożono pieczęć. Tak, ona przybędzie. Jestem pewna. Odcięte Ucho ma rację. Głupcem jest mąż, który igra z magią kobiet. Kto by pomyślał? Oto Cezar jest głupcem. Ona zapewne go zniszczy, ale przy okazji i mnie.

Świątynia była okrągła, mała, a jednak mimo to wzbudzała szacunek. Ogień płonął na umieszczonym centralnie okrągłym ołtarzu z marmuru, pilnowany dzień i noc przez strażniczki, westalki. Marmurowe korynckie kolumny stały pod gładkimi ścianami z białego wapienia, nad ołtarzem górowała rotunda. Dryas poczuła, jak ogarniają głęboki lęk. Dzień był ciepły, zupełnie niazimowy. Wysokie cumulusy, białe

u góry, ciemne u podstawy od ciepłych prądów unoszących się nad miastem, zasłaniały niebo nad Forum.

Dryas po raz ostatni wyjrzała za dwuskrzydłowe drzwi z cedrowego drewna. Cezar powiedział coś westalce. Skinęła głową i wyszła. Dwaj żołnierze zamknęli wierzeje i zapanował mrok. Ogień na ołtarzu rzucał słaby blask. Dachowa rotunda była dwustopniowa. Niebieskobiałe światło wpadało przez dzielące je okna i dymnik.

Dryas miała dziwne wrażenie, że już widziała podobną konstrukcję, i po chwili zdała sobie sprawę, gdzie to było. Wiekowa budowla przypominała dwór Cynewolfa, jakby w ludzkich umysłach i duszach rozbrzmiewał po wieczność rozkaz: Nie żądam ofiar ni modłów, ale uczcijcie mnie w drewnie i kamieniu. Pamięć o mnie przysłuży się wam i mnie samej.

Cezar dostrzegł woskową bladość Dryas.

- Co się stało, czarownico? Czy złożyłaś obietnicę bez pokrycia i teraz ogarnął cię lęk?

Dryas pozbyła się pasa i miedzianej korony, mówiąc przy tym: - Boję się, Cezarze, ale nie ciebie. Jej władza jest nieogarniona, tak że przy niej twoja nic nie znaczy. Ja nie obiecywałam niczego, lecz ona tak. I jestem pewna, że dotrzyma słowa.

Podala pas i koronę stojącemu blisko Galowi. Długie włosy obramowały jej twarz jak gęsta ciemna kurtyna. Zbliżyła się do ołtarza. Okrążyła go, aż znalazła się dokładnie naprzeciwko Cezara. Dzieliły ich płomienie.

- Skoro się domagasz! - rzekła.

Odcięte Ucho wycofał się bardzo szybko, ponieważ wiedział, że istota, która stoi po drugiej stronie ołtarza, to nie jest Dryas.

- Czemu wezwałeś mnie do tego miejsca, w którym brak światła i powietrza? Jest mi tu niewygodnie - oświadczyła. Po tych słowach znaleźli się gdzie indziej.

Dryas rozpoznałaby otoczenie, ale Dryas dla swego bezpieczeństwa została umieszczona w miejscu, w którym nie władał czas. Stali na górskim stoku, z którego spadał wodospad. Gigantyczne iglaste drzewa zarastały szczyt.

Poniżej zwyczajnie sze drzewa łagodziły surowość górskiego krajobrazu. Pnie, których korony przypominały rozłożyste chmury, przeplatały się z wyrastającymi pośród skał dębami. Jarzębiny o płonących jagodach otaczały polanę.

W środku, na płaskim głazie, płonęło ognisko. Chłodny wiaterek unosił się w czystym powietrzu, igrając płomieniami. Ptasie trele rozbrzmiewały wśród drzew i krzewów.

- Masz pytanie? - rzekła Dryas i nie-Dryas. - Pośpiesz się, gdyż ta śmiertelna istota nie znieśie długo mego dotknięcia, a nie chcę być powodem jej zniszczenia. Chociaż ciebie to zupełnie nie obchodzi, Cezarze, jej plemię potrzebuje królowej gotowej dokonać wielkiego czynu. Mów!

- Jakie jest moje przeznaczenie? - spytał Cezar.

Dryas i nie-Dryas okazała zniecierpliwienie.

- Sam znalazłbyś odpowiedź na to pytanie, gdybyś zaprzął swój wybitny intelekt do analizy faktów. Lecz twoje lenistwo mnie nie dziwi. Ludzie twojego pokroju naprawdę nie chcą znać swego losu. Odpowiedź brzmi: nadeszła pora twojej śmierci. Każda droga, którą wybierzesz, zaprowadzi cię do grobu, który już na ciebie czeka, zwłaszcza jeśli jutro udasz się do senatu. Unikaj kurii do końca pobytu w Rzymie, a przeżyjesz i wyruszysz do Partii. Podaj wymówkę, że oplakujesz żonę.

- Moja żona nie umarła. Jej pokojówki powiadomiły mnie, że zażywa odpoczynku. Wystraszyła się ciężkiej burzy, która tego ranka przeszła nad naszym domem.

- Ona nie zażywa żadnego odpoczynku, Cezarze. Ważna część jej osoby odeszła już na zawsze. To prawda, jej ciało jeszcze oddycha, ale do południa osamotniona powłoka utraci resztkę energii i rozpocznie wędrówkę w proch. To nie była burza, ale na ten temat nie wyjawię nic więcej.

- Idy marcowe - rzekł Cezar. - Od miesięcy każda wróżbiarka w Rzymie kracze tylko o nich. Chociaż może i jesteś potężna, Dryas, ale niczym nie różnisz się od reszty podobnych ci szarlatanów.

- Cezarze, kiedy drwal chce ściąć drzewo, wyznacza miejsce jego upadku, wybierając punkt, w który uderzy toporem. Kiedy topór pójdzie w ruch, przeznaczeniem drzewa jest runąć dokładnie tam, gdzie chciał drwal. Tak jest i z człowiekiem. Siły, które go zabijają, zaczynają swą pracę z jego narodzeniem i nie ustają przez całe życie. Mają wieloraką postać. Fizyczną, duchową, a bywa, że moralną. Nawet zwykli śmiertelnicy potrafią odczytać te wzorce i dostrzec koniec. Filon jest w pewnej mierze ekspertem i przewidział śmierć twojej żony kilka miesięcy temu.

Cezar westchnął.

- Wygląda na to, że moim przeznaczeniem jest wysłuchiwać kobiecego gadania. To wszystko truizmy. Nie słyszę niczego nowego.

Dryas i nie-Dryas pozostała nieporuszona.

- Cezarze, pozbadź się złudzenia, że rozmawiasz z kobietą czy w ogóle z człowiekiem. Powiedz mi, czy dyskutujesz ze swoim koniem o polityce?

Krew napłynęła mu do twarzy. Po raz pierwszy stracił nieco panowania nad sobą.

- Nie! Nie dyskutuję z koniem o niczym.

- No cóż, mogłabym wyjaśniać ci zasadę działania wszechświata z równym skutkiem, z jakim ty wyjaśniałbyś mechanizmy polityki koniowi. Zaufaj mi. Wszechświat jest dużo bardziej rozległy i złożony, niż to sobie wyobrażasz... teraz czy wyobrażałeś kiedykolwiek. Uwierz mi, kiedy mówię, że wszystkie drogi, którymi teraz zmierzasz, prowadzą do śmieci, do szybkiej śmierci.

Na przykład, gdybyś uciekł jej tu, w Rzymie, i wyruszył do Partii, są tam ludzie, którzy lękają się ciebie na tyle, że przebadali twoje czyny i pisma. Szukali słabości i mniemają, że wykryli ich kilka. Nie wydaje mi się, abyś tak łatwo miał ich pokonać.

Ale to nie wszystko. Jesteś zagrożony od środka. Jesteś stary, starszy, niż wskazywałby twój wiek. Walki, które prowadziłeś całe życie, nadwątlily twoje ciało. Ale zawodzi cię nie tylko ono. Głównie przeraża cię osłabienie władz umysłu. Zapominasz częściej niż przeciętni ludzie w twoim wieku. Jak często gubisz wątek i musisz uciekać się do pomocy swojej wybranki, Kleopatry?

- Nie będę słuchał... - zahuczał Cezar.

- Ależ będziesz, będziesz - powiedziała Dryas i nie-Dryas. - Będziesz słuchał tak długo, jak postanowię, i z pewnością, póki nie skończę.

Wszyscy na polanie - Filon, Odcięte Ucho i Kleopatra - wiedzieli, że to prawda.

- Nie zapominaj - głos spotężniał - że mnie wezwalesz, a ja nie jestem kimś, kogo można odprawić wedle swojego widzimisię. Więc zamilcz. Poza tym cierpisz na te starannie ukrywane ataki, po których przez kilka chwil nie możesz się odezwać i które unieruchamiają ci prawą stronę ciała. Niebawem, nawet wedle twojej miary, zostaniesz sparaliżowany na stałe: bezradny, śliniący się wrak, skazany

niczym dziecko na opiekę niewolników. W końcu nie będziesz mógł przyjmować pokarmów ani napojów i umrzesz uwięziony w gnijącym ciele.

Cezar pobladł i spocił się mimo porannego leśnego chłodu.

- To okrutne! - krzyknęła Kleopatra.

- Ty, ty oskarżasz mnie o okrucieństwo? - Dryas i nie-Dryas uniosła się szalonym gniewem. - Przecież to wzorzec okrucieństwa. On, który miał wszystko: urodę, siłę, intelekt, bogactwo, zdrowie i nawet miłość. Jego życie mogło być świetlistym hakiem na tle niebios.

Mógł oczyścić swój lud i doprowadzić go do wielkości, ale co uczynił z tymi darami losu? Wykorzystał je w podłym stylu, siał okrucieństwa i zaspokajał głębokie pragnienie władzy, obsesyjnie walcząc o pierwszeństwo. I oto jest pierwszym człowiekiem w Rzymie.

W tym określeniu była niebotyczna pogarda.

- Nonsens - odparł Cezar. - Rzymianie nie są predestynowani do wielkości. Dałem im to, czego pragnęli: bogactwo, bezmierne bogactwo i w końcu władzę. Będą rządzić światem. Zadbalem o to. Jaka wielkość mogę im dać?

Odpowiedz mi. Dryas i nie-Dryas wyglądała na znużoną.

- Wciąż nie rozumiesz, prawda? Bez względu na to, co powiem, ty nie zrozumiesz. Wy mieliście odkryć tę wielkość. Wy mieliście ją stworzyć. Nie mogę jej wam dać, ponieważ sami musicie ją wynaleźć. Pod tym względem nie miałam racji, porównując cię do konia. Boski ogień płonie w każdym z was. Możecie wykorzystać go lub splugawić, a ty, ciasna, egoistyczna duszo, splugawiłeś go i zawiodłeś samego siebie i swój lud.

- Tak więc za tę zbrodnię... zaniechania, muszę otrzymać jakąś... karę?

W tym pytaniu była ironia, ale i odwaga.

- Nie! - odpowiedziała. - My nie karzemy i widzę, że nawet w tej chwili usiłujesz kpić. Nigdy, przenigdy nie pojmiesz, że prawdziwa wielkość to nie sprawa zwycięstwa czy klęski. Nie! Umrzesz zgodnie ze swoją ludzką naturą. Wy wszyscy umieracie. Rodzicie się, hołubiąc w swym łonie ziarno śmierci. Ale gdyby nie ono, nie moglibyście żyć. Nie, jedynie ostrzegam cię, że jesteś bardzo blisko tej ostatecznej chwili. Odcięte Ucho, podejdź tu.

Tym razem olbrzymi wojownik był wystraszony.

- Chodź, mówię - powtórzyła.

Zbliżył się do niej.

- Zaczekaj! - Filon wyrwał się, piejąc dyszkantem. - Chcę za-zadać pytanie. Mogę?

- O co chodzi? Powiedziałam, że nie mamy dużo czasu - pouczyła go surowym tonem.

- Kim... kim jesteśmy? - wyjąkał.

Ona, Dryas i nie-Dryas, niemal się uśmiechnęła.

- Ach, wy, Grecy. Nie pamiętam, jaki lud sprawił mi tyle radości...

Odpowiem ci zgodnie z prawdą, ale nie zrozumiesz.

- Nie szkodzi - powiedział Filon. - Kiedyś, gdzieś, ktoś zrozumie.

- Tak - odparła. - Jesteście gwiazdny pyłem.

Następnie odwróciła się i przemówiła cicho do Odciętego Ucha:

- Lubię tę kobietę. Nie zawieź mnie. Złap ją, kiedy będę ją opuszczać, gdyż upadnie. Odchodzę. Już!

Twarz Dryas straciła wszelki wyraz, ciało się rozluźniło. Odcięte Ucho złapał ją i niepojętym sposobem znów znaleźli się w świątyni. Ogień płonął spokojnie na ołtarzu. Żołnierze przechadzający się wokół świątyni nie zauważyli ich zniknięcia.

Fulwia dostała wspaniałego ataku hysterii. Kleopatra łkała. Cezar był błąd jak ściana. Filon poczuł, że nie może ustać na nogach i usiadł, gdzie stał, na podłodze świątyni.

Dryas osunęła się bezpiecznie w mocarne ramiona Odciętego Ucha.

Dryas ocknęła się na pryczy w *ludus* Gordusa. Lucjusz pochylał się nad nią. Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. Uściskał ją w zamian.

Na zewnątrz wypełniała się widownia i rozmieszczano pochodnie oświetlające piasek areny.

Dryas szeroko rozwartymi oczami rozejrzała się po pokoju. Byli w nim wszyscy: wilk Maeniel, Gordus, Marcja, ich syn, Martinus, Filon i nawet Oktus.

- Co się stało? - spytała.

Lucjusz unikał jej wzroku.

- Dryas, trochę za dokładnie udało ci się przepowiedzieć przyszłość Cezarowi - powiedział Filon.

- Więc ona przybyła - szepnęła Dryas.

- O tak, tak, tak, jako żywo. Wystraszyła śmiertelnie wszystkich, nawet tego niepokonanego zbira Odcięte Ucho. Fulwia zamknęła się u siebie, zapewne nadal ma wapory i wprawiła pokojówki w stan dzikiego przerażenia. Jak myślę, Kleopatra osuszyła łzy. Tej kobiety nic nie wytrąci z równowagi. Ale Cezar wpadł w furię. Wierzy, musi wierzyć, że ktoś zaaranżował całe wydarzenie. Dyszy chęcią zemsty.

- Jakiej zemsty? - spytała Dryas.

Odpowiedział Gordus:

- Ty i ja mamy walczyć na śmierć i życie. Stawką jest... życie osób, które kochamy.

Marcja wybuchła płaczem.

- To moja wina - krzyczała. - Byłam głupia, że powiedziałam tej egipskiej suce...

Dryas podeszła ją pocieszyć i Marcja łkała w jej ramionach. Do drzwi celi zbliżył się Antoniusz.

- Widzę, że doszła do siebie... Koniec drzemki.

- Antoniuszu, czy cię kiedy nie znuży bycie alfonsem Cezara? - spytał głośno Filon.

- Za samo to, Filonie, umrzesz wyjątkowo nieprzyjemną śmiercią. Już ja się o to postaram, jeśli tylko los padnie na ciebie.

Gordus spoglądał na Antoniusza jak na krowi placek wyjątkowych rozmiarów.

- Nie wyobrażam sobie, żeby dał żyć komuś z nas.

- Ależ tak, on zawsze dotrzymuje słowa. Nie wolno wam w to wątpić - rzekł Antoniusz. - Zwycięzca nie tylko będzie miał prawo żyć, ale dostanie znaczną nagrodę.

- Czeka nas los Priskusa - powiedziała Dryas, wspominając zmarłego, którego duszę posłała na wieczny odpoczynek.

- Tak - rzekł Gordus. - Bił się ze swymi najbliższymi i zabił ich, żeby przeżyć.

Dryas uściskała Marcję i podeszła do Lucjusza. Nie objęli się, ale rozmawiali przyciszonymi głosami. Filon stał blisko nich.

Gordus z równym spokojem przemówił do Marcji i Martinusa. Maeniel wpatrywał się zimno w Antoniusza.

- Wynoś się, ale znajdę sposób, żeby rozerwać cię na kawałki - rzekł, po czym warknął jak zwierzę.

Antoniusz cofnął się od kraty, bardzo zadowolony, że oddziela go od celi, i odszedł.

Lucjusz pogładził Dryas po policzku.

- Zrozumiem, jeśli... przegrasz.

- Tak - powiedziała. Ucałowała wewnątrz jego dłoni.

- Wybacz mi, Filonie - rzekł Lucjusz. - Ale nie powinienes następować Antoniuszowi na odcisk.

- Mam przy sobie dawkę opium na tyle dużą, że wystarczy dla nas obu - rzekł ściszone głosem medyk. - Żadne z nas nie musi cierpieć, Dryas. Nie przejmuj się, przynajmniej nie tym.

- Dobrze - odparła i ucałowała Lucjusza w usta i Filona w policzek. - Lepiej pójde się ubrać.

Marcja cofnęła się od Gordusa, który ujął jej dłoń. Oktus stał koło kraty. Jak zwykle był bardzo spokojny.

- Wydaje mi się, że kazałam ci... - zaczęła Dryas.

- Wybacz mi, domina, moje nieposłuszeństwo, ale przybyłem z niezwykle ważnych przyczyn.

- Chodź, Dryas - powiedziała Marcja. - Nie mamy wiele czasu. Pół Rzymu tam siedzi. Na zaproszenie Cezara, mogłabym dodać. Największa sensacja w mieście. Szkoda, że nie mogę cieszyć się tym ekscytującym wydarzeniem, ale wiedząc, że chodzi tu o moje życie lub śmierć, jestem nieco... wytrącona z równowagi.

Ubieranie nie zajęło wiele czasu. Kiedy Gordus i Dryas wrócili, on miał na sobie tylko gladiatorską przepaskę, Dryas także ją miała, a także kolczugę noszoną podczas walki z dzikiem. Lucjusz zauważył, że zadbała o przyzwoitość, wkładając pod kolczugę opaskę na piersi, a włosy zaplotła w warkocze i ułożyła wokół miedzianej korony.

Znów pojawił się Antoniusz. Trzymał dwa miecze. Podał je przez kratę, rękojeściami w kierunku walczących.

Dryas wzięła swój, Gordus swój. Razem podeszli do wejścia.

Zapadł już zmrok, ale płonęło wiele pochodni i arena było jasno rozświetlona. Dryas usłyszała wiwaty i Cezar pojawił się na swojej trybunie. Towarzyszyła mu Kleopatra.

Krata dzieląca tunel od areny zaczęła się unosić i wyszli na piasek.

- Powinniśmy go przywitać? - spytała Dryas.
- Nie - burknął Gordus. - Tylko przestępcy skazani na śmierć wygłaszają tę formułkę. Może jestem skazany, ale nie uważam się za przestępcę. Ani nie zamierzam zachowywać się jak przestępca.

- Tak. - Dryas skinęła głową. Gdy znaleźli się na środku, odwrócili się ku sobie. Oboje widzieli kącikami oczu Cezara.

- Kiedy opuści chusteczkę - rzekł Gordus.

Lucjusz obserwował ich przez kratę. Szukał w sercu słów, które mógłby powiedzieć reszcie współwięźniów, choćby Filonowi, ale nie znajdował żadnego pocieszenia.

Żołnierze czekali na niego i Maeniela, kiedy powrócili do willi. Dryas już nie było, a Odcięte Ucho znikł. Wielki Gal wmieszał się w tłum na Forum, a Cezar machnął na niego ręką. Oktus zjawił się przy bramie, kiedy żołnierze aresztowali jego pana. Po prostu przyłączył się do zatrzymanych, jak zwykle nie mówiąc wiele, i również go zabrano. Lucjusz nie miał pojęcia, dlaczego zdecydował się ryzykować życie dla właściciela skazanego przez los na niemal pewną śmierć.

Lucjusz i Gordus byli przekonani, że Cezar nie pozwoli cieszyć się życiem nikomu z nich, a jeśli już, to krótko. Cezar był znany z bezlitosnego niszczenia wrogów. Mogli uzyskać tymczasową łaskę, ale - jak zbuntowany legion - w końcu czekała ich zagłada.

Sam Lucjusz stał za Dryas całym sercem.

Antoniusz wszedł na arenę.

- A więc to tak, zamierza, zabawić się w lanistę, co? – Gordus zmrużył oczy. - Żeby tylko gorzko tego nie pożałował.

- Bardzo bym tego chciała - powiedziała Dryas.

- Oboje bardzo byśmy chcieli.

Lecz Antoniusz trzymał się w bezpiecznej odległości, świadom, że są od niego szybsi i skuteczniejsi.

Cezar opuścił chusteczkę.

Dryas i Gordus skrzyżowali miecze. Antoniusz wycofał się i nawet Lucjusz, którego życie zależało od wyniku starcia, odsunął się od drzwi celi pod areną.

Gordus natarł mocno, ufając, że pokona Dryas siłą uderzeń.

Dryas natomiast przypomniała sobie pouczenie z pierwszych lekcji: „Moja droga, oni są silniejsi od nas i w pierwszym odruchu wykorzystują tę przewagę”.

Tak - pomyślała. Oba miecze, wypolerowane do połysku, migotały w świetle pochodni jak płynne złoto.

Dryas początkowo ustępowała pola tak szybko, że Lucjusz był przekonany, iż tak niezwykle szermierz jak Gordus pokonają i zabije. Ale mylił się. Albowiem Dryas kazała mu zapłacić za presję, którą wywarł, siekąc go po kłykciach sztychem miecza i rozcinając skórę przedramienia.

Gordus przyłapał się na tym, że walka sprawia mu przyjemność. Jeśli męczyzna jego profesji chciał przeżyć, musiał nauczyć się żyć chwilą. A właśnie przeżywał niesłychaną chwilę. Nigdy nie napotkał tak wytrawnego przeciwnika. Na każdy cios odpowiadała ciosem równie skutecznym, nieustannie przeciwstawiając sile szybkość i umiejętność.

Tłum zastygł w milczeniu. Niewielu z obecnych potrafiło ocenić wyżyny sztuki, jakich sięgał ten pojedynek, ale niemal wszyscy zdawali sobie sprawę, że oglądają coś wyjątkowego.

Dryas była dla Gordusa ciężkim orzechem do zgryzienia. Nie, siła nie zdawała się na nic. Co mu pozostawało? Zmusił ją do wysokiej zasłony i ciął nisko. Jego miecz niemal doszedł celu, ale zapłacił za to, przyjmując szybkie cięcie po wewnętrznej stronie przedramienia. Galijski miecz był ostry jak brzytwa. Gdyby zanurzył się głębiej, Gordus straciłby władzę w ręce. Zaczął spychać ją do bandy, mając nadzieję, że zagoni tam Dryas i zabije.

Przejrzała ten plan i pozornie uległa Gordusowi, po czym, kiedy kątem oka dostrzegła, że mur jest blisko, przerzuciła miecz z prawej do lewej i zanurkowała pod ramieniem przeciwnika.

Gordus znał ten manewr z teorii, ale nigdy nie widział, żeby się komuś udało. Nawet nie słyszał o czymś takim. Kiedy opanował zaskoczenie i się odwrócił, Dryas

znów miała swobodę ruchu. Nie pozostawało mu nic innego, jak pokonać ją szermierczym kunsztem.

Ciężko oddychała. Pod względem kondycyjnym kobiety są skazane na przegraną z mężczyznami. Ciało mężczyzny jest przystosowane do wysiłku. Mężczyzna z reguły nie jest tak otłuszczony jak kobieta, ma środek ciężkości na wysokości ramion, podczas gdy u kobiet jest on na wysokości bioder. Mężczyzna jest potężniejszy pod każdym względem - ma większe serce, płuca, mięśnie. Kobiety nie są tak wytrzymałe jak mężczyźni. Gordus poszedł na całość.

Jest szybki - pomyślała. To było wręcz przerażające, jak szybki. Ostrza śpiewały i tańczyły w powietrzu. Dryas wiedziała, że musi dać z siebie wszystko, aby mu dorównać. Przy swoich rozmiarach i wadze miał nad nią przewagę. Jeśli będzie walczyła pod jego dyktando, zginie.

Antoniusz usiłował ich rozdzielić.

Gordus cisnął mu przekleństwo.

Dryas zdała sobie sprawę, że Gordus wkłada wszystkie siły w ostatnie natarcie.

Antoniusz wycofał się, a może został w tyle.

Dryas wyczuła, że Gordus zwalnia. Teraz albo nigdy! Postawiła wszystko na jedną kartę.

Następną zasłonę przyjęła nieco za wysoko. Sztylek miecza Gordusa wrył się w jej prawe udo. Przyjmij cios, żeby zadać cios - pomyślała, okrążając swoim ostrzem miecz mężczyzny i wytrącając mu go z dłoni.

Miecz wbił się głębiej w ciało Dryas, niż chciał Gordus, po czym koziółkując, wyleciał w powietrze. Poczowała buchającą krew. W amfiteatrze zapadła cisza jak makiem zasiał. Tylko w oddali rozległ się przeraźliwy krzyk Marcji.

Gordus stał przed nią, trzymając się pod boki, bezbronny.

Zjawił się dyszący Antoniusz.

- Proś o łaskę, Gordusie.
- Nie - rzekł Gordus. - Nie zrobię tego. - Wpatrywał się w oczy Dryas.

Wokół publiczność szalała, krzyczała, wrzeszczała, tłukła w ławki i oparcia.

- Zabij go, Dryas - rozkazał Antoniusz. - Cezar pokazał kciukiem w dół.
- Wynoś się albo ciebie zabiję - powiedziała Dryas.

- Cofnij się - poradził mu chrapliwym głosem Gordus. - Ona nie żartuje. Nie obchodzą mnie wasze gwarancje. Żadne z nas nie ma nic do stracenia.

Antoniusz wycofał się.

Dryas uniosła swój miecz, ucałowała stal, oddała pokłon Gordusowi i podała mu miecz, trzymając za ostrze.

Wziął broń.

Dryas rzuciła kolczugę, ale nie obnażyła się całkowicie, gdyż nosiła przepaskę na piersiach.

- Nie zhańbię mojego miecza ani siebie. Nie spartacz tego, Gordusie. Filon i Lucjusz mają opium. Żyj do jutra. Cezar jest trupem. Brutus ma listę proskrybowanych. Zabiją dyktatora chociażby w odruchu samoobrony. Tu - rzekła, przyciskając palce do torsu po lewej stronie. - Tu jest najkrótsza droga do serca.

- Nie, Dryas, ty zwyciężyłaś. Nie umrę jak Priskus, ze złamanym sercem. - Gordus odrzucił miecz i ruszył w długą drogę powrotną do kraty.

Dryas podeszła do lśniącego miecza, odbijającego żółte światło pochodni. Kiedy się pochylała, aby go podnieść, zasłonił ją jakiś cień. Antoniusz!

Chwycił miecz z areny i przeszył ciało Dryas.

Okrzyk tłumu zaniepokoił Gordusa. Odwrócił się błyskawicznie, rzucił ku środkowi areny i zobaczył, co zrobił Antoniusz.

Jakiś wstrząs odrzucił konsula dobrych kilka kroków w tył. Miecz zasyczał, buchnął płomieniem, a potem rękojeść rozżarzyła się do czerwoności. Antoniusz odrzucił miecz z okrzykiem strasznego bólu.

Gordus chwycił Dryas w ramiona. Była śmiertelnie ranna. Ostrze przebiło płuca. Tonęła we własnej krwi.

Zakaszła. Krew rzuciła się jej ustami.

Za kratą panowała ciemność, mimo że powinny tam płonąć pochodnie. Gordus zadał sobie pytanie, czy wszyscy zakładnicy nie zginęli w trakcie pojedynku. Taki podły podstęp ze strony dyktatora nie byłby niczym niespodziewanym; nie znosił sprzeciwu. Gordus wiedział o tym. Widział, jak ludzie jego pokroju nie wahają się wykorzystywać władzy - często i otwarcie. Cezar nie był pierwszym chciwym krwi tyranem, który zdominował życie polityczne Rzymu, ale tylko jednym z długiego szeregu.

Unosząc Dryas w ramionach, popędził do bramy. Tuż na początku tunelu napotkał Maeniela. Pozostali, w tym Marcja i Martinus, znikli.

Maeniel przytulił Dryas i wsunął coś Gordusowi do ust. Błysnęło straszliwe światło i lanista spoczął na mchu koło źródła bijącego wysoko w górach.

Maeniel zjawił się zaraz po nim, lecz nie w postaci człowieka, ale gigantycznego wilka.

Następnie Dryas padła w ramiona Lucjusza, zakrwawiona, ale już nie krwawiąca. Przyciskała różę Kalpurnii do boku. Na oczach Gordusa rana goiła się, zamieniła w czerwoną linię, niewyraźną bliznę, a potem czystą, miękką, gładką skórę.

Oktus wcisnął kielich z zimną wodą w dłonie Gordusa i ten pił, i pił, i pił.

Idy marcowe przyszły wraz z chłodem i gęstymi szarymi chmurami, brzemiennymi deszczem, który spływał na Rzym.

Cezar stał przy łożu Kalpurnii i patrzył. Zaczynał wierzyć, że tamta mała wiedźma mówiła prawdę. Kalpurnia umierała. Nic nie mogło jej obudzić. Wręcz przeciwnie, oddychała coraz płycej, była coraz bledsza, a jej dłonie i stopy stawały się coraz bardziej lodowate. Smutne, bardzo smutne. Kiedyś była taka urocza.

Mała burza przyszła i odeszła, deszcz padał miarowo, obciążając jeszcze bardziej drzewa, zginając gałęzie. Po krótkiej ulewie nadciągnęła mgła, ale niebo częściowo się przejaśniło. Światło pokoju, w którym spoczywała Kalpurnia, było zielone i ponure. Wiatr potrząsnął gałęziami, strącił masę kropli na kamienne chodniki. Kręgi zatańczyły na powierzchni sadzawki, jakby coś gdzieś daleko opłakiwało urodę tej kobiety i obietnicę tego mężczyzny.

Po wczorajszej walce, kiedy opowiedział przepowiednię Dryas Antoniuszowi, odrzucił wszelkie niepokojące myśli o tym, że jakiś cud wydarzył się w świątyni.

Antoniusz moczył oparzoną rękę w zimnej wodzie i zaklinał się, że kobieta z Kaledonii to najpotężniejsza czarownica, jaką widział świat. I miał nadzieję, że on sam doprowadził do jej zagłady, przebijając wiedźmę jej własnym mieczem. Ale nie widział, by umierała i nie znalazł ciała, tak że jutro pójdzie do świątyni Jowisza Opiekunczego i złoży w ofierze parę wołów, mając gorącą nadzieję, że...

Więcej nie udało mu się powiedzieć, ponieważ Cezar miał dość narzekania i biadolenia swojego legata i kazał mu zamilknąć.

- Cicho! - rzekł. - Wpierw co do jej wyroczni. Dryas stała blisko paleniska i zapewne cisnęła coś w ogień, co zamąciło nam w głowach. Wtedy wmówiła pozostałym, że jest jakąś boginią.

A co do jej ucieczki, wiadomo tyle, że Gordus znał *ludus* jak własną kieszeń. Wcześniej czy później muszą się pokazać. A wtedy... No cóż, postara się, żeby te barbarzyńskie ścierwa zapłaciły za swoje wybryki.

Następnie rozkazał Antoniuszowi wyleczyć rękę, bo niebawem czekają ich ważniejsze sprawy. Armia była gotowa do wymarszu, a takiej masy spiskowców nie zgłodzi się jednocześnie, nawet w obozie, gdzie zajmą się nimi lojalni żołnierze.

Nie, nigdy nie przyznałby się Antoniuszowi, czy komukolwiek innemu, że uznał każde jej słowo - bez względu na to, co opętało wiedźmę - za prawdę. Za czystą prawdę.

Nie, on, Cezar, może i miał swoje słabości, ale nie był głupcem. Żaden człowiek nie mógł dokonać tego, co udało się Dryas.

I nikt nie mógł uciec z celi, w której ich uwięziono.

Tak, było po wszystkim i wiedział bez cienia wątpliwości, że po raz pierwszy w życiu jest bezradny. Bezradny i pozbawiony jakiegokolwiek pomocy.

Uśpiona Kalpurnia westchnęła głęboko i na krótko przestała oddychać. Wszystkie kobiety, zgromadzone wokół niej i Cezara, czekały, aż w końcu znów nabrała powietrza.

Medyk, który oglądał ją ostatniej nocy, poinformował go, że to zapowiedź śmierci. Przerwy w oddychaniu będą się wydłużać, aż za jakiś czas... znieruchomieje. Na zawsze. Czy to właśnie następowało? Czy powinien zapytać o to tę „kobietę”, jak nazwała ją Dryas? Lecz nie otrzymał żadnego pocieszenia. Czemu miałyby mu stworzyć nadzieję przyszłego życia? Nie, najlepiej nie wiedzieć.

Rozważył trzy możliwości, jakie mu zaoferowała. Najlepiej już dzisiaj udać się do senatu.

Druga możliwość, śmierć w Partii... no cóż, Partowie wypatroszyli Krassusa, zostawili go na polu bitwy umierającego w mękach. Właśni niewolnicy musieli go wykończyć.

Trzecia - zostać w Rzymie i unikać senatu, żyć i umrzeć bezradny, dusząc się, kiedy próbujesz zjeść czy wypić, niezdolny przemówić ani nawet myśleć, brukać pościel, leżeć we własnym gnoju, zdany na łaskę służby. Nie.

Żołnierz, jeden z legionistów trzymających wartę przed domem, przybył z wiadomością, że Antoniusz i reszta czekają na niego.

No dobrze. Trzeba iść.

Wtedy przypomniał sobie dziwne pytanie Greka Filona i jeszcze bardziej niesamowitą odpowiedź.

Gwiazdny pył! Szaleństwo, a przy tym jak typowe, że Grek nie spytał o nic, co mogłoby dać mu jakąś praktyczną korzyść, wołał zagłębić się w metafizykę.

Ale cóż, to dlatego Rzymianie podbili ich z tak dziecinną łatwością i tak wielu ich inteligentnych, wyrobionych, wykształconych i utalentowanych obywateli lądowało na rzymskich targach niewolników, stając się ludzkim towarem.

Nie. Bogactwa i władza - oto rzeczy, które warto mieć, dla których warto się trudzić i cierpieć. A może tylko dla władzy?

Osiągnął najwyższą władzę, jak wielu innych zdobywców. I... spotkało go rozczarowanie. Niewytłumaczalne... ale prawdziwe.

Dlaczego? Czego mu jeszcze brakowało?

Nigdy nie odpowiedział sobie na to pytanie, bo Antoniusz przynaglił go do wyjścia, machając ręką z pokoju recepcyjnego. Nie oglądając się za siebie, Cezar udał się do senatu.

Maeniel czekał u stóp schodów kurii. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, ukrytego pod togą.

Deszcz przestał padać, ale chodniki między drzewami publicznego parku pozostały wilgotne. Na niebie widniały strzępki bieli.

Zeszłej nocy opuścili góry i źródło. Powrócili na wzgórze koło zagrody Aquili. Wilk prowadził, gdyż Kalpurnia wskazała mu inne wierzeje, przez które można było opuścić Rzym, i nie wątpił, że gdyby mieli ochotę udać się tak daleko, mogliby dotrzeć na krańce Ziemi. Aquila udzielił im noclegu, a nie było potrzeby wybierać się dalej.

Kiedy wrócili do miasta, przekonali się, że spiskowcy zgromadzili znaczny oddział eksgladiatorów, podobnie jak Gordus.

Za publicznymi ogrodami wznosiły się wysokie mury osłaniające scenę teatru Pompejusza. Reszta znajdowała się właśnie tam - Lucjusz, Dryas, Filon, Aquila, Odcięte Ucho, a także około dwudziestu najtwardszych, najbardziej

zdecydowanych szermierzy, jakich Gordus mógł wynająć. Jego żona i syn byli z Oktusem w Ostii.

- Widzisz, panie, rozmawiałem z Aquilą - tłumaczył Oktus, po tym, jak Filon udał się do Gordusa. - Nikt mnie nie pilnował i udało mi się zabrać tę... śliwkę... z twojego pokoju. Wiedziałem, że to nie jest zwykły owoc, gdyż nie uschła w naturalny sposób. Więc po tym, jak rozmówiłem się z Aquilą, przyłączyłem się do ciebie. Twój przyjaciel - wskazał Maeniela - wyjaśnił mi, co to jest, ale nie miałem sposobności ci jej dać, dopóki Aquila nie pokonał strażników. Naprawdę bałem się tylko jednego, że któreś z nich, Gordus lub Dryas, padnie od miecza drugiego, ale do tego nie doszło.

Lecz teraz przybywali, zbity gromada mężów w białych tunikach i togach, otaczająca najpotężniejszego człowieka na świecie.

Maeniel rozważał, czy użyje miecza.

Znał go tylko Antoniusz, lecz zanim dotarli do marmurowych schodów portyku, ktoś objął Antoniusza i odciągnął na bok.

Cezar minął go w pośpiechu i Maeniel na chwilę spotkał się z nim wzrokiem. Wilk pożałował, że włączono go w ludzką odyseję. Nie wiedział, co czyta w oczach tamtego: oszołomienie, że to minęło tak szybko, poczucie absolutnej samotności, żal, że cudowny kalejdoskop egzystencji ulegnie strzaskaniu. Nie sposób było się dowiedzieć. Wiedział na pewno jedno: wyraz tych oczu będzie go prześladować do końca życia.

Maeniel zacisnął palce na rękojeści, ale Cezar już go minął i znikł.

Jakaś wschodnia bogini o wielu torsach spojrzała na Maeniela i dalej, na okryte deszczem ogrody. Opuścił dłoń. W sposób nieosiągalny dla ludzi czuł, co wydarzy się tam w górze, za podwójnymi drzwiami z brązu prowadzącymi do kurii.

Zadrżał, gdy stado zacieśniło krąg.